



MARGARET ATWOOD

KOCIE
OKO

 WIELKA LITERA

MARGARET ATWOOD

**KOCIE
OKO**

Z angielskiego przełożyła
Magdalena Konikowska



Ta książka jest dla S.

Obrazy i inne nowoczesne dzieła sztuki, które tutaj opisuję, w rzeczywistości nie istnieją. Niemniej jednak zainspirowali je między innymi tacy artyści wizualni, jak Joyce Wieland, Jack Chambers, Charles Pachter, Erica Heron, Gail Geltner, Dennis Burton, Louis de Niverville, Heather Cooper, William Kurelek, Greg Curnoe oraz popsurrealistyczna garncarka Lenore M. Atwood; jak również zawsze oryginalna galeria Isaacs.

Jeśli chodzi o elementy fizyki i kosmologii, jestem winna wdzięczność Paulowi Daviesowi, Carlowi Saganowi, Johnowi Gribbinowi i Stephenowi W. Hawkingowi za ich pasjonujące książki na te tematy, a także mojemu bratankowi, Davidowi Atwoodowi, za niezmiernie pouczające uwagi o strunach.

Serdeczne podziękowania dla Graeme'a Gibsona za to, że wytrzymał tę powieść; dla mojej agentki, Phoebe Larmore; dla moich brytyjskich agentek, Vivienne Schuster i Vanessy Holt; dla moich redaktorek i wydawców – Nan Talese, Nancy Evans, Ellen Seligman, Adrienne Clarkson, Avi Bennett, Liz Calder i Anny Porter; dla mojej niestrudzonej asystentki, Melanie Dugan; jak również dla gnomów i czarodziei – Donyi Peroff, Michaela Bradleya, Alison Parker, Gary'ego Fostera, Cathy Gill, Kathy Minialoff, Fanny Silberman, Coleen Quinn, Rosie Abella, C.M. Sanders, Gene'a Goldberga, Johna Gallaghery i Dorothy Goulbourne.

Kiedy Tukanowie ucięli głowę starej kobiecie, ona zebrała krew w dłonie i dmuchnięciem posłała ku słońcu.

– Oto wkracza w was moja dusza! – wykrzyknęła.

Od tamtej pory każdy zabójca, wbrew własnej woli i nic o tym nie wiedząc, przyjmuje do swego ciała duszę ofiary.

Eduardo Galeano, *Memoria del fuego* (Wspomnienie ognia: geneza)

Dlaczego pamiętamy przeszłość, a nie przyszłość?

Stephen W. Hawking, *Krótką historia czasu*

I

ŻELAZNE PŁUCO

1

Czas nie jest linią, lecz wymiarem, tak jak wymiary przestrzeni. Jeżeli da się zakrzywić przestrzeń, da się również zakrzywić czas, a gdyby się wiedziało dostatecznie dużo i umiało poruszać prędzej niż światło, można by się cofnąć w czasie i żyć w dwóch miejscach naraz.

Tak powiedział mój brat, Stephen. Nosił wtedy wystrzępiony brunatny sweter – zawsze się uczył w tym swetrze – i godzinami stał na głowie, żeby krew spłynęła do mózgu, żeby go odżywiła. Nie rozumiałam, ale pewno nie tłumaczył zbyt jasno. Już wówczas uciekał od wieloznaczności słów.

Zaczęłam jednak wyobrażać sobie czas jako coś obdarzonego kształtem, coś, co można zobaczyć niczym stos płynnych przezroczy ułożonych jeden na drugim. Na czas nie spogląda się wstecz, lecz w dół, tak jak w wodę. Raz na powierzchnię wynurza się to, raz tamto, raz nic. Nic nie ginie.

2

– Stephen twierdzi, że czas nie jest linią – mówię.

Cordelia przewraca oczami, co było do przewidzenia.

– No więc?

Ta odpowiedź zadowala nas obie. Stawia naturę czasu na właściwym miejscu, stawia też na właściwym miejscu Stephena, który mówi o nas „podlotki”, zupełnie jakby sam był dorosły.

Jedziemy z Cordelią tramwajem do śródmieścia, jak zwykle w zimowe niedziele. W tramwaju panuje zaduch: zużyte powietrze, zapach mokrej wełny. Cordelia siedzi w niedbalej pozie, czasem trąca mnie łokciem, patrzy na ludzi oczyma bez wyrazu, szarzielonymi oczyma nieprzejrzystymi i lśniącymi niby metal. Potrafi wytrzymać każde spojrzenie, ja niemal jej dorównuję. Jesteśmy nieprzeniknione, jesteśmy jak dwie iskry, mamy po trzynaście lat.

Nosimy długie wełniane palta z wiązanym paskiem, z podniesionym kołnierzem – tak się noszą gwiazdy filmowe – do tego śniegowce z wywinętą cholewką i męskie robocze skarpety. W kieszeni upchnięte chustki, ściągamy je, gdy znikniemy matkom z oczu. Pogardzamy nakryciami głowy. Usta mamy wyzywające, w kolorze czerwonej kredki, połyskliwe jak paznokcie. Uważamy się za przyjaciółki.

W tramwajach zawsze się widuje stare kobiety, a przynajmniej nam się wydają stare. Bywają rozmaite. Jedne przyzwoicie ubrane w szyte na miarę tweedy, w dobranych pod kolor rękawiczkach i schludnych stonowanych kapeluszach ze zgrabnym pęczkiem piórek sterczących zawiadacko z boku. Inne uboższe, na oko cudzoziemki, z głową i ramionami spowitymi w ciemne szale. Jeszcze inne przysadziste, pękate, o świętoszkowato zaciśniętych ustach, obwieszane siatkami: typowe klientki wyprzedzaży i sklepów z przeceną. Cordelia na pierwszy rzut oka rozpozna tani materiał.

– Gabardyna – mówi. – Tandeta.

Są wreszcie te, które jeszcze się nie poddały, które nadal starają się błyszczeć. Nieliczne, lecz wyróżniają się z tłumu. Wystrojone w szkarłat bądź fiolet, z dyndającymi kolczykami, w kapeluszach niczym rekwizyty teatralne. Spod sukienek wystaje rąbek halki, halki w niecodziennym, dwuznacznym kolorze. Dwuznaczne jest wszystko prócz bieli. Włosy mają farbowane na słomiany blond albo bladoniebiesko, albo – co tym bardziej uderza przy pergaminowej cerze – na czarno, w matowym odcieniu starego futerka. Usta kreślone szminką są zbyt duże, wychodzą poza linię prawdziwych ust, róż przypomina kleksy, prawdziwe oczy obrysowuje chwiejna kreska oczu malowanych. Właśnie takie kobiety zazwyczaj mówią do siebie. Jedna w kółko powtarza „baranina, baranina”, niby refren piosenki. Druga szturcha nas po nogach parasolką: – Golusieńkie – mamrocze.

Te najbardziej lubimy. Mają w sobie szczególną wesołość, siłę wyobraźni, nie dbają o to, co myślą inni. Te zdołały uciec, chociaż nie bardzo wiemy od czego. Wierzymy, że ich dziwaczne stroje, słowne tiki pochodzą z wyboru i że w stosownym czasie nas także czeka wolny wybór.

– Taka będę – mówi Cordelia. – Tylko że ja sobie sprawię jazgotliwego pekińczyka. Będę przeganiać dzieciaki, niech mi nie łążą po trawniku. Będę miała kij pasterski.

– Ja będę miała oswojoną iguanę – dorzucam. – Będę się ubierać tylko i wyłącznie na bordowo. – Tego słowa ostatnio się nauczyłam.



A jeśli, myślę teraz, jeśli zwyczajnie nie widziały, jak wyglądają? Może to aż takie proste: kłopoty ze wzrokiem. Znam ten ból. Kiedy jestem zbyt blisko lustra, cała się rozmazuje, kiedy za daleko, nie odróżniam szczegółów. Kto wie, jakie stroje miny, jaki obraz sztuki nowoczesnej na siebie nakładam? Nawet gdy właściwie ustawię odległość, nieustannie się zmieniam. Żyję w stanie przejściowym. Raz wyglądam na zniszczoną trzydziestkępiątkę, kiedy indziej na żwawą pięćdziesiątkę. Tak wiele zależy od światła, od zmruczenia oczu.

Jadam w różowych restauracjach, bo to bardziej twarzowy kolor. W żółtych człowiek żółknie. Co tu kryć, naprawdę zaprzęłam sobie głowę takimi sprawami. Próżność zaczyna dokuczać. Rozumiem, dlaczego kobiety w końcu dają za wygraną. Lecz ja jeszcze nie jestem na to gotowa.

Niedawno przyłapałam się na tym, że głośno nucę, że idąc ulicą, nie domykam ust, trochę się ślinię. Tylko trochę, ale może to pierwszy krok po krawędzi urwiska, szczelina w murze, która później ukaże – co? Jakie horyzonty postępującego dziwactwa albo obłądę?

Nigdy i nikomu bym tego nie powiedziała, z wyjątkiem Cordelii. Ale której Cordelii? Tej wywołanej przed chwilą, tej w śniegowcach i z podniesionym kołnierzem, czy może tej przedtem, czy tej potem? W każdym z nas siedzi więcej niż jeden człowiek.



Gdybym znowu spotkała Cordelię, co bym jej powiedziała o sobie? Prawdę czy postawiłabym na efekt? Raczej to drugie. Wciąż odczuwam taką potrzebę.

Od dawna jej nie widziałam. Nie spodziewałam się jej zobaczyć. Teraz jednak, kiedy tutaj wróciłam, Cordelia miga mi niemal na każdej ulicy, skręca za róg, wchodzi do bramy. Naturalnie, te rozmaite fragmenty – ramię okryte beżową wielbłądzią wełną, profil twarzy, tył nogi – należą do kobiet, które oglądane w całości nie są Cordelią.

Nie mam pojęcia, jak dzisiaj wygląda. Jest gruba, ze sflaczałym biustem, z siwymi włoskami w kącikach ust? Mało prawdopodobne: na pewno by je wyskubała. Nosi okulary w modnej oprawce, zrobiła lifting powiek, farbuję włosy w pasemka czy na gładko? Wszystko możliwe. Obie dobiłyśmy do wieku granicznego, do strefy buforowej: tu jeszcze da się wierzyć, że podobne triki odnoszą skutek, wystarczy unikać ostrego słońca.

Cordelia, wyobrażam sobie, przygląda się rosnącym workom pod oczami, skórze w zbliżeniu luźniejszej, pomarszczonej jak łokieć. Wzdycha, wklepuje krem – krem odpowiedni dla jej cery. Już ona by wiedziała jaki. Obserwuje ręce, troszkę skurczone, troszkę zdeformowane, tak jak moje. Zaznaczają się na nich guzy, usta pomału więdną. Już się zarysowuje drugi podbródek, odbija w ciemnych szybach wagonu metra. Nikt tego jeszcze nie dostrzeże, chyba że uważnie się przyjrzy. My dwie z nawyku patrzymy uważnie.

Odrzuca ręcznik, w przytłumionym odcieniu morskiej zieleni, akurat pod kolor oczu. Ogląda się przez ramię, w lustrze dostrzega wałeczki tłuszczu nad talią, pośladki obwisłe niczym korale indora, a kiedy się obróci, suchą paproć włosów. Widzę Cordelię w dresie, też barwy morskiej zieleni: ćwiczy gdzieś w sali gimnastycznej, spocona jak mysz. Wiem, co by na to powiedziała, na to wszystko. Jakże chichotałyśmy, że wstrętem i z rozkoszą, kiedy znajdowałyśmy wosk, którym jej starsze siostry depilowały nogi, wosk zastygły w garnuszku, naszpikowany szczecią. Cordelię zawsze fascynowała groteskowość ciała.

Wyobrażam sobie, jak się spotykamy z nienacka. W wyświechtanym płaszczu i włóczkowej czapce przypominającej kapturek na imbryk siedzi na krawężniku, obok leżą dwie foliowe torby z całym dobytkiem. Coś mamrocze pod nosem. – Cordelia! Nie poznajesz mnie? – Poznała, tylko udaje, że nie. Podnosi się, odchodzi, powłócząc spuchniętymi nogami, przez dziury w śniegowcach wyzierają stare skarpety. Rzuca spojrzenie przez ramię.

Taki obrazek sprawia mi pewną satysfakcję. Im gorszy, tym satysfakcja większa. Wyglądam przez okno, nie, z balkonu, stamtąd lepiej widać: jakiś mężczyzna goni Cordelię po chodniku, dopędza, uderza w bok – z twarzą już sobie nie radzę – przewraca. To tyle, nie potrafię się posunąć dalej.

Lepiej więc namiot tlenowy. Cordelia jest nieprzytomna. Wezwano mnie, zbyt późno, do szpitala. W wazonie mdląco pachną przywiedle kwiaty, do ramion i nosa Cordelii sięgają rurki, słychać

zamierający oddech. Trzymam ją za rękę. Twarz ma obrzmiałą i bladą jak surowe ciasto, pod zamkniętymi oczami żółtawe kręgi. Powieki ani drgną, lecz w palcach wyczuwam słabutki ruch, a może tylko mi się zdaje? Zastanawiam się, czyby nie wyrwać rurek, nie wyciągnąć wtyczki z kontaktu. Czynności mózgu ustały, orzekli lekarze. Czy płaczę? I kto by mnie wezwał?

Jeszcze lepiej: żelazne płuco. Nigdy go nie widziałam na własne oczy, jedynie na zdjęciach w gazetach, w czasach gdy ludzie jeszcze zapadali na polio. Żelazne płuco – zdjęcia przedstawiały pokaźny cylinder, gigantyczną metalową kielbasę, z jednego końca sterczała głowa, przeważnie głowa dziewczynki z włosami rozrzuconymi na poduszce, z wielkimi oczyma o głębi nocy – żelazne płuco fascynowało mnie bardziej aniżeli historie o dzieciach, które się utopiły, bo spacerowały po cienkim lodzie, albo straciły ręce i nogi, bo się bawiły na torach. Człowiek mógł złapać polio nie wiadomo jak i gdzie, nie wiadomo czemu mógł skończyć w żelaznym płucu. Coś tam wciągał razem z powietrzem albo połykał, albo prznosił z brudnych pieniędzy, których dotykali inni ludzie. Nie znało się dnia ani godziny.

Żelaznego płuca dorośli używali w charakterze straszaka, a także powodu, dla którego nie wolno nam było robić tego, co byśmy chciały. Żadnych publicznych basenów, żadnych tłumów latem. „Chcesz resztę życia spędzić w żelaznym płucu?”. Głupie pytanie. Inna rzecz, że dla mnie takie życie, beczynne i wypełnione litością, kryje pewien urok.

A zatem Cordelia w żelaznym płucu, urządzenie oddycha za nią, jak gdyby ktoś grał na akordeonie. Dokoła rozlega się mechaniczne posapywanie. Jest całkowicie przytomna, ale nie może się poruszyć ani przemówić. Wchodzę do pokoju, ruszam się, mówię. Nasze spojrzenia się spotykają.



Cordelia musi gdzieś tutaj mieszkać. Może jest o milę stąd, może na sąsiedniej ulicy. Ostatecznie jednak nie wiem, jak bym się zachowała, gdybym przypadkiem na nią wpadła, gdybym ją spostrzegła chociażby w metrze na siedzeniu naprzeciwko albo na peronie, jak czyta reklamy. Stałybyśmy tuż obok siebie, patrząc na wielkie czerwone usta pochłaniające batonik czekoladowy. Ja bym się odwróciła, powiedziała: – Cordelio. To ja, Elaine. – Czyby także się odwróciła, krzyknęła teatralnie? Czyby mnie zignorowała?

A może to ja skorzystałabym z szansy i zignorowała ją? Może podeszłabym bez słowa, objęła Cordelię? Albo chwyciła za ramiona i trzęsła nią, trzęsła?



Wędrowałam tak całą wieczność, schodziłam ze wzgórza do centrum, gdzie już nie kursują tramwaje. Jest wieczór, rozmyty, szary, pastelowy niby płynny kurz, jesienny wieczór typowy dla tego miasta. Przynajmniej pogoda wciąż jest znajoma.

Teraz dotarłam do miejsca, gdzieśmy wysiadały z tramwaju wprost w styczniową breję przy krawężniku, w przenikliwy wiatr wiejący od jeziora pomiędzy odrapanymi domami o płaskich dachach,

domami, które nam się wydawały całkiem wytworne. Lecz ta część miasta już nie jest nijaka, zaniedbana, biedna, ale dumna. Neony zdobią kursywą odrestaurowane ceglane fasady, przybyło mnóstwo mosiężnych ozdóbek, mnóstwo majątku, przybyło pieniędzy. Kawalek dalej wznoszą się gigantyczne rozjarzone wieże całe ze szkła, istne nagrobki z zimnego światła. Zamrożone aktywa.

Nie przyglądam się wieżom ani ludziom, którzy mijają mnie w modnych ciuchach, w zagranicznych szmatkach, ręcznie szytej skórze, zamszu. Patrzę na chodnik, niczym tropiciel.

Ściska mnie w gardle, bolą szczęki. Znowu zaczęłam gryźć palce. Aż do krwi, pamiętam ten smak. Smak pomarańczowych lizaków, groszowej gumy do żucia, czerwonej lukrecji, kosmyka włosów, brudnego lodu.

II

SREBRNY PAPIER

3

Leżę na otomanie przykryta pledem. Otomana, pled: proszę, jak daleko zaszliśmy. Ciekawe, czy Stephen w ogóle się orientował, co to takiego. Najpewniej nie. Gdyby się wyskoczyło przy nim z „otomaną”, zapewne spojrzalby tak, jakby był głuchy albo jakby się miało nie po kolei w głowie. Stephen nie poruszał się w wymiarze otomanowym.

W czasach przed otomanami i pledami rożek lodów kosztował pięć centów. Teraz kosztuje dolara, jeśli ma się szczęście, a przy tym jest mniejszy. Oto podstawowa różnica między wczoraj a dziś: dziewięćdziesiąt pięć centów.



Oto środek mojego życia. Miejsce w przestrzeni – bo tak o tym myślę – niby środek rzeki, środek mostu, w pół drogi od początku, w pół drogi do kresu. Do tej pory właściwie powinnam zgromadzić to i owo: majątek, obowiązki, osiągnięcia, doświadczenie, mądrość. Powinnam obrosnąć wszelkim dobrem.

Lecz od powrotu bynajmniej nie czuję się cięższa. Raczej lżejsza, jak gdybym wyzbywała się materii, traciła cząsteczki, wapń z kości, komórki krwi. Jak gdybym się kurczyła, wypełniała zimnym powietrzem lub powoli padającym śniegiem.

Pomimo całej lekkości wcale się nie wznoszę, opadam. A ściślej biorąc, daję się wciągać w głąb, w kolejne warstwy tego miejsca niczym w rzadkie błoto.



W gruncie rzeczy nienawidzę tego miasta. Nienawidzę od tak dawna, że nie pamiętam, czy kiedykolwiek budziło we mnie inne odczucia.

Kiedyś powszechnie mówiono, jakie jest nudne. Pierwsza nagroda – tydzień w Toronto, druga nagroda – dwa tygodnie w Toronto, Toronto Dobrym, Toronto Błękitnym, gdzie się nie dostanie wina w niedzielę. Każdy mieszkaniec powtarzał to samo: prowincja, zadufanie, nuda. Innymi słowy, dawało się do zrozumienia, że się dostrzega te cechy, lecz samemu od nich odcina.

Teraz należy mówić o tym, jak bardzo miasto się zmieniło. „Miasto klasy światowej”, piszą dzisiaj w gazetach, stanowczo zbyt często. Restauracje etniczne, teatr, butiki. To jakby Nowy Jork bez śmieci i rozbojów. Niegdyś ludzie jeździli stąd na weekend do Buffalo, mężczyźni pooglądać rozbierane rewie i łyknąć piwa w nocnym klubie, kobiety po zakupy. Wracali skacowani i wymięci, opatuleni „na cebulkę”, żeby przeszumgłować fatalaszki. Dziś ruch weekendowy przebiega w drugą stronę.

Nie wierzyłam w żadną z tych opinii, ani w nudę, ani w klasę światową. Dla mnie Toronto nigdy nie było nudne. „Nudne” nie jest właściwym słowem, by opisać tyle cierpienia, tyle magii.

Nie wierzę też w zmiany. Kiedy wczoraj jechałam taksówką z lotniska, kiedy mijałam schludne jednakowe fabryki i magazyny – dawniej schludne nijakie farmy – milę za milą przezorności i utylitaryzmu, a potem przemierzałam cały śródmiejski blichtr, z markizami w europejskim stylu i szerokimi chodnikami, otóż kiedy tak jechałam, spostrzegłam, że Toronto wcale się nie zmieniło. Pod rozpasaniem i przepychem wciąż trwa tamto dawne miasto, ulica za ulicą, masywne domy z czerwonej cegły, kolumnienki ganków niczym białawe nóżki muchomorów, czujne, wyrachowane okna. Miasto tajonej urazy, wrogie, mściwe, nieprzejednane.

Ileż mi się śni, zawsze w nim błędę.



Naturalnie, mam też prawdziwe życie. Czasem aż trudno uwierzyć, ponieważ życie nie powinno mi się akurat tak ułożyć, po prostu na to nie zasługuję. Co idzie w parze z drugim przekonaniem: że wszyscy w moim wieku są dorośli, ja tymczasem zaledwie się maskuję.

Mieszkam w domu z firankami i z trawnikiem, w Kolumbii Brytyjskiej, czyli tak daleko od Toronto, jak tylko dało się uciec, nie topiąc się przy tym w morzu. Nierealność krajobrazu dodaje otuchy: pocztówkowe góry odmiany cukierkowej, takiej z zachodem słońca nad turniami, domy jak wiejskie chatki, jakby zbudowane przez siedmiu krasnoludków w latach trzydziestych, gigantyczne ślimaki, o wiele większe, niż to ślimakowi potrzebne do szczęścia. Nawet deszcz mocno przerysowany, nie sposób go brać poważnie. Pewnie dla tych, co tu się wychowali, okolica jest równie realna, równie przytłaczająca jak dla mnie Toronto, lecz w dobre dni wciąż ma urok wakacji, ucieczki. W złe dni tego nie dostrzegam, podobnie jak całej reszty.

Mam męża, to mój drugi, nazywa się Ben. Nie jest żadnym artystą, i całe szczęście. Prowadzi biuro podróży nastawione głównie na Meksyk. Do nieklamanych zalet Bena należą tanie bilety na Jukatan. Właśnie dlatego nie wybrał się ze mną w tę podróż: przed Bożym Narodzeniem zaczyna się wielki ruch w interesie.

Mam też dwie córki, obie są dorosłe. Sara i Anne – dobre, praktyczne imiona. Jedna jest już prawie lekarką, druga księgową. Praktyczne wybory życiowe. Wierzę w praktyczne wybory, tak różne od wielu moich własnych. A także w praktyczne imiona dla dzieci, no bo proszę, co się stało z Cordelią.

Obok mojego prawdziwego życia toczy się życie zawodowe, niezupełnie prawdziwe, można by rzec. Jestem malarką. W przypiływie straceńczej odwagi wpisałam tak nawet do paszportu, ponieważ drugą możliwością była „gospodyni domowa”. Ja i malarka – nie do wiary, czasem na samą myśl aż się

kurczę. Przyzwoici ludzie nie zostają malarzami, to się zdarza tylko nadętym, pretensjonalnym pozerom. Słowo „artystka” wprawia mnie w zakłopotanie, wolę „malarkę”, bo bardziej się kojarzy z solidną profesją. Artysta znaczy szmaciarz i leń, tak powie większość ludzi w tym kraju. Jeżeli ktoś się przyzna, że jest malarzem, to patrzą na niego jak na wariata. Chyba że maluje dzikie zwierzęta albo zgarnia pieniądze szuflami, rzecz jasna. Ja zarabiam tylko tyle, żeby wzbudzać zawiść w malarskim świątku, na pewno nie dość, żeby posłać całe towarzystwo do wszystkich diabłów.

Zazwyczaj jednak nie posiadam się ze szczęścia, że udało mi się stąd wyrwać, i to za pięć dwunasta.

Właśnie życie zawodowe mnie tutaj sprowadziło, na tę otomanę, pod pled. Urządzili mi retrospektywę, moją pierwszą. Galeria nazywa się A-Wersje – uwielbiałam takie kalambury, dopóki się nie stały ostatnim krzykiem mody. Powinnam się cieszyć, ale mam mieszane uczucia. Niechętnie przyznaję, że jestem dostatecznie stara i uznana, by zasłużyć na retrospektywę, choćby w alternatywnej galerii prowadzonej przez gromadę bab. Rzecz zarazem nieprawdopodobna i złowieszcza: najpierw retrospektywa, później kostnica. Z drugiej strony, czuję się mile polechtana, bo w Galerii Sztuki Prowincji Ontario nawet nie chcieli o tym słyszeć. Mają słabość do nieżyjących mężczyzn, cudzoziemców.



Pled znajduje się w pracowni należącej do mojego pierwszego męża, Jona. Ciekawe, dlaczego trzyma tutaj pled, skoro mieszka gdzie indziej. Tymczasem już odpuściłam, nie przejrzałam apteczki w poszukiwaniu szpilek do włosów i damskich dezodorantów, jak bym to kiedyś zrobiła. Nie moja sprawa, szpilekami niech się martwi jego niewzruszona żona.

Może głupio postąpiłam, zatrzymując się u Jona, zbyt retrospektywnie. Zawsze jednak byliśmy w kontakcie z powodu Sary, to również jego córka, po etapie wrzasków i tłuczenia szkła zostaliśmy przyjaciółmi, swego rodzaju przyjaciółmi – na odległość, tak jest łatwiej niż twarzą w twarz. Kiedy Jon dowiedział się o wystawie, sam zaoferował mi pomoc. Cena hotelu w Toronto, powiedział, nawet drugorzędnego hotelu woła o pomstę do nieba. A-Wersje pokryłyby wydatki, ale ugryzłam się w język. Nie lubię hotelowej schludności, wanien wypucowanych do połysku. Nie lubię słuchać, jak mój głos odbija się echem od ścian, zwłaszcza nocą. Wolę bałagan, nieporządek, brud ludzi takich jak ja, takich jak Jon. Podróżnych i nomadów.

Pracownia Jona mieści się przy King Street, niedaleko portu. Kiedyś King Street należała do miejsc zakazanych, do strefy obskurnych magazynów, turkoczających ciężarówek, podejrzanych zaułków. Teraz awansowała. Zasiedlili ją chmarą artyści. Właściwie pierwsza fala artystów już się przewaliła, dzisiaj zaczyna tu królować mosiężne liternictwo, rury centralnego ogrzewania malowane na czerwono à la wóz strażacki oraz kancelarie prawnicze. Pracownia Jona, na czwartym, a zarazem ostatnim piętrze jednego z magazynów, długo nie przetrwa w obecnej postaci. Po sufitach już biegną szyny z reflektorkami, na niższych piętrach zdiera się stare linoleum zalatujące „leśnym” płynem do podłóg z lekką domieszką antycznych wymiotów i siuszków, szerokie deski pod spodem czyści się strumieniem piasku. Wiem, bo codziennie się wspinam na samą górę, jeszcze nie sprawili sobie windy.

Jon zostawił mi klucz w kopercie pod wycieraczką, plus karteczkę o treści „Powodzenia” – miara tego, jak złagodniał, zmiękł. „Powodzenia” – kiedyś to nie było w jego stylu. Chwilowo siedzi w Los

Angeles, pracując od strony artystycznej nad morderstwem za pomocą piły łańcuchowej, ale wróci przed otwarciem wystawy.

Ostatni raz widzieliśmy się cztery lata temu, przy rozdaniu dyplomów na uczelni Sary. Przyleciał na wybrzeże, szczęśliwie bez żony, która za mną nie przepada. Wiem o tym, chociaż nigdy się nie spotkałyśmy. Podczas uroczystości – najpierw rytualna pompa, później herbata i ciastka – graliśmy rolę odpowiedzialnych, dorosłych rodziców. Zabraliśmy obie dziewczynki na kolację, byliśmy bez zarzutu. Nawet ubraliśmy się tak, jak sobie tego życzyła Sara: ja w kostium, stosowne pantofle z przyległościami, Jon włożył garnitur i najprawdziwszy krawat. Powiedziałam, że wygląda jak przedsiębiorca pogrzebowy.

Następnego dnia wymknęliśmy się na lunch, tylko we dwoje, i uderzyliśmy w gaz. „Uderzyć w gaz”, wyrażenie cokolwiek przestarzałe, precyzyjnie określa charakter tamtej imprezy. Jeszcze jedna retrospektywa. Do dziś myślę: wymknęliśmy się, chociaż Ben o wszystkim wiedział. Inna rzecz, że nigdy by się nie wybrał na lunch ze swoją pierwszą żoną.

– Przecież mówiłaś, że to była kompletna katastrofa – dziwił się.

– Bo była. Coś potwornego.

– No więc skąd ten lunch?

– Trudno wyjaśnić – odparłam, niezupełnie zgodnie z prawdą. Możliwe, że z Jonem łączy mnie coś na kształt wypadku drogowego, ale mimo wszystko łączy. Przetrawiliśmy – ja jego, on mnie. Byliśmy dla siebie niczym rekiny, ale też jak łódź ratunkowa. To się liczy.

W dawnych czasach Jon parął się rzeźbą abstrakcyjną. Składał rozmaite konstrukcje z kawałków drewna i skóry wygrzebanych w cudzym śmietniku albo też rozbijał różne rzeczy – skrzypce, szkło – po czym sklejał z powrotem, dopasowując fragmenty. Potrzaski, tak to nazywał. Raz okręcał pnie drzew kolorową taśmą i fotografował, innym razem sporządził realistyczny bochenek chleba obrosnięty pleśnią, który to bochenek oddychał za sprawą elektrycznego motorka. Pleśń została wykonana z obciętych włosów samego Jona oraz jego przyjaciół. Chyba znalazły się tam nawet moje włosy, zauważyłam, jak cichcem ściąga je ze szczotki.

Teraz wspiera swój byt artystyczny efektami specjalnymi w filmie. W pracowni walają się przeróżne niedokończone rekwizyty. Na warsztacie, gdzie trzyma farby, kleje, noże i szczypce, leży ręka wraz z ramieniem wykonana z żywicy plastycznej, z uciętego końca wypełzają żyły, wiszą rzemyki uchwytu. Na podłodze stoją gipsowe formy nóg i stóp niczym słoniowe nogi, z których się robiło stojaki na parasole. W jednej faktycznie tkwi parasol. Trafiłam też na fragment twarzy o szerniałej, pomarszczonej skórze, nałoży się to na prawdziwą twarz aktora. Okaleczony potwór dyszący zemstą.

Jon ma pewne wątpliwości, czy powinien się zajmować tymi cielesnymi szczątkami, tą rąbanką. Zbyt to brutalne, mówi, nie przysparza ludziom niczego dobrego. Na stare lata zaczął wierzyć w ludzką dobroć. Widać się zmienia, w szafce znalazłam nawet herbatę ziołową. Wolałby, jak twierdzi, robić miłe zwierzątka do programów dla dzieci. Ale cóż, jeść trzeba, a na razie jest większe zapotrzebowanie na odrąbane członki.

Szkoda, że go tutaj nie ma, jego albo Bena, albo jakiegoś znajomego mężczyzny. Tracę chętkę na obcych. Kiedyś bym się skupiła na podniecie, na ryzyku. Teraz to męczy, muli. Rozebrać się z wdziękiem, rzecz prawie niemożliwa. Wymyślić, co by tu powiedzieć potem, tak żeby słowa nie

dźwięczały echem w głowie. Co gorsza, człowiek styka się z drugim zestawem osobliwości: paznokcie przy palcach u nóg, otwory uszu, włosy w nosie. Może w tym wieku wracamy do pruderii z okresu dzieciństwa.



Wstaję z otomany, czuję się tak, jakbym wcale nie spała. W kuchence szperam wśród torebek ziołowej herbaty, Cytrynowa Mgiełka, Poranny Grzmot, w końcu rezygnuję z ziółek na rzecz mocnej, ożywczej, trującej kawy. I oto nagle stoję na środku pracowni, nie bardzo wiem, jak tu dotarłam z kuchni. Mały przeskok w czasie, trochę elektrostatyki na ekranie, lekkie oszołomienie, efekt odrzutowca: nocny marek, rano nieprzytomna. Wczesna faza Alzheimerera.

Siedzę przy oknie, piję kawę, gryzę palce, spoglądam cztery piętra w dół. Widziani pod tym kątem przechodnie wydają się spłaszczeni od góry, całkiem jak zdeformowane dzieci. Wszędzie wokół ciągną się pudełkowate magazyny o płaskich dachach, dalej monotonne rozjazdy kolejowe, gdzie niegdyś w tę i z powrotem przetaczały się pociągi, dostarczając jedynej niedzielnej rozrywki. Jeszcze dalej płaskie jezioro Ontario, zero na początku i zero na końcu, stalowszare jezioro kipiące toksynami. Nawet deszcz jest tam rakotwórczy.

Myję się w mikroskopijnej lepkiej łaźience Jona, z daleka omijam apteczkę. Łazienka jest wysmarowana odciskami palców, brudnobiała – niezbyt korzystne światło. Bez odrobiny brudu Jon nie czułby się jak prawdziwy artysta. Mrużąc oczy, patrzę w lustro, doprowadzam twarz do porządku. Jeśli włożę szkła kontaktowe, jestem za blisko lustra, bez nich jestem za daleko. Od pewnego czasu maluję się, trzymając jedno szkło w ustach, cienkie i kruche niczym resztką cytrynowego dropsa. A jeżeli przypadkiem się udławię? Niegodna śmierć. Powinnam nosić okulary dwuogniskowe. Tyle że wtedy wyglądałabym jak staruszka.



Wciążam bladobłękitny dres, przebranie nieartystki, zbiegam po schodach, starając się prezentować świeżo i zdecydowanie. Mogłabym być kobietą interesu na porannym joggingu, mogłabym być dyrektorką banku w wolny dzień. Ruszam na północ, później na wschód Queen Street: to jeszcze jedno z dawnych zakazanych miejsc. Jak mówiono, właśnie tam się zbierali najgorsi pijacy – perfumiarze, jak ich nazywałyśmy. Podobno pili spirytus kosmetyczny, spali w budkach telefonicznych i wymiotowali ludziom na buty w tramwajach. Teraz wyrosły tutaj galerie sztuki i księgarnie, butiki z czarnymi łaszczkami i dziwnym obuwem. Najnowsze trendy.

Postanawiam się przyjrzeć galerii. Nigdy przedtem jej nie widziałam, bo wszystko się załatwiało przez telefon albo listownie. Nie zamierzam tam wchodzić, ujawniać się, jeszcze nie. Po prostu rzucę okiem z zewnątrz. Przejdę obok, zerknę mimochodem, udając kurę domową bądź turystkę, kogoś, kto się wybrał pooglądać wystawy. Galerie to straszliwe miejsca, miejsca oceny, sądu. Nie potrafię im tak od razu stawić czoła.

Zanim jednak docieram do A-Wersji, trafiam na ścianę z dykty osłaniającą teren rozbiórki.

Rzucając wyzwanie czyściutkiemu Toronto, ktoś tu napisał sprayem: *Albo ja, albo Bekon, kotku*. A pod spodem: *Co za Bekon i gdzie dają?* Obok wisi plakat. Może niezupełnie plakat, raczej ulotka, wściekle fioletowa z zielonymi akcentami i czarnym liternictwem. RISLEY – SPOJRZENIE WSTECZ. Tylko nazwisko, jakby chodziło o chłopaka. Moje nazwisko i moja twarz, mniej więcej. Twarz z fotografii, którą wysłałam do galerii. Tyle że teraz mam wąsy.

Ten, kto je dorysował, wiedział, co robi. Czy może ta, nie da się wykluczyć. Wąsy są bujne, zakręcone isticie po kawaleryjsku, uzupełnione wdzięczną kozią bródką. W sam raz pasują do włosów.

Pewnie powinnam się zmartwić. Czy to tylko bazgroły, czy też komentarz polityczny, akt agresji? Czy bardziej w duchu „Tu był Kilroy, czy „Odpierdol się”? Pamiętam, jak sama rysowałam takie wąsy, ile w to wkładałam złości, chęci ośmieszenia, poniżenia, pamiętam tamto poczucie władzy. Szło o zeszpecenie, spotwarzenie: odebranie komuś godności. Gdybym była młodsza, pewnie bym się przejęła.

A tymczasem przyglądam się wąsom, myślę: całkiem gustowne. Wąsy są jak kostium. Patrę raz z jednej, raz z drugiej strony, zupełnie jakbym się zastanawiała, czy sobie takich nie kupić. Rzucają inne światło. Myślę o mężczyznach, o męskim zarostie: ci mężczyźni mają możliwości, żeby się zamaskować, ukryć. Myślę o mężczyznach z wąsami, o tym, jak bardzo nadzy muszą się czuć, kiedy je zgolą, jacy pomniejszeni. Mnóstwo ludzi lepiej by wyglądało z zarostem.

I nagle ogarnia mnie zdumienie. Nareszcie dorobiłam się twarzy, na której komuś chce się dorysować wąsy, twarzy wręcz przyciągającej wąsy. Twarzy publicznej, twarzy wartej spotwarzenia. A to już sukces. Stałam się kimś, w każdym razie kimś tam, wbrew wszystkiemu.

Ciekawe, czy Cordelia zobaczy plakat. Ciekawe, czy mnie rozpozna, pomimo wąsów. Może przyjdzie na otwarcie. Stanie w drzwiach, a ja się odwrócę, ubrana na czarno, jak przystoi malarce, opromieniona powodzeniem, trzymając kieliszek umiarkowanie złego wina. Nie uronię ani kropli.

4

Dopóki się nie przenieśliśmy do Toronto, byłam szczęśliwa.

Przedtem właściwie nie mieszkaliśmy nigdzie, czy raczej mieszkaliśmy w tylu miejscach, że nie dało się spamiętać. Mnóstwo czasu spędzaliśmy w samochodzie, w nisko zawieszonym studebakerze przestronnym jak statek, podróżując bocznymi drogami lub dwupasmowymi autostradami na północ, mijając jedno jezioro za drugim, wzgórze za wzgórzem. Białe linie pośrodku szosy, na poboczach słupy telefoniczne, wysokie i niższe, druty to się wznoszą, to opadają, przynajmniej tak to wygląda.

Przycupnęłam na tylnym siedzeniu samochodu wciśnięta pomiędzy walizki, tekturowe pudła z jedzeniem i ubraniem, tapicerka zalatuje benzyną i pralnią chemiczną. Stephen siedzi z przodu przy uchylonym oknie. Pachnie miętówkami. Pod miętą daje się wyczuć jego zwykły zapach, zapach ołówków z cedrowego drewna, wilgotnego piasku. Raz na jakiś czas wymiotuje do papierowej torebki albo na pobocze, jeżeli ojciec zdąży zahamować. Stephen źle znosi jazdę w samochodzie, ja nie, dlatego musi siedzieć z przodu. O ile wiem, to jego jedyna słabość.

W tej pozycji mam dobry widok na uszy rodziny. Uszy ojca wystające spod starego filcowego kapelusza, którym chroni włosy przed gałązkami, żywicą i gąsienicami, są duże i miękkie, o długich płatkach, przypominają uszy gnomów albo cielistych niby-psów z komiksów o Myszce Miki. Matka nosi włosy zaczesane do tyłu i spięte po bokach, więc jej uszom też mogę się przyjrzeć. Wąskie, o delikatnej małżowinie, przywodzą na myśl kruche uszka filiżanki, choć poza tym matka wcale nie jest krucha. Brat ma uszy krągłe niczym suszone morele, podobne do uszu zielonkawych jajogłowych stworów z kosmosu, które rysuje kolorowymi kredkami. Wokół tych krągłych uszu i na karku proste ciemnoblond włosy sterczą gęstymi kosmykami. Stephen broni się przed fryzjerem.

W samochodzie trudno mi szeptać bratu do ucha. On i tak nie może odszepnąć, ponieważ musi patrzeć prosto przed siebie na horyzont albo na białe linie drogi, które ku nam napływają nieustannymi, powolnymi falami.

Na drodze zazwyczaj jest pusto, bo trwa wojna, tylko czasem pokazuje się ciężarówka wyładowana pniami drzew bądź świeżymi dłużycami i sunie w woni trocin. W południe robimy postój, rozkładamy gumowaną płachtę wśród białych pergaminowych nieśmiertelników i fioletowej wierzbówki, jemy lunch, który przygotowała matka – chleb z sardynkami albo z serem, z melasą lub z dżemem, jeśli nie ma nic innego. Mięsa i sera nie wystarcza, są na kartki. Te kartki to bloczek z kolorowymi znaczkami.

Ojciec rozpala małe ognisko, grzeje w menażce wodę na herbatę. Po jedzeniu znikamy w krzakach, jedno po drugim, wetknawszy do kieszeni papier toaletowy. Czasami już tam leżą inne kawałki papieru, rozmiękają pośród paproci i opadłych liści, na ogół jednak nie ma żadnych takich śladów. Kucam, nasłuchując, czy za plecami nie skrada się niedźwiedź, liście astrów drapią mnie po udach. Potem zagrzebuję papier pod patykami, korą i uschłymi paprociami. Ojciec mówi, że to miejsce powinno wyglądać tak, jakby wcale nas tu nie było.

Ojciec idzie w las, niesie siekiere, plecak i spore drewniane pudło na skórzanym pasku. Zadziera głowę, rozgląda się po drzewach, zastanawia. Później pod wybranym drzewem rozkłada brezent, owija wokół pnia. Otwiera pudło, które wypełniają szeregi buteleczek na stojaku. Uderza w pień obuchem siekiery. Drzewo drży, z góry sypią się liście, gałązki i gąsienice, odskakują od szarego filcowego kapelusza, padają na płachtę. Stephen i ja przykucamy, zbieramy gąsienice, niebiesko pręgowane, aksamitne i chłodne niczym psi pysk. Wkładamy do buteleczek z jasnym spirytusem. Patrzemy, jak się wiją, toną.

Ojciec spogląda na zbiór gąsienic, jakby sam je wyhodował. Bada pogryzione liście. – Wspaniała plaga – mówi. Jest wesoły. Jest młodszy niż ja teraz.

Woń spirytusu przywiera mi do palców, chłodna i odległa, dojmująca niby ukłucie stalową szpilką. To woń białych emaliowanych miseczek. Kiedy nocą patrzę w gwiazdy, zimne, białe, ostre, wierzę, że pachną właśnie tak.



Pod koniec dnia znowu się zatrzymujemy, rozstawiamy namiot: ciężkie płótno rozpięte na drewnianych drążkach. Śpiwory są koloru khaki, grube i nieforemne, zawsze lekko wilgotne. Pod śpiwory kładziemy brezent i gumowe materace. Kiedy się nadmuchuje taki materac, człowiekowi kręci

się w głowie, nos i usta wypełnia posmak stęchłych kaloszy, zapasowych kół trzymanyh w garażu. Posilamy się przy ognisku, coraz jaśniejszym, w miarę jak z drzew wyrastają cienie na podobieństwo czarnych gałęzi. Wpełzamy do namiotu, rozbieramy się w śpiworach, latarka rzuca na płótno krążek światła, blade pierścień otaczający pierścień ciemniejszy, niczym tarcza strzelnicza. Namiot zalatuje smołą, kapokiem i papierem pakowym tłustym od sera, i zgniecioną trawą. Rankiem na zielsku perli się rosa.

Czasem nocujemy w motelach, ale tylko wtedy, gdy nie zdążymy znaleźć odpowiedniego miejsca na biwak. Motele zawsze stoją na odludziu, na tle ciemnej ściany lasu, ich światełka migoczą w jednolitym mroku nocy niby światła statków albo oaz. Na zewnątrz dystrybutor paliwa wysokości człowieka, podświetlone krążki na czubku wyglądają jak blade księżycy czy aureole oddzielone od głowy. Na krążku widnieje muszla lub gwiazda, pomarańczowy liść klonu, czerwona róża. Motele i pompy często są puste albo nieczynne: benzyna jest także na kartki, dlatego ludzie za wiele nie podróżują, chyba że muszą.

Nocujemy również w cudzych chatach bądź w państwowych schroniskach, w opuszczonych obozach drwali, niekiedy rozstawiamy dwa namioty, jeden do spania, drugi na zapasy. Zimą pomieszkujemy w miastach i miasteczkach na północy, w Soo, North Bay, Sudbury, w pokojach na najwyższym piętrze domu, więc trzeba uważać i nie stukać butami po drewnianej podłodze. Meble bierzemy z magazynu. Wciąż te same meble, lecz zawsze wyglądają obco.

Na takiej kwaterze mamy klozet ze spłuczką, biały i niepokojący, wszystko tam znika w mgnieniu oka, z przeraźliwym szumem. Przy pierwszych wizytach w mieście nieustannie biegamy z bratem do łazienki, wrzucamy do muszli rozmaite rzeczy, choćby makaron, przyglądamy się: było, nie ma. Odzywają się syreny, zaciągamy wówczas zasłony i gasimy światło, chociaż matka mówi, że wojna nigdy tutaj nie dotrze. Sący się w nasze życie przez radio, odległa i przytłumiona, głos z Londynu zamiera wśród elektrycznych trzasków. Rodzice słuchają zaszepieni, zaciskają usta. Możliwe, że przegrywamy.

Mój brat tak nie uważa. Jesteśmy tą dobrą stroną, mówi, dobra strona musi zwyciężyć. Zbiera karty z pudełek po papierosach, karty z obrazkami samolotów, zna nazwy wszystkich modeli.

Ma młotek i drewno, i własny scyzoryk. Struga, wali młotkiem, robi karabin. Zbija dwa kawałki drewna pod kątem prostym, jeszcze jeden gwóźdź służy za cyngiel. Zgromadził już kilka takich karabinów, też sztylety i miecze, na ostrzach narysował czerwoną kredką krew. Gdzeniegdzie krew jest pomarańczowa, od kiedy czerwona kredka się zużyła. Mój brat śpiewa:

Niesie nas skrzydło i modlitwa,

Niesie nas skrzydło i modlitwa,

Choć jeden silnik zgaś,

Nic nie powstrzyma nas,

Niesie nas skrzydło i modlitwa.

Śpiewa wesoło, lecz moim zdaniem to smutna piosenka, bo chociaż widziałam samoloty na obrazkach, nie wiem, w jaki sposób latają. Pewnie tak samo jak ptaki, myślę, a przecież ptak z jednym skrzydłem nie pofrunie. Tak mawia ojciec w zimie, przed kolacją, przepijając do innych mężczyzn przy

stole: – Nie pofruniesz z jednym skrzydłem. – A zatem modlitwa z piosenki nikomu się na nic nie przyda.

Stephen daje mi karabin i nóż, bawimy się w wojnę. To jego ulubiona zabawa. Podczas gdy rodzice rozbijają namiot, rozpalają ognisko albo gotują, wymykamy się za drzewa i zarośla, nurkując w gęstwinie liści. Ja jestem piechotą, co oznacza, że muszę wypełniać rozkazy brata. Machnięciem ręki posyła mnie w przód, kieruje do tyłu, każe schylić głowę, bo inaczej nieprzyjaciel mi ją odstrzeli.

– Nie żyjesz – mówi.

– Właśnie że nie.

– Właśnie że tak. Trafili cię. Kładź się.

Nie ma co się spierać, ponieważ Stephen widzi nieprzyjaciela, a ja nie. Muszę leżeć na bagnistej ziemi, oparta o pień, żeby się całkiem nie zamoczyła, aż do chwili kiedy znów będę mogła ożyć.

Czasami dla odmiany buszujemy po lesie, zaglądamy pod kłody i kamienie. Siedzą tam mrówki, pędraki i żuki, zaby i ropuchy, zaskrońce, nawet salamandry, jeśli nam się poszczęści. Nie ruszamy ich. Wiemy, że zdechną, jeżeli je włożymy do butelek i przypadkiem zostawimy na słońcu pod tylną szybą samochodu, co już się zdarzało. Dlatego tylko się przyglądamy, obserwujemy, jak mrówki w popłochu ukrywają jajeczka w kształcie pigulek, jak węże wślizgują się w mrok. Później odkładamy kłodę na miejsce, chyba że akurat potrzebujemy przynęty na ryby.

Co jakiś czas się kłócimy. Nie wychodzę z tych kłótni zwycięsko: Stephen jest większy, bardziej bezwzględny, a z nas dwojga to raczej mnie zależy na wspólnych zabawach. Spieramy się po cichu albo gdzieś na uboczu, bo gdyby nas przyłapano, oboje dostalibyśmy burę. Dlatego nie skarżymy na siebie nawzajem. Wiemy z doświadczenia, że nie warto, że satysfakcja ze zdrady ma zbyt wysoką cenę.

Z racji owej tajności kłótnie mają jeszcze jeden urok. Urok zakazanych słów, brzydkich słów, takich jak „dupa”; urok konspiracji, zмовy. Depczemy sobie po nogach, szczypimy się po rękach, pamiętając, żeby nie okazać bólu, jesteśmy lojalni nawet w gniewie.

Jak długo żyliśmy w taki sposób, niczym nomadzi na peryferiach wojny?

Dzisiaj jechaliśmy do późna, w ostatniej chwili rozstawiamy namiot. Postój wypada nieopodal szosy, nad dzikim bezimiennym jeziorem. Nadbrzeżne drzewa odbijają się w wodzie, pożółkłe liście topoli zwiastują jesień. Na niebie rozciąga się długi, chłodny, leniwy zachód słońca różowy jak pióro flaminga, później łososiowy, wreszcie czerwony – niewiarygodna wibrująca czerwień merkurochromu. Różowawe światło pełga po powierzchni, migocze, potem blednie i znika. Nastaje pogodna bezksiężycowa noc wypełniona sterylnymi gwiazdami. Droga Mleczna wyraźna jak na obrazku – znak, że pogoda się popsuje.

Nie zwracamy na nic uwagi, ponieważ Stephen uczy mnie widzieć po ciemku, jak komandosi. Kiedyś może ci się przydać, mówi, nigdy nic nie wiadomo. Nie wolno używać latarki, trzeba zastępować nieruchomo w ciemności, czekać, aż oczy się przyzwyczają. Wówczas z mroku zaczynają się wyłaniać

rozmaite kształty, szarawe, chwiejne, bezcielesne, jak gdyby się materializowały z powietrza. Stephen każe pomału stawiać kroki, balansować na jednej, na drugiej nodze, uważać, żeby nie nadepnąć na jakąś gałązkę. Każe oddychać po cichu.

– Jeśli cię usłyszą, przepadłaś – szepcze.

Kuca tuż obok, na tle jeziora rysuje się jego sylwetka, ciemniejsza plama na wodzie. Spostrzegam błysk oka, później brat znika. To jego stała sztuczka.

Podkrada się do ogniska, wiem, do rodziców migoczących w świetle ognia, niewyraźnych, o rozmazanych twarzach. Zostaję sama z biciem serca, z głośnym oddechem. Lecz Stephen ma rację: teraz widzę po ciemku.

Oto moje obrazy umarłych.

5

Ósme urodziny obchodzę w motelu. Dostałam w prezencie skrzynkowy aparat fotograficzny, prostokątne czarne pudełko z gałką na wierzchu i okrągłym otworem z tyłu, przez który się patrzy.

Pierwsze zdjęcie zrobione tym aparatem przedstawia właśnie mnie. Opieram się o framugę drzwi w motelowym domku. Drzwi są białe, zamknięte, widać metalowy numerek: 9. Mam na sobie spodnie wypchane na kolanach i kurtkę o kusych rękawach. Pod kurtką, chociaż tego nie da się dostrzec, brązowo-żółty pasiasty sweter, niegdyś należący do brata. Wiele rzeczy mam po nim. Na tym prześwietlonym zdjęciu skórę mam kredowobiałą, głowę przechylam w bok, gołe dłonie wiszą bezwładnie. Wyglądam jak dziecko emigrantów ze starych fotografii. Jak gdyby ktoś mi kazał stanąć przed drzwiami i ani drgnąć.

Jaka byłam, czego pragnęłam? Trudno mi sobie przypomnieć. Czy na urodziny chciałam dostać aparat fotograficzny? Wątpię, choć cieszyłam się z prezentu.

Chcę więcej kart z pudełek po płatkach śniadaniowych, szarych kart z obrazkami, które się koloruje, wycina i składa, aż powstanie dom. Chcę także parę przetyczek do fajki. W książce *Hobby na deszczowy dzień* wyczytaliśmy, jak sporządzić telefon z dwóch puszek i sznurka, jak zbudować łódkę, która płynie naprzód, jeśli się wleje kroplę oliwy do dziurki w dnie; jak z miniaturowych pudełek od zapalek zrobić komodę dla lalki, a jak różne zwierzątka – psa, owcę, wielbłąda – z przetyczek do fajki. Łódka ani komoda mnie nie pociągają, jedynie przetyczki. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego.

Chcę więcej srebrnego papieru z paczek po papierosach. Trochę już mam, ale jeszcze za mało. Rodzice nie palą, muszę więc zbierać ten papier, gdzie się da, na obrzeżach stacji benzynowych, w trawie i zielsku nieopodal moteli. Weszło mi w krew takie tropienie z nosem przy ziemi. Ilekroć trafię na nowy kawałek sreberka, oczyszczam je, wygładzam i wtykam pomiędzy kartki szkolnych czytanek. Nie wiem, do czego mi posłużą, kiedy już ich będę miała dość. Na pewno do czegoś wyjątkowego.

Chcę balona. Balony znowu się pojawiają, teraz gdy wojna dobiegła końca. Pewnego zimowego dnia, akurat kiedy chorowałam na świnkę, matka znalazła jeden na dnie kufra. Musiała go tam schować

przed wojną, pewnie przewidziała, że przez dłuższy czas nie będzie balonów. Nadmuchała go. Niebieski, przeświecający, okrągły, przypominał księżyc. Stara sparciała guma niemal od razu pękła, ku mojej rozpaczy. Teraz marzy mi się nowy balon, taki, który nie pęknie.

Chcę mieć przyjaciół, a ściślej biorąc przyjaciółki. Przyjaciółki od serca – dziewczynki. Wiem, że takie istnieją, czytałam w książkach, ale dotąd żadnej sobie nie znalazłam, bo nigdzie nie zagrzałam miejsca na dłużej.



Zaczęły się deszcze, niebo jest pochmurne – niskie ołowiane niebo późnej jesieni. Pada, musimy siedzieć w motelu. Przywykliśmy do takich moteli, do rzędu lichych domków połączonych sznurami lampek choinkowych, żółtych, niebieskich, zielonych. Nazywane są „domkami gospodarczymi”, to znaczy, mają w wyposażeniu kuchenkę, parę garnków i czajnik, i stół nakryty ceratą. Podłogę pokrywa linoleum w spłowiwały wzór z kwiatów. Ręczniki są kuse i cienkie, prześcieradła wytarte pośrodku dotykiem cudzych ciał. Na ścianie wisi rycina przedstawiająca las w zimie, druga z kluczem kaczek w locie. W niektórych motelach trzeba chodzić do ustępu na zewnątrz, tu jednak mamy prawdziwy, choć cuchnący klozet i wannę.

Mieszkamy tutaj od tygodni, rzecz niezwykła: nigdy się nie zatrzymywaliśmy w motelu dłużej niż na jedną noc. Żywimy się grochówką z puszki podgrzewaną w pogiętym garnku na dwupalnikowej kuchence, pajdami chleba z melasą, grubo pokrojonym serem. Teraz, po wojnie, sera jest więcej. W domu nie zdejmujemy kurtek, sypiamy w skarpetkach, ponieważ te pudełka o jednowarstwowych ścianach w zasadzie służą turystom tylko w lecie. Tak zwana gorąca woda jest najwyżej lekko ciepła, matka dolewa nam do kąpieli wrzątku z czajnika.

– Żebyście chociaż zeskrobali z siebie najgorszy brud – mawia.

Rano jemy śniadanie okutani w koce. Czasem nawet w mieszkaniu widać, jak parują nasze oddechy. Wszystko to odbiega od normy, stwarza atmosferę święta. Nie tylko dlatego, że nie chodzimy do szkoły. I tak nigdy nie chodziliśmy dłużej niż trzy, cztery miesiące z rzędu. Ostatni raz byłam w szkole osiem miesięcy temu, słabo ją pamiętam.

Przed południem się uczymy. Matka pokazuje, które strony z podręcznika musimy przerobić. Potem kolej na czytanki. Moje opowiadają o dwojgu dzieciach mieszkających w białym domu z koronkowymi firankami, z trawnikiem i parkanem. Ojciec chodzi do pracy, matka nosi sukienkę i fartuch, dzieci grają w piłkę na trawniku, bawią się z psem i kotem. Nic z tych historii nie przypomina mojego życia. Nie ma tam słowa o namiotach, o autostradach, o siusianiu w krzakach, o jeziorach, o motelach. Ani słowa o wojnie. Dzieci zawsze są czyste, dziewczynka – imieniem Jane – ubiera się w śliczne sukienki i lakierowane pantofelki zapinane na pasek.

Czytanki fascynują mnie swoją egzotyką. Kiedy coś ze Stephenem rysujemy, on rysuje wojny, zwykle wojny i wojny kosmiczne. Z kredek czerwonych, żółtych i pomarańczowych zostały mu same ogryzki, to z powodu eksplozji, złotą i srebrną także zużył na lśniące metalowe pancerze czołgów i raket, na hełmy i skomplikowaną broń. Ja natomiast rysuję dziewczynki. W staroświeckich strojach – długich spódnicach, fartuszkach, w sukienkach z bufiastymi rękawami albo w takich jak sukienka Jane – z ogromnymi kokardami we włosach. Oto jaki sobie stworzyłam wytworny, subtelny obraz innych

dziewczynek. Nie zastanawiam się, o czym mogłybyśmy rozmawiać, gdybym rzeczywiście którąś spotkała. Tak daleko jeszcze się nie posunęłam.

Wieczorem mamy zmywać naczynia – „potoknąć”, mówi matka. Spieramy się szeptem i półsłówkami, czyja dzisiaj kolej. Wycieranie lepką ścierką jest znacznie mniej przyjemne niż samo mycie – mycie rozgrzewa ręce. Talerze i szklanki pływają w miednicy, bombardujemy je łyżkami i nożami, szepcząc: – Bomby zrzucić! Poszły! – Staramy się celować jak najbliżej, ale tak, żeby nie trafić. To nie nasze naczynia. Matka się denerwuje. Jeżeli mocno się zdenerwuje, sama bierze się do zmywania, chce nas nauczyć rozumu.



Nocą śpimy na nierównym rozkładanym łóżku, na waleta – podobno tym sposobem szybciej zaśniemy – po cichutku kopujemy się pod kołdrę lub też sprawdzamy, jak daleko uda się drugiemu wsunąć stopę w skarpetce do nogawki piżamy. Od czasu do czasu w oknie błyskają reflektory przypadkowego samochodu, suną po jednej ścianie, po drugiej, wreszcie nikną. Słychać warkot silnika, po chwili szum opon na mokrej szosie. Później zapada cisza.

6

Nie wiem, kto zrobił to zdjęcie. Pewnie mój brat, bo matka jest w domku, za białymi drzwiami, ubrana w szare spodnie i granatową kraciastą koszulę, pakuje prowiant do tekturowych pudeł, ubrania do walizek. Ma własny system pakowania, mówi do siebie, przypomina sobie o różnych szczegółach. Nie lubi, kiedy jej się wtedy płączemy pod nogami.

W chwilę po zrobieniu zdjęcia zaczyna prószyć śnieg, drobne suche płatki sypią pojedynczo z surowego listopadowego nieba północy. Przed tym pierwszym śniegiem w powietrzu wyczuwa się dziwny bezruch, ospałość, światło blednie, ostatnie klonowe liście wiszą na gałęziach niby wodorosty. Przedtem byliśmy senni. Teraz podskakujemy z radości.

Ganiamy się w kółko, biegamy w zdartych letnich butach, nagie ręce wyciągamy ku padającym płatkom, otwieramy buzię, jemy śnieg. Gdyby leżał na ziemi grubszą warstwą, tarzalibyśmy się w nim jak psy w błocie. Tak samo by nas to cieszyło. Lecz matka wygląda przez okno, widzi nas, śnieg, każe wracać do domu, wytrzeć nogi do sucha. Nie mamy odpowiednich butów na zimę, ze wszystkich już wyrosliśmy. Tymczasem zadymka przechodzi w śnieg z deszczem.

Ojciec spaceruje w tę i z powrotem, pobrzękuje kluczami w kieszeni. Zawsze chciałby wszystko przyspieszyć, teraz też chce już jechać. Prrr, mówi matka, wolnego. Idziemy na dwór, pomagamy ojcu zdrapać szron z szyb samochodu, nosimy pudła i w końcu sami wsiadamy, ruszamy na południe. Poznaje kierunek po bladym słońcu, teraz wyjrzało zza chmur, rozświetla zmrożone drzewa, błyska na taflach lodu po bokach drogi, oślepia.

Jedziemy do nowego domu, wyjaśniają rodzice. Tym razem naprawdę własnego, już nie

wynajętego. W mieście, które się nazywa Toronto. Nic mi ta nazwa nie mówi. Myślę o domu z czytanki, o białym domu z parkanem i trawnikiem, z firankami w oknach. Chciałabym już obejrzeć swój pokój.

Na miejsce docieramy późnym popołudniem. Z początku wydaje mi się, że to jakaś pomyłka, ale nie, to naprawdę tutaj, ponieważ ojciec już przekręca klucz, otwiera drzwi. Dom właściwie nie stoi przy ulicy, raczej w polu. Kwadratowy bungalow z żółtej cegły otoczony morzem błota. Z jednej strony głęboki wykop, wokół dziury piętrzą się zwały ziemi. Droga przed domem jest rozmięta, niebrukowana, wyboista. W błocie leżą bloki betonu, jedynie po nich można się dostać na próg.

Wnętrze jeszcze bardziej zniechęca. Owszem, są drzwi i okna, są ściany, działa ogrzewanie. W bawialni okno jest panoramiczne, tyle że z widokiem na błotniste doły. W toalecie da się spuścić wodę, ale środek muszli plami żółtobrunatna obwódka, pływa tam również kilka niedopałków. Kiedy odkręcam kran z gorącą wodą, tryska letnia czerwonawa struga. Na podłodze nie ma ani klepki, ani nawet linoleum. Składa się z desek, szerokich i pełnych zadziorów, ze szparami, desek szarych od cementowego pyłu i usianych białymi plamkami przypominającymi ptasie odchody. Tylko w paru pokojach oświetlenie jest skończone, gdzie indziej z sufitu wiszą gołe druty. W kuchni nie ma żadnych szafek, sam zlew, brakuje kuchenki. Nic niepomalowane. Wszędzie zalega kurz: na oknach, parapetach, armaturze, podłodze. Dokoła mnóstwo zdechłych much.

– Musimy porządnie się przyłożyć – mówi matka, co oznacza, że nie wolno narzekać. Musimy dać z siebie wszystko, mówi. Musimy sami wykończyć dom, bo człowiek, któremu to zlecili, zbankrutował. Poszedł na zieloną trawkę, jak to określa. Ojcu daleko do takiego optymizmu. Przechadza się po domu, tu zajrzy, tam popuka, mruczy pod nosem, cicho poświstuje.

– Sukinkot, sukinkot – powtarza.

Z czeluści samochodu matka wygrzebuje prymus, stawia w kuchni na podłodze, bo stołu jeszcze nie ma. Podgrzewa grochówkę. Mój brat wychodzi. Wiem, że wspina się na hałdę ziemi bądź bada możliwości, które kryje wykop. Mnie jednak wcale nie ciągnie na dwór.

Idę do łazienki, myję ręce w rudawej wodzie. Umywalka jest pęknięta, co w tej chwili zakrawa na katastrofę, coś znacznie gorszego aniżeli wszelkie inne usterki i braki. Przeglądam się w zakurzonej lustrze. Lampa nie ma klosza, wprost nad głową wisi goła żarówka, moja twarz wygląda blado i niezdrowo, pod oczami rysują się kręgi. Ocieram oczy, nikt nie powinien zobaczyć łez. Pomimo całej pustki w domu jest za gorąco, może dlatego że dotąd nie zdjęłam kurtki. Czuję się jak osaczona. Chciałabym się znaleźć z powrotem w motelu, w drodze, wrócić do dawnego życia, życia bez korzeni, zmiennego i bezpiecznego.

Pierwsze noce przesypiamy w śpiworach, na nadmuchiwanych materacach. Później zjawiają się łóżka polowe z demobilu: płótno na metalowej ramie węższej u podstawy. Obracając się we śnie na drugi bok, człowiek spada na podłogę, a zaraz potem przygniata go wywrócone łóżko. Noc w noc budzę się na szorstkich zakurzonych deskach, nie wiem, gdzie jestem. Brat się ze mnie nie śmieje, nie ucisza mnie, bo śpię w pokoju całkiem sama. Z początku osobny pokój mnie ucieszył – pusta przestrzeń, którą urządzię wedle własnego gustu, nie przejmując się Stephenem, jego rozrzuconymi ubraniami, jego drewnianym arsenałem – lecz teraz doskwiera mi samotność. Przedtem w nocy zawsze ktoś przy mnie był.

Codziennie, kiedy jesteśmy w szkole, w domu przybywa coraz to nowych sprzętów: kuchenka, lodówka, stół do gry w karty, cztery krzesła – możemy więc jeść normalnie, siedząc przy stole, a nie po turecku na brezencie przed kominkiem. Kominek działa, to jedno rzeczywiście zrobiono do końca. Palimy w nim resztkami drewna z budowy.

W wolnych chwilach ojciec bierze się do roboty, wykańcza wnętrze. Kładzie podłogi: w bawialni wąskie jesionowe deski, w sypialniach płytki z terakoty, rząd za rzędem. Dom istotnie zaczyna przypominać dom. Trwa to jednak znacznie dłużej, niżbym sobie życzyła: od parkanów i białych firanek wciąż nas dzieli szmat drogi, tu w tej lagunie powojennego błota.

7

Przywykliśmy do widoku naszego ojca w wiatrówkach, w znoszonych filcowych kapeluszach, flanelowych koszulach z ciasno zapiętymi mankietami, żeby czarne gryzące muszki nie wleciały do rękawa, w grubych spodniach wpuszczonych w wełniane skarpety. Jeśli pominąć filcowy kapelusz, matka ubierała się niemal tak samo.

Teraz natomiast ojciec nosi marynarkę, krawat i białą koszulę, tweedowy płaszcz i szalik. Zamiast skórzanych butów z cholewami impregnowanych tłuszczem z boczku nosi kalosze, które nakłada na pantofle. Nogi matki wyrzały na światło dzienne, nogi obciążone nylonami ze szwem z tyłu. Kiedy matka się gdzieś wybiera, maluje usta. Ma palto z szarym futrzanym kołnierzem oraz kapelusz z piórkiem, który sprawia, że jej nos dziwnie się wydłuża.

– Istna Baba Jaga – wzdycha matka, ilekroć włoży ten kapelusz i spojrzy w lustro.

Ojciec zmienił pracę, to wszystko wyjaśnia. Już nie krąży w terenie, nie jest badaczem leśnych owadów, tylko wykładowcą na uniwersytecie. Szeregi cuchnących słoików i buteleczek, niegdyś wszechobecnych, nieco się przeredziły. W zamian calutki dom zalegają kolorowe rysunki, dzieła studentów. Wszystkie przedstawiają owady. Koniki polne, strzygonie choinówki, barczatki sosnówki, korniki, każdy okaz wielkości całej kartki, starannie oznaczony: szczęki, macki, czułki, tułów, odwłok. Niektóre prace ukazują owada w przekroju, czyli rozciętego, żeby się dało zobaczyć, co ma w środku: kanaliki, odgałęzienia, rozmaite cebulki i delikatne włókna. Ten rodzaj rysunków najbardziej mi się podoba.

Wieczorami ojciec siada w fotelu, na poręczach kładzie deskę, na niej rysunki, po czym sprawdza je z czerwonym ołówkiem w rękę. Czasami śmieje się pod nosem, potrząsa głową, cmoka. – Idiota – mówi. Albo: – Co za matoł. – Stoję za fotelem, przyglądam się. Ojciec pokazuje, że ktoś umieścił otwór gębowy nie na tym końcu, co trzeba, ktoś tam zapomniał o sercu, ktoś inny nie odróżnia samca od samicy. Ja nie tak oceniam rysunki: osądzam je w zależności od kolorów.

Co sobota wskakujemy do samochodu, jedziemy razem z ojcem do pracy – do Gmachu Zoologii, choć my go tak nie nazywamy. Mówimy po prostu „gmach”.

Jest gigantyczny, na dodatek prawie pusty, jak to w sobotę, więc wydaje się jeszcze większy. Zbudowany ze zwietrzałej ciemnobrązowej cegły, sprawia wrażenie zamku z wieżyczkami, chociaż nie ma żadnych wieżyczek. Mury porasta bluszcz, teraz w zimie oplata je nagim szkieletem pędów. Wewnątrz biegną długie korytarze z jesionową podłogą, poplamioną i wytartą zimowymi butami kolejnych pokoleń studentów, wciąż starannie pastowaną. Są tam skrzypiące schody, również drewniane, i poręcze, po których nie wolno nam zjeżdżać, są żelazne huczące kaloryfery raz zimne, jak lód, raz gorące.

Na pierwszym piętrze korytarze się rozgałęziają, ciągną się półki zastawione słojami pełnymi martwych jaszczurek i wolicz oczu w formalinie. W jednej sali stoją szklane terraria z węzami – pierwszy raz oglądamy takie ogromne okazy. Na przykład oswojony boa dusiciel. Jego opiekun wyjmuje go czasami z klatki i owija sobie wokół ramienia, pokazuje, w jaki sposób boa miażdży zdobycz na śmierć, zanim ją pożre. Możemy pogłaskać węza. Skórę ma suchą i chłodną. W innych terrariach leżą grzechotniki. Opiekun pokazuje, jak się ściąga jad z kłów. Wkłada wtedy skórzaną rękawicę. Kły są zakrzywione i wklęsłe, kropelki jadu żółte.

W tej samej sali znajduje się betonowy basen z mętną zielonkawą wodą, mieszkają tam wielkie żółwie. Siedzą i mrugają ślepkami lub niezdarnie włożą na kamienie, sycząc, jeżeli zbyt blisko się zbliżymy. Ciepłej tu i bardziej parno niż w innych pomieszczeniach, ponieważ tak lubią węże i żółwie, zalatuje piżmem. W kolejnej sali stoi klatka z gigantycznymi afrykańskimi karaluchami, białymi i tak jadowitymi, że ilekroć opiekun chce je nakarmić albo któregoś wyciągnąć, musi usypiać je gazem.

Piwnicę zapełniają rzędy klatek z białymi szczurami i czarnymi myszami, specjalnego gatunku, nie tymi dzikimi. Jedzą drobinki karmy z dozowników, piją z butelek zaopatrzonej w zakraplacz. W gniazdach z pogryzionych na kawałki gazet kulą się mysie dzieci, różowe i bezwłose. Zwierzęta przemykają sobie nawzajem po grzbietach i pod brzuchami, śpią zbite w kupkę, obwąchują się ruchliwymi nosami. Karmiciel mówi, że jeśli się wsadzi do klatki obcą mysz, mysz o niewłaściwym, innym zapachu, pozostałe zagryzą ją na śmierć.

Piwnica cuchnie mysimi odchodami, ta woń unosi się w górę, przenika cały gmach; im wyżej, tym staje się słabsza, miesza z wonią zielonego czyszcika do szorowania podłóg, z zapachem pasty do klepki, wosku do mebli, formaliny, węży.

Nie brzydzimy się tutaj niczego. Wiemy, czego można się tu spodziewać, zaskakują nas jedynie szczegóły. Nigdy dotąd nie widzieliśmy tylu myszy naraz, te nieprzebrane masy, ten odór budzą nasz nabożny podziw. Chętnie byśmy wyjęli żółwie z basenu, trochę się z nimi pobawili, ale to żółwie jaszczurkowate, złośliwe zwierzaki, mogą odgryźć człowiekowi palec, więc nawet nie próbujemy. Mój brat miałby ochotę na wole oko ze słoja. Takie rzeczy robią wrażenie na kolegach.

Niektóre sale na piętrze to pracownie. Wysoko sklepione, z tablicami na całej jednej ścianie, z rzędami okazałych ciemnych ławek czy raczej biurka, z wysokimi stołkami. Na każdej ławce stoją dwie lampy z zielonym szklanym abażurem i dwa mikroskopy, stare o wysmukłym tubusie, ciężkie, wykończone mosiądzem.

Mieliśmy już do czynienia z mikroskopami, ale nigdy tak długo. Spędzamy w pracowni mnóstwo czasu i wcale nam się nie nudzi. Niekiedy dostajemy do obejrzenia jakiś preparat: skrzydło motyla, przekrojonego robaka, wirka nasączonego różowym i fioletowym barwnikiem do oznaczania różnych części. Kiedy indziej wkładamy pod soczewki palec, oglądamy paznokcie, jasne półkola niczym pagórki na tle ciemnoróżowego nieba, skórę ziarnistą i pomarszczoną jak skraj pustyni. Albo też badamy wyrwany włos, twardy i lśniący niby szczecina na chitynowym pancerzu owada. Korzonek przypomina miniaturą cebulę.

Uwielbiamy strupy. Zdzieramy je – pod mikroskopem nie zmieści się cała ręka ani noga – po czym nastawiamy powiększenie do oporu. Strup wygląda jak kamień, chropowaty, z połyskiem krzemionki, czasami jak grzyb. Jeżeli to świeży strup z palca, oglądamy miejsce, skąd cieknie krew, jasnoczerwona okrągła kropelka podobna do jagody. Później krew zlizujemy. Przypatrujemy się woskowiźnie, gilom z nosa, brudowi spomiędzy palców u nóg, najpierw sprawdzimy, czy ktoś się nie

kręci w pobliżu. Z całą pewnością by nas nie pochwalił. Nasza ciekawość rzekomo powinna mieć granice, chociaż na razie nikt ich nie sprecyzował.

Tak spędzamy sobotnie ranki, podczas gdy ojciec załatwia sprawy w biurze, a matka robi zakupy. Dzięki temu, jak sama mówi, nie zawracamy jej głowy.

Gmach wychodzi na University Avenue, na trawniki i pozieleniałe pomniki mężczyzn na koniach. Dokładnie naprzeciwko wznosi się budynek Parlamentu Ontario, równie stary i zaniedbany. To pewnie kopia naszego gmachu, myślę, też kryje długie korytarze o trzeszczącej podłodze, półki z jaszczurkami i wolimi oczami.

Właśnie z gmachu po raz pierwszy przyglądamy się Paradzie Świętego Mikołaja. Nie widzieliśmy dotąd żadnej parady. Można posłuchać relacji na żywo w radiu, lecz jeśli się chce zobaczyć to na własne oczy, trzeba się opatulić po uszy, a potem tkwić na chodniku, przytupując i zacierając ręce, żeby się rozgrzać. Niektórzy wspinają się na pomniki, z których lepiej widać. My nie musimy: siedzimy na parapecie w jednej z największych pracowni, zakurzona szyba chroni przed chłodem, w nogi bije żar z kaloryfera.

Patrzymy, jak w dole maszerują ludzie przebrani za śnieżynki, za elfy, za króliki, za cukierkowe wróżki, są dziwnie skróceni z tej perspektywy. Kroczą orkiestry kobziarzy w szkockich spódniczkach, sunie coś na kształt wielkich ciastek na kołach, pasażerowie machają rękami. Zaczęło mżyć. Wszyscy wyglądają na zziębniętych.

Święty Mikołaj pojawia się na samym końcu, mniejszy, niż się spodziewaliśmy. Brudne szyby tłumią jego głos i brzęk dzwoneczków dolatujący z głośnika. Kołysze się w tył i w przód za mechanicznym reniferem, wydaje się przemoknięty do nitki, posyła całusy w tłum.

To nieprawdziwy Święty Mikołaj, wiem, ktoś się tylko za niego przebrał. Niemniej moje wyobrażenie o Świętym Mikołaju uległo zmianie, nabrało nowego wymiaru. Od tej pory mimowolnie się łączy z węzami, żółwiami i zakonserwowanymi oczami, z jaszczurkami pływającymi w żółtych słojach, z wszechobecnym, pikantnym, starodawnym i smętnym, a zarazem kojącym zapachem wiekowego drewna, pasty do mebli, formaliny, niewidocznych myszy.

III

IMPERIALNE REFORMY

8

Są dni, kiedy z trudem wstaję z łóżka. Mówię z wysiłkiem. Odmierzam kroki – pierwszy, drugi, dziesiąty – aż do łazienki. Każdy krok to wybitne osiągnięcie. W skupieniu zdejmuję nakrętkę tuby z pastą, podnoszę szczoteczkę do ust. Nawet ten ruch przychodzi mi z trudem. Czuję, że jestem nic niewarta, że cokolwiek bym zrobiła nie ma żadnej wartości, a już najmniej dla mnie samej.

Co masz na swoje usprawiedliwienie? – pytała Cordelia. Nic, odpowiadałam. Z czasem to słowo zlało się z moją osobą, jakby sama była nicością, jakby w tym miejscu nie było zupełnie niczego.



Zeszłej nocy nicość się przybliżyła. Nie zanadto, lecz już się zaczęło, jak trzepot skrzydła, chłodniejszy powiew wiatru, pierwsze lekkie szarpnięcie cofającej się fali. Chciałam porozmawiać z Benem. Zadzwoiłam, ale go nie zastałam, odpowiedział automat. Usłyszałam własny głos, pogodny i opanowany. „Cześć. Nie możemy w tej chwili podejść do telefonu. Zostaw wiadomość, oddzwonimy najszybciej jak będziemy mogli”. Później sygnał.

Bezciesny głos, głos anioła szybujący w powietrzu. Gdybym w tej sekundzie umarła, mówiłby dalej, łagodny i uczynny, niczym elektroniczne życie po życiu. O mało się nie rozplakałam.

– Ściskam mocno – rzuciłam w próżnię. Zamknęłam oczy, pomyślałam o górach na wybrzeżu. To twój dom, mówiłam sobie. Tam naprawdę żyjesz. W teatralnej scenerii, nazbyt pięknej, niby tekturowe dekoracje do filmu. Nie jest realna, nie jest monotonna ani nudna, nie jest odstręczająca. Chociaż i owszem, właśnie nad tym pracują. Wystarczy się przejść tu i ówdzie, oderwać od pięknego widoku z okna, a już sterczą kikuty drzew.

Vancouver niczym samobójcza stolica kraju. Jedzie się na zachód, do samego końca. Dociera do krawędzi. A potem spada.



Wypełzam spod pledu. Teoretycznie jestem osobą zajęta. Mam tyle rzeczy do zrobienia, lecz ani jednej, którą bym chciała robić. Szperam w lodówce, wyławiam jajko, gotuję, wkładam do filizanki,

rozgniatała na papkę. Nawet nie patrzę na ziołowe herbatki, od razu rzucam się na prawdziwą morderczą kawę. Kubek trzęsionki. Pociuszające, już niebawem będę pobudzona do granic.

Spaceruję wśród odrąbanych rąk i wydrążonych stóp, popijam czerń. Podoba mi się ta pracownia, mogłabym tutaj malować. Akurat właściwe proporcje prowizorki i niechlujstwa. Rozpad dodaje otuchy: przynajmniej ja jestem w lepszym stanie.

Dziś wieszamy. Niefortunne określenie.



Wślizguję się w ubranie, ręce i nogi poruszają się tak, jakby należały do kogoś innego, kogoś nie za dużej postury, w nie najlepszej formie. Dzisiaj znowu błękitny dres, mało co wzięłam na zmianę. Nie lubię nadawać rzeczy na bagaż, wolę wszystko wepchnąć pod fotel w samolocie. Gdzieś w mojej głowie kołacze się myśl, że w razie czego, jeśli tam wysoko coś pójdzie nie tak, chwycę torbę i wyskoczę przez okno, z wdziękiem i z całym dobytkiem.

Wynurzam się na światło dnia, prędko maszeruję ulicą, z rozchylonymi ustami, w myśli wybijając takt. „Weselcie się z Wesołą Gromadką”. Niegdyś uprawiałam jogging, ale bieganie źle wpływa na kolana. Od nadmiaru beta-karotenu skóra robi się pomarańczowa, od nadmiaru wapnia dostaje się kamieni nerkowych. Zdrowie zabija.

Zniknęła dawna pustka Toronto. Teraz nie ma gdzie wetknąć szpilki: miasto puchnie, aż się zadławi na śmierć, to jasne. Ruch na ulicach przyprawia o zawrót głowy. Wszędzie tłok, wycie klaksonów, samochody wjeżdżają na środek skrzyżowania i już tam zostają, gdy światło się zmienia. Szczęście, że idę piechotą. Tu wśród magazynów każdy budynek nieomal woła ludzkim głosem: Do renowacji! Do renowacji! Kiedy w gazecie, w dziale „Nieruchomości”, po raz pierwszy zobaczyłam skrót „Reno”, myślałam, że chodzi o stolicę hazardu. Nie nadążam za językiem.

Docieram na róg King i Spadina, wędruję na północ. Tutaj kupowało się niegdyś hurtem ubrania, nadal tak jest. Jednakże dawne żydowskie delikatesy stopniowo ustępują pola chińskim emporiom, wiklinowym meblom, ażurowym haftowanym obrusom, bambusowym dzwoneczkom. Niektóre ulice mają teraz po dwie nazwy, tę drugą po chińsku – wielokulturowość w natarciu – gdzie indziej pod nazwą widnieje: „Modaland”. Wszędzie „landy”. Kiedyś nikt o czymś takim nie słyszał.

Potrzebuję nowej sukienki na otwarcie. Naturalnie, jakąś przywiozłam. Już ją uprasowałam podróżnym żelazkiem na ręczniku, co nieco uprzętnawszy warsztat Jona. Jest czarna, ponieważ czerń najlepiej pasuje na takie okazje. Prosta, skromna czarna sukienka, taka jakie noszą wiolonczelistki z orkiestry symfonicznej. Kiedy chodzi o garderobę, nie należy przyćmiewać klientek.

Teraz jednak myśl o sukience mnie przygnębia. Na czarnym znać każdy paproch, a zapomniałam zabrać szrotkę do ubrań. Pamiętam reklamy plastra z lat czterdziestych: owiń dłoń jak mumię plastrem wywróconym na lewą stronę, oczyść tkaninę. Już się widzę w galerii pośród jedynek i niepowtarzalnych butikowych fatalaszków, prawdziwych pereł, odzianą we wdowią czerń z białymi kłaczkami, tam gdzie plaster nie sięgnął. Są przecież inne kolory, chociażby różowy. Różowy podobno rozbraja wrogów, osłabia i zmiękcza, pewnie dlatego to kolor stosowny dla małych dziewczynek. Aż dziw, że jeszcze się nie przyjął w wojsku. Bładoróżowe hełmy, rozety, cały batalion na przyczółek

i naprzód marsz, na różowo. Pora, żebym i ja coś zmieniała, akurat teraz nie zaszkodziłoby trochę różu.

Krążę pomiędzy wystawami tańszych sklepów. Każda przypomina świątynię, jarzy się światłem, na pierwszym planie bogini, z dłonią wspartą na biodrze lub wysuniętą nogą, z twarzą beżową i nieprzystępną. Wróciły suknie balowe, kokardy i hiszpańskie falbanki, góry bez ramiączek i krynoliny, bufiaste rękawy niczym ciastka-pianki. Plus minispódniczki, jak zwykle koszmarne, nie do przyjęcia. Ostatnim razem też ich nie lubiłam: za dużo majtek. Falbanki również nie wchodzi w grę, wyglądałabym jak główka kapusty, podobnie sukienki bez ramiączek – nie przy tych wystających obojczykach, tych sterczących łokciach niby kurze łapy. Potrzebuję czegoś bardziej pionowego, może z niewielkim drapowaniem.

Przyciąga mnie napis WYPRZEDAŻ. Sklep nazywa się Butik Szyk, choć z prawdziwym butikiem ma niewiele wspólnego. Oferuje smętne resztki kolekcji, umiarkowane ceny. Wewnątrz jest tłok, tym lepiej. Sprzedawczynie mnie onieśmiewają, nie lubię, kiedy się mnie przyłapie na zakupach. Chyłkiem przeglądam rzeczy z wyprzedaży, omijam cekiny, róże z angory, złotą nitkę, przybrudzoną białą skórę, szukam dalej. Pragnę odmiany, a to już nie takie proste. Łatwiej się zamaskować w młodości.

Zabieram do przymierzalni trzy sukienki: łososiową w białe kropki wielkości jednodolarówki, indygo z satynowymi wstawkami i czarną – na wszelki wypadek, jako ostatnią deskę ratunku. Marzy mi się łososiowa, ale czy wygram z kropkami? Zapinam suwak, haftki, obracam się we wszystkie strony przed lustrem – oczywiście, lustrem źle oświetlonym. Gdybym prowadziła taki sklep, kazałabym pomalować kabiny na różowo i nie żałowała pieniędzy na lustra. To, co kobieta pragnie zobaczyć, to na pewno nie siebie samą, w każdym razie nie w najgorszym świetle.

Wykręcam szyję, próbuję się obejrzeć od tyłu. Może z innymi butami, z innymi kolczykami? Dyndający kartonik z ceną celuje prosto w pupę. Oto i kropki rozsiane po szerokich rozłogach. Zdumiewające, o ile większy człowiek się wydaje z tyłu. Chyba dlatego, że mniej nierówności terenu odwraca uwagę od rozległej monotonii pagórków i równiny.

Obracając się, zauważam swoją torebkę, leży na podłodze. Po tylu latach powinnam się czegoś nauczyć. Torebka jest otwarta. Ściana kabiny nie sięga do samej podłogi, przez szparę właśnie bezszelestnie wycofuje się ręka, ściska mój portfel. Na paznokciach lakier koloru wścieklej zieleni.

Z całej siły przydeptuję nadgarstek bosą stopą. Słysząc pisk, potem donośny zbiorowy chichot: młodość na pełnych obrotach, uczennice na polowaniu. Portfel leci na podłogę, ręka cofa się jak macka.

Jednym szarpnięciem otwieram drzwi. Niech cię diabli, Cordelio! – myślę.

Lecz Cordelia dawno zniknęła.

Nasza szkoła znajduje się spory kawałek od domu, za cmentarzem, po drugiej stronie wąwozu, na końcu szerokiej krętej ulicy z rzędami starych domów. To szkoła państwowa imienia Królowej Marii. Rankiem maszerujemy w nowych śniegowcach po zamrzniętym błocie, niosąc lunch w papierowej torebce. Idziemy przez resztki sadu do najbliższej brukowanej drogi, gdzie czekamy, póki na wzgórze

nie wjedzie szkolny autobus, podskakując na wybojach. Mam na sobie nowy zimowy kombinezon, spódnicę owinęłam wokół nóg i upchnęłam w szerokich nogawkach, które przy każdym kroku ocierają się ze świstem. W szkole nie wolno nosić spodni, tylko spódnice. Nie jestem do tego przyzwyczajona, podobnie jak do siedzenia bez ruchu w ławce.

Lunch jemy w chłodnej, słabo oświetlonej suterenie, pod baczynym okiem nauczycieli siedzimy rzędem na długich, pokierszowanych drewnianych ławach, nad głową wiszą girlandy rur. Większość dzieci wraca na lunch do domu, muszą zostać jedynie te dojeżdżające szkolnym autobusem. Dostajemy mleko w małych butelkach ze słomką w tekturowym kapslu. Po raz pierwszy piję przez słomkę: zdumiewające urządzenie.

Budynek jest stary, wysoki, z cegły koloru wątroby, z wyniosłymi sufitami i długimi złowieszczymi korytarzami o drewnianej podłodze, z kaloryferami, które albo grzeją na cały regulator, albo wcale, toteż na zmianę dygoczymy z zimna bądź jest nam za gorąco. Okna są wysokie i wąskie, o wielu szybkach, przystrojone wycinankami z kartonu, teraz zimną są to płatki śniegu. Szkoła ma wejście od frontu, ale dzieci nigdy z niego nie korzystają. Na tyłach znajduje się dwoje imponujących drzwi okolonych płaskorzeźbami i zwieńczonych ozdobnymi tabliczkami. Na nich uroczyste, pełne zakrętasów napisy: DZIEWCZĘTA i CHŁOPCY. Kiedy nauczycielka na dziedzińcu potrząśnie mosiężnym ręcznym dzwonkiem, musimy się ustawić klasami w pary, dziewczynki w jednym szeregu, chłopcy w drugim, a potem ruszyć w kierunku odpowiednich drzwi. Dziewczynki trzymają się za ręce, chłopcy nie. Jeżeli się wejdzie niewłaściwymi drzwiami, dostaje się baty, przynajmniej tak wszyscy mówią.

Te osobne drzwi nie dają mi spokoju. Na czym polega różnica? Co takiego się kryje za drzwiami dla chłopców, po zobaczeniu czego zasługuje się na baty? Schody wewnątrz to nic specjalnego, twierdzi mój brat, całkiem zwyczajne schody. Chłopcy nie uczą się w oddzielnej klasie. Wchodzą tymi swoimi drzwiami i na koniec lądują tam gdzie my. Mają osobną łazienkę, to zrozumiałe, ponieważ inaczej robią siusiu, osobne boisko też mnie nie dziwi, bo ciągle się kopią i szturchają. Ale osobne drzwi? Zawiała sprawa. Chciałabym chociaż rzucić okiem.

Szkolny dziedziniec jest także podzielony. Od frontu, przed wejściem dla nauczycieli, jest pole wysypane żużlem, to właśnie boisko chłopców. Z boku, po przeciwnej stronie niż ulica, wznosi się pagórek, na którego szczyt wiodą drewniane schody, po zboczach biegną rowy wypłukane przez wodę, na wierzchołku rośnie parę karłowatych iglaków. Ten teren wedle zwyczaju należy do dziewcząt, starsze stoją tu w grupkach po trzy, po cztery, pochylają głowy, szepczą. Niekiedy chłopcy szturmują pagórek, wpadają tam, wrzeszcząc i wymachując rękami. Betonowy plac przed wejściem dla uczniów to terytorium wspólne, gdyż chłopcy muszą tędy przejść w drodze do swoich drzwi.

Brata widuję w szkole jedynie wtedy, gdy ustawiamy się w pary. W domu zrobiliśmy telefon z dwóch puszek i sznurka. Łączy nasze pokoje i nie działa najlepiej. Wsuwamy karteczki pod drzwi, wiadomości pisane tajnym kodem kosmitów, w którym roi się od iksów oraz zetów i który trzeba rozszyfrowywać. Trącamy się i kopiemy pod stołem, zachowując kamienne twarze. Czasami związujemy sznurowadła i tak posyłamy sobie sygnały. To teraz nasz główny sposób porozumiewania się, te chrapliwe słowa pobrmiewające w puszkach, zdania bez samogłosek, Morse stóp.

Kiedy jednak rano wyjdziemy za próg, tracę brata z oczu. Biegnie przodem, rzuca śnieżkami. W autobusie siedzi z tyłu, w hałaśliwej grupie starszych chłopców. Po lekcjach, stoczywszy obowiązkowe walki czekające każdego „nowego” w szkole, wraz z kolegami wydaje wojnę chłopcom ze szkoły katolickiej leżącej po sąsiedzku. To szkoła pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy – Matki Boskiej Nieustającej Diablicy, jak nasi ją ochrzcili. Przeciwnicy podobno są wyjątkowo twardzi, ponoć wtykają do śnieżek kamienie.

Mam dość oleju w głowie, żeby w takich chwilach nie odzywać się do brata, nie przyciągać uwagi ani jego, ani żadnego innego chłopca. Młodsza siostra, czy w ogóle siostra, daje powód do zaczepek, podobnie jak matka: to coś jak nowe ubranie. Każdą nową rzecz Stephen stara się jak najprędzej pobrudzić, nie może się wyróżniać. Kiedy dokąds idzie ze mną i z matką, wybiega do przodu albo przechodzi na drugą stronę ulicy. Gdyby go wyśmiewano z mojego powodu, musiałby znowu się bić. Jeżeli próbowałabym się kontaktować z bratem lub tylko zawołała go po imieniu, postąpiłabym nielojalnie. Rozumiem to i bardzo uważam.

Zostają mi więc dziewczęta, nareszcie prawdziwe dziewczęta z krwi i kości. Nie nawykłam jednak do nich, nie znam ich zwyczajów. Jestem skrępowana, brakuje mi słów. Znam milczące reguły obowiązujące wśród chłopców, przy dziewczynkach natomiast w każdej chwili mogę popełnić jakiś nieprzewidziany, fatalny błąd.

Przyjaźni się ze mną Carol Campbell. W pewnym sensie musi, ponieważ z całej klasy tylko my dwie dojeżdżamy do szkoły autobusem. Dzieci z autobusu, dzieci, które jadają lunch w suterenie, traktuje się trochę jak dziwadła, grozi im, że gdy zabrzmi dzwonek, zostaną bez pary. A zatem Carol nie odstępuje mnie na krok w autobusie, w parze trzyma mnie za rękę, szepcze mi do ucha, je lunch, siedząc tuż obok na drewnianej ławie.

Mieszka w starym piętrowym domu po drugiej stronie opuszczonego sadu, nieco bliżej szkoły, w żółtym ceglanym domu z zielonymi okiennicami. Jest przysadzista i często się śmieje. Wyjaśnia, że ma włosy barwy miodu, że taka fryzura nazywa się „na pazia”, że co dwa miesiące fryzjer musi ją strzyc. Pierwszy raz słyszę o fryzurach na pazia i o fryzjerach. Moja matka nie chodzi do fryzjera. Nosi długie włosy upięte po bokach, jak kobiety z wojennych plakatów. Mnie samej nigdy nie obcinano włosów.

Carol i jej młodsze siostry mają specjalne stroje na niedzielę: dopasowane palta z brązowego tweedu z aksamitnym kołnierzem, brązowe aksamitne kapelusiki z gumką pod brodę. Mają brązowe rękawiczki i małe brązowe torebki. Tak mówi Carol. Ona i reszta rodziny są anglikanami. Pyta, do jakiego kościoła chodzę. Nie wiem, odpowiadam. Właściwie wcale nie chodzimy do kościoła.

Po szkole razem wracamy do domu, nie poranną trasą autobusu, tylko bocznymi uliczkami, później po zmurszałym drewnianym mostku nad wąwozem. Nie wolno nam tego robić w pojedynkę, nie wolno także schodzić na dno wąwozu. Tam mogą być mężczyźni, tłumaczy Carol. Nie ci zwyczajni, ci inni, tajemniczy i nieokreśleni, ci groźni. Mówiąc „mężczyźni” uśmiecha się i zniża głos, jakby to był jakiś nieprzyzwoity żart. Lekko przebiegamy mostek, omijając przegniłe na wylot deski, bacznie wypatrujemy mężczyzn.

Carol po szkole zaprasza mnie do siebie, pokazuje szafę pełną ubrań. Ma mnóstwo sukienek i spódnic. Ma nawet szlafrok i puchate kapcie. Nigdy dotąd nie widziałam naraz tylu dziewczęcych łąszków.

Pozwala mi zajrzeć do salonu, tylko od progu, bo do środka nie możemy wchodzić. Ona sama też nie może, w salonie wyłącznie ćwiczy na pianinie. Jest tam sofa, dwa fotele, zasłony, wszystko z beżoworóżowego materiału w kwiaty – z perkalu, mówi Carol. Wymawia to słowo z nabożną czcią, jakby się odnosiło do największej świętości. Powtarzam w duchu: perkal. Brzmi niczym nazwa jakiejś odmiany raka, niczym imię kosmity żyjącego na jednej z dalekich planet mojego brata.

Carol opowiada, że ilekroć się pomyli, nauczycielka muzyki bije ją po palcach linijką, że od matki dostaje oprawką szczotki do włosów albo kapciem. Jeżeli naprawdę nabroi, musi czekać, aż wróci ojciec

i zleje ją pasem po gołej pupie. To sekret. Opowiada jeszcze, że matka śpiewa w radiu, występuje pod przybranym nazwiskiem. Pewnego razu rzeczywiście słyszymy, jak w salonie ćwiczy gamy donośnym, wibrującym głosem. Carol opowiada, że ojciec na noc wyjmuje zęby i trzyma w szklance z wodą obok łóżka. Pokazuje mi tę szklanę, chociaż akurat nie ma w niej zębów. Chyba nie pozostało nic, o czym by mi nie powiedziała.

Opowiada, którzy chłopcy ze szkoły się w niej kochają, muszę obiecać, że nikomu nie powtórzę. Pyta, którzy się kochają we mnie. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale najwyraźniej trzeba coś odpowiedzieć.

– Nie jestem pewna – mówię.

Carol odwiedza mnie w domu, wszystko ogląda – niemalowane ściany, druty dyndające z sufitu, niedokończone podłogi, wojskowe polówki – ogląda z niedowierzaniem i rozbawieniem.

– To tutaj śpisz? – pyta. – Tutaj jesz? To są twoje ubrania?

Moja garderoba, bardzo niewielka, składa się głównie ze spodni i sweterków. Mam dwie sukienki, jedną na zimę i jedną na lato, a także tunikę i wełnianą spódnicę, strój do szkoły. Zaczynam przypuszczać, że to trochę za mało.

Carol rozpowiada w szkole, że nasza rodzina śpi na podłodze. Robimy to specjalnie, twierdzi, bo nie jesteśmy z miasta, bo takie mamy przekonania. Nie kryje zawodu, kiedy z magazynu nadjeżdżają normalne łóżka, łóżka na czterech nogach, z materacem, całkiem przeciętne. Rozpowiada, że nie wiem, do jakiego chodzę kościoła, i że jem przy stoliku do gry w karty. Nie mówi tego z pogardą, po prostu przekazuje egzotyczne nowinki. W końcu jestem jej koleżanką z pary, Carol pragnie, aby mnie podziwiano. A ściślej biorąc, pragnie, aby to ją podziwiano, bo przecież wyjawia takie rewelacje. Zupełnie jakby relacjonowała dzikie obyczaje jakiegoś pierwotnego plemienia: prawdziwe, lecz niewiarygodne.

10

W sobotę zabieramy Carol Campbell do gmachu. Wchodząc, marszczy nos.

– To tutaj pracuje wasz ojciec?

Pokazujemy jej węże i żółwie. Coś mruczy, coś jakby „fuj”. Za nic by tego nie dotknęła, mówi. Dziwię się, od tak dawna zniechęcano mnie do podobnych odczuć, że całkiem się ich pozbyłam. Stephen również. Mało czego byśmy nie dotknęli, mając ku temu okazję.

Uważam Carol za maminią córeczkę. Równocześnie jestem troszkę dumna z tej jej delikatności. Brat patrzy na moją przyjaciółkę w dziwny sposób. Z pogardą, owszem. Jeśli to ja bym się wyrwała z czymś takim, zaraz by mnie wyśmiał. Lecz daje się wyczuć coś jeszcze, niczym niewidzialne skinienie głową, jak gdyby Stephen ostatecznie się w coś utwierdził.

Właściwie od tej pory powinien ją lekceważyć, a tymczasem wystawia ją na kolejną próbę,

prowadzi do słoików z jaszczurkami i wolimi oczami.

– Faj – mówi Carol. – A gdyby ci to wrzucili za kołnierz?

– A gdybyś dostała takie pyszności na kolację? – pyta mój brat. Młaska i siorbie.

– Faj! – Carol się krzywi, otrząsa. Nie mogę udawać podobnego zgorszenia i wstrętu: Stephen nie dałby się nabrać. Nie mogę też dołączyć się do zabawy w wymyślanie obrzydliwych dań – żaburgerów, gumy do żucia z pijawek – choć gdybyśmy byli sami lub w towarzystwie innych chłopców, nie wahałabym się ani chwili. A więc się nie odzywam.

Wróciwszy z gmachu, znowu idę do Carol. Pyta, czy chciałabym obejrzeć nowy bliźniak jej matki. Nie wiem co to, ale brzmi intrygująco, więc przytakuję.

Zakradamy się do sypialni. Jeżeli nas przyłapią, będzie krucho, mówi Carol i pokazuje mi bliźniak, który leży złożony na półce. To po prostu dwa sweterki w identycznym kolorze, jeden zapinany z przodu na guziki, drugi wkładany przez głowę. Już widziałam panią Campbell w innym bliźniaku, beżowym, obciskającym spiczaste piersi, rozpięty sweterek zwisał z ramion jak peleryna. Więc to tylko tyle. Jestem rozczarowana, spodziewałam się, że bliźniaki mają coś wspólnego z bliźniętami.

Rodzice Carol nie śpią w jednym dużym łóżku jak moi. Śpią w dwóch małych, dokładnie takich samych, z różowymi kordonkowymi kapami i stolikami nocnymi u wezłowania. Takie łóżka nazywają się bliźniacze, co już ma więcej sensu niż jakieś tam sweterki. Tak czy owak państwo Campbell muszą dziwnie wyglądać, leżąc tutaj w nocy: różne głowy – jego z wąsami, jej bez wąsów – lecz poza tym podobni niby dwie krople wody, prawdziwe bliźnięta w pościeli, pod kocami. Wszystko przez te identyczne kapy, stoliki, lampy, komódki, przez podwojenie każdego sprzętu w pokoju. Sypialnia moich rodziców jest mniej symetryczna i nie taka schludna.

Carol mówi, że matka do zmywania wkłada gumowe rękawiczki. Pokazuje mi je i spryskiwacz zamontowany na kranie. Odkręca wodę, spryskuje zlew i niechcący część podłogi. Akurat wtedy zjawia się pani Campbell w swoim beżowym bliźniaku i ze srogą miną. Każe nam iść bawić się na górę. Możliwe, że wcale nie robi srogiej miny. Kąciki ust lekko wyginają jej się w dół, nawet gdy się uśmiecha, toteż trudno poznać, czy ma dobry humor, czy zły. Jej włosy są tego samego koloru co włosy Carol, ale skręcone w loki. To trwała ondulacja, tłumaczy Carol. Ciekawe, jak wyglądają nietrwałe. Przypomina fryzurę lalki, niezmiernie staranną i uporządkowaną, jakby przyszytą na swoje miejsce.

W im większe wpadam oszołomienie, tym bardziej Carol się cieszy.

– Nie wiesz, co to trwała ondulacja? – pyta z zachwytem. Chętnie objaśnia to czy tamto, nazywa, prezentuje. Oprowadza mnie po domu niczym po muzeum, jak gdyby własnoręcznie zgromadziła wszystko, co się tam znajduje. Stojąc w holu obok słupkowego wieszaka – „Nigdy nie widziałas takiego wieszaka?” – mówi, że jestem jej najlepszą przyjaciółką.



Carol ma jeszcze jedną najlepszą przyjaciółkę, która czasami jest najlepsza, a czasem już nie. Nazywa się Grace Smeath. Pokazuje mi ją w autobusie, tak jak pokazywała bliźniak i wieszak: jak obiekt

godny podziwu.

Grace jest o rok starsza, chodzi o klasę wyżej. W szkole bawi się z koleżankami z klasy. Po lekcjach i w soboty bawi się z Carol. Żadnej z tamtych dziewcząt nie spotka się po naszej stronie wąwozu.

Mieszka w piętrowym domu z czerwonej cegły, który kształtem przypomina pudełko po butach, ganek podtrzymują dwie grube białe kolumny. Jest wyższa od Carol, gęste, szorstkie ciemne włosy spleta w dwa warkocze. Cerę ma wyjątkowo bladą niczym ciało pod kostiumem kąpielowym, piegowatą. Chodzi w okularach. Zazwyczaj nosi szarą spódnicę na szelkach i czerwony sweter upstrzony zbitymi kuleczkami wełny. Jej ubranie pachnie lekko domem Smeathów, mieszaniną proszku do szorowania, gotowanej rzepy, brudnej bielizny, ziemi pod gankiem. Uważam Grace za prawdziwą piękność.

W soboty już nie chodzę do gmachu. Bawię się z Carol i Grace. Najczęściej w domu, jak to zimą. Zabawy dziewcząt wyglądają zupełnie inaczej, z początku czuję się dziwnie, nieswojo, jakbym tylko udawała dziewczynkę. Wkrótce jednak nabieram wprawy.

Zabawę na ogół wymyśla Grace, bo jeżeli nasze pomysły jej nie odpowiadają, oświadcza, że boli ją głowa i idzie do domu albo każe nam iść do domu. Nigdy nie podnosi głosu, nie złości się ani nie płacze. Mówi spokojnie, z wyrzutem, jakby właśnie przez nas dostała bólu głowy. Ponieważ to mnie i Carol bardziej zależy na wspólnej zabawie, zawsze postawi na swoim.

Kolorujemy książeczki z gwiazdami filmowymi w rozmaitych strojach, w trakcie różnych zajęć: wyprowadzają psy na spacer, żeglują ubrane po marynarzku, kręcą piruety w sukniach balowych na przyjęciu. Ulubiona gwiazda Grace to Esther Williams. Ja nie mam ulubionej gwiazdy – nigdy nie byłam w kinie – mówię jednak, że Veronica Lake. Ładnie się nazywa. W kolorowance znajduje się papierowa laleczka, Veronica Lake w kostiumie kąpielowym, oraz mnóstwo strojów do wycinania, które się mocuje na laleczce za pomocą zaginanych pasków papieru. Grace nie pozwala nam wycinać, choć gdy już sama to zrobi, możemy ubierać i rozbierać gwiazdę. Możemy także kolorować książeczki, pod warunkiem że nie wyjdziemy poza linię. Grace lubi mieć wszystko pokolorowane. Tłumaczy, gdzie i jakiej kredki użyć. Wiem, jak by się zabawiał mój brat – dla Esther zielona skóra plus czułka żuka, dla Veroniki włochate nogi, osiem sztuk – ale ja na nic takiego się nie porywam. Zresztą podobają mi się te stroje.

Bawimy się w szkołę. Grace ma w piwnicy krzesła i drewniany stół, niewielką tablicę i kredę. Powyżej wiszą sznury, na których Smeathowie suszą bieliznę, kiedy pada deszcz lub śnieg. Piwnica jest niewykończona: betonowa podłoga, filary podtrzymujące strop z gołej cegły, wszędzie widać rury i przewody, powietrze cuchnie miałem węglowym, bo skrzynia na węgiel stoi tuż koło tablicy.

Grace zawsze jest nauczycielką, my dwie uczennicami. Musimy pisać dyktanda, liczyć słupki. Całkiem jak w prawdziwej szkole, tyle że gorzej, bo nigdy nie możemy malować. Nie możemy nawet na niby być nieposłuszne, ponieważ Grace nie znosi bałaganu.

Czasami siedzimy na podłodze w jej pokoju, obłożone stosami starych katalogów domu towarowego Eatona. Widziałam już mnóstwo takich katalogów: na północy wiszą w ustępach zamiast papieru toaletowego. Przypominają mi tamten smród, muchy brzęczące w dziurze, skrzynię wapna z drewnianą szufelką, służącą do rozsypywania go na stosy świeżych i starych odchodów o wszelkich kształtach i odcieniach brązu. Lecz tutaj traktujemy katalogi z szacunkiem. Wycinamy małe barwne figurki, wklejamy do albumów. Później dookoła figurek przyklepamy inne obrazki – garnki, meble. Figurkami są zawsze kobiety. Mówimy na nie „moja pani”. – Moja pani kupi tę lodówkę – mówimy. – Moja pani dostanie ten dywan. To parasolka mojej pani.

Grace i Carol nawzajem popatrują na swoje albumy, wzdychają: – Och, twoja pani wyszła prześlicznie. Nie to co moja. Moja jest paskudna. – Powtarzają tak za każdym razem, gdy się bawimy w wyklejanki. Ich głosy brzmią przymilnie i nieszczerze. Wcale tak nie myślą, to jasne, każda uważa, że właśnie jej pani wygląda o niebo lepiej. Widać należy tak mówić, a więc ja również zacznę tak robić.

Męczy mnie ta zabawa, męczy ciężar, nagromadzenie tej masy przedmiotów, tych dóbr, którymi trzeba się zająć, które trzeba spakować, władować do samochodu, rozpakować. Sporo wiem o przeprowadzkach. Ani Carol, ani Grace nigdy i nigdzie się nie przenosiły. Ich panie mieszkają, zawsze mieszkały w jednym i tym samym domu. Obie mogą dodawać coraz więcej i więcej, zapelniać stronicę albumów kompletami stołowymi, łózkami, stertami ręczników, kolejnymi serwisami, ani trochę się tym nie przejmując.

Pragnę zupełnie nowych rzeczy: warkoczy, szlafroka, własnej torebki. Zaczynam dostrzegać coś zupełnie innego. Widzę świat dziewcząt, cały świat dotąd mi nieznany, do którego mogę należeć bez najmniejszego wysiłku. Nie muszę nikomu dotrzymywać kroku, biegać równie prędko, celować równie dokładnie, naśladować huku eksplozji, rozszyfrowywać wiadomości, umierać na rozkaz. Nie muszę się martwić, czy wszystko zrobiłam dobrze, tak dobrze jak chłopak. Wystarczy siedzieć na podłodze i małymi nożyczkami wycinać patelnie z katalogu Eatona, i mówić, że zrobiłam to źle. Po części to ulga.

11

Na Gwiazdkę Carol daje mi sole kąpielowe Ogród Przyjaźni, Grace kolorowaną z Virginią Mayo. Najpierw otwieram właśnie te prezenty.

Dostaję również album fotograficzny, skoro już mam aparat. Okładka i karty wewnątrz są czarne, związane czymś w rodzaju grubego czarnego sznurowadła. Jest też paczuszka czarnych trójkątów powleczonych klejem, służą do przytwierdzania zdjęć. Dotąd zużyłam zaledwie jedną rolkę filmu. Naciskając guzik, myślę, jak wyjdzie zdjęcie. Nie chcę żadnego zmarnować. Wywołane zdjęcia wracają razem z negatywem. Oglądam go pod światło: to, co na zdjęciu białe, na negatywie jest czarne. Czarny śnieg, czarne oczy i zęby.

Za pomocą czarnych trójkątów wklejam zdjęcia do albumu. Jedne przedstawiają mojego brata, gdy groźnie zamierza się śnieżką, inne Carol, jeszcze inne Grace. Ja jestem tylko na jednej, stoję przed tamtymi drzwiami motelu, drzwiami z numerkiem 9, dawno temu. Dzisiaj to dziecko sprawia wrażenie znacznie młodszego, biedniejszego, odległego, wygląda niczym pomniejszona, nieświadoma wersja mnie samej.

Kolejny prezent gwiazdkowy to czerwona, owalna plastikowa torebka, ze złotym zameczkiem i rączką. W domu miękka, giętka, na zimnie twardnieje, toteż wszystko w środku grzechocze. Trzymam w torebce moje kieszonkowe, pięć centów tygodniowo.

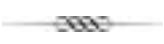
Do tej pory ułożyliśmy podłogę w bawialni, jesionową, matka ją pastuje na kłęczkach, froteruje ciężką szczotką na długim kiju, która sunąc w przód i w tył, wydaje odgłos podobny do szumu fal. Ściany są już pomalowane, oświetlenie zainstalowane, listwy nad podłogą przybite. Wiszą nawet zasłony: stary, tak się nazywają. Otwarte, widoczne części domu zostały wykończone jako pierwsze.

Nasze sypialnie wyglądają bardziej surowo. Okna jeszcze nie mają stor. Leżąc nocą w łóżku, patrzę na płatki śniegu oblane światłem padającym z sąsiedniego okna, z pokoju brata.

To najciemniejsza pora roku. Nawet za dnia panuje dziwny półmrok. Nocą, przy zapalonych światłach, ciemność przenika wszędzie jak mgła. Nieliczne latarnie stoją rozsiane z rzadka, nie świecą zbyt jasno. Lampy z innych domów rzucają żółtawą poświatę, nie tę zimną, zielonkawą, lecz ciepłą, kremowożółtą z domieszką brązu. Barwy sprzętów także przesyca mrok. Brunatny, beż w odcieniu grzyba, zgniła zieleń, mętny róż – kolory sprawiają wrażenie przybrudzonych, niczym farbki w pudełku, w których macza się niewypłukany pędzelek.

Mamy brunatną kanapę, która przyjechała z magazynu, przed kanapą brunatno-fioletowy dywan w stylu orientalnym. Mamy stojącą lampę z trzema żarówkami. Wieczorem powietrze tężeje jak gęstniejący krem, w kątach bawialni zbiera się cięższy świetlny osad. Na noc zaciągamy story, ciężkie fałdy bronią dostępu zimnie, zbierają przyćmione, posępne światło i zatrzymują je wewnątrz.

W tym świetle rozkładam wieczorną gazetę na wyfroterowanej jesionowej podłodze, opierając się na łokciach i kolanach czytam komiksy. Występują tam ludzie z okrągłymi dziurami zamiast oczu, ludzie, którzy w ułamku chwili potrafią każdego zahipnotyzować, ludzie o podwójnej tożsamości, ludzie zdolni nadać swojej twarzy absolutnie dowolny kształt. Wokół mnie zapach farby drukarskiej i pasty do podłogi, zapach drapiących pończoch – pachną szufladą komody – pomieszany z wonią brudnych kolan, z gryzącą, ostrą wonią rozgrzanej wełny i bawełnianych majtek zalatujących skrzynką dla kota. Z radia za plecami sączy się ludowa muzyka taneczna ze wschodniego wybrzeża, gra Don Messer i Jego Wyspiarze, to wstęp do wiadomości o szóstej. Radio jest z ciemnego politurowanego drewna, z pojedynczym zielonym okiem. Kiedy się kręci gałką, oko sunie po tarczy. Pomiedzy stacjami wydaje niesamowite odgłosy rodem z przestrzeni pozaziemskiej. Fale radiowe, mówi Stephen.



Ostatnio Grace Smeath często zaprasza mnie do siebie po szkole, samą, bez Carol. Tłumaczy Carol, dlaczego tak musi być: to z powodu matki. Matka jest zmęczona, dlatego w jednym dniu Grace może odwiedzić tylko jedna najlepsza przyjaciółka.

Pani Smeath choruje na serce. Grace nie opowiada o tym w sekrecie, jak by to zrobiła Carol. Mówi obojętnie, uprzejmie: takim tonem prosi się gościa, żeby wytarł buty. Lecz także mówi z dumą, jakby choroba matki dawała jej pewien przywilej, wyższość moralną, coś, w czym my dwie nie możemy mieć udziału. Podobnie odnosi się do fikusa, który stoi na podeście w połowie schodów. To jedyna roślina w domu, nie wolno nam jej dotykać. Jest bardzo stara, trzeba ją liść po liściu zmywać mlekiem. Chore serce pani Smeath należy do tej samej kategorii. Wymaga, żebyśmy chodziły na palcach, nie hałasowały, tłumiły śmiech, stosowały się do poleceń Grace. Chore serce bywa użyteczne, nawet ja to widzę.

Każdego popołudnia pani Smeath musi odpoczywać. Odpoczywa więc, nie w sypialni, tylko na kanapie w salonie, leży bez butów, okryta szydełkowym szalem. Zawsze ją tak zastajemy, kiedy wracamy ze szkoły. Wchodzimy bocznymi drzwiami, po schodkach do kuchni, starając się zachowywać jak najciszej, potem idziemy do jadalni aż pod okna balkonowe, zerkamy przez szybę, sprawdzamy, czy pani Smeath ma oczy otwarte, czy zamknięte. Nigdy nie śpi. Niewykluczone – tę możliwość podsunęła

Grace, rzeczowo jak to ona – że pewnego dnia ujrzymy ją martwą.

Pani Smeath nie przypomina pani Campbell. Nie nosi bliźniaków, traktuje je z pogardą. Wiem, bo kiedy raz Carol chwaliła się bliźniakiem swojej matki, usłyszała: – Doprawdy – nie w formie pytania, raczej wskazówki, żeby zamknęła buzię. Pani Smeath nie używa szminki ani pudru, nawet gdy się wybiera do miasta. Ma grube kości, kwadratowe zęby rozdzielone szparami, tak że każdy dokładnie widać, skórę wypucowanąomalże do żywego mięsa, jakby ją szorowała szczotką do kartofli. Twarz ma okrągłą, bez wyrazu, cerę bladą podobnie jak Grace, tyle że bez piegów. Również nosi okulary, ale w stalowej oprawce, nie w brązowej. Czesze się z przedziałkiem pośrodku, siwiejące na skroniach włosy splata w warkocz i upina dookoła głowy w płaską koronę z gmatwaniną szpilek.

Chodzi we wzorzystej podomce, nie tylko rano, prawie zawsze. Na wierzch wkłada fartuch z obwisłym bawetem, wygląda to tak, jakby miała olbrzymią pojedynczą pierś, która sięga aż do pasa. Nosi fildekosowe pończochy ze szwem, przez co nogi sprawiają wrażenie wypchanych i zaszytych z tyłu, i brązowe sznurowane trzewiki. Czasem zamiast pończoch wciąga cienkie bawełniane skarpetki, powyżej wyrastają nogi białe i lekko owłosione, co przypomina kobiecy wąsik. Wąsik zresztą też ma, chociaż nieznaczny, ledwie parę włosków w kącikach ust. Często się uśmiecha, rozciąga wargi, nie odsłaniając tych swoich wielkich zębów. Uśmiecha się, ale się nie śmieje, zupełnie jak Grace.

Ma duże dłonie, sękaty i zaczerwienione od prania. Stale coś pierze, bo oprócz Grace w domu są jeszcze dwie młodsze dziewczynki. Donaszają po siostrze spódnice, bluzki, nawet majtki. Ja dostaję swetry po bracie, to rzecz normalna, co innego cudza bielizna. Właśnie te majtki, cienkie i szare ze starości, ociekające wodą, wiszą na sznurze ponad naszymi głowami, kiedy w suterenie Grace bawimy się i udajemy uczennice.



Przed walentynkami w szkole musimy wyciąć serca z czerwonego kartonu, przystroić je papierową koronką i umocować w wysokich wąskich oknach. Wycinając, rozmyślałam o chorym sercu pani Smeath. Właściwie co jej dolega? Wyobrażam sobie jej serce ukryte pod wełnianym szalem, pod wydętym fartuchem, bijące w gęstym mięsistym mroku w głębi ciała. Objęte tabu, najskrytsze. Na pewno jest czerwone, lecz z czarniawą plamką niby pleśń na jabłku albo siniak. Ta myśl sprawia mi ból. Czuję drobne, ostre ukłucie, przenika mnie prąd, jak wówczas gdy Stephen na moich oczach skaleczył się szkłem w palec. Równocześnie jednak chore serce mnie fascynuje. To jakaś osobliwość, deformacja. Upiorny skarb.

Dzień po dniu przyciskam nos do szyby, staram się wypatrzeć, czy pani Smeath jeszcze żyje. Już zawsze tak ją będę widzieć: spoczywającą bez ruchu niczym eksponat w muzeum, z głową na okrytym pokrowcem wałku kanapy, z poduszką pod karkiem. W tle rośnie figus, pani Smeath odwraca głowę, spogląda na nas, wymacerowana twarz bez okularów błyska bielą, dziwnie świetlista w półmroku, całkiem jak fosforyzujący grzyb. Jest o dziesięć lat młodsza niż ja teraz. Dlaczego aż tak jej nienawidzę? Czemu w ogóle mnie obchodzi, jakie myśli lęły się w tej głowie?

Śnieg się rozmywa i kruszy, na wyboistych drogach w sąsiedztwie domu chlupie błotnista woda. Przez noc na kałużach tworzy się cienki lód, rozbijamy go obcasami. Z dachów spadają sople, zbieramy je i ssiemy jak lizaki. Ściągamy rękawiczki, dyndają nam u rękawów. Na trawnikach, kiedy wracamy ze szkoły, widać mokre kawałki papieru zaplątane pod żywoplotami, stare psie gówienka, krokusy sterczące z ziarnistego śniegu o barwie sadzy. Rynsztokiem płynie brązowawa struga. Drewniany mostek nad wąwozem jest śliski, miękki, znowu pachnie pleśnią.

Nasz dom wygląda jak pamiątka po wojnie: wszędzie są gruzy, spustoszenia. Rodzice stoją na tyłach domu z rękami pod bok, patrzą na bezmiar błota i projektują ogród. Tu i ówdzie już się pokazały kępki perzu. Perz wyrośnie wszędzie, mówi ojciec. Mówi też, że przedsiębiorca budowlany, ten sam, co poszedł na zieloną trawkę, rozrzucił wokół domu zbitą glinę spod fundamentów, przysypał górną warstwę gleby.

– Nie dość, że oszust, to jeszcze idiota – dodaje ojciec.

Mój brat obserwuje poziom wody w ogromnym wykopie, czeka, aż dziura się osuszy, tak by mogła posłużyć za bunkier. Chciałby ją pokryć dachem z gałęzi i starych desek, wie jednak, że to niemożliwe, jest za duża, poza tym rodzice by mu na to nie pozwolili. Postanawia więc wykopać tunel, wryć się w ścianę jamy, schodziłby tam po sznurowej drabinie. Nie ma jeszcze takiej drabiny, ale ją zrobi, jeśli tylko zdobędzie sznur.

Razem z kolegami gania się po błocie. Do podeszew przywarły im wielkie placki gliny, jak dodatkowe stopy, które zostawiają ślady potwora. Chłopcy kucają za drzewami w starym sadzie, ostrzeliwiają się z zasadzki, krzycząc:

– Nie żyjesz!

– Właśnie że nie!

– Nie żyjesz!

Kiedy indziej tłoczą się w pokoju Stephena, leżą plackiem na podłodze lub na łóżku, czytają stopy komiksów. Czasami ja też się do nich przyłączam, nurzam w kolorowych kartkach, otoczona dusznym chłopięcym zapachem. Chłopcy pachną inaczej niż dziewczęta. To gorzka woń rzemienia, przytłumiona, lecz zawsze wyczuwalna. Przywodzi na myśl starą linę, wilgotną sierść psa. Drzwi trzymamy zamknięte, gdyż matka nie pochwała czytania komiksów. Czytamy w nabożnym milczeniu przerywanym z rzadka monosylabami, tylko przy wymianie.

Teraz mój brat zbiera komiksy. Zawsze coś kolekcjonował. Dawniej kapsle z butelek na mleko, trofea z dziesiątków mleczarni. Nosił w kieszeni całe wiązki ściśnięte gumką, ustawiał pod ścianą i rzucał innymi kapslami, żeby wygrać jeszcze więcej. Później były kapsle z butelek oranżady, karty z pudełek po papierosach, numery tablic rejestracyjnych z różnych prowincji i stanów. Komiksów nie da się wygrać. Trzeba je wymieniać – jeden dobry za trzy, cztery mniej wartościowe.

W szkole wycinamy pisanki z kartonu, różowe, fioletowe, niebieskie, przytwierdzamy na oknach. Potem tulipany, niebawem rozkwitają te prawdziwe. Wygląda na to, że rzeczy z papieru zawsze poprzedzają rzeczy prawdziwe.

Grace przynosi długą skakankę, razem z Carol uczy mnie nią obracać. Podśpiewujemy przy tym monotonie, w tonacji moll:

Salome, cud-tancerka, tańczyła hop la-la,

A tańcząc hop la-la, prawie była goła.

Grace kładzie jedną rękę na głowie, drugą opiera na biodrze, kręci pupą. Wszystko nad wyraz poprawnie i wytwornie. Ma na sobie plisowaną spódnicę na szelkach. Wiem, Salome powinna raczej przypominać tamte gwiazdy filmowe z kolorowanek. Wyobrażam sobie muślinowe spódniczki, pantofle na wysokich obcasach, z gwiazdkami na palcach, kapelusze przystrojone masą owoców i piór, uniesione brwi wyskubane w sznureczki. Wesoła rozpusta. A jednak Grace w wełnianych plisach jest po prostu niezrównana.

Gramy również w piłkę przy bocznej ścianie domu Carol. Rzucamy gumowe piłki o mur, chwytamy, kiedy się odbijają, klaszczemy i wirujemy w rytmie wyliczanki:

Zwykła, w ruchu, śmieje się, mów, jedna

ręka, druga ręka, jedna noga, druga

noga, klaśnij z tyłu, z tyłu – z przodu,

z przodu – z tyłu, ćwierkaj, stękaj, ukłon,

salut i karuzela.

Na hasło „karuzela” rzuca się piłkę i przed złapaniem kręci pełny piruet. To najtrudniejsze, trudniejsze nawet niż lewa ręka.



Słońce świeci coraz dłużej, zachodzi w kolorze złotoczerwonym. Mostek obsypały żółte wierzbowe bazie. Klonowe kogutki, wirując, sfruwają na chodnik, rozdławiamy lepki koniec kryjący nasionko i przyklejamy sobie kogutka do nosa. Powietrze jest ciepłe, wilgotne jak niewidzialna mgła. Chodzimy do szkoły w bawełnianych sukienkach, w rozpinanych swetrach, które zdejmujemy w drodze do domu. Stare drzewa w sadzie kwitną na biało i na różowo. Wdrapujemy się na gałęzie pachnące kremem do rąk lub siedzimy w trawie, plotąc wianki z mleczy. Rozpuszczamy włosy Grace, opadają na plecy szorstkimi brązowymi falami. Wkładamy jej wianek na głowę, wygląda jak korona.

– Jesteś królową – mówi Carol, głaszcząc jej szorstkie włosy.

Pstrykam zdjęcie, wklejam do albumu. Oto Grace z wymuszonym uśmiechem, cała w kwiatach.

Na polu za domem Carol wyrastają nowe domy. Wieczorami gromadki dzieci, chłopców i dziewcząt, buszują tam w świeżej woni trocin, przekraczają nieistniejące ściany, włączają po drabinach w miejscu przyszłych schodów. To zakazane zabawy.

Carol nie zapuszcza się na górne piętra, bo się boi. Grace także tam nie wchodzi, ale nie ze strachu: nie chce, żeby ktoś – to znaczy jakiś chłopak – zobaczył jej majtki. Dziewczętom nie wolno nosić spodni w szkole; Grace w ogóle ich nigdy nie nosi. A zatem we dwie zostają na parterze, podczas gdy ja się wspinam coraz wyżej, wędruję po belkach, których nie przykrywa sufit, wchodzę aż na strych. Siadam pod dachem bez podłogi, pomiędzy krokiewkami tego powietrznego domu, grzeję się w czerwonożółtych promieniach zachodzącego słońca, spoglądam w dół. Nie myślę, że mogłabym spaść. Jeszcze nie wiem, co to lęk wysokości.



Pewnego dnia ktoś się zjawia na szkolnym dziedzińcu z woreczkiem kulek. Nazajutrz już wszyscy je mają. Chłopcy porzucili swój teren, tłoczą się na wspólnym placu przed wejściem dla uczniów. W kulki trzeba grać na gładkiej powierzchni, a całe boisko chłopców pokrywa żużel.

W tej grze jeden zawodnik ustawia cel, drugi strzela. Przy strzale należy uklęknąć, wymierzyć, a później potoczyć kulkę do kulki-celu, podobnie jak w grze w kręgle. Jeżeli się trafi, zabiera się obie. Jeśli się chybi, traci się swoją. Zawodnik ustawiający cel siada na betonie, rozsuwa nogi i kładzie kulkę przed sobą. Czasami to zwyczajna kulka, do tych jednak mało kto chce strzelać, chyba że się daje dwie za jedną. Zwykle za cel służy jakaś cenniejsza: kocie oko, z przezrystego szkła z barwnymi płatkami w środku, czerwonymi, żółtymi, zielonymi, niebieskimi; kryształek, bez jednej skazy, niczym zabarwiona woda, niczym szafir albo rubin; rusalka, ze smugami koloru zawieszonymi jakby pod powierzchnią morza; metalowa bula; agula, podobna do zwykłej kulki, tylko większa. Owe egzotyczne skarby przechodzą od zwycięzcy do zwycięzcy. Nie wolno ich kupować, to oszustwo. Trzeba je wygrać.

Posiadacze kulek-celów głośno zachwalają swój towar: – Kryształek, kryształek, bula, bula – zwięzłe słowa wymawiane śpiewnym głosem, z opadającą intonacją: tak się woła psa albo zagubione dziecko. Okrzyki brzmią żałobnie, choć wcale nie mamy takiego zamiaru. Ja również siadam w ten sposób, zimne kulki toczą się między nogami, gromadzą na rozpostartej spódnicy. – Kocie oko, kocie oko – zawodzę na smętną nutę, czując jedynie chciwość i przyjemną grozę.

Właśnie kocie oczy najbardziej lubię. Jeżeli wygram nowe, czekam, aż nikogo nie będzie w pobliżu, wówczas wyciągam kulkę, obracam na wszystkie strony w świetle. Rzeczywiście wygląda jak oko, ale nie oko kota. Raczej jakiegoś stworzenia, które gdzieś tam sobie żyje, chociaż nikt o nim nie wie. Przypomina zielone oko radia, oczy istot z odległej planety. Najwyżej sobie cenię to niebieskie. Leży w czerwonej plastikowej torebce, tam jest bezpieczne. Inne kocie oczy wystawiam na strzał, z tym wolę nie ryzykować.

Mam niezbyt wiele kulek, bo strzelam nie najlepiej. Mój brat natomiast to prawdziwy snajper. Zabiera do szkoły pięć zwyczajnych kulek w granatowej torebce po whisky Crown Royal, a kiedy wraca, torebka i kieszenie pękają w szwach. Trofea trzyma w słoikach z zakręcaną pokrywką, które mu podarowała matka, ustawia słoiki rzędem na biurku. Nigdy nie mówi o swoim talencie. Po prostu dodaje nowy słoik.

Pewnego sobotniego popołudnia wybiera najlepsze kulki – kryształki, rusalki i kocie oczy, klejnoty i cuda – wkłada wszystkie do jednego słoika. Idzie do wąwozu, pod mostek, tam zakopuje słoik. Później sporządza skomplikowaną mapę z zaznaczonym skarbem, chowa w drugim słoiku i również

zakopuje. Opowiada mi, co zrobił, nie mówi jednak, dlaczego ani też gdzie zakopał słoiki.

13

Surowy dom z grzęzawiskiem zamiast trawnika i z kopcem ziemi tuż obok coraz bardziej się oddala. Przyglądam mu się przez tylną szybę samochodu, z miejsca, gdzie siedzę wciśnięta między pudła z prowiantem, śpiwory i płaszcze przeciwdeszczowe. Mam na sobie niebieski pasiasty sweter brata i wytarte sztruksowe spodnie. Grace i Carol stoją pod jabłoniami, obie w sukienkach, machają rękoma, znikają. Nadal muszą chodzić do szkoły, ja nie. Zazdroszczę im. Już czuję zapach podróży, zapach smoły i gumy, lecz wcale się nie cieszę. Wyrwano mnie z nowego życia, z życia dziewcząt.

I znowu przed oczami znajomy widok: tył głowy, uszy, a dalej biała linia szosy. Mijamy łąki i pola, silosy i wiązy, jedziemy, wdychając zapach świeżego siana. Liściaste drzewa powoli zanikają, coraz częściej pokazują się sosny, w powietrzu czuć chłód, niebo nabiera zimniejszych odcieni błękitu, oddalamy się od wiosny. Docieramy do pierwszych granitowych urwisk, do pierwszych jezior. W zacienionych miejscach leży śnieg. Pochylam się w przód, zastygam z rękoma na oparciu przedniego siedzenia. Czuję się, jakbym była psem, strzygę uszami, węszę.

Północ pachnie inaczej niż miasto: czyściej, subtelniej. Widać na większą odległość. Tartak, wzgórek trocin, podobny do tipi zarys spalarki; kominy huty miedzi, skały dokoła nagie, bezdrzewne, jak gdyby wypalone, hałdy szerniałego żużlu. Zimą o nich zapomniałam, lecz oto znów tutaj są i widząc je teraz wszystko sobie przypominam, poznaję, witam, tak jakbym witała dom.

Na rogach ulic stoją mężczyźni. Wystają przed sklepami, małymi bankami, przed piwiarniami o ścianach wykładanych szarym łupkiem. Trzymają ręce w kieszeniach wiatrówek. Niektórzy mają ciemne twarze Indian, inni są po prostu opaleni. Chodzą inaczej niż mężczyźni na południu, wolniej, uważniej; mniej mówią, cedzą słowa. Rozmawiając z nimi, ojciec pobrzękuje kluczami i drobnymi w kieszeni. Wymienia uwagi o poziomie wody, o suszy w lasach, o tym, jak biorą ryby. Pogaduszki, tak to nazywa. Wraca do samochodu, niesie zakupy w papierowej torbie, upycha ją pod moimi nogami.



Stoję z bratem na końcu zrujnowanego pomostu nad długim, dzikim, obłądnym jeziorem. Jest wieczór, zachód słońca barwy melona, w oddali krzyczą nury, przeciągły, wznoszący się ton brzmi jak wycie wilka. Łowimy ryby. Dookoła bzyczą komary, ale już się do nich przyzwyczaiłam, tylko z rzadka któregoś pacnę. Łowienie odbywa się bez rozmów: zamach, plusk przynęty, warkot kołowrotka. Wpatrujemy się w błysk, śledzimy, czy coś za nią płynie. Jeśli ryba się złapie, robimy co w naszej mocy, żeby podebrać ją siatką, przydeptać i unieruchomić, trzasnąć w głowę, wbić nóż za oczami. Ja przydeptuję, Stephen wali, kłuje nożem. Milczy, lecz jest spięty, czujny, kąciki ust ma ściągnięte. Zastanawiam się, czy moje oczy też tak lśnią, świecą niby oczy jakiegoś zwierzęcia w różowym zmierzchu.

Mieszkamy w opuszczonym obozie drwali. Śpimy na dmuchanych materacach i w śpiworach

rzuconych na drewniane prycze, których używali do spania. Już dziś obóz sprawia wrażenie bardzo starego, chociaż stał pusty ledwie przez dwa lata. Po drwalach zostały napisy i rysunki wyryte bądź nagryzmolone ołówkiem na deskach ścian, imiona, inicjały, złożone serca, sprośne słowa, prymitywne figurki kobiet. Natykam się na puszkę syropu klonowego, wieczko całkiem zardzewiało. Otwieramy ją ze Stephenem, ale syrop jest spleśniały. Dla mnie ta puszka to starożytny artefakt, wykopalisko z grobowca.

Buszujemy między drzewami, szukamy kości, wzgórków niegdyś wykopanej ziemi, zarysów dawnych domów, zaglądamy pod zwalone pnie i pod kamienie. Pragniemy odkryć zaginioną cywilizację. Znajdujemy żuka, mnóstwo żółtych i białych korzonków, ropuchę. Żadnych śladów człowieka.



Ojciec zrzucił miejskie ubranie, znowu stał się sobą. Nosi starą kurtkę, workowate spodnie, wygnieciony filcowy kapelusz z muszkami na ryby zatkniętymi za wstążkę. Maszeruje po lesie w ciężkich sznurowanych buciorach, nasmarowanych tłuszczem z boczku, z siekierą w skórzanym pochwie. Idziemy za nim krok w krok. Na okolicę spadła plaga barczatek, największa od lat. Właśnie dlatego jest taki uradowany, dlatego jego oczy błyszczą jak błękitnoszare paciorki. Wszędzie widać pasiaste, włochate gąsienice. Zwieszają się z gałęzi na jedwabnych nitkach, tworzą zasłonę, którą trzeba rozgarniać, płyną po ziemi na podobieństwo żywego dywanu, przekraczając szosy, zmieniają się w tłustą papkę pod kołami ciężarówek. Drzewa stoją nagie jak po pożarze, pnie oplata pajęczyna.

– Zapamiętajcie to sobie – mówi ojciec. – Klasyczna plaga. Nie zobaczycie takiej przez wiele lat.

W ten sposób ludzie mówią o pożarach lasu albo o wojnie: z szacunkiem i niedowierzaniem, a zarazem ze świadomością katastrofy.

Mój brat stoi bez ruchu, gąsienice pełzną mu po butach, suną falami na drugą stronę.

– Jak byłeś malutki – wspomina matka – chciałeś je zjeść. Nazbierałeś pełną garść i rozgniotłeś na miazgę. Już pakowałeś do buzi, kiedy cię nakryłam.

– Pod pewnymi względami zachowują się jak jedno zwierzę – mówi ojciec. Siedzi przy drewnianym stole drwali, je smażoną mielonkę z kartoflami. Przy posiłku bez przerwy opowiada o gąsienicach, o ich liczebności, pomysłowości, o różnych metodach zwalczania. Nie należy stosować DDT ani w ogóle żadnych środków owadobójczych, mówi. To jedynie zatruwa ptaki, naturalnych wrogów gąsienic, one same natomiast, zaradne jak wszystkie owady, bardziej nawet zaradne niż ludzie, tylko się uodpornią na chemikalia, toteż skończy się na martwych ptakach, a barczatek będzie jeszcze więcej. Ojciec pracuje nad czymś innym: nad hormonem wzrostu, który całkiem rozreguluje organizm, dzięki czemu gąsienica zbyt wcześnie się przepoczwarzy. Przedwczesne starzenie. Ale gdyby miał się zakładać, mówi, postawiłby na owady. Owady są starsze niż człowiek, bardziej doświadczone w walce o przetrwanie, poza tym jest ich znacznie więcej od nas. A zresztą do końca stulecia pewno wszyscy wylecimy w powietrze, no bo przy takim stanie rzeczy i jeszcze z bombą atomową na dokładkę... Przyszłość należy do owadów.

– Karaluchy. Kiedy już dojdzie co do czego, zostaną same karaluchy. – Mówi to jowialnie, nadziewając ziemniaka na widelec.

Siedzę obok, jem smażoną mielonkę, pijam mlekiem. To rozpuszczony mleczny proszek, najbardziej mi smakują grudki pływające na powierzchni. Myślę o Carol i Grace, o moich najlepszych przyjaciółkach. Równocześnie nie bardzo pamiętam, jak wyglądają. Czy rzeczywiście siedziałam na podłodze w pokoju Grace, na pleconym dywaniku przy łóżku, wycinając z katalogu Eatona patelnie i pralki, wklejając do albumu? Nieprawdopodobne, a przecież wiem, że tak było.



Za obozem drwali leży rozległa poręba. Po drzewach zostały tylko korzenie i pieńki. Pełno tam piachu. Wyrosły krzaki jagód, jak to na pogorzelsku: najpierw wierzbowka, potem jagody. Zbieramy je do cynowych kubków. Matka płaci nam centa za kubek. Przygotowuje jagodowe budynie, sos jagodowy, jagody w wekach, gotuje słoiki w wielkim saganie nad ogniskiem.

Słońce praży, żar bucha z piasku falami. Mam na głowie bawełnianą chustkę złożoną w trójkąt i związaną za uszami, nad czołem jest mokra od potu. Wkoło brzęczą muchy. Wytyżam słuch, staram się wyłowić z brzęczenia inny odgłos, ten, który wydają niedźwiedzie. Nie jestem pewna, jak by zabrzmiał, ale wiem, że niedźwiedzie lubią jagody i że nie sposób przewidzieć ich zachowania. Czasami uciekają. Czasami atakują. Wówczas trzeba się położyć i udawać trupa. Tak twierdzi mój brat. Czasem niedźwiedź odejdzie, mówi, a czasem wyrwie człowiekowi kiszki. Widywałam rybie wnętrzności, potrafię to sobie wyobrazić. Stephen natyka się na niedźwiedzie łajno, granatowe, plamiste, podobne do ludzkiego, wtyka tam patyk, chcąc sprawdzić, czy jest świeże.

Po południu, kiedy robi się za gorąco na zbieranie jagód, pływamy w jeziorze, tam, gdzie łowimy ryby. Nie wolno mi tracić gruntu pod nogami. Woda jest lodowata, mroczna. W głębinie, tam gdzie kończy się piasek, spoczywają wiekowe oślizłe głazy, zatopione pnie, tam żyją raki, pijawki, ogromne szczupaki o wystającej dolnej szczęce. Ryby mają węch, mówi Stephen. Czują nas i trzymają się z dala.

Siadamy na brzegu, na skałach sterczących ze spłachetka piasku, ciskamy w wodę kawałki chleba, patrzymy, co się da zwabić: cierniki, parę okoni. Wyszukujemy płaskie kamyki i puszczamy kaczki, ćwiczymy się w bekaniu na zawołanie, przykładamy usta do ramienia i dmuchamy, co brzmi jak pierdnięcie, nabieramy pełną buzię wody i plujemy jak najdalej. W tych zawodach nie jestem zwyciężcą, raczej widzem. Stephen się nie przechwala, to fakt, pewnie zabawiałby się tak samo, nawet gdyby mnie tam nie było.

Czasami pisze siuškami na wąskiej piaszczystej plaży albo na powierzchni wody. Metodycznie, jakby wiele zależało od jakości wykonania. Mocz wspina się delikatnym łukiem z kąpielówek, z ręki o dodatkowym palcu, pismo jest kanciaste, takie jak normalne pismo mojego brata, na końcu zawsze kropka. W odróżnieniu od innych chłopców – co wiem dzięki zaspom śniegu – Stephen nie wypisuje swojego imienia ani świńskich słów. Pisze: MARS. Albo też, w sprzyjających warunkach, coś dłuższego: JOWISZ. Pod koniec lata ma już przerobiony cały Układ Słoneczny, trzykrotnie.



Jest połowa września. Liście są już ciemnoczerwone, jasnożółte. Kiedy nocą idę do ustępu, bez latarki, bo tak lepiej widać, gwiazdy świecą ostro, krystalicznie, w mroku wyprzedza mnie para z mojego oddechu. Widzę rodziców w oknie, siedzą przy lampie naftowej. Wyglądają jak daleki obraz w czarnej ramie. To niepokojące uczucie tak na nich patrzeć, wtedy gdy nie wiedzą, że ich widzę. Zupełnie jakbym nie istniała albo jakby ich nie było.



Z północy wraca się niczym z wysokiej góry. Opadamy w dół przez warstwy jasności, warstwy chłodu i niezmaconego światła, za ostatnie granity, ostatnie małe jezioro o poszarpanych brzegach, zagłębiamy się w powietrze bardziej gęste, w wilgoć i ciepłą ospałość, w cykanie świerszczy, w zapach południa, zapach trawy i ziół.

Późnym popołudniem stajemy u celu. Dom wygląda dziwnie, inaczej, jak zaczarowany. Wszędzie dookoła z błota wyrosły osty i nawłóć, istny kolczasty żywopłot. Zniknął wykop w sąsiedztwie, zniknęła góra ziemi, na ich miejscu wznosi się nowy dom. Jak to się stało? Nie oczekiwałam tylu zmian.

Pod jabłoniami Grace i Carol, tam gdzie je zostawiłam. Nie wyglądają jednak tak samo. Nie przypominają obrazu, który nosiłam w myślach przez ostatnie cztery miesiące, płynnego obrazu o zaledwie paru wyraźniejszych punktach. Po pierwsze, obie są wyższe. A także inaczej ubrane.

Nie podbiegają do samochodu, po prostu nieruchomieją, gapią się, jakbyśmy byli tu nowi, jakbym nigdy tutaj nie mieszkała. Jest z nimi trzecia dziewczynka. Patrzę na nią, nie mam żadnych przeczuć. Nigdy przedtem jej nie widziałam.

14

Grace macha ręką. Carol po chwili też. Ta trzecia nie. Stoją wśród astrów i nawłoci, czekają, aż się zbliżę. Na drzewach wiszą parchate jabłka, czerwone i żółte. Część opadła, gnije na ziemi. Powietrze przesycza słodka woń jabłecznika, bzyczą pijane osy. Rozgniatam jabłka pod butami.

Grace i Carol się opaliły, ich skóra straciła ziemisty odcień. Rysy mają bardziej wyraziste, włosy jaśniejsze. Trzecia dziewczynka jest najwyższa. Ubrana w sztruksowe spodnie i pulower, nie w letnią sukienkę jak one. Carol i Grace są krępe, ta nowa jest szczupła, lecz nie wiotka: sucha, żylasta. Włosy ma ciemnoblonde obcięte na pazia, grzywka opada jej na zielonkawę oczy. Twarz jest pociągła, usta trochę krzywe, górna warga wygląda tak, jakby ją przecięto, a potem nierówno zszyto.

Prostuje się jednak w uśmiechu. To uśmiech dorosłej osoby, jak gdyby ta dziewczynka się go wyuczyla i teraz stosowała przez grzeczność. Wyciąga rękę.

– Cześć, jestem Cordelia. A ty pewnie jesteś...

Wybałuszam oczy. Gdyby to był ktoś dorosły, ujęłabym rękę, uścisnęła, wiedziała, co powiedzieć. Ale dzieci tak się nie witają.

– Elaine – podpowiada Grace.

Cordelia mnie onieśmiela. Dwa dni jechałam samochodem, sypiałam w namiocie, jestem brudna i potargana. Teraz spogląda tam, gdzie moi rodzice rozładowują samochód. Mierzy ich wzrokiem, wyraźnie rozbawiona. Nie odwracając się, widzę stary kapelusz ojca, jego buciory, zarośniętą twarz, widzę zmierzwioną czuprynę, znoszony sweter i workowate portki brata, szare spodnie matki, jej męską kraciastą koszulę, twarz bez makijażu.

– Masz psią kupę na bucie – odzywa się Cordelia.

Zerkam w dół.

– To tylko zgniłe jabłko.

– Ale kolor ten sam, prawda? Wygląda jak kupa. Nie taka twarda, taka miękka, papkowata, całkiem jak masło orzechowe.

Tym razem mówi porozumiewawczo, jakby chodziło o coś, o czym jedynie wiemy my dwie i co do czego się zgadzamy. Tworzy dwuosobowy krąg, jestem wewnątrz.



Cordelia mieszka dalej na wschód, w rejonie domów jeszcze nowszych niż nasz, również tonących w błocie. Lecz jej dom to nie bungalow, to dom piętrowy. Z jadalnią, którą oddziela od salonu zasłona, można ją rozsunąć i wtedy ma się jeden wielki pokój, a także z łazienką na parterze, łazienką bez wanny, nazywaną damską toaletą.

Kolory w domu Cordelii nie są ciemne, inaczej niż u innych. Przeważają blade szarości, jasne zielenie, biel. Sofa, na przykład, jest jabłkowiezielona. Żadnych tkanin w kwiaty ani w brunatnych kolorach, żadnych pluszów. Wisi tam obraz w jasnoszarych ramach, przedstawiający dwie starsze siostry Cordelii, kiedy były małe, obie w fartuszkach, z puszystymi włosami i zamglonymi oczyma. Stoją żywe kwiaty, kilka gatunków, w grubych obłych wazonach ze szwedzkiego szkła. O tym, że to szwedzkie szkło, dowiadujemy się od Cordelii. Szwedzkie jest najlepsze, twierdzi.

Kwiaty układa jej matka, sama, w ogrodowych rękawicach. Moja matka nigdy nie układa kwiatów. Czasem wetknie parę do wazonika i postawi na stole. Zbiera je podczas spacerów – spaceruje dla zdrowia, zawsze w spodniach – zrywa przy drodze albo w wąwozie. Właściwie to chwasty. Nigdy by jej przez myśl nie przeszło wyrzucać pieniądze na kwiaty. Po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że nie jesteśmy bogaci.

Matka Cordelii ma sprzątaczkę. Tylko ona jedna spośród naszych matek. Sprzątaczkę jednak nie nazywa się sprzątaczką. Mówi się „kobieta”. W dni kiedy przychodzi, musimy się trzymać z daleka, żeby jej nie przeszkadzać.

– Poprzednią kobietę – opowiada Cordelia ściszym, zgorzonym tonem – przyłapaliśmy na kradzieży ziemniaków. Postawiła torbę i ziemniaki się wysypały, potoczyły po całej podłodze. Okropnie niezręczna sytuacja. – To znaczy, niezręczna dla domowników, nie dla kobiety. – Oczywiście, musieliśmy ją zwolnić.

Rodzina Cordelii nie jada jajek na miękko rozgniecionych w miseczce. Używa kieliszków do jaj. Każdy kieliszek nosi inicjały jednego z członków rodziny. Są tam również kółka na serwetki, też z inicjałami. Pierwszy raz słyszę o kieliszkach do jaj, Grace chyba także, bo się nie odzywa. Carol bąka niepewnie, że ma takie w domu.

– Jak już się zje jajko – mówi Cordelia – trzeba przebić na wylot dno skorupki.

– Dlaczego?

– Żeby czarownice nie wypłynęły na morze.

Rzuca to lekko, a zarazem pogardliwie, jakby tylko dureń musiał o to pytać. Możliwe jednak, że żartuje lub się droczy. Jej siostry też mają taki zwyczaj. Trudno wyczuć, kiedy mówią serio. Każde słowo brzmi przesadnie, kpiąco, jak gdyby coś naśladowały, ale nie bardzo wiadomo co.

– O mało nie umarłam – mówią. Albo: – Wyglądam jak nieboskie stworzenie. – Czasami mówią: – Wyglądam jak ostatnia wiedźma. – A czasami: – Wyglądam jak Torba Borba. – To szpetna starucha, którą sobie wymyśliły. Lecz tak naprawdę wcale nie wierzą ani w to umieranie, ani w swoją brzydotę. Obie są piękne: jedna ciemnowłosa, żywa, druga blondynka o łagodnym, rozmarzonym spojrzeniu. Cordelia ma inny typ urody.

Siostry nazywają się Perdita i Miranda, ale nikt tak się do nich nie zwraca. Mówi się Perdie i Mirrie. Perdie to ta ciemna, chodzi na balet, a Mirrie gra na altówce. Altówka leży w szafie, Cordelia ją wyciąga i nam pokazuje, tajemniczą i drogocenną, zamkniętą w futerale wykładanym aksamitem. Perdie i Mirrie dobrodusznie się przekomarzają, podśmiewają z tych zajęć, lecz Cordelia twierdzi, że obie są utalentowane. Brzmi to zupełnie tak, jakby były naznaczone, kojarzy mi się ze śladem po szczepieniu. Pytam Cordelię, czy także jest utalentowana, ale odwraca się z językiem w kąciку ust, jakby myślała o czymś innym.

Cordelia właściwie powinna zostać Cordie. Upiera się jednak, żeby zawsze się do niej zwracać pełnym imieniem. Wszystkie trzy imiona brzmią dziwacznie, w naszej szkole takich się nie spotyka. Zaczerpnięte z Szekspira, wyjaśnia Cordelia. Najwyraźniej uważa, że to powód do dumy, a w ogóle rzecz sama przez się zrozumiała.

– Mamunia tak wymyśliła – dodaje.

Wszystkie siostry nazywają matkę „mamunią”, mówią o niej z miłością i pobłażaniem niczym o mądrym, lecz upartym dziecku, któremu trzeba ustępować. Jest drobniotka, krucha, roztargniona, nosi okulary na srebrnym łańcuszku zawieszonym na szyi. Bierze lekcje malarstwa. Parę jej obrazów wisi w holu na piętrze, przedstawiają zielonkawe kwiaty, trawniki, butelki, wazony.

Dziewczynki oplotły mamunię pajęczyną spisku. Zgodnie zatajają pewne rzeczy. – Mamunia nie może się o tym dowiedzieć – przypominają sobie nawzajem. Nie chcą jej sprawiać zawodu. Perdie i Mirrie starają się jak najmniej krępować i robić, co chcą, ale tak, by nie rozczarować mamuni. Cordelii brakuje tej elastyczności: trudniej jej robić to, na co ma ochotę, częściej sprawia mamuni zawód. Właśnie

tak mówi mamunia, kiedy się rozłości: – Sprawiała mi zawód. – Jeżeli bardzo się zawiedzie, wkracza ojciec Cordelii, a to już poważna sprawa. Z ojcem nie ma żartów ani przekomarzanek. To rosły mężczyzna, niedźwiedziowaty, czarujący, owszem, słyszałyśmy jednak, jak wrzeszczy na górze.

Siedzimy w kuchni, z dala od szczotek i ścierek „kobiety”, czekamy na Cordelię. Znowu sprawiła zawód, musi posprzątać w swoim pokoju. Wchodzi Perdie, płaszcz z wielbłądziej wełny luźno, z gracją narzuciła na jedno ramię, szkolne podręczniki opiera o biodro.

– Wiecie, kim chce być Cordelia, jak dorośnie? – pyta tym swoim matowym głosem, poufnie, niby to serio. – Konie!

Nie sposób się połapać, czy to prawda, czy nie.



Cordelia ma pełną szafę najróżniejszych kostiumów: starych sukienek mamuni, starych szalów, starych prześcieradeł, które można pociąć i udrapować. Kiedyś należały do Perdie i Mirrie, ale obie z nich wyrosły. Chce wystawiać sztuki w jadalni, tam będzie scena z kurtyną. Możemy nawet zaprosić publiczność i pobierać opłaty za wstęp. Cordelia gasi światło, wsuwa latarkę pod brodę, wybucha niesamowitym śmiechem: tak to się robi. Widziała już różne sztuki, raz nawet balet. *Giselle*, rzuca niedbale, jak do wtajemniczonych. Lecz nasze przedstawienia nigdy nie wypadają tak, jak by sobie tego życzyła. Carol chichocze i nie pamięta tekstu. Grace nie lubi, kiedy ktoś jej rozkazuje, zaraz mówi, że ją boli głowa. Nie interesuje się zmyślonymi historiami, chyba że zawierają dużo konkretów: tosterów, desek do prasowania, garderoby gwiazd filmowych. Nie rozumie melodramatów Cordelii.

– Teraz się zabijasz – oznajmia Cordelia.

– Dlaczego? – pyta Grace.

– Bo zostałaś porzucona.

– Nie chcę.

Carol, która gra pokojówkę, zaczyna chichotać.

A zatem tylko się przebieramy, wędrujemy na dół, kroczyliśmy po trawniku świeżo obłożonym darnią, wlokąc za sobą szale. Nie wiemy, co dalej. Żadna nie chce grać męskich ról, bo nie mamy odpowiednich kostiumów, chociaż czasem Cordelia rysuje sobie wąsy ołówkiem do brwi podebranych Perdie i owija się starą aksamitną zasłoną. Podejmuje ostatnią rozpaczliwą próbę zawiązania akcji.



Razem wracamy ze szkoły, teraz już we czwórkę. Na bocznej uliczce w połowie drogi do domu jest mały sklepik, tam się zatrzymujemy, wydajemy kieszonkowe na kulki gumy do żucia, czerwoną

lukrecję, pomarańczowe lizaki. Każda dostaje po równo. W rowach leżą kasztany, wilgotne i lśniące, upychamy je po kieszeniach, choć na razie nie wiemy, do czego nam posłużą. Chłopcy z naszej szkoły i ci od Matki Boskiej Nieustającej Pomocy urządzają bitwy na kasztany, ale to nie dla nas. Można komuś wybić oko.

Ścieżka prowadząca na mostek jest sucha, pełna kurzu, liście drzew ponad nią są brudnozielone, umęczone po lecie. Brzegi ścieżki porasta gąszcz zielska: nawłóć, krostawiec, astry, łopiany, wilcza jagoda o czerwonych jak landrynki owocach. Znakomita, gdyby się chciało kogoś otruć, mówi Cordelia. Wilcza jagoda pachnie ziemią, wilgotną, gliniastą, drażniącą, i kocimi siuškami. Grasują tutaj koty, widzimy je codziennie. Kulą się, czają do skoku, rozdrapują ziemię, wytrzeszczają żółte oczy, jakby na nas polowały.

W gęstwinie walają się puste butelki po wódce i chusteczki higieniczne. Któregoś dnia znajdujemy prezerwatywę. Cordelia wie, że to prezerwatywa, powiedziała jej to kiedyś Perdie. Była wtedy mała i myślała, że to balonik. Wie, że używają tego mężczyźni, ci, na których musimy uważać, ale nie umie wyjaśnić, co dokładnie znaczy ta nazwa. Podnosimy prezerwatywę końcem patyka, przyglądamy się: biaława, flakowata, gumista, przypomina rybi pęcherz. – Faj! – krzywi się Carol. Ukradkiem zanosimy to paskudztwo na górę, wpychamy do studzienki kanalizacyjnej. Unosi się na powierzchni ciemnej wody, blade jak topielec. Znalezienie czegoś takiego jest już nieprzyzwoite, nawet jeśli się to ukryje.

Drewniany mostek jest bardziej przekrzywiony, bardziej zbutwiały, niż zapamiętałam. Zieje więcej dziur, tam gdzie odpadły deski. Z reguły idziemy środkiem, lecz dzisiaj Cordelia podchodzi do poręczy, opiera się, wychyla. Dołączamy się z ociąganiem, jedna za drugą. O tej porze roku strumień jest płytki, widać, ile śmieci ludzie tu nawrzuwali, poniewierają się zużyte opony, potłuczone butelki, zardzewiałe żelastwo.

Cordelia twierdzi, że skoro strumień wypływa z cementarza, to powstał z rozpuszczonych umrzyków. Jeśli się napić tej wody, mówi, jeśli wejść do strumienia czy choćby tam się zbliżyć, umrzyki wynurzą się spowite mgłą i porwą człowieka ze sobą. Nam nic nie grozi, mówi, ale tylko dlatego, że stoimy na mostku, a mostek jest z drewna. Mosty zapewniają bezpieczeństwo nad takimi trupimi strumieniami.

Carol się boi, a może udaje strach. Głupie gadanie, prycha Grace.

– Same się przekonajcie – rzuca Cordelia. – No, dalej, zejście na dół. Wyzywam was.

Żadna nie rusza się z miejsca.

To tylko zabawa, wiem. Moja matka spaceruje w wąwozie, brat też tutaj się zapuszcza ze starszymi chłopcami. Brodzą w kaloszach po płyciźnie, huśtają się na drzewach i na niższych belkach mostu. Wąwóz to miejsce zakazane nie z powodu umrzyków, tylko mężczyzn. Mimo wszystko się zastanawiam, jak by wyglądał taki umrzyk. Wierzę i zarazem nie wierzę w ich istnienie.

Zrywamy niebieskie i białe kwiatki, garść owoców wilczej jagody, układamy na liściach łopianu koło ścieżki, dodajemy po kasztanie. To taki niby-poczęstunek, chociaż nie wiadomo dla kogo. Skończywszy, wracamy na górę, zostawiamy te kompozycje, na wpół bukiety, na wpół dania. Musimy dokładnie umyć ręce, przypomina Cordelia, bo dotykałyśmy wilczej jagody, trzeba spłukać trujący sok. Wystarczy jedna kropla, żeby zmienić człowieka w upiora.

Kiedy nazajutrz wracamy ze szkoły, po naszym poczęstunku nie ma śladu. Pewnie chłopcy go zniszczyli, lubią niszczyć takie rzeczy, chłopcy albo czyhający mężczyźni. Lecz Cordelia szeroko otwiera oczy, zniża głos, ogląda się przez ramię.

– To umrzyki – mówi. – Bo niby kto?

15

Kiedy brzęczy dzwonek, ustawiamy się przed drzwiami z napisem DZIEWCZĘTA. Stoimy dwójkami, trzymając się za ręce: Carol i ja, Grace i Cordelia kawałek za nami, gdyż są o klasę wyżej. Mój brat stoi naprzeciwko CHŁOPCÓW. Na przerwach znika w głębi żuźlowego boiska, gdzie w zeszłym tygodniu podczas meczu piłki nożnej ktoś go kopnął w usta, tak że skończyło się szyciem. Oglądałam szwy z bliska, czarną nitkę okoloną siną opuchlizną. Odczuwam podziw. Wiem, jaki szczególny status nadają rany.

Teraz, gdy zamiast spodni na powrót noszę spódnicę, muszę pamiętać o ruchach. Nie można siadać z rozkraczonymi nogami, podskakiwać zbyt wysoko ani wisieć głową w dół, nie wystawiając się na pośmiewisko. Musiałam na nowo oswoić się z rangą bielizny, z całą tą osobną bieliznianą liturgią:

Od Jukonu do Kamczatki

Wszyscy widzą twoje gatki.

Albo też:

Ja nie wiedzieć, mnie to zwisać,

Ja na gacie się nie pisać.

Tak wołają chłopcy, strojąc małpie miny.

Bielizna budzi wiele domysłów, zwłaszcza bielizna nauczycieli, a ściślej biorąc nauczycielek. Bielizna męska nie ma znaczenia. Nauczycieli zresztą jest niewiele, ci nieliczni to starsi panowie, młodych zabrała wojna. Uczą nas głównie kobiety nie pierwszej już młodości, kobiety niezamężne. Mężatki nie pracują: wiemy to od własnych matek. Podstarzała samotna kobieta to osobliwe stworzenie, śmiechu warte.

Na przerwie Cordelia rozdziela bieliznę: lawendowe falbanki dla panny Pigeon, tłustej i przesłodzonej; dla panny Stuart majtasy w szkocką kratę obszyte koronką, do kompletu z chusteczkami; czerwone satynowe pantalony dla panny Hatchett, która jest po sześćdziesiątce i nosi broszki z granatami. Same nie wierzymy w te złośliwe wymysły, ale tak czy owak sprawiają nam satysfakcję.

Mnie uczy panna Lumley. Krążą słuchy, że co rano przed dzwonkiem, nawet późną wiosną, kiedy

jest ciepło, idzie na tył klasy i zdejmuję reformy, jakoby z granatowej wełny, zalatujące kulkami na mole oraz innymi, mniej sprecyzowanymi substancjami. Akurat ta bielizna nie należy do sfery przypuszczeń ani wymysłów, jak wieść niesie, to potwierdzony fakt. Kilka dziewczynek, którym się zdarzyło zostać dłużej po lekcjach, utrzymuje, że widziały, jak panna Lumley wciąga reformy, inne podobno je wypatrzyły na kołku w szatni. Aura owych ciemnych, tajemniczych, odrażających majtasów nieustannie otacza pannę Lumley, zabarwia powietrze wokół niej. Wzmaga grozę, choć i bez tego nauczycielka budzi przestrach.

Moja nauczycielka z ubiegłego roku była miła, lecz tak nijaka, że Cordelia nawet jej nie włącza do zabawy. Miała twarz jak bułeczka i cerę koloru galaretki migdałowej, sprawowała władzę opartą na przymilankach. Panna Lumley opiera władzę na strachu. Jest niska, klockowata, toteż jej stalowoszary rozpinany sweter spływa z ramion prosto do bioder, bez śladu wcięcia w talii. Zawsze nosi ten sweter i ciemną spódnicę, jedną z wielu – niemożliwe, żeby to była wciąż ta sama. Ma okulary w drucianej oprawce, za którymi trudno dojrzeć oczy, i czarne pantofle na słupku. Jej usta w nikłym uśmiechu przypominają szramę. Jeżeli ktoś zasłuży na baty, nie wysyła go do dyrektora, sama wymierza karę przed całą klasą, przytrzymując rękę winowajcy i zadając prędkie, ostre, dokładne ciosy czarną gumą. Twarz ma bladą i drżącą. My się przyglądamy, krzywimy, do oczu mimo woli napływają nam łzy. Niektóre dziewczynki pochlipują, chociaż ktoś inny dostaje lanie, to nierozsądne. Panna Lumley nie cierpi chlipania, może powiedzieć: – Zaraz ci dam prawdziwy powód do płaczu. – Uczymy się siedzieć prosto, patrzeć przed siebie, z twarzą bez wyrazu, z obiema stopami na podłodze, słuchając trzasku gumy o kurczące się ciało.

Zazwyczaj to chłopcy obrywają. Podobno bardziej potrzebują bata. Na dodatek się wiercą, zwłaszcza przy szyciu. Szyjemy rękawice kuchenne dla matek. Chłopcom niezbyt to się udaje. Ścieg wychodzi gruby, bezkształtny, poza tym ciągle kłują się nawzajem igłą. Panna Lumley kroczy między rzędami i wali linijką po nadgarstkach.



Klasa jest wysoka, żółtawobrazowa, z tablicami na dwóch sąsiednich ścianach, z oknami o wielu szybkach i z kaloryferami na ścianie przeciwległej. Nad drzwiami do szatni, przez co człowiek ma wrażenie, że ktoś go od tyłu obserwuje, wisi spora fotografia króla i królowej – króla obwieszono medalami, królowej odzianej w suknię balową i w brylantowym diademie. Stoją rzędy wysokich drewnianych ławek, dwuosobowych, o spadzistym blacie z dziurą na kałamarz. Ta sala niczym się nie różni od innych sal w budynku, ale wydaje się ciemniejsza, może dlatego że mniej tu ozdób. Poprzednia nauczycielka, zawzięcie próbując nam się przypodobać, zносиła do szkoły wycinanki, za jej czasów okna zawsze oplatała papierowa roślinność. I chociaż panna Lumley również świętuje w ten sposób nadejście kolejnych pór roku, to rośliny, które wycinamy pod spojrzeniem jej błyszczących oczu okolonych drucianymi oprawkami są mniejsze, dziwnie skurczone i nigdy ich nie starcza na pokrycie nagiej powierzchni ścian i szkła. A jeżeli jesienny liść albo dynia okażą się niesymetryczne, panna Lumley czegoś takiego nie powiesi. Ma swoje kryteria.

W tym roku dostajemy większą dawkę brytyjskości. Uczymy się rysować flagę brytyjską, pod linijkę, zapamiętując różne krzyże: świętego Jerzego, patrona Anglii, świętego Patryka, patrona Irlandii, świętego Andrzeja, patrona Szkocji, świętego Dawida, patrona Walii. Nasza flaga jest czerwona, z małą flagą brytyjską w rogu, ale Kanada nie ma swojego świętego. Uczymy się wymieniać wszystkie różowe obszary na mapie.

– Nad Imperium Brytyjskim słońce nigdy nie zachodzi – mówi panna Lumley, stukając w rozwijaną mapę długą drewnianą wskazówką. W krajach nienależących do Imperium Brytyjskiego ucina się języki dzieciom, zwłaszcza chłopcom. Zanim nastąpiło Imperium Brytyjskie, w Indiach nie było kolei ani poczty, w Afryce toczyły się wojny plemienne na włócznie i ludzie nie mieli przyzwoitych ubrań. Indianie w Kanadzie nie znali koła ani telefonu i zjadali serca swoich wrogów w barbarzyńskim przeświadczeniu, że dzięki temu staną się odważni. Imperium Brytyjskie wszystko zmieniło. Wniosło światło elektryczne.

Co rano panna Lumley podaje piskliwy metaliczny ton na kamertonie-piszczalce, wówczas wstajemy i śpiewamy *God save the King*. Śpiewamy również:

Rządź, Brytanio, Brytania rządzi falami;

Brytyjczycy nigdy, nigdy, nigdy nie będą niewolnikami.

Jako Brytyjczycy nigdy nie będziemy niewolnikami. Tyle że nikt tutaj nie jest prawdziwym Brytyjczykiem, ponieważ jest zarazem Kanadyjczykiem. To już coś trochę gorszego, chociaż owszem, zasługuje na osobną piosenkę:

Dawnymi laty z Brytanii brzegów

Przybył tu Wolfe, bohater nieulekły,

I mocno zatknął brytyjski sztandar

Na kanadyjskiej ziemi pięknej.

Niechaj powiewa sławetny, dumny,

Miłością niechaj wiąże

Oset i różę, koniczyny kwiat,

Klonowy Liść na zawsze.

Kiedy tak śpiewamy, pannie Lumley przerażająco drga szczeka. Wolfe to imię odpowiednie raczej dla psa, lecz ten człowiek pokonał Francuzów. Coś tu się nie zgadza. Widziałam niejednego Francuza, mnóstwo ich mieszka na północy, pewnie więc nie pokonał wszystkich. Jeśli zaś idzie o klonowy liść, to strasznie trudno go narysować na naszej czerwonej fladze. Nikomu nie wychodzi jak trzeba.

Panna Lumley przynosi wycinki prasowe o rodzinie królewskiej i przyczepia je na bocznej tablicy. Niektóre, te stare, ukazują księżniczkę Elżbietę i księżniczkę Małgorzatę Różę w skautowskich mundurkach, wygłaszające przemówienia radiowe i inne w czasie Blitzkriegu. Powinniśmy brać przykład z księżniczek, daje do zrozumienia panna Lumley. Stać się równie godni zaufania, lojalni, odważni, heroiczni.

Na tablicy wiszą też inne zdjęcia z gazet, przedstawiają wychudłe, obdarte dzieci na tle ruin. Mają nam przypominać o głodujących sierotach wojennych w Europie. Musimy o nich pamiętać i zjadać

okruszki chleba, łupiny ziemniaków, w ogóle niczego nie zostawiać na talerzu, bo marnotrawstwo to grzech. Poza tym nie wolno narzekać. Nie mamy prawa się skarżyć, ponieważ nam się poszczęściło: dzieciom angielskim zburzono domy, a nasze stoją nietknięte. Znosimy do szkoły używaną odzież, panna Lumley pakuje ją w szary papier i wysyła do Anglii. Niewiele mogę przynieść, gdyż matka stare ubrania drze na ściereczki, udaje mi się jednak ocalić sztruksowe spodnie, niegdyś brata, później moje, teraz za ciasne, a także wełnianą koszulę ojca, która zbiegła się w praniu. Dziwnie się czuję, myśląc, że ktoś inny, ktoś w Anglii, będzie chodzić w moich rzeczach. Są częścią mnie, nawet te, z których wyrosłam.

Wszystko to – flagi, piosenki na sygnał piszczałki, Imperium Brytyjskie i księżniczki, sieroty wojenne, nawet baty – wszystko się nakłada na złowieszcze granatowe tło niewidocznych reform. Nie potrafię rysować flagi brytyjskiej ani śpiewać *God save the King*, jednocześnie o nich nie myśląc. Czy rzeczywiście istnieją? Czy kiedykolwiek zdarzy mi się ujrzeć, jak panna Lumley je wkłada lub też – wręcz nie do pomyslenia – zdejmuje?

Nie boję się węży ani robaków. Reform tak. Jeżeli faktycznie je zobaczę, tym gorzej dla mnie. Są świętością, czymś zarazem godnym najwyższej czci i głęboko wstydliwym. Jeśli mają jakąś ukrytą skazę, może ja mam taką samą, bo chociaż panna Lumley z pewnością nie jest dziewczynką, to jednak chłopcem też nie. Kiedy na głos mosiężnego dzwonka ustawiamy się w pary przed drzwiami dla dziewcząt, należymy do tej samej kategorii co ona.

IV

WILCZA JAGODA

16

Idę Queen Street, mijam antykwiariaty z komiksami, wystawy pełne kryształowych jajek i muszli, sterty pośepnie czarnych ubrań. Wiele bym dała, żeby znów się znaleźć w Vancouverze, siedzieć z Benem przy kominku, spoglądać na zatokę, gdy gigantyczne ślimaki chrupią zieleninę w ogródku. Kominki, ogródki: ani mi się śniły, kiedy tu przychodziłam do Jona, do tamtego mieszkania nad hurtownią walizek. Za rogiem była Tawerna Pod Klonowym Liściem, gdzie w półmroku popijałam beczkowe piwo, a dwa skrzyżowania dalej Akademia Sztuk Pięknych, gdzie rysowałam nagie kobiety i umierałam z tęsknoty. Ilekroć przejeżdżał tramwaj, grzechotały szyby od frontu. Tramwaje wciąż tutaj jeżdżą.

– Nie chcę jechać – powiedziałam do Bena.

– Nikt ci nie każe – odparł. – Odwołaj to. Jedź ze mną do Meksyku.

– One tam sobie zadały wiele trudu. Słuchaj, czy ty w ogóle wiesz, jak trudno sobie załatwić retrospektywę, wszystko jedno gdzie, jeśli się jest kobietą?

– Dlaczego to takie ważne? – spytał. – I bez tego się sprzedajesz.

– Muszę jechać. Nie mogę ich zawieść.

Wychowałam się na „proszę” i „dziękuję”.

– W porządku. Wiesz, co robisz.

Przytulił mnie. Oby tak było.



Oto i A-Wersje, pomiędzy sklepem zaopatrującym restauracje a gabinetem tatuażu. Z czasem po obu nie zostanie śladu. Przybytki typu A-Wersji, skoro już się pojawią, są jak zapowiedź katastrofy.

Otwieram drzwi, wchodzę na miękkich nogach, jak zwykle, do galerii. Dobijają mnie te dywany, ta cisza, nabożność. Galerie zanadto przypominają kościoły, aż gęsto tutaj od czci, jeszcze trochę, a ludzie zaczną padać na kolana. Poza tym wcale mi się nie podoba, że obrazy lądują w takim miejscu, na błędnych nijakich ścianach, w świetle reflektorków, wyjałowione, niegroźne, do przyjęcia. Zupełnie

jakby ktoś je spryskał odświeżaczem powietrza, żeby zabić zapach. Odór krwi na tytku.

Ta galeria nie jest całkiem wymuszkana, tu i tam pobrzmiewa ostrzejszy akcent: wystające rury, jedna ściana czarna. Nie przyglądam się poprzedniej wystawie, nienawidzę tych neoekspresjonistycznych brudnych zieleni i zgniłych oranżów, post tego, post owego. W dzisiejszych czasach wszystko nosi etykietkę „post”, jakbyśmy byli zaledwie przypisem do wcześniejszych prądów dostatecznie oryginalnych, by zasłużyć na własną nazwę.

Kilka moich obrazów wypakowali ze skrzyń, stoją oparte o ścianę. Ktoś je wytropił, wypożyczył od właścicieli, zebrał. Nie zaliczam się do właścicieli. Pech, teraz bym sprzedawała drożej. Nazwisko właściciela zostanie umieszczone na małej białej karteczce pod obrazem, tuż obok mojego nazwiska, jak gdyby sam fakt posiadania stał na równi z aktem twórczym. Tak zresztą ci ludzie uważają.

Gdybym obcięła sobie ucho, czy podskoczyłaby wartość rynkowa obrazów? A jeszcze lepiej, gdybym wsadziła głowę do piekarnika, strzeliła sobie między oczy. Bogaci kolekcjonerzy chętnie kupują – między innymi – szczyptę cudzego szaleństwa.

Obraz sprzed dwudziestu lat stoi odwrócony prawą stroną: pani Smeath pięknie oddana temperą żółtkową, z siwą koroną włosów najeżoną szpilkami, z kartoflaną twarzą, w okularach, ubrana tylko w kwiecisty fartuch wybrzuszony w ową pojedynczą niby-pierś. Leży na brunatnej pluszowej kanapie, która ulatuje do raju, raj wypełniają figusy, na niebie wisi księżyc w kształcie serwetki. Obraz nosi tytuł *Fikus: wniebowstąpienie*. Anioły wokół pani Smeath to bożonarodzeniowe nalepki z lat czterdziestych, czyściutkie dziewczynki w białych sukienkach i z lokami kręconymi na papilotach. W górze widnieje napis RAJ wykonany za pomocą dziecięcego szablonu rysunkowego. Świetny pomysł, jak wówczas mi się wydawało.

Pamiętam, za ten obraz zdrowo dostałam w tyłek. Ale nie z powodu szablonu.

Nie przyglądam mu się długo, podobnie całej reszcie. Inaczej zaraz znajdę Bóg wie jakie niedociągnięcia. Będę chciała porznać obrazy fińskim nożem, podpalić, wyczyścić ściany. Zacząć od nowa.



Podchodzi do mnie kobieta, blondynka ostrzyżona „na jeża” – wersja złagodzona – w fioletowym kombinezonie i zielonych skórzanych botkach. Natychmiast zdaję sobie sprawę, że bladobłękitny dres to błąd. Niepoważny kolor. Trzeba było się ubrać na czarno, w czerń zakonnicy, czerń Drakuli, jak wszystkie porządne malarki. Do tego wampirza szminka barwy zakrzepłej krwi, a nie ta cukierkowa Różana Perfekcja. Tyle że wtedy naprawdę wyglądałabym jak Torba Borba. W tym wieku cera nie znosi dodatków à la kisiel z czarnej porzeczki, stałabym tu trupio blada, strasząc wszystkich zmarszczkami.

Przetrzymam ten dres, udam, że to naumyślnie. Dres jako obrazoburstwo – bo niby dlaczego nie? Bladobłękitny dres jest bezpretensjonalny. Jeżeli człowiek ubiera się niemodnie, to zarazem nigdy się nie ubiera modnie, przynajmniej więc nie pokaże się w modelu z zeszłego sezonu. Tak też usprawiedliwiam własne malarstwo, w każdym razie usprawiedliwiałam całymi latami.

– Cześć – odzywa się kobieta. – To ty jesteś Elaine! Wyglądasz zupełnie inaczej niż na zdjęciu.

– Ciekawe jak: lepiej czy gorzej? – Wiele razy rozmawialiśmy przez telefon. Nazywam się Charna. – W Toronto nie spotykało się takich imion. Uścisk dłoni miażdży mi palce, ta kobieta nosi z dziesięć grubych srebrnych pierścionków, istny kastet. – Właśnie się zastanawiamy nad kolejnością. – Zauważam jeszcze dwie kobiety, każda wygląda pięć razy bardziej artystycznie niż ja. Kolczyki w duchu sztuki abstrakcyjnej, wymyślne fryzury. Czuję się jak szmaciara.

Kupiły wytworne kanapki z kielkami i awokado, kawę z gotowanym mlekiem. Jedząc i popijając, ustaliśmy, jak rozwiesić obrazy. Proponuję układ chronologiczny, ale Charna ma inną koncepcję, wolałaby zgodność tonalną, rezonans, sprzężenie i wzmocnienie wypowiedzi. Coraz bardziej się denerwuję, od takiego gadania dostaję gęsiej skórki. Z niejakim trudem zachowuję milczenie, staram się opanować. Najchętniej powiedziałabym, że boli mnie głowa i chcę iść do domu. Powinnam być wdzięczna, te kobiety są po mojej stronie, to z myślą o mnie wszystko zaplanowały, pragną mnie uhonorować, lubią moje obrazy. Ale zupełnie do nich nie pasuję, jakbyśmy należały do dwóch różnych gatunków.

Jon jutro wraca z Los Angeles, obsłużył już ofiarę piły łańcuchowej. Nie mogę się doczekać. Wykiwamy jego żonę, pójdziemy na lunch, oboje z poczuciem, że się wymykamy niby para złodziejasków. A przecież koleżeńskie spotkanie z byłym mężem to jedynie znak oglady: dobra koda po tyłu strzaskanych talerzach, po takiej jatce. Znamy się od początku świata. W moim wieku, w naszym wieku, to się liczy. Co więcej, z tej perspektywy Jon jest niczym wybawienie.

Zjawia się ktoś jeszcze, następna kobieta.

– Andrea! – Charna maszeruje w jej stronę. – Spóźniłaś się. – Całuje Andreę w policzek, prowadzi do mnie, trzymając ją pod ramię. – Andrea chce coś o tobie napisać. Specjalnie na otwarcie.

– Pierwszy raz słyszę. – Wpadłam w potrzask.

– Bo to wyskoczyło w ostatniej chwili. Mamy szczęście! Siądziecie sobie w pokoju na zapleczu, dobrze? Przyniosę kawę. Trzeba puścić słówko w świat, jak mawiają pismaki – zwraca się do mnie, uśmiechając się niewyraźnie. Posłusznie drepczę korytarzem. Nawet dziś kobiety pokroju Charny bez trudu mną dyrygują.

– Myślałam, że będziesz inna – odzywa się Andrea, kiedy się sadowimy w biurze.

– To znaczy jaka? – pytam.

– Większa.

Uśmiecham się do niej.

– Jestem większa.

Andrea ocenia mój błękitny dres. Sama jest ubrana na czarno, w stosowną olśniewającą czerń, nie w taki relikw z wczesnych lat sześćdziesiątych, w jakim ja bym wystąpiła. Włosy ma zrobione na rudo farbą w aerozolu, aż razi w oczy, fryzura przypomina kapturek żółędzia. Irytująco młoda dziewczyna. Z mojego punktu widzenia ledwie nastolatka, chociaż musi być po dwudziestce. Prawdopodobnie uważa mnie za dziwadło, za podstarzałego babsztyla w typie swojej nauczycielki ze szkoły. Prawdopodobnie chce mnie dopaść. Prawdopodobnie jej się uda.

Siedzimy naprzeciw siebie przy biurku Charny, Andrea odkłada aparat fotograficzny, gmera przy magnetofonie. Pisuje do gazety.

– Do działu „Samo życie” – wyjaśnia.

Wiem, o co chodzi, kiedyś ten dział się nazywał „Kącik kobiecy”. Ależ wymyślili, zupełnie jakby tylko kobiety były żywe, a cała reszta, na przykład dział sportowy, obsługiwała nieboszczyków.

– „Samo życie”, co? – rzucam. – Jestem matką dwojga dzieci. Piekę ciasteczka.

Wszystko święta prawda. Andrea zerka na mnie spode łba i włącza magnetofon.

– Jak sobie dajesz radę ze sławą? – pyta.

– Z jaką znowu sławą? Biust Elizabeth Taylor to jest sława. A tamto najwyżej pryszcz.

Uśmiecha się szeroko.

– W takim razie może powiesz coś o swoim pokoleniu artystów... pokoleniu artystek, o waszych pragnieniach i celach?

– Malarek – poprawiam ją. – A jakie to pokolenie?

– Lat siedemdziesiątych, czy nie tak? Właśnie wtedy kobiece... to znaczy, wtedy wzbudziłyście zainteresowanie.

– Lata siedemdziesiąte to nie moje pokolenie.

Znów się uśmiecha.

– Więc jakie lata?

– Czterdzieste.

– Czterdzieste? – Dla niej to czysta archeologia. – Ale przecież nie mogłaś...

– Wtedy dorastałam – wyjaśniam.

– Aha, rozumiem. Ten okres cię ukształtował. W jaki sposób? Jakie odbicie znajduje w twojej twórczości?

– Na przykład kolorystyka. Wiele moich kolorów to kolory lat czterdziestych. – Łagodnieję. Przynajmniej nie powtarza w kółko „jakby” albo „no wiesz”. – Wojna. Są ludzie, którzy pamiętają wojnę, i tacy, którzy nie pamiętają. To cezura. To różnica.

– Wojnę w Wietnamie?

– Nie – mówię oziębłe. – Drugą wojnę światową.

Wygląda na lekko wystraszoną, jak gdybym przed chwilą zmartwychwstała, a i to nie całkiem. Nie wiedziała, że jestem aż taka stara.

– Na czym polega różnica? – pyta.

– Zachowujemy czujność. Zjadamy wszystko z talerza. Nie wyrzucamy sznurka. Zadowolamy się minimum koniecznym.

Najwyraźniej zbiłam ją z tropu. Dostyc o latach czterdziestych. Zaczynam się pocić. Czuję się tak, jakbym siedziała u dentysty, szkaradnie rozdziawiona, podczas gdy ktoś obcy z lampą i lusterkiem zagląda mi w gardło, obserwuje coś, czego ja nie widzę.

Zgrabnie, inteligentnie Andrea prowadzi od wojny z powrotem do kobiet, czyli tam, gdzie od początku chciała się znaleźć. Czy kobiecie jest trudniej, czy się spotykałam z dyskryminacją, czułam się niedoceniana? Co powiem o dzieciach? Udzielam mało przydatnych odpowiedzi. Wszyscy malarze czują się niedoceniani. Można pracować, kiedy dzieci są w szkole. Mój mąż to wspomniały człowiek, ogromnie mi pomaga, pomagał również finansowo. Nie mówię, który mąż.

– Więc nie uważasz, że to trochę poniżające tak się podpierać mężczyzną?

– Mężczyźni bez przerwy się nami podpierają. Mała odmiana nie zaszkodzi.

Niezupełnie to pragnie usłyszeć. Wolałaby jakieś pikantne historie, choć sama o sobie z pewnością nie może takich opowiadać, jest za młoda. Niemniej po kimś w moim wieku spodziewa się wstrząsających relacji: przynajmniej o znieważaniu, wyśmiewaniu. O nauczycielach, którzy podszczypują przyszłą artystkę, mówią do niej „kiciu”, pytają, dlaczego żadna kobieta nie została wielką malarką, czegoś w tym duchu. Wolałaby, żebym była wściekła i niepowtarzalna.

– Czy miałaś żeńskich metrów?

– Kogo?

– No, jakby nauczycielki albo inne malarki, które podziwiałaś.

– Więc raczej metrki? – rzucam złośliwie. – Nie, nie miałam. Uczył mnie mężczyzna.

– Kto taki?

– Josef Hrbik. Dusza człowiek – dodaję pospiesznie. Josef idealnie spełniłby jej oczekiwania, ale ode mnie tego nie usłyszy. – Nauczył mnie rysować nagie kobiety.

Tutaj ją zaskoczyłam.

– A co możesz powiedzieć, no wiesz, o feminizmie? Wiele osób nazywa cię malarką feministyczną.

– No właśnie, co. Nienawidzę dyscypliny partyjnej, nienawidzę getta. Zresztą ja tego nie wymyśliłam, bo jestem za stara, a ty nie rozumiesz, bo jesteś za młoda, więc po co w ogóle o tym mówić?

– Czyli takie określenie nic dla ciebie nie znaczy?

– Miło wiedzieć, że moja twórczość podoba się kobietom. Tym lepiej.

– A mężczyznom się podoba? – pyta chytrze. Widać grzebała w najstarszych teczkach, trafiła na kawałki z wiedźmami i diabolicami.

– Którym mężczyznom? Nie wszystkim podobają się moje obrazy. Nie dlatego, że jestem kobietą. Jeśli ludziom nie podobają się obrazy mężczyzny, to nie dlatego, że jest mężczyzną. Po prostu się nie podobają, kropka. – Stąpam po cienkim lodzie, doprowadza mnie to do furii. Głos mam spokojny, w żyłach buzuje kawa.

Andrea marszczy brwi, bawi się magnetofonem.

– W takim razie czemu ciągle malujesz kobiety?

– A co mam malować, mężczyzn? Jestem malarką. Malarka czy malarz, wszyscy malują kobiety. Rubens malował kobiety, Renoir malował kobiety, Picasso malował kobiety. Każdy maluje kobiety. Co w tym złego?

– Ale nie tak.

– To znaczy jak? A zresztą dlaczego moje kobiety miałyby wyglądać tak samo?

Mimo woli zaczęłam skubać palce, teraz się opanowuję. Za chwilę będę dzwonić zębami jak osaczona mysz. Głos Andrei coraz bardziej się oddala, niemal jej nie słyszę. Za to widzę jasno i wyraźnie: wypukły ściąg na kołnierzu swetra, puszek na policzku, lśnienie guzika. Słyszę to, czego Andrea nie mówi. „Ubrałaś się jak idiotka. Twoje obrazy to jedno wielkie gówno. Siedz prosto i nie pyskuj”.

– Dlaczego malujesz? – Słowa znowu dźwięczą czysto. Dźwięczą rozdrażnieniem, mną i moimi unikami.

– Dlaczego w ogóle ktoś cokolwiek robi? – mówię.

Coraz wcześniej się ściemnia. Wracając ze szkoły, idziemy przez dym z palonych liści. Pada deszcz, więc musimy się bawić w domu. Siedzimy na podłodze w pokoju Grace, cicho ze względu na

chore serce pani Smeath, wycinamy wałki do ciasta i patelnie, przyklejamy naokoło papierowych pań.

Cordelia raz-dwa rozprawia się z tą zabawą. Wie – od pierwszej chwili, jak się wydaje – dlaczego w domu Grace jest tyle katalogów Eatona. Dlatego że cała rodzina Smeathów właśnie tym sposobem zaopatruje się w ubrania – zamawia je z katalogu. W dziale „Odzież dziewczęca” rzeczywiście widzimy sukienki w kratę, spódnice na szelkach, zimowe palta, takie jakie noszą Grace i jej siostry, palta z gruzłowatej, solidnej wełny, z kapturem, w trzech kolorach: trawiastozielone, szafirowe, brunatne. Cordelia daje do zrozumienia, że za nic w świecie by nie włożyła palta z katalogu Eatona. Nie mówi tego wprost. Podobnie jak my woli się nie narażać Grace.

Omija garnki, przerzuca dalej strony. Zatrzymuje się przy biustonoszach, przy gorsetach z ozdobnymi wstawkami i koronką – podstawa stroju, tak się nazywają – dorysowuje wąsy modelkom o skórze jakby pociągniętej warstwą beżowego gipsu. Rysuje włosy pod pachami i między piersiami. Czyta opisy, parska zduszonym śmiechem: – „Rozkosznie zdobiony subtelną koronką, dodatkowo podtrzymuje dojrzałą figurę”. Czyli duże cycki. Wyobrażacie sobie? Rozmiar miseczek! Jakby ktoś z tego jadł!

Piersi fascynują Cordelię i jednocześnie napęniają pogardą. Obie starsze siostry już mają biust. Perdie i Mirrie siedzą w swoim pokoju, pokoju z bliźniaczymi łózkami i masą wzorzystych muślinowych falbanek, opiłowują paznokcie, śmieją się cicho. Podgrzewają w garnuszkach brązowy воск i niosą go na górę, smarują nim nogi. Patrzą w lustro, krzywią się ze smutkiem: – Wyglądam jak Torba Borba! Znowu to przekleństwo! – Ich kosze na śmieci zalatują gnijącymi kwiatami.

Mówią Cordelii, że pewnych rzeczy nie zrozumie, bo jest za mała, a potem i tak jej opowiadają. Cordelia stłumionym głosem, z rozszerzonymi oczami przekazuje wieści: „przekleństwo” oznacza, że kobiecie krew cieknie spomiędzy nóg. Nie wierzymy. Przedstawia dowód: podpaskę, którą zwędziła z kosza Perdie. Na podpasce jest brązowa skorupa podobna do zaschniętego sosu.

– To nie jest krew – mówi Grace ze wstrętem. Ma rację inaczej to wygląda, kiedy się skaleczymy w palec. Cordelia wpada w złość, ale niczego nie potrafi udowodnić.

Dotychczas niewiele myślałam o ciałach dorosłych kobiet. Teraz jednak ukazują mi się w prawdziwym, niepokojącym świetle: obce i dziwaczne, owłosione, gąbczaste, potworne. Kręcimy się pod drzwiami, kiedy Perdie i Mirrie, skowycząc z bólu, zdzierają воск z nóg, podglądamy przez dziurkę od klucza, chichoczymy. Wprawiają nas w zakłopotanie, choć nie rozumiemy dlaczego. Mają świadomość, że się z nich wyśmiewamy, otwierają drzwi. – Cordelio, zabierz swoje koleżaneczki i bądź łaskawa się wynieść, ale to już! – Uśmiechają się trochę złowieszczo, jak gdyby wiedziały, co nas czeka. – Jeszcze trochę, a same się przekonacie – mówią.

To nas przeraża. Cokolwiek je spotkało, cokolwiek sprawiło, że się zaokrągliły, zmiękły, że chodzą, zamiast biegać, jakby ktoś je trzymał na niewidzialnej smyczy – cokolwiek to było, nam również może się przydarzyć. Ukradkiem obserwujemy piersi kobiet na ulicy, piersi nauczycielek. Na piersi matek jednak nie patrzymy, z matką jest się zbyt blisko. Oglądamy nogi i pachy w poszukiwaniu kielkujących włosków, klatki piersiowe w poszukiwaniu wypukłości. Lecz nic się nie dzieje: na razie nic nam nie grozi.

Cordelia otwiera katalog na ostatnich stronach, na czarno-białych fotografiach pasów przepuklinowych, kul, rozmaitych protez.

– Widzicie tę pompkę? Służy do pompowania piersi, żeby były większe. Całkiem jak pompka do

roweru.

Nie wiemy, w co wierzyć.

Nie możemy zapytać matek. Trudno nam je sobie wyobrazić bez ubrań, trudno przyjąć do wiadomości, że pod sukienką w ogóle mają ciało. Tylu rzeczy nam nie mówią. Rozdziela nas przepaść, która nieustannie się pogłębia. Otchłań wypełniona milczeniem. Matki owijają śmiecie paroma warstwami gazety, związują sznurkiem, lecz mimo to coś kapie, plami świeżo wypastowaną podłogę. Na sznurach wiszą majtki, koszule nocne, skarpetki – parada brudnej intymności – które upały i wyplukały, zanurzając ręce w śliskich szarych mydlinach. Wiedzą wszystko o szczotkach do sedesu, o deskach sedesowych, o zarazkach. Czyszczą i czyszczą, a świat dalej jest brudny. Z całą pewnością się nie ucieszą z naszych plugawych pytanek. Zewsząd więc narasta szept, biegnie od dziecka do dziecka, wionie grozą.

Cordelia mówi, że mężczyźni mają między nogami marchewkę. Nie taką zwyczajną marchewkę: coś znacznie gorszego. Porośniętego włosami. Z koniuszka marchewki wydostają się nasiona, wpadają kobiecie do brzucha, a potem z nasion rośnie dziecko, czy się chce, czy nie. Niektórzy mężczyźni przekłuwają sobie marchewkę i noszą tam kolczyk jak w uchu.

Nie wiadomo dokładnie, w jaki sposób nasiona wychodzą na zewnątrz ani jak wyglądają. Są niewidzialne, mówi Cordelia, ale to chyba niemożliwe. Jeżeli w ogóle istnieją, muszą przypominać siemię dla ptaków lub nasiona marchwi, długie i cienkie. Nie wiadomo także, jakim sposobem marchewka dostaje się do środka, żeby zasadzić nasiona. Pępek, oto co się narzuca, lecz wówczas nie obeszłoby się bez nacięcia, bez rozdarcia. Cała historia brzmi podejrzenie, a pomysł, że my same powstałyśmy za sprawą takich manipulacji, jest wręcz oburzający. Myślę o łózkach, gdzie jakoby to wszystko się odbywa: o bliźniaczych łózkach w domu Carol, zawsze we wzorowym porządku, o eleganckim łóżu z baldachimem u Cordelii, o ciemnym mahoniowym łóżku u Grace, łóżku z warstwami wełnianych koców i z szydełkową kapą, ze wszech miar przyzwoitym. Same te łóżka wszystkiemu przeczą, odpierają zarzuty. Myślę o skwaszonej matce Carol, o pani Smeath z posiwiałymi warkoczami upiętymi w koronę. Zacisnęłyby wargi, wyprostowały się z godnością. Nigdy by na coś podobnego nie pozwoliły.

– Dzieci stwarza Bóg – oświadcza Grace tonem nieznoszącym sprzeciwu, ucinającym wszelkie dyskusje. Uśmiecha się pogardliwie, sznuruje usta. Uspokajamy się. Lepiej, że Bóg niż my.

Pozostają jednak wątpliwości. Ja wiem niejedno. Wiem, że „marchewka” to niewłaściwe słowo. Widywałam ważki i żuki, jak latają złączone, jeden owad na grzbiecie drugiego: to się nazywa „parzenie”. Wiem o pokładkach do składania jaj na liściach, na gąsienicach, na powierzchni wody – wystarczy spojrzeć na kartkę, na wyraźnie oznaczone rysunki owadów, które ojciec poprawia w domu. Wiem o królowej mrówek, o modliszkach pożerających partnera. Niewiele mi to pomaga. Wyobrażam sobie państwa Smeathów, golusieńkich, pana Smeatha uczeplonego pleców pani Smeath. Taki obrazek, nawet jeśli pominąć latanie, należy bezwzględnie wykluczyć.

Mogłabym zapytać brata. Lecz chociaż oglądaliśmy strupy i brud pod mikroskopem, chociaż nie robią na nas wrażenia wole oczy, wypatroszone ryby ani stworzenia żyjące pod zbutwiałymi kłodami, to jednak pytanie byłoby niedelikatne, nawet bolesne. Widzę słowo JOWISZ na piasku, kanciaste litery wypisane tamtym dodatkowym, zwinnym palcem. Zgodnie z wersją Cordelii kiedyś porośnie włosami. Może Stephen o tym nie wie.

Chłopcy przy pocałunku wkładają dziewczynce język do buzi, twierdzi Cordelia. Nie ci chłopcy,

których znamy, ci starsi. Takim samym tonem mój brat wymawia pewne słowa – „śluz”, „gluty” – kiedy Carol jest w pobliżu, i teraz Carol tak samo marszczy nos, tak samo się wzdryga. Cordelia obrzydliwie świntuszy, mówi Grace.

Myślę o ślinie, którą czasem się widuje w mieście na chodniku, o krowich ozorach u rzeźnika. Po co by robili coś podobnego, wkładali komuś język do buzi? Po to żeby wzbudzić wstręt, naturalnie. Żeby sprawdzić, jak ten ktoś się zachowa.

18

Wychodzę z piwnicy po schodach, z przybitymi paskami czarnej gumy. Pani Smeath stoi przy kuchennym zlewie, jak zwykle w fartuchu. Już wstała po drzemce, przygotowuje kolację. Obiera kartofle. Często coś obiera. Obierki spływają z jej dużych sękatych dłoni długą bladą spiralą. Ostrze noża jest wytarte, niewiele grubsze niż sierp księżyca. W kuchni gęsto od pary, cuchnie szpikiem i gotowanymi kośćmi.

Pani Smeath się odwraca, patrzy na mnie, w lewej ręce trzyma nagi kartofel, w prawej nóż. Uśmiecha się.

– Grace mówi, że twoja rodzina nie chodzi do kościoła. Może byś chciała pójść z nami. Do naszego kościoła.

– Tak – odzywa się Grace, doganiając mnie na schodach. Cieszę się. W niedzielę rano będę ją miała tylko dla siebie, bez Carol i Cordelii. Wciąż jest przedmiotem pożądania, tą, na której nam wszystkim zależy.

Moi rodzice przyjmują nowinę z niepokojem.

– Na pewno chcesz? – pyta matka. W dzieciństwie, mówi, musiała chodzić do kościoła, czy jej się podobało, czy nie. Miała bardzo surowego ojca. Nie mogła gwizdać w niedzielę. – Czy jesteś całkiem pewna?

Dla dzieci takie pranie mózgu to nic dobrego, mówi ojciec. Dopiero kiedy człowiek dorośnie, niech podejmuje decyzje w sprawach religii. Religia ponosi winę za wiele wojen i masakr, a także za bigoterię i nietolerancję.

– Każdy wykształcony człowiek powinien znać Biblię – dodaje. – Ale mała ma dopiero osiem lat.

– Prawie dziewięć – wtrącam.

– Dobrze. Tylko nie wierz we wszystko, co usłyszysz.

W niedzielę wkładam strój, który wybrałyśmy z matką: wełnianą sukienkę w granatowo-zieloną kratę, białe prążkowane pończochy przyczepione podwiązkami do białego pasa ze sztywnej bawełny. Mam teraz więcej sukienek niż kiedyś, ale matka nie chodzi ze mną do sklepów tak jak matka Carol.

Nienawidzi zakupów, szyć też nie umie. Dostaję używane rzeczy od jej dalekiej znajomej, po córce, która jest ode mnie wyższa. Leżą nie najlepiej, dół obwisa, rękawy marszczą się pod pachami. Widać to norma dla sukienek, myślę. Pończochy są nowe, drapią jeszcze bardziej niż te brązowe, które wkładam do szkoły.

Wyjmuję z czerwonej plastikowej torebki niebieskie kocie oko, chowam je do szuflady komody. Zamiast kulki wrzucam pięciocentówkę, którą dostałam od matki, a którą teraz dam na tacę. Maszeruję wyboistymi ulicami do domu Smeathów. W pantoflach, na botki jeszcze za wcześnie. Dzwonię do drzwi, otwiera Grace. Widocznie czekała na mnie. Również włożyła sukienkę i białe pończochy, warkocze związała granatowymi kokardami. Ogląda mnie od stóp do głów.

– Ona nie ma kapelusza – mówi.

Pani Smeath, stojąc w przedsionku, przypatruje mi się uważnie, niczym podrzutkiemu znalezionej pod drzwiami. Posyła córkę na górę, po chwili Grace wraca ze starym kapeluszem z ciemnoniebieskiego aksamitu, z gumką pod brodę. Jest za ciasny, ale pani Smeath mówi, że na razie wystarczy.

– Do naszego kościoła nie chodzi się z odkrytą głową. – Podkreśla „naszego”, jakby istniały jeszcze inne, gorsze, gdzie goła głowa nie razi.

Towarzyszy nam siostra pani Smeath, ciotka Mildred. Starsza pani, niegdyś była misjonarką w Chinach. Ma takie same czerwone sękaty dłonie, takie same okulary w drucianej oprawce, włosy upięte w taką samą koronę jak pani Smeath, tyle że całkiem siwe, wąsik też siwy i bujniejszy. Kapelusze obu sióstr przypominają kawałki filcu złożone byle jak, tak że sterczą im jak rogi. Widywałam podobne w katalogu Eatona sprzed kilku lat, nosiły je modelki o ulizanych włosach, wysokich kościach policzkowych i ciemnoczerwonych błyszczących ustach. Na pani Smeath i ciotce Mildred wyglądają całkiem inaczej.

Kiedy już cała rodzina włożyła płaszcze i kapelusze, wsiadamy do samochodu: obie panie z przodu, ja, Grace i jej dwie młodsze siostry z tyłu. Uwielbiam Grace, owszem, lecz to uwielbienie nie dotyczy ciała i gdy tak tkwię sprasowana na tylnym siedzeniu, tak blisko niej, czuję się nieswojo. Przed nosem mam pana Smeatha, prowadzi samochód. Jest niski, łysy, prawie nigdy się nie pokazuje. Podobnie ojciec Carol, podobnie ojciec Cordelii: w codziennym domowym życiu ojcowie zazwyczaj pozostają niewidoczni.

Jedziemy niemal pustymi niedzielnymi ulicami na zachód, wzdłuż szyn tramwajowych. Powietrze w samochodzie napęlnia się oddechem Smeathów, zalatuje nieświeżo jak wyschnięta ślina. Kościół jest ogromny, ceglany, wieńczy go nie krzyż, lecz coś na kształt cebuli, która nieustannie się obraca. Pytam o tę cebulę – może się wiąże z religią, nigdy nic nie wiadomo – Grace jednak wyjaśnia, że to wentylator.

Pan Smeath parkuje samochód, wsiadamy, wchodzimy do środka. Sadowimy się rzędem na długiej ławce z ciemnego lśniącego drewna. Po raz pierwszy jestem w kościele. Z wysokiego sufitu zwisają na łańcuchach lampy w kształcie kielichów powoju, na przodzie widać prosty złoty krzyż i wazon białych kwiatów. Dalej trzy witraże. Największy, środkowy, przedstawia Jezusa w białej szacie, z rozłożonymi rękoma, z białym ptakiem nad głową. Pod spodem widnieje napis, grubymi czarnymi literami takimi jak w Biblii, z kropkami rozdzielającymi słowa: KRÓLESTWO • BOŻE • W • WAS • JEST. Na witrażu z lewej strony Jezus siedzi bokiem, różowoczerwony, o jego kolana opiera się dwoje dzieci. Napis głosi: DOPUŚĆCIE • DZIATKOM • PRZYCHODZIĆ • DO • MNIE. Na obu witrażach

Jezus ma aureolę. Trzeci witraż ukazuje kobietę ubraną na niebiesko, bez aureoli, za to w białej chuście częściowo przysłaniającej twarz. Kobieta trzyma koszyk, drugą rękę wyciąga w dół. U jej stóp przysiadł mężczyzna z obandażowaną głową. Napis brzmi: MIŁOSIĘRDZIE • CNOTA • NAJWIĘKSZA. Wokół każdego witraża biegnie szlak ze splątanych pędów winorośli z kiśćmi winogron i przeróżnymi kwiatami. Szkło jarzy się światłem wpadającym z zewnątrz. Nie mogę oderwać oczu.

Wtem rozlega się muzyka organowa, wszyscy się podnoszą. Tracę orientację. Obserwuję Grace, wstaje, kiedy ona wstaje, siadam, kiedy ona siada. Podczas hymnów podsuwa mi otwarty śpiewnik, pokazuje palcem, ale nie znam żadnej z tych melodii. Później trzeba iść do szkoły niedzielnej. Wraz z innymi dziećmi wędrujemy gęsiego do kościelnej sutereny.

Przed wejściem wisi tablica, ktoś napisał na niej kolorową kredą: TU BYŁ KILROY. Obok narysował oczy i nos mężczyzny, który wygląda zza płotu.

Szkółka niedzielna dzieli się na klasy tak jak zwyczajna szkoła. Nauczycielki jednak są młodsze: nasza to nastolatka w jasnoniebieskim kapeluszu z woalką. Klasa składa się z samych dziewcząt. Nauczycielka czyta nam z Biblii opowieść o Józefie i jego wielobarwnym płaszczu. Później słucha dziewczynek, gdy recytują rozmaite fragmenty z pamięci. Siedzę na krześle, macham nogami. Niczego się nie nauczyłam na pamięć. Nauczycielka się uśmiecha, ma nadzieję, że będę przychodzić co tydzień, mówi.

Potem wszystkie klasy spotykają się w dużej sali z rzędami szarych drewnianych ławek jak te w suterenie szkoły, gdzie jemy lunch. Siadamy, gaśnie światło, na gołej ścianie naprzeciwko wyświetlają nam kolorowe slajdy. Nie są to zdjęcia, tylko obrazy. Na pierwszym rycerz jedzie przez las, patrząc w górę na promień słońca przenikający między drzewami. Rycerz ma bielusińską skórę, duże dziewczęce oczy, przyciska dłoń do serca osłoniętego zbroją, która przypomina wypisz wymaluj błotniki samochodu. Poniżej wielkiej świetlistej twarzy widzę kontakty, górne deski boazerii i wystający róg małego pianina.

Następny obraz przedstawia tego samego rycerza, tylko mniejszego, pod spodem wyświetlają się słowa pieśni. Śpiewamy do wtóru grzmiących akordów niewidocznego pianina:

Będę uczciwy, bo tylu z was mi ufa,

I będę czysty, bo tylu o to dba,

I będę silny, bo tyle trzeba ścierpieć,

I będę dzielny, bo zmagañ czas wciąż trwa.

Tuż obok, w ciemności, słyszę głos Grace, wznosi się coraz wyżej, cienki, piskliwy niczym świergot ptaka. Grace zna wszystkie słowa, znała na pamięć cały zadany fragment z Biblii. Kiedy pochylamy głowy do modlitwy, czuję, jak mnie przepelnia dobroć. Przyjęto mnie, włączono do wspólnoty. Bóg mnie kocha, kimkolwiek jest.

Po szkółce niedzielnej wracamy do kościoła na ostatnią część nabożeństwa. Kładę pieniążek na tacę. Później wysłuchuję czegoś, co się nazywa modlitwą dziękczynną. W końcu wychodzimy, znowu się wciskamy do samochodu. Grace odzywa się ostrożnie:

– Tatusiu, możemy popatrzeć na pociągi?

– Tak, tak – z przesadnym zapalem wtórują siostrzyczki.

– Byłyście grzeczne? – pyta pan Smeath, na co dziewczynki odpowiadają:

– Tak, tak.

Pani Smeath coś mruczy pod nosem.

– No dobrze – mówi pan Smeath.

Jedziemy opustoszałymi ulicami na południe, wzdłuż szyn tramwajowych, mijamy tramwaj – samotną ruchomą wyspę, aż wreszcie w oddali widać szare jezioro, pod nami zaś, u stóp niewysokiego urwiska, szarą równinę pociętą torami kolejowymi. Po tej stalowej połąci z wolna przetacza się kilkanaście pociągów. Ponieważ jest niedziela, a dla Smeathów to najwyraźniej stały punkt niedzielnego programu, następny po nabożeństwie, dochodzę do wniosku, że tory i leniwe, ociążałe pociągi muszą jakoś wiązać się z Bogiem. Nie mam też wątpliwości, że to nie Grace chce na nie popatrzeć, że nie chcą patrzeć dziewczynki, tylko sam pan Smeath.

Siedzimy więc w samochodzie, oglądamy pociągi. Całe jedzenie się zmarnuje, mówi wreszcie pani Smeath. Ruszamy z powrotem.

Smeathowie zaprosili mnie na niedzielny obiad. Po raz pierwszy zostanę na obiedzie u Grace. Najpierw we dwie idziemy na górę, umyć ręce. Przy okazji dowiaduję się czegoś nowego o tym domu: wydzielają tutaj po cztery kawałki papieru toaletowego. Mydło w łazience jest czarne i szorstkie. To mydło dzieciowe, wyjaśnia Grace.

Na obiad mamy pieczoną szynkę, pieczoną fasolę, pieczone kartofle i purée z dyni. Pan Smeath kroi szynkę, pani Smeath nakłada jarzyny, talerze wędrują z rąk do rąk. Siostrzyczki Grace popatrują na mnie zza okularów, kiedy się zabieram do jedzenia.

– W tym domu najpierw dziękujemy Panu – odzywa się ciotka Mildred z lodowatym uśmiechem. Nic nie rozumiem. Zerkam na pana Smeatha: dlaczego akurat jemu? Tymczasem wszyscy schylają głowy i składają ręce. Grace mówi:

– Dzięki Ci, Panie, za Twe hojne dary, które będziemy spożywać w pokoju, amen.

– Dobre papu, dobre pitko, dobry Boże, jedźmy szybko – uzupełnia pan Smeath i puszcza do mnie oko.

– Lloyd – rzuca pani Smeath.

Pan Smeath śmieje się cicho, porozumiewawczo.

Po obiedzie siedzę z Grace w salonie na pluszowej kanapie, tej samej, na której pani Smeath odbywa drzemki. Nigdy dotąd tutaj nie siedziałam. To zastrzeżony mebel, coś jak tron lub trumna. Czytamy gazetkę ze szkółki niedzielnej: historię o Józefie i drugą współczesną o chłopcu, który kradnie pieniądze z tacy, ale żałuje swojego postępku i chcąc zadośćuczynić, zbiera makulaturę i stare butelki. Obrazki są czarno-białe, rysowane piórkim, lecz na pierwszej stronie widnieje kolorowa podobizna Jezusa w pastelowych szatach, otoczonego wianuszkami dzieci o różnych kolorach skóry. Czarne, żółte,

białe, wszystkie czyste i śliczne, jedne trzymają Go za rękę, inne wznoszą ku Niemu wielkie, pełne uwielbienia oczy. Ten Jezus nie ma aureoli.

Pan Smeath drzemie w brązowym fotelu, okrągły brzuch wydyma mu się jak balon. Z kuchni dobiega grzechotanie sztućców. Pani Smeath z ciotką Mildred zmywają naczynia.

Wracam do domu późnym popołudniem, trzymam swoją torebkę i gazetkę.

– Podobało ci się? – zagaduje matka, nadal niespokojna.

– Czego się dowiedziałeś? – pyta ojciec.

– Muszę się nauczyć psalmu – odpowiadam z ważną miną. „Psalm” brzmi niczym tajne hasło.

Jestem trochę zła. Rodzice coś przede mną ukrywali, coś, o czym powinnam była wiedzieć. Chociażby o kapeluszu: jak matka mogła o nim zapomnieć? Nie po raz pierwszy stykam się z Bogiem, znam Go ze szkoły, z porannej modlitwy przed lekcjami czy choćby z *God save the King*. Najwyraźniej jednak trzeba czegoś jeszcze, trzeba więcej się nauczyć na pamięć, zaśpiewać więcej pieśni, ofiarować więcej pieniędzy, zanim Bóg naprawdę da się zaspokoić. Niebo, oto co mnie martwi. W jakim będę wieku, kiedy tam trafię? A jeśli umrę dopiero na starość? W niebie chciałabym mieć tyle lat co teraz.

Grace pożyczyła mi swoją Biblię, tę gorszą. Idę do siebie, biorę się do nauki: „Niebiosia opowiadają chwałę Boga, a dzieła rąk Jego oznajmia firmament. Dzień dniowi o tym opowiada i noc nocy podaje wieść”^[*].

W pokoju wciąż nie mam zasłon. Wyglądam przez okno, patrzę w górę: oto niebiosia, oto gwiazdy, tam gdzie zwykle. Już mi się nie wydają zimne ani białe, ani odległe, nie kojarzą się ze spirytusem, z emaliowanymi miseczkami. Teraz są czujne.

19

Dziewczynki stoją na dziedzińcu lub na szczycie pagórka, w małych grupkach, szepczą, szepczą, manipulują szpulkami. To taka nowa moda – wszędzie widać szpulki z czterema gwoździami wbitymi w jeden koniec, kłębki wełny. Wełnę owija się kolejno na gwoździach, dwukrotnie, piątym gwoździem przewleka dolne pęteli przez górne. Z drugiego końca szpulki zwisa gruba wełniana kita, trzeba ją spleść na kształt płaskiej muszli ślimaka, wydziergać podstawkę pod czajnik. Ja mam taką szpulkę, Grace i Carol też, nawet Cordelia, chociaż jej wełna stale się płącze.

Grupki szepczących dziewcząt, te szpulki i kolorowe kity wiążą się z chłopcami, z ich odrębnością. Każda gromadka wyklucza niektóre dziewczęta, wszystkie wykluczają chłopców. Chłopcy również nas wykluczają, ale robią to czynnie, demonstracyjnie. My tak nie musimy.

Czasami zachodzę do pokoju brata, leżąc na podłodze czytam komiksy, lecz tylko wtedy, gdy jestem bez koleżanek. W pojedynkę jeszcze ujędę, co innego jako część grupy dziewcząt. To się rozumie samo przez się.

Niegdyś uważałam chłopców za coś zupełnie oczywistego, byłam do nich przyzwyczajona. Teraz baczniej ich obserwuję, bo już nie są tacy jak wcześniej. Na przykład kąpią się rzadziej, niż powinni. Pachną niedomytym ciałem, przetłuszczonymi włosami, skórą z łat na kolanach i wełnianymi spodniami, pumpami sznurowanymi tuż pod kolanami tak jak spodenki piłkarzy. Noszą grube włóczkowe skarpety, zazwyczaj wilgotne i opadające. Na dworze chodzą w skórzanych pilotkach zapinanych pod brodą. Mają ubrania w kolorze khaki albo granatowe, szare lub ciemnozielone – nie znać na nich tak bardzo brudu. Wszystko to trąci stylem wojskowym.

Chłopcy szcycą się swoim niechlujnym ubiorem, obwisłymi skarpetami, umorusaną skórą z plamami atramentu: brud nobilituje niemal w równym stopniu co rany. Starannie odgrywają rolę chłopców. Mówią do siebie po nazwisku, podkreślają wszelkie nadzwyczajne uchybienia czystości. – Ej, Robertson! Wytrzyj gila! Kto pierdnął? – Wymierzają sobie kuksańce: – Trafiony! Zatopiony! – W pokoju zawsze sprawiają wrażenie, jakby było ich więcej, niż jest.



Mój brat także rozdaje kuksańce i komentuje zapachy, ma jednak pewną tajemnicę. Za nic by jej nie zdradził kolegom, boby go wyśmiali.

Stephen ma dziewczynę: oto jego tajemnica. Tajemnica tak wielka, że sama dziewczyna nic o tym nie wie. Mnie jednej powiedział, kazał też przysiąc na wszystko, że nikomu nie powtórzę. Nawet kiedy jesteśmy sami, nie mogę wymieniać jej imienia, wyłącznie inicjały: B.W. Brat czasem szepcze te inicjały w obecności innych ludzi, w obecności rodziców. Patrzy wówczas na mnie, czeka, aż skinę głową bądź dam jakiś znak, że słyszałam i rozumiem. Pisze szyfrowane liściki, wtyka mi pod poduszkę albo do górnej szuflady komody, tak abym na pewno je znalazła. Tłumaczę szyfr i nie mogę się nadziwić. To teksty zupełnie nie w jego stylu, bez krzty inwencji – szczerze mówiąc, całkiem kretyńskie: „Rozmawiałem z B.W.”. „Dzisiaj JA widziałem”. Nagryzmołone kredkami w różnych kolorach, pełne wykrzykników. Pewnej nocy spada wczesny śnieg, kaprys pogody. Kiedy rankiem po przebudzeniu wyglądam przez okno, zauważam inicjały B.W. pracowicie wyżłobione siuškami w białym puchu, już topniejącym.

Owa dziewczyna, jak widzę, jest dla Stephena źródłem udręki, a zarazem podniecenia. Nie rozumiem dlaczego. Wiem kto to. Nazywa się Bertha Watson. Trzyma się ze starszymi dziewczynkami, wystaje pod karłowatymi świerkami na pagórku. Ma proste ciemne włosy z grzywką, przeciętną figurę. Ja w niej nie dostrzegam żadnej magii, niczego nadzwyczajnego ani ponadprzeciętnego. Ciekawe, jak tego dokonała, za sprawą jakiej to sztuczki mój brat przeobraził się w głupszą, bardziej nerwową wersję samego siebie.

Ponieważ jedyna znam tajemnicę, czuję się poniekąd wyróżniona. Ma to jednak zabarwienie negatywne, coś jak pusta kartka papieru. Mogę wiedzieć, bo się nie liczę. Zostałam wyróżniona, ale jednocześnie czegoś pozbawiona. Pragnę też chronić brata, gdyż po raz pierwszy w życiu ponoszę za niego odpowiedzialność. Stephen ryzykuje, a ja mam nad nim władzę. Mogłabym się wygadać, wystawić go na pośmiewisko, wybór należy do mnie. Brat jest zdany na moją łaskę i niełaskę, a ja wcale tego nie chcę. Chcę, żeby znowu był taki jak dawniej, niezmienny, niepokonany.

Cała ta historia nie trwa długo. Wkrótce o dziewczynie już nie słyhać. Stephen znów mnie wyśmiewa albo traktuje jak powietrze, znów jest górą. Dostaje zestaw chemiczny, przeprowadza

doświadczenia w piwnicy. Jeśli idzie o obsesje, wolę chemię od dziewczyny. Coś tam się pichci, potwornie cuchnie, rozlegają się drobne siarczane wybuchy, powstają zdumiewające sztuczki. Chociażby niewidzialne pismo, które się pojawia, dopiero gdy się trzyma kartkę nad świecą. Jajko ugotowane na twardo można zmiękczyć jak gumę i wsadzić do butelki po mleku, choć wyciągnąć już trudniej. „Zmień wodę w krew – mówi instrukcja – a zadziwisz przyjaciół”.

Stephen nadal wymienia komiksy, lekką ręką, nieuważnie. Mniej mu teraz na nich zależy, dlatego dokonuje lepszych transakcji. Komiksy całymi stosami piętrzą się pod łóżkiem, ale prawie ich nie czyta, chyba że akurat przyjdą koledzy.



Mój brat wykrzesał już wszystko z zestawu chemicznego. Teraz na ścianie w pokoju przyczepił mapę gwiazdną, nocą gasi światło, siada przy otwartym oknie, w chłodzie, wciągnąwszy na pizamę brunatny sweter, patrzy w niebo. Ma lornetkę ojca, której wolno mu używać, pod warunkiem że pasek będzie cały czas trzymał na szyi, żeby lornetka mu nie spadła. Marzy o teleskopie.

Kiedy pozwala mi się przyłączyć i ma ochotę rozmawiać, uczy mnie nowych nazw, pokazuje punkty odniesienia na niebie: Orion, Niedźwiedzica, Smok, Łabędź. To konstelacje. Każdą tworzy masa gwiazd, stokroć większych i gorętszych od naszego Słońca. Leżą o lata świetlne stąd, mówi Stephen. Tak naprawdę wcale ich nie widzimy, widzimy jedynie światło, które wysłały lata, setki lat, tysiące lat temu. Gwiazdy są jak echo. Siedzę we flanelowej pizamie, dygocząc, zadzierając głowę, aż czuję ból w karku, wpatrując się zmrużonymi oczyma w zimny i nieskończenie odległy mrok, w czarny kocioł, gdzie bez ustanku wrą ogniste gwiazdy. Gwiazdy Stephena różnią się od tych w Biblii: są nieme, płoną w ciszy. Czuję się tak, jakby moje ciało się roztopiało, jakbym się unosiła coraz wyżej i wyżej niczym rzednąca mgła, wlatywała w bezkresną pustą przestrzeń.

– Arktur – mówi mój brat. To obce słowo, nie znam go, znam natomiast ton głosu: to rozpoznanie, uzupełnienie, brakujący element układanki. Myślę o tamtych słoikach z kulkami, o tym, jak wiosną Stephen wrzucał jedną po drugiej i liczył. Mój brat znowu coś zbiera. Zbiera gwiazdy.

W szkolnych oknach pojawiają się czarne koty i dynie z papieru. W Halloween Grace wkłada zwykłą „dorosłą” suknię, Carol przebiera się za wróżkę, Cordelia za kłowna. Ja się owijam prześcieradłem, bo nic innego nie mam. Wędrujemy od drzwi do drzwi, szare papierowe torby napęlniają się cukrowymi jabłkami, prażoną kukurydzą, orzeszkami ziemnymi. Pod każdym domem skandujemy: – Bulić! Bulić! Wiedźmy idą! – W oknach od frontu, na gankach wiszą ogromne pomarańczowe dynie, rozjarzone głowy bez ciała. Swoje dynie nazajutrz zanosimy na drewniany mostek i zrzucamy w dół, patrzymy, jak się roztrzaskują o ziemię. Jest listopad.

Cordelia kopie dół w ogródku za domem, tam gdzie nie ma darni. Zaczynała już w paru miejscach, ale na próżno, wszędzie trafiała na skalę. Ten dół wygląda bardziej obiecująco. Cordelia macha spiczastym szpadlem, czasami jej pomagamy. To nie jakiś tam dołek, tylko wielka kwadratowa dziura. Sięga coraz głębiej, dokoła rosną kopce ziemi. Możemy tutaj urządzić nasz klub, mówi Cordelia, możemy wstawić do dołu krzesła i sobie tu siedzieć. Kiedy będzie dostatecznie głęboki, chce go nakryć dachem z desek. Już je zgromadziła, połamane deski z dwóch nowych domów, które powstają w sąsiedztwie. Całkiem się w tym zatraciła, trudno ją namówić na inną zabawę.

Na ciemniejących ulicach kwitną maki, to Dzień Pamięci^[**]. Są z puszystego materiału, czerwone jak serca w walentynki, mają w środku czarną plamkę i szpilkę. Nosimy je przypięte do palt. Uczymy się o nich wiersza:

Na polach Flandrii maków łan

Między krzyżami, co rzędem tam

Znaczą nasz dom.

O jedenastej stajemy przy ławkach na trzy minuty ciszy, w bladym listopadowym słońcu wirują pyłki kurzu. Przed nami stoi posępna panna Lumley, a my stoimy ze spuszczoneymi głowami, z zamkniętymi oczyma, wsłuchani w ciszę i szmery własnych ciał, w huk dalekich armat. „Jesteśmy martwi”. Zaciskam powieki, staram się bogobojnie współczuć poległym żołnierzom, którzy zginęli za nas, których twarzy nie umiem sobie wyobrazić. Nie znam jeszcze nikogo, kto umarł.

Cordelia, Grace i Carol prowadzą mnie do głębokiego dołu w ogródku Cordelii. Mam na sobie czarną suknię i pelerynę z szafy z kostiumami. Jestem Marią, królową Szkotów, już z uciętą głową. Dziewczynki biorą mnie za ręce i nogi, opuszczają w głąb. Później na górze układają deski. Znika światło, grudy ziemi stukają o drewno, jedna łopata, druga. W dole jest ciemno, zimno i wilgotno, cuchnie norą ropuchy.

Wysoko, na zewnątrz, słyszę ich głosy, potem głosy milkną. Leżę, zastanawiając się, kiedy będę mogła wyjść. Nic się nie dzieje. Gdy mnie wkładały do dołu, wiedziałam, że to zabawa, teraz zabawa się skończyła. Czuję smutek, ból zdrady. Napiera na mnie ciemność. Jestem przerażona.

Kiedy się cofam do tamtej chwili, właściwie nie pamiętam, co się stało w dole. Nie pamiętam, co naprawdę czułam. Może nie stało się nic, może myślę odczucia. W końcu dziewczynki mnie wyciągnęły i zabawa, taka czy inna, trwała dalej. Nie widzę siebie tam w dole. Widzę jedynie czarny kwadrat

wypełniony nicością, przypomina drzwi. Możliwe, że tam naprawdę niczego nie ma, że to tylko punkt w czasie oddzielający „przedtem” od „potem”. Chwila, w której straciłam panowanie nad sobą. Czy płakałam, gdy mnie wydobyły z dołu? Prawdopodobnie tak. A może nie? Nie pamiętam.



Wkrótce potem skończyłam osiem lat. Pamiętam swoje urodziny, te późniejsze i te wcześniejsze, tamtych jednak nie. Pewnie odbyło się przyjęcie, moje pierwsze prawdziwe przyjęcie urodzinowe, bo kto by przyszedł na wszystkie poprzednie? Pewnie był tort ze świeczkami i życzeniami, z ćwierćdolarówką i dziesięcioma centami zawiniętymi w pergamin, schowanymi w cieście – znakomity sposób na złamanie zęba – pewnie były prezenty. Była Cordelia, były Grace i Carol. Na pewno tak to wyglądało, ale we mnie pozostało tylko jedno – niejasny lęk przed przyjęciami urodzinowymi. Nie tymi cudzymi, moimi własnymi. Myślę o pastelowym lukrze, o różowych świeczkach płonących w mętym świetle listopadowego popołudnia i odzywa się wstyd, poczucie klęski.

Zamykam oczy, czekam na obrazy. Muszę wypełnić czarną przestrzeń, wrócić tam, zajrzeć do środka. Zupełnie jakbym wówczas zniknęła, a później się pojawiła, ale już inna, nie wiedząc, czemu się zmieniłam. Gdybym chociaż zobaczyła tamte deski nad głową, to już by pomogło. Zamykam oczy, czekam na obrazy.

Z początku nie ma nic, jedynie daleka ciemność, całkiem jak tunel. Lecz po chwili coś się wyłania, nabiera kształtu: gęstwina ciemnozielonych liści z fioletowymi kwiatkami – ciemny fiolet, kolor soczysty i smutny – i jeszcze kiście czerwonych jagód przezrzystych jak woda. Gmatwanina pędów oplata sąsiednie rośliny, niemalże tworzy żywoplot. Spomiędzy liści unosi się zapach gliny zmieszany z inną, przenikliwą wonią, wonią czegoś starego, gęstą i ciężką, zapomnianą. Nie wieje wiatr, ale liście się kołyszą, drżą, jak gdyby gdzieś w głębi przemykały niewidoczne koty. Może zresztą poruszają się same.

Wilcza jagoda, myślę. Mroczne słowa. W listopadzie nie ma wilczej jagody. To zwyczajne zielsko. Wrywa się je z ogrodu i wyrzuca. Wilcza jagoda jest spokrewniona z kartoflem, stąd też podobny kształt kwiatów. Kartofle również bywają trujące, jeżeli zzielenieją na słońcu. Takie rzeczy z reguły wiem.

Rzecz jasna, to niewłaściwe wspomnienie. Jednakże kwiaty, zapach, ruch liści nie chcą zniknąć, są dojmujące, hipnotyczne, posępne i przesycone smutkiem.

[*] Przekład Czesława Miłosza.

[**] 11 listopada, dzień upamiętniający poległych w pierwszej i w drugiej wojnie światowej (przyp. tłum.).

WYŻYMACZKA

21

Wychodzę z galerii, ruszam na wschód. Muszę iść do sklepu, kupić przyzwoite jedzenie, urządzić się. Kiedy jestem sama, wracam do dawnych przyzwyczajęń, z czasów gdy mi się zdarzało zapomnieć o posiłkach, pracować do białego rana, działać, póki nie poczułam czegoś dziwnego, co po chwili zastanowienia dawało się zidentyfikować jako głód. Wówczas opróżniałam lodówkę metodą odkurzacza, pochłaniałam wszystko, co się nawinęło. Resztki.

Dziś rano miałam jajka, ale już się skończyły. Skończył się chleb, skończyło mleko. A w ogóle skąd się wzięły? Pewnie były to zapasy Jona, musi czasem jeść w pracowni. Chyba że zostawił je specjalnie dla mnie? Mało prawdopodobne.

Kupię pomarańcze, jogurt bez dodatków. Nastawię się pozytywnie, zadbam o siebie, najem się enzymów i przyjaznych bakterii. Te dobre myśli niosą mnie aż do śródmieścia.



Tutaj stał kiedyś Eaton, tu na rogu, żółty i kwadratowy. Teraz w tym miejscu wznosi się potężny gmach – kompleks handlowy, tak to nazywają, jakby zakupy były chorobą psychiczną. Oszklony, wyłożony kafelkami, zielony niczym góra lodowa.

Po drugiej stronie ulicy jest znajomy teren: dom towarowy Simpsona. Gdzieś tam się mieści dział spożywczy. Na wystawie stopy ręczników kąpielowych, pękate kanapy i krzesła, pościel w nowoczesne wzory. Ciekawe, gdzie w końcu lądują te zwalę tkanin. Ludzie je wywożą, upychają po domach: instynkt wicia gniazda. Nieco mniej sympatyczne pojęcie, jeśli się widziało gniazdo z bliska. Zawalenie domu materiałami musi mieć swoje granice, choć oczywiście, można to i owo wyrzucić. Kiedyś patrzyło się na jakość, kupowało rzeczy trwałe. Człowiek trzymał ubranie, aż się z nim zrosło, sprawdzał szwy, guziki, pocierał tkaninę palcem i kciukiem.

Na innej wystawie stoją naburmuszone manekiny z wysuniętymi biodrami, z rękoma powykęcanyymi we wszystkie strony, istne garbusy o morderczych skłonnościach, brakuje tylko siekiery. Pewnie to taki dzisiejszy styl: ponura agresja. Na chodnikach mnóstwo obojnaków z krwi i kości, dziewczęta w czarnych skórzanych kurtkach i topornych męskich buciorach, ostrzyżone na jeża albo w kaczy kuper, chłopcy z markotną, nadąsaną miną modelek z okładki żurnala, z włosami usztywnionymi żelam na kolce. Z daleka nie dostrzegam różnicy, ale dla nich to pewno nie problem. Przy tej dzieciarni czuję się tak, jakbym już wypadła z obiegu.

Czego chcą? Czy naśladują się nawzajem? A może tylko ja tak uważam, bo są przeraźliwie młodzi? Pomimo całego swojego luzu, własne pragnienia noszą na wierzchu niczym przyssawki ośmiornicy. Chcą mieć wszystko.

Pewnie z Cordelią wyglądałyśmy podobnie w oczach starszych ludzi, kiedy dokładnie w tym miejscu przechodziłyśmy przez ulicę, z podniesionymi kołnierzami, brwiami wyskubanymi w sceptyczne łuki, dziarsko maszerując w śniegowcach i wysilając się na nonszalancję, wędrowałyśmy na dworzec Union, gdzie wrzuciłyśmy po ćwierć dolara do automatu fotograficznego: cztery zdjęcia, czarno-białe, wielkość portfelowa. Cordelia z papierosem w kąciku ust, powieki na wpół przymknięte, gorąca kobietka. Superszał.



Wkręcam się przez obrotowe drzwi do Simpsona i natychmiast gubię. Wszystko pozmieniali. Kiedyś były tu stateczne oszklone lady obramowane drewnem, pod szkłem rękawiczki standardowego kroju, zegarki, apaszki w kwiaty. Stonowany dobry gust. Teraz to jarmark kosmetyczny: srebrne ozdóbki, złote kolumny, powódź światła, marki wypisane literami rozmiarów ludzkiej głowy. Powietrze przesycane bitewny odór rozmaitych perfum. Na ekranach niepokalane cery obracają się, wdzięczą, wzdychają przez rozchylone wargi, pozwalają się pieścić. Inne ekrany ukazują pory w zbliżeniu przed i po, szczegóły pielęgnacji wszelkich rejonów ciała – ręce, szyja, uda. Łokcie, zwłaszcza łokcie, starzenie zaczyna się od łokci, potem następują przerzuty.

To jest religia. Wudu i czary. Pragnę w nie wierzyć, wierzyć w kremy, odmładzające płyny, przezroczyste maści w fiolkach, tłuste i gęste jak klej.

– Nie wiesz, z czego się robi to świństwo? – powiedział kiedyś Ben. – Z mielonych kogucich grzebieni.

Nic jednak mnie nie powstrzyma, stosowałabym wszystko, gdyby działało – śluz ślimaka, plwocinę ropuchy, oko żaby – wszystko na świecie, byle tylko się zmumifikować, powstrzymać powolne kapanie czasu, pozostać mniej więcej taka jak teraz.

Mam już dostatecznie dużo tych paskudztw, starczyłoby na zabalsamowanie wszystkich moich koleżanek z klasy maturalnej, które dziś pewnie tego potrzebują w równym stopniu co ja. Przystaję tylko na chwilę, daję się spryskać dziewczynie prezentującej jakiś nowy gatunek jadowitych perfum. Najwyraźniej wraca *femme fatale*, Veronica Lake znowu w akcji. Perfumy trącą lemoniadą z winogron. Nie wyobrażam sobie, żeby uwiodły kogokolwiek z wyjątkiem muchy owocówki.

– Podobają się pani? – pytam dziewczynę. Musi jej doskwierać samotność, przecież wystaje tutaj cały dzień, na tych wysokich obcasach, spryskując obcych ludzi.

– Mają ogromne powodzenie – odpowiada wymijająco. Przez moment widzę siebie jej oczami: przekwitająca róża, zaczątki matrony, jeszcze dobrej myśli. Rynek to ja.

Pytam o dział spożywczy, dziewczyna pokazuje: to na dole. Wsiadam do windy, lecz oto niespodziewanie jadę w górę. Niedobrze, żeby tak pomylić kierunki, a może to przeskok w czasie, może już zjechałam na dół? Wsiadam, tym razem brodzę wśród niezliczonych wieszaków z dziecięcymi

sukienkami. Koronkowe kołnierzyki, bufiaste rękawy, szarfy – pamiętam je. Sporo sukienek w kratę, autentyczne, ponure, krwiste barwy, ciemna zieleń z czerwoną nitką, granat, czerń. Czarna Gwardia. Czy ci ludzie nie znają historii, czy nie wiedzą nic o Szkotach, co za pomysł, żeby ubierać małe dziewczynki w kolory rozpaczy, masakry, zdrady i mordu? „Moje życie”, nowy wers, „opadło zwiędłym żółtym liściem”. Kiedyś musieliśmy się uczyć różnych rzeczy na pamięć. Za moich czasów również panowała moda na szkocką kratę. Białe skarpetki, czółenka, zawsze nieodpowiedni prezent urodzinowy owinięty bibułką i te małe dziewczynki o taksujących oczach, o chytrych, fałszywych uśmiechach, spowite w tartan niby lady Makbet.



W tamtym nieskończonym czasie, kiedy Cordelia miała nade mną taką władzę, obdzierałam sobie skórę ze stóp. Nocą, zamiast spać. Stopy były chłodne i lekko wilgotne, gładkie jak kapelusz grzyba. Zaczynałam od wielkiego palca. Podciągałam stopę do góry, nadgryzałam skórę w najgrubszym miejscu, na podeszwie, przy zewnętrznej krawędzi. Później paznokciami – paznokci nigdy nie obgryzałam, po co obgryzać coś, co nie boli – paznokciami zdzierałam wąskie paski naskórka. Robiłam to samo z wielkim palcem u drugiej nogi, potem z brzuściami, z piętami. Dopóki nie pociekła krew. Nikt prócz mnie nie oglądał moich stóp, nikt więc o tym nie wiedział. Rankiem na obrane stopy wciągałam skarpetki. Chodzenie sprawiało mi ból, ale dawało się wytrzymać. Ból był czymś określonym, bezpośrednim, na czym mogłam się skupić. Czego mogłam się trzymać.

Ogryzałam końce włosów, więc zawsze jeden kosmyk sterczał spiczasty i mokry. Ogryzałam skórki przy paznokciach do żywego mięsa, wilgotne ranki twardniały w strupy. W wannie albo przy zmywaniu moje palce wyglądały jak objedzone przez myszy. Robiłam tak stale, odruchowo. Stopy obrabiałam bardziej świadomie.



Pamiętam, kiedy się urodziły dziewczynki, jedna, potem druga, myślałam, że powinnam mieć raczej synów, a nie córki. Nie dorosłam do córek, nie znałam tych stworzeń. Pewnie się bałam, że je znienawidzę. Synami potrafiłabym się zająć: chwyciłoby się żaby, łowiło ryby, układało strategie wojenne, biegało po błocie. Umiałabym ich nauczyć przed czym się bronić i w jaki sposób. Lecz świat chłopców tymczasem się zmienił, dziś to raczej oni sprawiają wrażenie zagubionych jak nocne stworzenia ośleple w blasku słońca. – Broń się jak mężczyzna – mówiłabym. Stapałabym po grząskim gruncie.

Tak czy siak dziewczynki, moje dziewczynki, przyszły na świat w swego rodzaju ochronnej skorupie, z odpornością, której mnie brakowało. Patrzą prosto w oczy, trzeźwo i oceniająco. Gdy siedzą przy kuchennym stole, powietrze wokół jarzy się jasnością. Są zupełnie zdrowe na umyśle, a przynajmniej ja tak zakładam. Moje zbawczyni.

Zadziwiają mnie, zawsze zadziwiałały. Kiedy były małe, czułam, że muszę je chronić przed samą sobą, oszczędzić im lęku, brudniejszych stron życia małżeńskiego, dni pustki. Nie chciałam przekazać niczego, co by im mogło zaszkodzić. W takich chwilach kładłam się po ciemku na podłodze, przy

zaciągniętych zasłonach i zamkniętych drzwiach. – Mamusię boli głowa. Mamusia pracuje – mówiłam. Widocznie jednak nie potrzebowały ochrony, wszystko rozumiały, wszystkiemu potrafiły stawić czoło, ze wszystkim się godziły.

– Mamusia leży na podłodze. Jutro dojdzie do siebie – usłyszałam, jak Sara mówi do Anne, kiedy jedna miała dziesięć lat, a druga cztery. No i doszłam. Podtrzymywała mnie ich wiara we mnie, podobna do wiary w powtarzający się wschód słońca albo fazy księżyca. Dzięki czemuś takiemu sam Bóg pewnie się nie poddaje.

Kto wie, jak mnie później osądzą, kto wie, jak już osądziły? Chciałabym, żeby się stały szczęśliwym zakończeniem mojej historii. Ale, rzecz jasna, nie są zakończeniem własnej.

Ktoś zachodzi mnie od tyłu, odzywa się głos, nagły głos znikąd.

– Czym mogę służyć?

Sprzedawczyni, tym razem starsza. W średnim wieku. W moim wieku, myślę zaraz, przygnębiona. W moim i Cordelii.

Stoję pośród kraciastych sukienek, gładzę jakiś rękaw. Bóg jeden wie od jak dawna. Czy mówiłam coś na głos? Gardło mam ściśnięte, stopy obolałe. Cokolwiek jednak mnie czeka, nie zamierzam dostać kręcka akurat w dziale dziecięcym domu towarowego Simpsona.

– Dział spożywczy – odzywam się.

Kobieta uśmiecha się łagodnie. Jest zmęczona, sprawiłam jej zawód, nie kupię żadnej kraty.

– Och, to na dole. W podziemiach.

Uprzejmie wskazuje drogę.

22

Otwierają się czarne drzwi. Siedzę na parapecie w gmachu, w odorze mysich bobków i formaliny, po nogach pełźnie żar z kaloryfera. Obserwuję przez okno wróżki, gnomy i śnieżki, jak człapią w mżawce do wtóru orkiestry dętej. Gra melodię *Dzwonią dzwonki*. Wróżki wyglądają stąd nieforemnie, kaleko, poznaczone smugami kurzu i deszczu rozmazanymi na szybie. Oddech tworzy na szkle mgliste kółeczko. Mojego brata tu nie ma, jest już za duży. Tak powiedział. Mam dla siebie cały parapet.

Na sąsiednim parapecie siedzą Cordelia, Grace i Carol, stłoczone ciasno, szepczą i chichoczą.

Muszę siedzieć osobno, bo się do mnie nie odzywają. To dlatego, że coś powiedziałam źle, nie wiem co, nie chcą mi przypomnieć. Powinam się zastanowić nad wszystkim, co dziś mówiłam, radzi Cordelia, powinnam sama się domyślić. W ten sposób oduczę się wygadywać podobne rzeczy. Kiedy zgadnę, znowu zaczną ze mną rozmawiać. To dla mojego dobra – jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, chcą mi pomóc, chcą, żebym się poprawiła. O tym więc myślę, podczas gdy w dole maszeruje orkiestra kobziarzy w przemoczonych futrzanych czapach i doboszki, z mokrymi gołymi nogami, czerwonymi uśmiechami, włosami ociekającymi wodą: co takiego powiedziałam źle? Nie pamiętam niczego, co by odbiegało od normy.

Wchodzi mój ojciec w białym laboratoryjnym kitlu. Pracuje w innej części gmachu, wpadł rzucić na nas okiem.

– I jak tam, dziewczynki, podoba się parada? – pyta.

– O tak, dziękujemy – mówi Carol i chichocze.

– Tak, dziękujemy – dorzuca Grace. Ja milczę. Cordelia ześlizguje się z parapetu, siada obok mnie, przysuwa się blisko.

– Ogromnie nam się podoba, dziękujemy bardzo. – Tym tonem zwraca się do dorosłych. Ma doskonałe maniery, tak uważają moi rodzice. Obejmuje mnie, ściska lekko, to uścisk porozumienia, pouczenia. Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko się nie poruszę, nic nie powiem, nic nie zdradzę. Wówczas zostanę ocalona, przyjęta z powrotem. Uśmiecham się, drżąc z ulgi, z wdzięczności.

Ledwie jednak ojciec wychodzi, Cordelia odwraca się do mnie. Wygląda raczej na smutną niż na rozgniewaną. Potrząsa głową.

– Jak mogłaś? Jak mogłaś się zachować tak niegrzecznie? Nawet nie odpowiedziałaś. Wiesz, co to znaczy, prawda? Niestety, trzeba cię ukarać. Co masz na swoje usprawiedliwienie?

Nie mam nic.



Stoję przed zamkniętymi drzwiami pokoju Cordelii. Cordelia, Grace i Carol są w środku. Urządziły zebranie. Zebranie dotyczy mnie. Nie dorastam, chociaż dają mi wszelkie szanse. Muszę bardziej się starać. Ale w czym?

Po schodach idą Perdie i Mirrie, idą korytarzem, uzbrojone w swój wiek. Jakże pragnę być w ich wieku. To bodaj jedyne osoby, które mają prawdziwą władzę nad Cordelią. Wierzę, że są moimi sojuszniczkami, czy raczej byłyby nimi, gdyby tylko wiedziały. Wiedziały o czym? Nawet przed sobą się nie przyznam.

– Cześć, Elaine – mówią. I jeszcze: – W co się dzisiaj bawimy? W chowanego?

– Nie mogę powiedzieć.

Uśmiechają się pobłażliwie i uprzejmie, wędrują do swojego pokoju malować paznokcie u nóg, rozmawiać o bardziej dorosłych sprawach.

Opieram się o ścianę. Spoza drzwi dobiega niewyraźny szmer głosów i śmiech, zastrzeżony, luksusowy. Przechodzi mamunia Cordelii, nucąc pod nosem. Ma na sobie kitel malarski. Na policzku jabłkowiezieloną smugę. Uśmiecha się do mnie, to uśmiech anioła, dobrotliwy, lecz zdawkowy.

– Jak się masz, kochanie. Powiedz Cordelii, że w puszcze są dla was ciasteczka.

– Możesz wejść – odzywa się Cordelia z pokoju. Spoglądam na zamknięte drzwi, na klamkę, na własną dłoń, kiedy się podnosi, jak gdyby już nie należała do mnie.



Tak to się odbywa. Coś takiego robią sobie nawzajem dziewczynki w tym wieku, przynajmniej wówczas robiły, a ja nie miałam jak się wprawić. Kiedy moje córki miały tyle lat, przyglądałam im się z niepokojem. Obserwowałam palce, czy nie są pogryzione, badałam stopy, końce włosów. Zadawałam naprowadzające pytania: – Wszystko w porządku? Żadnych kłopotów z koleżankami? – Dziewczynki patrzyły na mnie, jakby w ogóle nie rozumiały, o czym mówię, czym tak się przejmuję. Jakoś muszą się zdradzić, myślałam: złe sny, chandra. Nic jednak nie zauważyłam, co zresztą mogło świadczyć, że potrafią dobrze się ukrywać, równie dobrze jak ja. Ilekroć zaprosiły koleżankę, śledziłam wyraz jej twarzy, szukając oznak hipokryzji. Stojąc w kuchni, wsłuchiwałam się w głosy zza ściany. Sądziłam, że to zauważę. A może działo się coś gorszego. Może moje córki same tak się wyżywały na kimś innym. Stąd właśnie ich spokój, brak śladów na palcach, niewzruszone spojrzenie błękitnych oczu.

Większość matek się zamartwia, gdy ich córka wchodzi w wiek dojrzewania. Ja wręcz przeciwnie. Ja się rozluźniłam, odetchnęłam z ulgą. Małe dziewczynki są małe i milutkie tylko dla dorosłych. Dla siebie takie nie są. Są takie jak w rzeczywistości.



Robi się coraz zimniej. Leżę z podkurczonymi kolanami, przysuniętymi jak najbliżej ciała. Zdzieram skórę ze stóp, nie muszę patrzeć, kieruję się dotykiem. Martwię się tym, co dziś powiedziałam, wyrazem swojej twarzy, sposobem chodzenia, strojem, ponieważ wszystko to należy poprawić. Nie jestem normalna, nie jestem taka jak inne dziewczyny. Tak twierdzi Cordelia, ale mi pomoże. Grace i Carol również pomogą. Rzecz wymaga ciężkiej pracy i wiele czasu.

Co rano wstaję z łóżka, wciągam ubranie: sztywny bawełniany pas z podwiązkami, prążkowane pończochy, gruzłowaty wełniany sweter, kraciastą spódnicę. Pamiętam ich chłód. Pewnie rzeczywiście były zimne.

Wkładam buty, wsuwam na pończochy i na poobdzierane stopy.

Idę do kuchni, gdzie matka przyrządza śniadanie. W rondelku gotują się płatki kukurydziane,

pszenne albo owsianka, bulgocze szklana maszynka do kawy. Opieram ręce o brzeg białej kuchenki, przyglądam się owsiance, perkocze i gęstnieje, na powierzchnię wypływają miękkie bańki, puszczają obłoczki pary. Owsianka wygląda jak wrzące błoto. Wiem, że kiedy przyjdzie pora jedzenia, zaczną się kłopoty: żołądek mi się skurczy, ręce zrobią się zimne, trudno będzie cokolwiek przełknąć. Pod mostkiem rośnie twarda gula. Lecz w końcu zjem owsiankę, bo tak trzeba.

Albo przyglądam się maszynce, to lepsze, ponieważ wszystko widać. Pod odwróconym parasolem zbierają się mikroskopijne banieczki, chwilę się wahają, wreszcie kolumna wody tryska w górę, pada na kawę w metalowym koszyczku, kawa sączy się kropla po kropli, barwi czystą wodę na brązowo.

Czasem robię grzanki, siedząc za stołem przy tosterze. Na każdej łyżce leży ciemnożółta kapsułka tranu z halibuta, przypomina małą piłkę futbolową. Obok talerze lśniące bielą, szklanki z sokiem. Toster stoi na srebrnej żaroodpornej podstawie. Ma dwoje drzwiczek z gałką na dole, wewnątrz ruszt rozżarzony do czerwoności. Kiedy grzanka się przyrumieni z jednej strony, przekręcam gałki, drzwiczki się otwierają, grzanka wysuwa i obraca automatycznie. Mogłabym wsadzić tam palec, prosto na rozpalony ruszt.

Tymi sposobami opóźniam czas, spowalnim, żebym nie musiała wychodzić z kuchni. Lecz mimo wszystko, wbrew sobie wkładam kombinezon, upycham spódnicę między nogami, wciągam grube wełniane skarpety, wbijam stopy w śniegowce. Palto, szalik, rękawiczki, włóczkowa czapka: zbroja już w komplecie, pocałunek, drzwi się otwierają, potem zamykają, w nos uderza lodowate powietrze. Brnę przez sad pomiędzy bezlistnymi jabłoniemi, nogawki kombinezonu ocierają się ze świstem, idę na przystanek autobusowy.

Czeka tam Grace, Carol, a przede wszystkim Cordelia. Skoro już raz wyjdę z domu, nie ma przed nimi ucieczki. Są w autobusie, gdzie Cordelia stoi tuż obok, szepcze mi do ucha: – Wyprostuj się! Ludzie patrzą! – Carol jest ze mną w klasie, ma za zadanie donosić Cordelii, co robię i mówię przez cały dzień. Są na przerwach i w piwnicy podczas lunchu. Komentują, co jem, jak trzymam kanapkę, jak żuję. W drodze powrotnej muszę iść przed nimi bądź też za nimi. To pierwsze jest gorsze, bo wymieniają uwagi, w jaki sposób chodzę, jak wyglądam od tyłu.

– Nie garb się – rzuca Cordelia. – Nie wymachuj rękami.

Nie mówią tego przy ludziach, nawet przy innych dzieciach. Cokolwiek się dzieje, dzieje się w tajemnicy, tylko między naszą czwórką. Tajemnica to rzecz ważna, wiem. Zdradzić tajemnicę to jak popełnić najcięższy, niewybaczalny grzech. Jeżeli pisnę słówko, zostanę odtrącona na zawsze.

Takie traktowanie, cała ta władza nade mną nie wynika z faktu, że Cordelia jest moim wrogiem. Nic podobnego. Umiem rozpoznać wroga. Wrogowie są na boisku, wrzeszczą na siebie albo się biją, jeśli to chłopcy. Na wojnie byli wrogowie. Nasi chłopcy są wrogami chłopców od Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, i wzajemnie. Wrogów obrzuca się śnieżkami i cieszy jeżeli oberwą. Wrogowie mogą budzić nienawiść i gniew. Ale Cordelia jest moją przyjaciółką. Lubi mnie, chce mi pomóc, one wszystkie chcą. To moje przyjaciółki, najbliższe, najlepsze przyjaciółki. Nigdy przedtem nie miałam przyjaciółek i boję się je stracić. Pragnę im dogodzić.

Łatwiej byłoby je nienawidzić. Z nienawiścią bym sobie poradziła. Nienawiść jest czysta, szorstka, jednorodna, niezmienna. Co innego miłość.

Zdarzają się chwile wytchnienia.

Czasami Cordelia uznaje, że to Carol powinna się poprawić. Wolno mi wówczas dołączyć do Cordelii i Grace, kiedy wracają ze szkoły – Carol wlecze się z tyłu – wolno się zastanawiać, jakie dziś popełniła błędy.

– Okropnie się mądrzy – mówi Cordelia.

Nie współczuję Carol. Zaslżyła sobie, bo tyle razy robiła mi dokładnie to samo. Cieszę się, że teraz jej kolej.

Takie chwile jednak nie trwają długo. Carol zbyt łatwo, zbyt głośno uderza w płacz, zapamiętuje się w płaczu. Zwraca na siebie uwagę, może się poskarżyć. Jest lekkomyślna, prędko traci głowę, ma słabe poczucie godności, nadaje się jedynie na informatorkę. Skoro dla mnie to oczywiste, musi być tym bardziej oczywiste dla Cordelii.

Zdarzają się również dni na pozór normalne. Cordelia nie próbuje nikogo poprawiać, myślę wtedy, że dała za wygraną. Powinnam się zachowywać, jakby nigdy nic się nie stało. To trudne, czuję bowiem, że stale jestem pod obserwacją. W każdej chwili mogę przekroczyć jakąś niewidzialną linię.

W ubiegłym roku rzadko kiedy siedziałam sama w domu, czy to po lekcjach, czy w weekend. Teraz najchętniej wcale bym nie wychodziła. Wykręcam się od zabawy. Wciąż to nazywam zabawą.

– Muszę pomóc mamie – mówię. Poniekąd zgodnie z prawdą. Dziewczęta czasami muszą pomagać mamom, zwłaszcza Grace pomaga swojej. Ale te słowa zawierają mniej prawdy, niżbym sobie życzyła. Moja matka nie cacka się z domowymi zajęciami, już raczej się krząta w ogrodzie, jesienią grabi liście, zimą odgarnia śnieg, wiosną wrywa chwasty. Kiedy jej pomagam, robota idzie wolniej. Kręcę się jednak po kuchni, pytam: – Mogłabym pomóc? – aż wreszcie matka daje mi ściereczkę i każe odkurzyć rzeźbione nogi stołu w jadalni lub brzegi regałów. Czasem kroję daktyle, siekam orzechy, skrawkiem pergaminu oddartym z opakowania margaryny natłuszczam formy do bułeczek. Innym razem płuczę pranie.

To lubię. Pralnia jest mała i zaciszna, ukryta pod ziemią. Na półkach zgromadzone rozmaite substancje o dziwnej mocy: krochmal w jasnych poskręcanych płatkach podobnych do ptasich odchodów, niebieska farbka do wybielania, kostki szarego mydła, chlorek w butelce z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. Cuchną higieną i śmiercią.

Pralka to biały emaliowany walec na czterech wrzecionowatych nogach. Z wolna tańczy po podłodze, łup-cup, łup-cup, ubranie i mydliny wirują, jak gdyby się gotowały ospale niczym szmaciana owsianka. Przyglądam się, łokcie trzymam na brzegu pralki, brodę na dłoniach, ciało oparte na tej półce cięży w dół, nie myślę o niczym. Woda robi się szara, a mnie ogarnia poczucie siły, bo tyle schodzi brudu. Zupełnie jakbym sprawiła to samym spojrzaniem.

Mam za zadanie przepuścić uprane rzeczy przez wyżymaczkę do zlewu z czystą wodą, później włożyć do innego zlewu na drugie płukanie, wreszcie wrzucić do skrzypiącego kosza. Matka wynosi

pranie na dwór i rozwiesza na sznurze, przyczepia drewnianymi spinaczami. Czasem ja też to robię. Na zimnie materiał zamarza, sztywnieje jak dykta. Pewnego dnia synek sąsiadów zbiera łajno konia wiozącego mleko i wsuwa w świeżo wyprane białe prześcieradła, które wiszą złożone na pół. Prześcieradła zawsze są białe, mleko zawsze kojarzy mi się z końmi.

Wyżymaczka składa się z dwóch gumowych wałków cielistego koloru, wałki się obracają, między nie wciska się tkanina, woda z mydlinami tryska jak sok. Podwijam rękawy, grzebię w pralce, wywlekam namoknięte majtki, halki i piżamy: całkiem jakby się czegoś dotknęło i poniewczasie zauważyło, że to topielec. Wtykam rogi ubrania do wyżymaczki, wałki chwytają, ciągną, uwięzione powietrze wydyma rękawy koszul, z mankietów ściekają mydliny. Muszę bardzo uważać. Zdarza się, że wyżymaczka wkręca kobiecie rękę bądź też inną część ciała, na przykład włosy. A gdyby to była moja ręka? Ciało i krew sunęłyby w górę ramienia niczym wędrujący guz, z drugiej strony wysuwałaby się dłoń płaska jak rękawiczka, biała jak papier. Na początku strasznie by bolało, wiem. Niemniej taki obraz kusi. Całego człowieka można przepuścić przez wyżymaczkę, wyłoniłby się płaski, schludny, kompletny jak kwiat zasuszony w książce.

– Wyjdiesz się bawić? – pyta Cordelia w drodze ze szkoły.

– Muszę pomóc mamie.

– Znowu? – odzywa się Grace. – Co ona tak ciągle pomaga? Nigdy tego nie robiła. – Przy Cordelii zaczęła o mnie mówić w trzeciej osobie, tak jak rozmawiają dorośli.

Chcę powiedzieć, że moja matka jest chora, ale przecież już na pierwszy rzut oka widać, że tryska zdrowiem, to mi z pewnością nie ujdzie na sucho.

– Uważa się za kogoś lepszego – oświadcza Cordelia. A potem do mnie: – Uważasz się za kogoś lepszego?

– Nie. – To źle uważać się za kogoś lepszego.

– Przyjdziemy zapytać twoją mamę, czy ci pozwoli się pobawić. – Cordelia z powrotem przybiera zatroskany, przyjazny ton. – Nie może stale cię zmuszać do pracy. To niesprawiedliwe.

Moja matka się uśmiecha, pozwala, widocznie uradowana, że się cieszę aż takim wzięciem. Trzeba się oderwać od foremek i od wyżymaczki, dać się wypędzić pod gołe niebo.

Co niedziela jeżdżę do kościoła, tego z cebulą zamiast krzyża, gniotę się w samochodzie z całą rodziną Smeathów, z panem Smeathem, panią Smeath, ciotką Mildred, z młodszymi siostrami Grace, które w zimie mają nosy wiecznie pozatykane żółtawozielonymi glutami. Pani Smeath sprawia wrażenie

zadowolonej z takiego układu, lecz w gruncie rzeczy jest zadowolona z samej siebie, ponieważ zadaje sobie tyle trudu, okazuje miłość bliźniego. Nie budzę w niej szczególnego zadowolenia. Poznaję po zmarszczce między brwiami, ilekroć na mnie patrzy, choć się uśmiecha, nie rozłączając warg, jak to ona. Poznaję po głosie, kiedy pyta, czybym następnym razem nie chciała zabrać brata albo rodziców. Skupiam uwagę na klatce piersiowej pani Smeath, na owej pojedynczej piersi zwisającej do pasa, skrywającej ciemnoczerwone serce z czarną plamą, serce, które bije i chwyta oddech, wdech–wydech, wdech–wydech, zdyszane jak ryba wyrzucona na brzeg. Zawstydzona potrząsam głową. Fakt, że nie mogę się zjawić w asyście członków rodziny, świadczy przeciwko mnie.

Znam na pamięć nazwy wszystkich ksiąg Biblii, po kolei, znam Dziesięcioro Przykazań i *Ojciec nasz*, i większość Błogosławieństw. Z każdego testu dostawałam dziesięć punktów na dziesięć możliwych, teraz jednak zaczynam się opuszczać. W szkółce niedzielnej trzeba wstać do odpowiedzi, recytować głośno na oczach całej klasy. A Grace mnie obserwuje. Obserwuje co niedziela i chłodno donosi o wszystkim Cordelii.

– Wczoraj w szkółce niedzielnej nie trzymała się prosto. – Albo: – Była taka dobrusia, że o Jezu. – Wierzę w te komentarze. Garbię się, mam krzywy kręgosłup, promieniuję niewłaściwym rodzajem dobroci. Wyglądam jak pokurcz, jak ostatnia nędza, usiłuję się wyprostować, ciało sztywnieje z trwogi. Rzeczywiście, znowu dostałam dziesięć na dziesięć, a Grace zaledwie dziewięć. Czy to źle być dobrym? Jak dobra mam być, aby osiągnąć doskonałość? W następnym tygodniu specjalnie wstawiam pięć złych odpowiedzi.

– Dostała tylko pięć na dziesięć ze znajomości Biblii – informuje Grace w poniedziałek.

– Widać głupieje – mówi Cordelia. – Przecież nie jesteś aż taka tępa. Musisz bardziej się starać!



Dzisiaj mamy Niedzielę Białych Darów. Przynieśliśmy z domu puszki jedzenia dla biednych owinięte białą bibułą. Mój wkład to grochówka i mielonka. Nieodpowiedni wkład, jak przypuszczam, ale akurat to matka miała w kredensie. Niepokojące są te Białe Dary: takie twarde, ujednolicone, wyprane z tożsamości i koloru. Wyglądają jak martwe. W owych bezbarwnych, złowieszczych zawiniątkach spiętrzonych przed kościołem może się znajdować wszystko.

Siedzę z Grace na drewnianej ławce w suterenie, oglądam slajdy na ścianie, śpiewam pieśń, podczas gdy pianino mozoli się w mroku.

Jezus jaśnieć nam każe

Czystym światłem, białym,

Niby świeczka mała,

Co goreje w noc;

Mrok okrywa ziemię,

Świećmy więc pospołu,

Ty w swoim kąciku,

W swoim kątku ja.

Pragnę gorzeć jak świeca. Pragnę być dobra, wypełniać polecenia, robić, co każe Jezus. Pragnę wierzyć, że trzeba kochać bliźniego swego jak siebie samego i że Królestwo Boże w nas jest. Wszystko to jednak wydaje mi się coraz mniej prawdopodobne.

W ciemności coś rozbłyśka, nieco z boku. To nie świeca, to odbłask okularów Grace, odbijają światło ze ściany. Grace zna słowa na pamięć, nie musi patrzeć na ekran. Obserwuje mnie.

Po nabożeństwie jadę ze Smeathami przez opustoszałe niedzielne ulice. Oglądamy pociągi, gdy monotonicznie suną w tę i z powrotem po szarej równinie nad jeziorem. Później wracamy do domu na obiad. Tak się dzieje każdej niedzieli, to część rytuału chodzenia do kościoła. Byłoby bardzo źle, gdybym odmówiła udziału w jednym czy drugim.

Nauczyłam się tutejszych zwyczajów. Wspinam się po schodach, mijam fikus, uważając, żeby go nie dotknąć, wchodzę do łazienki Smeathów i odliczam cztery kawałki papieru toaletowego, potem myję ręce szorstkim czarnym mydłem. Już nie trzeba mnie upominać, automatycznie spuszcza głowę, kiedy Grace mówi:

– Dzięki Ci, Panie, za Twe hojne dary, które będziemy spożywać w pokoju, amen.

– Wieprzowinka i groch, instrument bąka, im więcej jesz, tym głośniejsza trąbka – deklamuje pan Smeath, uśmiechając się od ucha do ucha. Pani Smeath ani ciotka Mildred nie widzą w tym nic zabawnego. Dziewczynki mierzą ojca poważnym spojrzeniem. Obie noszą okulary, mają białą piegowaną cerę i szorstkie brązowe warkoczki związane niedzielными kokardami, tak samo jak Grace.

– Lloyd – strofuje pani Smeath.

– Daj spokój, przecież to nic strasznego. – Pan Smeath patrzy mi w oczy. – Elaine to bawi. Prawda, Elaine?

Wpadłam w pułapkę. Co tu powiedzieć? Jeśli zaprzeczę, może zachowam się niegrzecznie. Jeżeli potwierdzę, stanę po jego stronie, przeciwko pani Smeath, ciotce Mildred i trzem dziewczynkom, w tym Grace. Robi mi się gorąco, potem zimno. Pan Smeath szczyrzy do mnie zębami w uśmiechu spiskowca.

– Nie wiem – mówię. Powinnam odpowiedzieć „nie”, ponieważ nie rozumiem żartu. Nie mogę jednak zawieść pana Smeatha, nie na całej linii. Jest przysadzisty, łysiejący, gąbczasty, ale to zawsze mężczyzna. On mnie nie ocenia.

Nazajutrz rano w autobusie Grace relacjonuje całe zdarzenie Cordelii, opowiada półszepem:

– Powiedziała, że nie wie.

– A cóż to za odpowiedź? – pyta mnie Cordelia ostrym tonem. – Albo cię bawi, albo nie. Dlaczego powiedziałaś „nie wiem”?

Mówię prawdę:

– Nie wiem, co to znaczy.

– Co znaczy co?

– Instrument bąka. Tym głośniejsza trąbka. – Teraz okropnie się wstydzę własnej niewiedzy. Niewiedza to już szczyt, nie mogłam zrobić nic gorszego.

Cordelia parska pogardliwym śmiechem.

– Nie wiedzieć czegoś takiego? Co za kretynka! To znaczy, że się pierdzi. Po grochu się pierdzi. Każdy to wie.

Czuję się podwójnie upokorzona, raz, że nie wiedziałam, dwa, że pan Smeath przy niedzielnym obiedzie mówił o pierdzeniu i przeciągnął mnie na swoją stronę, a ja się nie sprzeciwiłam. Nie wstydzę się z powodu samego słowa. Zdążyłam się przyzwyczaić, mój brat z kolegami stale je powtarzają, kiedy dorośli nie słyszą. Ale to słowo padło przy stole Smeathów, w tej twierdzy moralności.

W głębi ducha jednak wcale się nie kajam. Moja lojalność wobec pana Smeatha przypomina lojalność wobec Stephena: obaj stoją po stronie wolicz oczu, brudu pod mikroskopem, rzeczy skandalicznych, wywrotowych. Skandalicznych dla kogo, wywrotowych w stosunku do czego? W stosunku do Grace i pani Smeath, do schludnych papierowych laleczek przyklejanych w albumie. Cordelia także powinna być po tej stronie. Czasem jest, czasem nie. Trudno poznać.

24

Rankami mleko zamarza, śmietanka wyrasta z butelki ziarnistym lodowym słupkiem. Panna Lumley pochyla się nad moją ławką, otoczona posepną aurą niewidocznych granatowych reform. Skóra po obu stronach nosa zwisa jej jak podgardle buldoga, w kąciку ust widać drobinę zaschniętej śliny.

– Psuje ci się charakter pisma. – Z przerażeniem spoglądam na kartkę. Rzeczywiście: litery już nie są śliczne i krągłe, są pajęczce, nerwowe, rozmazane w czarne strzępiaste kleksy, tam gdzie zbyt mocno przycisnęłam stalówkę. – Musisz bardziej się starać. – Podkulam palce. Wydaje mi się, że panna Lumley patrzy na poszarpaną skórę. Wszystko, co mówię, wszystko, co robię, słyszy i widzi Carol, i później powtórzy.



Cordelia gra w sztuce, idziemy ją obejrzeć. To moja pierwsza sztuka, powinnam czuć podniecenie. Tymczasem dławi mnie strach, gdyż nie znam etykiety obowiązującej przy takich okazjach i z pewnością popełnię jakiś błąd. Sztukę wystawiają w Audytorium Eatona. Scenę zasłania niebieska aksamitna kurtyna w pionowe czarne paski. Rozsuwa się, by ukazać *O czym szumią wierzby*. Wszyscy

aktorzy to dzieci. Cordelia gra łasicę, ale w tym kostiumie, z głową łasicy, nie sposób jej odróżnić od innych łasic. Siedzę w pluszowym fotelu, obgryzam palce, wyciągam szyję, szukam Cordelii. Wiem, że tam jest, lecz nie wiem gdzie. To najgorsze ze wszystkiego. Może być wszędzie.



Radio wypełnia cukierkowa muzyka: *Marzę o białym Bożym Narodzeniu, Rudolph, czerwono nosy renifer*. Musimy to śpiewać w szkole, stojąc przy ławkach, panna Lumley swoją piszczałką podaje ton i wybija takt drewnianą linijką, tą samą, którą tłucze chłopców po rękach, kiedy rozrabiają. Rudolph mnie martwi, bo jest odmieńcem, ale zarazem daje nadzieję, ponieważ w końcu ktoś go pokochał. Obrzydliwy komercyjny neologizm, twierdzi mój ojciec.

– Pieniądze nie trzymają się głupca – mówi.

Wycinamy z kartonu czerwone dzwonki, złożony kartkę na pół. Tym samym sposobem wycinamy śniegowe bałwany. Oto recepta panny Lumley na symetrię: wszystko trzeba składać, wszystko ma dwie połowy, lewą i prawą, identyczne.

Te świąteczne obrządki wypełniam jak lunatyk. Nie obchodzą mnie dzwonki ani bałwany, ani nawet Święty Mikołaj, już w niego nie wierzę, odkąd Cordelia mi powiedziała, że tak naprawdę to tylko rodzice. Urządzamy w klasie gwiazdkowe przyjęcie z ciastkami, któreśmy przynieśli z domu i bez słowa chrupiemy w ławkach, z kolorowymi marmoladkami, które dostarczyła panna Lumley, po pięć sztuk na głowę. Panna Lumley zna tradycję i na swój oschły sposób składa jej hołd.

Na Gwiazdkę dostaję lalkę – podobiznę Barbary Ann Scott, o taką prosiłam. Musiałam o coś poprosić i poniekąd faktycznie chciałam ją mieć. To moja pierwsza lalka dziewczyna. Barbara Ann Scott jest sławną łyżwiarką figurową, bardzo sławną. Zdobywała nagrody. Oglądałam jej zdjęcia w gazecie.

Lalka ma małe buty łyżwiarskie z imitacji skóry i kostium oblamowany futerkiem, różowo-biały, oczy z długimi rzęsami otwierają jej się i zamykają, lecz wcale nie przypomina prawdziwej Barbary Ann Scott. Jeśli sędzić po zdjęciach, Barbara jest muskularna, z potężnymi udami, lalka natomiast to chudy patyk. Barbara jest kobietą, lalka dziewczynką. Promieniuje niepokojącą siłą wizerunku, martwą żywotnością, aż ciarki chodzą po plecach. Wkładam ją z powrotem do tekturowego pudełka, obtykam bibułką, zasłaniam twarz. Żeby się nie zniszczyła, mówię, ale w rzeczywistości nie chcę czuć na sobie jej wzroku.

Nad naszą kanapą wisi udrapowana na ścianie siatka do badmintonu. W jej oka rodzice powsadzali kartki świąteczne. Nikt ze znajomych nie ma w domu podobnej dekoracji. Choinka u Cordelii jest niepodobna do innych: cała w zwiewnym anielskim włosie, z niebieskimi i tylko niebieskimi lampkami i bombkami. Lecz Cordelii taka odmienność ujdzie na sucho, mnie nie. Będę musiała zapłacić za siatkę do badmintonu, wiem, zapłacić prędzej czy później.



Siedzimy za stołem, jemy świąteczny obiad. Jest z nami student ojca, młody Hindus, który przyjechał do Kanady uczyć się o owadach i który nigdy dotąd nie widział śniegu. Zaprosiliśmy go, bo to cudzoziemiec, znalazł się daleko od domu, czułby się samotny, w jego kraju nawet nie mają Bożego Narodzenia. Tak nam wcześniej wytłumaczyła matka. Jest uprzejmy i skrupowany, często chichocze, z wyraźną trwogą przygląda się potrawom rozstawionym na stole, popatruje na tłuczone kartofle, sos, zjadliwą czerwono-zieloną galaretkę, na gigantycznego indyka. W Indiach jada się zupełnie coś innego, mówiła matka. Wiem, że dobre maniery i uśmiechy naszego gościa w gruncie rzeczy maskują cierpienie. Wyczuwam to na odległość, teraz już prawie bez trudu potrafię zwietrzyć ukrytą niedolę.

Ojciec siedzi u szczytu stołu, promienieje niczym Wesoły Zielony Olbrzym z komiksów. Unosi kieliszek, w jego oczach gnoma błyskają ogniki.

– Panie Banerdzi. – Zawsze zwraca się do studentów per „pan” i „panno”. – Nie pofrunie się z jednym skrzydłem.

Pan Banerdzi chichocze.

– Święta racja, panie profesorze – mówi głosem spikera z BBC. Unosi swój kieliszek, pociąga łyk. W kieliszku ma wino. My z bratem popijamy z kieliszków sok żurawinowy. Rok czy dwa lata temu pewno byśmy związali sznurowadła, żeby skrytymi szarpnięciami dawać sobie sygnały pod stołem, teraz jednak to już nie dla nas, z różnych powodów.

Ojciec nakłada nadzienie, rozdziela plastry jasnego i ciemnego mięsa, matka dodaje kartofle i sos żurawinowy, starannie wymawiając słowa, pyta gościa, czy w jego kraju są indyki. Nie sędzę, odpowiada pan Banerdzi. Siedzę naprzeciwko, kołysząc nogami, wpatruję się w niego oczarowana. Ze zbyt szerokich mankietów sterczą mu chude nadgarstki, dłonie ma wydłużone i szczupłe, skórę dookoła paznokci postrzępioną jak moja. Szalenie mi się podoba z tą smagłą cerą, lśnącymi białymi zębami i ciemnymi zalęknionymi oczyma. Wygląda jak tamten chłopczyk z pierwszej strony misjonarskiej gazetki, którą dostałam w szkółce niedzielnej, jedno z kręgu najróżniejszych dzieci, dzieci żółtych i brunatnych, ubranych w najróżniejsze kostiumy, tańczących wokół Jezusa. Pan Banerdzi nie ma na sobie kostiumu, tylko marynarkę i krawat jak zwykli mężczyźni. Jednakże trudno mi uwierzyć, że to mężczyzna, tak bardzo się różni od innych. Przypomina raczej istotę z mojego gatunku, odmienną i płochliwą. Boi się nas. Nie wie, co za chwilę zrobimy, jakich okropności będziemy wymagać, co mu każemy zjeść. Nic dziwnego, że gryzie palce.

– Może kawałeczek mostka? – pyta ojciec. Pan Banerdzi wnet się rozpromienia.

– Ach, mostek. – Widzę, że obydwoj wkroczyli we wspólny świat biologii zapewniający ucieczkę od realnego, krępującego świata manier i milczenia, w którym ugrzęźliśmy. Krojąc mięso, ojciec pokazuje nam wszystkim, a zwłaszcza gościowi, miejsca, gdzie są przychepione mięśnie poruszające skrzydłami, używa w tym celu widelca. Naturalnie, mówi, indyk domowy utracił zdolność latania.

– *Meleagris gallopavo* – ciągnie. Pan Banerdzi pochyla się do przodu, ożywia na dźwięk łacińskich słów. – Stworzenie o mikroskopijnym mózdzku, prawdziwie ptasim mózdzku, można by rzec, hodowane ze względu na łatwość, z jaką nabiera ciała, szczególnie na udkach – ojciec wskazuje udka – z pewnością nie ze względu na inteligencję. Pierwsi udomowili indyka Majowie. – Opowiada historię o fermie, na której wszystkie indyki wyginęły, były bowiem za głupie, żeby się schronić przed burzą. Stały na dworze i z rozdziawionymi dziobami gapiły się w niebo, a deszcz padał im do gardeł, aż w końcu ptaki co do jednego się potopiły. Tak mówią farmerzy i pewno zmyślają, chociaż głupota indyka jest wręcz przysłowiowa. Dziki indyk, dodaje ojciec, niegdyś często spotykany w okolicznych lasach

liściastych, to ptak znacznie bardziej inteligentny, potrafi się wymknąć nawet doświadczonym myśliwym. Potrafi także latać.

Dłubię widelcem w talerzu, podobnie jak pan Banerdzi. Oboje tylko rozgrzebaliśmy kartofle, nie zjedliśmy prawie nic. Dzikie zwierzęta są mądrzejsze od zwierząt oswojonych, to jasne. Są nieuchwytne i przebiegłe, i czujne. Dzielę znanych sobie ludzi na dzikich i oswojonych. Moja matka, dzika. Ojciec i brat dzicy. Pan Banerdzi też, aczkolwiek bardziej bojaźliwy. Carol, oswojona. Grace również oswojona, choć z utajonymi śladami dzikości. Cordelia dzika, w stu procentach.

– Ludzka chciwość nie zna granic – mówi ojciec.

– Czyżby, panie profesorze?

Ojciec wyjaśnia, że jakiś skurczybyk podobno stara się wyhodować indyka z czterema nogami, zamiast dwóch nóg i dwóch skrzydeł, ponieważ na udkach jest więcej mięsa.

– Jak takie stworzenie by chodziło? – zastanawia się pan Banerdzi, na co ojciec rzuca z aprobatą:

– No właśnie. – Opowiada, że naukowcy, ci cholerni głupcy, pracują nad kwadratowym pomidorem, gdyż kwadratowe pomidory rzekomo łatwiej by się pakowało do skrzynek niż okrągłe. – Kosztem smaku, rzecz prosta. Smak ich zupełnie nie obchodzi. Wyhodowali nagą kurę, bo im się zdawało, że skoro oszczędzi energię potrzebną do wytwarzania piór, to zniesie więcej jajek, ale ptaszysko tak się trzęsło, że musieli dodatkowo ogrzewać kojec, więc w sumie wypadło drożej.

– Głupie zabawy z przyrodą, panie profesorze – komentuje pan Banerdzi. Już wiem, że to właściwa reakcja. Można badać przyrodę, można też przed nią się bronić, w rozsądnych granicach, lecz głupie zabawy to już zupełnie coś innego.

Pan Banerdzi mówi, że podobno istnieje już bezwłosy kot, czytał w jakimś czasopiśmie, chociaż osobiście nie widzi w tym ani odrobiny sensu. To jak dotąd jego najdłuższa wypowiedź.

Stephen pyta, czy w Indiach żyją jadowite węże. Pan Banerdzi, teraz znacznie swobodniejszy, zaczyna je wyliczać. Matka się uśmiecha, gdyż wszystko układa się lepiej, niż oczekiwała. Nic jej nie szkodzi jadowite węże, nawet przy obiedzie, dopóki dzięki nim ludzie są zadowoleni.

Ojciec spałaszował całą swoją porcję, teraz wygrzebuje dokładkę nadzienia z czeluści indyka, który przypomina bezgłowe niemowlę. Indyk zrzucił przebranie potrawy, objawił mi się w swej prawdziwej postaci – wielkiego martwego ptaka. Jem skrzydełko. Skrzydełko oswojonego indyka, najgłupszego ptaka na świecie, tak głupiego, że już nawet nie umie latać. Jem utracony lot.

Po świętach dostaję pracę. Mam wozić Briana Finesteina w wózku po naszej ulicy, godzinę lub trochę dłużej, jeżeli nie będzie za zimno, raz w tygodniu po lekcjach. Za dwadzieścia pięć centów – kolosalna suma.

Finesteinowie mieszkają obok nas, w wielkim domu, który wyrósł tak niespodziewanie na miejscu kopca ziemi. Pani Finestein jest niska, pulchna, o ciemnych kędzierzawych włosach i pięknych białych zębach. Często je widać, bo dużo się śmieje, marszczy wtedy nos, tak jak to robią szczenięta, i potrząsa głową, aż migoczą złote kolczyki. Pewności nie mam, ale to chyba prawdziwe kolczyki, chyba rzeczywiście przechodzą na wylot przez dziurki w uszach. Dotąd widywałam tylko klipsy.

Naciskam dzwonek, pani Finestein otwiera drzwi.

– Moja mała wybawicielka – mówi. Czekam w przedsionku, śniegowce obciekają na rozłożone gazety. Pani Finestein, w różowym kwiecistym szlafroku i w kapciach na obcasie oblamowanych prawdziwym futerkiem, biegnie na górę po Briana. Przedśionek cuchnie amoniakiem, to pieluchy: leżą w wiadrze, czekając, aż je zabierze człowiek z pralni. Intrygująca możliwość – żeby ktoś inny przyjeżdżał po czyjeś brudy. Na stole o parę kroków za przedsionkiem Finesteinowie zawsze trzymają miskę pomarańczy, u nikogo pomarańcze tak się nie walają na widoku, chyba że to Boże Narodzenie. Za miską stoi złoty świecznik w kształcie drzewa. Wszystko to razem – mdlący odór upapranych pieluch gnijących w wiadrze, miska z pomarańczami, złote drzewo – składa się w mojej wyobraźni na obraz najwyższego wyrafinowania.

Pani Finestein zbiega ze schodów, niosąc Briana okutanego w błękitny króliczy kombinezon z uszami. Głośno całuje synka w policzek, podrzuca, pakuje do wózka, zapina wodoszczelną osłonę.

– No, Brianku. Teraz mamusia nareszcie może posłuchać własnych myśli. – Parska śmiechem, marszczy nos, potrząsa złotymi kolczykami. Skórę ma jędrną, pachnącą mlekiem. Pierwszy raz w życiu widzę taką matkę.

Wytaczam wózek na dwór, w mróz, ruszamy ulicą po skrzypiącym śniegu obsypanym popiołem z kominków, tu i ówdzie upstrzonym końskim łajnem. Nie wyobrażam sobie, jakim cudem Brian może zagłuszać czyjeś myśli, ponieważ nigdy nie płacze. Nigdy też się nie śmieje. W ogóle nie wydaje żadnych dźwięków ani nie zasypia. Po prostu leży w wózku, poważnie obserwuje mnie okrągłymi niebieskimi oczami, guziczek nosa coraz bardziej mu czerwienieje. Nie próbuję zabawiać małego. Lubię go: milczy, lecz nie krytykuje.

Kiedy uznaję, że pora wracać, kiedy pani Finestein woła: – Już piąta? Niemożliwe! – proszę, żeby mi zapłaciła pięciocentówkami, nie jedną ćwierćdolarówką, wówczas bowiem pieniędzy jest na oko więcej. Bardzo się z tego śmieje, ale płaci. Trzymam pieniądze w starej puszcze po herbacie z obrazkiem przedstawiającym pustynię, palmy i wielbłądy. Lubię wyjmować monety i rozsypywać na łóżku. Nie liczę ich, tylko układam według dat: 1935, 1942, 1945. Na każdym pieniążku widnieje głowa króla, zgrabnie ucięta przy szyi, królowie jednak nie są wszyscy tacy sami. Ci z czasów przed moim urodzeniem mają brody, ci dzisiejsi nie, ponieważ to król Jerzy, ten z fotografii w klasie. Ogarnia mnie dziwny spokój, gdy tak rozdzielam pieniądze na kupki uciętych głów.



Spaceruję z Brianem ulicą, w tę i z powrotem. Trudno mi się zorientować, kiedy minęła godzina, bo nie mam zegarka. Zza rogu wyłaniają się Cordelia i Grace, za nimi Carol. Spostrzegły mnie, podchodzą.

– Co się rymuje z Elaine? – pyta Cordelia. Nie czeka na odpowiedź. – Elaine, tępa jak pień.

Carol zagląda do wózka.

– Patrzcie, ale uszy. Prawdziwy królik. Jak się nazywa? – Jej głos brzmi tęsknie. Widzę Briana w nowym świetle. Nie każdemu wolno popychać wózek z niemowlakiem.

– Brian. Brian Finestein.

– Finestein to żydowskie nazwisko – odzywa się Grace.

Nie rozumiem. Widziałam słowo „Żyd”, pełno go w Biblii, lecz nie zdawałam sobie sprawy, że gdzieś można jeszcze spotkać żywych, prawdziwych Żydów, a zwłaszcza w sąsiednim domu.

– Żydzi to parchy – oświadcza Carol, zerkając na Cordelię, oczekując pochwały.

– Nie bądź wulgarna – cedzi Cordelia głosem dorosłej osoby. – Nie wolno używać takich słów.



Pytam matkę, kto to są Żydzi. Wyznawcy innej religii, tłumaczy. Pan Banerdzi również wyznaje inną religię, ale nie żydowską. Istnieje wiele różnych religii. A jeśli idzie o Żydów, to Hitler mnóstwo ich wymordował podczas wojny.

– Dlaczego?

– Był obłąkany – mówi ojciec. – Cierpiał na megalomanię.

Niewiele mi to wyjaśnia.

– Był złym człowiekiem – mówi matka.



Pcham wózek po śniegu zmieszonym z popiołem, omijam wyboje. Brian wybałusza na mnie oczy, ma czerwony nos, buzię bez uśmiechu. Nabrał nowego wymiaru: jest Żydem. Kimś wyjątkowym, poniekąd bohaterskim. Nie mogą tego umniejszyć nawet królicze uszy. „Żyd” znaczy tyle co pieluchy, pomarańcze w misce, złote kolczyki pani Finestein i prawdziwe – być może – dziurki w jej uszach, lecz także wiąże się ze starodawnymi, doniosłymi sprawami. Nie co dzień widuje się Żydów. Obok mnie idą Cordelia, Grace i Carol.

– Jak się dzisiaj ma nasz dzidzius? – rzuca Cordelia.

– Dobrze – odpowiadam ostrożnie.

– Nie pytam o niego, tylko o ciebie.

– Mogę go trochę powozić? – prosi Carol.

– Nie wolno mi. – Jeżeli coś się stanie, jeżeli wywróci Briana w zaspę, ja będę winna.

– Nie to nie. Głupi żydowski bachor.

– Żydzi zabili Chrystusa – oznajmia wyniośle Grace. – Tak jest napisane w Biblii.

Cordelię jednak niezbyt obchodzą Żydzi. Co innego jej w głowie.

– Jeżeli człowiek, który kroi bulwę, nazywa się bulwiarz, to jak się nazywa człowiek, który kroi skórę?

– Nie wiem.

– Ale głupia. Przecież to robi twój ojciec w pracy, nie? Kroci skórę na robalach. No, dalej. Zastanów się. To naprawdę łatwe.

– Skórwiarz – mówię.

– Więc tak myślisz o własnym ojcu? – parska Cordelia. – On jest entomologiem, tępota jedna. Wstydz się. Powinno ci się wyszorować język mydłem.

„Skórwiarz” to brzydkie słowo, wiem, ale nie rozumiem dlaczego. Niemniej zdradziłam i zostałam zdradzona.

– Muszę iść – bąkam.

Wracając do Finesteinów płacząc bezgłośnie, Brian mi się przygląda oczami bez wyrazu.

– Żegnaj, Brian – szepczę.

Mówię pani Finestein, że muszę zrezygnować z pracy, bo mam za dużo lekcji do odrabiania. Nie mogę wyjawic prawdziwej przyczyny: że przy mnie grozi Brianowi jakieś nieokreślone niebezpieczeństwo. Widzę, jak mały wpada głową naprzód w zaspę, jak mknie w wózku po oblodzonym stoku przy mostku, do strumienia pełnego umrzyków, jak śmiga w powietrzu, przerażony, powiewając króliczymi uszami. Mam jedynie ograniczoną zdolność odmawiania ludziom.

– Nic nie szkodzi, kotku. – Pani Finestein zagląda w moje czerwone, załzawione oczy. Obejmuje mnie, przytula, wręcza dodatkową pięciocentówkę. Pierwszy raz ktoś mnie nazwał „kotkiem”.

Wracam do domu. Wiem, że ją zawiodłam, zawiodłam także siebie. Skórwiarz, myślę. W kółko powtarzam to słowo, aż się rozmywa we własnych sylabach. Wiarzskór, wiarzskór. Nic nie znaczy, podobnie jak „parch”, lecz cuchnie niegodziwością, ma swoją moc. Co zrobiłam ojcu?

Biorę wszystkie monety z głową króla, swój zarobek u pani Finestein, wydaję w sklepiku po drodze ze szkoły. Kupuję lukrecję, marmoladki, wielowarstwowe kulki z ziarenkiem w środku,

oranżadę, którą się pije przez słomkę. Rozdzielam sprawiedliwie te dary, tę pokutę, wsuwam w wyczekujące ręce przyjaciółek. Na chwilę przed ofiarowaniem wszystkie mnie kochają.

26

Jest sobota. Przez cały ranek nic się nie wydarzyło. Na rynnie nad południowym oknem wiszą sople, topnieją w słońcu, monotonne kapanie brzmi tak, jakby coś przeciekało. Matka w kuchni piecze ciasto, ojciec i brat dokądś poszli. Jem lunch sama, przypatrując się soplom.

Na lunch dostałam krakersy, pomarańczowy ser, szklankę mleka i zupę-abecadło. Matka uważa tę zupę za rozweselający przysmak stosowny dla dzieci. W talerzu pływają litery, białe litery: A, O, S, R, czasem trafia się X albo Z. Kiedy byłam młodsza, wyławiałam je i układałam słowa na brzegu talerza bądź też zjadałam własne imię, litera po literze. Teraz po prostu jem zupę, bez szczególnego zainteresowania. Jest pomarańczowoczerwona, całkiem smaczna, chociaż same litery nie mają żadnego smaku.

Dzwoni telefon. To Grace.

– Chcesz się pobawić? – pyta bezbarwnym tonem, zarazem obojętnym i pozbawionym miękkości, przywodzącym na myśl połyskliwy papier. Cordelia na pewno stoi tuż obok. Jeśli powiem „nie”, o coś mnie oskarżą, jeśli powiem „tak”, będę musiała pójść. Mówię „tak”.

– Przyjdziemy po ciebie.

W żołądku czuję mdłą, ciężką grudę, jakbym się nałykała ziemi. Wciągam kombinezon i śniegowce, włóczkową czapkę i rękawiczki. Mówię matce, że idę się bawić.

– Tylko nie przemarznij.

Słońce na śniegu oślepia. Zaspy ścina skorupka lodu, tam gdzie śnieg stopniał i znowu zamarł. Moje buty zostawiają na szreni ślady o czystym, wyraźnym konturze. Nikogo nie ma w pobliżu. Wędruję przez biały blask w stronę domu Grace. Powietrze migocze, pełne światła, nazbyt pełne, słyszę, jak napiera mi na oczy. Czuję się półprzezroczysta niby dłoń na latarce albo meduza, którą widziałam na zdjęciu w czasopiśmie, pływająca w morzu niczym wodnisty balon mięsa.

Przy końcu ulicy spostrzegam trzy sylwetki, bardzo ciemne, idą ku mnie. Palta wyglądają na prawie czarne. Nawet twarze, gdy się zbliżają, dziwnie poczerniały, jakby były w cieniu.

Cordelia mówi: – Powiedziałyśmy, że po ciebie przyjdziemy. Nie, że ty możesz przyjść.

Milczę.

Grace mówi: – Powinna odpowiadać, kiedy się do niej zwracamy.

I znowu Cordelia: – Co jest, ogłuchłaś?

Głosy dobiegają z daleka. Odwracam się i wymiotuję w zaspę. Wcale nie chciałam, nie wiedziałam, że tak się stanie. Co rano mam mdłości, już się przyzwyczyłam, lecz teraz to najprawdziwsze wymioty, zupa zmieszana ze strzępkami sera, zadziwiająco jaskrawa, czerwopomarańczowa na bieli śniegu, tu i ówdzie zniszczona litera.

Cordelia się nie odzywa.

Grace rzuca: – Lepiej wracaj do domu.

Carol, za ich plecami, jest chyba bliska łez.

– Ma to na twarzy – mówi.

Idę z powrotem, czując odór wymiotów na przodzie kombinezону, smak w nosie i w gardle. Zupełnie jak kawałki marchewki.

Leżę w łóżku, obok stoi wiadro, unoszę się lekko na falach gorączki. Zwracam jeszcze kilka razy, aż w końcu wycieka tylko odrobina zielonego soku.

– Pewno wszystkich nas złapie – wzdycha matka, i rzeczywiście. Nocą słyszę prędkie tupot nóg, odgłosy wymiotów, szum spuszczonej wody w ubikacji. Bezpieczna, malutka, spoczywam otulona chorobą jak watą.



Zaczynam częściej chorować. Czasami matka, przyświecając sobie latarką, zagląda mi do ust, dotyka czoła, mierzy temperaturę i każe iść do szkoły, czasem jednak pozwala zostać w domu. W te dni czuję ulgę, jak gdybym długo biegła i wreszcie dotarła do miejsca, gdzie mogę odpocząć – nie na zawsze, przez chwilę. Gorączka to rzecz przyjemna, to próżnia. Lubię dotyk chłodu, zwietrzałe piwo imbirowe, które dostają do picia, lubię przychodzące później wyczerzenie na wszelkie smaki.

Leżę w łóżku wsparta na poduszkach, obok na krześle stoi szklanka wody, słucham odgłosów dalekiej krzątaczki: trzepaczka do piany, odkurzacz, muzyka z radia, szum froterki niczym szum fal na brzegu jeziora. Przez okno, przez szparę w na pół zaciągniętych zasłonach, wpadają ukośne promienie zimowego słońca. Mam teraz zasłony. Przyglądam się lampie na suficie, kłoszowi z mlecznego żółtawego szkła, w środku widać cienie paru martwych much, przezierają jak przez mętną galaretę. Albo wpatruję się w klamkę.

Czasami wycinam rozmaite obrazki z czasopism, wklejam do albumu klejem roślinnym z butelki, która wygląda jak goniec szachowy. Wycinam figurki kobiet z „Good Housekeeping”, z „The Ladies’ Home Journal”, z „Chatelaine”. Jeżeli twarze mi się nie podobają, odcinam głowy i przyklejam inne. Kobiety mają sukienki z bufiastymi rękawami i fałdzistym dołem, białe fartuszki ciasno zawiązane w pasie. Spryskują muszlę klozetową środkiem odkażającym, zabijają zarazki. Pucują okna lub szorują pryszczatą skórę kostkami mydła, lub myją szamponem przetłuszczone włosy. Pozbywają się niepożądanych zapachów, wcierają krem w szorstkie pomarszczone dłonie, tulą do policzków rolki papieru toaletowego.

Na innych obrazkach przedstawione są kobiety godne potępienia. Niektóre za dużo plotkują, te są złe, tamte się szarogęszą. Niektóre za dużo robią na drutach. „W domu, w sklepie, na przystanku dzierga, dzierga bez ustanku”, brzmi podpis. Na obrazku kobieta robi na drutach w tramwaju, kłując sąsiadów, kłębek wełny toczy się przejściem między siedzeniami. Obok wielu z tych kobiet siedzi Ptak-Patrzak, czerwono-czarny, podobny do dziecięcego rysunku, ptak o wielkich oczach i patykowatych nogach. „Ptak-Patrzak patrzy na plotkarkę. Ptak-Patrzak patrzy NA CIEBIE”.

Najwidoczniej nie ma końca niedoskonałościom ani wszelkiego rodzaju potknięciom. Nawet kiedy się dorośnie, to jakkolwiek mocno się szoruje, cokolwiek się robi, i tak zostanie plama albo pryszcz na twarzy, głupi postępek, czyjaś gniewna mina. Niemniej z pewną przyjemnością wycinam te niedoskonałe kobiety o czołach zbrudzonych takim czy innym strapieniem, wklejam do albumu.

W południe w radiu puka do drzwi Wesoła Gromadka.

Puk, puk, puk.

Kto tam?

Wesoła Gromadka!

No to PROSZĘ!

Weselcie się jak Wesoła Gromadka,

Bądźcie zdrowi, a z resztą do diaska!

Bo gdyś wesół i zdrowy jak rydz,

Wtedy forsa nie znaczy już nic,

Więc weselcie się z Wesołą Gromadką!

Wesoła Gromadka napawa mnie niepokojem. Co się dzieje z człowiekiem, jeżeli nie jest wesół i zdrowy? Tego nie mówią. Sami są zawsze weseli, przynajmniej tak utrzymują. Nie potrafię jednak uwierzyć, że ktoś może być wesół przez cały czas. Czyli chwilami na pewno kłamią. Ale kiedy? Jak często ów fałszywie brzmiący śmiech rzeczywiście jest fałszem?

Chwilę później odzywa się sygnał czasu z Krajowego Obserwatorium Astronomicznego: najpierw seria kosmicznych pisków, potem przerwa, wreszcie jedna długa kreska. Oznacza godzinę pierwszą. Czas mija, w ciszy przed długą kreską nabiera kształtu przyszłość. Wciskam głowę w poduszkę. Nie chcę tego słyszeć.

Zima topnieje, zostawia brudny osad popiołu, wilgotnego papieru, rozmokłych starych liści. W naszym ogródku pojawia się kopiec ziemi, później sterta zrolowanych kwadratów darni. Rodzice

w zabłoconych butach i spodniach powalanych ziemią układają je w błocie jak kafelki w łazience. Wyrwywają perz i mlecze, sieją szczypior i rząddek sałaty. Zbiegają się koty, przychodzą znikąd i obsiadają, rozgrzebują miękką, świeżo obsianą glebę. Ojciec rzuca w nie kępami wyrwanych mleczy.

– Przeklęte kociska – burczy.

Pąki nabierają żółtawej barwy, pojawiają się skakanki. Stoimy u Grace na podjeździe, obok ciemnoróżowej dzikiej jabłoni. Kręcę skakanką, drugim końcem kręci Carol, Grace i Cordelia skaczą. Wyglądamy jak bawiące się dziewczynki.

Śpiewamy:

Nie zeszłej nocy, lecz noce temu trzy

Dwudziestu czterech zbójców stanęło u mych drzwi.

I tak... rzekli... mi!

Hej, paniusiu, obróć się, obróć się, obróć się,

Hej, paniusiu, dotknij pięt, dotknij pięt, dotknij pięt,

Hej, paniusiu, pokaż but, pokaż but, pokaż but,

Hej, paniusiu, dwadzieścia cztery szuuut!

Grace, skacząc, obraca się wkoło, dotyka podjazdu, z wyczuciem podnosi jedną nogę, cały czas lekko się uśmiechając, jak to ona. Rzadko kiedy zdarza jej się skusić.

W moich uszach piosenka brzmi groźnie. Sugeruje coś nieprzyzwoitego. Czegoś tu nie rozumiem: zbójców z ich dziwnymi żądaniami, wirującej paniusi, sztuczek, które musi pokazywać niczym tresowany pies. I co właściwie znaczy to „dwadzieścia cztery szuuut” na końcu? Czy kobietę wyrzucono z domu, a zbójcy zostali w środku i mogą sobie wziąć, co tylko chcą, wszystko zniszczyć, robić, co im się żywnie podoba? Czy też ostatecznie z nią się rozprawili? Widzę, jak dynda na dzikiej jabłoni, na szyi ma zaciśniętą pętlę ze skakanki. Nie żal mi jej.

Świeci słońce, wracają kulki, które gdzieś tam przeleżały całą zimę. Nad szkolnym boiskiem niosą się dziecięce głosy: – Krysztalek, krysztalek, bula, bula, dwie za jedną. – Brzmią niby głosy duchów albo zwierząt schwytanych w potrzask: piskliwe jęki wyczerpania i bólu.

W drodze ze szkoły pokonujemy drewniany mostek. Idę z tyłu. Przez dziurawe deski widzę ziemię w dole. Pamiętam, jak dawno temu mój brat zakopał gdzieś tutaj słoik pełen kryształków, rusałek i kocich oczu. Słoik wciąż leży w ziemi, świeci w ciemności, w ukryciu. Mogłabym tam zejść całkiem sama, mimo niewidocznych groźnych mężczyzn, mogłabym wydobyć skarb, przechwycić tajemnicę. Nie zdołam znaleźć słoika, ponieważ nie mam mapy. Lubię jednak myśleć o rzeczach, o których inni nic nie wiedzą.

Wyciągam swoje niebieskie kocie oko z szuflady komody, gdzie je schowałam na zimę. Oglądam, podnoszę do światła, aż płonie w blasku słońca. Żrenica kryształowej kuli jest taka błękitna, taka czysta. Przypomina coś zamrożonego w lodzie. Zabieram kulkę do szkoły, noszę w kieszeni, ale jej

nie wystawiam na cel. Ściskam ją, toczę między palcami.

– Co tam masz w kieszeni? – pyta Cordelia.

– Nic. Tylko kulkę.

Jest sezon na kulki, wszyscy je noszą. Cordelia nie drąży dalej. Nie zna mocy kociego oka, tej mocy, która mnie chroni. Czasami, kiedy je mam przy sobie, widzę tak, jak widzi ono. Widzę ludzi poruszających się niby jasne ożywione lalki, ich usta się otwierają i zamykają, lecz nie słychać żadnych prawdziwych słów. Patrzą na ludzkie kształty, na rozmiary i barwy, nie czując przy tym nic. Żyją tylko moje oczy.



Zostajemy w mieście dłużej niż ubiegłego lata. Tymczasem skończyła się szkoła, na dworze wciąż jest widno, kiedy się kładziemy spać, ulice spowija wilgotny skwar jak parujący koc. Popijam musujący napój z winogron, który smakuje raczej jak środek owadobójczy, zastanawiam się, kiedy wreszcie ruszymy na północ. Nigdy, mówię sobie, żeby się nie rozczarować. Lecz pomimo kociego oka wiem, że dłużej nie wytrzymam. Wybuchnę do wewnątrz. W „National Geographic” czytałam o nurkowaniu głębinowym. Trzeba mieć na sobie gruby metalowy skafander, bo inaczej niewidzialne ciśnienie ciężkiej podmorskiej wody zgniecie człowieka niczym garść błota, aż nastąpi implozja. Właśnie tak to się nazywa: implozja. Słowo pobrzmiwa głucho, nieodwołalnie, jakby się zamykały ołowiane drzwi.



Siedzę w samochodzie, wepchnięta jak paczka na tylne siedzenie. Grace, Cordelia i Carol stoją pod jabłonią, przyglądają się. Kurczę się, chowam. Nie chcę udawać, nie chcę pożegnać. Kiedy samochód rusza, zaczynają machać.

Jedziemy na północ. Toronto zostało za nami – brunatna krecha na horyzoncie, niczym dym odległego pożaru. Dopiero teraz się odwracam i patrzę.

Liście są coraz mniejsze i bardziej żółte, z powrotem zwijają się w paki, powietrze nabiera ostrości. Na poboczu spostrzegam kruka, dziobie rozjechanego jeżozwierza o kolcach podobnych do ogromnego rzepa, o różowych wnętrzościach rozbełtanych jak jajecznicą. Przed nami wyrastają z ziemi strzeliste północne granity przecięte nitką szosy. Widzę zanieczyszczone jezioro z uschniętymi drzewami sterczącymi z bagna na brzegach. Spalarkę trocin, wieżę obserwacyjną.

Przy szosie stoi trzech Indian. Nic nie sprzedają, żadnych koszyków, na jagody jeszcze za wcześnie. Po prostu tam stoją, jakby to robili od dawna. Wyglądają znajomo, ale tylko jako część krajobrazu. Czy mnie widzą, kiedy tak na nich zerkam z okna samochodu? Pewnie nie. Jestem rozmazaną plamą, jeszcze jedną twarzą w samochodzie, który się nie zatrzymuje. Nie mam nad nimi władzy, tutaj w ogóle nie mam władzy nad niczym.

Siedzę z tyłu samochodu zalatującego benzyną i serem, czekam na rodziców. Poszli kupić prowiant. Samochód stoi przed drewnianym sklepem, pokrzywionym i zszarzałym. Budynek trzyma się tylko dzięki reklamom przybitym wszędzie na zewnątrz: PAPIEROSY BLACK CAT, PLAYERS, COCA-COLA. To nawet nie wioska, po prostu zatoczka przy autostradzie, nieopodal mostu nad rzeką. Kiedyś chciałabym znać nazwę tej rzeki. Stephen jest na moście, rzuca pod prąd kawałki drewna, sprawdza, ile trwa, zanim wypłyną po drugiej stronie, oblicza prędkość nurtu. Wyroiły się czarne muszki. Kilka wpadło do samochodu, pełzną po szybie, skaczą, znowu pełzną. Obserwuję je, widzę zgięte grzbiety, odwłoki podobne do czarno-czerwonych bulw. Rozgniatam muszki na szkło, zostawiają smugi mojej własnej krwi.

Odczuwam nie tyle radość, ile ulgę. Już mnie nie dławi w gardle, przestałam zaciskać zęby, skóra na stopach zaczęła odrastać, palce częściowo się wygoiły. Mogę chodzić, nie widząc, jak wyglądam od tyłu, mówić, nie słysząc, jak brzmi mój głos. Przez długi czas w ogóle się nie odzywam. Teraz mogę się uwolnić od słów, z powrotem zapaść w ciszę, znowu się poddać chwilowemu rytmowi, umościć się w nim jak w łóżku.

Tego lata mieszkamy w wynajętej chacie na północnym brzegu Jeziora Górnego. Wokół stoi parę innych chat, przeważnie pustych. Prócz nas nie ma żadnych dzieci. Jezioro jest ogromne, zimne, niebieskie, zdradliwe. Toną tutaj statki, topią się ludzie. Fale na wietrze przewalają się z hukiem oceanu. Wcale się nie boję pływać w jeziorze. Wchodzę do lodowatej wody, przyglądam się, jak obejmuje moje stopy, a potem nogi, długie, białe, chudsze niż na lądzie.

Nad jeziorem ciągnie się szeroka plaża, na jednym jej końcu piętrzą się zwały głazów. Często się tam chowam. Głazy są obłe jak foki, tyle że twarde, rozgrzewają się w słońcu i trzymają ciepło aż do wieczora, kiedy powietrze się ochładza. Robię im zdjęcia. Nadaję imiona, takie jakie daje się krowom.

Na wydmach ponad plażą rośnie dzika roślinność – puchate dziewanny, wyka o drobnych fioletowych kwiatkach, małe strączki gorzkiego grochu, ostra kalecząca trawa. Dalej zaczyna się puszcza, dęby, czerwone klony i topole, pomiędzy nimi jodły i świerki. Tu i ówdzie trafia się sumak jadowity. To puszcza tajemnicza i czujna, ale trudno tutaj się zgubić, tak blisko brzegu jeziora.

Pewnego dnia, włócząc się po lesie, znajduję zdechłego kruka. Wydaje się większy niż żywe kruki. Szturcham go patykiem, odwracam, widzę robaki. Ptak cuchnie zgnilizną, rdzą i, dziwna rzecz, czymś, co kiedyś jadłam, czego jednak nie umiem sobie przypomnieć. Jest czarny, ale to nie jest zwykła czerń, raczej czerń głębokiej jaskini. Dziób ma zmatowiały, w kolorze paznokci u nóg. Oczy wyschnięte.

Widywałam martwe zwierzęta, martwe żaby, martwe króliki, lecz kruk sprawia wrażenie podwójnie martwego. Spogląda na mnie suchym okiem. Mogłabym go przebić patykiem na wylot. Cokolwiek zrobię, nic nie poczuje. Nikt go już nie dopadnie.

Nad tym jeziorem trudno łowić ryby. Nie ma gdzie stanąć, nie ma żadnego pomostu. Nie wolno nam samym wypływać łodzią, to z powodu prądów, a zresztą łodzi też nie mamy. Stephen zajmuje się czymś innym. Kolekcjonuje kominy frachtowców, które wypatrył przez lornetkę. Układa i rozwiązuje problemy szachowe albo rąbie drwa, albo chodzi na samotne spacerzy z książką o motylach. Nie zamierza łapać motyli i przytwierdzać szpilką do deski, chce je tylko zobaczyć, zidentyfikować, policzyć. Na końcu książki sporządza listę okazów.

Lubię oglądać obrazki w tej książce. Najbardziej mi się podoba ćma księżycówka, gigantyczna, bladezielona z parą półksiężyców na skrzydłach. Mój brat pewnego razu trafił na taką, pokazuje mi ją.

– Tylko nie dotykaj – ostrzega. – Bo jej zetrzesz pyłek ze skrzydeł i nie będzie mogła latać.

Nie gram ze Stephenem w szachy. Nie tworzę własnej listy kominów ani motyli. Przestają mnie obchodzić gry, w których nie potrafię zwyciężyć.

Na skraju lasu, w pełnym słońcu, rosną dzikie wiśnie. Czerwone owoce dojrzewają, stają się przezjrzyste. Są tak kwaśne, że aż wysuszają usta. Zbieram wiśnie do kubelka po smalcu, potem oczyszczam z suchych gałązek i liści. Matka robi galaretkę: gotuje owoce, wyciska w lnianym woreczku, żeby usunąć pestki, dodaje cukier. Wlewa galaretkę do gorących słoików, robi do nich pokrywki z parafiny. Liczę piękne czerwone słoiki. Pomagałam je przygotować. Można by pomyśleć, że zawierają truciznę.

Zaczynam mieć sny, zupełnie jakbym dostała na to pozwolenie. Są jaskrawokolorowe i bezdźwięczne.

Śni mi się, że zdechły kruk ożył, ale wygląda tak samo, jak martwy. Skacze wkoło, trzepocze gnijącymi skrzydłami. Budzę się z walącym sercem.

Śni mi się, że w Toronto wkładam zimowe ubranie. Sukienka nie pasuje. Wciągam ją przez głowę, wpycham ręce do rękawów. Kiedy idę ulicą, spod sukienki wystaje ciało, naga skóra. Wstydzę się.

Śni mi się, że niebieskie kocie oko lśni na niebie jak słońce albo jak planeta z obrazka w książce o Układzie Słonecznym. Nie jest jednak ciepłe, jest zimne. Zaczyna się przybliżać, lecz wcale nie rośnie. Spada z nieba, leci prosto na moją głowę, szkliste i rozjarzone. Uderza mnie, przenika w głąb ciała, ale nie czuję bólu, tylko zimno. To zimno budzi mnie. Koc leży na podłodze.

Śni mi się, że mostek nad wąwozem się rozpada. Stoję tam, deski trzeszczą i pękają, mostek się chwieje. Idę, czepiając się poręczy, nie mogę jednak się dostać na górę, do ludzi, ponieważ mostek zawisł

w próżni. Moja matka jest na górze, ale z kimś rozmawia.

Śni mi się, że zrywam dzikie wiśnie i wrzucam do kubelka po smalcu. Tyle że to nie są wiśnie. To owoce wilczej jagody, przeświecające, jaskrawoczerwone. Wypełnione krwią niczym ciała czarnych muszek. Kiedy dotykam jagód, pękają i krew płynie mi po rękach.

Ani razu nie śni mi się Cordelia.



Wieczorami na plaży ojciec bawi się z nami w berka, biega niezgrabnie jak niedźwiedź, śmieje się w biegu, hu, hu, hu. Z jego kieszeni wypadają na piasek drobne pieniądze. Daleko na jeziorze z wolna płyną statki, ciągnąc za sobą smugi dymu, po lewej zachodzi słońce, różowe i spokojne. Patrzę do lustra nad umywalką, twarz mam opaloną, pełniejszą. Matka się do mnie uśmiecha w ciasnej kuchni z piecem na drewno, przytula mnie jedną ręką. Myśli, że jestem szczęśliwa. Czasem po kolacji dostajemy na deser pianki.

VI

KOCIE OKO

28

W podziemiach domu towarowego Simpsona niegdyś sprzedawali przecenioną odzież i narzędzia. Teraz wewnątrz robi wrażenie. Wznoszą się tu piramidy importowanych czekoladek, jest specjalne stoisko z lodami, niekończące się rzędy wymyślnych ciastek i rozmaitych smakołyków w puszkach. Niczym małe zegarki odmierzają czas przydatności do spożycia wybitej na opakowaniu. Jest nawet barek kawowy. Klasa światowa, bez dwóch zdań, i to tutaj, gdzie w gimnazjum za pieniądze z niewielkiego kieszonkowego kupowałam tanie koszule nocne, w dodatku były z wyprzedzący i o numer za duże. Obezwładniające są te góry czekolady. Od samego patrzenia przypomina mi się Gwiazdka i tamten lepki, słodki posmak obżarstwa, nadmiar i przesyt.

Siadam w barku kawowym, zamawiam cappuccino, żeby się wzmocnić po widoku takiej masy lukrowanego rozpasania. Kontuar jest z ciemnozielonego marmuru lub z czegoś, co udaje marmur; do tego zgrabna markiza – czyjaś wizja Włoch – i obrotowe stołki. Widać stąd warsztat szewca: trochę się kłóci z klasą światową, za to podnosi na duchu. Czekolada czekoladą, a ludzie dalej naprawiają obuwie, nie wyrzucają go przy pierwszych oznakach zużycia.

Myślę o butach z dzieciństwa, o brązowych trzewikach ze zdartymi noskami, z nowymi obcasami i półzółwką, o sfatygowanych brudnych tenisówkach, o brązowych sandałach zapinanych na dwie sprzączki i noszonych na skarpetki. Moje buty przeważnie były brązowe. Pasowały do bitek wołowych, które się dusiło w szybkowarze razem z gąbczastą marchewką, rozmiękłymi kartoflami i cebulą o śliskich warstwach. Szybkowar miał na pokrywce coś w rodzaju gwizdka. Jeśli człowiek się zagapił, pokrywka jak bomba wylatywała w powietrze, za nią frunęły kartofle i marchewka, po czym cała ta breja przywierała do sufitu. Matce raz coś takiego się przytrafiło. Na szczęście nie było jej wtedy w kuchni i się nie poparzyła. Kiedy zobaczyła, co się stało, wcale nie klęła. Parsknęła śmiechem i powiedziała: – O, pieska jego niebieska!

Matka zazwyczaj sama gotowała, chociaż niespecjalnie to lubiła. W ogóle nie przepadała za domowymi obowiązkami. W opasłym kufrze w piwnicy, obok aksamitnej sukni balowej z lat dwudziestych i pary bryczesów, trzymała kilka prawdziwych sreber: ozdobną solniczkę i pieprzniczkę, szczypecę do cukru w kształcie kurzych łap, wazony obsypane srebrnymi kwiatami. Szerniałe, leżały tam otulone bibułką, żeby ich nie czyścić. Już i tak trzeba było czyścić nasze noże, widelce i łyżki, szorować ozdóbki starą szczoteczką do zębów. Rzeźbione nogi stołu w jadalni zbierały kurz, podobnie różne przedmioty – fidrygałki, jak je nazywała – które inni ludzie ustawiają na gzymsie kominka. Za to matka lubiła piec ciasta, a może po prostu wolę tak myśleć.

Jak ja bym się zachowała na jej miejscu? Z pewnością zdawała sobie sprawę, co się ze mną dzieje, a przynajmniej, że coś się dzieje. Od początku musiała zauważać moje milczenie, pogryzione palce, czarne strupy na wargach, tam gdzie zdarłam płatki skóry. Gdyby coś takiego zdarzyło się teraz mojemu dziecku, wiedziałabym, jak postąpić. Ale wtedy? Wtedy było o wiele mniej możliwości i o wiele mniej

się mówiło.



Kiedyś namalowałam cykl poświęcony matce. Sześć obrazów, sześć paneli, niby podwójny tryptyk albo komiks, w dwóch grupach, trzy obrazy na górze, trzy pod spodem. Na pierwszym, kolorowej grafice, matka stała w kuchni w naszym miejskim domu, ubrana w sukienkę z późnych lat czterdziestych. Nawet ona miała fartuch, w niebieskie kwiaty i z granatową lamówką, nawet ona czasami go nosiła. Drugi obraz przedstawiał tę samą postać w kolażu – użyłam ilustracji ze starych egzemplarzy „The Ladies’ Home Journal” i „Chatelaine”, nie fotografii, lecz rysunków w tamtych barwach zgniłej zieleni, spłowiałego błękitu, brudnego różu. Na trzecim obrazie znowu identyczna postać, biała na białym tle; przetyczki do fajek, ułożone jedna obok drugiej i przyklejone do białego płótna, tworzyły wypukłe elementy. Patrząc od lewej strony odnosiło się wrażenie, że matka pomału się roztopia, przeobraża z żywego człowieka w babilońską płaskorzeźbę, w cień.

Dolne obrazy miały odwrotną kolejność: najpierw przetyczki, później kolaż, wreszcie kolorowa realistyczna grafika. Tutaj matka ubrana w spodnie, buty z cholewami i męską kurtkę smażyła na ognisku wiśniową galaretkę. Jakby się materializowała, wylaniała w pełne światło dnia z białej przetyczkowej mgły.

Cały cykl nosił tytuł *Szybkowar*. Z racji tego, kiedy powstał i co się działo w tamtych latach, niektórzy sądzili, że przedstawia Matkę-Ziemię, co mnie bawiło do łez, bo przecież matka nie cierpiała zajmować się domem. Zdaniem innych rzecz traktowała o niewolnictwie kobiet, jeszcze inni uważali, że sprowadziłam rolę kobiety do negatywnej i trywialnej roli gospodyni domowej. A to po prostu moja matka gotowała na różne sposoby i w różnych miejscach, w późnych latach czterdziestych.

Stworzyłam ten cykl wkrótce po jej śmierci. Pewnie chciałam w ten sposób przywrócić matkę do życia. Pewno pragnęłam, żeby żyła wiecznie, poza czasem, chociaż to akurat niemożliwe. Tamte obrazy, podobnie jak wszystko na świecie, istnieją zakotwiczone w czasie.



Dopijam cappuccino, płacę, zostawiam napiwek podrabianemu włoskiemu kelnerowi. Niczego nie kupię w dziale spożywczym, zbyt mnie onieśmiela. W normalnych warunkach bądź też w innym mieście nie dałabym się zastraszyć: jestem dorosła, nie od dziś robię zakupy. Ale jak teraz tutaj znaleźć to, po co przyszłam? W drodze powrotnej wstąpię do narożnego sklepiku, gdzie aż do północy sprzedają mleko i biały krojony chleb, nieco czerstwy. Dziś takie sklepiki prowadzą ludzie o kolorze skóry pana Banerdzi albo Chińczycy. Są niekoniecznie miłsi od dawnych właścicieli, białych, tyle że łatwiej odgadnąć, na czym ogólnie polega istota ich niechęci. Ogólnie, lecz nie w szczegółach.



Jadę ruchomymi schodami z powrotem w perfumowany zaduch na parterze. To zepsute powietrze, zbyt wiele tu piżma, przytłaczającej woni pieniędzy. Wychodzę na dwór, wędruję na zachód obok morderczych manekinów na wystawach, obok ratusza w kształcie ostrygi.

Na chodniku leży ciało. Ludzie je omijają, patrzą pod nogi, patrzą w bok, idą dalej. Kiedy się do mnie zbliżają, na ich twarzach dostrzegam tę minę, która mówi: nie moja sprawa.

Podchodzę do ciała – to kobieta. Leży na wznak, spogląda prosto na mnie.

– Proszę pani – odzywa się. – Proszę pani, proszę pani.

Pani – słowo o tysiącu znaczeń. Jaśnie pani, Czarna Pani, to prawdziwa wielka pani, koronki starszej pani, słuchaj, moja pani, no i gdzie się pani pcha, dla pań, przekreślone szminką i zastąpione słowem „kobieta”. Wciąż jednak jest ostatnie słowo prośby. Jeżeli czegoś rozpaczliwie się potrzebuje, nie mówi się „kobieto, kobietto”, mówi się „proszę pani, proszę pani”. Tak jak ona teraz.

A jeśli miała atak serca? – myślę. Patrzę: krew na czole, niewiele, ale zawsze to rana. Pewnie się uderzyła, padając. I nikt się nie zatrzymuje, a ona tak tutaj leży, krępa kobieta około pięćdziesiątki, w zielonym płaszczu, takim jakie nosi biedota, z gabardyny, w żalonych popękanych butach, z rozkrzyżowanymi rękoma. Ogorzała skóra wokół piwnych oczu jest zaczerwieniona i spuchnięta, długie szpakowate włosy rozsypały się na chodniku.

– Proszę pani – powtarza, może zresztą powiedziała coś innego, okropnie bełkocze. Niemniej już mnie ma.

Zerkam przez ramię, szukam jakiegoś zastępstwa, ale chętnych nie widać. Przyklękam, pytam: – Dobrze się pani czuje? – Głupie pytanie, oczywiście, że nie czuje się dobrze. Zalutuje wymiocinami i alkoholem. Już widzę, jak ją zabieram na kawę, ale co potem? Nie uda mi się jej pozbyć, pójdzie ze mną do pracowni, zwymiotuje w wannie, zaśnie na otomanie. Zawsze mnie dopadają, wszędzie potrafią wypatrzeć, wyłuskać z tłumu, nieważne, jak srogą zrobię minę. Uliczni rapujący artyści, nawiedzeni sekciarze, młodzi gitarzyści, którzy proszą o bilet na metro. W szponach ludzi bezradnych sama jestem bezradna.

– Tylko się zalała – rzuca przechodzący mężczyzna. Co znaczy „tylko”? Wystarczy z nawiązką.

– Chwileczkę, pomogę pani wstać. – Ty mięczaku, karczę się w duchu. Poprosi cię o pieniądze, ty je dasz, a ona wszystko przepuści na podłe słodkie wino.

Tymczasem się podniosła, zawisa na mnie. Jeżeli zdołam ją zataszczyć pod najbliższą ścianę, oprę ją, trochę otrzępię z kurzu, pomyślę, jak się wyrwać.

– No już – mówię. Lecz kobieta nie chce się oprzeć o ścianę, opiera się o mnie. Jej oddech cuchnie jak zaraza. Teraz płacze, zanosi się spazmatycznym szlochem, jak dziecko nie wstydzi się swoich łez. Zaciska palce na moim rękawie.

– Nie zostawiaj mnie – jęczy. – O Boże, nie zostawiaj mnie całkiem samej. – Ma zamknięte oczy, jej głos to czysta bieda, czysta żalność. Uderza w mój najsłabszy, najbardziej współczujący punkt, ale jestem przecież tylko namiastką tego czegoś, co utraciła. Nie mogę nic zrobić.

– Proszę. – Grzebię w portmonetce, znajduję dziesięć dolarów, wciskam kobiecie do ręki, splecam ją. Jestem naiwniaczką, jestem krwawiącym sercem. Rana w moim sercu krwawi pieniędzmi.

– Bóg zapłać. – Kobieta kręci głową z boku na bok, szoruje włosami o mur. – Niech cię Bóg błogosławi i Najświętsza Panienka. – Bełkotliwe błogosławieństwo, ale czy rzeczywiście nie jest mi ono potrzebne? To pewnie katoliczka. Mogłabym znaleźć jakiś kościół, wsunąć ją do środka jak paczkę. Należy do nich, niech oni się o nią martwią.

– Muszę iść – mamrocę. – Wszystko będzie dobrze. – Łzę jak pies. Kobieta szeroko otwiera oczy, próbuje się skupić. Uspokaja się.

– Znam cię. Ty jesteś Najświętsza Panienka. Wcale mnie nie kochasz.

Delirium i świr absolutny, plus gruba pomyłka co do osoby. Cofam rękę, jakbym dotknęła gniazdka elektrycznego.

– Nie – mówię. To prawda, nie kocham jej. Nie ma piwnych oczu, tylko zielone. Oczy Cordelii.

Odchodzę, unosząc poczucie winy, rozgrzeszając się: jestem dobra. Mogła tam umierać. Nikt inny się nie zatrzymał.

Co za głupota mylić coś takiego z dobrocią. Nie jestem dobra.

Za wiele wiem, żebym mogła być dobra. Za wiele wiem o sobie samej.

Wiem, że jestem mściwa, zachłanna, skryta i przebiegła.

29

Wracamy we wrześniu. Na północy noce są zimne, liście zaczynają żółknąć, lecz w mieście nadal panuje skwar i wilgoć. Jest niewiarygodnie hałaśliwie, cuchnie benzyną i rozmiękłym asfaltem. Stęchłe powietrze w domu stoi nieruchomo. Z kranu cieknie woda zmieszana z rdzą. Biorę chłodną rudawą kąpiel. Ciało już mi sztywnieje, jest coraz mniej wrażliwe. Moja przyszłość zamyka się przede mną jak drzwi.

Cordelia czekała na mnie. Uświadamiam to sobie już w chwili, gdy widzę ją na przystanku szkolnego autobusu. Przed latem była raz miła, raz złośliwa, niekiedy obojętna; teraz zrobiła się bardziej twarda i bezwzględna. Zupełnie jakby chciała się przekonać, jak daleko może się posunąć, jak gdyby popychała mnie na skraj przepaści: jeden krok w tył, jeszcze jeden i runę w dół.

Jesteśmy teraz z Carol w piątej klasie. Mamy nową nauczycielkę, pannę Stuart. To Szkotka,

mówi z akcentem. – Prroszę, dziewczynki – mówi. Na biurku, w słoiku po dzemie, trzyma bukietek zasuszonych wrzosów, a obok miniaturę słodkiego księcia Karolka, obalonego przez Anglików i który nosi takie samo nazwisko jak ona. W szufladzie biurka panna Stuart trzyma mleczko do rąk, które sama robi.

Po południu parzy sobie herbatę, która wcale nie pachnie herbatą, tylko czymś, co panna Stuart wlewa do filiżanki z małej srebrnej butelki. Nasza nowa nauczycielka ma siwoniebieskie włosy ułożone w piękne fale, nosi szeleszczące suknie z fiołkowego jedwabiu, do rękawa wtyka obszyte koronką chusteczki. Nos i usta często zasłania białą maseczką z gazy, bo jest uczulona na pył z kredy. Pomimo to rzuca w chłopców ścierką do tablicy, jeśli nie uważają. Rzuca wprawdzie od dołu i niezbyt mocno, lecz nigdy nie chybia. Winowajca musi jej odnieść ścierkę. Chłopcy nie mają pannie Stuart za złe tego nawyku. Trafieni uważają, że spotkało ich wyróżnienie.

Wszyscy kochają pannę Stuart. Jakie szczęście, że jesteśmy w jej klasie, mówi Carol. Ja też bym ją kochała, gdyby starczyło mi siły. Lecz jestem zbyt otępiała, zbyt zniewolona.



Noszę kocie oko w kieszeni, tam gdzie mogę go nie wypuszczać z ręki. Leży w dłoni cennie jak klejnot, beznamytnie spogląda przez kość i tkaninę. Dzięki jego mocy znowu się chowam w głębi własnych myśli. Przede mną idą Cordelia, Grace i Carol. Patrzą na ich sylwetki, na cień, który się przesuwa od jednej nogi do drugiej, na plamy koloru, czerwony kwadrat swetra, niebieski trójkąt spodnicy. Tam z przodu wyglądają jak kukielki, małe i wyraźne. Mogłabym je widzieć lub nie, jak chcę.

Wchodzę na ścieżkę, ruszam w dół, mijam pędy wilczej jagody obsypane czerwonymi owocami, falujące liście, zaczązione koty. Tamte trzy już są na mostku, ale przystanęły, czekają na mnie. Spoglądam na zarys ich twarzy i włosów. Każda twarz przypomina jajko obrośnięte pleśnią. Moje stopy maszerują po zboczu.

Mogłabym się stać niewidzialna. Mogłabym zjeść wilcze jagody z krzewów przy ścieżce. Mogłabym się napić chlorku z butelki, tej z czaszką i skrzyżowanymi pieszczelami, która stoi w pralni. Mogłabym skoczyć z mostku, roztrzaskać się jak dynia, mimochodem. W ten sposób bym się rozpadła, byłabym martwa tak jak umrzyki.

Nie chcę tego, boję się. Jednakże Cordelia, wyobrażam sobie, każe mi to zrobić. Nie mówi z pogardą, mówi łagodnie. Słyszę w głowie jej łagodny głos. „Zrób to. No, dalej?”. Posłuchałabym, żeby ją zadowolić.

Rozważam, czyby nie zwierzyć się bratu, nie poprosić o pomoc. Ale właściwie z czego zwierzyć? Nie mam podbitych oczu, rozkrwawionego nosa. Cordelia nie stosuje przemocy fizycznej. Gdyby to chłopcy mnie ścigali albo zaczepiali, Stephen by wiedział, jak postąpić. Wobec dziewcząt, ich intryg i szeptów, byłby bezradny.

Poza tym się wstydzę. Boję się, że brat by mnie wyśmiał, pogardzał mną, bo marudzę z powodu jakichś tam dziewczyn, robię wiele hałasu o nic.

— ❦ —

Jestem w kuchni, natłuszczam formy do bułeczek. Widzę wzory, które tłuszcz zostawia na metalu, widzę księżycyce paznokci, poszarpane ciało. Palce krążą, krążą.

Matka rozrabia ciasto, odmierza sól, przesiewa mąkę. Sitko chrzęści jak papier ścierny.

– Nie musisz się z nimi bawić – mówi matka. – Możesz sobie znaleźć inne koleżanki.

Patrzę na nią. Ogarnia mnie rozpacz, owiewa jak lekki wiatr. Co zauważyła, co zgadła, co chce zrobić? Mogłaby donieść ich matkom. Najgorsza rzecz na świecie. Co więcej, nie potrafię sobie tego wyobrazić. Moja matka nie przypomina innych matek, nie pasuje do schematu. Nie zamieszkuje domu jak tamte kobiety; jest beztroska i nieuchwytna. Inne matki nie jeżdżą na łyżwach na lodowisku w sąsiedztwie ani nie spacerują samotnie w wąwozie. Sprawiają wrażenie dorosłych na inny sposób niż ona. Myślę o matce Carol, jej bliźniaku i sceptycznym uśmiechu, o matce Cordelii, niewyraźnej, w okularach na łańcuszku, o matce Grace z jej szpilkami do włosów i obwisłym fartuchem. Moja matka stanęłaby w progu ubrana w spodnie, ściskając bukiet zielska, całkiem jak z innego świata. Nigdy by jej nie uwierzyły.

– Kiedy byłam mała i dzieciaki kogoś przezywały, mówiliśmy: „Kij i kamień kości złamią, lecz przezwiska mnie nie zranią” – ciągnie. Zamaszyście kręci ręką, miesza ciasto, sprawna i silna.

– Wcale mnie nie przezywają. To moje przyjaciółki. – Wierzę w to.

– Musisz się nauczyć, jak się bronić. Nie pozwól sobie wchodzić na głowę. Nie daj się. Grunt to mieć silny kręgosłup i nie tchórzyć. – Nakłada ciasto do foremek.

Myślę o kręgosłupach sardynek. Można je zjeść. Kruszą się w zębach, wystarczy ich dotknąć, a zaraz się rozpadają. Pewno właśnie tak wygląda mój kręgosłup jest prawie niezauważalny. Sama sobie jestem winna, bo nie mam silniejszego.

Matka odstawia miskę, obejmuje mnie.

– Gdybym tylko wiedziała, co zrobić – wzdycha. To wyznanie. Moje przypuszczenia się sprawdzają: w tej sprawie jest bezsilna.

Bułeczki należy piec od razu, natychmiast po nałożeniu ciasta, bo inaczej opadną i się zmarnują. Nie mogę sobie pozwolić na tę chwilę pociechy. Jeżeli się poddam, nędzne resztki mojego kręgosłupa rozsypią się w proch.

Odsuwam się.

– Trzeba je wstawić do piekarnika – mówię.

Cordelia przynosi do szkoły lusterko. Kieszonkowe lusterko, zwykłe, małe, owalne, bez żadnej ramki. Wyciąga je z kieszeni i podsuwa mi pod nos, mówi: – Spójrz na siebie! No, tylko spójrz! – Głos ma zgorszony, zniechęcony, jak gdyby sama moja twarz coś nabroiła, posunęła się za daleko. Patrę w lusterko, ale nie widzę niczego nadzwyczajnego. To po prostu moja twarz z czarnymi plamami na wargach, tam gdzie obgryzłam skórę.

Rodzice urządzą partię brydża. Przesuwają meble pod ściany bawialni, rozkładają dwa stoliki brydżowe i osiem brydżowych krzeseł. Pośrodku każdego stolika stoją dwie porcelanowe miseczki, jedna z solonymi orzechami, druga z porcją cukierków. Cukierki nazywają się „mieszanka brydżowa”. Na stoliku są także dwie popielniczki.

Później brzęczy dzwonek u drzwi i wchodzi goście. Dom napełnia się obcym zapachem papierosów, który będzie tu jeszcze rano razem z garstką niedojedzonych cukierków i orzechów, rozbrzmiewa wybuchami śmiechu, coraz głośniejszymi w miarę upływu czasu. Leżę w łóżku, wsłuchuję się w śmiech. Czuję się osamotniona, wykluczona. Na dodatek nie rozumiem, czemu całe to zamieszanie, te hałasy i zapachy nazywają się „brydż”. Co znaczy „most”, kiedy ja tam żadnego mostu nie widzę.

Czasami na brydża przychodzi pan Banerdzi. We flanelowej pizamie czatuję w kącie holu licząc, że go zobaczę. Nie jestem wcale zadurzona ani nic w tym rodzaju. Moje pragnienie wynika z niepokoju i poczucia solidarności. Chcę się przekonać, jak pan Banerdzi daje sobie radę, jak stawia czoło życiu, pieczonym indykom i podobnym sprawom. Nie najlepiej, jeśli sędzić po jego ciemnych załężnionych oczach i z lekką histerycznym śmiechu. Lecz jeżeli on potrafi sobie radzić z tym, co go prześladowuje – a coś go prześladowuje na pewno – to ja też potrafię. Przynajmniej tak mi się zdaje.

Do Toronto przyjeżdża księżniczka Elżbieta. Składa wizytę w Kanadzie razem ze swoim mężem. To wizyta królewska. W radiu słychać wiwatujące tłumy, poważne głosy opisują kolor stroju księżniczki, codziennie inny. Klęczę skulona na podłodze w bawialni, w tle skrzypce grają melodię ludową ze wschodniego wybrzeża, pod łokciami rozłożyłam „Toronto Star”, przyglądam się zdjęciu na pierwszej stronie. Księżniczka Elżbieta jest starsza, niżby się można spodziewać, i bardziej przeciętna, ubrana nie w skautowski mundurek z czasów wojny, lecz także nie w suknię balową i diadem tak jak królowa na fotografii w klasie. Ma na sobie zwykły kostium i rękawiczki, trzyma zwyczajną torebkę, nosi kapelusz. Niemniej jednak to księżniczka. Dalej w gazecie poświęcili jej całą stronę. Kobiety składają ukłony, małe dziewczynki wręczają bukiety kwiatów, a ona się uśmiecha, zawsze tym samym łaskawym uśmiechem. Jest, jak piszą, promienna.

Dzień po dniu, kuląc się na podłodze, przewracając strony gazet, obserwuję, jak przesuwa się na mapie samolotem, pociągiem, samochodem, z miasta do miasta. Zapamiętuję proponowaną trasę przejazdu przez Toronto. Mam dużą szansę ujrzeć księżniczkę, ponieważ trasa wiedzie obok naszego

domu, po rozmokłej wyboistej drodze między cmentarzem, gdzie rosną cherlawe młode drzewka i piętrzy się zryta buldożerami ziemia, a szeregiem pięciu nowych błotnistych hałd. Hałdy znajdują się po naszej stronie drogi. Wyrosły niedawno na miejscu kawałka zachwaszczonego pola. Każda wznosi się przy osobnym wykopie, z grubsza w kształcie piwnicy, z kałużą błotnistej wody na dnie. Mój brat zajął jedną taką hałdę. Zamierza się wkopać w głąb, przeprowadzić tunel od wierzchołka w dół i drugi od strony zbocza tak, żeby powstało zapasowe wejście. Nie wiadomo, co tam w środku będzie robił.

Nie rozumiem, dlaczego księżniczka przejedzie akurat obok tych hałd. Nie wydaje mi się, żeby koniecznie chciała je zobaczyć, ale pewności nie mam, przecież ogląda mnóstwo rzeczy nie bardziej godnych zainteresowania. Na jednym zdjęciu stoi przed ratuszem, na innym obok fabryki konserw rybnych. Tak czy inaczej hałdy to doskonały punkt obserwacyjny.

Wyczekuję owej wizyty. Czegoś się po niej spodziewam, chociaż trudno powiedzieć czego dokładnie. To ta sama księżniczka Elżbieta, która w Londynie rzucała wyzwanie bombom, dzielna i bohaterska. Wierzę, że tego dnia coś się wydarzy dla mnie. Coś się zmieni.

Wizyta królewska nareszcie dociera do Toronto. Jest pochmurno, chwilami mży. Wychodzę wcześniej i staję na środkowym kopcu. Na poboczu wśród ubłoconych chwastów uformował się poszarpany szereg ludzi, dorosłych i dzieci. Niektóre dzieci trzymają chorągiewki, miniaturowe flagi brytyjskie. Ja też mam taką: rozdawali nam w szkole. Nie ma tłumów, gdyż w okolicy mieszka niewielu ludzi, a część z nich pewnie wybrała się do śródmieścia, tam gdzie są chodniki. Na drodze prowadzącej do domu Smeathów widzę Grace, Carol i Cordelię. Mam nadzieję, że mnie nie zauważą.

Stoję na błotnistym kopcu, ściskam w ręce oklapłą chorągiewkę. Czas ucieka i nic się nie dzieje. Zastanawiam się, czyby nie wrócić do domu i nie posłuchać w radiu, jak daleko stąd jest księżniczka, nagle jednak z lewej strony, wzdłuż cmentarza, nadjeżdża wóz policyjny. Zaczyna siąpić deszcz. Z oddali słyhać wiwaty.

Wyłaniają się motocykle, później samochody. Ludzie na poboczu unoszą ręce, tu i tam słyhać „hura”. Samochody mimo wybojów jadą za szybko. Nie widzę, który jest tym właściwym.

Za chwilę już wiem. To ten z jasną rękawiczką, wystający z okna, kołyszący się z boku na bok. Już się ze mną zrównał, już mnie mija. Nie macham chorągiewką ani nie wiwatuję, jest za późno, nie starczy czasu na to, na co czekałam, co dopiero teraz sobie uświadomiłam. Otóż muszę zbiec pędem z góry, dla równowagi wyciągając ręce na boki, po czym runąć przed samochodem księżniczki. Przed samochodem albo na samochód, albo do samochodu. Wówczas księżniczka każe się zatrzymać. Będzie musiała, bo inaczej by mnie rozjechali. Nie wyobrażam sobie, jak odjeżdżam w dal królewskim autem, mam na to wystarczająco poczucia rzeczywistości. Zresztą nie chcę opuszczać rodziców. Ale i tak coś się odmieni, będzie inaczej, coś się dokona.

Samochód z rękawiczką jedzie dalej, skręcił za róg, zniknął, a ja stoję, jak stałam.

Panna Stuart lubi sztukę. Kazała nam przynieść z domu stare koszule ojców, żebyśmy nie upačkali ubrania przy brudniejszych pracach. Podczas gdy wycinamy, malujemy i kleimy, przechadza

się w swojej maseczce między rzędami ławek i zagląda nam przez ramię. Jeżeli ktoś, jakiś chłopak, naumyślnie rysuje coś głupiego, panna Stuart podnosi kartkę w górę, udając oburzenie. – A to mądrrrrra! Tylko na tyle cię stać? – Po czym pstryka go w ucho.

Robimy dla niej tradycyjne papierowe wycinanki, dynie, świąteczne dzwonki, ale też inne rzeczy. Kreślimy cyrklem skomplikowane wzory kwiatowe, przyklejamy do tektury najrozmaitsze materiały: pióra, cekiny, jaskrawo farbowane kawałki makaronu, słomki. Na tablicy bądź na płachtach papieru pakowego malujemy wspólnie freski. Rysujemy obrazki przedstawiające obce kraje: Meksyk – kaktusy i mężczyzn w gigantycznych sombreroach, Chiny – stożkowate kapelusze i łodzie w kształcie oka, Indie – pełne wdzięku, przynajmniej w założeniu, spowite jedwabiem kobiety z miedzianymi dzbanami, z klejnotami na czołach.

Lubię te egzotyczne obrazki, ponieważ mogę w nie wierzyć. Rozpaczliwie potrzebuję wiary, że gdzieś tam żyją inni, egzotyczni ludzie. Chociaż w szkółce niedzielnej słyszę, że albo głodują, albo są barbarzyńcami, albo i jedno, i drugie, chociaż moją cotygodniową ofiarę przeznaczają się na ich nawrócenie, wyżywienie, odzianie. Panna Lumley twierdziła, że to ludzie z natury podstępni, że jedzą rzeczy dziwaczne lub obrzydliwe i spiskują przeciwko Brytyjczykom. Wolę jednak wersję panny Stuart, bo w tej wersji słońce nad ich głowami jest żółte i wesołe, palmy jasnozielone, stroje całe w kwiatach, piosenki radosne. Kobiety gawędzą w prędkim, niezrozumiałym języku, śmieją się, pokazując śnieżnobiałe zęby. Jeżeli ci ludzie istnieją, pewnego dnia mogę tam pojechać. Nie muszę tu tkwić.

Dzisiaj, mówi panna Stuart, będziemy rysować, co robimy po lekcjach.

Wszyscy pochylają się nad ławkami. Wiem, co narysują: skakanki, wesołe śniegowe bałwany, słuchanie radia, zabawę z psem. Gapię się na swoją kartkę, wciąż pustą. W końcu rysuję łóżko i siebie w łóżku. Łóżko ma ciemne drewniane wezglowie z ozdobnymi zawijaszami. Rysuję okno, komodę. Koloruję noc. Ręka coraz mocniej przyciska czarną kredkę, aż wreszcie obrazek jest niemal cały czarny, widać tylko niewyraźny cień łóżka i głowę na poduszce.

Patrzę przerażona. Nie to chciałam narysować. Mój rysunek różni się od innych, wyszedł nie taki, jak trzeba. Panna Stuart będzie rozczarowana, powie: „Tylko na tyle cię stać?”. Teraz, czuję, stoi za moimi plecami, zagląda przez ramię; owiewa mnie zapach mleczka do rąk i tego czegoś, co nie pachnie herbatą. Panna Stuart okrąża ławkę, teraz ją widzę, jasnobłękitne oczy w siatce zmarszczek wpatrują się we mnie znad maseczki.

Przez moment milczy. Później pyta, wcale nie szorstko:

– Dlaczego twój rrrysunek jest taki czarrny, kochanie?

– Bo to noc. – Idiotyczna odpowiedź, wiem to, ledwie mi się wyrwała. Sama prawie nie słyszę własnego głosu.

– Ach, tak. – Panna Stuart nie mówi, że narysowałam coś złego, że na pewno robię po lekcjach jeszcze coś prócz leżenia w łóżku. Przelotnie dotyka mojego ramienia, potem rusza dalej. Dotknięcie jarzy się krótką chwilę jak zdmuchnięta zapalka.

Na oknach w klasie kwitną papierowe serca. Składamy wielką skrzynkę pocztową z tekturowego pudła oklejonego różową krepiną, ozdobionego czerwonymi sercami z wycinanką na brzegach. Do otworu wrzucamy walentynki, które się kupuje u Woolwortha, wycina z książeczek, a także specjalne osobne kartki dla szczególnie lubianych osób.

W walentynki przez całe popołudnie trwa przyjęcie. Panna Stuart uwielbia przyjęcia. Przyniosła mnóstwo kruchych ciasteczek własnego wypieku w kształcie serca, oblanych różowym lukrem i posypanych srebrnymi kulkami, mamy również małe cytrynowe serca i pastelowe serca z napisami – napisami pochodzącymi z jakichś dawnych, nie naszych czasów: „Buzi, buzi”. „Moje ty słonko”. „Ach, maleńka!”.

Panna Stuart siedzi przy biurku, pilnuje, podczas gdy kilka dziewczynek otwiera skrzynkę i rozdaje walentynki. Na mojej ławce piętrzy się ich cały stos. Przeważnie są to kartki od chłopców. Poznają po koślawym piśmie i po tym, że wiele jest bez podpisu. Na niektórych widnieją tylko inicjały albo „Zgadnij kto?”. Na innych litery X i O. Wszystkie kartki od dziewcząt są starannie podpisane, imieniem i nazwiskiem tak, żeby nie było wątpliwości, kto jest nadawcą.

W drodze do domu Carol chichocze i chwali się walentynkami od chłopców. Ja mam więcej od niej, więcej niż Cordelia i Grace zebrały u siebie, w szóstej klasie. Nikt prócz mnie o tym nie wie. Schowałam kartki w ławce, żeby się nie wydało. Mówię, że nie dostałam wiele. Napawam się tym odkryciem, nowym, choć wcale nie takim zaskakującym: chłopcy są moimi potajemnymi sprzymierzeńcami.

Carol ma dopiero dziesięć i trzy czwarte roku, ale rosną jej piersi. Niezbyt duże, lecz brodawki już nie są płaskie, tylko spiczaste, ciało pod nimi nabrzmięwa. Nietrudno to spostrzec, bo Carol wypina biust, stale obciąża sweter, żeby piersi bardziej sterczały. Skarży się na przerwie. Bola, mówi. Musi sobie sprawić stanik.

– Ojej, przestań wreszcie gadać o tych głupich cyckach – prycha Cordelia. Jest starsza i wciąż płaska jak deska.

Carol szczypie się w wargi i policzki, żeby się zaczerwieniły. W koszu na śmiecie u matki znajduje zużytą szminkę, chowa, przynosi w kieszeni do szkoły. Po lekcjach maluje usta, wcierając szminkę czubkiem małego palca. Zanim staniemy przed domem Campbellów, wszystko zmazuje chusteczką higieniczną, lecz nie dość dokładnie.

Bawimy się na górze, w pokoju Carol. Kiedy schodzimy do kuchni na szklankę mleka, pani Campbell mówi:

– Ejże, moja panno, co tam masz na buzi? – Na naszych oczach szoruje twarz Carol brudną ścierką do naczyń. – Niech no jeszcze raz cię przyłapię! Wstydu nie masz! W twoim wieku, coś podobnego! – Carol się wyrывa, płacze i wrzeszczy, całkiem się rozkleja. Przyglądamy się temu, drżąc z podniecenia i zgrozy. – Poczekaj, aż ojciec wróci z pracy! – cedzi pani Campbell zimno, z wściekłością. – Zrobić z siebie takie widowisko! – Zupełnie jakby coś złego było już tylko w tym, że ktoś na kogoś patrzy. Wtem pani Campbell przypomina sobie o nas. – Marsz stąd!

Dwa dni później Carol opowiada, jak okropnie dostała od ojca, zlał ją pasem, końcem z klamrą, prosto na gołą pupę. Ledwo siada, mówi. Najwyraźniej jest z tego dumna. Po szkole, w swoim pokoju, pokazuje nam: zadziera spódnice, ściąga majtki i rzeczywiście, widać ślady, prawie jak ślady zadrapań, nie bardzo czerwone, ale zawsze.

Trudno pogodzić ów dowód z ojcem Carol, sympatycznym panem Campbellem, który ma miękkie wąsy i nazywa Grace Piękną Ciemnooką, a Cordelię Panną Lobelią. Dziwne, że ktoś taki może zbić pasem. Lecz ojcowie to zagadka. Na przykład wiem, że pan Smeath potajemnie żyje w świecie pociągów i ucieczek. Ojciec Cordelii jest dla nas miły, w tych rzadkich chwilach, kiedy go się widuje, sypie ironicznymi żarcikami, uśmiech ma jak z plakatu, ale czemu Cordelia go się boi? Bo się boi, to jasne. Wszyscy ojcowie prócz mojego znikają za dnia, za dnia rządzą matki. Oni przychodzą nocą. Ciemność sprowadza ojców do domu razem z ich prawdziwą, przeokropną władzą. Kryją w sobie coś więcej, niżby się wydawało. Dlatego wierzymy w pas.



Carol opowiada, że na prześcieradle w bliźniaczym łóżku matki widziała mokry ślad, rano, przed zasłaniem łóżek. Idziemy na palcach do pokoju jej rodziców. Łóżko przykryte frędzlistą kordonkową kapą jest tak starannie zaścielone, że boimy się zajrzeć pod kołdrę. Carol otwiera szufladę nocnego stolika matki, zerkamy do środka. Leży tam przedmiot z gumy podobny do kapelusza grzyba i tubka pasty do zębów, tyle że to nie pasta do zębów. Używa się ich po to, żeby nie mieć dzieci, wyjaśnia Carol. Nikt nie chichocze, nikt nie drwi. Czytamy napis na etykietce. Czerwone znaki na pupie nadają Carol wiarygodności, której przedtem jej brakowało.

Carol wyciąga się na własnym łóżku, na białej kapie z falbankami dopasowanej do zasłon. Udaje chorą, to jakaś nieokreślona dolegliwość. Zmoczyłyśmy myjkę, położyłyśmy jej na czole, przyniosłyśmy szklankę wody. Teraz wciąż bawimy się w chorobę.

– Och, jaka jestem chora, och, jaka jestem chora – jęczy Carol, wijąc się na łóżku. – Siostró, pomocy!

– Trzeba osłuchać serce – mówi Cordelia. Podciąga jej sweter, później podkoszulek. Wszystkie chodziłyśmy do lekarza, znamy tę nieodłączną obcesowość, te upokorzenia. – Nie będzie bolało. – Oto i piersi, przypominają opuchliznę, brodawki są sinawe jak żyłki na czole. – Pomacaj jej serce. – To do mnie.

Nie chcę. Nie chcę dotykać tego spuchniętego, nienaturalnego ciała.

– No, dalej. Rób, co ci każe.

– Jest nieposłuszna – wtrąca Grace.

Wyciągam rękę, kładę na lewej piersi. Pod palcami wyczuwam coś jakby balon do połowy napełniony wodą albo letnią owsianką. Carol chichocze.

– Ojej, ale masz zimną rękę!

Chwytają mnie mdłości.

– Serce, tępota – rzuca Cordelia. – Nie cycek. Nie umiesz odróżnić?



Podjeżdża karetka, zabierają moją matkę na noszach. Nie widzę tego, brat mi opowiada. Wszystko zdarzyło się w środku nocy, spałam, Stephen jednak ostatnio wstaje po kryjomu i patrzy przez okno swojego pokoju w gwiazdy. Podobno znacznie lepiej je widać, kiedy gasną światła miasta.

Żeby się obudzić nocą bez pomocy budzika, mówi Stephen, trzeba przed snem wypić dwie szklanki wody. A potem należy się skoncentrować na wybranej godzinie. Tak robili Indianie.

A zatem nie spał, nadstawiał uszu, po czym się przemknął na drugą stronę domu, żeby stamtąd wyrzecz przez okno, zobaczyć, co się dzieje na ulicy. Błyskało światło, ale syreny nie włączyli, opowiada, więc nie dziwne, że nic nie słyszałam.

Kiedy wstaję rano, ojciec w kuchni smaży boczek. Zna się na tym, chociaż w mieście nigdy nie tyka garnków, wyłącznie przy ogniskach. W sypialni rodziców na podłodze leżą skotłowane prześcieradła, na krzesłach złożone koce. Na materacu widać sporą owalną plamę krwi. Gdy wracam ze szkoły, prześcieradeł już nie ma, łóżko jest zasłane, nie został żaden ślad.

Zdarzył się wypadek, tłumaczy ojciec. Ale co to niby za wypadek – w łóżku, podczas snu? To było dziecko, mówi Stephen, dziecko, które za wcześnie się urodziło. Nie wierzę. Jeśli kobieta spodziewa się dziecka, ma wielki brzuch, a matka wcale takiego nie miała.

Wraca ze szpitala, jest słabsza. Musi odpoczywać. To dla nas coś nowego, dla niej zresztą też. Buntuje się, jak zwykle wstaje, chodzi, przytrzymując się ściany albo mebli, stoi nad zlewem zgięta wpół, w swetrze zarzuconym na ramiona. Przerywa robotę w połowie, idzie się położyć. Skórę ma bladą i suchą. Wygląda, jak gdyby czegoś nasłuchiwała, może czegoś za domem, ale nie słysząc zupełnie nic. Czasami muszę dwa razy powtarzać, zanim cokolwiek do niej dotrze. Zupełnie jakby się przeniosła gdzie indziej, a mnie zostawiła, lub jakby zapomniała, że jestem tutaj.

Wszystko to przeraża mnie bardziej niż plama krwi. Ojciec każe nam więcej pomagać w domu, co oznacza, że sam też się boi.

Kiedy matka wraca do zdrowia, w jej koszyku z przyborami do szycia znajduję małą skarpetkę wydzierganą na drutach, pastelowozieloną. Zastanawiam się, dlaczego tylko jedną. Matka nie lubi robótek, może więc skończyła tę jedną skarpetkę i nie chciało jej się zaczynać drugiej.

Śni mi się, że moimi prawdziwymi rodzicami są pani Finestein i pan Banerdzi.

Śni mi się, że matka urodziła dziecko, jedno z bliźniąt, jest szare. Nie wiadomo, gdzie się podział drugi bliźniak.

Śni mi się, że nasz dom spłonął. Nic nie zostało. W miejscu domu sterczą poczerniałe kikuty niczym po pożarze lasu. Obok wznosi się hałda ziemi.

Rodzice są martwi, lecz zarazem żywi. Leżą obok siebie w letnich ubraniach, zapadają się w głąb ziemi, twardej, ale przejrzystej jak lód. Znikając, spoglądają na mnie ze smutkiem.

32

Jest sobotnie popołudnie. Wybieramy się do gmachu na coś, co się nazywa „dzień otwarty”. Nie wiem, co to, ale z ulgą odwiedzę gmach z jego myszami, węzami, eksperymentami, bez żadnych dziewcząt. Ojciec pytał, czy chciałabym zaprosić jakąś koleżankę. Nie, powiedziałam. Mój brat jedzie z Dannym, któremu bez przerwy cieknie z nosa, nosi włóczkowe kamizelki we wzór z rombów i zbiera znaczki pocztowe. Obaj siedzą z tyłu – Stephen już nie choruje w samochodzie – i rozmawiają szyfrem.

– A-z a-no a-sa a-ci a-le a-ci.

– A-no a-to a-co? A-mo a-że a-so a-bie a-ły a-k a-niesz?

– A-m a-niam, a-m a-niam.

Część owych popisów, przynajmniej ze strony Danny’ego, odbywa się na moją cześć. Pomylił mnie z innymi dziewczynkami, tymi, co się otrząsają i piszczą. Kiedyś bym się odpłaciła czymś równie obrzydliwym, ale już przestały mnie bawić teksty o zjadaniu glutów. Wyglądam przez okno, udając, że nie słyszę.

Dzień otwarty, jak się okazuje, to coś w rodzaju zwiedzania muzeum. Wydział Zoologii otwiera podwoje dla szerokiej publiczności, aby co nieco zaznajomić ludzi z nauką i oświecić umysły. Tak powiedział ojciec, uśmiechając się kpiąco – znak, że nie należy tego brać całkiem serio. Niektórym umysłem nie zaszkodziłaby odrobina oświecenia, dorzucił. Matka stwierdziła, że jej umysłu już się nie da bardziej oświecić, toteż zamiast na dzień otwarty pójdzie po zakupy.

Zjawił się cały tłum. W Toronto podczas weekendu nie ma zbyt wielu rozrywek. Gmach wygląda odświeżenie. Codzienna woń czyścika do szorowania podłóg, pasty do mebli, mysich bobków i węży miesza się z nowymi zapachami, z zapachem zimowych ubrań, dymu papierosów, damskich perfum. Do ścian przytwierdzono barwne papierowe serpentyny, gdzieniegdzie strzałki z kartonu. Prowadzą wzdłuż korytarzy, w górę i w dół po schodach, do kolejnych sal, wskazują drogę. W każdej sali mieszczą się

osobne wystawy, zgrupowane zależnie od tego, czego mają uczyć.

W pierwszej można obejrzeć kurze embriony w różnych stadiach rozwoju, od czerwonej kropki do kurczenia o wielkiej głowie, wylupiastych ślepkach i piórach jak ostrza szpilek. To stworzenie zupełnie niepodobne do ślicznych puchatych kurczaczków wielkanocnych, oślisłe, z podkurczonymi pazurkami, z półksiężycami paciorkowatych szafirowych oczu widocznych w szparach powiek. Embriony są zakonserwowane. Wokół cuchnie formaliną, aż wierci w nosie. Na drugiej wystawie oglądamy bliźnięta w słoju, prawdziwe ludzkie bliźnięta jednojajowe razem z łożyskiem. Szare ciała pływają w cieczy koloru pomyj. W ich żyły i tętnice wpuszczono zabarwioną gumę, do żył niebieską, fioletową do tętnic, aby pokazać, że krwiobieg bliźniąt się łączy. Obok w butli oglądamy ludzki mózg, przypomina ogromny, gąbczasty, szary orzech włoski. Nie do wiary, że coś takiego noszę w głowie.

W innej sali przy specjalnym stole można sobie zdjąć odciski palców i przekonać się, że naprawdę są niepowtarzalne. Na arkuszu brystolu wiszą powiększone zdjęcia rozmaitych linii papilarnych. Stephen, Danny i ja dajemy sobie zdjąć odciski. Chłopcy podśmiewali się i z kurczaków, i z bliźniąt – A-zjesz a-kur a-cza a-czka a-na a-ko a-la a-cję? A-mo a-że a-ka a-wa a-lą a-tek a-du a-szo a-ne a-go a-bliź a-nia a-ka? – lecz wcale nie mieli ochoty zostać w tamtej sali. Tutaj wyglądom nie ma końca. Nawzajem stemplują sobie czoła ubrudzonymi na czarno palcami. – Znak Czarnej Ręki! – wołają głośno, groźnym głosem, aż ojciec, który akurat przechodzi obok, każe im przymknąć buzie. U boku ojca kroczy piękny pan Banerdzi z Indii. Uśmiecha się nerwowo. – Co słyhać, panienko? – pyta. Zawsze się do mnie zwraca per „panienko”. Pośród tych bladych zimowych twarzy wygląda bardziej śniado niż zazwyczaj. Jego zęby błyszczą jak nic na świecie.

W tej samej sali rozdają kawałki papieru, trzeba je polizać i stwierdzić, czy smakują gorzko jak pestka brzoskwini, czy kwaśno jak cytryna. Ów eksperyment dowodzi, że pewne cechy są dziedziczne. Można tu również przeprowadzić ćwiczenia z własnym językiem, sprawdzić, czy umie się go zwinąć w trąbkę bądź na kształt liści koniczyny. Niektórzy nie potrafią ani jednego, ani drugiego. Mój brat z Dannym wyglupiają się przed lustrem, stroją okropne miny, wtykając kciuki w kąciuki ust i ściągając powieki do dołu, aż widać czerwone ciało.

Miejscami te pokazy są mniej ciekawe, za dużo tam czytania, gdzie indziej prezentują same wykresy rozwieszane na ścianach albo preparaty pod mikroskopem, które przecież możemy oglądać, kiedy tylko nam się zamarzy.

Wędrujemy zatłoczonymi korytarzami śladem serpentyn, błękitnych i żółtych, człapiemy w śniegowcach. Nie zdjęliśmy palt. Jest bardzo ciepło. Grzechoczące kaloryfery grzeją na cały regulator, powietrze napelnia się oddechem innych ludzi.

Docieramy do sali, gdzie pokazują rozciętego żółwia. Leży na białej emaliowanej tacy zupełnie jak u rzeźnika. Żółw żyje, a raczej żyje tylko jego serce. Eksperyment ma udowodnić, że serce gada bije dalej, nawet gdy reszta ciała umarła.

W dolnej skorupie zieje wywiercona dziura. Żółw leży na grzbiecie, toteż można zajrzeć w głąb, aż do serca. Pulsuje z wolna, lśniąc ciemnoczerwono w swojej jaskini, kurczy się jak robak pod dotknięciem palca, znów się rozciąga, znowu kurczy. Przypomina dłoń, która się zaciska i z powrotem otwiera. Przypomina oko.

Do serca przyczepiono drut, który łączy je z głośnikiem, tak że w całej sali słyhać łomot tętna, przeraźliwie wolny, jak gdyby stary człowiek wspinał się po schodach. Trudno poznać, czy serce wytrzyma do następnego uderzenia, czy też nie. Krok, przerwa, później trzask podobny do zakłóceń

w radiu, które jak twierdzi mój brat, pochodzą z kosmosu, potem jeszcze jeden stuk, nowy haust powietrza. Z żółwia wycieka życie, słyszę to w głośniku. Niedługo wycieknie do ostatniej kropli.

Nie chcę tu dłużej stać, ale jest kolejka, przede mną i za mną. Naokoło sami dorośli, Danny i Stephen gdzieś przepadli. Otaczają mnie tweedowe palta, oczy mam na wysokości drugiego guzika. Wtem oprócz bicia serca rozlega się inny dźwięk, nadlatuje jak wiatr: niczym szelest liści topoli, tylko cichszy, bardziej suchy. Dookoła oczu puchnie czerń, krąg się zamyka. Widzę coś na kształt wejścia do tunelu, które błyskawicznie się oddala, a może to ja się oddalam, odsuwam od plamki światła. A później spoglądam na las śniegowców, połąć drewnianej podłogi na poziomie oczu. Boli mnie głowa.

– Zemdląła – odzywa się czyjś głos i dopiero wtedy rozumiem, co się stało.

– Pewnie przez tę duchotę.

Ktoś mnie wynosi na powietrze, w szarość i chłód. To pan Banerdzi, pomrukuje przy tym strapiiony. Podbiega ojciec, każe mi usiąść z głową między kolanami. Siadam, wpatruję się w czubki śniegowców. Ojciec pyta, czy mam nudności. Nie. Podchodzi Stephen z Dannym, przyglądają się bez słowa. Wreszcie mój brat mówi: – A-zem a-dla a-ła – po czym obaj wracają do gmachu.

Czekam na zewnątrz, aż ojciec przyprowadzi samochód, potem jedziemy do domu. Zaczyna mi świtać, że odkryłam coś ważnego. Można się wydostać z miejsc, skąd pragnie się uciec, ale nie ma jak. Człowiek, mdlejąc, stąpa w bok, opuszcza własne ciało, wypada z czasu albo też wkracza w inny czas. Kiedy odzyskuje przytomność, jest później. Czas mijał bez nas.



Cordelia mówi: – Wyobraź sobie dziesięć stert talerzy. To twoich dziesięć szans. – Ilekroć zrobię coś złego, jedna sterta się wali. Widzę te talerze. Cordelia także, ponieważ to ona woła łup! Grace też je po trosze widzi, lecz łup! w jej wydaniu brzmi ostrożniej, Grace szuka potwierdzenia u Cordelii. Carol parę razy próbuje się dołączyć, ale obrywa po uszach: – Co za łup? To akurat się nie liczy!

– Tylko cztery zostały – rzuca Cordelia. – Lepiej uważaj. No więc?

Milczę.

– I przestań się głupio szczyrzyć.

Milczę.

– Łup! – woła Cordelia. – Już tylko trzy.

Nikt nie mówi, co się stanie, kiedy runą wszystkie sterty talerzy.



Stoję pod ścianą koło drzwi oznaczonych DZIEWCZĘTA, chłód pełźnie mi po nogach, wciska się do rękawów. Nie wolno mi się ruszyć. Już zapomniałam dlaczego. Odkryłam, że mogę wypełnić głowę muzyką – „Niesie nas skrzydło i modlitwa”, „Weselcie się z Wesołą Gromadką” – i zapomnieć niemalże o wszystkim.

Jest przerwa. Panna Lumley, dzierżąc mosiężny dzwonek, patroluje boisko, z twarzą ściągniętą na zimnie, pochłonięta własnymi sprawami. Nadal jej się boję, chociaż już mnie nie uczy. Dziewczynki bawią się w węża, przebiegają obok, skandując: – Z drogi, śledzie, bo król jedzie! – Inne kroczą godnie, pod rękę. Popatrują na mnie ciekawie, potem odwracają wzrok. W taki sam sposób ludzie w samochodach na autostradzie zwalniają i patrzą przez okno, gdy zdarzy się wypadek. Zwalniają, ale się nie zatrzymują. Potrafią zwęszyć kłopoty, wiedzą, kiedy się trzymać z dala.

Stoję o krok od ściany. Spoglądam w górę, w szare niebo, wstrzymuję oddech. Czekam, aż mi się zakręci w głowie. Widzę stertę talerzy, chwieje się, zaczyna przewracać, wali z bezgłośnym trzaskiem porcelanowych skorup. Niebo zbiega się w jeden punkt, zatapiam się w szeleście suchych liści. A później widzę własne ciało na ziemi, po prostu tam leży. Widzę, jak dziewczynki pokazują palcami i zbierają się naokoło, widzę pannę Lumley, kiedy się zbliża sztywnym krokiem i z trudem pochyła nade mną.

Wszystko to jednak widzę z góry, jak gdybym szybowała w powietrzu, gdzieś obok tabliczki z napisem DZIEWCZĘTA, jak gdybym patrzyła z lotu ptaka.

Odzyskuję przytomność. Tuż obok majaczy twarz panny Lumley, bardziej niż zwykle zagniewana, jakbym nabrudziła, za nią wianuszek dziewcząt, przepychają się, żeby jak najwięcej zobaczyć.

Cieknie mi krew, skaleczyłam się w czoło. Prowadzą mnie do gabinetu szkolnej pielęgniarki. Pielęgniarka przemywa ranę, przylepia plastrem opatrunek z gazy. Widok własnej krwi na mokrej białej myjce sprawia mi głęboką satysfakcję.

Cordelia przycichła. Krew robi wrażenie, nawet większe wrażenie niż wymioty. W drodze do domu obie z Grace prześcigają się w troskliwości, biorą mnie pod rękę, wypytyują, jak się czuję. Taki rodzaj uwagi z ich strony sprawia, że cała drzę. Jeszcze chwila, a wybuchnę płaczem, zaleję się rzęsiстыми, gorącymi łzami pojednania. Ale nie, przezorność już mi na to nie pozwala.

Kiedy następnym razem Cordelia każe mi stać pod ścianą, znowu mdleję. Teraz potrafię zemdlec niemal na zawołanie. Wstrzymuję oddech, słyszę szelest, widzę ciemność, a potem się ześlizguję w bok, jestem gdzie indziej. Nie zawsze jednak obserwuję się z góry, tak jak za pierwszym razem. Czasami po prostu zapada mrok.

Zyskuję sławę dziewczynki, która mdleje.

– Ona to robi naumyślnie – mówi Cordelia. – Ej, pokaż nam, jak mdlejesz. No, dalej. Zemdlej.

Lecz teraz, tak na rozkaz, nie daję rady.

Zaczynam spędzać czas poza ciałem, nawet nie tracąc przytomności. W takich chwilach czuję się jak rozmyta, rozdwojona, z jednym „ja” nałożonym na drugie, ale niedokładnie. Tuż obok mojego „ja” przezroczystego, niewidzialnego znajduje się moje ciało, twarda otoczka z mięsa, niewrażliwa jak blizna. Widzę, co się dzieje, słyszę, co do mnie mówią, nie muszę jednak na nic zwracać uwagi. Oczy mam otwarte, ale jestem nieobecna. Uciekłam.

VII

MATKA BOSKA

NIEUSTAJĄCEJ POMOCY

33

Idę na zachód, coraz dalej od Simpsona, wciąż się rozglądam za czymś do jedzenia. W końcu kupuję pizzę na wynos i pozeram po drodze, trzymam placek złożony na pół, odgryzam solidne kęsy. Przy Benie jadam o ustalonych porach, ponieważ on tak robi, jadłospis też mam ustalony, ale kiedy jestem sama, pochłaniam byle co i byle jak, odgrzewam dawne samotnicze nawyki śmieciojada. To mi szkodzi, muszę jednak sobie przypominać, jak człowiek się wtedy czuje. W przeciwnym razie zaczęłabym brać Bena za pewnik, z tymi jego krawatami, z fryzjerem i z grejpfrutami na śniadanie. A tak bardziej go cenię.

Wracam do pracowni, znowu do niego dzwonię, odliczając wstecz godziny dzielące mnie od wybrzeża. Odpowiada tylko mój własny głos z taśmy, później słychać pisk, sygnał czasu z Krajowego Obserwatorium Astronomicznego, wstęp do przyszłości.

– Kocham cię – mówię, na później. Wtem sobie przypominam: Ben jest w Meksyku, nie wróci przede mną.

Tymczasem zapadł zmrok. Mogłabym się wybrać na przyzwoitą kolację albo do kina. Zamiast tego gramolę się na otomanę, pod pled, z filiżanką kawy i z książką telefoniczną Toronto, zaczynam szukać nazwisk. Żadnych Smeathów, pewno się wyprowadziły albo pomarły, albo wyszły za mąż. Campbellów więcej niż ziarenek piasku na plaży. Sprawdzam Jona, którego nazwisko i ja kiedyś nosiłam. Nie ma Josefa Hrbika, chociaż trafiam na Hrbeków, Hrenów, Hrastników, Hriczów.

Nie ma już Risleyów.

Nie ma Cordelii.



Dziwnie się znów leży w łóżku Jona. Nie myślałam „łóżko Jona”, bo nigdy go nie widziałam w tym łóżku, ale oczywiście, to jego łóżko. O wiele porządniejsze niż posłania z dawnych lat i znacznie czystsze. Pierwszym łóżkiem Jona był materac rzucony na podłogę, przykryty starym śpiworem. Nie miałam nic przeciwko temu, właściwie nawet mi się to podobało, kojarzyło mi się z obozowaniem na dziko. Dookoła, na podobieństwo linii przyplwy, zazwyczaj walały się puste kubki, szklanki i talerze z resztkami jedzenia, co już mi się podobało nieco mniej. Jeśli idzie o brudy, w tamtych czasach

obowiązywała swoista etykieta. W pewnym momencie przekraczało się granicę dzielącą ignorowanie bałaganu od prób uprzątnięcia tegoż. A wówczas mężczyzna uważał, że ktoś tu chce ograniczyć jego niezależność, stara się go ustawić.

Leżeliśmy kiedyś na materacu, w tamtych pierwszych dniach, zanim zaczęłam sprzątać talerze, gdy nagle otworzyły się drzwi i w progu stanęła jakaś kobieta, której nigdy przedtem nie widziałam. Ubrana w brudne dzinsy i blad różowy podkoszulek, z chudą twarzą jakby wymoczoną w bielince, z ogromnymi źrenicami. Wyglądała jak po prochach – wtedy już brało się pod uwagę taką możliwość. Stała tam bez słowa, z jedną ręką za plecami, z twarzą ściągniętą, kamienną, ja tymczasem okryłam się śpiworem.

– Hej – powiedział Jon.

Kobieta wysunęła rękę zza pleców i czymś w nas rzuciła. A konkretnie papierową torbę pełną ciepłego spaghetti, razem z sosem. Torba pękła przy uderzeniu, dekorując nas wstążkami klusek. Kobieta wyszła bez słowa, trzasnęła drzwiami.

Przestraszyłam się, ale Jon parsknął śmiechem.

– A to co znowu? – spytałam. – Jak, u diabła, weszła?

– Drzwiami. – Wciąż się śmiał. Wyplątał mi z włosów nitkę makaronu, pochylił się, żeby mnie pocałować. Wiedziałam, że to była jego dziewczyna czy raczej eksdziewczyna, i gotowałam się ze złości. Nie przyszło mi do głowy, że mogła mieć powód. Jeszcze się nie zetknęłam ze szpilkami do włosów rozrzuconymi w łazience, znaczącymi teren wzorem psich siuśków na ośnieżonych hydrantach, nie zetknęłam się ze strategicznymi plamami szminki na poduszkach. Jon umiał zacierać ślady, a jeśli nie zacierał, to nie bez powodu. Nie przyszło mi również do głowy, że kobieta miała własny klucz.

– To wariatka – powiedział Jon. – Powinna siedzieć u czubków.

Wcale jej nie współczułam. W pewnym sensie ją podziwiałam. Podziwiałam ów brak skrupułów, odwagę okazywania złych manier, energię czystej furii. Rzut torbą spaghetti miał w sobie prostotę, brawurę, niedbałe dostojeństwo. Przekreślał sprawę raz na zawsze. Ja sama, w tamtych dniach, nigdy bym się nie zdobyła na coś podobnego.

34

Grace dziękuje Panu. Pan Smeath mówi: – Chwalcie Najwyższego i podajcie amunicję. – Sięga po pieczoną fasolę.

Pani Smeath mówi: – Lloyd.

Pan Smeath: – Przecież to nic strasznego. – Posyła mi uśmiech ukradkiem. Ciotka Mildred zaciska wąsate usta. Żuję kauczukowe jedzenie Smeathów. Pod osłoną obrusa szarpię palce. Niedziela biegnie dalej.

Po duszonym ananasi Grace zabiera mnie do piwnicy, chce się bawić w szkołę. Bawimy się, ale wkrótce muszę wrócić na górę, iść do łazienki. Grace mi pozwoliła, tak jak prawdziwa nauczycielka w prawdziwej szkole. Wchodząc po schodach, słyszę ciotkę Mildred i panią Smeath, które w kuchni zmywają naczynia.

– To kompletna poganka – odzywa się ciotka Mildred. Była misjonarką w Chinach, więc teraz jest autorytetem. – Starasz się, starasz i wszystko na marne.

– Uczy się Biblii, wiem od Grace – odpowiada pani Smeath i wówczas się orientuję, że rozmawiają o mnie. Przystaję na najwyższym stopniu, skąd widzę kuchnię: stół zawalony brudnymi naczyniami, fragmenty obu kobiet od tyłu.

– Uczą się takie, uczą, a jakże. Człowiek staje na głowie, ale co z tego? To powierzchowna wiedza, nic naprawdę nie przyswajają. Ledwie je spuścisz z oczu, a już robią po staremu.

Niesprawiedliwość tych słów boli, jakby ktoś mnie kopnął. Jak mogą tak mówić, skoro dostałam specjalne wyróżnienie za wypracowanie o wstrzeźliwości, o pijanych kierowcach, którzy powodują wypadki i zamarzają na śmierć w burzy śnieżnej, ponieważ alkohol zwęża naczynia włosowate? Wiem nawet, co to naczynia włosowate, nawet potrafię to napisać bez błędów. Umiem wyrecytować całe psalmy, całe rozdziały, umiem bez patrzenia zaśpiewać wszystkie pieśni ze szkoły niedzielnej, te spod znaku białego rycerza na kolorowych slajdach.

– No bo czego się spodziewać po takiej rodzinie? – rzuca pani Smeath. Nie wyjaśnia, czym zawiniła moja rodzina. – Inne dzieci to wyczuwają. Wiedzą.

– Nie sądzisz, że są dla niej zbyt okrutne? – pyta ciotka Mildred. Z rozkoszą smakuje każde słowo. Chce wiedzieć, jak bardzo okrutne.

– To kara boska. Dobrze jej tak.

Zalewa mnie fala gorąca. Fala wstydu, znam to uczucie, lecz także nienawiści, której dotąd nie odczuwałam, nie w tak czystej formie. Moja nienawiść ma teraz określony kształt, kształt jednej piersi, kłocowatego tułowia pani Smeath. Rośnie mi w piersiach jak mięsisty chwast, gruby, o białej łodydze; jak łopian z wybujałymi liśćmi i drobnymi zielonymi rzepami, który przy ścieżce do mostka zarasta ziemię cuchnącą kocim moczem. Ciężka, gęsta nienawiść.

Stoję tam na najwyższym stopniu stężala z nienawiści. Ale nie wobec Grace ani nawet Cordelii – tak daleko nie potrafię się posunąć. Nienawidzę pani Smeath, gdyż to, co uważałam za sekret, za sprawę między dziećmi, między dziewczynkami, to coś wcale sekretem nie jest. Już się o tym mówiło i nikt nie kiwnął palcem. Pani Smeath o wszystkim wiedziała, wszystko pochwałała. Nie zrobiła nic, żeby temu zapobiec. Wierzy, że dobrze mi tak.

Odsuwa się od zlewu, podchodzi do stołu po nowy stos brudnych talerzy. Teraz widzę ją przed sobą w całej okazałości. W ułamku chwili mam przed oczami wyraźny, żywy obraz pani Smeath w cielistej wyżymacze matki: wkręca się nogami do przodu, kości pękają, rozplaszczają się, skóra i mięso wciskają się w głowę, która za moment pęknie niczym ogromny bąbel krwi. Gdyby moje oczy potrafiły wysłać zabójcze promienie, tak jak to się dzieje w komiksach, pani Smeath spłonęłaby na miejscu. Rzeczywiście, jestem poganką. Nie umiem wybaczać.

Jakby wyczuwając mój wzrok, odwraca się. Teraz mnie widzi. Nasze spojrzenia się krzyżują:

pani Smeath wie, że wszystko słyszałam. Zupełnie jej to nie wzrusza, nie jest zakłopotana ani skruszona. Uśmiecha się po swojemu, zadowolona z siebie, nie rozchylając ust. Odzywa się nie do mnie, tylko do ciotki Mildred.

– Małe kubeczki mają wielkie uszy.

Jej chore serce pływa w ciele podobne do oka, złego oka, widzi mnie.



Siedzimy na drewnianej ławce w piwnicy kościoła, w ciemnościach, patrząc na ścianę. Szkliste oczy Grace błyskają odbitym światłem, obserwują mnie z boku.

Gdy z nieba spada wróbelek mały,

Bóg czule na ptaszka patrzy;

Skoro tak kocha tę kruszynę,

Wiem, że mnie kocha także.

Ilustracja przedstawia martwego ptaka w olbrzymiej dłoni, z góry pada na niego świetlisty promień.

Poruszam wargami, ale nie śpiewam. Tracę zaufanie do Boga. Pani Smeath już Go usidliła, wie, jak wyglądają Jego kary. Bóg stoi po jej stronie, tam gdzie ja nie mam dostępu.

Myślę o Jezusie, który rzekomo mnie kocha. Jednak ani trochę tego nie okazuje, a zresztą niewiele tu poradzi. Nie wygra z panią Smeath i z Bogiem, ponieważ Bóg jest większy. Bóg wcale nie jest naszym Ojcem. Stał się czymś ogromnym, surowym, nieugiętym, pozbawionym twarzy, sunącym naprzód jak po torach. Bóg to coś w rodzaju lokomotywy.

Postanawiam więcej się do Niego nie modlić. Kiedy przychodzi pora na *Ojcze nasz*, stoję i milczę, jedynie poruszam ustami. „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Nie chcę wypowiadać tych słów. Jeżeli znaczą tyle, że muszę przebaczyć pani Smeath, bo inaczej po śmierci pójdę do piekła, to proszę bardzo, mogę iść. Jezus z pewnością wiedział, jak trudno się przebacza, stąd ten nakaz. Zawsze wymagał rzeczy praktycznie niewykonalnych, chociażby tego, żeby człowiek rozdał wszystkie swoje pieniądze.

– Nie modliłaś się – szepcze Grace.

Żołądek podchodzi mi do gardła. Co jest gorsze, zaprzeczyć czy potwierdzić? W żadnym wypadku nie uniknę kary.

– Właśnie że tak – mówię.

– Właśnie że nie. Słyszałam.

Nie odzywam się.

– Skłamałaś – mówi Grace z zadowoleniem, zapominając o szepcie.

Wciąż się nie odzywam.

– Proś Boga o wybaczenie. Ja proszę Go każdej nocy.

Siedzę w mroku, skubię palce. Grace prosi Boga, żeby jej wybaczył, myślę. Ale co? Bóg wybacza tylko wówczas, gdy się czegoś żałuje, a przecież po niej nigdy nie znać żalu. Grace nigdy nie dopuszcza myśli, że zrobiła coś złego.



Grace, Cordelia i Carol idą przodem, ja ciągnę o jedną przecnicę dalej za nimi. Dzisiaj nie pozwalają mi do nich dołączyć, bo byłam bezczelna, ale też nie chcą, żebym się zanadto oddalała. Stąpam w rytmie melodii *Weselcie się z Wesolą Gromadką*, w głowie pustka, dźwięczą tylko te słowa. Patrę pod nogi, bacznie obserwuję chodnik, rynsztoki, szukam sreberka po papierosach, chociaż już ich od dawna nie zbieram. Szkoda zachodu, i tak na nic mi się nie przydadzą.

Zauważam kartkę z kolorowym obrazkiem. Podnoszę ją. Wiem, co to za obrazek: przedstawia Matkę Boską. Coś takiego rozdają u Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, Matki Boskiej Nieustającej Diablicy. Matka Boska ma błękitną szatę do ziemi, nie widać ani kawałka stóp, na głowie ma białą chustę i koronę, i jeszcze żółtą aureolę z promieniami wystającymi jak gwoździe. Uśmiecha się ze smutkiem, wyraźnie zawiedziona. Rozkłada ręce, jakby w geście powitania, serce ma na wierzchu, przebite siedmioma sztyletami, a przynajmniej tak to wygląda. Samo serce jest duże, czerwone, wygląda schludnie, jest podobne do satynowej poduszeczki na szpilki albo do walentynki. Pod obrazkiem napis: „Siedem boleści”.

W naszych gazetkach ze szkółki niedzielnej czasem się pojawia Matka Boska, ale nigdy w koronie, nigdy z takim naszpikowanym sercem, nigdy w pojedynkę. Zazwyczaj pozostaje mniej lub bardziej w tle. Nikt się nad Nią szczególnie nie rozwodzi, chyba że w Boże Narodzenie, a i wtedy znacznie ważniejsze jest Dzieciątko Jezus. Kiedy pani Smeath i ciotka Mildred wspominają o katolikach, co nieraz się zdarzało przy niedzielnym obiedzie, to zawsze robią to z pogardą. Katolicy modlą się do posągów i podczas komunii piją prawdziwe wino, a nie sok z winogron.

– Oddają cześć papieżowi – słyszę w domu Smeathów. Albo też: – Oddają cześć Matce Boskiej.
– Zupełnie jakby robili coś skandalicznego.

Przyglądam się obrazkowi z bliska. Nie mogę go zatrzymać, to zbyt niebezpieczne, wyrzucam kartkę. Słuszny odruch, bo tamte trzy przystały, czekając na mnie. Każdy mój ruch – chyba że po prostu stoję, chyba że po prostu idę – ściąga ich uwagę.

– Coś tam podniosła? – pyta Cordelia.

– Papier.

– Jaki papier?

– Zwyczajny. Kartkę papieru.

– Po coś podnosiła?

Kiedyś bym się zastanowiła, próbowała odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Teraz mówię: – Nie wiem. – To jedyna odpowiedź, której nie wyśmieją ani nie zakwestionują.

– Co z nim zrobiłaś?

– Wyrzuciłam.

– Nie zbieraj śmieci z ulicy – upomina Cordelia. – Są pełne zarazków.

Daje mi spokój.



Postanawiam zrobić coś niebezpiecznego, buntowniczego, może nawet świętokradczego. Już nie mogę się modlić do Boga, będę więc się modlić do Matki Boskiej. Tak zdecydowawszy, zaczynam się denerwować, jakbym planowała kradzież. Serce mi wali, dłonie lodowacieją. Czuję, że jeszcze chwila, a dam się przyłapać.

Chyba wypada uklęknąć. W cebulowym kościele się nie klęczy, lecz katolicy są z tego znani. Klękam przy łóżku i składam ręce, prawie jak dzieci z kartek świątecznych, tyle że mam na sobie flanelową piżamę w niebieskie paski, a tamte dzieci zawsze noszą białe koszule nocne. Zamykam oczy, staram się myśleć o Matce Boskiej. Chcę, żeby mi pomogła lub przynajmniej dała znak, że mnie słyszy, nie wiem jednak, co powiedzieć. Nie nauczyłam się słów przeznaczonych dla Niej.

Próbuję sobie wyobrazić, jak by wyglądała, jeśli bym ją spotkała chociażby na ulicy. Czy byłaby ubrana podobnie do mojej matki, czy też w błękitną sukienkę, z koroną na głowie – a jeżeli to drugie, to czy zebrałyby się tłum? Może ludzie wzięliby Ją za postać z jasełek. Ale nie, nie gdyby miała to swoje serce na wierzchu, całe skłute sztyletami. Próbuję sobie wyobrazić, co bym Jej powiedziała. Lecz przecież Ona już wie: wie, jaka jestem nieszczęśliwa.

Modłę się coraz żarliwiej. To modlitwy bez słów, niepokorne, niezrasane łzami, rozpaczliwe, wyzute z nadziei. Nic się nie dzieje. Wciskam pięści w oczy, aż do bólu. Przez moment mi się zdaje, że dostrzegam twarz, później plamę błękitu, ale teraz widzę tylko serce. Oto ono, jaskrawoczerwone, otoczone mrocznym światłem, czernią połyskliwego aksamitu. Ze środka bije złoty blask, potem gaśnie. To serce, jakżeby inaczej. Przypomina moją czerwoną plastikową torebkę.

Jest połowa marca. Na oknach w klasie zaczynają kwitnąć wielkanocne tulipany. Wciąż leży śnieg, brudny filigran, chociaż zima powoli odpuszcza, już nie jest mroźnie i lśniąco. Chmury gęstnieją, niebo opada niżej.

Wracamy do domu pod tym niskim niebem, szarym i napuchniętym wilgocią. Sypią się z niego mokre, miękkie płatki, okrywają dachy i gałęzie, od czasu do czasu śnieżna czapa zsuwa się na ziemię, płaska niczym kłęb wilgotnej waty. Nie ma wiatru, śnieg tłumi każdy dźwięk.

Nie jest zimno. Rozwiązuję troczki niebieskiej włóczkowej czapki, trzepocze mi luźno na głowie. Cordelia ściąga rękawiczki, lepi śnieżki, rzuca w drzewa, w słupy telefoniczne, w co popadnie. Ma swój dzień życzliwości. Bierze mnie pod ramię, drugą rękę wsuwa pod ramię Grace, maszerujemy ulicą, śpiewając: – Z drogi, śledzie, bo król jedzie! – Ja także śpiewam. Razem podskakujemy, ślizgamy się.

Po części odżywa tamta dawna euforia, którą kiedyś budził we mnie padający śnieg. Chciałabym otworzyć buzię, chwycić płatki ustami. Pozwalam sobie na śmiech, jak tamte, śmieję się na próbę. To wszystko na pokaz, czepiam się normalności.

Cordelia rzuca się plecami na biały trawnik przed czyimś domem, rozkłada ręce, przesuwa nad głowę, potem opuszcza, rysuje śnieżnego anioła. Płatki sypią jej się na twarz, w roześmiane usta, topnieją, przywierają do brwi. Mruga, zaciska powieki. Przez chwilę wygląda jak ktoś całkiem mi nieznanym, ktoś obcy, pełen ukrytych zalet. Albo też jak ofiara wypadku, która runęła w śnieg.

Otwiera oczy i wyciąga ręce, wilgotne i zaczerwienione, podnosimy ją, żeby rysunek się nie rozmażał. Śnieżny anioł ma pierzaste skrzydła i głowę jak łeppek od szpilki. Tam gdzie się zatrzymały ręce, przy bokach, widać ślady palców, przypominają miniaturowe szpony.

Straciłyśmy poczucie czasu, zaczyna się ściemniać. Biegniemy ulicą w stronę wąwozu. Nawet Grace biegnie, cwałuje niezdarnie, wołając: – Poczekajcie! – Przynajmniej tym razem ona została z tyłu.

Cordelia pierwsza dociera do ścieżki, pędzi w dół. Próbuje się ślizgać, ale śnieg jest zbyt puszysty, nie dość zmrożony, zmieszany z popiołem i żwirem. Przewróciła się, turla po zboczu. Myślimy, że to specjalnie, jak wtedy ze śnieżnym aniołem. Zachwycone, zdyszane, roześmiane doganiamy ją, akurat kiedy się podnosi.

Przestajemy się śmiać, bo teraz widać, że Cordelia upadła przypadkiem, wcale nienaumyślnie. A tego nie lubi. Cokolwiek robi, woli robić celowo.

– Skaleczyłaś się? – pyta Carol. Głos jej drży, jest wystraszona, już wie, że zabawa się skończyła. Cordelia nie odpowiada. Twarz ma nieruchomą, oczy patrzą złowrogo.

Grace do niej podchodzi, staje tuż obok, nieco z tyłu. Stamtąd posyła mi krzywy uśmiezek.

– Śmiałaś się? – cedzi Cordelia. Zwraca się do mnie. Może ma na myśli to, czy się śmiałam dlatego, że upadła.

– Nie.

– Śmiała się – rzuca Grace bezbarwnym tonem. Carol odsuwa się na skraj ścieżki, byle dalej ode mnie.

– Dam ci jeszcze jedną szansę – ciągnie Cordelia. – Śmiałaś się?

– Tak, ale...

– Powiedz tylko „tak” albo „nie”.

Milczę. Cordelia zerka przez ramię na Grace, jak gdyby szukała poparcia. Wzdycha przesadnie, po dorosłemu.

– Znowu kłamie. I co tu z tobą zrobić?

Stoimy tak chyba od wieków. Ochłodziło się. Cordelia wyciąga rękę, zrywa mi z głowy czapkę. Maszeruje na sam dół, na mostek, chwilę się waha. Podchodzi do poręczy i wrzuca czapkę do wąwozu. Później jej biała twarz odwraca się w moją stronę.

– Chodź tutaj.

A zatem nic się nie zmieniło. Czas będzie płynął dalej, tak samo jak przedtem, bez końca. Mój śmiech mimo wszystko nie był prawdziwy, po prostu chwyciłam powietrze.

Idę do Cordelii, tam gdzie się zatrzymała przy poręczy. Śnieg nie chrzęści, zapada się pod butami jak wata. Taki odgłos wydaje plomba, kiedy się wypełnia dziurawy ząb. Zwykle boję się zbliżyć do krawędzi mostku, teraz nie. Nie odczuwam niczego tak konkretnego jak strach.

– Tam masz swoją głupią czapkę – mówi Cordelia. I rzeczywiście, leży głęboko w dole, nawet w tym mroczniejącym świetle niebieska na białym śniegu. – Możesz sobie przynieść.

Patrzę na nią. Chce, żebym zeszła do wąwozu, tam gdzie czyhają źli mężczyźni, gdzie pod żadnym pozorem nie wolno nam się zapuszczać. Mogłabym się zbuntować. Co by wtedy zrobiła?

Widzę, że jej również świta taka myśl. Może posunęła się za daleko, wreszcie natrafiła na opór. Jeżeli tym razem się sprzeciwię, kto wie, czym się skończy moja rebelia? Tamte dwie tymczasem dołączyły do nas, przyglądają się z bezpiecznej odległości, ze środka kładki.

– No, idź. – Teraz Cordelia mówi łagodniej, jak gdyby zachęcała, nie rozkazywała. – Wtedy ci przebaczymy.

Nie chcę tam schodzić. Wąwóz to zakazane, niebezpieczne miejsce. W dodatku jest ciemno i ślisko, może nie dam rady wdrapać się z powrotem na górę. Lecz gdzieś tam leży moja czapka. Jeżeli pokaże się w domu z gołą głową, będę musiała się wytłumaczyć, będę musiała naskarżyć. A jeśli nie zejść, jak się zachowa Cordelia? Może się rozgniewa, może w ogóle przestanie ze mną rozmawiać. Może mnie zepchnie z mostku. Nigdy dotąd nie zrobiła nic podobnego, nigdy nie była ani nie szczypała, ale czy to wiadomo? Przecież zrzuciła czapkę.

Ruszam na koniec kładki.

– Jak już ją znajdziesz, policz jeszcze do stu – odzywa się Cordelia. – Potem możesz wracać. – W jej głosie już nie słyszysz złości. Brzmi tak, jakby objaśniała zasady gry.

Zaczynam się zsuwać po stromym zboczu, chwytając się gałęzi i pni drzew. Nie ma tu nawet porządnej ścieżki, zaledwie ślad wydeptany przez ludzi, którzy tędy wędrują do góry i w dół: przez chłopców, przez mężczyzn. Nie przez dziewczynki.

Docieram na dno wąwozu. Spomiędzy nagich drzew spoglądam w górę. Na tle nieba rysują się poręcze mostku. Dostrzegam ciemne zarysy trzech głów, obserwują mnie.

Niebieska czapka leży w zamrzniętym strumieniu. Stoję w śniegu, patrzę na nią. Cordelia ma rację, to głupia czapka. Patrzę na nią i czuję obrzydzenie, bo ta głupia czapka należy do mnie i zasługuje na śmieszność. Nie chcę jej nigdy więcej nosić.

Słyszę, jak gdzieś pod lodem cieką woda. Wchodzę do strumienia, sięgam po czapkę, podnoszę ją, zapadam się. Ugrzęzłam po pas, naokoło sterczą odłamki kry.

Przenika mnie ziąb. Śniegowce napełniają się wodą, pantofle też, kombinezon całkiem przemaka. Prawdopodobnie wrzasnęłam, narobiłam hałasu, lecz nie pamiętam, żebym cokolwiek słyszała. Ściskam czapkę, oglądam się na mostek. Nie ma tam nikogo. Pewnie sobie poszły, uciekły. To dlatego miałam liczyć do stu: żeby mogły uciec.

Próbuję poruszyć stopami. Są bardzo ciężkie, przez tę wodę w butach. Gdybym chciała, mogłabym tu dalej stać. Teraz już naprawdę zapadł zmrok, śnieg skrzy się niebieskawo. Stare opony i zardzewiałe żelastwo walające się w strumieniu okrywa warstwa puchu. Wszędzie dokoła widać błękitne łuki, błękitne groty, nieskazitelne i ciche. Woda jest zimna, spokojna, płynie wprost z cmentarza, z grobów pełnych kości. To woda z umrzyków, rozpuszczonych i czystych, i ja w niej stoję. Jeżeli czym prędzej się stąd nie wydostanę, zamrznę na śmierć. Będę umrzykiem, spokojnym i czystym, takim samym jak tamte.

Brnę naprzód, lód pęka, kruszy się przy każdym kroku. Niełatwo iść w nasiąkniętych butach, mogę się pośliznąć, obsunąć. Chwytam jakąś gałąź, wczolguję się na brzeg i siadam w błękitnym śniegu, zdejmuję śniegowce, wylewam wodę. Rękawy kurtki przemokły do łokci, z rękawiczek aż kapie. Teraz czuję, jakby w nogi i ręce wbijały mi się ostrza noży, po twarzy płyną łzy bólu.

Na brzegach wąwozu widzę światła, padają z domów, niemożliwie wysoko. Nie wiem, jak zdołam się wspiąć po zboczu, taka jestem obolała. Nie wiem, jak zdołam dotrzeć do domu.

Głowę wypełniają mi czarne trociny; drobinki ciemności przenikają oczami w głąb. Płatki śniegu chyba też szerniały, tak biel staje się czernią na negatywie fotografii. Śnieg sypie teraz drobnymi kuleczkami, przechodzi w marznącą mżawkę. Szeleści między gałęziami, co brzmi jak szuranie i szepty ludzi w zatłoczonym pokoju, ludzi, którzy wiedzą, że muszą być cicho. To niewidzialne umrzyki wynurzają się z wody, gromadzą wokół mnie.

– Pssst! – mówią.



Leżę na plecach koło strumienia, patrzę w niebo. Nic już mnie nie boli. Na niebie świeci czerwona luna. Mostek wygląda inaczej: wzniósł się wyżej, jest masywniejszy, jak gdyby balustrada zniknęła albo wszystkie prześwity się wypełniły. Na dodatek cały się jarzy, skąpany w kałużach światła, zielonkawożółtego, niepodobnego do żadnych innych światła. Siadam, żeby lepiej widzieć. Ciało mam nieważkie, jakby zanurzone w wodzie.

Na mostku ktoś stoi, dostrzegam ciemną sylwetkę. Z początku myślę, że to Cordelia po mnie wróciła. Ale nie, to nie dziecko, to ktoś znacznie wyższy. Nie mogę dojrzeć twarzy, wyłącznie zarys postaci. Z tyłu płonie jedna z tych zielonkawożółtych kul, okala głowę świetlistymi promieniami.

Powinnam wstać i pójść do domu, ale łatwiej zostać tutaj, na śniegu, czuć na policzkach łagodną pieśczętę lodowych kuleczek. W dodatku strasznie chce mi się spać. Zamykam oczy.

Ktoś do mnie mówi. Słyszę głos, ale bardzo cichy, stłumiony. Nie jestem pewna, czy w ogóle cokolwiek słyszałam. Z trudem otwieram oczy. W tej samej chwili postać z mostku przekracza poręcz, a raczej ją przenika. To kobieta, teraz widzę długą suknię, a może płaszcz? Kobieta nie spada, idzie ku mnie, lecz przecież nie ma po czym iść. Brak mi sił, żeby się przestraszyć. Leżę w śniegu, przyglądam się ospale, z leniwym zaciekawieniem. Też bym chciała tak się przechadzać w powietrzu.

Teraz jest tuż-tuż. Dostrzegam białe odbicie twarzy, na głowie ciemny szal lub kaptur, a może to włosy? Kobieta wyciąga ręce, a mnie zalewa fala radości. Pod rozchylonym płaszczem coś błyska na czerwono. Serce, myślę. Z pewnością serce, na zewnątrz ciała, płonące jak neon, jak węgielek.

Później nie widzę już nic. Czuję tylko, jak kobieta mnie obejmuje, to nie tyle uścisk ramion, ile leciutki powiew cieplejszego powietrza. Coś do mnie mówi.

– Możesz już iść do domu. Wszystko będzie dobrze. Idź do domu.

Nie wypowiada tych słów na głos, ale tak właśnie mówi.

36

Światła na mostku pogasły. Brnę w ciemnościach po zboczach, dokoła szmerze marznącej deszcz. Czepiam się gałęzi i pni drzew, ślizgam po zbitym zlodowaciałym śniegu. Nic mnie nie boli, ani stopy, ani ręce. Zupełnie jakbym fruwała. Wciąż mi towarzyszy tamten lekki wiatr, ciepły dotyk na twarzy.

Wiem, kogo widziałam. Matkę Boską, bez wątpienia. Nawet kiedy się modliłam, nie byłam pewna, czy istnieje, teraz zyskałam tę pewność. Któż inny tak by chodził w powietrzu, czyje serce tak by świeciło?

Nie miała błękitnej szaty ani korony, to fakt, suknia wyglądała na czarną. Lecz było ciemno. Korony mogłam po prostu nie zauważyć. A zresztą Ona pewnie ma różne stroje, różne suknie. To bez znaczenia, liczy się jedno: że po mnie przyszła. Nie chciała, żebym zamarzła na śniegu. Nadal jest ze mną, niewidzialna, otula mnie ciepłem, nie dopuszcza bólu. Mimo wszystko usłyszała.

Dobrnęłam do głównej ścieżki. Światła domów się przybliżyły, są nad moją głową, po obu stronach. Oczy same mi się zamykają. Nie mogę nawet iść prosto. Ale stopy dalej kroczą naprzód, prawa, lewa.

Przede mną jest już ulica. Kiedy tam docieram, spostrzegam matkę, nadchodzi szybkim krokiem. Ma rozpięte palto, gołą głowę, śniegowce klapią, zasznurowane tylko do połowy. Na mój widok matka zaczyna biec. Stoję bez ruchu, przyglądam się pędzącej postaci w rozwianym palcie, w niezgrabnych butach, jak gdybym obserwowała kogoś obcego, kogoś, kto bierze udział w wyścigu. Już jest przy mnie, w świetle latarni widzę jej oczy, ogromne, błyszczące i wilgotne, ma włosy oprószone śniegiem. Nie ma rękawiczek. Chwyta mnie w ramiona i w tej samej chwili Matka Boska nagle znika. Znowu czuję przeraźliwe zimno i ból. Zaczynam gwałtownie dygotać.

– Wpadłam do wody – mówię. – Wyciągałam czapkę. – Głos brzmi ochryple, słowa bełkotliwie. Coś mi się stało z językiem.

Matka nie pyta, gdzie byłam ani dlaczego wracam tak późno. Pyta: – Gdzie twoje śniegowce? – W wąwozie, przysypane śniegiem. Zapomniałam o śniegowcach, o czapce także.

– Zleciała z mostku. – Muszę jak najprędzej wydukać to kłamstwo. Prawda o Cordelii wciąż jeszcze by mi nie przeszła przez usta.

Matka zdejmuje palto, otula mnie. Zaciska usta, twarz ma jednocześnie wystraszoną i zagniewaną. Tak samo wyglądała, kiedy zdarzyło nam się skaleczyć, dawno temu, na północy. Wsuwa mi rękę pod pachę, ciągnie mnie za sobą. Przy każdym kroku stopy przeszywa ból. Zastanawiam się, czy dostanę burę za to, że zeszłam do wąwozu.

W domu matka wyciąga mnie z przemoczonego, na wpół zamrożonego ubrania i pakuje do letniej kąpieli. Uważnie ogląda palce moich rąk i stóp, nos, płatki uszu.

– A Grace i Cordelia? – pyta. – Gdzie one były? Widziały, jak wpadłaś?

– Nie. Nie było ich.

Zdaję sobie sprawę, że i tak obdzwoni ich matki, ale się nie przejmuję, za bardzo jestem zmęczona.

– Jedna pani mi pomogła – wyjaśniam.

– Jaka pani?

Nie powiem, nie ma mowy. Gdybym wyjawiała, kto to naprawdę był, nikt by nie uwierzył.

– Taka jedna pani.

Mam szczęście, że nie dostałam odmrożeń, mówi matka. Wiem, co to odmrożenia: człowiekowi odpadają palce u rąk i nóg, to kara za pijaństwo. Matka poi mnie bawarką i układa z termoforem w łóżku, owija flanelową pościelą, na wierzch rzuca jeszcze dwa dodatkowe koce. Nadal się trzęsę. Tymczasem wrócił ojciec, słyszę w holu ciche, zatroskane głosy. Później ojciec wchodzi do pokoju i kładzie mi rękę na czole, i rozplywa się jak cień.

Śni mi się, że pędzę ulicą przed szkołą. Zrobiłam coś złego. Jest jesień, palą się liście. Ściga mnie zgraja ludzi. Krzyczą.

Niewidzialna ręka chwyta moją dłoń i podciąga w górę. Prowadzą tam schody, wbiegam po nich. Nikt inny ich nie widzi. Teraz stoję w powietrzu nad zadartymi głowami, poza ich zasięgiem. Ludzie wciąż krzyczą, lecz nic już nie słyszę. Usta otwierają się i zamykają w ciszy, podobne do pyszczków ryb.

Przez dwa dni nie chodzę do szkoły. Pierwszego leżę w łóżku, w gorączce, unoszę się niczym w szklistej, delikatnej jasności. Drugiego myślę o tym, co się wydarzyło. Pamiętam, jak Cordelia zrzuciła moją niebieską włóczkową czapkę z mostku, pamiętam, jak się zarwał lód, pamiętam także matkę nadbiegającą z ośnieżonymi włosami. Te trzy rzeczy rysują się wyraźnie, pomiędzy nimi jednak zalega mgła. Są tam umrzyki i kobieta w płaszczu, ale przypominają raczej senne zjawy. Teraz już nie jestem pewna, czy rzeczywiście spotkałam Matkę Boską. Wierzę w to, ale już tego nie wiem.

Dostaję kartkę „z najlepszymi życzeniami powrotu do zdrowia”, kartkę z fiołkami. To Carol wrzuciła ją do naszej skrzynki na listy. W weekend dzwoni Cordelia.

– Nie wiedziałyśmy, że wpadłaś do wody – mówi. – Przepraszam, że nie poczekałyśmy. Myślałyśmy, że idziesz zaraz za nami. – Słowa padają ostrożnie, precyzyjnie, są przeciwiczone, nie ma w nich skruchy.

Z pewnością opowiedziała jakąś bajeczkę, podobnie jak ja. Z pewnością zmuszono ją do przeprosin i każe mi później za to zapłacić. Jednakże nigdy dotąd mnie nie przeproszała. Przeprosiny, jakkolwiek fałszywe, sprawiają, że nie czuję się silniejsza, tylko słabsza. Nie wiem, co odpowiedzieć.

– W porządku – mamrocze w końcu. Chyba naprawdę w to wierzę.

Kiedy wracam do szkoły, Cordelia i Grace traktują mnie uprzejmie, lecz chłodno. Carol jest bez porównania bardziej wystraszona, a może zaciekawiona.

– Moja mama mówi, że o mało nie zamarzałaś na śmierć – szepcze, gdy stoimy parami, czekając na dzwonek. – Dostałam szczotkę do włosów. Oberwałam, słowo daję.

Śnieg topnieje na trawnikach. Znowu zaczęło się błoto, brudzi podłogi w szkole i w kuchni. Cordelia ostrożnie krąży wokół mnie. W drodze do domu przechwytyuję jej pełne namysłu spojrzenie.

Rozmawiamy ze sztuczną swobodą. Wstępujemy do sklepiku po laski lukrecji, kupuje Carol. Ruszamy dalej, cmoktając lukrecję, i wtedy Cordelia mówi: – Chyba trzeba ukarać Elaine za to, że naskarżyła, nie uważacie?

– Wcale nie naskarżyłam. – Już mnie nie ściska w żołądku, nie dławią mnie wstrzymywane łzy, jak to kiedyś by się stało po takim fałszywym oskarżeniu. Mój głos brzmi beznamiętnie, spokojnie, rzeczowo.

– Nie zaprzeczaj. Bo niby jakim cudem twoja matka zadzwoniła do naszych mam?

– No właśnie, jakim cudem? – wtóruje Grace.

– Nie wiem i mam to gdzieś. – Sama się sobie dziwię.

– Jaka bezczelna – syczy Cordelia. – Przestań się głupio szczyryć.

Wciąż jestem tchórzem, ciągle się boję, tu nic się nie zmieniło. Odwracam się jednak od nich i odchodzę. Zupełnie jakbym zrobiła krok w przepaść, wierząc, że powietrze mnie utrzyma. I owszem, utrzymuje. Zdaję sobie sprawę, że nie muszę słuchać rozkazów Cordelii, że na dobrą sprawę nigdy nie musiałam. Mogę robić, co chcę.

– Jak śmiesz tak nas zostawiać! – woła za mną Cordelia. – Wracaj natychmiast! – Teraz dostrzegam, co kryło się za tymi słowami. To imitacja, komedia. To udawanie kogoś znacznie starszego. To gra. Nigdy nie trzeba było niczego we mnie poprawiać. Gra zawsze była grą, a ja dałam się nabrać. Byłam głupia. Wściekam się nie tyle na nie, ile na samą siebie.

– Dziesięć stert talerzy – mówi Grace. Kiedyś bym się załamała. Teraz widzę, że to zwykła bzdura.

Maszeruję dalej. Jestem odważna, beztrocka. One nie są moimi najlepszymi przyjaciółkami, w ogóle nie są moimi przyjaciółkami. Nic nas nie łączy. Jestem wolna.

Idą krok w krok za mną, komentują, jak się poruszam, jak wyglądam od tyłu. Gdybym się obejrzała, zobaczyłabym, że mnie naśladują. – Ważniara! Ważniara! – krzyczą. W ich głosach brzmi nienawiść, lecz także pożądlivość. Jestem im potrzebna, ale sama już ich nie potrzebuję. Nic mnie nie obchodzą. Noszę w sobie coś twardego, krystalicznego, jądro ze szkła. Przecinam ulicę i idę dalej, pogryzając lukrecję.



Rzucam szkółkę niedzielną. Po lekcjach nie chcę się bawić z Grace ani z Cordelią, ani nawet z Carol. Już nie wracam do domu przez mostek, tylko okrężną drogą, obok cmentarza. Kiedy tamte przychodzą we trójkę pod tylne drzwi, mówię, że jestem zajęta. Próbują mnie zwabić miłymi słówkami, ale już się nie dają. W ich oczach dostrzegam zachłanność. Całkiem jakbym potrafiła je przejrzeć na wylot. Dlaczego przedtem tego nie umiałam?

Godzinami czytam komiksy w pokoju brata, kiedy Stephena tam nie ma. Chciałabym się wspinać

na wieżowce, fruwać w pelerynie, wypalać czubkami palców dziury w metalu, nosić maskę, przenikać wzrokiem ściany. Chciałabym bić ludzi, złoczyńców, tak aby każdy cios zaznaczał się żółtym lub czerwonym świetlnym rozbłyskiem. Łubudu! Trrrach! Bu-bum! Wiem, nie brakuje mi silnej woli, żeby tego wszystkiego dokonać. I pewnego dnia tak czy inaczej tego dokonam.

W szkole mam teraz nową przyjaciółkę, nazywa się Jill. Woli inne zabawy, zabawy papierem i drewnem. Chodzę do niej i gramy w „starą pannę”, w wojnę, w bierki. Grace, Cordelia i Carol snują się po obrzeżach mojego życia, kuszą, szydzą, z każdym dniem coraz bledsze, coraz mniej namacalne. Już prawie ich nie słyszę, bo prawie nie słucham.

VIII

PÓŁ TWARZY

37

Przez długi czas wstępowałam do kościołów. Rzekomo po to, by oglądać dzieła sztuki, nie wiedziałam, że czegoś szukam. Nie tropiłam kościołów z rozmysłem, nawet jeśli były w przewodniku i miały znaczenie historyczne, ani też nigdy tam nie zaglądałam podczas nabożeństwa, więcej: nie lubiłam nabożeństw. Interesowałam się nie tym, co w kościele się dzieje, tylko tym, co tam jest. Zazwyczaj trafiałam na taki kościół przypadkiem i wchodziłam powodowana impulsem.

W środku nie poświęcałam szczególnej uwagi architekturze, chociaż znałam odpowiednią terminologię: clerestoria, nawy – nieraz się o tym pisało na studiach. Podziwiałam witraże, jeśli akurat tam były. Wolałam kościoły katolickie od protestanckich, im bardziej zdobione, tym lepiej, ponieważ wówczas miałam więcej do oglądania. Podobała mi się bezwstydną fantazja; złocenia i barokowe rozbuchanie nigdy mnie nie odstręczały.

Czytałam inskrypcje na ścianach i te wyryte w posadzce – słabość bogatych anglikanów, którzy sądzili, że dając się tak uwiecznić, zdobędą więcej punktów u Pana Boga. Anglikanie również przepadali za wystrzępionymi sztandarami wojskowymi oraz innymi pomnikami, upamiętniającymi wojnę.

Przede wszystkim szukałam jednak posągów. Posągów świętych i męczenników na marach albo też posągów ludzi udających męczenników. Szukałam wszelkiego rodzaju wizerunków. Posągi Matki Boskiej zostawiałam na ostatek. Podchodziłam do nich z nadzieją, ale zawsze kończyło się rozczarowaniem. Żaden nie przedstawiał znajomej osoby. Ot, wystrojone lalki, w ckliwym błękitcie i bieli, pobożne i bez życia. W takich chwilach nie mogłam pojąć, czemu spodziewałam się ujrzeć coś innego.



Pierwszy raz pojechałam do Meksyku z Benem. To była zarazem nasza pierwsza wspólna podróż, pierwsze wspólne dni. Może to tylko przerywnik, myślałam. Nie miałam nawet pewności, czy znowu chcę z kimś się wiązać. Już przestałam wyznawać zasadę, że najlepszym lekarstwem na mężczyznę jest nowy mężczyzna, i brakowało mi tchu. Niemniej obecność kogoś tak nieskomplikowanego, tak łatwo dającego się zadowolić działała kojąco.

Pojechaliśmy tylko we dwoje na dwutygodniową wycieczkę, po części związaną z interesami Bena, jak się okazało. Sara została u swojej najbliższej przyjaciółki. Zaczęliśmy od Veracruz, zaliczając krewetki, hotele i karaluchy, później ruszyliśmy samochodem w góry na niekończące się poszukiwania miejsc malowniczych, a rzadko odwiedzanych.

Trafiliśmy do małego miasteczka nad jeziorem, stonowanego jak na Meksyk – kraj, który odsłania wszystkie swoje wnętrzności, krwisty niczym ciało wywrócone na lewą stronę. Może sprawiał to chłód, bliskość jeziora.

Podczas gdy Ben buszował po rynku, szukając, co by tu sfotografować, ja wstąpiłam do kościoła. Był nieduży, wyglądał biednie. W środku ani żywej duszy, pachniało wiekowym kamieniem, odwiecznym zaniedbaniem, stęchlizną. Wędrowałam bocznymi nawami, przyglądałam się stacjom Męki Pańskiej – brudnym olejnym bohomazom, koślawym, malowanym na jedno kopyto. Były okropne, ale i przepojone szczerością. Ktoś je traktował serio.

A potem spostrzegłam Matkę Boską. W pierwszej chwili Jej nie poznałam, bo zamiast tradycyjnych błękitów, bieli i złota była ubrana w czerń. Nie miała korony. Stała ze spuszczoną głową, z twarzą ukrytą w cieniu, wyciągając otwarte ręce. Wokół Jej stóp sterczały ogarki świec, czarną suknię pokrywał gęsty deseń – nie z gwiazd, jak najpierw mi się zdawało, lecz z rozmaitych przedmiotów: drobnych mosiężnych, blaszanych ramion, nóg, dłoni, owiec, osłów, kur, serc.

Zrozumiałam ich przeznaczenie. Była Madonną rzeczy utraconych, tą, która zwraca zguby. Tylko Ona jedna spośród wszystkich drewnianych, marmurowych czy gipsowych Madonn wydała mi się prawdziwa. Może do Niej warto by się pomodlić, warto by uklęknąć, zapalić świeczkę. Nie zrobiłam tego, ponieważ nie wiedziałam, o co się modlić. Co utraciłam, co mogłabym przyczepić do Jej sukni.

W jakiś czas później przyszedł Ben, odszukał mnie.

– Co się dzieje? – spytał. – Co tam robisz na podłodze? Żle się czujesz?

– Nie, to nic. Po prostu odpoczywam.

Od chłodu kamienia przemarzłam do kości, mięśnie mi zeszywniały, złapał mnie skurecz. Zapomniałam, jak się tam znalazłam.



Obie moje córki przechodziły taki etap, kiedy używały powiedzonka „No więc?”. W znaczeniu „No to co?”. Starsza miała wtedy jakieś dwanaście, trzynaście lat. Zakładały ręce i wlepiły wzrok we mnie, w koleżanki, w siebie nawzajem. „No więc?”.

– Przestańcie – prosiłam. – Bo zaraz zwariuję.

– No więc?

Cordelia robiła to samo, w tym samym wieku. Te same skrzyżowane ramiona, ta sama nieruchoma twarz, puste spojrzenie. Cordelio! Włóż rękawiczki, jest mróz. „No więc?”. Nie mogę przyjąć, muszę odrobić lekcje. „No więc?”.

Cordelio, myślę. Przez ciebie uwierzyłam, że jestem nikim.

„No więc?”

Na co już nie ma odpowiedzi.

38

Nadchodzi lato i przemija, potem jest jesień, potem zima i umiera król. Słyszę o tym w południowych wiadomościach. Wracam do szkoły zaśnieżoną ulicą, myśląc: król nie żyje. Teraz już raz na zawsze koniec ze wszystkim, co się zdarzyło za jego życia – z wojną, samolotami z jednym skrzydłem, błotem przed naszym domem, z mnóstwem rzeczy. Myślę o głowie króla, o tysiącach głów wybitych na monetach. Od dzisiaj to głowy martwego człowieka. Pieniądze trzeba będzie zmienić, znaczki pocztowe również. Króla zastąpi królowa. Dawna księżniczka Elżbieta. Pamiętam ją ze zdjęć, na których była znacznie młodsza. Pamiętam coś jeszcze, co się z nią wiąże, to jednak niewyraźne wspomnienie i z lekka niepokojące.

Cordelia i Grace przeskoczyły jedną klasę. Są teraz w ósmej, chociaż mają dopiero po jedenaście lat, a cała reszta dzieci z ósmej klasy to trzynastolatki. Carol Campbell i ja chodzimy dopiero do szóstej. Wszystkie uczymy się w nowej szkole, którą nareszcie zbudowano po naszej stronie wąwozu, dzięki czemu nie trzeba już rano jeździć autobusem, jeść lunchu w piwnicy ani wracać do domu przez rozklekotany mostek. Nowa szkoła to nowoczesny parterowy budynek z żółtej cegły podobny do urzędu pocztowego. Zamiast czarnych skrzypiących tablic wiszą tam gładkie zielone tablice, zdrowsze dla oczu, podłoga jest z pastelowych płytek, nie ze starych trzeszczących desek jak u Królowej Marii. Nie ma oddzielnych drzwi dla chłopców i dla dziewcząt, nie ma osobnych boisk. Nawet nauczycielki są inne: młodsze, swobodniejsze. Trafiają się również młodzi nauczyciele.



Zapomniałam o wielu rzeczach, zapomniałam, że o nich zapomniałam. Pamiętam poprzednią szkołę, ale niewyraźnie, jakbym ostatnio tam była nie pięć miesięcy, tylko pięć lat temu. Pamiętam szkółkę niedzielną, ale bez szczegółów. Niechętnie myślę o pani Smeath, zapomniałam jednak czemu. Zapomniałam o swoich omdleniach i o stertach talerzy, o tym, jak wpadłam do strumienia, jak ujrzałam Matkę Boską. Zapomniałam o wszystkim, co złe. Chociaż codziennie widuję Cordelię, Grace i Carol, nic nie pamiętam. Ledwie tyle, że kiedyś się przyjaźniłyśmy, kiedy byłam młodsza, zanim pozawierałam nowe przyjaźnie. Coś się wiąże z tą trójką, coś niby zdanie wydrukowane drobną czcionką na kartce, drętwe, suche jak daty starożytnych bitew. Trzy imiona przypominają imiona w przypisach albo te zapisane brązowymi misternymi literami na pierwszej stronie Biblii. Nie budzą żadnych uczuć. Są niczym imiona dalekich kuzynek, ludzi, którzy mieszkają na drugim końcu świata, ludzi, których prawie nie znam. Zgubił się kawałek czasu.

Nikt nie wspomina o zaginionym czasie z wyjątkiem mojej matki. Niekiedy mówi: – Tamte twoje złe dni. – Dziwię się. O co jej chodzi? Aluzje do „złych dni” brzmią trochę groźnie, trochę obraźliwie. Przecież nigdy nie miewam złych dni, mam same dobre. Proszę, oto ja, na zdjęciu szóstej klasy, uśmiechnięta od ucha do ucha. „Wesoła jak ostryga”, mawia matka. Jestem wesoła jak ostryga: osłonięta

twardą skorupą, zamknięta na glucho.



Rodzice mozolą się przy wykańczaniu domu. W piwnicy stopniowo powstają nowe pomieszczenia, przy huku młotka i zgrzytaniu piły, ilekroć ojciec ma wolną chwilę. Ciemnia, spiżarnia na słoiki, na galaretki i dżemy. Trawnik to już rzeczywiście trawnik. W ogrodzie rodzice posadzili brzoskwinie, gruszę, posiali grządkę szparagów, długie rzędy innych warzyw. Wokół mnóstwo kwiatów: tulipany i żonkile, irysy, peonie, goździki, chryzantemy, coś na każdą porę roku. Czasami muszę pomagać, zazwyczaj jednak przyglądam się obojętnie, jak matka i ojciec zgięci wpół babrzą się w błocie, kopią i pielą w spodniach upapranych gliną na kolanach. Przypominają dzieci w piaskownicy. Podobają mi się te kwiaty, ale wiem, że nigdy bym się tak nie wysilała, nie wkładała tyle trudu ani aż tak się nie brudziła tylko po to, by rosły.



Drewniany mostek nad wąwozem idzie do rozbiórki. Najwyższa pora, mówią wszyscy, zrobił się taki niebezpieczny. Zastąpi go mostek betonowy. Któregoś dnia tam zaglądam, stoję na brzegu wąwozu po naszej stronie, przypatruję się dziełu zniszczenia. Nad strumieniem leży stos zmurszałych desek. Pionowe słupy jeszcze stoją, podobne do pni martwych drzew, trzyma się także część poprzecznych belek, ale poręcze zniknęły. Czuję się nieswojo. Jakby tam w dole coś zostało pogrzebane, coś bezimiennego, niesłychanie istotnego, lub też jakby ktoś został na mostku, przypadkiem tam utknął zawieszony w powietrzu, nie mogąc zejść na ziemię. Oczywiście nikogo nie ma.



Cordelia i Grace kończą naszą szkołę, idą do średniej. Cordelia, jak wieść niesie, do Świętego Sebastiana, prywatnej szkoły dla dziewcząt, Grace do szkoły z rozszerzoną matematyką, nieco dalej na północ. Świetnie sobie radzi z dodawaniem tego czy tamtego w drobnych, schludnych rządkach. Wciąż jeszcze nosi długie warkocze. Carol na przerwach trzyma się blisko chłopców, nieraz dwóch, trzech za nią goni. Lubią ją przewracać w zasy i szorować po twarzy śniegiem albo też, jeśli śniegu akurat nie ma, związywać ją skakanką. Carol, uciekając, wymachuje, trzepie rękami. Porusza się jakoś dziwnie, cała się wije, biegnie dostatecznie wolno, żeby dać się złapać, a wtedy przeraźliwie wrzeszczy. Nosi stanik sportowy. Inne dziewczyny za Carol nie przepadają.

Na socjologię przygotowuję pracę o Tybecie, gdzie mają młynki modlitewne i reinkarnację, a kobiety po dwóch mężów, na biologię przegląd różnorodnych nasion. Mam chłopaka, bo tak wypada. Raz na jakiś czas przesyła mi liścik z sąsiedniego rzędu, nagryzmołony smoliście czarnym ołówkiem. Chodzimy na prywatki z niezdarnymi tańcami, wrzaskliwym śmiechem i małpimi figlami chłopców, z wilgotnymi, niewprawnymi pocałunkami cokolwiek niebezpiecznymi dla uzębienia. Mój chłopak wycina moje inicjały w blacie nowej ławki i dostaje za to baty. Dostaje także za inne sprawki. To budzi

powszechny szacunek. Widzę swój pierwszy telewizor, przypomina mały, czarno-biały teatrzyk kukielkowy, nieszczególnie porywający.

Carol Campbell się wyprowadza, czego prawie nie zauważam. Przeskakuję siódmą klasę i od razu przechodzę do ósmej, opuszczając królów Anglii w porządku chronologicznym, opuszczając układ krążenia, zostawiając chłopaka za sobą. Obcinam włosy. Chcę je obciąć. Znudziły mi się te długie fale, które trzeba przytrzymywać spinkami lub opaską, znudziło mi się być dzieckiem. Przyglądam się z zadowoleniem, gdy włosy opadają spod nożyczek jak mgła i wyłania się głowa, bardziej wyrazista, dokładniej zarysowana. Jestem gotowa stawić czoło szkole średniej, chciałabym tam pójść zaraz, już.

A tymczasem gruntownie porządkuję swój pokój. Wygarniam zabawki z szafy, opróżniam wszystkie szuflady komody. W jednej szufladzie z tyłu turla się samotna kulka – kocie oko i parę zeschniętych kasztanów. Znajduję także czerwoną plastikową torebkę, którą kiedyś, pamiętam, dostałam na Gwiazdkę. To dziecięca torebka. Kiedy ją podnoszę, grzechocze, w środku jest pięć centów. Wyjmuję pieniądze – coś sobie kupię – w zamian wkładam do torebki kulkę. Kasztany wyrzucam.

Znajduję album fotograficzny o czarnych stronach. Od dawna nie robiłam zdjęć, toteż gdzieś się zawieruszył. Wśród fotografii umocowanych czarnymi trójkątami trafiłam na kilka, których zupełnie sobie nie przypominam. Chociażby zdjęcia ogromnych głazów nad jeziorem, podpisane pod spodem białym ołówkiem, drukowanymi literami: CZARNULKA, KRASULA. Moje pismo, owszem, ale nie pamiętam, żebym to ja pisała.

Zanoszę wszystko do piwnicy i pakuję do kufra, gdzie trzymamy różne starocie, których się nie wyrzuca. Jest tam suknia ślubna matki, parę ozdobnych sreber, portrety w kolorze sepia przedstawiające nieznaną mi osoby, pudełko talii brydżowych z jedwabnymi chwościkami – pozostałości jeszcze sprzed wojny. Są tam również nasze stare rysunki: statki kosmiczne i czerwono-złote eksplozje Stephena, moje subtelne, staroświeckie dziewczynki. Ze wstrętem oglądam ich fartuszki i kokardy, szczątkowe ręce i twarze. Nie lubię rzeczy tak ściśle związanych z moim dzieciństwem. Co za bazgroły, myślę. Teraz stać mnie na znacznie więcej.

W przeddzień pierwszego dnia szkoły średniej dzwoni telefon. To mamunia Cordelii, chce rozmawiać z moją matką. Pewnie o jakichś nudziarstwach, jak to dorośli, uznają i wracam do czytania gazety na podłodze bawialni. Odłożywszy jednak słuchawkę, matka przychodzi do pokoju.

– Elaine. – Niezwykły początek, ponieważ rzadko zwraca się do mnie po imieniu. Głos ma poważny.

Odrywam się od czarnoksiężnika Mandragory, spoglądam w górę. Matka patrzy w dół.

– Dzwoniła mama Cordelii – mówi. – Cordelia będzie się uczyć w twoim gimnazjum. Jej mama

pytała, czy mogłybyście razem chodzić do szkoły.

– Cordelia? – Przez cały rok nie widziałam Cordelii ani nie zamieniłam z nią słowa. Zupełnie zniknęła. Wybrałam to gimnazjum, bo nie muszę się tłuc autobusem, mogę tam chodzić piechotą. Dlaczego więc nie miałabym chodzić razem z Cordelią?

– W porządku.

– Na pewno chcesz? – rzuca matka z lekkim niepokojem. Nie wyjaśnia, dlaczego Cordelia przeniosła się do mojej szkoły, a ja nie pytam.

– Czemu nie? – Wpadam już w nonszalancję, która przystoi gimnazjalistce, lecz zarazem naprawdę nie rozumiem, o co tyle zamieszania. Prosi się mnie, żebym wyświadczyła Cordelii czy też jej mamuni drobną przysługę. Matka na co dzień trzyma się zasady, że takich przysług nie należy odmawiać, dlaczego więc akurat teraz ma wątpliwości?

Nie odpowiada. Ociąga się. Wracam do komiksu.

– Więc jak, mam oddzwonić czy może wolisz sama pomówić z Cordelią?

– Ty zadzwoń. Proszę – dodaje. W tej chwili nie mam specjalnej ochoty na rozmowę z Cordelią.



Nazajutrz rano wstępuję po Cordelię, jej dom jest po drodze. Drzwi się otwierają i oto ona, ale zupełnie inna. Już nie jest kanciasta ani smukła, wyrosły jej piersi, zaokrągliła się w biodrach i na twarzy. Zapušciła włosy, już się nie czesze na pazia. Nosi koński ogon związany gumką z wianuszkami białych konwalii z materiału. W grzywce jeden utleniony kosmyk. Pomarańczowa szminka, paznokcie polakierowane też na pomarańczowo. Ja używam szminki blad różowej. Na widok Cordelii zdaję sobie sprawę, że wcale nie wyglądam jak nastolatka, wyglądam jak dzieciak, który się przebrał za nastolatkę. Wciąż jestem chuda, wciąż płaska jak deska. Ze wszystkich sił pragnę być starsza.

Idziemy razem do szkoły, z początku niewiele mówiąc, mijamy stację benzynową, zakład pogrzebowy, później długi na milę ciąg sklepów: dom towarowy Woolwortha, drogeria sieci I.D.A., warzywniak, sklep żelazny – stoją ściana w ścianę, jednopiętrowe, zbudowane z żółtej cegły, pokryte płaskimi dachami. Przyciskamy książki do piersi, szerokie bawełniane spódnice ocierają się o gołe nogi. Jest koniec lata, zieleń trawników zmatowiała, niektóre całkiem pożółkły, obumarły.

Zakładałam, że Cordelia będzie o klasę wyżej. Ale nie, teraz chodzimy do tej samej. Cordelię wyrzucili ze Świętego Sebastiana, ponieważ dorysowała nietoperzowi członek. A przynajmniej tak mówi. Na tablicy był wielki rysunek nietoperza z rozpostartymi skrzydłami i z tycim guzkiem pomiędzy nogami. Kiedy nauczyciel wyszedł z klasy, Cordelia starła, co trzeba, po czym zastąpiła większym, dłuższym guzem. – „No, znowu nie takim ogromnym” – a nauczyciel wrócił i ją na tym przyłapał.

– I to wszystko? – pytam.

Niezupełnie. Pod guzem wykaligrafowała „Malder”. Tak się nazywał nauczyciel.

Prawdopodobnie ma więcej na sumieniu, ale się nie zdradza. Po namyśle dodaje, że powtarzała rok.

– Byłam za młoda – mówi. Widocznie tak słyszała od innych, najpewniej od swojej matki. – Miałam tylko dwanaście lat. Niepotrzebnie mi pozwolili przeskoczyć klasę.

Teraz ma trzynaście. Ja mam dwanaście. Również przeskoczyłam klasę. Zaczynam się zastanawiać, czy skończę tak samo jak Cordelia, na dorysowywaniu członków nietoperzom, na powtarzaniu roku.

39

Nasze gimnazjum nazywa się Burnham, zbudowano je niedawno. To długi budynek z płaskim dachem, bez żadnych zdobień, bez znaków szczególnych, przypomina raczej fabrykę. Ostatni krzyk mody w nowoczesnej architekturze. W środku biegną długie korytarze z cętkowaną podłogą, która wygląda jak z granitu, ale to nie granit. Wzdłuż żółtawych ścian ciągną się ciemnozielone szafki, mamy też aulę i radiowęzeł.

Co rano przez radiowęzeł nadają ogłoszenia. Zaczyna się od wersetów z Biblii i od modlitwy. Pochylam głowę, lecz się nie modlę, nie wiem czemu. Później dyrektor zapowiada, co w najbliższym czasie będzie się działo w szkole, zwraca również uwagę, żebyśmy zbierali po sobie papierki od gumy do żucia i nie obściskiwali się na korytarzach jak stare małżeństwa. Dyrektor nazywa się MacLeod, ale wszyscy za plecami mówią na niego Kopuła, bo łysieje na czubku głowy. Jest Szkotem z dziada pradziada. Burnham ma własny tartan, własny herb z ostem i dwoma sztyletami, takimi jakie Szkoci noszą zatknięte za skarpety, a także własne motto po gaelicku. Tartan, herb, motto i barwy szkoły należą do rodzinnego klanu pana MacLeoda.

W holu od frontu, tuż obok królowej, wisi portret lady Flory MacLeod w asyście dwóch wnuków grających na kobzach, przedstawionej na tle zamku Dunvegan. Zachęca się nas, abyśmy uważali ten zamek za swoje rodzinne gniazdo, lady Florę natomiast za przywódczynię duchową. Na próbach chóru uczymy się *Pieśni o łodzi w Skye*, opowiada o tym, jak słodki książę Karolek umknął zbrodniczym Anglikom. Uczymy się *Szkoci, co mają...* i wiersza o myszy, przy którym tu i tam odzywają się chichoty, gdyż zawiera słowo „pierś”. Ponieważ nie znam żadnych innych szkół średnich, całą tę szkockość uznaję za rzecz normalną, typową. Nawet Ormianie, Grecy i Chińczycy po części tracą tutaj swoją odrębność, jak my wszyscy zanurzeni w tartanowych oparach.

Mało kogo tu znam, podobnie Cordelia. Kiedy kończyliśmy szkołę podstawową, w mojej klasie było tylko osiem osób, w klasie Cordelii cztery. A zatem to szkoła pełna obcych. Na dodatek ходzimy z Cordelią do równoległych klas, więc nie możemy się nawzajem wspierać.

Wszyscy w mojej klasie są wyżsi ode mnie. I nic dziwnego, bo są starsi. Dziewczeta co do jednej mają piersi. Pachną czymś ciepłym i suchym, to woń sennego, upalnego dnia. Skóra ich twarzy sprawia wrażenie oślizłej, powleczonej oleistym sokiem. Wystrzegam się tych dziewcząt, nie lubię szatni, gdzie trzeba się przebierać w niebieski bawełniany kostium gimnastyczny z bufiastymi majtasami, z imieniem wyhaftowanym na kieszonce. Tutaj wydają się sobie jeszcze chudsza niż zwykle, w lustrze dostrzegam

zebra sterczące pod obojczykami. Kiedy gramy w siatkówkę, koleżanki cwałują wokół mnie z łomotem, ich głosy brzmią przesadnie gromko, ochryple, ich świeżo nabyte kilogramy trzęsą się jak galareta. Przejornie trzymam się z dala, bo po prostu są większe, mogłyby mnie przewrócić. Lecz tak naprawdę żadnej się nie boję. W pewnym sensie nimi pogardzam, ponieważ tak bardzo przypominają Carol Campbell, piszczą i miotają się na wszystkie strony.

Wśród chłopców jest paru smarkaczy jeszcze przed mutacją, wielu jednak to już prawdziwe olbrzymy. Mają po piętnaście, prawie szesnaście lat. Noszą włosy długie po bokach, natłuszczone brylantyną i zaczesane do tyłu w kaczy kuper, golą się. Niektórzy wyglądają na takich, co muszą się golić całkiem często. Siedzą w ostatnich ławkach, tarasują przejście długimi nogami. Każdy co najmniej raz zawałił rok. Zrezygnowali i z nich też zrezygnowano, teraz odsiadują wyrok, czekając, aż będą mogli się wyswobodzić. Wprawdzie zaczepiają inne dziewczęta na korytarzu, cmokają, kręcą się w pobliżu ich szafek, ale na mnie nie zwracają najmniejszej uwagi. Ja jestem tylko dzieckiem.

Nie czuję się jednak młodsza od reszty klasy. Pod pewnymi względami czuję się starsza. W książce, z której korzystamy na lekcjach higieny, jeden rozdział traktuje o życiu emocjonalnym nastolatków. Jeśli wierzyć książce, powinnam dać się porwać huraganowi emocji, w jednej chwili się śmiać, w następnej płakać, wirować niczym na diabelskim młynie, jak to określają autorzy. Lecz ten opis całkiem do mnie nie pasuje. Jestem spokojna. Dziwactwa kolegów i koleżanek, żywcem wzięte z podręcznika, obserwuję z mieszaniną naukowej ciekawości i niemal matczynego pobłażania. Kiedy Cordelia mówi: – Boski jest, nie uważasz? – muszę się wysilić, żeby ją zrozumieć. Czasem rzeczywiście płaczę bez powodu, zgodnie ze schematem. Nie potrafię jednak uwierzyć we własny smutek, nie umiem go brać poważnie. Przyglądam się sobie w lustrze, zaintrygowana widokiem własnych łez.

W porze lunchu siedzę z Cordelią w stołówce, pastelowej, z długimi białymi stołami. Jemy kanapki, które cały ranek prażyły się w szafkach i teraz mają posmak tenisówek, popijamy przez słomki mleko czekoladowe, wymieniamy dowcipne, sarkastyczne – przynajmniej w naszym pojęciu – uwagi o innych dzieciakach ze szkoły, o nauczycielach. Cordelia chodziła już przez rok do szkoły średniej, zna ten styl. Kołnierzyk bluzki nosi postawiony na sztorc, sili się na drwiący śmiech. – Co za drętwa piguła – mówi. – Ależ z niego śmierdzieli. – Tych słów używa się tylko w odniesieniu do chłopców. Dziewczęta mogą być nudziarami, waźniarami lub tandeciarami, szarymi myszkami lub podrywaczkami. Mogą też być kujonami, frajerkami i podlizuchami, tak jak chłopcy, jeżeli za dużo się uczą. Ale nigdy nie bywają pigułami ani śmierdzielami. Podoba mi się słowo „piguła”. Kojarzy się z kuleczkami wełny na swetrze. Chłopcy-piguły mają właśnie takie swetry. Ja swoje zawsze obieram, pilnuję, żeby nie została ani jedna kuleczka.

Cordelia zbiera błyszczące fotosy aktorów i piosenkarzy. Zamawia je pocztą. Adresy fanklubów wyszukuje w czasopismach filmowych, które na ostatnich stronach reklamują koronkową bieliznę firmy Frederick z Hollywood i tabletki odchudzające o smaku czekoladowym. Przyczepia fotosy pineskami do korkowej tablicy nad biurkiem, przylepia przezroczystym plastrem na ścianach. Ilekroć jestem w pokoju Cordelii, mam wrażenie, jakby mnie obserwował tłum ludzi, śledził każdy mój ruch błyszczącymi, czarno-białymi oczami. Niektóre fotosy są podpisane. Oglądamy je pod lampą, sprawdzamy, czy papier się wgniótł pod naciskiem długopisu. Jeśli nie, to znaczy, że autografy zostały po prostu nadrukowane. Cordelia lubi June Allyson, lubi też Franka Sinatrę i Betty Hutton. Najbardziej seksowny jest Burt Lancaster, twierdzi.

Wracając ze szkoły, wstępujemy do sklepu muzycznego i w ciasnej, wyłożonej korkiem kabinie przesłuchujemy płyty szelakowe. Czasami Cordelia kupuje jakąś płytę za pieniądze z kieszonkowego, większego niż moje, lecz na ogół tylko słucha. Oczekuje, że będę przewracać oczami w ekstazie, tak jak ona. Oczekuje jęków i pomruków. Zna stosowne rytuały, wie, jak powinnyśmy się zachowywać, teraz,

w szkole średniej. Dla mnie jednak to teren obcy, wietrzę tutaj fałsz. Robię, co trzeba, ale z uczuciem, że odgrywam jakąś rolę.

Zanosimy płyty do domu Cordelii i kładziemy na adapterze w salonie, nastawiamy jak najgłośniej. Zjawia się Frank Sinatra, bezcielesny głos, ślizga się po melodii niby po ubłoconym chodniku. Chwyta jedną nutę, wygrywa, przechodzi do następnej.

– Cudowny jest, prawda? – wzdycha Cordelia. Pada na kanapę, przerzuca nogi przez poręcz, głowę zwiesza w dół. Je pączka posypanego cukrem pudrem, oprószyła sobie nos. – Zupełnie jakby tu był, jakby mi jeździł ręką w górę i w dół po kręgosłupie.

– Taaa – zgadzam się.

Wchodzą Perdie i Mirrie. Perdie mówi: – Co, znowu maślane oczy? Znowu on? – a Mirrie: – Cordelio, kochanie, mogłabyś troszkę przyciszyć? – Ostatnio zwraca się do Cordelii wyjątkowo miłym tonem, ciągle się słyszy „kochanie”.

Perdie teraz studiuje na uniwersytecie. Chodzi na studenckie prywatki. Mirrie jest w ostatniej klasie gimnazjum, ale nie naszego. Obie są jeszcze piękniejsze, jeszcze bardziej czarujące i wyrafinowane. Noszą kaszmirowe swetry i kolczyki-perelki, palą papierosy. Nazywają je „papieruski”. Na jajka mówią „jojki”, na śniadanie „śniadko”. Kobiety w ciąży to „ciążarówki”. Matkę nadal nazywają mamunią. Siedzą paląc papierosy, rozmawiają niedbale, z pogodną, nieco pogardliwą ironią o znajomych, którzy noszą imiona takie jak Miokie, Bobbie, Poochie, Robin. Trudno się zorientować, czy to imiona dziewcząt, czy chłopców.

– Dostatecznie się nawchłaniałaś? – pyta Perdie Cordelię. To najnowsze powiedzonko. Oznacza: czy się najadłaś? – Miały być na kolację. – Chodzi o pączki.

– Mnóstwo zostało – rzuca Cordelia. Wciąż wisi głową w dół, wyciera nos.

– Cordelio – ciągnie Perdie. – Nie podnoś tak kołnierzyka. To strasznie tandetne.

– Nieprawda – burczy Cordelia. – To szałowe.

– Szałowe. – Perdie przewraca oczami, wydmuchuje dym nosem. Usta ma drobne, pulchne, o wygiętych kącikach. – Co to, reklamujesz balsam do włosów?

Cordelia siada prosto, wtyka język w kącik ust, patrzy na siostrę.

– No więc? – odzywa się w końcu. – Co ty tam wiesz? Ty już masz z górki.

Perdie, która jest wystarczająco dorosła, żeby z innymi dorosłymi pić w domu koktajle przed kolacją, chociaż nie wolno jej tego robić w barach, krzywi się.

– Szkoła średnia wyraźnie jej szkodzi – mówi do Mirrie. – Siostrzyczka zmienia nam się w twardziela. – Drwiąco przeciąga ostatnie słowo, daje do zrozumienia, że sama już wyrosła z takich epitetów. – Weź się w garść, Cordelio, bo znowu zavalisz rok. Wiesz, co tata powiedział ostatnim razem.

Cordelia się czerwieni i nie umie się odgryźć.

Cordelia zaczyna ściągać różne rzeczy ze sklepów. Nie nazywa tego kradzieżą, nazywa ściągnięciem. U Woolwortha ściąga szminki, w drogerii paczuski lukrecyjnych dropsów. Wchodzi do sklepu, kupuje jakiś drobiazg, na przykład spinki do włosów, a kiedy sprzedawczyni się odwraca do kasy, żeby wydać resztę, zgarnia coś z lady i chowa za pazuchą albo do kieszeni. Tymczasem nastąpiła jesień, nosimy długie płaszcze klapiące o łydki, z workowatymi, ogromnymi nakładanymi kieszeniami, dobrymi do ściągnięcia. Na ulicy Cordelia pokazuje mi łup. Najwyraźniej nie widzi w tych swoich wyczynach nic złego, śmieje się uszczęśliwiona, oczy jej błyszczą, ma zarumienione policzki. Zupełnie jakby coś wygrała.

U Woolwortha są stare drewniane podłogi, poplamione zimowym błockiem wnoszonym tu na butach latami, i przyćmione lampy, które zwisają z sufitu na metalowych prętach. W gruncie rzeczy nic nas tutaj nie kusi, może z wyjątkiem szminek. Mają tu ramki do fotografii z dziwacznie zabarwionymi fotosami gwiazd filmowych, żeby klienci mogli się przekonać, jak taka ramka wygląda razem ze zdjęciem. Gwiazdy filmowe to na przykład Ramón Novarro albo Linda Darnell, gwiazdy z zamierzchłej epoki sprzed parunastu lat. Mają tu tandetne kapelusze z woalką, model dla staruszek, i grzebyki do włosów wysadzane szkiełkami, które imitują brylanty. U Woolwortha niemal wszystko jest taką czy inną imitacją. Chodzimy od stoiska do stoiska, spryskujemy się próbkami wody kolońskiej, mažemy szminką po wierzchu dłoni, obmacujemy towar i wymieniamy głośnie, lekceważące uwagi. Podstarzałe ekspedientki piorunują nas wzrokiem.

Cordelia ściąga różowy nylonowy szalik. Obawia się, że jedna ze skwaszonych ekspedientek ją widziała, więc przez jakiś czas tam się nie pokazujemy. Idziemy do drogerii, kupujemy śmietankowe lizaki. Ja płacę, a tymczasem Cordelia ściąga dwa komiksy grozy. Przez resztę drogi do domu czytamy je na głos, raz jedna, raz druga, wczuwając się w rolę niczym aktorzy ze słuchowisk, wyjąc ze śmiechu. Przysiadamy na niskim kamiennym murku przed zakładem pogrzebowym, żeby móc razem oglądać obrazki, czytamy dalej, zaśmiewamy się.

Rysunki w komiksach są bardzo szczegółowe, w przeraźliwych kolorach – przeważnie w zielonym, fioletowym i siarkowożółtym. Cordelia czyta historię o dwóch siostrach, jednej ładnej, drugiej z poparzoną połową twarzy. Blizna po oparzeniu jest brunatna, pomarszczona jak zeschnięte jabłko. Ładna siostra ma chłopaka i chodzi z nim na tańce, poparzona jej nienawidzi, a chłopaka kocha. Z zazdrości popełnia samobójstwo: wieszka się przed lustrem. Jej duch przenika w lustro i kiedy ładna siostra później się przed nim czesze, nagle z lustra wyłania się ta druga twarz. Szok, ładna mdleje, a poparzona wychodzi z lustra i wślizguje się w jej ciało. Posługując się ciałem siostry, nabiera chłopaka, wyłudza nawet pocałunek, lecz chociaż twarz ma teraz bez skazy, w lustrze wciąż się odbija jej prawdziwy, oszpecony wizerunek. Chłopak to spostrzega. Na szczęście wie, co trzeba zrobić. Rozbija lustro.

– Chlip, chlip – mówi Cordelia. – Och, Bob... to było... koszarne. Spokojnie, najdroższa, już po wszystkim. Ona wróciła... tam skąd przysła... na zawsze. Teraz naprawdę możemy być razem, bez lęku. Kropka. Koniec. Ale dno!

Ja czytam historię o mężczyźnie i kobiecie, którzy utopili się w morzu, lecz jak się przekonują, nie całkiem umarli. Potwornie grubi, rozdęci, mieszkają na bezludnej wyspie. Już się nie kochają, właśnie dlatego że tak się roztyli. Przepływa statek, zaczynają wymachiwać rękami.

– Nie widzą nas! Płyną prosto przez nas! Och, nie... to znaczy... że tacy będziemy już zawsze! Czyż nie ma ratunku?

Na następnym obrazku obydwójce się powiesili. Tłuste ciała dyndają na palmie, a te poprzednie, smukłe, odziane w strzępy kostiumów kąpielowych, trzymają się za ręce i wchodzą do oceanu.

– Kropka. Koniec.

– Dno i po kolana mułu – mówi Cordelia.

Czyta historię o nieboszczyku, który wraca z bagien, cały mokry i gnijący, żeby udusić brata, bo to brat go wepchnął w trzęsawisko. Ja czytam o tym, jak pewien mężczyzna zabiera autostopowiczkę, młodą i piękną, tyle że martwą od dziesięciu lat. Cordelia czyta o człowieku, którego przeklął murzyński czarownik i któremu na jednej ręce wyrastają ogromne czerwone szczypce homara, po czym zaczynają go atakować.

Kiedy stajemy przed domem Cordelii, ta nie chce zabrać do siebie komiksów. Ktoś je może znaleźć, mówi, i zastanawiać się, skąd je wzięła. Nawet jeśli wyjdzie na to, że je kupiła, i tak będzie awantura. W końcu więc to ja biorę komiksy. Żadnej z nas jakoś nie przychodzi do głowy, żeby je wyrzucić.

W domu zdaję sobie sprawę, że nie mam najmniejszej ochoty spędzić nocy z tymi horrorami tuż obok. Co innego śmiać się z komiksów w dzień, a co innego spać z nimi w tym samym pokoju. Już widzę, jak płoną w ciemności niesamowitym siarkowożółtym światłem, widzę faliste smugi mgły, wydobywają się spomiędzy kartek i materializują nad komodą. Boję się, bo może się okazać, że w moim ciele jest uwięziony ktoś inny. Spojrzę do lustra w łazience i zobaczę obcą dziewczynę, kogoś, kto wygląda jak ja, ale połowę twarzy ma szerniąłą, wypaloną skórę.

Nic takiego się nie zdarzy, wiem o tym, lecz mimo wszystko czuję się niewyraźnie. Wolę nie wyrzucać komiksów: tym sposobem bym je uwolniła, mogłyby całkiem się wymknąć spod kontroli. Zanoszę je do pokoju Stephena i wsuwam pomiędzy stare komiksy – wciąż tutaj są, leżą pod łóżkiem. Stephen już nie czytuje komiksów, więc nie znajdzie dwóch nowych. Cokolwiek z nich wyjdzie w nocy, nie zrobi mu to krzywdy. Mój brat zawsze potrafił dać sobie radę, również z takimi rzeczami.

40

Jest niedzielny wieczór. W kominku trzaska ogień. Zaciągnięte story odgradzają nas od gęstych listopadowych ciemności. Ojciec siedzi w fotelu, poprawia rysunki strzygoni choinówek – w przekroju, tak aby pokazać układ trawienny – matka przygotowała podsmażane kostki sera z bekonem. Słuchamy radia, nadają *Show Jacka Benny'ego* przerywany śpiewanymi reklamami lucky strike'ów. W tej audycji jeden mężczyzna strasznie chrypi, drugi mówi: „Pikle na winklu i musztardowy sos”. Nawet się nie domyślam, że pierwszy to Murzyn, a drugi Żyd, dla mnie po prostu obaj mają śmieszne głosy.

Nasze stare radio z zielonym okiem zniknęło, na jego miejscu pojawiło się nowe, w gładkiej, prostej obudowie z jasnego drewna, w której mieści się także adapter. Talerze z kostkami sera stoją na

niskich drewnianych stolikach z kompletu „szufladkowego”. Stoliki również są jasne, mają nogi szerokie na górze i zwężające się ku dołowi, bez żadnych wybrzuszeń ani ozdóbek – takie nie zbierają kurzu. Przypominają nogi grubych kobiet z komiksów: bez kolan i bez kostek. Całe to jasne drewno pochodzi ze Skandynawii. Nasze sztuce wylądowały w kufrze. Mamy teraz nowe, już nie ze srebra, tylko ze stali nierdzewnej.

Tych przedmiotów nie wybierała matka. Wybierał je ojciec. Podobnie to on wyszukuje dla niej wszystkie eleganckie sukienki. Matka ze śmiechem mawia, że całe jej poczucie smaku ogranicza się do ust. Jeśli o nią chodzi, krzesło służy do siedzenia i wszystko jedno, czy jest w różowe petunie, czy w fioletowe kropki, byle tylko się nie rozleciało. Można by pomyśleć, że matka tak jak kot nie widzi czegoś, co się nie rusza. Coraz mniej się przejmuje modą, wkłada to, co jej akurat wpadnie w ręce: kurtkę narciarską, stary szalik, rękawiczki nie do pary. Nieważne, jak wyglądają, ważne, żeby nie przepuszczały wiatru, mówi.

Co gorsza, zapisała się na lekcje jazdy figurowej. Chodzi na kryte lodowisko w sąsiedztwie, gdzie przy blaszanych dźwiękach muzyki tańczy walce i tanga, trzymając się za ręce z innymi kobietami. Wstyd i hańba – ale przynajmniej robi to pod dachem, a nie na widoku. Mam tylko nadzieję, że później, kiedy przyjdzie prawdziwa zima, nie przeniesie się na otwarte lodowisko, gdzie mógłby ją zobaczyć ktoś z moich znajomych. Matka nie zdaje sobie sprawy, jak by mnie pognębiła. Nigdy nie mówi: „Co ludzie pomyślą?”, inaczej niż pozostałe matki, w każdym razie inaczej niż przeciętna matka. Mówi, że sobie na to gwizdże.

Jest nieodpowiedzialna, uznaję. A jednocześnie takie podejście mnie cieszy. Owo „gwizdź sobie” sprawia, że matka przestaje być matką, staje się czymś w rodzaju świstaka mutanta. Ja sama zaczęłam dbać o stroje, oglądam się od tyłu, posługując się ręcznym lusterkiem. Chociaż z przodu wszystko jest jak należy, za plecami może się czaić zdrada: dyndająca nitka, odpruta listwa. „Gwizdź sobie” byłoby luksusem. Wyraża subtelną nonszalancję, którą ja też chciałabym kultywować i w tej, i w innych sprawach.



Mój brat siedzi na jasnym krześle o stożkowatych nogach, z tego samego kompletu co stoliki. Urósł, wydorósł, całkiem nagle, kiedy akurat nie patrzyłam. Teraz używa brzytwy. Ponieważ jest weekend i się nie ogolił, wokół ust jeży mu się delikatna szczecinka. Włożył mokasyny, stare, domowe, z dziurami pod wielkim palcem, i brunatny sweter w serek przetarty na łokciach. Opiera się wszelkim wysiłkom matki, by pocerować sweter albo zastąpić go nowym. Matka na ubranie też sobie gwizdże, lecz jak nieraz powtarza, ta obojętność nie obejmuje dziur, wystrzępionych brzegów i brudu.

Podarty sweter i dziurawe jak sito mokasyny to strój do nauki. W szkole Stephen musi chodzić w marynarce, krawacie i szarych flanelowych spodniach, bo takie tam obowiązują przepisy. Nie wolno mu się czesać w kaczy kuper ani nawet na jeża. Nosi włosy podgolone na karku, z przedziałkiem z boku, w stylu angielskich chłopaczków z chóru kościelnego. Tego również wymagają w szkole. Z taką fryzurą Stephen wygląda jak wyjęty z ilustracji książki przygodowej z lat dwudziestych albo i jeszcze starszej – mnóstwo ich mamy w piwnicy – lub też jak oficer alianckiego lotnictwa z komiksu. Ma dokładnie taki nos i taką samą brodę, chociaż jego są nieco szczuplejsze: wyraziste, ładne, staroświeckie. Oczy też ma jak z obrazka, błękitne i przenikliwe, trochę fanatyczne. Chłopców, którzy się przejmują własnym wyglądem, traktuje z morderczą pogardą. „Picerskie lalusie”, tak ich nazywa.

Uczy się w prywatnej szkole dla chłopców mózgowców. Nie jest droga, o przyjęciu decydują supertrudne egzaminy. Rodzice z niejaką obawą pytali, czy też chciałabym pójść do szkoły prywatnej, takiej dla dziewcząt. Sądziли, że jeśli się nie zdobędą na wysiłek również wobec mnie, poczuje się pominięta. Słyszałam o tych szkołach, pewnie. Trzeba tam nosić szkockie spódniczki i grać w hokeja na trawie. To dobre dla snobów, a w dodatku mają niski poziom, oświadczyłam, zresztą zgodnie z prawdą. Cała prawda natomiast wyglądała tak, że chyba bym wolała umrzeć, niż utknąć w takim miejscu. Na samą myśl wpadam w klaustrofobiczne przerażenie. Szkoła pełna dziewcząt i tylko dziewcząt to jak pułapka.

Mój brat także słucha Jacka Benny'ego. Lewą ręką pakuje do ust kostki sera, w prawej trzyma ołówek i ani na chwilę nie przestaje się ruszać. Stephen prawie nie patrzy na notatnik, w którym akurat gryzmoli, tylko od czasu do czasu wyrывa i gniecie kolejną kartkę. Zmięte kule lądują na podłodze. Kiedy je zbieram po audycji, żeby wyrzucić do kosza, widzę długie rzędy cyfr i symboli. Biegają nieprzerwanie niczym pismo, niczym zaszyfrowany list.

Stephen czasami zaprasza kolegów. Siedzą u niego w pokoju przy szachach, bez ruchu, jeśli nie liczyć rąk, które się unoszą, przez moment wiszą nad szachownicą, opadają w dół. Chłopcy coś burczą pod nosem, mówią: – Aha – lub też: – Przepadłeś. Trafiony, zatopiony. – Wymieniają nowe, tajemnicze, dobrodusze obelgi: – Ty niewymierny! Ty pierwiastku kwadratowy! Ty jaskiniowcu! – Zdobyte figury, skoczki, pionki i gońce, stoją rzędem na skraju szachownicy. Od czasu do czasu, chcąc rzucić okiem na grę, zanoszę do pokoju mleko i waniliowo-czekoladowe obwarzanki, które piekę według przepisów z *Obrazkowej książki kucharskiej Betty Crocker*. To z mojej strony forma popisów, lecz nie dają one większych efektów. Chłopcy mruczą, lewą ręką podnoszą do ust kubki z mlekiem i zgarniają ciasteczka, nie odrywając oczu od szachownicy. Przewracają się gońce, pada hetman, król jest obłożony.

– Mat w dwóch ruchach. – Palec nurkuje w dół, wywraca króla. – Do pięciu razy sztuka. – I wszystko się zaczyna od nowa.

Wieczorami mój brat się uczy. Nierządkiem w dość oryginalny sposób. Staje na głowie, żeby poprawić ukrwienie mózgu, albo pstryka w sufit przezutymi kulkami papieru. Otaczają pierścieniem lampę, podobne do pryszczki. Kiedy indziej Stephen dostaje szaleńczych napadów aktywności: rąbie olbrzymie sterty drewna na opał, o wiele więcej, niż potrzeba, bądź też biega po wąwozie ubrany w obrzydliwe workowate spodnie, w ciemnozielony sweter jeszcze bardziej obszarpany niż tamten brunatny, w postrzępione, wyszarzałe trampki, takie jakie się walają na pustych działkach. Mówi, że trenuje do maratonu.

Na ogół wcale mnie nie dostrzega. Myśli o czymś innym, o poważnych, istotnych sprawach. Siedząc przy obiedzie, porusza prawą ręką, lepi kulki z chleba, wpatruje się w ścianę za głową matki, tam gdzie wisi obraz – trzy puchate kule mleczka w wazonie – a tymczasem ojciec wyjaśnia, dlaczego ludzkość czeka nieuchronna zagłada. Tym razem z powodu odkrycia insuliny. Cukrzycy nie umierają tak jak dawniej, żyją dostatecznie długo, żeby przekazać chorobę potomstwu. Wkrótce, zgodnie z prawem postępu geometrycznego, wszyscy będziemy cukrzykami, a ponieważ insulinę otrzymuje się z krowich żołądków, krowy zapełnią cały świat z wyjątkiem obszarów już zapełnionych ludźmi, którzy zresztą rozmnażają się stanowczo zbyt prędko, co nie jest dla nich dobre. Krowy, bekając, wydzielają metan. Już i tak zbyt wiele metanu przedostaje się do atmosfery, niedługo całkiem wyprze tlen, przez co ziemia może się stać jedną wielką cieplarnią. Łódź na biegunach stopnieje. Nowy Jork znajdzie się sześć stóp pod wodą, podobnie mnóstwo innych miast na wybrzeżu. Kolejna kwestia to pustynie i erozja. Jeżeli nas krowy nie zabekają na śmierć, skończymy w warunkach Sahary, mówi ojciec wesoło, dojadając swój kotlet.

Nie ma nic przeciwko cukrzykom ani krowom. Po prostu lubi rozwijać myśl aż do logicznego wniosku. Matka mówi, że na deser jest suflet kawowy.

Kiedyś Stephen bardziej by się interesował losem ludzkości. Teraz oznajmia, że gdyby Słońce zmieniło się w supernową, tobyśmy ją zobaczyli dopiero po ośmiu minutach. Przyjmuje dalekosiężny punkt widzenia. Prędej czy później i tak spalimy się na popiół, więc kto by się martwił tymi paroma krowami? Chociaż nadal uzupełnia spis motyli, coraz bardziej się oddala od biologii. W szerszej perspektywie jesteśmy zaledwie małą zieloną krostką, twierdzi mój brat.

Ojciec je suflet, lekko marszczy czoło. Matka taktownie nalewa mu herbaty. Najwyraźniej przyszłość ludzkości to pole bitwy, Stephen zdobył punkt, ojciec stracił. Kto bardziej się przejmuje, ten przegrywa.

Dziś wiem o ojcu więcej niż kiedyś. Wiem, że podczas wojny chciał być pilotem, ale nie mógł, ponieważ jego pracę uznano za niezbędną dla wysiłku wojennego. Jeszcze nie odkryłam, jaki to niezbędny wkład w wysiłek wojenny wносиły strzygonie choinówki, lecz widać jakiś wносиły. Może dlatego ojciec zawsze jeździ pełnym gazem, może się rozpęda do startu.

Wiem, że dorastał na farmie w lasach Nowej Szkocji, bez bieżącej wody ani elektryczności. Dlatego ma taki dryg do stolarki: tam każdy umiał się posługiwać siekierą i piłą. Szkołę średnią ojciec ukończył na kursach korespondencyjnych, siedząc za kuchennym stołem, ucząc się przy lampie naftowej. Na studia zarabiał jako drwal, czyścił też klatki dla królików. Tak mu doskwierała bieda, że latem mieszkał w namiocie, byle zaoszczędzić trochę grosza. Grał na skrzypcach na wiejskich zabawach, pierwszą orkiestrę usłyszał dopiero w wieku dwudziestu dwóch lat. Wszystko to sprawy znane, lecz niewyobrażalne. Zresztą wolałabym tego nie wiedzieć. Wolałabym, żeby ojciec był po prostu moim ojcem, tak jak był nim zawsze, a nie postacią z wcześniejszym, własnym, mitologicznym życiem. Zbyt dużo wiedząc o innych, poddajemy się ich wpływowi, zdobywają do nas prawo, musimy zrozumieć ich racje i wówczas stajemy się słabsi.

Obojętnie wobec losu ludzkości, zaczynam w duchu obliczać, ile jeszcze muszę odłożyć na nowy sweter z jagnięcej wełny. Na lekcjach gospodarstwa domowego, które w sumie sprowadzają się do gotowania i krawiectwa, nauczyłam się wszywać suwak i robić kryte szwy. Teraz sporo szyję sama, bo tak wychodzi taniej, jakkolwiek efekt końcowy nie zawsze zgadza się z obrazkiem na wykroju. W sprawach garderoby matka niewiele mi pomaga. Ślicznie wyglądasz, słyszę, cokolwiek włożę, byleby nie miało widocznych dziur.

Zwracam się po radę do pani Finestein. Dorabiam u niej w weekendy jako opiekunka do dziecka.

– Twój kolor to błękit, kotku – mówi. – Po prostu marzenie! I bordo. W bordo wyglądałabyś bosko.

Później wychodzi z panem Finesteinem na wieczór, ma rozwichrzone włosy, usta pełne uśmiechów, stuka pantofelkami na wysokich obcasach, podzwania bransoletkami i złotymi wiszącymi kolczykami, a ja czytam Brianowi *Dzielną małą ciuchcię* i kładę go spać.

Czasem jeszcze spotykamy się ze Stephenem przy zmywaniu naczyń i wtedy sobie przypomina, że jest moim bratem. Ja myję, on wyciera, zadaje przy tym dobrotliwe, ojcowskie, potwornie irytujące pytania, na przykład to, jak mi się żyje w dziewiątej klasie. Sam jest w jedenastej, całe lata świetlne ode mnie, nie musi mi tego jeszcze wypominać.

Lecz zdarzają się i takie sesje nad zlewem, gdy Stephen z powrotem staje się sobą, w każdym razie ja tak uważam. Opowiada o przewiskach nauczycieli ze swojej szkoły, wszystkich równie paskudnych, jak Pacha albo Ludzki Stolec. Kiedy indziej wspólnie wymyślamy nowe przekleństwa, nieokreślone sprośności.

– Prąk – rzuca Stephen. Ja się rewanzuję słówkiem „ligzi”, to czasownik, dodaję.

Opieramy się o blat, zwijamy ze śmiechu, póki do kuchni nie zajrzy matka, nie spyta:

– Co wy tu, dzieciaki, kombinujecie?

Czasami Stephen uznaje, że ma obowiązek mnie podszkolić. Chyba nisko sobie ceni większość dziewcząt i nie chce, żebym wyrosła na typowy okaz gatunku. Nie chce, żebym była rozdziawą o ptasim mózdzku. Jego zdaniem popadam w próżność. Rano wystaje pod drzwiami łazienki, zagaduje, czy dam radę wreszcie się odkleić od lustra.

Powinnam rozwijać umysł, twierdzi. W tym celu sporządza dla mnie wstęgę Möbiusa – ucina długi pasek papieru, skręca raz, po czym skleja końce. Wstęga Möbiusa ma tylko jedną stronę, co można udowodnić, przesuwając palcem po powierzchni. To sposób na zobrazowanie nieskończoności, wyjaśnia Stephen. Później rysuje butelkę Kleina: nie ma ani części zewnętrznej, ani wewnętrznej, czy raczej obie części są jednym i tym samym. Butelka Kleina sprawia mi więcej kłopotów niż wstęga Möbiusa, pewno dlatego że to właśnie butelka, a nie da jej się napełnić. Niby po co komu taka butelka?

Stephen mówi, że interesują go zagadnienia dwuwymiarowego wszechświata. Chce, żebym sobie wyobraziła, jak by wyglądał wszechświat trójwymiarowy w oczach kogoś, kto jest całkiem płaski. Gdybyśmy stali w dwuwymiarowym wszechświecie, byłibyśmy widoczni tylko w punkcie przecięcia, tylko pod postacią pary owali, pary dwuwymiarowych przekrojów naszych własnych stóp. Istnieją także wszechświaty pięciowymiarowe, siedmiowymiarowe.

Bardzo się staram, próbuję je sobie przedstawić, ale nie udaje mi się wyjść poza trzy wymiary.

– Dlaczego trzy? – pyta Stephen. To jego ulubiona metoda, zadawanie pytań, na które zna odpowiedzi lub zna inne odpowiedzi.

– Bo tyle ich jest.

– Raczej tyle postrzegamy. Ogranicza nas własny aparat zmysłowy. Pomyśl, jak mucha widzi świat.

Wiem jak. Nieraz oglądałam oczy muchy pod mikroskopem.

– Wycinkami. Ale i tak każdy wycinek ma tylko trzy wymiary.

– Punkt dla ciebie – przyznaje Stephen, a ja czuję się jak ktoś dorosły, wart tej rozmowy. – Tyle

że tak naprawdę postrzegamy cztery.

– Cztery?

– Czas to też wymiar. Nie można oddzielić czasu od przestrzeni. Żyjemy w czasoprzestrzeni.

Nie ma czegoś takiego jak przedmioty oderwane, mówi Stephen, przedmioty, które pozostają niezmiennie, wyłączone spod upływu czasu. Czasoprzestrzeń, mówi, jest zakrzywiona i w tej zakrzywionej czasoprzestrzeni najkrótszy odcinek pomiędzy dwoma punktami nie przebiega po linii prostej, tylko wzdłuż krzywizny. Czas może się rozciągać albo kurczyć, w niektórych miejscach płynie prędzej niż w innych. Gdyby jednego bliźniaka wsadzić na tydzień do superszybkiej rakiety, po powrocie by się przekonał, że jego brat postarzał się o dziesięć lat. To smutne, wtrącam.

Stephen się uśmiecha. Mówi, że wszechświat przypomina nadmuchiwaną balon w kropki. Kropki to gwiazdy, które nieustannie się od siebie oddalają. Jedno z najciekawszych pytań brzmi, czy wszechświat jest nieskończony i nieograniczony, czy też nieskończony, lecz ograniczony, co obrazuje przykład z balonem. Ja tam potrafię myśleć tylko o wybuchu, kiedy balon pęka.

Przestrzeń to w większości sama pustka, mówi Stephen, a materia właściwie nie jest spoista. Składa się na nią garść rzadko rozmieszczonych atomów poruszających się z różną prędkością. A zresztą materia to postać energii, energia to postać materii. Jak gdyby wszystko było utworzone ze stężałego światła. Wiedząc dostatecznie dużo, moglibyśmy przechodzić przez ściany, jakby były z powietrza; moglibyśmy się poruszać prędzej niż światło, wtedy przestrzeń stałaby się czasem, a czas przestrzenią i można by podróżować w czasie, wrócić do przeszłości.

Dopiero to mnie naprawdę zaciekało. Chętnie bym obejrzała dinozaury i masę innych rzeczy, choćby starożytnych Egipcjan. Z drugiej strony cała ta koncepcja brzmi trochę groźnie. Nie jestem pewna, czybym chciała przenieść się w przeszłość. Nie jestem też pewna, czy chcę aż tak się przejmować wywodami Stephena. To mu zapewnia zbyt dużą przewagę. No i o czym my w ogóle rozmawiamy? O jakichś komiksowych historiach, banialukach w rodzaju śmiercionośnych promieni.

Dlatego pytam: – I po co to wszystko?

Stephen się uśmiecha.

– Jeśliby się dało to zrobić, wiadomo by było, że się da.

Opowiadam Cordelii, że według Stephena moglibyśmy przechodzić przez ściany, gdybyśmy wiedzieli dostatecznie dużo. Spośród najnowszych rewelacji brata tylko tą jedną umiem teraz się podzielić. Reszta jest zbyt skomplikowana albo raczej zbyt dziwaczna.

Cordelia parska śmiechem. Stephen to kujon, mówi. Gdyby nie był taki bystrzak, toby był drętwą pigułą.

Tego lata Stephen pracuje w wakacje jako instruktor kajakarstwa na obozie dla chłopców. Ja nie

mogę, bo mam tylko trzynaście lat. Jadę z rodzicami na północ w okolice Sault Ste. Marie, gdzie ojciec dogląda eksperymentalnej kolonii barczatek sosnowek w siatkowych klatkach.

Brat pisze do mnie listy, ołówkiem, na kartkach wyrwanych z liniowanego zeszytu. Wyśmiewa wszystko, co się nawinie, w tym kolegów instruktorów oraz dziewczyny, za którymi się uganiają każdego wolnego dnia. Opisuje tych chłopców, pryszczatych, z wyszczerzonymi zębiskami, z językami wywieszonymi jak u psa, z permanentnym debiłowatym zezem, a wszystko to za sprawą jakiejś spółniczki. Najwyraźniej mam pewną władzę, myślę. A raczej będę ją miała: też jestem dziewczyną. Chodzę samotnie na ryby, głównie po to, żeby o czymś napisać Stephenowi. Poza rybami znalazłoby się niewiele tematów.

Cordelia pisze listy piórem, czarnym atramentem. Roi się tam od ochów, achów i wykrzykników. Nad „i” stawia małe kółeczka niby oczy Sierotki Annie albo bąbelki. Kończy list „Twoja do grochowej deski” albo „Twoja do Australii i z powrotem”, albo „Twoja aż po dzień, kiedy góry zejdu na dół i położą się na boku”.

„Co za nudy!!!” – pisze z potrójnym podkreśleniem. Nawet nudą się zachwyca. Lecz cały ten szczebiot nie brzmi prawdziwie. Czasem widuję inną Cordelię, wtedy gdy jej się zdaje, że nie patrzę. Twarz ma stężałą, nieobecna, bezmyślna. Zupełnie jakby pod tą twarzą już nie było Cordelii. Ale zaraz się odwraca, wybucha śmiechem.

– Po prostu uwielbiam takie podwinięte rękawy z paczką papierosów w środku, a ty? Do tego trzeba bicepsów! – I znowu jest taka jak zawsze.

Czuję, że czas przecieka mi przez palce. Pływam w jeziorze, czytam kryminały, pojadam rodzynki bądź krakersy grubo posmarowane masłem orzechowym i miodem, dąsam się, bo w całej okolicy nie ma nikogo w moim wieku. Niewzruszony dobry humor rodziców to słaba pociecha. Chybabym wołała, żeby byli naburmuszeni równie mocno jak ja albo i jeszcze bardziej. Nie czułabym się jak odmieniec.

IX

TRĄD

41

Późnym rankiem budzi mnie telefon. Dzwoni Charna.

– Cześć! Trafiliśmy na pierwszą stronę „Rozrywki”, dali trzy, wyobraź sobie, trzy zdjęcia! Absolutna bomba!

Od „absolutna bomby” chodzą mi mrówki po plecach. I co ma niby znaczyć to „my”? Niemniej Charna się cieszy. Awansowałam z działu „Samo życie” do „Rozrywki”, dobry znak. Pamiętam, kiedyś mi się marzyła ponadczasowa wielkość, pragnęłam być Leonardem da Vinci. Teraz wylądowałam wśród zespołów rockowych i najnowszych filmów. Sztuka to coś, co człowiekowi uchodzi na sucho, powiedział ktoś, całkiem jakby szło o drobną kradzież w sklepie albo inne pomniejsze przestępstwo. Może i zawsze się sprowadzała jedynie do tego: do swoistej kradzieży. Porywania świata widzialnego.

Będzie źle, wiem. Mimo wszystko nie umiem się powstrzymać. Ubieram się, ruszam na poszukiwanie najbliższego kiosku. Mam jednak dość poczucia przyzwoitości, żeby poczekać z otwarciem gazety, aż wrócę na górę.

CHIMERYCZNA ARTYSTKA JESZCZE POTRAFI WSTRZĄSNAĆ, ogłasza tłusty druk. Odnotowuję: „artystka” zamiast „malarki”, sygnał „jeszcze”, słupek przy drodze do zgrzybiałości. Andrea, pierwsza naiwna z żółdziową czuprynką, odpłaca się pięknym za nadobne. Dziwne, że użyła takiego staroświeckiego słowa, „chimeryczna”. Skrzyżowanie chimery z cholera, bardzo odpowiednie. Ale pewnie to nie ona układała nagłówek.

Rzeczywiście, są trzy zdjęcia. Jedno mojej głowy, zrobione nieco od dołu, przez co wyglądam, jakbym miała podwójny podbródek. Pozostałe dwa to zdjęcia obrazów. Na pierwszym pani Smeath, golusienka, niezdarnie frunie w powietrzu. W oddali widać wieżę kościoła z cebulą na wierzchołku. Do pleców pani Smeath przywarł niczym chrząszcz pan Smeath, uśmiechnięty od ucha do ucha. Oboje mają lśniące, brązowe owadzie skrzydła namalowane w odpowiednich proporcjach, z najdrobniejszymi szczegółami. Obraz nosi tytuł *Wiarzskur: zwiastowanie*. Ten drugi przedstawia samą panią Smeath, z nożykiem do jarzyn wytartym w półksiężyc i z obranym kartoflem, nagą od pasa w górę i od ud w dół. Pochodzi z cyklu *Imperialne reformy*. Oba nie najlepiej wypadły w gazecie, ponieważ brakuje koloru. Za bardzo przypominają zwyczajne zdjęcia. W rzeczywistości reformy pani Smeath są barwy głębokiego indygo, barwy, której uzyskanie kosztowało mnie ładnych parę tygodni, która promieniuje mrocznym, dławiącym światłem.

Rzucam okiem na pierwszy akapit: „Wybitna artystka Elaine Risley wraca w tym tygodniu do rodzinnego Toronto na długo oczekiwaną retrospektywę”. „Wybitna”, słówko wprost z mauzoleum. Równie dobrze już teraz mogłabym się wdrapać na marmurowy piedestał i nakryć głowę prześcieradłem. Dalej typowe przekręcone cytaty, błękitny dres także nie przeszedł bez echa. „Elaine Risley, choć sama

nieszczególnie imponująco wygląda w bladobłękitnym dresie, który pamięta lepsze czasy, rzuca garść cierpkich, umyślnie prowokacyjnych uwag na temat dzisiejszych kobiet”.

Pociągam łyk kawy, przeskakuję do ostatniego akapitu. Nieuchronne „elektryczna”, obowiązkowe „postfeministyczna”, jakieś „jednakże”, jakieś „pomimo”. Stare dobre Toronto, podwójna asekuracja i etykiety. Wolałabym zjadliwy atak, trochę fruwających kłaków, nieco ognia i siarki. Przynajmniej bym wiedziała, że jeszcze żyję.

Gorączkowo myślę o wernisażu. Może powinnam być umyślnie prowokacyjna, może powinnam potwierdzić ich najgłębsze podejrzenia. Na przykład wykorzystać jeden z morderczych efektów specjalnych Jona, spaloną twarz z wylupiastym przekrwionym okiem, plastikowe ramię ociekające posoką. Albo też włożyć na nogi tamte gipsowe odlewy i wmaszerować do galerii niby postać z filmu o szalonym naukowcu.

Niczego takiego nie zrobię, ale sama myśl działa kojąco. Stwarza konieczny dystans, sprowadza całą rzecz do poziomu farsy lub kawału, w którym mój udział ogranicza się do drwin.



Cordelia zobaczy ten kawałek w gazecie i może się uśmiechnie. Chociaż nie ma jej w książce telefonicznej, wciąż pewnie gdzieś tu mieszka. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby zmieniła nazwisko. A może wyszła za mąż, może nawet nie raz. Większość kobiet trudno wytropić. Wskakują w nowe nazwiska i toną bez śladu.

W każdym razie na pewno to zobaczy. Pozna panią Smeath, to ją ruszy. Pozna, że to ja, i przyjdzie. Przystąpi próg i ujrzy siebie, opatrzoną tytułem i datą, oprawioną w ramy, wiszącą na ścianie. To bez wątplenia ona: wydłużony zarys szczęki, odrobinę krzywa warga. Cordelia w pokoju, całkiem sama, w pokoju o pastelowozielonych ścianach.

Namalowałam tylko ten jeden portret Cordelii, samej Cordelii. Nosi tytuł *Pół twarzy*. Dziwny tytuł, bo widać całą jej twarz. Lecz z tyłu, na ścianie, niczym renesansowy emblemat bądź też głowa zwierzęcia, łosia lub niedźwiedzia, taka jakie się spotykało w barach na północy, wisi druga twarz, nakryta białym płótnem. To daje efekt maski teatralnej. Być może.

Nameczyłam się przy tym obrazie. Trudno mi było uchwycić Cordelię w jednym czasie, w jednym wieku. Chciałam, żeby miała około trzynastu lat, żeby patrzyła jak to ona, wyzywająco, wręcz bojowo. „No więc?”.

Ale oczy mnie pokonały. Nie mają w sobie tej mocy, nadają twarzy wyraz niepewności, wahania, wyrzutu. Lęku.

Tu, na obrazie, Cordelia się mnie boi.

Boję się Cordelii.

Nie boję się zobaczyć Cordelii. Boję się, że jestem Cordelią. Gdyż w pewnym sensie zamieniłyśmy się miejscami, a ja zapomniałam kiedy.

Po wakacjach zaczynam dziesiątą klasę. Choć wciąż jestem niższa, wciąż młodsza, to jednak urosłam. A konkretnie urosły mi piersi. Mam teraz miesiączki, tak jak każda normalna dziewczynka. Ja też należę do wtajemniczonych, mogę opuszczać mecze siatkówki i chodzić do pielęgniarki po aspirynę, snuć się po szkole, czując między nogami podpaskę podobną do płaskiego króliczego ogona, nasiąkniętą krwią barwy wątroby. Ma to swoje zalety. Golę nogi, nie dlatego że jest specjalnie dużo do golenia, po prostu mi z tym dobrze. Siedzę w wannie skrobiąc łydki, martwiąc się, że nie są grubsze, bardziej wypukłe, takie jak łydki dziewcząt od zagrzewki na meczach, a tymczasem mój brat burczy pod drzwiami.

– Lustreczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie?

– Zmiataj – rzucam spokojnie. Teraz już mogę tak mówić.



W szkole jestem milcząca i czujna. Odrabiam lekcje. Cordelia wyskubuje brwi w dwa cienkie sznureczki, cieńsze niż moje, maluje paznokcie lakierem Ogień-i-Lód. Gubi różne rzeczy, na przykład grzebienie, pracę domową z francuskiego. Śmieje się hałaśliwie na korytarzu. Wymyśla nowe, skomplikowane przekleństwa. „Produkt kiszki stolcowej”, to zamiast „gówno”. „O mój słodki, niebieskooki, łysy Jezu”, mówi. Zaczyna palić, daje się na tym przyłapać w damskiej toalecie.

Nauczycielom, kiedy na nas patrzą, pewno trudno pojąć, czemu się przyjaźnimy, co w ogóle robimy razem.



Dzisiaj, gdy wracamy do domu, sypie śnieg. Wielkie, miękkie, pieszczotliwe płatki muskają skórę jak zimne ćmy. Powietrze wypełnia się pierzem. Rozradowane pędzimy chodnikiem w zapadającym zmierzchu, obok suną samochody, wyciszone, spowolniane śniegiem, śpiewamy:

Lydia Pinkham:

Zapamiętajcie imię jej.

Dzięki lekarstwom dla kobiet

Sławna jest po dziś dzień!

To reklama radiowa. Nie wiemy, co to są lekarstwa Lydii Pinkham, ale wszystko, co nosi etykietkę „dla kobiet”, wiąże się z miesiączką lub innymi, równie wstydlivymi babskimi sprawami, dlatego też nas śmieszy. Śpiewamy także:

Trądzie,

Nocą i w dzień dręczysz mnie.

Wycieka oko

Strugą szeroką...

Albo też:

Kęś twego serca,

Oto co teraz jem,

Rozstanie smutna rzecz...

Śpiewamy jeszcze inne parodie popularnych piosenek, szalenie dowcipne, jak nam się zdaje. Biegniemy, ślizgamy się w śniegowcach z wywiniętą cholewką, rzucamy śnieżkami w latarnie, w hydranty, odważnie w przejeżdżające samochody, z tak bliska, jak tylko się ośmielimy, w ludzi na chodniku, przeważnie w kobiety z siatkami albo z psami. Lepiąc śnieżki, musimy odkładać książki na ziemię. Nie za dobrze umiemy celować, rzadko w cokolwiek trafiamy, tylko raz kula ląduje na plecach kobiety w futrze, zupełnie niechcący. Kobieta się odwraca, piorunuje nas wzrokiem, a my zmykamy za róg, w boczną uliczkę, zaśmiewamy się przerażone, zakłopotane, aż prawie nie możemy ustać na nogach. Cordelia pada plecami na ośnieżony trawnik.

– Złe oko! – piszczy. Z jakiegoś powodu nie podoba mi się ten widok, Cordelia na śniegu, z rozpostartymi rękoma.

– Wstawaj. Dostaniesz zapalenia płuc.

– No więc? – Mimo to się podnosi.

Zapalają się latarnie, chociaż jeszcze nie jest ciemno. Docieramy tam, gdzie po drugiej stronie ulicy zaczyna się cmentarz.

– Pamiętasz Grace Smeath? – pyta Cordelia.

Tak, mówię. Rzeczywiście pamiętam, tyle że niewyraźnie, z przerwami. Pamiętam Grace z tamtych dni, kiedy dopiero się poznałyśmy, i później, siedzącą w jabłoniowym sadzie, z koroną kwiatów na głowie, i znacznie później, kiedy była w ósmej klasie i wybierała się do gimnazjum. Nawet nie wiem, do którego w końcu poszła. Pamiętam jej piegi, uśmiezek, jej warkocze szorstkie jak końskie włosie.

– Wydzielali papier toaletowy – ciągnie Cordelia. – Po cztery kawałki, nawet na kupę. Wiedziałaś?

– Nie. – A może i wiedziałam, kiedyś, dawno temu.

– Pamiętasz to ich czarne mydło? Pamiętasz? Śmierdziało smołą.

Już rozumiem, o co chodzi: teraz wyśmiewamy się ze Smeathów. Cordelia pamięta mnóstwo różnych rzeczy. Zszarzała bieliznę ociekającą na sznurze w piwnicy, nożyk do jarzyn wytarty na drzazgę, zimowe palta z katalogu Eatona. Zdaniem Cordelii właściwym miejscem do robienia zakupów jest Simpson. Tam właśnie jeździmy w sobotę rano, z gołymi głowami, tłuczemy się tramwajem od przystanku do przystanku, aż do śródmieścia. Eaton to dno, a zakupy za pośrednictwem katalogu Eatona to już dno dna.

– Rodzina Gula-gula! – wykrzykuje Cordelia w powietrze, w śnieżną zadymkę. Okrutne przewisko, ale pasuje jak ulał. Wybuchamy śmiechem. – Co rodzina Gula-gula je na kolację? Michę chrząstek!

Zabawa rozkręca się na dobre. Jakiego koloru noszą bieliznę? Chrumkowanego. Dlaczego pani Gula-gula miała plaster na twarzy? Zacięła się przy goleniu. Wszystko można o nich powiedzieć, wszystko wymyślić. Są bezbronni, zdani na naszą łaskę i niełaskę. Wyobrażamy sobie, jak państwo Gula-gula się kochają, ale tego już za wiele, to już niemożliwe, zbyt womitne. „Womitne” jest nowym słowem, zapożyczonym od Perdie.

– Co Grace Gula-gula robi dla rozrywki? Wyciska sobie pryszczę!

Cordelia aż się skręca ze śmiechu, o mało się nie przewraca.

– Przestań, zaraz się posikam! – Mówi, że Grace dostała pryszczę w ósmej klasie. Do dziś na pewno się rozmnożyły. To już nie wymysł, to fakt. Rozkoszujemy się tą myślą.

Smeathowie w naszym wydaniu są bez wdzięku, skąpi, ciężcy jak surowe ciasto, nudni jak biała margaryna, bo właśnie to każemy im jeść na deser. Wyśmiewamy ich pobożność, oszczędzanie na drobiazgach, słoniowate stopy, fikus: do tego się sprowadzają. Mówimy o nich w czasie terazniejszym jak o aktualnych znajomych.

Czuję dziką satysfakcję. Nie umiem wytłumaczyć własnego okrucieństwa. Nie zastanawiam się, dlaczego aż tak dobrze się bawię ani dlaczego Cordelia ciągnie tę grę, dlaczego tak naciska, podsycę ją, ilekroć zapał słabnie. Zerka na mnie kątem oka, widocznie ocenia, jak daleko się posunę w tej – co obie z pewnością wiemy – nikczemnej zdradzie. Raz jeszcze miga mi przed oczami obraz Grace: znika w swoim domu, za frontowymi drzwiami, ubrana w spódnicę na szelkach, w zmechacony sweter. Wszystkie ją uwielbiałyśmy. Ale teraz już tak nie jest. W najnowszej wersji, w wersji Cordelii, nigdy tak nie było.



W padającym śniegu przebiegamy ulicę, otwieramy żelazną furtkę w cmentarnym ogrodzeniu, wchodzimy. Nigdy przedtem tego nie robiłyśmy.

Ten kraniec cmentarza wciąż jest nieruszony. Drzewa, właściwie sadzonki, bez liści wyglądają jeszcze bardziej słabowicie. Sporo tu nietkniętych placów, lecz widać też szramy jak od gigantycznych szponów – wykopy, trwają roboty ziemne. Niewiele jest grobów, są świeże: zwaliste bloki granitu wypolerowane do blasku z prezbiteriańską pieczołowitością, litery proste, bez śladu upiększeń. Przypominają mi męskie płaszcze.

Chodzimy między nagrobkami, pokazujemy, które – te szczególnie ponure, szczególnie toporne – sprawiłyby sobie rodzina Gula-gula. Stąd widać przez siatkę domy po drugiej stronie ulicy. Jeden z nich to dom Grace Smeath. Dziwnie i osobliwie miło jest pomyśleć, że akurat teraz Grace może przebywać tam, w tym pospolitym ceglany pudelku z białymi kolumnkami całkiem nieświadoma tego, co przed chwilą o niej mówiłyśmy. Może tam być również pani Smeath, leżeć na pluszowej kanapie przykryta szalem. Tyle pamiętam. Na podeście pewno wciąż stoi fikus, niewiele większy. Fikusy rosną powoli. Ale my urosłyśmy i dom wyraźnie zmalął.

Przed nami rozciąga się ogromny cmentarz. Po lewej mamy wąwóz, niewyraźnie majaczy nowy betonowy mostek. Miga mi prędkie wspomnienie tamtego starego mostka i strumienia poniżej. Pod naszymi stopami właśnie rozpuszczają się umrzyki, zmieniają w wodę, zimną i czystą, spływają w dół. Zaraz jednak o tym zapominam. Nie ma czego się bać, mówię sobie. Cmentarz jest zbyt pragmatyczny, zbyt brzydki, zbyt uporządkowany. Przypomina najwyżej kuchenną półkę, gdzie się odkłada różne rzeczy.

Przez chwilę idziemy w milczeniu, nie wiedząc dokąd ani po co. Drzewa stają się wyższe, nagrobki starsze. Pojawiają się celtyckie krzyże, jeden, drugi anioł.

– I jak my się stąd wydostaniemy? – pyta Cordelia z cichym śmiechem.

– Chodźmy dalej, w końcu trafimy na jakąś ulicę. Chyba już słychać samochody?

– Przerwa na papieruska – zarządza. Znajdujemy ławkę, siadamy, żeby Cordelia mogła oswobodzić ręce, osłonić papierosa, przypalić. Nie ma rękawiczek ani chustki na głowie. Używa małej czarno-złotej zapalniczki.

– Popatrz na te domki umrzyków – mówi.

– Mauzolea – poprawiam uczenie.

– Mauzoleum rodziny Gula-gula. – Jeszcze ten jeden raz próbuje rozkręcić zabawę.

– Coś ty, to nie dla nich. Za bardzo pachnie forszą.

– Eaton – odczytuje Cordelia. – Pewnie ten od domu towarowego, litery są takie same. Tu spoczywają katalogi Eatona.

– Pan i pani Katalog – dorzucam.

– Ciekawe, czy noszą gorsety. – Cordelia się zaciąga. Usiłujemy wskrzesić niedawną wesołość, ale na próżno. Myślę o Eatonach, o tych dwojgu czy może całej rzeszy Eatonów złożonych tutaj na przechowanie jak futra albo złote zegarki, spoczywających w prywatnym grobowcu tym bardziej dziwnym, że zbudowanym w kształcie greckiej świątyni. Gdzie dokładnie leżą, tam w środku? Na marach? W spowitych pajęczyną trumnach o kamiennym wieku, takich jak w strasznych komiksach?

Myślę o klejnotach błyszczących w mroku – naturalnie, nosiliby klejnoty – o długich wysuszonych włosach. Włosy rosną po śmierci, paznokcie też. Wiem o tym, nie wiem tylko skąd.

– Tak naprawdę to pani Eaton jest wampirzycą – odzywam się powoli. – Pokazuje się nocą. Ubrana w długą białą suknię balową. Te tutaj drzwi uchylają się ze zgrzytem i pani Eaton wychodzi z grobu.

– Pić krew Gula-gula, jeśli za późno się włóczę poza domem – uzupełnia z nadzieją Cordelia, rozgniatając niedopałek.

Ani myślę się roześmiać.

– Nie, poważnie. Wychodzi. To akurat wiem.

Cordelia zerka na mnie nerwowo. Prosi śnieg, zmierzcha się, nie ma tutaj nikogo prócz nas.

– Ach, tak? – czeka na żart.

– Właśnie tak. Czasami chodzimy razem. Bo ja też jestem wampirzycą.

– Bzdury. – Wstaje, otrzepuje się ze śniegu. Uśmiecha się niepewnie.

– Skąd wiesz? – cedzę. – Skąd wiesz?

– Wychodzisz w dzień.

– To nie ja. To moja bliźniaczka. Nigdy się nie połapałaś, ale jestem jedną z bliźniaczek. Na oko nie da się nas odróżnić. A zresztą tylko słońca muszę się wystrzegać. W taki dzień jak dzisiaj nic mi nie grozi. Mam trumnę pełną ziemi, tam śpię. Trumna stoi w... w... – szukam odpowiedniego miejsca – w piwnicy.

– Wyglupiasz się.

Również wstaję.

– Wyglupiam? – Zniżam głos. – Po prostu mówię ci prawdę. Jesteś moją przyjaciółką, pomyślałam, że wreszcie powinnaś się dowiedzieć. Ja nie żyję. Nie żyję od lat.

– Skończ te gierki, dobrze? – rzuca Cordelia ostro. Zdziwiałam, jaką mi to sprawia przyjemność, jak miło czuć, że wytrzymałam ją z równowagi, że mam nad nią tyle władzy.

– Gierki? To żadne gierki. Ale ty nic się nie martw. Nie wyszę twojej krwi, ani kropelki. Jesteś moją przyjaciółką.

– Nie bądź dziecinna.

– Za chwilę nas tu zamkną – mówię. I wówczas do nas obu dociera, że to całkiem możliwe. Pędzimy alejką, dysząc i zanosząc się śmiechem, aż wreszcie odnajdujemy wielką bramę, na szczęście wciąż otwartą. Za bramą ciągnie się Yonge Street ze sznurami aut, zatłoczona jak zwykle w godzinach szczytu.

Cordelia chce wybierać samochody dla rodziny Gula-gula, ale już mi się znudziła ta zabawa. Smakuję bardziej konkretne, bardziej złośliwe drobne zwycięstwo: przepłynęła między nami energia i to ja jestem silniejsza.

43

Teraz chodzę do jedenastej klasy. Jestem równie wysoka jak inne dziewczynki, czyli niezbyt wysoka. Mam popielatą wąską spódnicę, w której trudno się poruszać mimo rozporka, i sweter nietoperz, czerwony w szare poprzeczne paski, szersze i węższe. Mam szeroki, elastyczny czarny pasek ze sprzączką z imitacji złota, a także płaskie welwetowe baletki, które przy chodzeniu szurają i wybrzuszają się po bokach. Do wąskiej spódnicy mam krótki kloszowy płaszcz. Taki obowiązuje styl: obszernie i fałdziście na górze, na dole długa, chuda łodyga nóg. Mam niewyparzoną gębę.

Niewyparzoną do tego stopnia, że przysparza mi sławy. Nie zaczynam pierwsza, lecz jeśli ktoś mnie sprowokuje, wówczas ta niewyparzona gęba się otwiera i strzyka związłymi, zabójczymi komentarzami. Właściwie nie muszę ich wymyślać, po prostu się zjawiają, zupełnie nagle, niczym komiksowe „dymki” z żarówką w środku. Typowe odzywki wśród dziewcząt to „nie truj” i „chrzanisz”, ja się posuwam znacznie dalej. Bez mrugnięcia okiem mówię „pierdzielisz”, co już przekracza granice dobrego smaku, komponuję miażdżące epitety w rodzaju Chodzący Pryszyć albo Zadnie Rejony Śmierdzącej Wrony. Jeżeli któraś koleżanka nazwie mnie kujonem, słyszy: „Lepszy kujon niż takie tępe badziewie jak ty”. – Smarujesz? – mówię lub też: – Dobrze ci się ssało? – Znam słabe punkty. „Ssać” jest słowem szczególnie celnym, szczególnie obraźliwym. Używają go chłopcy między sobą. Kojarzy się z kciukami, z niemowlętami. Dotychczas nie brałam pod uwagę, co jeszcze można ssać i w jakich okolicznościach.

Dziewczęta w szkole uczą się wystrzegać mojej niewyparzonej gęby, uczą się jej unikać. Wędruję korytarzem owiana aurą słownego zagrożenia, wszyscy obchodzą się ze mną jak z jajkiem, co bardzo mi odpowiada. O dziwo, takie zachowanie wcale nie odbiera mi przyjaciół, lecz – przynajmniej na pozór – przysparza. Koleżanki się mnie boją, wiedzą jednak, gdzie jest najbezpieczniej: przy moim boku, o pół kroku z tyłu. – Elaine to babka na medal – powtarzają bez przekonania. Niektóre już gromadzą porcelanę i garnki, kompletują posag. Patrzę na to z pełną rozbawienia pogardą. Lecz mimo wszystko się gryzę, jeśli kogoś zranię niechący. Pragnę ranić tylko i wyłącznie z rozmysłem.

Nie mam okazji wypróbować swojej niewyparzonej gęby na chłopcach, ponieważ chłopcy mnie nie prowokują. Z wyjątkiem Stephena, rzecz jasna. Ostatnimi czasy przerzucamy się złośliwościami czysto dla sportu, jakbyśmy grali w badminton. „Trafiony. Zatopiony”. Zazwyczaj potrafię uciszyć brata tekstem: – Gdzieś się tak ostrzygł? W Kosiarkowie? – Jest czuły na punkcie swojej fryzury. Albo też, kiedy się wbije w szare flanelowe spodnie i marynarkę, obowiązkowy mundurek szkoły prywatnej, rzucam: – No, no, wyglądasz jak chłoptaş z Ekipy Simpsona. – Ekipa Simpsona to lalusiowate dzieciaki, które występują w szkolnej kronice ubrane w blezery z herbem na kieszonce, czyściutkie, wzorowe dzieciaki reklamujące dom towarowy Simpsona.

Ojciec mawia: – Pewnego dnia ten twój ostry języczek napyta ci biedy, młoda damo. – „Młoda damo” oznacza, że zbyt śmiało się zbliżyłam do takiej czy innej granicy, lecz chociaż chwilowo zamyka mi usta, to jednak wcale mnie nie poskramia. Polubiłam ryzyko, wrażenie zawrotu głowy, gdy sobie

uświadamiam, że oto przekroczyłam granicę, naruszyłam ogólnie przyjęte normy, że chodzę po cienkim lodzie, w próżni.

Najczęściej otwieram swoją niewyparzoną gębę przy Cordelii. Nawet nie musi mnie prowokować, używam jej w charakterze poligonu. Siedzimy na pagórku ponad boiskiem do piłki nożnej, w dżinsach, które wolno nosić w szkole tylko wtedy, gdy wypada mecz. Przydługie nogawki spięłyśmy klamerkami – ostatni krzyk mody. Dziewczęta od zagrzewki podskakują w spódniczkach do pół uda, wywijając papierowymi pomponami. Nie przypominają długonogich, złotowłosych piękności z tylnej okładki „Life’u”, są niedobrane, kluchowate, nijakie. Mimo wszystko wciąż im zazdroszczę łydek. Po boisku kłusują piłkarze.

– Ten Gregory! Niezły z niego numer – wzdycha Cordelia.

– Cyrkowy – uzupełniam.

Patrzy na mnie z urazą.

– Moim zdaniem jest słodki.

– Fakt. Aż może zemdląć.

Innym razem, kiedy Cordelia mówi, że zanim się usiądzie na sedesie w szkolnej toalecie, trzeba wytrzeć deskę, bo można złapać jakąś chorobę, pytam:

– Kto ci to powiedział? Mamunia?

Wyśmiewam jej ulubionych piosenkarzy.

– Miłość, miłość, miłość. Nic, tylko jęcza. – Bezlitośnie pogardzam wszelką cukierkowatością, sentymentalizmem. Frank Sinatra to Śpiewająca Pianka, Betty Hutton to Żywa Szlifierka. A zresztą już wyszli z mody, wszystko to cikliwe wyjce i tyle. Teraz liczy się rock and roll, jedyna prawdziwa muzyka. *Hearts Made of Stone*, o, to jest coś.

Czasami Cordelii udaje się odgryźć, czasami nie.

– To okrutne – mówi. Albo wtyka język w kącik ust i zmienia temat. Albo zapala papierosa.



Siedzę na lekcji historii, bazgrzę z boku kartki. Przerabiamy drugą wojnę światową. Nauczyciel jest entuzjastą, miota się, wymachuje rękami i wskazówką. To niski człowieczek z niesfornym kosmykiem włosów, utyka na jedną nogę. Sam walczył w tej wojnie, a przynajmniej takie krążą pogłoski. Na tablicy naszkicował wielką mapę Europy, białą, żółte przerywane linie wyznaczają granice między państwami. Ruszają armie Hitlera – różowe kredowe strzałki. Teraz *Anschluss*, teraz pada Polska, teraz Francja. Rysuję tulipany i drzewa, za każdym razem z poziomą kreską ziemi, z systemem korzeniowym. W kanale La Manche pokazują się łodzie podwodne, zielone. Rysuję twarz dziewczyny z sąsiedniej ławki. Trwa *Blitzkrieg*, bomby lecą z nieba niczym złowieszcze srebrne anioły, Londyn się

rozpada ulica po ulicy, dom po domu, gzymsy kominków, kominy, ręcznie rzeźbione małżeńskie łoża przekazywane z pokolenia na pokolenie idą w drzazgi, płoną jak pochodnia, z historii zostają skorupy.

– Tak się skończyła pewna epoka – mówi nauczyciel. Trudno nam to zrozumieć, dodaje, ale nic już nie będzie takie samo. Jest głęboko poruszony, to widać, to krępujące. Takie samo jak co? – myślę.

Nie do wiary, że i ja wtedy żyłam, wtedy gdy się dokonywały wszystkie te kredowe historie, wszystkie te statystyczne śmierci. Żyłam, kiedy kobiety nosiły tamte komiczne stroje – ogromne poduszki, wcięte żakiety, baskinki opadające na pupę niby przekręcone tył na przód fartuszek. Rysuję kobietę o szerokich ramionach, w rozłożystym kapeluszu. Rysuję własną rękę. Ręce są najtrudniejsze. Przeważnie wyglądają jak wiązki serdelków.



Chodzę na randki. Nie należy to do żadnego świadomego planu, po prostu jakoś tak wynika. Stosunki z chłopcami układają mi się łatwo, innymi słowy, niewiele w nie wkładam wysiłku. To przy dziewczętach czuję się niezręcznie, przed dziewczętami muszę się bronić. Siedzę w swoim pokoju, oskubując swetry z kuleczek wełny. Brzęczy telefon. Dzwoni jakiś chłopak. Zabieram sweter do holu, bo tam stoi aparat, sadwim się na krzesło, przyciskam słuchawkę ramieniem do ucha i dalej skubię wełnę, a tymczasem ciągnie się długa rozmowa, na którą składa się głównie milczenie.

Chłopcy z natury wymagają tego milczenia. Nie wolno ich płoszyć zbyt wieloma słowami, nie wolno mówić za szybko. To, co sami mówią, właściwie się nie liczy. Cała istotna treść kryje się w ciszy między jednym słowem a drugim. Wiem, czego oboje szukamy – uciezki. Chłopcy pragną uciec przed dorosłymi i przed innymi chłopcami, ja przed dorosłymi i przed innymi dziewczętami. Szukamy bezludnych wysp, ulotnych, nierealnych, ale przecież istniejących.

Ojciec kręci się po bawialni, pobrzękuje kluczami i drobnymi w kieszeni. Niecierpliwi się, chcąc nie chcąc, słyszy te monosylaby, te pomruki, to milczenie. Wchodzi do holu, ruchem palców naśladowuje nożyczki, co oznacza, że mam kończyć rozmowę.

– Muszę lecieć – rzucam. Chłopiec wydaje taki dźwięk jak przekłuta dętka. Rozumiem.

Wiem to i owo o chłopcach. Wiem, co im się roi w głowie, co myślą o dziewczętach, o kobietach, znam sprawy, do których nie mogą się przyznać kolegom ani w ogóle nikomu. Obawiają się własnego ciała, wstydzą tego, co mówią, boją się śmieszności. Wiem, jak i o czym rozmawiają, rozrabiając w szatni, kopcąc papierosy za salą gimnastyczną. Klempa, cizia, torba, suka – tak nazywają dziewczęta, i jeszcze gorzej. Nie mam im za złe tych słów. Są po prostu inną wersją wolicz oczu w formalinie i zjadania glutów, słowami-dowodami, które chłopcy muszą wymieniać, aby pokazać swoją siłę, pokazać, że nie dadzą się nabrać. Słowa niekoniecznie wyrażają niechęć do prawdziwych dziewcząt czy też jednej konkretnej dziewczyny. Prawdziwe dziewczęta są czasem ich przeciwwagą, czasem wcieleniem, czasem to tylko dźwięk w tle.

Żadne z owych słów, myślę, nie odnosi się do mnie. Odnoszą się do tamtych innych dziewcząt, które spacerując po szkole całkiem ich nieświadome, kołyszają włosami, kręcą chudymi biodrami, takie niby-uwodzicielskie, paplają zbyt głośno i zbyt niedbale, nikogo tym nie oszukują. Albo odgrywiają pastelowe, niewinne, świeże jak poranek. A tymczasem chmury bezgłośnych słów otaczają je w każdej

minucie – klempa, cizia, torba, suka – wytykają, redukują, pomniejszają do bardziej poręcznych rozmiarów. Cała sztuka polega na tym, żeby się poruszać w przerwach między słowami, odwracać bokiem, wymijać. Jak gdyby się przechodziło przez ściany.

Tyle ogólnie wiem o chłopcach. Nie ma to nic wspólnego z poszczególnymi chłopakami, tymi, z którymi się umawiam. Ci są zazwyczaj starsi ode mnie, choć spoza kręgu wybrylantynowanych kaczych kuprów i czarnej skóry od szyi po pięty, ci są miłsi. Po randce muszę wracać do domu na czas. W przeciwnym razie ojciec prowadzi ze mną długie rozmowy, wyjaśnia, że przyjść na czas do domu to dokładnie tak samo jak przyjść o czasie na pociąg. Gdybym się spóźniła, toby mi uciekł, prawda?

– Ale dom to nie pociąg – mówię. – Nigdzie nie odjedzie.

Ojciec się złości. Dzwoni kluczami w kieszeni.

– Nie o to chodzi.

– Martwimy się. – Tak mówi matka.

– Czym? – Ja tam nie widzę żadnego powodu do zmartwień.



Rodzice przeszkadzają zarówno w tej, jak i w innych sprawach. Nie chcą kupić telewizora, inaczej niż wszyscy, ponieważ ojciec twierdzi, że od telewizji się kretynieje, a sam aparat wysyła szkodliwe promieniowanie oraz sygnały działające na podświadomość. Kiedy przychodzi po mnie jakiś chłopak, ojciec wynurza się z piwnicy, w znoszonym, szarym, filcowym kapeluszu, z młotkiem albo piłą, i miażdży chłopcu dłoń w niedźwiedzim uścisku. Taksuje go wzrokiem, ogląda przenikliwymi, błyszczącymi, ironicznymi małymi oczkami, mówi do niego per „pan” jak do swoich studentów. Matka gra urocą panią domu i prawie się nie odzywa. Albo też oświadcza – przy chłopaku – że prześlicznie wyglądam.

Wiosną oboje wyłaniają się zza węgła, w workowatych ogrodniczkach, usmarowani błotem, chcą się ze mną pożegnać. Zaciągają chłopaka do ogródka na tyłach, gdzie teraz piętrzy się ogromny stos betonowych płyt, które ojciec zgromadził na wszelki wypadek, na przyszłość. Chłopak musi oglądać irysy – rozrywka w sam raz dla staruszek – musi coś o nich powiedzieć, chociaż akurat myśli o wszystkim, tylko nie o irysach. Kiedy indziej ojciec próbuje go wciągnąć w rozwijającą dyskusję na aktualne tematy lub też pyta, czy może czytał to albo tamto, zdejmuje książki z półek, a tymczasem chłopak przestępuje z nogi na nogę. – Równego masz ojca – bąka niepewnie, później.

Moi rodzice przypominają młodszego brata i siostrę, urwisy o umorusanych buziach paplające o rzeczach, od których człowiek rumieni się ze wstydu, których się nie da ani przewidzieć, ani opanować. Wzdycham i robię dobrą minę do złej gry. Czuję się starzej od nich, znacznie starzej. Wręcz sędziwie.



Nie ma co się martwić tym, co robię z chłopcami. To nic nadzwyczajnego. Chodzimy do kina, gdzie siedząc w sektorze dla palących, całujemy się i pieścimy, albo też do kina zajezdnego, gdzie zajadamy prażoną kukurydzę i również się całujemy. W pieszczotach obowiązują pewne zasady, których przestrzegamy: zbliż się, odepchnij, zbliż się, odepchnij. Pas z podwiązkami leży już poza dopuszczalną granicą, podobnie stanik. Suwaki wykluczone. Usta chłopców smakują papierosami i solą, skóra pachnie wodą po goleniu Old Spice. Chodzimy na tańce, podczas kawalków rockowych wirujemy jak bąki, przy wolnych szuramy nogami w błękitnym świetle, pośród szurania innych par. Po uroczystych balach jeździmy do czyjegoś domu bądź do restauracji Pod Świętym Karolem, a później znowu się całujemy, choć niezbyt długo, bo zwykle już nie starcza czasu. Sukienki na takie bale szyję sama, ponieważ na kupno mnie nie stać. Warstwa tiulu, pod spodem krynolina – zawsze się denerwuję, że haftki puszcza. Do kompletu mam satynowe albo srebrne pantofelki, mam klipsy, które szczypią jak wszyscy diabli. Przed balem chłopcy przysyłają bukietki kwiatów do sukni, potem je zasuszam i trzymam w szufladzie komody: rozplaszczone goździki i zbrązowiałe na brzegach pąki róż, placki zeschniętego ziela, kolekcja kwiatowych pomniejszych głów.

Stephen traktuje tych chłopców z pogardą. Jeśli o niego idzie, są to półgłówki niewarte mojego poważnego zainteresowania. Wyśmiewa się z nich za plecami, przezywa. George to nie George, tylko George--Szmorgie, Roger to Rower. Obstawia, jak długo każdy się utrzyma.

– Trzy miesiące – orzeka, zobaczywszy chłopaka pierwszy raz. Bądź też pyta: – Kiedy go spławisz?

Nie złoszczę się na brata. Właśnie czegoś takiego się po nim spodziewam, bo po części ma słuszność. Nie traktuję chłopców tak jak bohaterki komiksów „o prawdziwej miłości”. Nie wyczekuję godzinami na telefon. Lubię ich, ale się w nich nie zakochuję. Nie pasuje do mnie żaden z opisów w czasopiśmie dla nastolatek, opisów zaszępionych dziewcząt z dwiema łzami jak perłowe kolczyki lśnącymi na policzkach. Po części więc chłopcy nie są poważną sprawą. Równocześnie jednak są.

Ów poważny punkt to ich ciała. Siedzę w holu, przytrzymując słuchawkę ramieniem, i to właśnie ich ciała słyszę. Nie słucham słów, tylko ciszy, w tej ciszy ciała powstają na nowo, stwarzane przeze mnie, nabierają kształtu. Kiedy tęsknię za chłopcami, to ich ciała mi brakuje. Przyglądam się rękom, gdy podnoszą papierosa w mroku sali kinowej, pochyłości ramienia, kątowi biodra. Patrząc spod oka, badam chłopców raz w takim, raz w innym świetle. Moja miłość jest wzrokowa. Właśnie w ten sposób chciałabym ich osiąść. Nie ruszaj się, myślę. Zostań tak. Daj mi to. Cała władza, którą mają nade mną, leży w oczach i kiedy którymś się zmęczone, wyczerpane jest na poły fizyczne, lecz także na poły wzrokowe.

Tylko częściowo rzecz wiąże się z seksem, chociaż się wiąże, to fakt. Niektórzy chłopcy mają samochody, ale inni nie i z tymi jeżdżę autobusem, tramwajem, nowo otwartym metrem, czystym, monotonnym, podobnym do łazienki z pastelową glazurą. Ci chłopcy odprowadzają mnie do domu, idziemy okrężną drogą. Powietrze pachnie bzem albo skoszoną trawą, albo palonymi liśćmi, zależnie od pory roku. Wchodzimy na betonowy mostek, nad głową wiszą łuki wierzb, w dole pluszcze strumień. Przystajemy w słabym świetle latarni, opieramy się o poręcz, chłopiec mnie obejmuje, ja obejmuję jego. Wsuwamy dłonie pod ubranie, przebiegamy palcami po plecach. Czuję kręgosłup, wyprężony, napięty, jakby za chwilę miał pęknąć. Czuję całą długość ciała, dotykam twarzy, zdumiona. Twarze chłopców tak bardzo się zmieniają, łagodnieją, otwierają się, cierpią. Ciało jest czystą energią, stężalnym światłem.

W wąwozie znajdują zamordowaną dziewczynę. Nie w tym wąwozie niedaleko naszego domu, tylko w większym odgałęzieniu, dalej na południe, za cegielnią, tam gdzie rzeka Don, z wierzbami na brzegach, zaśmiecona i brudna, wije się ospale w kierunku jeziora. Takie rzeczy nie mają prawa zdarzać się w Toronto – tutaj tylne drzwi zostawia się nocą niezaryglowane, okna otwarte – najwyraźniej jednak się zdarzają. Historia trafia na pierwsze strony gazet.

Dziewczyna jest w naszym wieku. Obok znaleźli jej rower. Została uduszona, była napastowana. Wiemy, co znaczy „napastowana”. Jej zdjęcia, robione za życia, już mają ów widmowy wygląd, którego fotografie zwykle nabierają dopiero po latach, już mówią o minionym czasie, bezpowrotnie straconym, nie do odkupienia.

Gazety zamieszczają obszerne opisy ubrania ofiary. Sweter z angory, mały futrzany kołnierzyk z pomponami, taki jakie ostatnio weszły w modę. Nie mam takiego kołnierza, a bardzo bym chciała. Tamten był biały, ale można też dostać kołnierze z norek. Przy swetrze broszka w kształcie dwóch ptaków o oczach z czerwonych szkiełek. Każdy by mógł tak się ubrać do szkoły. Mierzą mnie te szczegóły, chociaż ich opisy pochłaniam z wypiekami na twarzy. To niesprawiedliwe – człowiek pewnego dnia wychodzi z domu, ubrany najzwyczajniej w świecie, a tu go mordują bez ostrzeżenia i później wszyscy się gapią, oglądają go po kawałku. Morderstwo powinno być bardziej uroczystym wydarzeniem.

Już dawno przestałam się przejmować złymi mężczyznami z wąwozu. Uznałam, że to zwykły straszak, historyjka wymyślona przez matki. Widocznie jednak ci mężczyźni istnieją, na przekór mnie samej.

Zamordowana dziewczyna nie daje mi spokoju. Po pierwszym wstrząsie prawie nikt w szkole już o niej nie wspomina. Nawet Cordelia. Zupełnie jakby ta mała, pozwalając się zabić, sama zrobiła coś haniebnego. Znika więc tam, dokąd odchodzi wszystko, o czym nie wypada mówić, znika razem z angorowym swetrem, ze swoimi blond włosami, swoją zwyczajnością. Coś porusza, coś jakby zwiędłe liście. Przypomina mi się lalka, którą kiedyś miałam, lalka w sukience oblamowanej białym futerkiem. Bałam się jej, pamiętam. Od lat o tym nie myślałam.



Siedzę z Cordelią przy stole w jadalni, odrabiamy lekcje. Pomagam jej, staram się wytłumaczyć budowę atomu, ale Cordelia niczego nie bierze poważnie. Atom na rysunku ma jądro, dookoła elektrony. Jądro wygląda jak malina, elektrony razem z orbitami jak planeta Saturn. Cordelia wtyka język w kącik ust, krzywi się.

– To całe jądro wygląda jak malina – mówi.

– Jutro klasówka – przypominam. Nie interesują jej cząsteczki, najwidoczniej nie potrafi pojąć układu okresowego pierwiastków. Nie chce zrozumieć masy, nie chce zrozumieć, dlaczego wybucha bomba atomowa. W książce do fizyki jest taki obrazek, kompletny, z chmurą w kształcie grzyba i z całą

resztą. Dla Cordelii to po prostu jeszcze jedna bomba. – Masa jest postacią energii, energia postacią masy – tłumaczę. – Właśnie dlatego $E = mc^2$.

– O ile łatwiej by się żyło, gdyby Percy Świątoszek nie był takim śmierdzielem – wzdycha. Percy Świątoszek to nasz nauczyciel fizyki. Ma rude włosy sterczące na czubku głowy jak u Dziecioła Woody’ego, sepleni.

Do pokoju wchodzi Stephen, zagląda nam przez ramię.

– No tak, dalej was uczą fizyki w wydaniu dla dzieci – stwierdza pobłaźliwie. – Atom dalej wygląda jak malina.

– A widzisz? – rzuca Cordelia.

Czuję, że to zamach na moją osobę.

– Taki atom będzie jutro na klasówce, więc lepiej się go naucz – mówię do Cordelii. Potem do Stephena: – No to jak naprawdę wygląda?

– Jest prawie samą pustką. Właściwie prawie go nie ma. To ledwie parę pyłków, które utrzymuje na miejscu działanie sił. Na poziomie subatomowym nie można nawet powiedzieć, że materia istnieje. Najwyżej tyle, że się skłania do istnienia.

– Namącisz Cordelii w głowie – upominam. Zapaliła papierosa, patrzy przez okno, tam gdzie po trawniku gonią się wiewiórki. W ogóle nie zwraca na nas uwagi.

Stephen zamyśla się nad Cordelią.

– Cordelia skłania się do istnienia – mówi.



Cordelia nie umawia się z chłopcami tak jak ja, chociaż owszem, chodzi na randki. Czasami przez swojego chłopaka załatwiam randkę podwójną. Chłopak dla Cordelii jest zawsze towarem drugiego gatunku, ona o tym wie i kręci nosem.

Nie może się zdecydować, jacy chłopcy naprawdę jej się podobają. Ci ostrzyżeni jak mój brat to nudziarze i drętwe piguły, z kolei ci w kaczy kuper to tanie chamstwo, chociaż seksowne. Chłopców, z którymi ja się spotykam, którzy strzygą się najwyżej na jeża, Cordelia uważa za smarkaczy. Zrezygnowała ze szminki i lakieru do paznokci w odcieniu wścieklej czerwieni, z postawionych na sztorek kołnierzyków, przerzuciła się na róże, dietę i pielęgnację. „Dobra pielęgnacja”, tak to nazywają w czasopismach, jakby chodziło o konia. Włosy ma krótsze, stroje bardziej stonowane.

Czymś jednak odstręcza chłopców. Może jest przy nich zbyt gorliwa, zbyt uprzejma, wystudiowana i przesadna. Jeżeli jej się wydaje, że chłopak zażartował, śmieje się i mówi: – Bardzo dowcipne, Stan. – Mówi tak nawet wtedy, gdy żart był niezamierzony, toteż chłopak nie wie, czy przypadkiem się z niego nie nabija. Czasem się nabija, czasem nie. Wymykają jej się niewłaściwe słowa.

Kiedy kończymy jeść hamburgery z frytkami, odwraca się do chłopców i pyta wesoło: – Dostatecznie się nawchłaniaлиście? – Wytrzeszczają na nią oczy. Ci chłopcy z całą pewnością nie używają kólek do serwetek.

Zadaje pomocnicze pytania, stara się wciągać w rozmowę, zupełnie jak dorośli. Nie wie, że najlepsze, co można zrobić, to pozwolić chłopakowi istnieć w jego własnym milczeniu, patrzeć na niego ledwie kątem oka. Ona próbuje patrzeć szczerze, wprost. Oślepiiony blaskiem chłopak kamienieje niczym królik w świetle reflektorów. Kiedy Cordelia jest z którymś na tylnym siedzeniu samochodu, poznaje – po oddechu, po dyszeniu – że również w tym kierunku posuwa się za daleko. – Trochę dziwna ta twoja przyjaciółka – mówią mi potem chłopcy, ale nie potrafią określić dlaczego. Pewnie dlatego, że nie ma brata, tylko siostry, myślę. Sądzi, że przy chłopcach liczą się słowa, nigdy się nie nauczyła zawilości, niuansów męskiego milczenia.

Jednakże Cordelii właściwie nie obchodzi, co sami chłopcy mają do powiedzenia. Wiem to od niej. Na ogół uważa ich za głupków. Próby nawiązania rozmowy to gra, udawanie. W towarzystwie chłopców jej śmiech brzmi subtelnie, nisko, całkiem jak śmiech aktorki w radiu, chyba że Cordelia się zapomni. Wówczas śmieje się za głośno. Coś naśladuje, jakąś rolę albo obraz, które tylko ona dostrzega.



Do naszej szkoły zjeżdża Trupa Earle’a Greya, jak co rok. Wędrują tak od gimnazjum do gimnazjum, z tego słyną. Każdego roku wystawiają jedną sztukę Szekspira, zawsze tę, która będzie na maturze. W Toronto nie ma wielu teatrów, właściwie są tylko dwa, dlatego na przedstawieniach zjawia się mnóstwo ludzi. Uczniowie przychodzą z myślą o maturze, rodzice dlatego, że nieczęsto im się trafia taka okazja.

Trupa Earle’a Greya to sam pan Earle Grey, który zawsze grywa główne role, jego żona, która gra główne role kobiece, oraz paru innych aktorów – podobno krewnych państwa Grey – z których każdy zwykle odgrywa po dwie, czasem więcej postaci. Reszta ról przypada uczniom z danej szkoły. W ubiegłym roku Greyowie wystawiali *Juliusza Cezara*. Cordelia była człowiekiem z tłumu. Musiała uczernić twarz spalonym korkiem, owinąć się prześcieradłem i powtarzać „szurum-burum, szurum-burum” w scenie zbiorowej, kiedy Marek Antoniusz wygłasza swoje „Rzymianie, bracia, rodacy...”^[*].

W tym roku obejrzymy *Makbeta*. Cordelia gra służącą, a także żołnierza w ostatniej scenie bitwy. Tym razem musi przynieść z domu koc w szkocką kratę. Szczęściara, ma też szkocką spódniczkę – starą spódniczkę Perdie, jeszcze z czasów gdy siostra chodziła do prywatnej szkoły dla dziewcząt. Dodatkowo Cordelia jest asystentką rekwizytora. Po każdym spektaklu musi uporządkować rekwizyty, ułożyć w kolejności, zawsze tej samej, tak by aktorzy mogli je chwytać za kulisami i biec na scenę bez chwili zwłoki.

Podczas trzech dni prób Cordelię aż rozsadza podniecenie. Poznaje po tym, jak w drodze do domu kopci jednego papierosa za drugim, udaje znudzoną i nonszalancką, coraz to wspomina o prawdziwych, zawodowych aktorach, mówiąc o nich po imieniu. Ci młodszy, opowiada, wciąż się silą na dowcipy. Nazywają czarownice Trzema Drutowanymi Siostrami, a Cordelię Bładolicą Niecnotą, grożą, że jej wrzucą do kawy oko żaby i łapki jeża. Twierdzą, że Lady Makbet, wołając w scenie obłądu „Precz, przeklęta plamo!”, ma na myśli swoją suczkę Plamkę, która nasiusiała na dywan. Prawdziwi aktorzy, opowiada Cordelia, nigdy nie wymawiają na głos tytułu *Makbet*, ponieważ to przynosi pecha. Nazywają

sztukę „Tartanowcy”.

– Właśnie to powiedziałaś – zauważam.

– Co?

– Makbet.

Cordelia staje jak wryta pośrodku chodnika.

– O Boże, rzeczywiście.

Usiłuje zbyć swoje potknięcie śmiechem, ale jest zmartwiona.



Pod koniec sztuki Makduf musi wnieść na scenę uciętą głowę Makbeta. Głowa to kapusta owinięta białą ściereczką. Makduf rzuca nią o deski, rozlega się imponujący łoskot, głuchy stuk ciała i kości. A przynajmniej tak to wypadło na próbie. W przeddzień pierwszego przedstawienia – mają być trzy – Cordelia zauważa, że kapusta zaczęła gnić, robi się miękka i gąbczasta, zalatuje kiszonką. Wymienia ją więc na świeżutką główkę.

Przedstawienie odbywa się w szkolnej auli, tam gdzie apele i próby chóru. Na premierze tłok, sala nabita po brzegi. Wszystko idzie w miarę sprawnie, jeśli nie liczyć chichotów w niewłaściwych momentach oraz anonimowego głosu, który woła: – No, wal go! – kiedy Makbet się waha przed komnatą Dunkana, a także gwizdów i kocięj muzyki w tylnych rzędach, gdy Lady Makbet pojawia się w koszuli nocnej. W scenie bitwy wypatruję Cordelii. Tak, to ona, wybiega zza kulis ubrana w szkocką spódniczkę, z drewnianym mieczem, z kraciastym kocem przerzuconym przez ramię. Sztuka zbliża się do końca. Makduf rzuca kapustę w ściereczce, lecz kapusta, uderzywszy o deski, wcale nie chce znieruchomieć. Odbija się dalej, łupu-cup, jak gumowa piłka skacze po scenie i wreszcie łąduje na widowni, co niszczy cały efekt tragiczny, tak że kurtyna opada przy wtórze śmiechu.

To wina Cordelii, bo wymieniła kapustę. Jest załamana.

– Miała być zgniła! – zawodzi za kulisami, dokąd poszłam jej pogratulować. – Teraz mi to mówią! – Aktorzy potraktowali sprawę lekko, zapewniają Cordelię, że to nowatorski efekt. Cordelia się śmieje, czerwieni, próbuje trzymać fason, lecz z trudem powstrzymuje łzy.

Powinnam jej współczuć, ale nie współczuję. Kiedy nazajutrz wracamy ze szkoły, mówię: – Łupu-cup, łupu-cup, łupu-cupu-pac.

– Daj spokój – prosi. Głos ma bezbarwny, posepny. To nie temat do żartów. Przez chwilę się dziwię, jak mogę tak podle traktować swoją najlepszą przyjaciółkę. Bo przecież Cordelia jest moją najlepszą przyjaciółką.

Mija czas, jesteśmy starsze, najstarsze, chodzimy do jedenastej klasy. Możemy patrzeć z góry na nowych uczniów, na te dzieci, którymi i my kiedyś byliśmy. Możemy uśmiechać się z wyższością. Dorosłyśmy już do lekcji biologii. Odbywają się w pracowni chemicznej, w łączonych grupach, więc spotykamy się z uczniami z innych równoległych klas. Dlatego też w pracowni siedzę z Cordelią przy czarnym stole wyposażonym w zlew. Cordelia nie lubi biologii, podobnie jak nie lubiła fizyki – ledwo ją zaliczyła – ale musi wybrać jakiś przedmiot ścisły, a biologia wydaje jej się najłatwiejsza, to najmniejsze zło.

Dostajemy zestaw do sekcji ze skalpelem, którego nie zaskodziłoby naostrzyć, tacki z nawoskowanym dnem i paczuszki szpilek jak na lekcjach krawiectwa. Najpierw musimy kroić dżdżownicę. Każdy dostaje po jednej. W książce do zoologii oglądamy rysunek przedstawiający wnętrze robaka: właśnie to zobaczymy po otwarciu dżdżownicy. Dżdżownice wiją się i skręcają na tackach, pełną wzdłuż brzegów, próbują uciec. Pachną rozkopaną ziemią.

Przyszpilam dżdżownicę z obu końców, robię gładkie pionowe nacięcia. Robak miota się jak na haczyku, kiedy się łowi ryby. Odciągam skórę, przypinam po bokach. Widzę serce, wcale nie ma kształtu serca, główna arteria pompuje krew. Widzę układ trawienny pełen błota.

– Fuj – krzywi się Cordelia. – Jak możesz.

Co za mięczak, myślę. Z dnia na dzień coraz z nią gorzej. Rozkleja się. Otwieram za nią dżdżownicę, kiedy nauczyciel nie patrzy. Później rysuję robaka w przekroju, wszystko ślicznie oznaczam.

Następnie kolej na żabę. Żaba wierzga, trudniej się z nią uporać niż z dżdżownicą, trochę za bardzo przypomina pływającego człowieka. Zgodnie ze wskazówkami usypiam ją chloroformem, zręcznie kroję, wkłuwam szpilki. Rysuję wnętrze, każdy zwój i wybrzuszenie, małe płuca, zimnokrwiste serce płaza.

Również tym razem Cordelia się poddaje. Na samą myśl, że miałyby wbić nóż w skórę żaby, robi jej się niedobrze, mówi. Patrzy na mnie blada, z rozszerzonymi oczami. Nie wytrzymuje tego smrodu. Znowu ją wyręczam. Idzie mi jak z płatka.

Zapamiętuję budowę statocyst raka, jego skrzeli i narządów gębowych. Zapamiętuję układ krwionośny kota. Nauczyciel – który na co dzień jest trenerem futbolowym chłopców, ale niedawno zaliczył wakacyjny kurs zoologii, żeby móc nas uczyć – zamawia na lekcję zdechłego kota z żyłami i tętnicami wypełnionymi niebieskim i różowym lateksem. Niestety, kiedy dostarczają zwierzę, okazuje się, że mocno nadgniło, smród przechodzi nawet przez formalinę. Nie musimy więc przeprowadzać sekcji, wystarczy rysunek w książce.

Jednakże dżdżownice, żaby i koty to dla mnie za mało. Chcę czegoś więcej. W sobotnie popołudnia chodzę do Gmachu Zoologii, w opustoszałych pracowniach korzystam z mikroskopów. Oglądam preparaty – wirki w przekroju, ich trójkątne łebki i zezowate oczy, bakterie nasączone kolorową farbą, zjadliwie różową, jaskrawofioletową, promiennie błękitną. Podświetlone od spodu, aż zapierają dech, podobne do witraży. Rysuję je, kreślę struktury różnobarwnymi kredkami, lecz nigdy mi się nie udaje osiągnąć takiej samej świetlistości.

Moje poczynania odkrywa pan Banerdzi, teraz już doktor Banerdzi. Znosi preparaty, którym jego zdaniem chciałabym się przyjrzeć, ofiarowuje mi je gorliwie, nieśmiało, z porozumiewawczym chichotem, jakbyśmy dzielili rozkoszny, ezoteryczny sekret albo coś związanego z religią.

– Pasożyt barczatki sosnowki – oznajmia, z namaszczeniem kładąc preparat na czystej kartce papieru na moim stole. – Jajo strzygoni choinówki.

– Dziękuję – mówię.

Pan Banerdzi ogląda moje rysunki, podnosi, chwytając za róg kartki zwinnymi, pogryzionymi palcami.

– Znakomicie, panienko, znakomicie. Tylko patrzeć, jak przejmiesz moją posiadłość.

Ma teraz żonę, która przyjechała z Indii, i małego synka. Czasami ich widuję, gdy zaglądną przez próg do pracowni, dziecko łagodne i niepewne, żona zatroskana. Nosi złote kolczyki i szal z wisiorami. Spod brązowego kanadyjskiego palta wystaje jej czerwone sari, niżej widać śniegowce.



Cordelia przychodzi do mnie, pomagam jej w pracy domowej z biologii, potem zostaje na kolacji. Ojciec, dziobiąc gulasz wołowy, mówi, że codziennie na ziemi wymiera jeden gatunek. Zatrujemy rzeki, mówi, niszczymy garnitur genowy planety. Kiedy jakiś gatunek wymiera, jego miejsce zajmuje inny, żeby wypełnić niszę ekologiczną, ponieważ przyroda nie znosi próżni. W ten sposób rozpleniają się chwasty, karaluchy i szczury, wkrótce nie będzie żadnych kwiatów oprócz mleczy. Jeżeli rodzaj ludzki dalej będzie nadmiernie się rozmnażać, mówi ojciec, wywijając widelcem, to pojawi się jakaś nowa epidemia, aby przywrócić równowagę. A wszystko dlatego że ludzie zlekceważyli podstawowe wskazania nauki, zajęli się w zamian polityką, religią i wojnami, gorliwie próbując usprawiedliwić fakt, że się nawzajem zabijają. Tymczasem nauka jest bezstronna i pozbawiona emocji, to jedyny uniwersalny język, język liczb. Kiedy już ugrzęźniemy po uszy w śmieciach, kiedy śmierć zajrzy nam w oczy, dopiero wówczas zwrócimy się po ratunek do nauki, niech po nas posprząta.

Cordelia słucha, uśmiecha się z przymusem. Uważa mojego ojca za dziwaka. Wiem, co myśli o jego słowach: nie tak powinna wyglądać rozmowa przy stole.

Idę na kolację do Cordelii. W jej domu kolacje są dwojakiego rodzaju – te z ojcem i te bez ojca. Kiedy ojca nie ma, wszystko się odbywa byle jak. Mamunia, jak zwykle roztargniona, siada do stołu w malarskim kitlu, a Perdie, Mirrie, Cordelia w dzinsach i męskich koszulach wyłożonych na wierzch, z włosami na lokówkach. Zrywają się od stołu, człapią do kuchni po więcej masła, po sól, o której się zapomniało. Mówią wszystkie naraz, paplają leniwie, z humorem, jęczą, kiedy wypada ich kolej sprzątania ze stołu.

– Ej, dziewczynki – upomina mamunia, ale bez przekonania. Nie chce jej się okazywać zawodu.

Przy ojcu kolacja wygląda zupełnie inaczej. Na stół wjeżdżają kwiaty i świece. Mamunia wkłada perły. Serwetek już się nie wpycha pod brzeg talerza, leżą starannie zwinięte w kółkach. O niczym się nie zapomina. Żadnych lokówek, żadnych łokci na stole, nawet plecy trzymają się prościej.

Dzisiaj wypada właśnie taki dzień ze świecami. Ojciec Cordelii – krzaczaste brwi, wilcze spojrzenie – siedzi u szczytu stołu, atakuje mnie całą mocą swojego uroku, przytłaczającego, zaprawionego ironią, przeraźliwego. Przy tym człowieku czuję, że liczy się to, co o mnie myśli, ponieważ jego ocena jest trafna, to natomiast, co ja myślę o nim, nie ma najmniejszego znaczenia.

– Obsiadły mnie te baby – mówi, niby to się żaląc. – Jedyne go mężczyznę w domu pełnym kobiet. Rano nie mogę się ogolić, bo mi nie dają wejść do łazienki. – Żartobliwie domaga się mojego współczucia. Nie wiem, co powiedzieć.

– Ma szczęście, że w ogóle go znosimy – odzywa się Perdie. Drobne impertynencje, sztubackie poufałości uchodzą jej na sucho. W nich zresztą celuje. Mirrie, przyparta do muru, robi minę skrzywdzonego niewiniątka. Cordelii nie udaje się ani jedno, ani drugie. Lecz wszystkie trzy mu schlebiają.

– O czym się teraz uczysz? – To do mnie. Stałe pytanie. Każda odpowiedź go ubawi.

– O atomie.

– Ach, atom. Pamiętam. I cóż atom ma dziś na swoje usprawiedliwienie?

– Który atom?

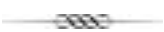
Wybuch śmiechem.

– No właśnie, który. A to świetne.

Może akurat czegoś takiego oczekuje: odbicia piłeczki. Cordelia nigdy się na to nie zdobędzie, bo zbyt się ojca boi. Boi się, że go nie zadowoli. A on i tak jest niezadowolony. Tyle razy to widziałam, jej nieśmiałe, niezdarne wysiłki, żeby go ugłaskać. Lecz cokolwiek zrobi, cokolwiek powie, nigdy nie wystarczy, ponieważ Cordelia w jakimś sensie nie dorasta do sytuacji.

Przyglądam się temu ze złością. Chętnie bym ją kopnęła. Jak może tak się łąsić? Kiedy wreszcie się nauczy?

Cordelia oblewa test semestralny z zoologii. Niespecjalnie się przejmuje. Połowę czasu, który mieliśmy na odpowiedzi, spędziła, rysując ukradkiem karykatury różnych nauczycieli. Pokazuje mi je w drodze ze szkoły, śmiejąc się przesadnie, jak to ona.



Czasami śnią mi się chłopcy. To nieme sny, sny ciała. Zostają ze mną przez kilka minut po przebudzeniu, rozkoszują się nimi, lecz wkrótce wszystko zapominam.

Mam również inne sny.

Śni mi się, że nie mogę się ruszyć. Nie mogę mówić, nawet nie mogę oddychać. Tkwię

w żelaznym płucu. Żelazo obciska mi ciało na kształt twardej cylindrycznej skóry. Właśnie ta żelazna skóra za mnie oddycha, wdech, wydech. Jestem zwarta i ciężka, nie odczuwam nic prócz tego ciężaru. Z jednego końca żelaznego płuca wystaje moja głowa. Patrzę w górę, na sufit, gdzie wisi lampa podobna do bryły mętnego żółtawego lodu.

Śni mi się, że przymierzam futrzany kołnierz przed lustrem, które trzymam na komodzie. Ktoś za mną stoi. Jeżeli się przesunę, tak aby zajrzeć do lustra, będę mogła, nie odwracając się, zerknąć przez ramię. Będę mogła zobaczyć kto to.

Śni mi się, że znalazłam czerwoną plastikową torebkę schowaną w szufladzie czy też w kufrze. Wiem, że w środku jest skarb, ale nie umiem jej otworzyć. Próbuje, ciągle próbuję, aż wreszcie torebka pęka jak balon. Jest pełna zdechłych żab.

Śni mi się, że dostałam głowę owiniętą białą ściereczką. Pod materiałem widzę zarys nosa, ust, brody. Mogłabym rozwinąć ściereczkę, sprawdzić, czyja to głowa, ale nie chcę, ponieważ wiem, że wówczas głowa ożyje.

45

Cordelia opowiada, że kiedy była młodsza, stłukła termometr i połknęła trochę rtęci, chciała się pochorować, żeby nie iść do szkoły. Czasem wtykała palec do gardła i wymiotowała, czasem, przysuwając termometr do żarówki, „nabijała” temperaturę. Raz dała się przyłapać matce, bo termometr leżał przy żarówce za długo i rtęć podskoczyła do czterdziestu trzech z kreskami. Po tej wpadce musiała bardziej uważać, żeby inne oszustwa się nie wydały.

– Ile miałaś lat? – pytam.

– Och, nie wiem. Jeszcze byłam w podstawówce. Wiesz, wtedy się robi takie numery.

Jest wtorek, połowa maja. Siedzimy w barku Sunnysides przy stoliku w boksie. Mają tu bufet z automatem do wody sodowej, krwawoczerwony w białe ciapki, wykończony chromem, przed bufetem rząd okrągłych kręconych stołków przyśrubowanych do podłogi. Ich czarne obicie z imitacji skóry cicho popierdują, kiedy się siada, toteż podobnie jak inne dziewczęta wolimy boksy. Są wyłożone ciemnym drewnem, blat stolika pomiędzy dwiema ławkami ma ten sam odcień czerwieni co bufet. Tutaj uczniowie z Burnham schodzą się po lekcjach na papierosa i coca-colę z wisienką maraskino. Jeżeli wrzuci się do coli dwie aspiryny, podobno można się upić. Cordelia próbowała, wcale się nie upiła, mówi.

Nie pijemy coli, tylko koktajl waniliowy, każda przez dwie słomki. Zsuwamy ze słomek papierowe opakowania, zmarszczone w harmonijkę przypominają krótkie gąsienice. Później skrapiamy je wodą, gąsienice się rozciągają, zupełnie jakby pełzły. Na stolikach w Sunnysides wala się mnóstwo takich skrawków mokrego papieru.

– Co powiedział kurczak, kiedy kura zniosła pomarańczę? – pyta Cordelia, ponieważ szkołę akurat zalewa fala trywialnych dowcipów o kurczakach. O kurczakach i o głupkach. „Dlaczego głupek wyrzucił zegar przez okno? Żeby zobaczyć, jak leci czas”.

– O, marmolada pomarańczowa – odpowiadam znużonym tonem. – Co powiedział głupek na polu golfowym?

– Co? – Cordelia z trudem zapamiętuje dowcip, nawet jeśli już go słyszała.

– Kto to tak podziurawił?

– Ha, ha. – Do rytuału należy łagodna pogarda wobec cudzych dowcipów.

Cordelia maże po stole palcem umoczonego w rozlanej wodzie.

– Pamiętasz te doły, które kiedyś kopałam? – pyta.

– Jakie doły? – Nie przypominam sobie żadnych dołów.

– Te w ogródku za domem. Strasznie chciałam tam mieć porządny dół. Zaczęłam jeden, ale ziemia była za twarda, pełna kamieni. Więc wykopałam drugi. Kopałam każdego dnia po szkole. Aż dostałam odcisków od łopaty. – Uśmiecha się zamyślona, zatopiona we wspomnieniach.

– Ale po co?

– Chciałam wstawić tam krzesło i sobie siedzieć. Sama.

Parskam śmiechem.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Pewnie potrzebowałam jakiegoś miejsca tylko dla siebie, gdzie nikt by się mnie nie czepiał. Jak byłam mała, wysiadywałam na krześle w holu. Myślałam, że jeśli w ogóle przestanę się ruszać i zejść wszystkim z oczu, i nie pisnę słówka, to będę bezpieczna.

– Od czego?

– Po prostu bezpieczna, kropka. Jak byłam taka zupełnie smarkata, ciągle miałam spięcia z tatą. Wtedy jak się wściekał. Nigdy nie mogłaś przewidzieć, kiedy go poniesie. Przestań się głupio szczyrzyć, mówił. A ja mu się stawiałam. – Rozgniała papierosa tłącego się w popielniczce. – Wiesz, nienawidziłam tego nowego domu. Nienawidziłam dzieciaków u Królowej Marii i tych wszystkich nudziarstw. Przeskakiwania klas. Właściwie nie miałam tam żadnych bliskich przyjaciółek... oprócz ciebie.

Twarz Cordelii się roztapia, formuje z powrotem. Spod spodu wyziera twarz dziewięcioletniej dziewczynki. Wszystko dzieje się w ułamku sekundy. Zupełnie jakbym stała na dworze, w ciemności, i w oświetlonym oknie uniosła się zasłona, ukazując życie, które się toczy w środku, wyraźnie, z najdrobniejszymi szczegółami. W tym przeblýsku widzę. Później już nie.

Krew uderza mi do głowy, żołądek się kurczy, jak gdybym o włos uniknęła nieszczęścia. Jak gdyby ktoś mnie przyłapał na kradzieży albo na kłamstwie; lub też jakbym usłyszała ludzi mówiących o mnie, obgadujących mnie za plecami. Odczuwam taki sam wstyd, poczucie winy i przerażenie, taki sam organiczny wstręt do samej siebie. Nie wiem jednak, skąd się biorą te uczucia, co takiego zrobiłam.

Nie chcę wiedzieć. Cokolwiek to jest, nie chcę tego ani nie potrzebuję. Pragnę być tu i teraz,

w majowy wtorek, siedzieć w Sunnysides przy czerwonym stoliku w boksie, przyglądać się, jak Cordelia delikatnie dopija przez słomkę resztę koktajlu. Nic nie spostrzegła.

– Posłuchaj tego – mówię. – Ilu głupeków potrzeba do wkręcenia żarówki?

– No, ilu?

– Pięciu. Jeden trzyma żarówkę, a czterech kręci stołem.

Cordelia przewraca oczami zupełnie jak Perdie.

– Bardzo śmieszne.

Zamykam oczy. Widzę ciemność i fioletowe kwiaty.

46

Zaczynam unikać Cordelii. Nie wiem dlaczego.

Już nie załatwiam podwójnych randek. Mówię jej, że mój chłopak nie ma odpowiednich kolegów. Mówię, że muszę zostać po lekcjach. To akurat prawda: maluję dekoracje na kolejny bal – palmy i kobiety w spódniczkach z trawy.

Czasem Cordelia na mnie czeka, więc musimy wracać razem. Trajkocze wtedy bez chwili przerwy, jak gdyby nigdy nic, ja prawie się nie odzywam, inna rzecz, że zawsze mówiłam niewiele. Po jakimś czasie Cordelia rzuca z przesadnym ożywieniem: – Ale ja tu gadam i gadam o sobie. Co u ciebie?

Uśmiecham się i odpowiadam: – Nic specjalnego.

Czasami żartuje na ten temat.

– No, dosyć o moich sprawach. Co ty o mnie myślisz?

Podejmuję żart.

– Nic specjalnego.



Cordelia oblewa coraz więcej testów. Niezbyt się martwi, w każdym razie nie chce o tym rozmawiać. Już jej nie pomagam w lekcjach, bo wiem, że i tak nie będzie uważać. Trudno jej się skupić na czymkolwiek. Nawet wtedy, gdy tak papla w drodze ze szkoły, zmienia temat w pół zdania, nie sposób za nią nadążyć. Pielęgnację też zaniedbuje, wraca do swoich niechlujnych nawyków sprzed lat.

Utleniony kosmyk zdążył odrosnąć, jest teraz dwukolorowy – aż przykro patrzeć. W rajstopach lecą oczka, przy bluzce brakuje guzików. Szminka jej się rozmazuje.

Zapada decyzja, że Cordelia znowu zmieni szkołę. Po przeniesieniu często do mnie dzwoni, potem coraz rzadziej. Trzeba by się spotkać, mówi. Nie zaprzeczam, lecz i nie ustaliam kiedy. Po chwili bąkam: – Muszę lecieć.

Rodzina Cordelii przeprowadza się do nowego, większego domu, do elegantszej dzielnicy w północnej części miasta. W ich dawnym domu mieszkają teraz jacyś Holendrzy. Sadzą mnóstwo tulipanów. Na tym, jak się wydaje, kończę z Cordelią.



Piszę maturę, jeden przedmiot po drugim, dzień po dniu, siedząc w ławce w sali gimnastycznej. Na dworze jest zielono, kwitną irysy, mamy falę upałów. Cali mokrzy piszemy zawzięcie, stłoczeni w gorącej jak piec sali, w której unosi się zapach ciał spoconych od ćwiczeń. Między rzędami przechadzają się patrole nauczycieli. Kilka dziewcząt mdleje. Jeden chłopak też pada nieprzytomny. Jak się później okazuje, miał wypić cały dzbanek soku pomidorowego prosto z lodówki, tyle że nie był to sok, ale Krwawa Mary, którą matka przygotowała na brydża. Kiedy ich wynoszą, ledwie odrywam oczy od kartki.

Wiem, że oba egzaminy z biologii zdam bez kłopotu. Wszystko potrafię narysować: narząd słuchu raka, ludzkie oko, genitalia żaby, kwiat lwiej paszczy (*Antirrhinum majus*) w przekroju. Znam różnicę między kiścią a kłęczem, umiem objaśnić proces fotosyntezy, bezbłędnie napisać słowo *Scrofulariaciae*. Lecz w połowie egzaminu z botaniki błyska myśl, nagła jak atak epilepsji, że mimo wszystko nie zostanę biologiem. Zostanę malarką. Patrzę na kartkę, gdzie nabiera kształtu cykl życiowy grzyba od zarodnika po owocnik, i wiem to z absolutną pewnością. Moje życie się odmieniło, po cichu, w okamgnieniu. A potem znowu opisuję bulwy, cebulki i strączki, jak gdyby nic się nie stało.



Któregoś wieczoru, zaraz po maturze, dzwoni telefon. To Cordelia. Uświadamiam sobie, że się tego spodziewałam.

– Chcę się z tobą zobaczyć. – Ja wręcz przeciwnie, ale i tak się z nią spotkam. Słyszę nie „chcę”, tylko „muszę”.

Nazajutrz po południu jadę metrem, a potem autobusem na północ przez rozgrzane miasto, do dzielnicy, w której teraz mieszka Cordelia. Nigdy dotąd tam nie byłam. Ulice są tutaj kręte i poplątane, domy ogromne, przytłaczające, w stylu georgiańskim, obrośnięte gęstwiną krzewów. Idąc ścieżką, widzę – albo tak mi się zdaje – twarz Cordelii w oknie, bladą i zamazaną. Ona sama otwiera drzwi, nim zdążę sięgnąć do dzwonka.

– Cześć – mówi. – Kopę lat! – To fałszywy entuzjazm, o czym obie wiemy. Cordelia wygląda

okropnie. Włosy ma matowe, cerę ziemistą. Nabrała ciała, nie tego jędrnego, muskularnego, lecz gąbczastego, nalanego i wodnistego. Znowu używa zbyt jaskrawej pomarańczowoczerwonej szminki, która nadaje twarzy żółtawy odcień. – Wiem. Wyglądam jak Torba Borba.

W domu jest chłodno. Podłogę holu tworzą białe i czarne kwadraty, pośrodku wznoszą się zgrabne schody. Obok na wypolerowanym stoliku stoi wazon mieczyków. Panuje cisza, tylko w salonie zegar wybija godzinę. Poza nami chyba nikogo tu nie ma.

Nie idziemy do salonu. Mijamy schody i wchodzimy do kuchni, gdzie Cordelia częstuje mnie filiżanką neski. To piękna kuchnia, doskonale urządzona, pastelowa i spokojna. Lodówka i kuchenka są białe. Niektórzy ludzie mają teraz kolorowe lodówki, bladozielone albo różowe, ale nie lubię tych kolorów i cieszę się, że matka Cordelii też ich nie lubi. Na stole leży otwarty zeszyt w linie, sam stół to dawny stół z jadalni bez dwóch środkowych desek. Co oznacza, że w jadalni teraz mają nowy. Straszne, ale bardziej mnie ciekawi ten nowy stół niż sama Cordelia.

Cordelia szpera w lodówce, wyciąga napoczętą paczkę kupnych pączków.

– Właśnie szukałam wymówki, żeby je pożreć do końca – mówi. Lecz już po pierwszym kęsie zapala papierosa. – No, co porabiasz? – Przesadnie wesoły głos, którym kiedyś się zwracała do chłopców. Teraz ten głos mnie przeraża.

– Och, nic nadzwyczajnego. Takie tam. Matura. – Mierzymy się wzrokiem. Cordelia jest w dołku, to jasne. Nie wiem, czyby wołała, żebym to zignorowała, czy nie. – A co u ciebie?

– Mam korepetytorkę. Muszę się uczyć. Do poprawki. – Rozumie się samo przez się, że pomimo nowej szkoły zawałała rok. Zawałała kompletnie. Jeżeli nie zaliczy przedmiotów, które oblała, nie zda matury w drugim ani w żadnym innym terminie, może na zawsze się pożegnać ze studiami.

– Fajna jest? – Pytam o korepetytorkę, jakbym pytała o nową sukienkę.

– Chyba tak. Nazywa się Dingle. Poważnie. Panna Wąwóz. Bez przerwy mruga, oczy jej łzawią. Mieszka w takiej obskurnej klitce. Nosi łososiową bieliznę, którą widziałam, jak się suszy na pręcie od zasłony przy prysznicu w tej jej obskurnej łazience. Zawsze mogę ją odciągnąć od tematu, wystarczy, że spytam o zdrowie.

– Jakiego tematu?

– Każdego. Fizyka, łacina. Dowolnie. – Cordelia trochę się tego wstydzi, ale jednocześnie jest dumna z siebie i podniecona. Całkiem jak wtedy, gdy podkradała różne rzeczy ze sklepów. Oto jej dzisiejsze osiągnięcia: wyprowadzanie w pole korepetytorce. – Sama nie wiem, dlaczego moja rodzinka myśli, że całymi dniami się uczę. Dużo śpię. Albo piję kawę, palę, słucham płyt. Czasem pociągam łyżeczek whisky taty. Dolewam wody do karafki. Jeszcze się nie połapał!

– Słuchaj, przecież coś musisz robić! – wtrącam.

– Dlaczego? – W jej głosie pobrzmiwa odrobina dawnej wojowniczości. Cordelia nie całkiem żartuje.

Nie umiem podać żadnego powodu. Nie mogę powiedzieć: „Bo wszyscy coś robią”. Nie mogę nawet powiedzieć: „Musisz jakoś zarabiać na życie”, ponieważ tego akurat nie musi, to oczywiste, siedzi

w tym ogromnym domu i nie musi kiwnąć nawet palcem. Mogłaby dalej tak żyć, w stylu kobiet z dawnych lat, niby jakaś niezamężna ciotka albo starzejący się wieczny podłotek, który nigdy nie wyfrunie z domu. Mało prawdopodobne, żeby rodzice ją wyrzucili.

– Zanudzisz się – mówię w końcu.

Cordelia wybucha śmiechem, zbyt głośnym.

– No dobrze, będę wkuwać. I co? Zdaję maturę. Idę na studia. Wszystkiego się uczę. Staję się drugą Dingle. Nie, dzięki.

– Mówisz jak kretyńka. Niby dlaczego masz się zaraz stać drugą Dingle?

– Może faktycznie jestem kretynką. Nie mogę się skupić. Jak tylko spojrzę na kartkę, widzę same czarne kropeczki.

– Mogłabyś pójść na kurs dla sekretarek. – Ledwie to powiedziałam i już czuję się jak zdrajczyni. Cordelia wie, co obie myślimy o dziewczętach z tych kursów, panienkach z wyskubanymi brwiami, w różowych nylonowych bluzkach.

– Serdeczne dzięki. – Zapada cisza. – No, ale dosyć tego nudzenia – podejmuje Cordelia, znowu superwesołym tonem. – Porozmawiajmy o czymś zabawniejszym. Pamiętasz tamtą kapustę? Skaczącą kapustę?

– Tak. – Przychodzi mi do głowy, że może jest w ciąży lub była wcześniej. To naturalne, każdy tak przypuszcza, jeśli dziewczyna przerywa naukę. Ale nie, mało prawdopodobne.

– Myślałam, że się spalę ze wstydu. A pamiętasz, jak jeździłyśmy do śródmieścia i robiłyśmy sobie zdjęcia na dworcu? Zdawało nam się, że takie jesteśmy oblatane.

– Jeszcze zanim zbudowali metro.

– Rzucałyśmy śnieżkami w staruszki. Śpiewałyśmy te głupie piosenki.

– Trądzie – mówię.

– Kęs twego serca – mówi Cordelia. – Zdawało nam się, że pozjadałyśmy wszystkie rozumy. Teraz patrzę na dzieciaki w tym wieku i myślę sobie: gówniarze!

Wraca do tamtych czasów jak do swojego złotego wieku. A może tak je widzi, bo były to lepsze dni niż dzień dzisiejszy. Ja jednak nie chcę, żeby dalej wspominała. Bronię się przed jej wspomnieniami, tymi następnymi, bardziej ponurymi, chcę się w miarę taktownie stąd wydostać, zanim się zdarzy coś żenującego.

Cordelia balansuje na granicy udawanej wesołości, za chwilę może wpaść w przeciwny nastrój – łzy, rozpacz. Wolę nie widzieć, jak się rozkleja, ponieważ nie mogę jej ofiarować żadnej pociechy.

Nie żal mi Cordelii. Zachowuje się idiotycznie. Nie musi tu tkwić jak uwięziona, pogrążona w tym żalobnym, chronicznym, tanim cierpieniu. Ma tyle rzeczy do wyboru, tyle możliwości, a jedyne, co ją powstrzymuje, to brak silnej woli. Pozbieraj się wreszcie, chcę jej powiedzieć. Weź się w garść.

Mówię, że muszę już pędzić, że później gdzieś wychodzę. To nieprawda i Cordelia się tego domyśla. Choć jest całkiem niepozbitana, jeden zmysł jej się wyostrzył: bezbłędnie wyczuwa towarzyskie oszustwa.

– Naturalnie – rzuca. – Doskonale rozumiem. – Obojętny ton, głos dorosłej osoby.

Teraz kiedy się spieszę na pokaz, zdaję sobie sprawę, że uciekam, między innymi dlatego, by się nie natknąć na matkę Cordelii, która akurat wracałaby do domu. Popatrzyłaby na mnie z wyrzutem, jakbym to ja doprowadziła Cordelię do takiego stanu, jakbym sprawiła jej zawód – właśnie ja, a nie Cordelia. Dlaczego miałabym się narażać na takie spojrzenie, skoro w niczym tu nie zawiniłam?

– Do widzenia, Cordelio – mówię w holu. Prędko ściskam ją za ramię, odsuwam się, żeby nie zdążyła mnie pocałować w policzek. W tej rodzinie całują w policzek. Czegoś ode mnie oczekiwała, wiem, jakiegoś powiązania ze swoim dawnym życiem albo z samą sobą. A ja nie spełniłam tych oczekiwań. Zdziwiała mnie własne okrucieństwo i obojętność, brak życzliwości. Zarazem jednak czuję ulgę.

– Niedługo zadzwonię. – Kłamię, ale Cordelia woli nie przyjmować tego do wiadomości.

– Świetnie – mówi tak, jak wypada. Idę ścieżką do ulicy, odwracam się, patrzę. W oknie znowu widać jej twarz, zamazane odbicie księżycy.

[*] Cytaty z *Juliusza Cezara* i *Makbeta* w przekładzie Józefa Paszkowskiego.

X

RYSUNEK Z NATURY

47

Jest kilka chorób pamięci. Zapomina się chociażby rzeczowniki albo liczby. Są też bardziej złożone przypadki amnezji. W jednym można utracić całą przeszłość: człowiek zaczyna wszystko od nowa, uczy się zawiązywać sznurowadła, jeść widelcem, czytać, śpiewać. Przedstawiają mu krewnych, najdawniejszych przyjaciół, jak gdyby nigdy ich przedtem nie widział. Ma drugą szansę, lepszą niż przebaczenie, ponieważ niczego nie jest świadomy. W innym przypadku pamięta się odległą przeszłość, lecz zapomina teraźniejszość. Nie sposób sobie przypomnieć, co się zdarzyło pięć minut temu. Gdy ktoś, kogo znaliśmy całe życie, wychodzi z pokoju i po chwili wraca, witamy go tak, jakby przepadł na dwadzieścia lat. Płacemy, zalewamy się łzami radości i ulgi, jakbyśmy znów się połączyli z naszymi zmarłymi.

Czasem się zastanawiam, na którą z tych chorób sama zapadnę za jakiś czas. Bo zachoruję, to pewne.

Całymi latami chciałam być starsza i oto jestem.

Siedzę pośród agresywnej, smolistej czerni Quasi, piję czerwone wino, wyglądam przez okno. Za szybą przepływa Cordelia, roztapia się i znów składa w całość, zmienia w kogoś innego. Jeszcze jedna pomyłka co do osoby.

Dlaczego dali jej tak na imię? Zawiesili ten kamień u szyi? Serce księżycy, klejnot morza – zależnie od tego, w którym języku. Trzecia siostra, jedyna szczerą siostrą. Uparta, odtrącona, niewysłuchana. Czy wszystko by się ułożyło inaczej, gdyby nazwali ją Jane?

Moja własna matka dała mi imię po swojej najlepszej przyjaciółce, dawniej coś takiego było w zwyczaju. Elaine – kiedyś mi się wydawało zanadto płacziwe. Wolałabym coś bardziej stanowczego, jakąś monosylabę: Dot albo Pat, niby tupnięcie. Coś, czego nie sposób pomylić. Nic rozmytego. Jednak imię z czasem się ze mną zrosło. Myślę, że teraz już nie jest szorstkie, obce, ale pasuje do mnie jak porządnie znoszona rękawiczka.

Sporo tutaj czerni, neoczerni, częściowo czerni skóry, częściowo lśniącego winylu. Tym razem się przygotowałam, mam na sobie czarny bawełniany golf i czarny trenz z przypinanym kapturem, tylko faktura jest nieodpowiednia. I nie ten wiek: wszyscy tu mają po dwanaście lat. To Jon zaproponował Quasi. Zaufać mu to jak balansować na skrajach przepaści.

Zawsze się spóźniał, miał na tym punkcie bzika, w ten sposób dawał do zrozumienia, że jego życie wypełnia cała masa spraw, w tym każda jest ważniejsza ode mnie. Dzisiejszy dzień nie jest wyjątkiem. Jon wpada spóźniony o pół godziny. Dziś jednak przeprasza. Czyżby czegoś się nauczył? A może nowa żona krócej go trzyma? Zabawne, wciąż o niej myślę „nowa”.

– W porządku, tak celowałam – mówię. – Jak miło, że mogłeś wyskoczyć się zabawić. – Drobny, wstępny prztyczek żonie w nos.

Uśmiecha się szeroko.

– Lunch z tobą raczej trudno nazwać zabawą.

Nadal potrafi się odgryźć. Oglądamy się nawzajem. Przez te cztery lata przybyło mu zmarszczek, baczki i wąsy jeszcze bardziej posiwiały.

– Tylko nie wspominaj o łysince – rzuca.

– Jakiej znowu łysince? – To znaczy, że przymknę oko na jego degenerację fizyczną, jeżeli on przymknie oko na moją. Pod tym względem też umie się zachować.

– Wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek – mówi. – No tak, sprzedajesz się jak świeże bułeczki, widać ci to służy.

– A i owszem. Nie da się tego porównać z lizaniem dupy i rąbaniem ciał kobiet w różnych tam pornosach i tandetnych filmach. – Kiedyś po czymś takim polałaby się krew, ale do tej pory Jon zapewne pogodził się z losem. Wzrusza ramionami, nadrabia miną, wygląda jednak na zmęczonego.

– Trochę cierpliwości, a liżący staje się lizanym. Od czasu tamtego eksplodującego oka nic tylko mnie głaszczą i pieszczą. Od stóp do głów ociekam śliną.

Rzecz trąci wulgarnym erotyzmem, ale nie podejmuję wątku. Jon ma rację, myślę. Staliśmy się establishmentem. W każdym razie takie pewnie sprawiamy wrażenie. Kiedyś znajomi popełniali samobójstwa, ginęli w wypadkach motocyklowych, umierali taką czy inną gwałtowną śmiercią. Dzisiaj to choroby: zawał, rak, zdrady ciała. Światem rządzą ludzie w moim wieku, mężczyźni w moim wieku, z wypadającymi włosami i szwankującym zdrowiem, i to mnie przeraża. Kiedy przywódcy byli starsi ode mnie, mogłam wierzyć w ich mądrość, wierzyć, że się wzniesli ponad gniew, złą wolę i potrzebę miłości. Teraz mam więcej rozumu. Spoglądam na twarze w gazetach, w czasopiśmie, i myślę: jakie żądze, jakie furie nimi kierują?

– A jak tam twoja prawdziwa praca? – pytam, łagodniejąc, dając Jonowi do zrozumienia, że wciąż go biorę na serio.

Trafiam w czuły punkt.

– W porządku. Chociaż ostatnio jakoś nie bardzo mogłem się przyłożyć.

Milczymy, rozważamy swoje niepowodzenia. Niewiele nam zostało czasu, żeby się stać tym, kim kiedyś zamierzaliśmy. Jon ma potencjał, lecz tego słowa dziś już się nie używa tak bez troski. Potencjał też ma swój dopuszczalny okres przydatności.

Rozmawiamy o Sarze, swobodnie i bez współzawodnictwa, jakbyśmy byli jej ciotką i wujkiem. Rozmawiamy o mojej wystawie.

– Pewnie widziałeś, jak mnie obsmarowali w gazecie.

– Dlaczego zaraz obsmarowali?

– To moja wina. Dopiekłam dziennikarce. – Staram się, żeby to brzmiało jak skrucha. – Tylko patrzeć, jak się stanę kłótniwą starą wiedźmą.

– Byłbym zawiedziony, gdybyś jej nie dopiekła – oświadcza Jon. – Niech się napocą, w końcu za to im płacą. – Oboje parskamy śmiechem. On wie, jaką potrafię być żołą.

Patrę na Jona z nostalgicznym sentymentem, jakim mężczyźni podobno darzą wojny, w których brali udział, i swoich kolegów weteranów. Myślę: kiedyś rzucałam w tego człowieka różnymi rzeczami. Raz rzuciłam szklaną popielniczką, która się nie stłukła. Rzuciłam butem (Jona) i torebką (swoją), nawet jej przedtem nie zamknęłam, toteż obsypał go metalowy grad kluczy i drobnych monet. Najgorsze, czym mi się zdarzyło rzucić, to mały przenośny telewizor. Stojąc na łóżku, cisnęłam nim, wspomagana sprężynami materaca, choć w chwili gdy pofrunął, pomyślałam: o Boże, niech Jon się uchyli! Kiedyś mi się wydawało, że mogłabym go zamordować. Dzisiaj tylko żałuję, że wówczas nie zdobyliśmy się na więcej kultury. Zadziwiający były te wybuchy, ta brawura, całe to zamieszanie w technikolorze. Zadziwiający, bolesne i niemal śmiertelne.

Teraz, gdy Jon mi już nie zagraża – ani ja jemu – mogę go wspominać z czułością i nawet w miarę szczegółowo, czego się nie da powiedzieć o paru innych panach. Dawni kochankowie dzielą los starych fotografii, stopniowo blakną niczym w kwaśnej kąpieli: najpierw znamiona i pryszcze, później koloryt, wreszcie same twarze, aż nie zostaje nic prócz konturów. Co się zachowa, kiedy będę miała siedemdziesiątkę? Ani krzty barokowej ekstazy, ani cienia groteskowego przymusu. Słowo czy dwa zawieszony w wewnętrznej pustce. Może jakiś palec u nogi, jakieś nozdrze albo wąsy pływające niby kłębek wodorostów wśród innych szczątków.

Naprzeciwno, po drugiej stronie czarnego jak noc stolika, Jon, jakkolwiek zanikając, wciąż się porusza i oddycha. Czuję ukłucie bólu i tęsknoty. Nie odchodź! Jeszcze nie czas! Nie odchodź! Jak zwykle byłoby głupotą zdradzić się przed nim z moim sentymentalizmem, z moją słabością.

Jemy coś w stylu tajskim: kurczaka, pikantnego i soczystego, sałatkę z egzotycznej zieleniny, czerwone liście, mikroskopijne fioletowe szczapki. Czyste efekciarstwo. Właśnie czymś takim ludzie teraz się żywią, ludzie, którzy jadają w takich lokalach. Toronto już nie jest krainą kurczaków zapiekanych w cieście, gulaszu wołowego, rozgotowanych warzyw. Przypomina mi się moje pierwsze

awokado – miałam wtedy dwadzieścia dwa lata. To tak jak z moim ojcem i jego pierwszą orkiestrą symfoniczną. Przekornie tęsknię do deserów z dzieciństwa, wojennych deserów, prostych, tanich i mdłych: do budyniu tapiokowego z „rybimi oczami” z galaretki, do kisielu karmelowego, leguminy serowej. Leguminę zagęszczało się białymi pastylkami z tubki i podawało z dżemem winogronowym na wierzchu. Teraz pewnie ślad po niej zagał.

Jon zamówił całą butelkę, nie dla niego ciurkanie po jednym kieliszku. To cień dawnego zadęcia, wciąż ten sam pawi ogon. Pocieszające.

– Co tam u twojej żony? – pytam.

– Och... – Spuszcza oczy. – Mary Jane i ja postanowiliśmy na trochę się rozstać.

To by mogło tłumaczyć herbatę ziołową. Jakieś młodsze, bardziej wegetariańskie wpływy, w pracowni, po kryjomu.

– Masz mały numerek na boku, co? – rzucam. – A wiesz, już się nie mówi „gadać”, tylko „nawijać”, zauważyłeś?

– Ściśle biorąc, to Mary Jane odeszła.

– Przykro mi. – I w tej samej chwili rzeczywiście robi mi się przykro, jestem wściekła, jak mogła, zdzira jedna, zimna ryba bez serca. Staję po stronie Jona, chociaż sama go tak urządziłam wiele lat temu.

– Chyba to częściowo moja wina – ciągnie. Kiedyś za żadne skarby by tego nie przyznał. – Powiedziała, że nie może do mnie dotrzeć.

Założę się, że powiedziała o wiele więcej. Jon coś utracił, jakieś złudzenie, którego – tak kiedyś myślałam – koniecznie potrzebował. Wreszcie zrozumiał, że też jest człowiekiem. A może tylko się przede mną zgrywa, chce pokazać, że idzie z duchem czasu? Może mężczyznom nie należało mówić o ich człowieczeństwie. To tylko ich rozstroiło. Stali się bardziej podstępni, przebiegli, bardziej wykrętni i nieprzeniknieni.

– Gdyby nie te twoje odchyły, może jakoś by się ułożyło – mówię. – To znaczy, między nami.

Zaraz się ożywia.

– Kto miał odchyły? – pyta, znowu z szerokim uśmiechem. – Kto kogo odwoził do szpitala?

– Gdyby nie ty, w ogóle by nie było potrzeby jechać do szpitala.

– To nie fair i dobrze o tym wiesz.

– Masz rację – przyznaję. – To nie fair. Cieszę się, że mnie odwiozłeś do szpitala.

O ile łatwiej się wybacza mężczyznom niż kobietom.

– Odprowadzę cię – mówi Jon, gdy już stoimy na chodniku. Miło by było. Tak dobrze się zgadzamy, teraz kiedy już nie ma o co kruszyć kopii. Rozumiem, dlaczego się w nim zakochałam. Dziś jednak brak mi energii.

– Dam sobie radę. – Nie chcę się przyznać, że nie wiem, dokąd pójde. – Dzięki za pracownię. Daj znać, gdybyś czegoś stamtąd potrzebował. – Jon na pewno nie zajrzy do pracowni, dopóki ja tam jestem, nadal byłoby zbyt niezręcznie, zbyt ryzykownie dla nas obojga znaleźć się razem za drzwiami, które można zamknąć na klucz.

– Może kiedyś wyskoczymy na drinka – mówi.

– Może kiedyś – potakuję.



Pożegnawszy się z Jonem, idę Queen Street, mijam ulicznych handlarzy sprzedających podkoszulki z pikantnymi nadrukami, mijam seksowne pasy do pończoch i atlasowe majtki na wystawach. Myślę o obrazie, który namalowałam dawno temu. Nosił tytuł *Upadające kobiety*. Wiele moich płócien wzięło się wtedy z pomieszania pewnych słów.

Na obrazie nie było mężczyzn, chociaż traktował właśnie o mężczyznach, o tych, którzy doprowadzają kobiety do upadku. Nie przypisywałam im żadnych złych zamiarów. Pozbawieni zdolności rozumowania, przypominali pogodę. Zsyłali ulewny deszcz albo uderzali jak grom, po czym sunęli dalej, bezmyślni jak burza śnieżna. Lub też przypominali skały, rząd ostrych, śliskich skał o najeżonych krawędziach. Jeżeli człowiek uważał, mógł przejść pomiędzy nimi, ostrożnie stawiając kroki, a jeśli się pośliznął, przewracał się i kaleczył, lecz nie było sensu obarczać winą skał.

Zapewne to właśnie oznaczały upadłe kobiety: kobiety, które upadły na mężczyzn i się zraniły. Kojarzyły się z lotem ku dołowi, wbrew czyjejś woli i bez niczyjej woli. Upadłych kobiet nikt nie ściągnął w dół ani nie zepchnął, one po prostu upadły. Rzecz jasna, nasuwała się na myśl Ewa i Upadek, w tej jednak historii wcale się nie mówiło o upadku, wyłącznie o jedzeniu, tak jak w większości opowiadań dla dzieci.

Mój obraz ukazywał trzy kobiety spadające z mostu, niezamierzenie, w sukienkach wydętych wiatrem na kształt dzwonów, z włosami rozwianymi ku górze. Opadały coraz niżej, na mężczyzn, którzy tam daleko w dole leżeli niewidoczni, najeżeni, mroczni i bezwolni.

Wpatruję się w nagą kobietę. Na obrazie to byłby akt, ale kobieta nie jest przedstawiona na obrazie. To pierwsza naga, żywa kobieta, jaką widziałam w życiu, prócz własnego odbicia w lustrze.

Dziewczęta w szkolnej szatni zawsze miały na sobie bieliznę – a to nie to samo, podobnie jak kobiety z reklam w czasopiśmie, kobiety w jednoczęściowych kostiumach kąpielowych z lycry z nieprzezroczystą wstawką w kroku.

Nawet ta kobieta nie jest całkowicie naga, ma kawałek materiału udrapowany na lewym udzie i wetknięty pomiędzy nogi, nie widać włosów. Siedzi na stołku, pośladki rozplaszczają się na boki. Krępe plecy ma zgięte, prawa noga założona na lewą, prawy łokieć wsparty na prawym kolanie, lewa ręka z tyłu, dłoń na stołku. Oczy znudzone, głowa opada do przodu, tak jak ją upozowano. Na pewno zdrętwiała, jest jej niewygodnie i zimno, dostała gęsiej skórki na ramionach. Ma grubą szyję. Włosy kręcone, krótkie, rude, ciemniejsze przy skórze. Chyba żuje gumę, raz na jakiś czas pomału, ukradkiem porusza szczęką. A nie powinna nawet drgnąć.

Próbuję ją narysować węglem. Staram się osiągnąć płynność kreski. Właśnie temu ma służyć poza kobiety: płynności kreski. Wolałabym raczej używać twardego ołówka. Węgiel się rozmazuje, przywiera do palców, nie nadaje się do rysowania włosów. Na dodatek kobieta mnie przeraża. Jest strasznie opasła, zwłaszcza poniżej talii. Na brzuchu ma wálki tłuszczu, piersi obwisłe, z ogromnymi ciemnymi sutkami. Ostre światło jarzeniówki pada z góry wprost na nią, zmienia oczodoły w dwie pieczary, podkreśla zmarszczki biegnące od nosa do brody. Jednakże masywność ciała sprawia, że głowa wydaje się zaledwie dodatkiem. Kobieta nie jest szczególnie urodziwa. Staram się jej nie upiększać.

To wieczorne zajęcia. Rysunek żywego modelu z natury. Odbywają się we wtorki w Akademii Sztuk Pięknych, w wielkiej sali, za którą znajdują się praktyczne schody, dalej McCaul Street, jeszcze dalej Queen z pijakami i torami tramwajowymi, wreszcie kwadratowe, pudełkowate Toronto. W sali siedzi nas tuzin, wszyscy z prawie nowymi blokami brystolu tchnącymi nadzieją, z umazanymi na czarno czubkami palców. Dwie starsze kobiety, ośmiu młodych mężczyzn, dziewczyna w moim wieku i ja. Nie studiuje w akademii, ale na te zajęcia mogą się zapisywać ludzie z zewnątrz. Pod pewnym warunkiem: trzeba przekonać wykładowcę, że podchodzi się do sprawy serio. Nie wiadomo, jak długo tu się utrzymam.

Wykładowca to pan Hrbik. Jest po trzydziestce, ma ciemne kędzierzawe włosy, wąsy, haczykowany nos, oczy prawie fioletowe, jak morwy. Zazwyczaj patrzy na człowieka bez słowa. Chyba wcale wtedy nie mruga.

Kiedy przyszedłam na wstępną rozmowę, spostrzegłam najpierw jego oczy. Pan Hrbik siedział rozparty na krześle w ciasnym, zawalonym papierzyskami gabinecie. Obgryzał koniec ołówka. Na mój widok odłożył ołówek.

– Ile masz lat? – spytał.

– Siedemnaście. Prawie osiemnaście.

– Ach. – Westchnął, jakby to była zła wiadomość. – Co zrobiłaś?

Pytanie zabrzmiało zgoła oskarżycielsko. Po chwili zrozumiałam: należało przynieść „teczkę ostatnich prac”, jak to nazywali, czyli rozmaite obrazki, żeby pan Hrbik mógł mnie ocenić. Nie bardzo miałam co przynosić. Ze sztuką zetknęłam się bodaj raz, w szkole średniej, na lekcjach wychowania plastycznego w dziewiątej klasie, kiedy to słuchając sonaty *Księżycowej*, przedstawialiśmy muzykę za pomocą falistych kolorowych linii albo rysowaliśmy tulipana w wazonie. Nigdy w życiu nie byłam w galerii sztuki, przeczytałam jedynie artykuł o Picassie w czasopiśmie „Life”.

Ubiegłego lata, kiedy dorabiałam sobie do kieszonkowego, ścieląc łóżka i myjąc toalety w uzdrowisku Muskoka, w sklepie dla turystów kupiłam niewielki zestaw farb olejnych. Nazwy na tubkach brzmiały jak tajne hasła: błękit kobaltowy, umbra palona, laka karmazynowa. W wolnych chwilach wyprawiałam się z farbami na brzeg jeziora, siadałam oparta o drzewo, na kłującym sosnowym igliwiu, i patrzyłam na płaską, metaliczną toń wody, na żaglówki wyłożone od wewnątrz lśniącem mahoniem, na małe flagi powiewające na rufie. Tymi żaglówkami czasami pływały inne pokojówki, dziewczyny, które wymykały się na zakazane prywatki do pokoi gości, piły z papierowych kubków wódkę z piwem imbirowym i podobno szły na całość. Nieraz zdarzały się zraszane łzami konfrontacje w pralni, nad złożonymi prześcieradłami.

Nie wiedziałam ani jak, ani nawet co malować, wiedziałam tylko, że muszę zacząć. W końcu namalowałam butelkę po piwie, bez nalepki, drzewo podobne do uszkodzonej packi na muchy oraz kilka nieporadnych obrazów skał barwy szlamu z jadowicie niebieskim jeziorem w tle. A także zachód słońca, który wyglądał jak plama na ubraniu.

Wydobyłam te swoje malunki z czarnej kartonowej teczki. Pan Hrbik zmarszczył brwi i bez słowa zaczął się bawić ołówkiem. Poczulałam zniechęcenie, a zarazem nabożny lęk, gdyż miał nade mną władzę – mógł mi zamknąć drogę. Uważał, że moje prace są do niczego, tyle widziałam. Bo i takie były.

– Coś jeszcze? – rzucił. – Jakies rysunki?

W desperacji dołączyłam do teczki kilka starych rysunków ołówkiem z lekcji biologii, z różnokolorowym cieniowaniem. Wiedziałam, że lepiej umiem rysować niż malować, tym się zajmowałam znacznie dłużej. Nie miałam nic do stracenia, pokazałam więc rysunki.

– To tutaj, jak się nazywa? – Podniósł pierwszy z kupki, trzymając go do góry nogami.

– Wnętrze dżdżownicy – wyjaśniłam.

Wcale się nie zdziwił.

– A to?

– Wirek. Przekrój zabarwiony.

– A to?

– Układ rozrodczy żaby. Samca – uściśliłam.

Pan Hrbik wlepił we mnie błyszczące fioletowe oczy.

– Dlaczego chcesz chodzić na zajęcia?

– Tylko na te mogę się dostać. – Fatalnie to zabrzmiało. – To moja jedyna nadzieja. Nie znam nikogo innego, kto by mógł mnie uczyć.

– A dlaczego chcesz się uczyć?

– Nie wiem – przyznałam.

Pan Hrbik podniósł ołówek i wetknął do kącika ust jak papierosa. Później znowu wyjął. Pogmerał palcami we włosach.

– Jesteś kompletną amatorką – zawyrokował. – Ale czasem tak lepiej. Możemy zacząć od zera.
– Uśmiechnął się do mnie, pierwszy raz. Miał nierówne zęby. – Zobaczymy, co się da z ciebie zrobić.



Pan Hrbik przechadza się po sali. Załamuje nad nami ręce, nad nami wszystkimi, włącznie z modelką, to ukradkowe żucie gumy doprowadza go do szału.

– Nie ruszać się – strofuje modelkę, targając się za włosy. – Starczy tej gumy. – Kobieta rzuca mu wrogie spojrzenie, zaciska szczęki. Pan Hrbik chwyta ją za ramiona, za głowę o naburmuszonej twarzy i ustawia inaczej, jakby była manekinem. – Spróbujemy jeszcze raz.

Spaceruje w tę i z powrotem, zagląda każdemu z nas przez ramię, burczy pod nosem, podczas gdy salę napęlnia ostry, suchy chrobot, szuranie węgla po papierze.

– Nie, nie – upomina pan Hrbik któregoś z mężczyzn. – To jest ciało. – Wymawia „ciao”. – Nie automobil. Musisz myśleć o palcach, jak go dotykają, o ręce, jak się po nim posuwa. Musi być namacalne.

Staram się, ale na próżno, aż się wzdrygam ze wstrętu. Za nic bym nie dotknęła tego cielska, tej gęszej skórki.

Jedna ze starszych kobiet słyszy: – Nie chcemy tu ładnie. Ciao nie jest ładne jak kwiat. Rysuj to, co tu masz.

Pan Hrbik staje za mną. Kurczę się, czekam.

– Nie robimy podręcznika medycyny. A ty zrobiłaś trupa, nie kobietę. – Wymawia „kobietę”.

Przyglądam się rysunkowi. Święta racja. Jestem uważna i dokładna, lecz narysowałam człekokształtną butelkę, bierną i bez życia. Odwaga, która mnie tutaj przywiodła, teraz się ulatnia. Nie mam talentu.

Jednakże na koniec zajęć, kiedy modelka już się sztywno podniosła, owinęła płachtą i poczłapała się ubrać, kiedy chowam węgiel, pan Hrbik znowu do mnie podchodzi. Wyrwam z bloku wszystkie szkice, chcę je zmiąć, ale on szybkim ruchem przytrzymuje moją rękę.

– Zostaw.

– Dlaczego? – dziwię się. – Są beznadziejne.

– Spojrzysz na nie później i zobaczysz, jak daleko zaszłaś. Bardzo dobrze rysujesz przedmioty. Ale na razie nie umiesz rysować życia. Bóg najpierw stworzył ciao z gliny, a potem tchnął w nie duszę. I jedno, i drugie jest niezbędne. Glina i dusza. – Uśmiecha się przelotnie, ściska mnie za ramię. – Musi

być namiętność.

Patrzę na niego zbity z tropu. Popęłnił wykroczenie: ludzie nie mówią o ciałach, chyba że chodzi o chorobę, nie mówią o duszy, chyba że w kościele, ani o namiętności, chyba że mają na myśli seks. Lecz pan Hrbik jest tutaj obcy, nie można wymagać, aby o tym wiedział.

– Jesteś niedokończoną kobijetą – dorzuca zniżonym głosem – ale my cię tu wykończymy. – Nie zdaje sobie sprawy, że „wykończymy” oznacza „załatwimy na amen”. Pragnie mi dodać otuchy.

49

Siedzę w ciemnym audytorium na parterze Royal Ontario Museum, rozparta na twardym fotelu pokrytym szorstkim pluszem, wdychając zapach kurzu, duchoty, stęchłych obić, słodkawą woń pudru innych studentek. Oczy robią mi się coraz bardziej okrągłe, źrenice się rozszerzają jak u sowy. Od godziny oglądam slajdy, żółtawe, czasem nieostre, przedstawiające marmurowe kobiety o spłaszczonych głowach. Głowy podtrzymują kamienne belkowania, na oko bardzo ciężkie: nic dziwnego, że się spłaszczyły. Marmurowe kobiety to kariatydy, co pierwotnie oznaczało kapłanki Artemidy z Karyai. Nie są już jednak kapłankami, są ozdobami, które spełniają funkcje kolumn.

Slajdów z kolumnami również nie brakuje, z różnymi stylami kolumn z różnych okresów: doryckimi, jońskimi, korynckimi. Doryckie są najmocniejsze i najprostsze, korynckie najlżejsze i najbardziej ozdobne, tam rzędy liści akantu przechodzą w zgrabne woluty i heliksy. Z mrocznego obszaru obok ekranu wynurza się długa wskazówka, dotyka wolut i heliksów, zaznacza, które są które. Później przydadzą mi się te nazwy, kiedy będę musiała ponownie je przetrwać przed egzaminem, toteż staram się wszystko zapisać w notatniku, schylając głowę nad kartką, żeby cokolwiek dojrzeć. Ostatnio spędzam mnóstwo czasu, notując niezrozumiałe słowa w mroku.

Liczę, że sytuacja się poprawi w przyszłym miesiącu, kiedy skończymy z Grekami i Rzymianami, przejdziemy do średniowiecza i renesansu. Określenie „klasyczny” zaczęło mi się kojarzyć z czymś wyblakłym i strzaskanym. Większości greckich i rzymskich posągów brakuje rozmaitych części ciała, przygnębiają mnie te odrąbane ręce, nogi, nosy, już nie wspomnę o urwanych penisach. Podobnie przygnębia wszechobecna szarość i biel, choć ku swemu zdumieniu dowiedziałam się, że te marmury malowano na jaskrawe kolory – żółte włosy, niebieskie oczy, skóra cielistej barwy – czasem też odziewano w prawdziwe stroje, całkiem jak lalki.

To cykl wykładów przeglądowych, który ma nam pomóc zorientować się w czasie, przygotować do późniejszych, bardziej szczegółowych zajęć. Odbywa się na Wydziale Sztuki i Archeologii Uniwersytetu Toronto, który to wydział stanowi jedyną aprobowaną drogę wiodącą do sztuki lub chociaż w jej pobliżu. A zarazem jedyne, na co mnie stać: dostałam stypendium na uniwersytet, zresztą zgodnie z oczekiwaniami. – Powinnaś robić użytek z rozumu danego ci od Boga – mawia ojciec, choć jak oboje wiemy, w owym darze dopatruje się raczej swojej zasługi. Gdybym rzuciła uniwersytet, zrezygnowała ze stypendium, ojciec nie byłby skłonny łożyć gotówki na cokolwiek innego.

Kiedy oświadczyłam rodzicom, że mimo wszystko nie zamierzam studiować biologii, tylko zostać artystką, wyraźnie się przestraszyli. Dobrze, jeśli naprawdę tego chcesz, powiedziała matka, lecz oboje się martwili, jak zarobię na życie. Sztuka nie da człowiekowi utrzymania, chociaż owszem, nadaje

się na hobby, to coś jak wyrabianie ozdób z muszelek albo drzeworytnictwo. Jednakże „sztuka i archeologia” brzmiało uspokajająco. Jeszcze mogę zboczyć w kierunku archeologii, wziąć się do wykopywania różnych rzeczy z ziemi, a to już poważniejsze zajęcie.

Przynajmniej zdobędę stopień naukowy, ze stopniem zawsze można uczyć. Mam co do tego osobiste zastrzeżenia. Myślę o panie Creighton, nauczycielce wychowania plastycznego z Burnham, pękatej i udręczonej, którą chłopcy – ci bardziej wybrylantynowani i obleczeni w czarne skóry – regularnie zamykali w składziku z papierem i farbami.

Jedna z przyjaciółek mówi mojej matce, że sztuką zawsze można się parć w domu, w wolnych chwilach.



Na Wydziale Sztuki i Archeologii studiują same dziewczęta, z jednym wyjątkiem, wykładowcy to sami mężczyźni, też z jednym wyjątkiem. Oba wyjątki uważa się za dziwadła: student cierpi na przykrą chorobę skóry, profesorka nerwicowo się jąka. Żadna z dziewcząt nie ma zamiaru zostać artystką, chcą być nauczycielkami wychowania plastycznego w gimnazjum, jedna kustoszem galerii. Albo też nie precyzują swoich planów, co oznacza, że zamierzają wyjść za mąż, zanim trzeba będzie wybierać zawód.

Noszą kaszmirowe bliźniaki, płaszcze z wielbłądziej wełny, porządne tweedowe spódnice, kolczyki perełki. Noszą schludne czółenka na średnim obcasie i szyte na miarę bluzki lub tuniki, lub też kuse rozpinane kamizelki do kompletu ze spódnicą. Ja również tak się ubieram, staram się wtopić w tłum. W przerwach między zajęciami razem pijemy kawę i zajadamy pączki w rozmaitych bufetach, stołówkach i kafejkach. Moje koleżanki rozprawiają o ciuchach bądź o swoich chłopakach, zlizując z palców cukier puder. Dwie już się zaręczyły. Podczas tych rozmów oczy mają szkliste, zamglone, rozmyte, bezbronne, podobne do oczu ślepych kociąt, zarazem jednak chytre i taksujące, zachłanne i pełne fałszu.

W ich towarzystwie czuję się nieswojo, jakbym się tu wkradła podstępem. Pan Hrbik i namacalność ciała nie pasują do sztuki i archeologii. Moje nieudolne próby rysowania nagich kobiet uznano by za stratę czasu. Sztuka już zaistniała gdzie indziej. Pozostaje tylko zapamiętać parę faktów. Cały ten rysunek z natury uważano by za pretensjonalny i niedorzeczny.

Lecz dla mnie to ostatnia deska ratunku, moje prawdziwe życie. Stopniowo pozbywam się wszystkiego, co się z nim kłóci, okrawam samą siebie. Na pierwsze zajęcia bezmyślnie wybrałam się w kraciastej tunice i białej bluzce z wykładanym kołnierzykiem, ale prędko się uczę. Zaczynam się nosić tak jak chłopcy i tamta druga dziewczyna: czarny golf, dzinsy. To nie przebranie jak inne stroje, lecz znak wierności. Z czasem nabieram dość odwagi, pokazuję się tak nawet w ciągu dnia, na wykładach. Tylko nie w dzinsach, w dzinsach nikt nie chodzi. W zamian noszę czarną spódnicę. Zapuszczam grzywkę, pozostałość z gimnazjum, spinam włosy gładko do tyłu, licząc, że wyglądam surowo. Moje kaszmirowo-perłowe koleżanki z wydziału dowcipkują o artystowskich bitnikach i rzadziej się do mnie odzywają.

Dwie starsze kobiety również zauważyły tę przemianę. – Kto umarł? – zagadują. Nazywają się Babs i Marjorie, są profesjonalistkami. Obie malują portrety, Babs portrety dzieci, Marjorie właścicieli

psów wraz z psami. Rysunek żywego modelu z natury traktują jak kurs powtórkowy, twierdzą. Same nie chodzą w czarnych golfach, lecz w obszernych bluzach, zupełnie jak ciężarne. Zwracają się jedna do drugiej per „mała”, gromko komentują swoje prace. Palą papierosy w toalecie, jakby to było coś nieprzyzwoitego. Są w wieku mojej matki, toteż trochę się peszę, siedząc w jednym pomieszczeniu razem z nimi i nagą modelką. Jednocześnie uważam je za osoby bez godności. Nie tyle zresztą przypominają mi matkę, ile panią Finestein.

Pani Finestein ostatnio paraduje w dopasowanych czerwonych kostiumach i zawadiackich toczkach przybranych wisienkami. Zobaczywszy mnie kiedyś w nowym wydaniu, nie kryje dezaprobaty.

– Wygląda jak włoska wdowa – mówi do mojej matki. – Odpuszcza sobie. Straszna szkoda. Z odpowiednią fryzurą, z odrobiną makijażu byłaby po prostu zachwycająca.

Matka mi to powtarza, z uśmiechem, jako coś zabawnego, wiem jednak, że w ten sposób wyraża troskę. Stoję na krawędzi niechlujstwa. „Popuszcza sobie cugli” brzmi niepokojąco. Tak się mówi o starszych kobietach, tłustych i zaniedbanych, a także o wszelkiego rodzaju nałogowcach.

Oczywiście, jest w tym trochę prawdy. Rzeczywiście popuszczam sobie cugli.

50

Siedzę w piwiarni razem z innymi studentami rysunku z natury, piję beczkowe piwo za dziesięć centów. Podchodzi gburowaty kelner, niosąc w jednej ręce okrągłą tacę, z łomotem rozstawia szklanki – zwyczajne szklanki do wody wypełnione piwem. Wypełza z nich piana. Nie przepadam za piwem, ale teraz już umiem je pić. Wiem nawet, że trzeba wsypać szczyptę soli, aby piana opadła.

W piwiarni jest brudnoczerwony dywan, są obskurne czarne stoły, krzesła z plastikowymi obiciami i skąpe oświetlenie, cuchnie tu popielniczką z samochodu. Inne piwiarnie, do których chodzimy, wyglądają podobnie. Noszą nazwy w rodzaju Aleja Ala lub Tawerna pod Klonowym Liściem i wszystkie są ciemne, nawet za dnia, mają takie okna, żeby nie dało się zajrzeć do środka z ulicy. Aby nie sprowadzać na złą drogę nieletnich. Sama jestem nieletnia – legalnie pije się, mając dopiero dwadzieścia jeden lat – lecz żaden kelner nie próbuje mnie wylegitymować. Wyglądam tak młodo, mówi Jon, pewnie myślą, że nigdy bym się nie odważyła popijać, więc chyba faktycznie mi wolno.

Każda piwiarnia dzieli się na dwie sale. W sali „tylko dla mężczyzn” zbierają się hałaśliwi pijacy i perfumiarze. Na podłodze leżą trociny, dolatuje stamtąd odór rozlanego piwa, zastarzałej uryny i wymiotów. Czasami słychać krzyki i brzęk tłuczonego szkła, widuje się, jak dwóch kelnerów o posturze zapaśników wyrzuca gościa z zakrwawionym nosem, młócacego rękami.

Sala „dla pań i panów towarzyszących” jest czystsza, spokojniejsza i elegantsza, lepiej też pachnie. Mężczyzna nie może tam wejść bez kobiety, podobnie kobiet nie wpuszczają do sali „tylko dla mężczyzn”. Dzięki temu mężczyźni nie nagabują prostytutki, a kobiety pijacy. Colin, który jest z Anglii, opowiada nam o pubach, gdzie są kominki, gdzie można grać w strzałki, swobodnie spacerować po całym lokalu, a nawet śpiewać – rzeczy nie do pomyślenia w piwiarni. W piwiarni pije się piwo, kropka. Jeżeli człowiek za głośno się śmieje, mogą go wyprosić.

Studenci rysunku z natury wolą salę „dla pań i panów towarzyszących”, ale żeby się tam dostać, potrzebują kobiety. Dlatego mnie zapraszają, a nawet stawiają mi piwo. Jestem ich przepustką. Czasami po zajęciach tylko ja im zostaję, bo druga dziewczyna, Susie, często się wymawia, a Marjorie i Babs wracają do domów. Mają mężów i są traktowane z przymrużeniem oka. „Panie malarki”, tak o nich mówią chłopcy.

– Jeżeli to są panie malarki, to kim ja jestem? – pytam.

– Panną malarką – żartuje Jon.

Colin, chłopak z manierami, wyjaśnia: – Jeśli partaczysz robotę, jesteś panią malarką. Inaczej po prostu malarką. – Nie używają słowa „artysta”. Ich zdaniem każdy malarz, który by się nazwał artystą, to zwykły dupek.

Przestałam się umawiać na randki w dawnym stylu. Randki są niepoważne, uznaję. Poza tym, odkąd noszę czarne golfy, mam mniej propozycji. Chłopcy, ci w blezerach i białych koszulkach, wiedzą, co dla nich dobre. Poza tym to tylko chłopcy, a nie mężczyźni. Ich różowe policzki i grupowe chichoty, ich dzielenie dziewczyn na „dobre” i „złe”, ich chciwe, niezdarne próby przesunięcia granicy, którą wyznacza pas z podwiązkami i stanik, już mnie nie interesują. Co innego gęste wąsy i palce poplamione nikotyną, zmarszczki wyżłobione doświadczeniem, ciężkie powieki, zmęczona życiem tolerancja. Mężczyźni, którzy bez chwili przerwy zaciągają się papierosem. Nie bardzo wiem, skąd się wziął taki obraz. Chyba po prostu się zjawił, w pełni ukształtowany, znikąd.

Studenci rysunku z natury nie są tacy, chociaż blezerów też nie noszą. W swoich świadomości tandetnych, poplamionych farbami ubraniach, ze świeżym zarostem, stanowią formę przejściową. Mówią, owszem, lecz nie ufają słowom. Jeden z nich, Reg z Saskatchewan, wypowiada się z takim trudem, że właściwie jest niemową. Nadaje mu to wyjątkowy status, jak gdyby sfera wizualna częściowo pożarła jego mózg i Reg stał się świętym idiotą. Colina Anglika traktuje się podejrzliwie, nie dlatego że mówi za dużo, lecz dlatego że mówi zbyt starannie. Prawdziwi malarze bełkoczą jak Marlon Brando.

Niemniej chłopcy potrafią wyrażać uczucia. Tu wzruszenie ramion, tam jakiś pomruk, urywek zdania, ruch ręką: szturchnięcie, zaciśnięta pięść, otwarcie dłoni, gwałtowne rzeźbienie powietrza. Niekiedy język znaków dotyczy cudzych obrazów. – Szajs – słyszy się lub też, niezmiernie rzadko: – Kurewsko dobre. – Mało co im się podoba. Toronto to grajdoł. – Tu nic się nie dzieje – narzekają, wiele rozmów kręci się wokół planów ucieczki. Paryż się skończył, nawet Colin nie chce wracać do Anglii. – Tam wszyscy malują na żółtozielono – mówi. – Żółtozielono, jak gęsie łajno. Cholernie przygnębiające. – W grę wchodzi jedynie Nowy Jork. To w Nowym Jorku wszystko się dzieje, w Nowym Jorku jest ruch.

Czasem po paru piwach rozmawiają o kobietach. Napomykają o swoich dziewczynach, niektóre z nimi mieszkają. „Moja stara”, mówią. Albo też podśmiewają się z modelki, na każdych zajęciach innej. Opowiadają, jak to by z nią poszli do łóżka, można by pomyśleć, że wszystko zależy tylko od ich chęci. Cały ów temat traktują na dwa sposoby: z cmokaniem bądź z bezgraniczną odrazą. – Krowa – mówią. – Torba. Co za śmieć. – Czasami zerkają przy tym na mnie, patrzą, jak zareaguję. Niekiedy opisy części ciała stają się nazbyt szczegółowe: – Cipa jak dupa słonia. – A ty skąd wiesz, często posuwasz słonie? Chłopcy uciszają się nawzajem niczym w obecności matki. Jak gdyby jeszcze się nie zdecydowali, kim jestem.

Nigdy się nie oburzam. Uważam się raczej za osobę uprzywilejowaną. Jestem wyjątkiem od reguły, której nawet nie znam.

Siedzę w wilgotnym zaduchu, w oparach piwa i dymie z papierosów, lekko oszołomiona. Buzia na kłódkę, oczy szeroko otwarte. Wydaje mi się, że widzę chłopców wyraźnie, bo niczego od nich nie oczekuję. W rzeczywistości oczekuję bardzo wiele. Oczekuję akceptacji.



Jedno mi się nie podoba: wyśmiewają pana Hrbika. Ma na imię Josef, chłopcy przezywają go Wujaszek Joe z powodu wąsów, wschodnioeuropejskiego akcentu i apodyktyczności. To nie fair, ponieważ wiem – wszyscy już wiemy – że wojenna zawierucha rzuciła go aż do czterech krajów, że ugrzązł za żelazną kurtyną, jadał byle co, niemalże głodował, że uciekł w czasie powstania na Węgrzech, zapewne narażając się na śmierć. Nigdy nie opowiadał o tym szczegółowo. Właściwie nie wspomniał o swoich przejściach ani słowem, w każdym razie nie na zajęciach. Niemniej jednak sprawa jest znana.

Lecz na chłopcach nie robi to najmniejszego wrażenia. Rysunek to szajs, a pan Hrbik to jaskiniowiec. Dipis, mówią – stara obelga, pamiętam ją z gimnazjum. Tak się określało uchodźców z Europy oraz ludzi głupich, nieokrzesanych, odstających od reszty. Przedrzeźniają jego akcent i sposób, w jaki rozprawia o ciele. Chodzą na rysunek z natury, bo to zajęcia obowiązkowe. Rysunek z natury nie jest na czasie, na czasie jest taszyzm, a przy tym, rzecz jasna, nie trzeba umieć rysować. A zwłaszcza rysować krowy rozebranej do naga. Siedzą jednak na zajęciach tak samo jak ja, skrobiąc węglem, przedstawiając kolejne ujęcia piersi i pośladków, ud i szyj, niekiedy samych stóp, podczas gdy pan Hrbik krąży po sali, targa się za włosy i załamuje rękę.

Chłopcy mają kamienne twarze. Dla mnie ich pogarda nie ulega kwestii, ale pan Hrbik niczego nie zauważa. Żal mi go i jestem mu wdzięczna za to, że dopuścił mnie do zajęć. Poza tym go podziwiam. Wojna już dostatecznie się oddaliła w czasie, aby nabrać romantyzmu, a on w niej uczestniczył. Zastanawiam się, czy ma w ciele jakieś dziury po kulach albo inne znaki łaski.



Dziś wieczór w sali „dla pań i panów towarzyszących” Tawerny pod Klonowym Liściem nie jestem sama z chłopcami. Przyszła także Susie.

Ma płowe włosy, które – od razu widać – zakręca na wałki, a potem mierzwi, koniuszki farbuję na popielaty blond. Również ubiera się w czarny golf i dzinsy, tyle że jej dzinsy są opięte jak druga skóra. Zwykle coś nosi na szyi, srebrny łańcuszek lub medalion. Maluje się „na Kleopatrze”, z grubą czarną kreską wokół oczu, używa czarnego tuszu i przydymionego szafirowego cienia do powiek, toteż oczy tkwią w sinych obwódkach, jakby ktoś ją pobił. Używa też białego pudru i blad różowej szminki, przez co wygląda, jakby była chora albo od tygodni zarywała nocę. Ma szerokie biodra, piersi zbyt duże jak na swój wzrost – przypominają gumową piszczącą zabawkę, którą ktoś jej wepchnął przez głowę i która akurat tam się wybrzuszyła. Ma cienki, zdyszany głos, piskliwy, zalękniony śmiech. Samo jej imię kojarzy się z puszką do pudru. Moim zdaniem jest głupia, po prostu się obja w akademii, zbyt tępa, żeby się dostać na uniwersytet. Chłopców w ten sposób nie osądzam.

– Wujaszek Joe zdrowo dzisiaj bredził – mówi Jon. Jest wysoki, ma baczki i duże dłonie. Nosi

dżinsową kurtkę z mnóstwem zatrasków. Poza Colinem Anglikiem najlepiej się wysławia. Używa słów takich jak „czystość” i „płaszczyzna obrazu”, ale tylko w obecności dwóch, trzech osób, nigdy przy całej grupie.

– Och! – Susie chichocze cichutko, zachłystuje się, jakby śmiejąc się, wciągała powietrze. – To podłe! Nie przezywaj go!

Wpadam w rozdrażnienie, dlatego że powiedziała coś, co sama powinnam była powiedzieć, tylko się nie odważyłam, lecz także dlatego, że nawet ta obrona przywodzi na myśl kota ocierającego się o nogę lub pełną podziwu dłoń na bicepsie.

– Nadęty stary pierdoła – wtrąca Colin, żeby Susie jemu też poświęciła nieco uwagi.

Zwraca ku niemu oczy w szafirowych obwódkach.

– Wcale nie jest stary – oznajmia z całą powagą. – Ma dopiero trzydzieści pięć lat.

Wszyscy wybuchają śmiechem.

Ale skąd to wie? Patrzę na Susie, zastanawiam się. Pamiętam, jak raz przyszłam na zajęcia trochę wcześniej. Modelki jeszcze nie było, siedziałam w sali całkiem sama i wtedy wmaszerowała Susie. Nie miała już na sobie palta. Zaraz potem wszedł pan Hrbik.

Podeszła do mnie, rzuciła: – Ale śnieg! Coś okropnego! – Zazwyczaj ze mną nie rozmawiała. Lecz to właśnie ja dopiero co brodziłam w śniegu. Ona na oko była ciepła jak grzanka.

51

Jest luty. W mrocznym audytorium parują wilgotne palta i śnieg topniejący na zimowych butach. Co chwila ktoś kaszle.

Skończyliśmy ze średniowieczem, z relikwiarzami i wysmukłymi świętymi, mkniemy przez renesans, wyciągając samą kwintesencję. Rosną zastępy Matek Boskich. Zupełnie jakby jedna przeogromna Matka Boska miała gromadkę córek, podobnych do Niej, lecz nieidentycznych. Zrzuciły złote aureole, zatraciły tę wydłużoną, płaską jak deska sylwetkę, którą im nadawano w kamieniu i drewnie, trochę się zaokrągliły. Rzadziej idą do nieba. Twarze miewają nalane, poważne, siadują przy kominku, na krzesłach z epoki, czasami przy otwartym oknie, za którym właśnie buduje się dach; jedne są niespokojne, inne opite mlekiem, różowobiałe, z cieniutkimi aureolami i jedwabistymi złotymi lokami wymykającymi się spod woalu, z czystym włoskim niebem w oddali. Pochylają się nad kołyską Dzieciątka albo trzymają Je na kolanach.

Jezus nie wygląda jak prawdziwe dziecko, bo ręce i nogi ma zbyt długie, zbyt chude. A w każdym razie nigdy nie jest noworodkiem. Widywałam noworodki, pomarszczone niczym suszona morela, On wcale ich nie przypomina. Można by pomyśleć, że urodził się jako roczne dziecko albo że to pomniejszony dorosły. Na tych obrazach wiele jest czerwieni i błękitu, wiele też karmienia piersią.

Beznamiętny głos z mroku skupia się na cechach formalnych kompozycji, na sposobie ułożenia materiału w fałdy, sposobie, który ma służyć podkreśleniu kolistości, na fakturze, na stosowaniu perspektywy w łukach drzwi i w płytach podłogi. Karmienie obchodzimy boczkiem. Wynurzająca się znikąd wskazówka nigdy nie spoczywa na tych obnażonych piersiach, czasem dość paskudnych, różowozielonkawych, żyłkowanych, czasem z ręką, która ścisną brodawkę, i nawet z prawdziwym mlekiem. W takich chwilach po sali przebiega szmer. Nikt nie chce myśleć o karmieniu piersią, ani profesorowie, ani tym bardziej dziewczęta. Kiedy siedzimy przy kawie, aż się wstrząsają z obrzydzenia, mają wymagania, będą karmić z butelki, tak zresztą jest bardziej higienicznie.

– Chodzi o to – mówię – że Madonna ma dość pokory, żeby karmić piersią. W tamtych czasach kobieta zwykle oddawała dziecko mamce, jeśli tylko ją było stać. – Tak wyczytałam w książce, którą wygrzebałam z czeluści biblioteki.

– Ojej, Elaine! Ale z ciebie mądrała.

– A poza tym Chrystus przyszedł na świat jako ssak – ciągnę. – Ciekawe, czego Maria używała na pieluszki? To by dopiero była relikwia: Święta Pieluszka. Właściwie dlaczego nie ma obrazów Jezusa na nocniku? Gdzieś tam przechowują kawałek Świętego Napletka, ale co ze świętym Gównem?

– Jesteś okropna!

Szczerzę zęby w uśmiechu, zakładam nogę na nogę, opieram łokcie o stół. Lubię trochę podokuczać koleżankom w taki nieszkodliwy sposób. Niech widzą, że jestem inna.

To jedno życie, moje życie dzienne. Drugie, prawdziwe życie toczy się wieczorem.

Baczenie obserwowałam Susie, zwracałam uwagę na wszystko, co robi. Tak naprawdę nie jest w moim wieku, jest ponad dwa lata starsza, ma prawie dwadzieścia jeden lat. Nie mieszka z rodzicami, lecz w kawalerce w jednym z nowych wieżowców na Avenue Road, na północ od St. Clair. Najpewniej to rodzice płacą czynsz. Bo inaczej jak by ją było na to stać? Wieżowce mają windy i przestronne hole pełne zieleni, noszą nazwy w rodzaju Monte Carlo. Mieszkanie tam uważane jest za wyraz śmiałości i wyrafinowania, choć nie przez malarzy, którzy tym gardzą: do tych wieżowców wprowadzają się pielęgniarki, dzielą we trzy jedno mieszkanie. Malarze wybierają raczej Bloor Street albo Queen lub boczne uliczki zasiedlone przez imigrantów.

Susie zostaje po zajęciach, przychodzi wcześniej, kręci się to tu, to tam. Podczas zajęć patrzy na pana Hrbika jedynie z ukosa, ukradkiem. Raz ją spotykam pod jego gabinetem, akurat wychodzi. Podskakuje jak oparzona, uśmiecha się do mnie, potem się odwraca i woła nienaturalnie, zbyt głośno: – Dziękuję panu! Do zobaczenia za tydzień! – Macha ręką, chociaż drzwi są przymknięte, pan Hrbik na pewno jej nie widzi. Machnięcie jest przeznaczone dla mnie. Teraz odgaduję to, co powinnam była spostrzec od razu. Susie ma romans z panem Hrbikiem. W dodatku myśli, że nikt dotąd się nie połapał.

Tutaj się myli. Przypadkiem słyszę, jak Marjorie i Babs rozmawiają o tym półśłówkami.

– Patrz, mała, jak się dostaje zaliczenia. Żeby to ja tak mogła, buch na plecy i już!

– Marzenie ściętej głowy! Te dni dawno minęły, co?

A później parskają beztroskim śmiechem, jakby się działo coś mało istotnego czy wręcz zabawnego.

Dla mnie ten romans wcale nie jest zabawny. Właśnie tak myślę: romans – romantycznie i staroświecko. Nie wiadomo tylko, kto kogo kocha. Pewnie on ją, uznaje. Czy może nie tyle kocha, ile się w niej zadurzył. Podoba mi się słowo „zadurzył”, kojarzy z czymś dusznym, zduszonym, z muchami opitymi syropem. Susie jest niezdolna do miłości, zbyt płytka. Susie działa świadomie, myślę, panuje nad sytuacją, bawi się panem Hrbikiem w twardy, bezwzględny sposób żywcem wyjęty z plakatów filmowych z lat czterdziestych. Na wierzchu lakier, pod spodem stal – wiem nawet jaki lakier: Ogień-i-Lód. Dokładnie tak, pomimo tej bezbronnej minki, tej przymilności. Susie rozsiewa słodki aromat winy, a zadurzony pan Hrbik, potykając się, kroczy ku swemu przeznaczeniu.

Kiedy Susie orientuje się, że ludzie na zajęciach już wiedzą – Babs i Marjorie potrafią przekazać, co trzeba – nabiera śmiałości. Zaczyna wspominać o panu Hrbiku, wplata jego imię w zdania: Josef myśli, Josef mówi. Zawsze zna jego zamiary. Czasami pan Hrbik jeździ na weekend do Montrealu, gdzie mają lepsze restauracje i lepsze wina. Susie twierdzi tak z całą stanowczością, chociaż nigdy tam nie była. Zdradza smakowite szczegóły z jego życia prywatnego: pan Hrbik na Węgrzech był żonaty, ale żona z nim nie przyjechała, teraz jest rozwiedziony. Ma dwie córki, nosi ich zdjęcia w portfelu. Umiera z tęsknoty za swoimi dziewczynkami.

– Dosłownie umiera – szepcze Susie i oczy zachodzą jej mgłą.

Marjorie i Babs chciwie chłoną każde słowo. W ich oczach Susie pomału traci opinię małej kurewki, wkracza na obrzeża domatorstwa. Jeszcze ją podjudzają:

– Słuchaj, wcale ci się nie dziwię! On jest naprawdę słodki!

– Mogłabym go zjeść żywcem! Ale gdzie tam starej babie do takiego młodzieniaszka.

Siedzą w toalecie w sąsiednich kabinach, przekrzykują szum ciurkających siuszków, a ja stoję przed lustrem i nadstawiam uszu.

– Mam nadzieję, że facet wie, co robi. Taka miła dziewczuszka. – Innymi słowy, powinien się z nią ożenić. Albo też powinien się z nią ożenić, gdyby zaszła w ciążę. Przyzwoitość tego wymaga.

Malarze z kolei dają Susie w kość.

– Chryste, przestań wreszcie chrzanić o Josefie! Myślałby kto, że mu słońce świeci z dupy!

Nie umie jednak przestać. Chichocze tchórzliwie, przeprasza ją, co tym bardziej ich drażni, mnie zresztą też. Znam tę zadowoloną minę.

Czuję, że Pan Hrbik potrzebuje ochrony, a nawet ratunku. Jeszcze nie wiem, że mężczyzna może być pod wieloma względami wspaniały, lecz poza tym zupełnie beznadziejny. Jeszcze się nie nauczyłam, że rycerskość mężczyzn jest odpowiednikiem głupoty kobiet. Mężczyźni też chętnie spieszą na ratunek, owszem, lecz potem jeszcze szybciej uciekają gdzie pieprz rośnie.

Nadal mieszkam w domu. To upokarzające, ale po co wydawać pieniądze na akademik, skoro uniwersytet jest w tym samym mieście? To zdanie mojego ojca, całkiem rozsądne. Ojciec nawet się nie domyśla, że wcale mi nie chodzi o akademik, lecz o jakąś zrujnowaną izdebkę nad piekarnią albo sklepem tytoniowym, z turkotem tramwajów za oknem, z sufitem wyłożonym kartonami po jajkach pomalowanymi na czarno.

Nie śpiam już w tamtym dzieciennym pokoju z lampą w kolorze wanilii i zasłonami w oknach. Przeniosłam się do piwnicy, gdzie rzekomo łatwiej mi się uczyć. Tam też, w ciemnym składziku przylegającym do pieca, stworzyłam własną namiastkę nędzy. Z szafy ze starym sprzętem kempingowym wygrzebałam wojskową polówkę i gruzłowaty śpiwór khaki. W ten sposób zdusiłam w zarodku plany matki – chciała tu znieść moje łóżko, żebym miała porządny materac. Na ścianach rozwiesiłam plakaty teatralne z miejscowych spektakli – *Czekając na Godota* Becketta, *Przy drzwiach zamkniętych* Sartre'a – plakaty ze śladami palców (efekt zamierzony), atramentowoczarnym liternictwem i rozmazanymi postaciami, jakby wyblakłymi w praniu. Dorzuciłam też kilka własnych rysunków, starannych rysunków stóp. Matka uważa, że plakaty są ponure, a stóp już zupełnie nie rozumie: stopy powinno uzupełniać ciało. Patrzą na nią, mrużąc oczy. Wiem swoje.

Zdaniem ojca mój talent rysowniczy wprawdzie, robi wrażenie, ale poszedł na marne. Znalazłby o wiele lepsze zastosowanie przy przekrojach łądyg i komórkach alg. Dla ojca jestem niedoszłym biologiem.

Mój ojciec widzi życie w ciemniejszych barwach, odkąd pan Banerdzi wrócił do Indii. To jakaś niejasna sprawa, niewiele się o niej mówi. Matka utrzymuje, że pan Banerdzi tęsknił za krajem, napomyka o załamaniu nerwowym, lecz chodziło o coś jeszcze.

– Oni nie dawali mu awansu – rzuca ojciec. Wiele się kryje za tym „oni” (nie „my”) i „dawali” (nie „dali”). – Nie doceniali go, jak na to zasługiwał.

Chyba wiem, o co tu chodzi. Poglądy ojca na naturę ludzką nigdy nie były wesołe, lecz nie obejmowały naukowców – aż do tej chwili. Czuje się oszukany.

Kroki rodziców wędrują w tę i z powrotem nad moją głową. Odgłosy domu – warkot miksera, telefon, dalekie wiadomości – przenikają na dół jak za mgłą. Oślepią światłem wynurzam się na posiłki, siedzę otępiała, prawie się nie odzywam, dziobię potrawkę z kury i tłuczone kartofle. Matka napomyka o mojej bladeści i braku apetytu, ojciec opowiada różne ciekawe, przydatne rzeczy, jakbym wciąż była dzieckiem. Czy zdaję sobie sprawę, że nawozy azotowe zagrażają życiu ryb, gdyż powodują nadmierny rozrost glonów? Czy słyszałam o nowej chorobie, która zmieni nas wszystkich w zdeformowanych kretynów, jeśli zakłady papiernicze nie przestaną zanieczyszczać rzek rtęcią? Nie zdaję sobie z tego sprawy, o tym nie słyszałam.

– Wypiasz się, kochanie? – pyta matka.

– Tak – odpowiadam niezgodnie z prawdą.

Ojciec wypatrzył w gazecie reklamę filmu o owadach potworach, zmutowanych za sprawą promieniowania radioaktywnego.

– Jak wiesz, te gigantyczne koniki polne w żaden sposób by nie przeżyły. Przy takich rozmiarach zawiódłby ich układ oddechowy.

Nie wiem.



W kwietniu, kiedy uczę się do egzaminów, jeszcze zanim liście wyjrzały z pąków, mój brat zostaje aresztowany. Należało się tego spodziewać.

Stephena nie było w domu przez cały rok, chociaż powinien być, pomagać mi w tych wszystkich sytuacjach przy stole. Buja na wolności w szerokim świecie. Studiuje astrofizykę na uniwersytecie w Kalifornii. Doszedł do absolutorium w dwa lata zamiast czterech. Teraz robi dyplom.

Nie mam jasnego obrazu Kalifornii, bo nigdy tam nie byłam, ale wyobrażam sobie, że to miejsce słoneczne i ciepłe przez okrągły rok. Niebo jest koloru żywego błękitu anilinowego, drzewa nieziemsko zielone. Zaludniam Kalifornię opalonymi przystojnymi mężczyznami w ciemnych okularach i sportowych koszulkach w palmy – prawdziwe palmy też tam są – oraz jasnowłosymi, długonogimi kobietami, również opalonymi, w białych kabrioletach.

Pośród tych ludzi z ich okularami i modnymi łaszczkami mój brat wygląda jak odmieniec. Gdy skończył szkołę, wrócił do dawnych, niechlujnych nawyków. Paraduje w mokasynach i swetrze z dziurami na łokciach. Nie obcina włosów, chyba że ktoś mu przypomni, a tam kto niby miałby przypominać? Przechadza się wśród palm, zapomniawszy o bożym świecie. Spaceruje, pogwizdując, z głową w aureoli niewidzialnych liczb. Jak go odbierają Kalifornijczycy? Pewnie myślą, że to jakiś włóczęga.

Tamtego dnia bierze lornetkę i książkę o motylach. Na rowerze kupionym z drugiej ręki wyprawia się za miasto w poszukiwaniu motyli kalifornijskich. Dociera na interesujące pole, zsiada z roweru, zakłada blokadę. Jest przezorny, do pewnych granic. Wchodzi na pole, gdzie pewnie rośnie wysoka trawa i kilka krzaków. Spostrzega dwa egzotyczne motyle, rusza za nimi w pościg, co chwilę przystaje, żeby je obejrzeć przez lornetkę. Lecz z tej odległości nie potrafi ich rozpoznać, a ilekroć robi krok w przód, motyle uciekają.

Ściga je aż na kraniec pola, do ogrodzenia z siatki. Motyle przefruwają przez siatkę, on przelazi górą. Po drugiej stronie leży jeszcze jedno pole, bardziej puste, mniej zarośnięte. Środkiem biegnie piaszczysta droga, ale Stephen na nic nie zwraca uwagi, dalej goni motyle, czerwono-biało-czarne z wzorem w kształcie klepsydry. Nigdy przedtem takich nie widział. Na końcu pola stoi następne, wyższe ogrodzenie, które również pokonuje. A później, kiedy motyle wreszcie się zatrzymują, siedzę na niskim tropikalnym krzewie obsypanym różowymi kwiatami, kiedy Stephen, klęka na jedno kolano i nastawia lornetkę, podjeżdża dżip z trzema mężczyznami w mundurach.

– Co tu robisz? – pytają.

– To znaczy gdzie? – burczy mój brat. Niecierpliwi się, mężczyźni spłoszyli motyle, znowu odfrunęły.

– Nie widziałeś tablic? Tych z napisem „Niebezpieczeństwo, wstęp wzbroniony”?

– Nie. Gonilem motyle.

– Motyle? – powtarza jeden.

Drugi rysuje sobie kółko na czole, co znaczy: wariat.

– Czubek – rzuca.

Trzeci mówi:

– I mamy w to uwierzyć?

– A to już wasza sprawa – odpowiada mój brat. Tymi czy podobnymi słowami.

– Cwaniaczek. – Właśnie tak mówią Amerykanie w komiksach. Dodają jeszcze papierosy w kącikach ust, trochę pistoletów i innego żelastwa, buty z cholewami.

Jak się okazuje, mężczyźni to wojskowi, a pole to poligon wojskowy. Zawożą Stephena do kwatery głównej i trzymają pod kluczem. Ponadto konfiskują lornetkę. Nie wierzą, że mój brat jest studentem astrofizyki polującym na motyle, uważają go za szpiega, chociaż nie mogą pojąć, dlaczego działał tak otwarcie. W powieściach szpiegowskich – wiem o tym ja i wiedzą wojskowi, tylko Stephen nie wie – aż się roi od szpiegów, którzy udają niewinnych miłośników motyli.

W końcu pozwalają mu zadzwonić. Musi przyjechać jego promotor i wpłacić kaucję. Kiedy mój brat wraca po rower, okazuje się, że ktoś go ukradł.



Ogólny zarys całej tej historii przekazują mi rodzice przy gulaszu wołowym. Sami nie wiedzą, czy się śmiać, czy niepokoić. Brat natomiast nie wspomina o tym ani słowem. Dostaję od niego list napisany ołówkiem na kartce wyrwanej z kołonoatnika. Listy Stephena zawsze zaczynają się bez nagłówka i kończą bez podpisu, jakby były odcinkami jednego długiego listu, który się rozwija w czasie jak niekończący się papierowy ręcznik.

Ten list, donosi Stephen, pisze, siedząc na czubku drzewa, skąd nad murem stadionu ogląda mecz piłki nożnej (tańsze niż bilet), jedząc kanapkę z masłem orzechowym (tańsze niż restauracja). Nie lubi transakcji pieniężnych. Na papierze istotnie zauważam parę tłustych plam. Stamtąd, pisze dalej, widzi stadko skaczących kapłonów obwieszonych pomponami. To zapewne dziewczęta od zagrzewki. Mieszka w akademiku razem z masą błon śluzowych, które nic, tylko ciamkają o dziewczynach i zaprawiają się amerykańskim piwem, co wymaga sporo poświęcenia, bo te zlewki są słabsze od szamponu, a w dodatku smakują tak samo. Rano je odgrzewane jajka sadzone z mrożonki, kwadratowe, z kryształkami lodu w żółtkach. Zdobycz nowoczesnej techniki, pisze.

Poza tym miło spędza czas, to znaczy, mozoli się nad naturą wszechświata. Palące pytanie brzmi: czy wszechświat przypomina ogromny, stale się powiększający sterowiec, czy też pulsuje, rozszerza się i kurczy? Prawdopodobnie umieram z ciekawości, ale trudno, muszę zaczekać parę lat, aż znajdzie ostateczną odpowiedź. „PASJONUJĄCY CIĄG DALSZY NASTĄPI”, pisze drukowanymi literami.

„Słyszałem, że się wdałaś w rysowanie obrazków – podejmuje już normalnym pismem. – Też to robiłem, jak byłem młodszy. Mam nadzieję, że łykasz swoje pastylki z tranem i nie szukasz kłopotów”. Na tym list się kończy.

Myślę o bracie, tam na czubku drzewa w Kalifornii. Już nie wie, do kogo pisze, gdyż zmieniłam się nie do poznania. Ja zaś już nie wiem, kto pisze. Wyobrażam sobie, że Stephen jest wciąż taki sam, ale to przecież niemożliwe. Na pewno tymczasem wiele się nauczył, podobnie jak ja.

I jeszcze coś: jeżeli równocześnie je kanapkę i pisze list, to jak się trzyma? Najwyraźniej mu tam dobrze, tam wysoko na stanowisku snajpera. Powinien jednak bardziej uważać. Może wbrew temu, co zawsze sądziłam, jest nie tyle odważny, ile po prostu nieświadomy skutków. Myśli, że nic mu nie grozi, bo jest tym, czym mówi, że jest. Lecz stoi na otwartej przestrzeni, a dookoła są sami obcy.

53

Siedzę we francuskiej restauracji z Josefem, piję białe wino, jem ślimaki. To moje pierwsze ślimaki w życiu i moja pierwsza francuska restauracja. Jedyna francuska restauracja w Toronto, twierdzi Josef. Nazywa się La Chaumière, co znaczy „chata kryta strzechą”, to też wiem od Josefa. La Chaumière jednak nie jest żadną chatą, tylko prozaicznym, zaniedbanym budynkiem, który niczym się nie różni od innych. Ślimaki wyglądają jak spore ciemne gluty. Używa się do nich widelca o dwóch zębach. Są całkiem smaczne, chociaż gumowate.

Josef mówi, że nie są to świeże ślimaki, lecz ślimaki z puszki. Mówi to ze smutkiem, z rezygnacją, jakby coś się skończyło, choć nie bardzo wiadomo co. Często mówi takim tonem.

Tak też, na przykład, pierwszy raz wypowiedział moje imię. Jeszcze w maju, w ostatnim tygodniu zajęć. Mieliśmy pojedynczo zgłaszać się do pana Hrbika po ocenę, omawiać postępy w całorocznej pracy. Przede mną w kolejce były Marjorie i Babs, stały w holu, popijając kawę.

– Cześć, mała. – Marjorie akurat opowiadała, że jakiś mężczyzna obnażył się przed nią na dworcu Union, gdzie wyszła po córkę, która miała przyjechać z Kingston. Córka jest w moim wieku, studiuje w Queen’s.

– Był w płaszczu przeciwdeszczowym, masz pojęcie?

– Boże drogi! – jęknęła Babs.

– No więc spojrzałam mu w oczy... w w oczy, uważasz... i mówię: „Tylko na tyle cię stać?”. Bo rozumiesz, taki tyci, tyciutki... Nic dziwnego, że biedak ugania się po dworcach i szuka kogoś, kto by chciał na to spojrzeć!

– I?

– Sama wiesz, co się podniesie, to i musi opaść, nie?

Ryknęły śmiechem, plując kropelkami kawy, wykastując dym. Jak zwykle zachowywały się podle. Żartowały z czegoś, co nie było tematem do żartów.

Z gabinetu pana Hrbika wyszła Susie.

– Cześć, dziewczyny – rzuciła z udawaną wesołością. Miała rozmazany makijaż, zaczerwienione oczy. Czytałam współczesne francuskie powieści, czytałam Williama Faulknera. Wiedziałam, co to miłość: obsesja z domieszką mdłości. Taka miłość w sam raz pasowała do Susie. Susie z pewnością się poniżała, czepiała jak rzep, łąsiła. Leżała na podłodze, jęcząc, obejmując pana Hrbika za nogi, jej włosy spływały niczym blond wodorosty na czarną skórę butów (pan Hrbik był w butach, miał bowiem zamiar wymaszerować za drzwi). W tym ujęciu widziałam go od kolan w górę, twarz Susie była niewidoczna. Twarz Susie zmiażdżonej namiętnością, unicestwionej.

Wcale jej nie współczułam. Raczej odrobinę zazdrościłam.

– Biedny mały króliczek – powiedziała Babs za jej oddalającymi się plecami.

– Europejczycy! – prychnęła Marjorie. – Ani przez chwilę nie wierzyłam, że jest rozwiedziony.

– No wiesz, może w ogóle nie był żonaty.

– A te jego dzieciaki?

– Pewno jakieś kuzynki albo co.

Zgromiłam je wzrokiem. Mówiły o wiele za głośno, pan Hrbik mógł usłyszeć.

Po Babs i Marjorie przyszła moja kolej. Stałam w gabinecie, podczas gdy pan Hrbik na siedząco oglądał moje prace rozłożone na biurku. Pewnie dlatego się denerwowałam.

Przerzucał kartki – ręce, głowy, pośladki – w zupełnym milczeniu, ogryzając ołówek.

– Ładnie – odezwał się w końcu. – Zrobiłaś postępy. Swobodniejsza kreska, ta tutaj.

– Gdzie? – Oparłam rękę na biurku, pochyliłam się w przód. Odwrócił do mnie głowę i wtedy zobaczyłam jego oczy. Nie były fioletowe, tylko ciemnopiwe.

– Elaine, Elaine – powiedział ze smutkiem. Położył swoją dłoń na mojej. Moja ręka zamarła, żołądek się skurczył. Stałam tam skamieniała, przejrzawszy samą siebie. Czy właśnie do tego się sprowadzały moje wyobrażenia o ratunku?

Pan Hrbik potrząsnął głową, jak gdyby dał za wygraną albo nie miał wyboru, a później pociągnął mnie w dół, między swoje kolana. Nawet nie wstał. Klęczałam więc na podłodze, z głową odchyloną do tyłu, on gładził mnie po karku. Nikt dotąd mnie tak nie całował. Pocałunek jak z reklamy perfum: nieznany i groźny, może nawet poniżający. Mogłabym się zerwać, wziąć nogi za pas. Wiedziałam

jednak, że jeśli zostaną tak choćby minutę dłużej, to raz na zawsze skończą się obmacywanki w kinach czy na tylnych siedzeniach samochodów, skończą się potyczki o stanik. Koniec z głupstwami, koniec z podchodami.



Pojechaliśmy taksówką do mieszkania Josefa. Siedzieliśmy w przyzwoitej odległości, tyle że Josef trzymał rękę na moim kolanie. Wówczas jeszcze nie byłam przyzwyczajona do taksówek, myślałam, że kierowca przygląda się nam we wstecznym lusterku.

Josef mieszkał na Hazelton Avenue, prawie jak w slumsach. Domy tam są stare, stłoczone, z zaniedbanymi małymi ogródkami od frontu, spiczastymi dachami i zmurszałymi drewnianymi ślimacznicami wokół ganków. Przy krawężniku parkowały samochody zderzak w zderzak. Domy w większości stały parami, połączone jedną ścianą. Właśnie w takim obdrapanym bliźniaku ze spiczastym dachem mieszkał Josef. Zajmował pierwsze piętro.

Na ganku sąsiedniego domu kołysał się w bujanym fotelu podstarzały grubas w koszuli i szelkach. Patrzył, jak Josef płaci za taksówkę, jak oboje zbliżamy się ścieżką.

– Ładny dzień – bąknął.

– Rzeczywiście – odparłam. Josef nie zwrócił na niego uwagi. Kiedy wchodziliśmy wąskimi schodami na piętro, lekko położył mi dłoń na karku. Gdziekolwiek mnie dotknął, czułam ciężar.

Mieszkanie składało się z trzech pokoi: z pokoju frontowego, środkowego z kuchenką i pokoju na tyłach. Były małe i skąpo umeblowane. Zupełnie jakby Josef dopiero się wprowadzał. Sypialnię miał pomalowaną na wrzosowo. Na ścianach kilka rycin, przedstawiały wysmukłe postaci w ponurych kolorach. W pokoju nie było nic oprócz materaca przykrytego meksykańskim kocem. Spojrzałam na materac. Oto dorosłe życie, pomyślałam.

Josef mnie pocałował, tym razem stał, ale czułam się niezręcznie. Bałam się, że ktoś nas zobaczy przez okno. Bałam się, że Josef każe mi się rozebrać, a później zacznie mnie obracać i przyglądać się z daleka. Nie miałam ochoty na oględziny zwłaszcza od tyłu, nad tym widokiem nie panowałam. Gdyby jednak poprosił, musiałabym go usłuchać, bo przy najmniejszym wahaniu stałabym się nieatrakcyjna.

Położył się na materacu i patrzył na mnie wyczekująco. Po chwili ja też się położyłam, znów mnie pocałował, delikatnie rozpinając guziki za dużej bawełnianej koszuli, którą teraz, kiedy się ociepliło, zastąpiłam czarne golfy. Objęłam go, pomyślałam: walczył na wojnie.

– A Susie? – rzuciłam. I zaraz zrozumiałam, że takie pytania zadają licealistki.

– Susie? – powtórzył, jakby próbował sobie przypomnieć, o kogo chodzi. Trzymał usta tuż przy moim uchu. Jej imię zabrzmiało jak żalosne westchnienie.

Meksykański koc drapał, co mi szczególnie nie przeszkadzało. Seks za pierwszym razem miał być nieprzyjemny. Oczekiwałam również zapachu gumy, no i bólu. Ale wbrew temu, co wszyscy opowiadali, aż tak nie bolało i wcale nie było tyle krwi.

Josef nie spodziewał się bólu.

– To boli? – spytał w pewnym momencie.

– Nie – odparłam, wzdrygając się. Dalej robił swoje.

Również nie spodziewał się krwi. Koc musiał pójść do prania, lecz Josef nie zająknął się ani słowem. Był delikatny i głaskał mnie po udzie.



Trwa to przez całe lato. Czasami Josef zabiera mnie do restauracji z obrusami w kratkę i świecami wetkniętymi do butelek po chianti, czasami na zagraniczne filmy o Szwedach i Japończykach, do małych pustawych kin. Zawsze jednak lądujemy na koniec w jego mieszkaniu, pod meksykańskim kocem bądź też na kocu. Josef w roli kochanka jest nieprzewidywalny, raz chciwy, innym razem oszczędny, jeszcze innym nieobecny, niemal jak automat. Właśnie ta nieprzewidywalność tak mnie do niego przyciąga. Nieprzewidywalność i jeszcze to jego pragnienie, chwilami nie do opanowania.

– Nie zostawiaj mnie – prosi, głaszcząc moje ciało. Zawsze przedtem, nigdy po. – Tego bym nie zniósł. – Staroświeckie słowa, u innego mężczyzny brzmiałyby komicznie. Nie u Josefa. Kocham się w jego pragnieniu. Na samą myśl aż pęcznięję, bezwładna, podobna do miąższu arbuza. Z tego powodu zmieniłam plany, nie pojechałam do Muskoka, tak jak zeszłego lata. Znalazłam pracę w Chacie Szwajcarskiej na Bloor Street. Podają tam wyłącznie kurczaki – „kurczę pieczone”, głosi szyld. Kurczaki i sos, surówkę z kapusty i białe bułki, i lody w jednym smaku – wiśnia burgundzka – osobliwie fioletowej barwy. Noszę tam mundurek z imieniem wyhaftowanym na kieszeni, całkiem jak w szkole na gimnastyce.

Czasami Josef zabiera mnie po pracy.

– Pachniesz kurczakiem – szepcze w taksówce, wtulając twarz w moją szyję. Kompletnie zatraciłam w taksówkach poczucie przyzwoitości. Opieram się o Josefa, obejmuje mnie, wsuwa mi dłoń pod ramię, kładzie na piersi. Albo też wyciągam się z głową na jego kolanach.

Wyprowadziłam się z domu. W te noce, gdy jesteśmy razem, Josef chce, żebym została do rana. Chce się budzić przy moim boku, zacząć się kochać, kiedy jeszcze śpię. To tylko na lato, powiedziałam rodzicom. Z nowego lokum mam bliżej do Chaty Szwajcarskiej. Uważają, że niepotrzebnie wyrzucam pieniądze. Sami bujają gdzieś na północy, miałabym cały dom dla siebie. Lecz moje wyobrażenie o własnej osobie i wyobrażenia rodziców bezpowrotnie się rozeszły.

Gdybym wyjechała do Muskoka, i tak bym nie mieszkała w domu, ale mieszkać gdzie indziej w tym samym mieście to zupełnie coś innego. Teraz z dwiema koleżankami z pracy, również studentkami, wynajmuję mieszkanie, wąską kiszkę na Harbord Street. W łazience wiszą girlandy pończoch i majtek, na kuchennych blatach przycupnęły lokówki podobne do włochatych gąsienic, w zlewie kiszą się brudne naczynia.

Widuję Josefa dwa razy w tygodniu. Mam dość oleju w głowie, żeby nie dzwonić ani go nie szukać kiedy indziej. Albo go nie zastanę, albo będzie z Susie, bo wcale nie przestali się spotykać. Postanowiliśmy jednak nic jej o nas nie mówić. Zachowamy to w tajemnicy.

– Okropnie bym ją zranił – tłumaczy Josef. Ciężar wiedzy musi unieść ostatnia w kolejce. Jeżeli już kogoś trzeba ranić, to raczej mnie. Niemniej cieszę się z takiego zaufania. Razem chronimy Susie. Dla jej własnego dobra. Z czego też czerpię zadowolenie wspólne wszystkim tajemnicom: wiem coś, o czym ona nie wie.

Susie skądś się dowiedziała, gdzie pracuję – pewno Josef jej powiedział, rzucił niedbale, nie ryzykując nakrycia, pewnie rozkoszuje się myślą o nas obu razem – i od czasu do czasu wpada na kawę, późnym popołudniem, kiedy nie ma tłoku. Trochę przytyła, policzki jej się zaokrągliły. Już widzę, jak będzie wyglądała za piętnaście lat, jeśli się nie weźmie w garść.

Jestem dla niej miłsza niż kiedykolwiek, a jednocześnie mam się na baczności. Jeżeli Susie się dowie, czy nie straci resztek opanowania i nie rzuci się na mnie z tasakiem?

Chce pogadać. Chce się ze mną spotykać. Nadal mówi „Josef i ja”. Wygląda na nieszczęśliwą.

Josef opowiada mi o Susie zupełnie jak o trudnym dziecku.

– Chce wyjść za mąż – wzdycha. Daje jej do zrozumienia, że to nierozsądne, lecz chociaż musi jej odmówić tej zbyt drogiej zabawki, to odmową sam siebie rani do głębi. Nie mam zamiaru podpaść pod tę samą kategorię: kobiet nieracjonalnych, drażliwych. Nie mam ochoty wychodzić za Josefa ani w ogóle za nikogo. Małżeństwo uważam za coś wręcz hańbiącego, za karygodną transakcję, nie za dobrowolny dar. Sama myśl o małżeństwie pomniejszyłaby Josefa, zepsuła całą przyjemność. Nie taka ma być jego rola w moim życiu. Josef musi pozostać kochankiem, razem ze swoją tajemniczością i niemal pustym mieszkaniem, z bolesną przeszłością i złymi snami. A zresztą małżeństwo to nie dla mnie. Majaczy gdzieś daleko, niewinne i przybrane wstążeczkami, podobne do lalki. Bezwrotnie stracone. Zamiast wychodzić za mąż, poświęcę się malarstwu. Będę farbować włosy, nosić ekstrawaganckie stroje i ciężką, zagraniczną srebrną biżuterię. Będę dużo podróżować. Może zacznę pić.

(Naturalnie, wciąż straszy widmo ciąży. Tylko mężatka może kupić kapturek, prezerwatywy sprzedaje się spod lady i wyłącznie mężczyznom. Słyszy się o dziewczętach, które się posunęły za daleko na tylnym siedzeniu samochodu i wpadły, musiały potem rzucić szkołę bądź też zdarzały im się dziwne, niewyjaśnione wypadki. Znam te żartobliwe określenia: przy nadziei, dzidzius w drodze. Niemniej takie opowiadki rodem z toalety nie mają nic wspólnego z Josefem i z jego wrzosową sypialnią, która niejedno widziała. Nie mają też nic wspólnego ze mną, pogrążoną w owym ślepych, minorowym zauroczeniu. Lecz tak czy owak stawiam znaczki w kalendarzyku).

W wolne dni, kiedy się nie spotykam z Josefem, próbuję malować. Czasami rysuję kredkami.

Rysuję meble w mieszkaniu: wypchaną kanapę od Sally Ann z porozrzucanym ubraniem, pękatą lampę, którą nam pożyczyła matka jednej z dziewcząt, taboret z kuchni. Zwykle jednak nic mi się nie chce i po prostu wyleguję się w wannie, czytając kryminały.



Josef nie chce opowiadać o wojnie ani o tym, jak uciekł z Węgier w czasie powstania. Mówi, że to zbyt bolesne sprawy, że wolałby o nich zapomnieć. Można umrzeć na wiele sposobów, mówi, niektóre są bardziej nieprzyjemne od innych. Mam szczęście, że nigdy się o tym nie przekonam.

– Ten kraj nie ma bohaterów. Lepiej niech tak zostanie.

Jestem jeszcze nietknięta, mówi Josef. I właśnie kogoś takiego pragnie. Mówiąc to wszystko, głaszcze moją skórę, jak gdyby mnie wycierał, czyścił do połysku.

Opowiada za to swoje sny. Fascynują go. Nie pamiętam zresztą, żebym kiedykolwiek słyszała o podobnych. W snach Josefa występują czerwone aksamitne zasłony, czerwone aksamitne sofy, czerwone aksamitne pokoje. Występują białe jedwabne sznury z chwostami; wszelkie tekstylia grają tam niepoślednią rolę. I jeszcze filizanki z kozuchem pleśni.

Śni mu się kobieta owinięta w celofan, cała, razem z głową, i inna kobieta, która się przechadza po balustradzie balkonu spowita białym całunem, i jeszcze inna, leżąca w wannie twarzą do dołu. Josef, opowiadając, patrzy nie tyle na mnie, ile w jakiś punkt ukryty w głębi mojej głowy. Nie wiem, jak zareagować, toteż uśmiecham się niewyraźnie. Jestem troszkę zazdrosna o te kobiety ze snu: żadna nie jest mną. Josef wzdycha, klepie mnie po rękę.

– Jakaś ty młoda – mówi.

Na to nie znajduję odpowiedzi, chociaż wcale się nie czuję młodo. Teraz czuję się wręcz sędziwie, jestem przemęczona i okropnie zgrzana. Ciągły odór pieczonych kurczaków odbiera mi apetyt. Mamy koniec lipca, wilgoć wisi nad miastem niczym gaz bagienny, w Chacie Szwajcarskiej akurat dziś wysiadła klimatyzacja. Klienci się skarżyli. Ktoś wywrócił na podłogę w kuchni tacę z bułkami i sosem, zrobiła się ślizgawka. Szef nazwał mnie głupią dziwką.

– Nie mam ojczyzny – oznajmia Josef żalobnym tonem. Czule dotyka mojego policzka, zagląda mi w oczy. – Teraz ty jesteś moją ojczyzną.

Jem następnego ślimaka, nieprawdziwego ślimaka z puszki. Nagle zdaję sobie sprawę, że jestem nieszczęśliwa.

Odszukała mnie przez moją matkę. Umawiamy się na kawę w przerwie popołudniowej, ale nie w Chacie Szwajcarskiej. Tam bym dostała kawę za darmo, lecz ostatnio wyrywam się z pracy, kiedy tylko mogę, byle dalej od mdlącego odoru surowego drobiu na zapleczu, od rzędów oskubanych kurcząt podobnych do martwych dzieci, od rozgrzebanych, letnich resztek na talerzach, które trącą psią miską. Siedzimy więc u Murraya, kawałek dalej na tej samej ulicy, w hotelu Park Plaza. Lokal jest w miarę czysty, wprawdzie bez klimatyzacji, ale z wentylatorami na suficie. Tu przynajmniej nie wiem, co się dzieje w kuchni.

Cordelia zeszczupiała, wygląda niemal mizernie. W pociągłej twarzy zaznaczają się kości policzkowe, patrzą z niej wielkie szarozielone oczy obwiedzione zieloną kreską. Jest opalona, usta ma pociągnięte bladą pomarańczoworóżową szminką. Ręce kościste, wysmukła szyja, włosy zebrane do tyłu jak u baletnicy. Ma na sobie czarne pończochy, chociaż to lato, i sandały, ale nie delikatne, damskie, tylko artystyczne trepy na grubej podeszwie, z prymitywnymi „chłopskimi” sprzączkami. Do tego czarna dżersejowa góra z głębokim dekoltem i krótkimi rękawami, która podkreśla piersi, fałdzista bawełniana spódnica, zielono-niebieska w abstrakcyjne czarne mazaje i kwadraty, szeroki czarny pasek. Dwa grube pierścionki – jeden z turkusem – toporne kwadratowe kolczyki, srebrna bransoleta: meksykańskie srebro. Nikt by nie nazwał Cordelii piękną, aleby się w nią wpatrywał, dokładnie tak jak ja teraz. Po raz pierwszy w życiu Cordelia wygląda dystyngowanie.

Przywitałyśmy się z otwartymi ramionami, półuściskami, okrzykami zdumienia i zachwytu, jak przystoi kobietom, które długo się nie widziały. Teraz, siedząc u Murraya, sącząc lurowatą kawę, słucham Cordelii, zachodzę w głowę, dlaczego się na to zgodziłam. Startuję z gorszej pozycji: jestem w wymiętym, poplamionym sosem mundurku, pocę się pod pachami, bolą mnie nogi, w tej wilgoci włosy mam zmierzwione i poskręcane jak przypalona wełna. Pod oczami ciemne kręgi, ponieważ ostatnia noc była nocą Josefa.

Cordelia natomiast popisuje się przede mną. Niech zobaczę, dokąd zaszła od czasów lenistwa, nadwagi i porażki. Wymyśliła się na nowo. Olimpijsko spokojna, zarazem aż kipi od najróżniejszych wieści. Pracuje na Stratfordzkim Festiwalu Szekspirowskim. Gra drobne role.

– Zupełne ogony – rzuca, niedbale machając pierścionkami i bransoletką, co oznacza, że nie aż takie zupełne. – Sama wiesz. Przynies, wynies, pogaś światła, oczywiście światła nie gaszę. – Śmieje się, przypala papierosa. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek jadła ślimaki, dochodzę do wniosku, że pewnie ze ślimakami jest za pan brat. Przygnębiająca myśl.

Stratfordzki Festiwal Szekspirowski zyskał sobie sporą sławę. Wszystko zaczęło się kilka lat temu w miasteczku Stratford, mają tam rzekę Avon i łabędzie obu maści. Czytałam o tym w czasopiśmie. Ludzie jeżdżą do Stratfordu pociągami, autobusami, niektórzy samochodami, zabierając kosze piknikowe. Niekiedy zostają na cały weekend, żeby obejrzeć trzy, cztery sztuki Szekspira. Początkowo festiwal odbywał się w ogromnym namiocie, prawdziwym namiocie cyrkowym. Teraz już stoi tam murowany budynek, dziwny, nowoczesny, okrągły.

– Dlatego trzeba podawać tekst na trzy strony. Okropnie męczy się głos – mówi Cordelia z wyniosłym uśmiechem, jak gdyby zawodowo parała się wyłącznie podawaniem tekstu i katowaniem własnego głosu. Sprawia wrażenie kogoś, kto się wymyśla na poczekaniu. Cordelia improwizuje.

– A co na to twoi rodzice? – pytam. Sama ostatnio się nad tym zastanawiam: co myślą rodzice.

Na moment twarz jej zastyga.

– Cieszę się, że w ogóle coś robię.

– A Perdie i Mirrie?

– Znasz Perdie – cedzi. – Wiecznie te drobne złośliwości. No, dosyć o moich sprawach. Co ty o mnie myślisz? – Jej stary żart. Śmieję się. – Ale poważnie, co porabiasz? – Pamiętam ten ton: uprzejmy, lecz bez szczególnej ciekawości. – Odkąd się widziałyśmy ostatni raz.

Tamten ostatni raz wspominam z poczuciem winy.

– Och, nic specjalnego. Szkoła. Takie tam. – Teraz mi się wydaje, że to faktycznie nic specjalnego. Bo niby czego dokonałam przez cały rok? Liznęłam odrobinę historii sztuki, bazgrałam węglem. Nie mam czym się chwalić. Jest Josef, owszem, ale to niezupełnie osiągnięcie, o Josefie lepiej nie wspominać.

– Szkoła – prycha Cordelia. – Skakałam z radości, jak wreszcie skończyłam ze szkołą. Boże, co za nuda.

Jednakże festiwal odbywa się tylko latem. Na zimę będzie musiała znaleźć coś innego. Może dołączy do Trupy Earle'a Greya, ruszy w objazd po gimnazjach. Może już będzie do tego gotowa.

Pracę w Stratfordzie pomógł jej załatwić któryś kuzyn Earle'a Greya, pamiętał Cordelię z Burnham, jeszcze z etapu prześcieradła. – Znajomi znajomych, rozumiesz. – Cordelia gra w *Burzy* duszka, jednego z orszaków Prospera. Nosi tam trykot, a na wierzchu przejrzysty kostium usiany suchymi liśćmi i różnymi świecidełkami. – Strasznie nieprzyzwoity. – W pierwszej scenie gra także marynarza, jest dostatecznie wysoka. Gra damę dworu w *Ryszardzie III* i zakonnice w *Miarce za miarkę*. Tutaj ma nawet rolę mówioną. Recytuje dla mnie aksamitnym głosem z niby to brytyjskim akcentem:

A wtedy nawet nie wolno ci będzie

W ciągu rozmowy oblicza odslonić

Lub słowa wyrzec, jeśli kwef odchylisz^[*].

– Na próbach ciągle mi się myli. – Wylicza na palcach. – Mówić, zakryć twarz, nie mówić, odsłaniać twarz. – Składa ręce jak do modlitwy, pochyla się, zwiesza głowę. Później wstaje i wykonuje głęboki ukłon z *Ryszarda III*, podczas gdy zakupowiczki, które wpadły do Murraya na herbatę, zgodnie wytrzeszczają oczy. – Naprawdę to chciałabym za rok zagrać Pierwszą Czarownicę w „Tartanowcach”. „Rychłoż się zejdzem znów przy blasku/Błyskawic i piorunów trzasku?”^[**]. Stary mówi, że może już będę gotowa. Jego zdaniem to genialny pomysł, wiesz, młoda Pierwsza Czarownica.

Stary, jak się okazuje, to Tyrone Guthrie, reżyser z Anglii, tak sławny, że musiałam o nim słyszeć, nie ma co udawać.

– Wspaniale – mówię.

– Pamiętasz „Tartanowców” w Burnham? Pamiętasz tę kapustę? O mało nie umarłam ze wstydu.

Nie chcę pamiętać. Przeszłość stała się nieciąglą, przypomina kamienie puszczane na wodę lub

pocztówki. Widzę siebie, potem czarną pustkę i znowu siebie, i znowu pustkę. Czy kiedyś rzeczywiście nosiłam swetry nietoperze i welwetowe baletki, a na balach sukienki podobne do farbowanych pianek, czy szurałam po parkiecie, czując, jak obcy chłopak wbija się we mnie krocem? Dawno temu wyrzuciłam zasuszone bukietki; świadectwa, emblematy i zdjęcia klasowe pewnie leżą u matki w piwnicy, w kufrze, razem z czerniejącym srebrem. W przelocie widzę te zdjęcia, długie rzędy uszminkowanych dziewcząt z lokami skręconymi na ślinę. Nigdy się nie uśmiechałam do aparatu. Patrzyłam prosto przed siebie, z kamienną twarzą, byłam ponad takimi małoletnimi rozrywkami.

Pamiętam swoją niewyparzoną gębę i jaka się sobie wydawałam mądra. Wtedy nie byłam mądra. Teraz jestem.

– Pamiętasz, jak ściągałyśmy różne rzeczy ze sklepów? – pyta Cordelia. – Właściwie to jedno naprawdę wtedy lubiłam.

– Dlaczego? – Ja raczej nie. Zawsze się bałam, że mnie przyłapią.

– Bo chociaż to miałam dla siebie.

Nie jestem pewna, o co jej chodzi.

Cordelia wyciąga z torebki ciemne okulary, wkłada je. Teraz odbijam się w jej lustrzanych oczach, podwojona i monochromatyczna, o wiele mniejsza niż w rzeczywistości.



Cordelia załatwia mi darmowy bilet do Stratfordu, żebym mogła ją zobaczyć w akcji. Jadę autobusem. Przedstawienie odbywa się po południu; obejrzę sztukę i jeszcze zdążę wrócić na wieczorną zmianę do pracy. Grają *Burzę*. Wypatruję Cordelii. Kiedy na scenę wchodzi orszak Prospera, przy dźwiękach muzyki, w mrugającym świetle, wytyżam wzrok, usiłuję ją rozpoznać pod przebraniem. Na próżno.

55

Josef pracuje nad moim przeobrażeniem.

– Powinnaś nosić rozpuszczone włosy. – Wyciąga szpilki z potarganego koka, przeczesuje, wicherzy włosy palcami. – Wyglądasz jak wspaniała Cyganka. – Przyciska usta do mojego obojczyka, rozwija prześcieradło, które na mnie udrapował.

Stoję, ani drgnę, pozwalam na wszystko. Niech robi, co mu się podoba. Jest sierpień, za gorąco, żeby się ruszyć. Nad miastem wisi mgła, wilgotny dym, powleka mi skórę oleistą powłoką, przenika w głąb ciała. Jak żywy trup snuję się przez dni, dryfuję od jednej godziny do drugiej. Przestałam rysować meble w mieszkaniu. Napełniam wannę, wyciągam się w chłodnej wodzie, ale już nie czytam. Niedługo zaczną się zajęcia. Nie mogę o tym myśleć.

– Powinnaś się ubierać na fioletowo – mówi Josef. – Tak by było bez porównania lepiej. – Ustawia mnie przy oknie, w zamierającym świetle, obraca, cofa się o krok, przesuwając ręką po moim boku. Już się nie przejmuję, czy ktoś to zobaczy. Nogi mam jak z waty, usta się rozluźniają. Kiedy jesteśmy razem, Josef nie chodzi z kąta w kąt, nie targa się za włosy. Porusza się wolno, spokojnie, zdecydowanie.



Idę z Josefem do ogródkowej restauracji na dachu hotelu Park Plaza, wystrojona w nową fioletową sukienkę. Sukienka ma obcisłą górę, głęboki dekolt, dół fałdowany przy każdym kroku ociera się o moje gołe nogi. Włosy mam rozpuszczone, nasiąknięte wilgocią. Moim zdaniem wyglądają jak szczotka do mycia podłogi. Lecz gdy jedziemy na górę, w przydymionej lustrzanej ścianie windy niespodziewanie dostrzegam własne odbicie, przez chwilę widzę to, co widzi Josef: smukłą kobietę z burzą włosów, z zamyślonymi oczyma w szczupłej, bladej twarzy. Poznaję ten styl. Koniec dziewiętnastego wieku. Prerafaelici. W ręce powinnam trzymać kwitnący mak.

Siedzimy na patio, sącząc „manhattany” i patrząc ponad kamienną balustradą. Josef ostatnio zasmakował w „manhattanach”. Park Plaza to jeden z najwyższych budynków w okolicy. Pod nami Toronto gnije w wieczornym skwarze, drzewa przypominają zdeptany mech, jezioro w oddali – kawał cynkowej blachy.

Josef opowiada, że kiedyś zabił człowieka strzałem w głowę, przerażające, jak łatwo mu to przyszło. Nienawidzi rysunku z natury, mówi, nie zamierza tak się męczyć w nieskończoność, tkwić w tej prowincjonalnej sadzawce, ucząc od podstaw bandę głupków.

– Pochodzę z kraju, który już nie istnieje, ty pochodzisz z kraju, który jeszcze nie istnieje.

Kiedyś uznałabym taką uwagę za nadzwyczaj głęboką. Teraz się zastanawiam, o co mu właściwie chodzi.

Toronto, mówi Josef, nie ma w sobie ani radości, ani duszy. Malarstwo to jedynie relikwiny europejskiej przeszłości.

– Już się nie liczy – zbywa malarstwo machnięciem ręki. Chce pracować w filmie, zostać reżyserem w Stanach. Pojedzie tam jak najprędzej. Ma znajomości. Chociażby wśród Węgrów rozsiadanych po całym kraju. Węgrów, Polaków, Czechów. Tam przynajmniej ma się większe możliwości – Kanadyjczycy kręcą wyłącznie krótkometrażówki, które się wyświetla przed właściwym seansem i które pokazują liście opadające do kałuży albo rozkwitające kwiaty filmowane metodą zdjęć poklatkowych, a wszystko to przy dźwiękach fletu. Znajomym Josefa świetnie się powodzi w Stanach. Wprowadzą go, gdzie trzeba.

Trzymam Josefa za rękę. Ostatnio kocha się ze mną w zadumie, jakby myślał o czymś innym. Czuję, że odrobinę się upiłam, a do tego mam lęk przestrzeni. Nigdy dotąd nie byłam tak wysoko. Wyobrażam sobie, jak stoję przy balustradzie, powolutku się przechylam, lecę w dół. Stąd widać Stany, drobny meszek na horyzoncie. Josef nie mówi, że pojedziemy razem. Ja o nic nie pytam.

– Taka jesteś milcząca. – Dotyka mojego policzka. – Tajemnicza.

Nie jestem tajemnicza, tylko zobojętniała.

– Zrobiłabyś dla mnie wszystko?

Zagląda mi w oczy. Osuwam się ku niemu, oddalam od ziemi. Jak łatwo powiedzieć „tak”.

– Nie – mówię. Sama się sobie dziwię. Nie wiem, skąd się wzięła ta nagła, bezwzględna szczerłość. Brzmi wręcz niegrzecznie.

– Tak właśnie myślałem – wyznaje Josef ze smutkiem.



Pewnego popołudnia w Chacie Szwajcarskiej zjawia się Jon. W pierwszej chwili go nie dostrzegam, nie patrzę w jego stronę. Wycieram stół ścierką do naczyń, każdy ruch to wysiłek, rękę mam jak z ołowiu. Zeszłej nocy byłam z Josefem, dziś się nie zobaczymy, ponieważ to noc Susie.

Ostatnimi czasy Josef rzadko o niej wspomina. A jeśli już, to z tęsknotą, jak gdyby należała do przeszłości lub już nie żyła – piękna i martwa niczym bohaterka wiersza. Ale może tylko mówi w ten sposób. Może spędzają razem prozaiczne domowe wieczory, on czyta gazetę, ona podaje potrawkę. Chociaż Josef rzekomo dochowuje tajemnicy, może rozmawiają o mnie, tak jak kiedyś my dwoje rozmawialiśmy o Susie. Niezbyt to przyjemna myśl.

Wolę sobie przedstawiać Susie pod postacią kobiety zamkniętej w wieży, tam wysoko w Monte Carlo na Avenue Road. Wygląda przez okno nad malowanym żelaznym balkonem, cicho popłakuje, czeka na Josefa. Niemożliwe, żeby poza tym miała inne życie. Nie umiem sobie wyobrazić, że pierze majtki, wyciska w ręcznik, rozkłada na wieszaku w łazience, tak jak ja to robię. Nie umiem sobie wyobrazić, że coś je. Susie jest słaba, bezwolna, rozmiękczone miłością – dokładnie jak ja.

– Kopę lat – mówi Jon. Nagle się materializuje tuż obok mojej ręki, uśmiecha, pokazuje białe zęby w opalonej twarzy, bardziej opalonej, niż zapamiętałam. Opiera się o stół, który wycieram. Jest w szarym podkoszulku, starych dżinsach obciętych nad kolanami, w tenisówkach na gołe nogi. Wygląda zdrowiej niż zimą. Nigdy przedtem go nie widziałam w dzień.

Czuję każdą plamę na swoim mundurku. Czy cuchnę potem, tłuszczem z kurczaka?

– Jak się tu dostałeś? – pytam.

– Wszedłem. Dasz mi kawę?

Znalazł sobie na lato pracę w Przedsiębiorstwie Robót Drogowych, łąta dziury w jezdni, smołuje asfalt spękany po zimowych mrozach. Rzeczywiście, lekko zalatuje smołą. Nie można powiedzieć, żeby był czysty.

– Może byśmy potem skoczyli na piwo?

Już nieraz to słyszałam: Jon jak zwykle potrzebuje przepustki do sali „dla pań i panów towarzyszących”. Nie mam żadnych planów, odpowiadam więc:

– Czemu nie? Tylko muszę się przebrać.

Po pracy na wszelki wypadek biorę prysznic i wkładam fioletową sukienkę. Spotykamy się w Tawernie pod Klonowym Liściem, dołączamy do innych pań i towarzyszących im panów. Siedzimy w półmroku – przynajmniej jest chłodno – popijamy beczkowe piwo. Krępuje mnie to sam na sam z Jonem, zawsze bywałam tu z całą grupą. Jon pyta, co słyhać. Nic specjalnego, odpowiadam. Pyta, czy się gdzieś nie natknęłam na Wujaszka Joego, mówię, że nie.

– Pewnie dał nura w majteczki Susie – rzuca. – Ma gnój fart. – Wciąż mnie traktuje jak honorowego chłopaka, wciąż świntuszy o kobietach. Zaskakujące są te „majteczki”. Pewno się nauczył od Colina Anglika. Ciekawe, czy o mnie też wie, czy za plecami opowiada o moich majteczkach. Ale niby skąd miałby wiedzieć?

W Robotach Drogowych dobrze płacą, mówi. Nie zdradza się przed resztą facetów, że jest malarzem, nie zdradza się zwłaszcza przed starszymi robotnikami.

– Jeszcze by mnie wzięli za pedała albo co.

Wypijam więcej piwa, niż powinnam, a potem światło zaczyna mrugać, zamykają lokal. Wychodzimy na ulicę, w upalną letnią noc. Nie chcę wracać sama do domu.

– Dasz sobie radę? – pyta Jon. Milczę. – Dobra, chodź, odprowadzę cię. – Kładzie mi rękę na ramieniu: czuję zapach smoły, ulicznego kurzu, skóry nagrzonej słońcem. Wybucham płaczem. Z sali „tylko dla mężczyzn” wytaczają się pijacy, a ja stoję na chodniku, przyciskam ręce do ust, szlocham i czuję się głupio.

Jon się wystraszył.

– Hej, staruszko. – Poklepuje mnie niezgrabnie. – Co się dzieje?

– Nic. – Przez tę „staruszkę” jeszcze bardziej się rozklejam. Płaczę jak bóbr, jak ostatnia beksa, na pewno wyglądam obrzydliwie. Może Jon pomyśli, że za dużo wypłam – oby.

Otacza mnie ramieniem, przytula.

– Chodź – mówi. – Pójdziemy na kawę.

Ruszamy ulicą. Po chwili przestaję płakać. Zatrzymujemy się przed drzwiami obok hurtowni walizek, Jon wyciąga klucz, w ciemności wspinamy się po schodach. W drzwiach na górze całuje mnie, jego usta pachną smołą i piwem. Nigdzie nie pali się światło. Obejmuję Jona w pasie, trzymam mocno, jakbym tonęła w bagnie. Nie zwalniam uścisku, kiedy mnie podnosi i niesie przez mroczny pokój, objając się o ściany i meble, a później razem padamy na podłogę.

[*] Przekład Leona Ulricha.

[**] Przekład Józefa Paszkowskiego.

XI

UPADAJĄCE KOBIETY

56

Idę dalej na wschód Queen Street, wciąż lekko oszołomiona winem, które piliśmy przy lunchu. Podchmielona, jak kiedyś się mówiło. Alkohol to depresant, później wpadnę w przygnębienie, ale na razie jestem wesoła jak szczygieł, nucę pod nosem, nie domykając ust.

Oto grupa rzeźb, zielonkawych, poznaczonych czarnymi smugami niby metalową krwią. Siedząca kobieta z berłem w dłoni, wokół niej trzech młodych żołnierzy, maszerują przed siebie, bronią Imperium, na nogach owijacze podobne do bandaży, twarze poważne, skazane na zagładę, zamrożone w czasie. Ponad nimi na kamiennym belkowaniu stoi druga kobieta, ta ma anielskie skrzydła: Zwycięstwo albo Śmierć, albo i jedno, i drugie. Pomnik upamiętnia wojnę burską, sprzed mniej więcej dziewięćdziesięciu lat. Ciekawe, czy ktoś jeszcze ją pamięta, czy ktokolwiek w tym sznurze szarżujących samochodów w ogóle patrzy na pomnik.

Wędruję na północ po University Avenue, zostawiam za sobą budynki szpitali, idę dawną trasą Parady Świętego Mikołaja. Gmach Zoologii wyburzono już wiele lat temu. Parapet, z którego niegdyś oglądałam przemoknięte wróżki i śnieżynki zmarznięte na kość, wdychając zapach węży, środków odkażających i myszy, obrócił się już w nicość. Kto jeszcze pamięta, gdzie był?

Teraz po obu stronach ulicy ciągną się fontanny, wymuskane kwietniki, nowe, dziwaczne rzeźby. Okrażam gmach Parlamentu, który przypomina flegmatyczną, zarumienioną, krępą wiktoriańską wdowę w bombiastej sukni. Obok powiewa flaga, której nigdy nie umiałam narysować, dziś zaledwie flaga prowincji, szkarłatna, z barwami brytyjskimi w górnym rogu, z tymi niemożliwymi bobrami i liśćmi na herbie poniżej. Nowa flaga państwowa też tutaj jest, dwa pasy i klonowy liść wściekle czerwone na białym tle, coś niby znak firmowy taniej margaryny albo krwawy ślad na śniegu, tam gdzie polowała sowa. Wciąż myślę o tej fladze „nowa”, chociaż ją zmienili dawno temu.



Przecinam ulicę, wchodzę za niewielki kościółek, któremu oszczędzono przebudowę. Ogłoszenie o niedzielnym kazaniu wisi na takiej samej tablicy, jaka w domach towarowych reklamuje towar dnia: „Uwierzyć to zobaczyć”. Z kościołem zderza się z naprzeciwka ściana szkła. Za połyskliwymi fasadami cały bukiet mechatych tkanin, błyszcząca skóra, rozmaite cudenka ze srebra. Przepych, który kochamy nad życie. Z biegiem lat teologia się zmieniła – „każdemu według zasług”, oto czego mogliśmy niegdyś się spodziewać na koniec. Teraz to restauracja specjalizująca się w ciastkach. Wystarczyło obalić pojęcie winy, a całość lekko polukrować.

Skrećam za róg, w boczną uliczkę, w podwójny rząd drogich butików. Ręcznie dziergane dżerseje i francuskie ciężówki, mydła przewiązane wstążkami, importowane tytonie, bogate restauracje, gdzie wino podaje się w kieliszkach na cienkiej nóżce, a do rachunku dopisuje lokalizację oraz koszty ogólne. Salon z dżinsami od wielkich projektantów; sklep z weneckimi papierowymi bibelotami; butik z rajstopami, nad wejściem wierzga neonowa noga.

Kiedyś stały tu same rudery. To dawne terytorium Josefa, gdzie na gankach przesiadywali brzuchaci piwosze, pocąc się w sierpniowym skwarze, a tymczasem ich dzieci wrzeszczały, ich psy leżały z wywieszonymi ozorami przywiązane do płotu wystrzępionym sznurem, ze stolarki oblażiła farba, wzdłuż spekanych ścieżek wędły smętne nagietki koloru kocich siuszków. Wystarczyło wyłożyć parę tysięcy dolarów, a dziś człowiek byłby milionerem, ale kto mógł to wtedy przewidzieć? Na pewno nie ja, kiedy wchodziłam wąskimi schodami na piętro Josefa, oddychając coraz prędeej, czując tuż nad pupą jego ciężką dłoń, szłam w zmierzchającym świetle letnich wieczorów: leniwych, zakazanych, rozkosznych, ze szczyptą smutku.



Teraz wiem więcej o Josefie, niż wtedy. Wiem, bo jestem starsza. Wiem o jego melancholii, ambicji, rozpacz, obszarach wewnętrznej pustki, którą musiał zapełnić. Wiem o zagrożeniach.

Co, na przykład, robił z dwiema kobietami młodszymi od siebie o piętnaście lat? Gdyby moja córka zakochała się w kimś takim, pewnie bym dostała białej gorączki. Zupełnie jak wtedy, gdy Sara ze swoją najbliższą przyjaciółką przybiegły po szkole i opowiedziały, jak to w parku natknęły się na swojego pierwszego ekshibicjonistę.

– Mamusiu, mamusiu, jeden pan miał spuszczone spodnie!

Dla mnie to oznaczało strach i dziki gniew. Tylko ich dotknij, to cię zabiję. Lecz dla dziewczynek było to zaledwie coś osobliwego i zabawnego.

Albo tamten dzień, kiedy po urodzeniu Sary pierwszy raz zobaczyłam własną kuchnię. Przywiozłam małą ze szpitala i pomyślałam: ile tu noży. Ile tu różnych ostrych, różnych gorących rzeczy. Widziałam tylko to, co by mogło zrobić jej krzywdę.

Może któraś z moich córek ma kogoś takiego jak Josef lub takiego jak Jon, kogoś, kogo ukrywa przed światem, trzyma w sekrecie. Kto wie, z jakimi niechlujnymi bądź starszymi chłopcami się wiąże, bo tego pragną albo po prostu na przekór matce? A przy tym nieustannie mnie chronią przed sobą, ponieważ wiedzą, że wpadłabym w popłoch.

Na pierwszych stronach gazet widuję słowa, których kiedyś się nie mówiło na głos, a tym bardziej nie drukowało – stosunek płciowy, aborcja, kazirodztwo – i wówczas chcę zasłonić dziewczynkom oczy, chociaż obie są już dorosłe, a przynajmniej za takie uchodzą. Ponieważ jestem matką, potrafię się zgorszyć. Przedtem nigdy ani niczym się nie gorszyłam.

Powinnam im kupić jakieś drobne prezenty – zawsze tak robiłam, kiedy były małe, a ja dokądś wyjeżdżałam. Kiedyś instynktownie wiedziałam, co by chciały. Dziś już nie wiem. Z trudem sobie przypominam, ile każda ma lat. Nienawidziłam, gdy moja matka zapominała, że jestem dorosła, lecz oto

sama się zbliżam do tego sklerotycznego etapu, jeszcze trochę, a zacznę wygrzebywać pozółkłe fotografie z dzieciństwa, rozczulać się nad kosmykiem włosów.



Mrużąc oczy, oglądam przez szybę jedwabne włoskie szaliki w cudownych, nieokreślonych kolorach, szaroniebieskie, zielonkawe jak morska woda. Naraz czuję na ramieniu czyjś dotyk, nieruchomieję, serce mi zamiera.

– Cordelia – mówię. Odwracam się.

To nie Cordelia. W ogóle nikt znajomy. To kobieta, właściwie dziewczyna, chyba Arabka. Długa nad kostkę, szeroka bawełniana spódnica we wzory, a niżej zgrzyt – kanadyjskie buciory na gumowej podeszwie; krótki zakiet zapięty pod szyję, na głowie chusta – przecina w poprzek czoło, po bokach zebrana w zakładki, prawdziwy kwef. Ręka, która mnie dotyka, wygląda nieforemnie w wełnianej rękawiczce rodem z północy, nadgarstek pomiędzy rękawiczką a mankietem jest brązowawy jak kawa z dużą domieszką mleka. Oczy wielkie, oczy sierot z obrazów.

– Proszę – odzywa się kobieta. – Oni zabijają ludzi. – Nie mówi gdzie. W grę wchodzi wiele miejsc, a może to gdzieś pomiędzy jednym miejscem a drugim. Bezdomność stała się narodowością. Wojna mimo wszystko się nie skończyła, po prostu rozpadła na kawałki i rozsypała po świecie, wdziera się wszędzie, nie sposób przed nią uciec. Zabijanie trwa bez przerwy, teraz to przemysł, pieniądze, i trudno odróżnić, kto stoi po dobrej, kto po złej stronie.

– Tak – mówię. Ta wojna zabiła Stephen.

– Niektórzy są tutaj. Nie mają wcale, nie mają nic. Zabiliby ich...

– Tak, rozumiem. – Oto czym grożą spacery. Samochód lepiej izoluje od świata. I skąd pewność, że ona naprawdę jest kimś, za kogo się podaje? Może to narkomanka. Na rynku miękkich serc roi się od oszustów.

– Mam tu rodzinę, cztery osoby. Dwoje dzieci. Są ze mną, jestem za nie odpo... odpowiedzialna. – Lekko się zająkuje przy ostatnim słowie, ale w końcu je wymawia. Wstydzi się, nie lubi tego, nie lubi zaczepiać ludzi na ulicy.

– Tak?

– Robię to. – Wymieniamy spojrzenia. Robi to. – Za dwadzieścia pięć dolarów można wyżywić rodzinę z czterech osób przez miesiąc.

Co oni jedzą? Suchy chleb, wyrzucone pączki? A może chciała powiedzieć „tydzień”? Jeżeli w to wierzy, zasługuje na datek. Ściągam rękawiczkę, czyszczę portmonetkę, szeleszczę banknotami, różowymi, niebieskimi, fioletowymi. To wstrętne – mieć taką władzę, a zarazem czuć się tak bezsilnym. Pewno mnie nienawidzi.

– Proszę – mówię.

Kiwa głową. Nie jest mi wdzięczna, po prostu się utwierdziła w swoim przekonaniu o mnie czy może o sobie samej. Zdejmuje rękawiczkę, ten gruby kłęb włóczki, bierze gotówkę. Patrzę na nasze ręce, jej gładką, z bladymi księżycami paznokci, moją z poszarpanymi skórkami, skórą ropuchy, choć na razie w początkowym stadium. Kobieta chowa pieniądze za pazuchę. Pewnie trzyma tam portfel, poza zasięgiem złodzieja. Później znów wkłada rękawiczkę, ciemnoczerwoną, z różowym liściem wyhaftowanym wełną.

– Bóg cię pobłogosławi. – Nie mówi „Allah”. Wówczas może bym i uwierzyła.

Odchodzę, wciągając rękawiczkę. Z dnia na dzień jest tego coraz więcej, tego cichego lamentu, tych wyciągniętych głodujących rąk – potrzebuję, potrzebuję, pomóż, pomóż – i tak bez końca.

57

We wrześniu zwalniam się z Chaty Szwajcarskiej i wracam na uniwersytet. Wracam także do piwnicy w domu rodziców, ponieważ nie mogę inaczej. Oba miejsca są niebezpieczne. Mam teraz więcej niż jedno życie, żyję we fragmentach. Otrząsnęłam się jednak z letargu. Pomimo skwaru późnego lata jestem czujna, aż kipię adrenaliną. A wszystko za sprawą oszustwa, panowania nad własnymi kłamstwami. Muszę ukrywać Josefa przed matką i ojcem, a Jona przed całą trójką. Przemykam się chyłkiem, z sercem w gardle i obawą, że się wyda. Unikam późnej nocy, lawiruję i stąпам na palcach. O dziwo, wcale nie czuję się mniej bezpiecznie. Czuję się pewniej.

Dwaj mężczyźni są lepsi niż jeden, w każdym razie mnie z tym lepiej. Kocham obydwu, mówię sobie, a mając dwóch, nie muszę o żadnym decydować.

Josef daje mi to, co zawsze dawał, plus strach. Mimochodem – tak jak opowiadał o tamtym człowieku zabitym strzałem w głowę – mówi, że w większości krajów, z wyjątkiem Kanady, kobieta należy do mężczyzny. Jeżeli mężczyzna przyłapie ją z innym mężczyzną, zabija oboje i wszyscy go rozgzeszają. Nie mówi, co robi kobieta, kiedy się dowie o „tej drugiej”. Głaszcze mnie po ręce, po ramieniu, lekko po szyi, a ja się zastanawiam, czy coś podejrzewa. Raz domaga się słów, innym razem zasłania mi usta dłonią. Zamykam oczy, wyczuwam w nim źródło siły, niewyraźne i zmienne. Prawdopodobnie dostrzegłabym też szczyptę głupoty, gdybym tylko umiała spojrzeć bezstronnie. Ale nie umiem.



Jeśli idzie o Jona, wiem, co mi daje. Daje ucieczkę, ucieczkę przed dorosłymi. Daje zabawę i rozgardiasz. Daje intrygę.

Rozważam, czyby mu nie powiedzieć o Josefie, sprawdzić, co się stanie. Wtedy jednak groziłoby inne niebezpieczeństwo. Jon by mnie wyśmiał za to, że sypiam z Josefem, facetem nie dość że śmiesznym, to jeszcze starym. Nie zrozumiałby, jak mogę kogoś takiego brać poważnie, nie zrozumiałby

tego przymusu. Straciłabym u niego parę punktów.

Mieszkanie Jona nad hurtownią walizek jest długie, wąskie, cuchnie farbą akrylową i brudnymi skarpetkami. Ma tylko dwa pokoje i łazienkę. Łazienka jest fioletowa z czerwonymi śladami stóp wymalowanymi na ścianie w poprzek sufitu i na przeciwległej ścianie. Pokój frontowy jest niepokalanie biały, drugi – sypialnia – połyskliwie czarny. Jon wyjaśnia, że to na złość gospodarzowi, temu kutasowi.

– Jak się wyprowadzę, będzie musiał położyć piętnaście warstw farby, żeby to zakryć.

Czasami Jon mieszka sam, a czasami zastaję jeszcze jednego lokatora, niekiedy dwóch, koczując w śpiworach na podłodze. To inni malarze, których wyrzucił jakiś rozwścieczony kamienicznik bądź którzy akurat mają przerwę między jedną dorywczą pracą a drugą. Kiedy dzwonię do drzwi na dole, nigdy nie wiem, kto mi otworzy ani na co się natknę: na poranne niedobitki całonocnej imprezy, na ogólną kłótnię, na kogoś, kto puszcza pawia do sedesu. „Puszczać pawia” to określenie Jona. Jego zdaniem śmieszne.

Na schodach mijają mnie różne kobiety, wędrują na górę albo w dół. Niekiedy kręcą się w drugim kącie białego pokoju, gdzie mieści się prowizoryczna kuchnia – jednopalnikowa maszynka i czajnik elektryczny. Nie wiadomo, do kogo są przypisane te kobiety. Czasem to studentki z akademii, które wpadły pogadać. Jednakże między sobą niewiele rozmawiają. Rozmawiają z mężczyznami albo milczą.

Obrazy Jona wiszą w białym pokoju lub stoją pod ścianami. Zmieniają się niemal co tydzień – Jon jest nadzwyczaj płodny. Maluje, bardzo prędko, jaskrawymi farbami akrylowymi, czerwienią, różem, fioletem, aż siatkówka się odkleja. Tworzy jakieś rozszalałe pętle i spirale. Czuję, że powinnam się zachwycać tymi obrazami, bo sama tak nie umiem malować, i rzeczywiście się zachwycałam – półgębkiem. W głębi ducha nie bardzo mi się podobają. Widywałam podobne rzeczy przy autostradzie, kiedy coś spadło pod samochód.

Inna rzecz, że obrazy Jona z zasady nie mają przedstawiać niczego określonego. Są chwilą w procesie twórczym utrwaloną na płótnie. Są czystą sztuką.

Jon dałby się posiekać za ową czystość, lecz tylko w sztuce. Rzecz nie dotyczy sposobu prowadzenia domu, ten bowiem jest wyrazem ostrego protestu przeciwko wszystkim matkom, szczególnie matce Jona. Zmywanie, kiedy już się bierze do zmywania, odbywa się w wannie, toteż w odpływie stale tkwią jakieś skórki i ziarna konserwowej kukurydzy. Podłoga białego pokoju przypomina plażę po weekendzie. Prześcieradło również jest chwilą w procesie twórczym, jakkolwiek ta chwila trwa już od pewnego czasu. Wolę wierzch śpiwora, nieco mniej skażony. Łazienka wygląda całkiem jak toalety na stacjach benzynowych gdzieś przy bocznych drogach na północy: w sedesie brązowa obwódka, nierzadko pływają niedopałki, na ręczniku – jeżeli w ogóle wisi – widać brudne ślady rąk, nieokreślone skrawki papieru walają się na podłodze.

Na razie nie staram się oczyszczać terenu. Przekroczyłabym granicę, okazała drobnomieszczański brak luzu. – Kim ty jesteś, moją mamuszką? – powiedział kiedyś Jon do jednej z tych kręcących się kobiet, gdy nieśmiało próbowała okiełznać jakieś bardziej zapleśniałe śmietnisko. Nie chcę być mamuszką, raczej współniczką-spiskowcem.

Miłość z Jonem nie przypomina tamtego leniwego, rozdierającego transu, który przeżywam z Josefem, jest żywiołowa, jakby dwa szczenięta tarzały się w błocie. Jest nieprzyzwoita jak bójka uliczna, jak świński dowcip. Później leżymy na śpiworze, chrupiąc chipsy prosto z torebki i chichocząc bez powodu. Jon nie uważa kobiet za bezradne kwiaty ani za postaci do ustawiania i podziwiania, inaczej

niż Josef. Dzieli kobiety na mądre i głupie. Oto jego kategorie.

– Wiesz, staruszko – mówi do mnie – ty naprawdę masz łeb.

Czuję się mile połączona, ale zarazem zlekceważona. Potrafię się sama o siebie zatroszczyć.



Josef zaczyna wypytywać, gdzie byłam, co robiłam. Odpowiadam wymijająco, jestem przebiegła. Trzymam Jona niby asa w rękawie. Skoro Josef może działać na dwa fronty, mogę i ja. Lecz już nie wspomina o Susie.

Ostatni raz widziałam ją pod koniec sierpnia, zanim się wyniosłam z Chaty Szwajcarskiej. Przyszła sama na kolację, na połówkę kurczaka i lody „wiśnia burgundzka”. Zaniedbała włosy, były ciemniejsze i prostsze. Utyła, twarz miała puciołowatą. Jadła mechanicznie, jakby z musu, ale nie zostawiała ani okruszka. Możliwe, że jadła na poprawę humoru, z powodu Josefa. Cokolwiek jeszcze się stanie, Josef nigdy się z nią nie ożeni i pewnie o tym wiedziała. Domyśliłam się, że przyszła o nim porozmawiać, więc ją omijałam, zbywałam obojętnym uśmiechem. Siedziała przy stoliku poza moim rewirem.

Na koniec sama podeszła.

– Nie widziałaś Josefa? – spytała. Mówiła płacząco, co mnie zirytowało.

Skłamałam, nie za dobrze.

– Josefa? – Zaczerwieniłam się. – Nie. Dlaczego?

– Pomyślałam, że może wiesz, gdzie jest. – To nie był wyrzut, lecz rozpacz. A potem Susie wyszła, powłócząc nogami, wyglądała jak pani w średnim wieku. Co za dupsko, pomyślałam, nic dziwnego, że Josef trzyma się od niej z daleka. Nie lubi chudych kobiet, ale w drugą stronę też nie należy przesadzać. Susie popuszczała sobie cugli.



Teraz do mnie dzwoni. Jest późne popołudnie, uczę się w piwnicy. Matka woła mnie do telefonu. Głos Susie w słuchawce kwili cicho, rozpaczliwie.

– Elaine, proszę cię, przyjedź.

– Co się dzieje?

– Nie mogę powiedzieć. Po prostu przyjedź.

Proszki nasenne, myślę. Akurat w jej stylu. I dlaczego ja, dlaczego nie zadzwoniła do Josefa? Chętnie bym ją trzepnęła.

– Dobrze się czujesz? – pytam.

– Nie. – Podnosi głos. – Nie czuję się dobrze. Coś się stało.

Nie przychodzi mi do głowy, żeby wezwać taksówkę. Taksówki są dobre dla Josefa, ja wszędzie jeżdżę autobusem albo tramwajem, albo metrem. Dotarcie do Monte Carlo zabiera mi blisko godzinę. Susie nie podała numeru mieszkania, ja zapomniałam spytać, muszę więc odszukać dozorcę. Gdy w końcu pukam do jej drzwi, nikt nie odpowiada. Znowu idę po pomoc do dozorca.

– Ona na pewno tam jest – mówię, bo dozorca się waha, czy mi otworzyć. – Dzwoniła do mnie. To nagły wypadek.

Kiedy wreszcie się dostaję do środka, w mieszkaniu panuje mrok. Zastony zaciągnięte, okna pozamykane, coś dziwnie pachnie. Tu i tam porzuczone ubrania – dżinsy, zimowe buty, czarny szal Susie. Meble chyba wybierali rodzice. Widzę zielonkawą kanapę z kanciastymi poręczami, dywan barwy pszenicy, niski stolik, dwie lampy z abażurami, wciąż owiniętymi celofanem. Nic tutaj nie pasuje do Susie takiej, jaką sobie wyobrażałam.

Na dywanie zauważam ciemny ślad stopy.

Susie jest za kotarą, która oddziela wnekę sypialną. Leży na łóżku w różowej nylonowej koszulce nocnej, biała jak surowy kurczak, z zamkniętymi oczami. Kołdra i różowa pikowana narzuta walają się na podłodze. Na prześcieradle, dokładnie pod Susie, ogromna plama świeżej krwi rozpościera się na boki niczym jaskrawoczerwone skrzydła.

Ogarnia mnie rozpacz. Nie wiedzieć czemu czuję się zupełnie opuszczona.

Później dostaję mdłości. Biegnę do łazienki i wymiotuję. Na domiar złego miska klozetowa jest ciemnoczerwona od krwi. Czarno-białą kafelkową podłogę znaczą krwawe odciski stóp, umywalkę ślady palców. W koszu pełno nasiąkniętych podpasek.

Wycieram usta jasnoblękitnym ręcznikiem Susie, myję ręce w zbryzganej krwią umywalce. Nie wiem, co robić. Cokolwiek się stało, nie chcę brać w tym udziału. Błyska absurdalna myśl, że jeśli Susie umarła, oskarżą mnie o morderstwo. Najchętniej wymknęłabym się z mieszkania, zamknęła drzwi, zatarła za sobą ślady.

Wracam jednak do łóżka, badam jej puls. Tak trzeba, tyle wiem. Jeszcze żyje.

Znajduję dozorcę. Wzywa karetkę. Dzwonię też do Josefa, ale go nie ma.

Jadę do szpitala, siedzę w tyle karetki. Susie częściowo oprzytomniała. Trzymam ją za rękę, małą i zimną.

– Nie mów Josefowi – szepcze. Różowa koszulka wszystko mi wyjaśniła. Susie w żadnym razie nie jest kimś, za kogo ją brałam, nigdy taka nie była. Po prostu grzeczna dziewczynka bawi się w przebieranki.

Niemniej to coś, co zrobiła, stawia ją poza nawiasem. Należy do spraw, o których się nie mówi, które leżą pod powierzchnią zwykłej mowy, jak zatopione wzgórze. Wie o tym każdy w moim wieku. Nikt o tym nie wspomina. Tam w dole są pogłoski, kuchenne stoły, pieniądze skrycie przekazywane z rąk do rąk; złe staruchy, nielegalni lekarze, hańba i jatki. Tam w dole jest strach.

Dwaj sanitariusze traktują sprawę zdawkowo, z pogardą. Już widywali takie rzeczy.

– Czym to, drutem do robótek? – pyta jeden. Pyta oskarżycielsko, może myśli, że jej pomagałam.

– Nie mam pojęcia – mówię. – Prawie jej nie znam. – Nie dam się w to wciągnąć.

– Bo zwykle biorą drut. Głupie smarkule. Można by sądzić, że mają więcej rozumu.

Tak, zgadzam się, była głupia. Zarazem jednak wiem, że na jej miejscu postąpiłabym równie głupio. Zrobiłabym dokładnie to samo co ona, minuta po minucie, krok po kroku. Tak jak ona wpadłabym w popłoch, jak ona nie powiedziałabym Josefowi, jak ona nie wiedziałabym, dokąd pójść. Wszystko, co się przytrafiło Susie, równie dobrze mogło się przytrafić mnie.

Lecz odzywa się też inny głos. Cichy, podły, pradawny i zadowolony z siebie, dolatujący gdzieś ze środka głowy. Dobrze jej tak.

Josef, kiedy wreszcie się znajduje, jest zdruzgotany.

– Biedne dziecko, biedne dziecko – powtarza. – Dlaczego mi nie powiedziała?

– Myślała, że się wściekniesz – rzucam zimno. – Jak jej rodzice. Myślała, że dostanie od ciebie kopa, bo zaszła w ciążę.

To niewykluczone, o czym oboje wiemy.

– Nie, nie – bąka Josef niepewnie. – Ja bym się nią zajął. – Co może oznaczać kilka rzeczy.

Dzwoni do szpitala, ale Susie nie chce go widzieć. Zmieniła się, stwardniała. Mówi, że może już nigdy nie będzie miała dzieci. Nie kocha go. Nie chce go więcej znać.

Teraz Josef zupełnie się rozkleja.

– Co ja jej zrobiłem? – skamle, szarpiąc się za włosy.

Wpada w coraz głębszą melancholię. Nie ma ochoty pójść na kolację, nie ma ochoty się kochać. Zaszły się w mieszkaniu, które już nie jest czyste i puste, lecz wypełnia się bezładnymi fragmentami jego życia, pojemnikami po chińskich potrawach na wynos, niepraną pościelą.

Nigdy się z tym nie pogodzi, mówi, z tym, co wyrządził Susie. Właśnie tak myśli: coś wyrządził Susie, jej bezwładnemu, niewinnemu ciału. A jednocześnie to Susie go zraniła. Jak może go traktować

w ten sposób, wyrzucać ze swojego życia?

Spodziewa się, że ukoję jego poczucie winy i krzywdy. Ale trafił pod zły adres. Zaczynam nie lubić Josefa.

– To było moje dziecko – jęczy.

– Ożeniłbyś się z nią? – pytam. Takie cierpienie na pokaz nie budzi mojego współczucia, jedynie bezwzględność.

– Jesteś dla mnie okrutna. – Przedtem też to powtarzał, w kontekście erotycznym, drocząc się. Teraz mówi serio. Teraz ma rację.

Bez Susie znika to coś, co nas utrzymywało w równowadze. Josef spoczywa na mnie całym ciężarem, zbyt wielkim. Nie potrafię go uszczęśliwić i złości mnie własna porażka. Nie wystarczam mu, nie spełniam jego oczekiwań. Teraz widzę, jaki jest słaby, czepliwy. Istna wypatroszona ryba. Nie mogę szanować mężczyzny, którego kobieta doprowadza do takiego stanu. Patrzę w jego smutne oczy i czuję pogardę.

Wykręcam się przez telefon. Jestem bardzo zajęta, mówię. Pewnego wieczoru po prostu staję okoniem. Prawdziwa rozkosz – znowu więc to robię. Josef odszukuje mnie na uniwersytecie w przerwie między zajęciami, cały wymięty, nieogolony i naraz za stary, wlecze się obok, błaga. Gniewa mnie takie zetknięcie dwóch światów.

– Kto to był? – pytają dziewczęta w kaszmirowych bliźniakach.

– Taki jeden. Kiedyś go znalazłam – rzucam lekko.



Josef dopada mnie przed muzeum. Doprowadziłam go do rozpaczy, oświadcza. Skoro tak się z nim obesłam, opuszcza Toronto na zawsze. Nie daję się nabrać. Tak to planował. Odzywa się moja niewyparzona gęba.

– Świetnie – mówię.

Patrzy na mnie boleśnie, z wyrzutem. Prostuje się, przybiera dumną, teatralną pozę matadora, można by pomyśleć, że ktoś mu wsadził pogrzbacz w tyłek.

Odchodzę od niego. Jakie to wspaniałe uczucie, tak po prostu odejść. Zupełnie jakby ludzie mogli się pojawiać i znikać zgodnie z moją wolą.



Nie mam snów o Josefie. Śni mi się za to Susie, w czarnym golfie i w džinsach, ale niższa niż w rzeczywistości, z włosami na pazia. Stoi na ulicy, którą znam, której jednak nie potrafię rozpoznać, wśród dymiących kopczyków jesiennych liści, trzyma zwiniętą skakankę, ssie połówkę pomarańczowego lizaka.

Nie jest wyczerpana, bezsilna, jak ostatnim razem, gdy ją widziałam. Spogląda chytrze, taksująco.

– Nie wiesz, co to bliźniak? – pyta złośliwie.

Dalej ssie lizaka. Wiem, że zrobiłam coś złego.

58

Mija czas, obraz Susie się zaciera. Josef nie wraca.

Zostaje więc Jon. Mam takie uczucie, że sam, bez Josefa, jest niekompletny niby jedna z pary podpórek na książki. A jednocześnie czuję się jak wzór wszelkich cnót, gdyż już niczego przed nim nie ukrywam. Jonowi akurat nie sprawia to różnicy, bo nie miał o niczym pojęcia. Nie wie, dlaczego bardziej mnie teraz obchodzi, jak spędza resztę czasu.

Dochodzę do wniosku, że go kocham. Przez ostrożność wolę nic nie mówić. Mógłby się obruszyć na takie słownictwo lub uznać, że próbuję go usidlić.

Wciąż chodzę do długiego biało-czarnego mieszkania, wciąż ląduję na wierzchu śpiwora, jakkolwiek od przypadku do przypadku: Jon nie należy do tych, co planują z góry czy choćby pamiętają. Czasami, gdy dzwonię do drzwi, nikt nie otwiera. Innym razem odłączają mu telefon, bo nie zapłacił rachunku. W pewnym sensie tworzymy parę, choć w sensie dość niejasnym. Kiedy Jon jest ze mną, to jest ze mną, kropka. Mniej więcej do tego ogranicza się jego definicja związku, którego jeszcze się nie nazywa związkiem.

Odbywają się imprezy, w półmroku i kłębach dymu. Światła są pogaszone, w butelkach mrugają świece. Schodzą się wtedy inni malarze, a także całe zastępy kobiet w golfach i – ostatnio – z włosami „na topielicę”, długimi, prostymi, z przedziałkiem pośrodku. Siedzą grupkami na podłodze, słuchają ballad o kobietach przebitych nożem i palą skręty z marihuany, bo tak się robi w Nowym Jorku. Na marihuanę mówią „trawka” albo „marycha”, twierdzą, że dzięki niej tworzy się na większym luzie.

Po wszelkich papierosach zaczynam się dusić, toteż nie palę trawki. Niekiedy razem z jakimś malarzem zaszywam się w przedpokoju, wolę nie widzieć, co Jon wyczynia z tamtymi topielicami. Cokolwiek to jest, niech to robi w sekrecie. Lecz on nie zamierza niczego ukrywać. Poczucie własności w seksie uważa za drobnomieszczkański przesąd, za zwykły przeżytek z czasów, kiedy własność prywatną traktowało się jak świętość. Żaden człowiek nie należy do drugiego człowieka.

Jon aż tak się nad tym nie rozwodzi. Rzuca tylko: – Ej, nie jestem twoją własnością.

Czasem ci inni malarze są tylko naćpani albo pijani, czasem jednak chcą mi opowiadać o swoich

kłopotach. Jąkają się, mówią zrywami, krótkimi zdaniami. Kłopoty zazwyczaj dotyczą ich dziewczyn. Jeszcze trochę, a zaczną mi znosić skarpetki do cerowania, guziki do przysycia. Czuję się jak podstarzała ciotka. Oto czym się zajmuję, zamiast się katować zazdrością, zazdrość bowiem nie ma przyszłości. A przynajmniej tak myślę.



Jon już nie maluje zawijasów ani innych wnętrzości. Są zbyt romantyczne, mówi, zbyt uczuciowe, rozmemłane i sentymentalne. Teraz na jego obrazach widnieją wyłącznie linie proste albo idealne koła. Żeby uzyskać prostą, pomaga sobie naklejoną taśmą. Stosuje bloki jednolitego koloru, żadnego impastu.

Nazywa te obrazy *Zagadka: błękit i czerwień* lub *Wariacja: biel i czerń*, lub *Opus 36*. Aż oczy bołą, kiedy się na nie patrzy. I tak ma być, twierdzi Jon.



Za dnia chodzę na wykłady.

Sztuka i archeologia pociemniały, są bardziej aksamitne niż w zeszłym roku, króluje impast i światłocień. Nadal pojawiają się Madonny, lecz ich ciała utraciły dawną świetlistość, w tle częściej widać noc. Nadal pojawiają się święci, ale już nie przesiadują w cichych izbach bądź na pustyni. Zniknęły czaszki, które głoszą *memento mori*, zniknęły podobne do psów lwy spoczywające u stóp. Teraz święci wiją się w męczeńskich pozach, naszpikowani strzałami lub przywiązani do pala.

Tematy biblijne skłaniają się ku przemocy. Judyta ucina głowę Holofernesowi – oto popularny motyw. Mnożą się klasyczni bogowie i boginie. Jak dawniej nie brakuje wojen, bijatyk, rzezi, aczkolwiek stały się bardziej chaotyczne, pełne splątanych rąk i nóg. Wciąż się widuje portrety bogaczy, teraz jednak w ciemniejszych szatach.

Kiedy tak mkniemy przez stulecia, pokazują się nowe rzeczy: pojedyncze statki i zwierzęta – psy, konie. Wieśniacy w pojedynkę. Pejzaże, z domami albo bez domów. Kwiaty, tace z owocami, kawałkami mięsa, z homarami albo bez homarów. Homary to ulubiony motyw, ze względu na barwę.

Nagie kobiety.

Motywy niejednokrotnie się zazębiają. Naga bogini opleciona kwiatami, obok parę psów; postaci biblijne w ubraniu albo bez ubrania, z dodatkiem lub bez dodatku zwierząt, drzewa, statki. Bogacze udający bogów czy boginie. Zazwyczaj nie łączy się owoców z rzezią ani bogów z wieśniakami. Nagie kobiety przedstawia się w taki sam sposób jak tace z mięsem i martwymi homarami, z równie staranną grą światła świec na skórze, równie soczyście, zmysłowo, z bogactwem szczegółów, z malarskim umiłowaniem namacalności. („Bogactwo szczegółów – notuję. – Malarskie umiłowanie namacalności”). Wyglądają jak podane na półmisku.

Nie podobają mi się te mgliste, lepkie obrazy. Wolę wcześniejsze, przesycone jasnością dnia, ukazujące spokojne, zatrzymane gesty. Zniechęciłam się też do farb olejnych, nie lubię ich gęstości, tego, jak zamazują kreskę, kojarzą się z oblizanymi ustami, jak przykuwają uwagę do samego pociągnięcia pędzlem. Zupełnie ich nie przyswajam. Pragnę obrazów, które poniekąd istnieją samorzutnie. Pragnę przedmiotów dyszących światłem, promiennej jednolitości.

Rysuję kolorowymi kredkami bądź maluję temperą żółtkową, techniką mnichów. Nikt już tego nie uczy, szperam więc w bibliotece, szukam wskazówek. To trudna technika, brudna, wymaga staranności i z początku łamie człowiekowi serce. Przygotowując gips, paprzę matce kolejne garnki i podłogę w kuchni, marnuję jedno płótno po drugim, zanim wreszcie udaje mi się uzyskać wystarczająco gładki podkład. Czasami zapominam o butelkach z żółtkami i wodą, mikstura się psuje, z piwnicy cuchnie siarką. Zużywam mnóstwo żółtek. Białka ostrożnie oddzielam i zanoszę matce, piecze z nich bezy.

Jeżeli nikogo nie ma w domu, maluję w bawialni przy oknie panoramicznym, kiedy indziej przy okienku w piwnicy. Nocą używam dwóch giętych lamp, każdej na trzy żarówki. Światła i tak nie wystarcza, ale nie ma innej rady. Później, myślę, sprawię sobie wielką pracownię ze świetlikami, chociaż trudno powiedzieć, co tam będę malować. Cokolwiek to będzie, jeszcze później ukaże się w książkach, na barwnych reprodukcjach, tak jak dzieła Leonarda da Vinci, jego studia rąk, stóp, włosów i martwych ciał – właśnie nad nimi ślęczę bez końca.

Fascynują mnie świetlne refleksy na szkle i wszelkich innych błyszczących powierzchniach. Uważnie oglądam na obrazach perły, kryształy, lustra, lśniące detale z mosiądzu. Wiele czasu spędzam nad *Portretem małżonków Arnolfini* van Eycka, studiując marną kolorową reprodukcję z podręcznika przez szkło powiększające. Urzekają mnie nie tyle dwie postacie, subtelne, blade, niemalże bez ramion, trzymające się za ręce, ile lustro na ścianie za nimi, lustro, którego wypukła powierzchnia odbija nie tylko plecy małżonków, lecz także dwie osoby niewidoczne na głównym obrazie. Są odrobinę krzywe, jak gdyby tam w głębi obowiązywało inne prawo grawitacji, inny układ przestrzeni, uwięzione, zatopione w szkle niczym w przycisku do papierów. Okrągłe lustro przypomina oko, jedno oko, które widzi więcej niż ktokolwiek z patrzących. Powyżej biegnie napis: „Johannes de Eyck fuit hic. 1434”. Niemile kojarzy się z bazgrołami w toaletach, z napisami sprayem na ścianie.

W domu nie mam takiego lustra, nie mam na czym ćwiczyć. W zastępstwie maluję więc butelki piwa imbirowego, kieliszki do wina, kostki lodu z zamrażalnika, emaliowany czajniczek, należące do matki kolczyki ze sztucznych pereł. Maluję wypolerowane drewno i metal: patelnię z miedzianym dnem widzianą od spodu, aluminiowy garnek do gotowania na parze. Bawię się szczegółami, tkwię zgarbiona przy płótnie, nanosząc jasne punkty cieniutkim pędzelkiem.

To niemodne gusty, wiem, więc działam w tajemnicy. Jon, na przykład, nazwałby moje obrazy ilustracją. Jeśli o niego idzie, każdy obraz, na którym cokolwiek da się rozpoznać, to ilustracja. Rzecz pozbawiona spontanicznej energii, powiedziała by. Żadnego procesu. Równie dobrze mogłabym być fotografem albo Normanem Rockwellem^[*]. Czasami przyznaję mu rację, bo niby co takiego dotąd zrobiłam? Same przypadkowe próbki z działu gospodarstwa domowego z katalogu Eatona. Nie dają jednak za wygraną.

W środowe wieczory chodzę na jeszcze jedno zajęcia. Nie na rysunek żywego modelu z natury, którego w tym roku uczy krewki Jugosłowianin, tylko na sztukę reklamową. Spotyka się tutaj zupełnie innych ludzi. Większość studiuje na wydziale sztuki komercyjnej, a nie sztuk pięknych. I znów są to przeważnie mężczyźni. Niektórzy mają poważne ambicje artystyczne, ale piją mniej piwa. Są bardziej czysti, sumienni, po dyplomie chcą znaleźć dobrze płatną posadę. Całkiem tak jak ja.

Zajęcia prowadzi starszy pan, chudy i zgnębiony. Uważa, że poniósł klęskę w realnym świecie, chociaż przed laty zaprojektował słynną etykietę na puszki wieprzowiny z grochem – pamiętam tę etykietę z dzieciństwa. Podczas wojny często jedliśmy konserwową wieprzowinę z grochem. Nasz wykładowca specjalizuje się w uśmiechach. Cały trik polega na tym, żeby prawidłowo namalować zęby, ładne, białe, równe zęby, bez najmniejszych szpar, bo wówczas zbytnio przypominają psie kły albo sztuczną szczękę (którą sam nosi). Mówi, że mam talent do uśmiechów i że daleko zajdę.

Jon trochę mi dogryza z powodu tych zajęć, lecz nie aż tak bardzo, jak się spodziewałam. Wykładowcę przeżywa pan Pro시오-Grosio i na tym poprzestaje.

59

Kończę uniwersytet i prędko zdaję sobie sprawę, że niewiele mogę zdziałać ze swoim dyplomem. W każdym razie nie mogę robić nic z tego, na co bym miała ochotę. Nie chcę dalej studiować, nie chcę uczyć w gimnazjum ani zostać popychadłem kustosza w muzeum.

Do tej pory zaliczyłam pięć kursów wieczorowych w akademii, z czego cztery w dziedzinie sztuki komercyjnej. Uzbrojona w wiedzę dzierżę teczkę z uśmiechami, miskami budyniu karmelowego i połówkami brzoskwiń z puszki, kłusuję do rozmaitych agencji reklamowych. W tym celu kupuję beżowy wełniany kostium (z wyprzedaży), czółenka na średnim obcasie, klipsy perełki i gustowny jedwabny szalik (z wyprzedaży), wszystko u Simpsona. A to za radą wykładowcy z ostatnich zajęć. Te zajęcia z wzornictwa i projektowania prowadziła kobieta. Radziła także, żebym podstrzygła włosy, ale tak daleko się nie posunęłam, stanęło na francuskim koku, który montuję za pomocą dużych wałków, żelu i mnóstwa szpilek. W końcu dostaję pracę przy sporządzaniu makiet, wynajmuję też małe umeblowane mieszkanie – dwa pokoje z kuchenką, z osobnym wejściem – w wielkiej zrujnowanej kamienicy przy Annex, na północ od Bloor. Jednego pokoju używam jako pracowni i zawsze go zamykam na klucz.

W mieszkaniu mam prawdziwe łóżko i prawdziwy kuchenny zlew. Jon wpada na kolację, podśmiewa się z ręczników (z wyprzedaży), ze świeżo nabytych żaroodpornych naczyń, z zasłony do prysznicza. – Jak z pisemek dla kur domowych, co? – mówi. Podśmiewa się z łóżka, ale lubi w nim sypiać. Teraz częściej przychodzi do mnie niż ja do niego.



Rodzice sprzedają dom i przenoszą się na północ. Ojciec rzucił uniwersytet, wrócił do pracy badawczej. Został szefem Laboratorium Owadów Leśnych w Sault Ste. Marie. Mówi, że Toronto jest

przeludnione i zanieczyszczone. Południowe Wielkie Jeziora to największy ściek świata i gdybyśmy wiedzieli, co pijemy razem z wodą, wpadlibyśmy w alkoholizm. W powietrzu unosi się tyle chemikaliów, że powinniśmy chodzić w maskach gazowych. Na północy jeszcze da się oddychać.

Matce żal było zostawiać ogród, ale starała się dostrzec dobre strony przeprowadzki: – Przynajmniej mamy okazję uprzątnąć ten śmietnik w piwnicy. – W Soo założyli nowy ogród, chociaż okres wegetacji trwa tam krócej. Latem jak zwykle ruszają w drogę, jeżdżą od jednej plagi do drugiej. Owadów nadal nie brakuje.

Nie tęsknię za rodzicami. Jeszcze nie. A raczej nie chcę z nimi mieszkać. Cieszę się, że mieszkam na swoim, we własnym bałaganie. Teraz mogę jeść od przypadku do przypadku, żywić się byle przekąskami i daniami na wynos, nie zawracać sobie głowy zbilansowaną dietą. Mogę kłaść się spać, kiedy mi się spodoba, zostawiać brudy, niech sobie gniją, nie zmywać naczyń.

Dostaję awans. Niebawem przenoszę się do redakcji graficznej w wydawnictwie, projektuję okładki książek. W nocy, kiedy nie ma Jona, maluję. Nieraz zapominam o śnie, nagle spostrzegam, że tymczasem się rozwidniło, że muszę się przebrać i pędzić do pracy. W takie dni snuję się jak pijana, nie słyszę, co się do mnie mówi. Widocznie jednak nikt tego nie zauważa.



Przychodzą pocztówki, z rzadka krótki list od matki, wysłane z Duluth czy Kapuskasing. Na drogach robi się tłoczno, pisze matka. „Za dużo wozów kempingowych”. Odwzajemniam się nowinami o pracy, mieszkaniu, pogodzie. O Jonie nie wspominam, bo nie ma żadnych nowin. Nowiną byłoby coś jednoznacznego i przyzwoitego, chociażby zaręczyny.

Mój brat bywa to tu, to tam. Zaczął oszczędzać słowa, teraz także się porozumiewa za pośrednictwem pocztówek. Jedna nadchodzi z Niemiec – mężczyzna w krótkich skórzanych spodniach i wiadomość: „Kapitalny akcelerator cząstek”. Jedna z Nevady – kaktus i notka: „Ciekawe żyjątka”. Stephen jedzie do Boliwii, pewnie na wakacje, przysyła widokówkę z kobietą w wysokim kapeluszu palącą cygaro: „Fantastyczne motyle”. W pewnym momencie się żeni, o czym donosi kartka z San Francisco – zachód słońca nad mostem Golden Gate i: „Ożeniłem się. Pozdrowienia od Annette”. Tylko tyle się dowiaduję, dopiero w kilka lat potem dostaję pocztówkę z Nowego Jorku, ze Statuą Wolności oraz informacją: „Rozwiodłem się”. Najpewniej oba wydarzenia go zdumiały, jakby nie on je spowodował, nie działał celowo, jakby były dziełem przypadku, tak jak przypadkiem człowiek się potyka. Stephen, myślę, wszedł w małżeństwo jak do parku, w obcym kraju, nocą, nieświadomy, że może mu się przytrafić coś złego.

Pojawia się w Toronto – ma wygłosić wykład na konferencji – zawiadomiwszy mnie zawczasu pocztówką z Bostonu, z pomnikiem Paula Revere: „Przyjeżdżam niedz. 12. Mój artykuł w pon. Do zobaczenia”.

Idę na wykład, nie dlatego żebym liczyła na jakieś rewelacje dla siebie – tytuł brzmi: *Pierwsze pikosekundy i poszukiwanie jednolitej teorii pola: garść pomniejszych uwag* – idę, ponieważ to mój brat. Siedzę, skubiąc palce, a tymczasem aula uniwersytetu wypełnia się słuchaczami, głównie mężczyznami. Z większością tych osobników nigdy bym się w szkole średniej nie umówiła.

A później wkracza Stephen razem z mężczyzną, który go przedstawi. Nie widziałam brata od lat. Schudł, włosy mu się przerzedziły. Potrzebuje okularów do czytania, które wystają z kieszeni na piersi. Ktoś ulepszył jego garderobę – ma na sobie garnitur i krawat. Pomimo takiej przemiany wcale nie wygląda bardziej normalnie, lecz jeszcze dziwniej, niczym istota z obcej planety przebrana za człowieka. Promieniuje niebywałą inteligencją, jeszcze chwila, a głowa mu się rozjarzy i stanie się przezroczysta, ukazując ogromny jaskrawokolorowy mózg. Równocześnie jest jakiś wymięty, zdezorientowany, jak gdyby dopiero się obudził z przyjemnego snu i wszędzie dokoła ujrzał złośliwe trolle.

Mężczyzna, który ma go przedstawić, mówi, że Stephena nie trzeba przedstawiać, potem wylicza jego artykuły, nagrody, zasługi. Odzywają się brawa, mój brat wchodzi na podium. Staje przed białym ekranem, chrząka, przestępuje z nogi na nogę, wkłada okulary. Teraz wygląda jak ktoś, kto później ukaże się na znaczkach pocztowych. Jest skrępowany. Martwię się, że zacznie się jąkać. Lecz wszystko idzie dobrze.

– Spoglądając w nocne niebo – mówi – patrzmy na cząstki przeszłości. Nie tylko dlatego że gwiazdy, tak jak je widzimy, to echo zdarzeń odległych o całe lata świetlne w czasie i przestrzeni. Wszystko tam w górze, zresztą wszystko tu na dole także, jest skamieliną, pozostałością pierwszych pikosekund stworzenia, kiedy to wszechświat wykrystalizował się z pierwotnej jednorodnej plazmy. Niemal nie sposób sobie wyobrazić, jakie warunki panowały w pierwszej pikosekundzie. Gdybyśmy zdołali się przenieść wehikułem czasu do tamtego prawybuchu, znaleźlibyśmy się we wszechświecie pełnym energii, której nie pojmujemy, i osobliwie działających sił zniekształconych nie do poznania. Im dalej się cofniemy, tym bardziej ekstremalne stają się owe warunki. Wspomagani dzisiejszym aparatem doświadczalnym możemy przebyć jedynie krótki odcinek całej drogi. Dalej prowadzi już tylko teoria. – Od tej chwili Stephen ciągnie wykład w języku, który brzmi jak angielski, ale to nie angielski, gdyż nie rozumiem ani słowa.

Na szczęście jest na co patrzeć. W sali gasną światła, ekran się rozjaśnia i oto widać wszechświat albo raczej jego fragmenty: czarną próżnię usianą galaktykami i gwiazdami rozżarzonymi do białości, do błękitu, czerwonymi. Po ekranie błądzi wskazówka, szuka, demonstruje. Później pojawiają się wykresy, ciągi liczb, odniesienia do zagadnień, które znane są tutaj wszystkim, wszystkim oprócz mnie. Wydaje się, że istnieją więcej niż cztery wymiary.

Po sali przebiega szmer zaciekawienia, słychać szepty, szelest papieru. Na koniec, już przy zapalonym świetle, mój brat wraca do ludzkiego języka.

– A chwila przed tamtą pierwszą chwilą? I czy słowo „przed” w ogóle ma sens, skoro czas nie może istnieć bez przestrzeni, czasoprzestrzeń bez zdarzeń, a zdarzenia bez materii-energii? Niemniej coś na pewno wtedy istniało. Tym czymś jest struktura teoretyczna, parametry wyznaczające działanie praw energii. Sądząc po skąpych, lecz coraz liczniejszych dowodach, które dziś mamy do dyspozycji, można powiedzieć, że jeśli wszechświat powstał za sprawą *fiat lux*, owo *fiat* zostało wyrażone nie po łacinie, tylko w jedynym prawdziwie uniwersalnym języku: matematyce. – Moim zdaniem rzecz mocno trąci metafizyką, ale męskiemu audytorium widać to nie przeszkadza. Zrywają się oklaski.

Po wykładzie idę na przyjęcie, imprezę z typowym uniwersyteckim jadłospisem: podle sherry, mętna herbata, drobne ciasteczka. Mężczyźni uczeni w rachunkach mamrocą zbici w grupki, wymieniają uściski dłoni. Wśród nich czuję się zanadto widoczna, nie na miejscu.

Odszukuję brata.

- To było świetne – mówię.
- Cieszę się, że skorzystałaś – rzuca z ironią.
- No wiesz, nigdy nie byłam mocna z matematyki.

Uśmiecha się dobrotliwie.

Dzielimy się nowinami o rodzicach. Kiedy ostatnio się do mnie odzywali, byli w Kenora, w drodze na zachód.

- Pewno dalej liczą te swoje strzygonie – mówi Stephen.

Pamiętam, jak wymiotował na poboczu, pamiętam jego zapach, zapach cedrowych ołówków. Pamiętam nasze życie w namiotach i w obozach drwali, woń ciętego drewna, benzyny, zdeptanej trawy, zjełczanego sera, pamiętam, jak chyłkiem wymykaliśmy się w noc. Pamiętam drewniane miecze z pomarańczową krwią i zbiór komiksów. Widzę, jak Stephen kuca na bagnistej ziemi, woła: „Kładź się, nie żyjesz!”. Widzę, jak bombarduje naczynia widelcami. Wszystkie te wczesne obrazy brata są jasne, ostre, w technikolorze: workowate szorty, pasiaty podkoszulek, rozczochrane włosy spłowiałe na słońcu, zimowe pumpy, skórzana pilotka. Później nie ma nic i Stephen znów się wyłania ze wspomnień, z niewyjaśnionych powodów o dwa lata starszy.

– Pamiętasz tamtą piosenkę, którą kiedyś śpiewałeś? – pytam. – W czasie wojny. Czasem ją gwizdałeś. „Niesie nas skrzydło i modlitwa”.

Wygląda na zaskoczonego, lekko marszczy brwi.

- Szczerze mówiąc, nie.
- Rysowałeś te wybuchy. Pożyczałeś ode mnie czerwoną kredkę, bo twoja całkiem się zużyła.

Patrzy na mnie, jakby nie tyle nie pamiętał tamtych spraw, ile się dziwił, że ja pamiętam.

- Chyba nie byłaś wtedy za duża – mówi.

Ciekawe, jak się czuł, mając młodszą siostrę, smarkulę, która za nim łąziła krok w krok. Dla mnie był kimś podarowanym z góry, istniał zawsze, od początku czasu. Kimś innym musiałam być dla niego ja. Kiedyś był jedynakiem, a ja stałam się intruzem. Ciekawe, czy mnie nienawidził, gdy się urodziłam. Może mu doskwierałam jak wrzód na pupie. Z pewnością czasem tak myślał. W sumie jednak zrobił ze mnie jak najlepszy użytek.

– Pamiętasz tamten słoik z kulkami, który zakopałeś pod mostkiem? Nigdy mi nie powiedziałeś dlaczego. – Najlepsze kulki, czerwone i niebieskie kryształki, rusalki, kocie oczy, ukryte w ziemi, poza zasięgiem. Na pewno udeptał piach nad słoikiem, rozrzucił liście.

– Tak, coś tam pamiętam – przyznaje. Chyba niespecjalnie ma ochotę, żeby mu przypominać o jego wcześniejszym, młodszym wcieleniu. To niepokojące, że pewne rzeczy pamięta, a innych nie, że sprawy, które mu się zatarły w pamięci, teraz są żywe tylko dla mnie. Jeżeli Stephen aż tyle zapomniał, co ja zapomniałam w takim razie?

– Może wciąż tam leżą – ciągnę. – A może ktoś je znalazł, jak budowali nowy mostek? Zakopałeś też mapę.

– Zgadza się, zakopałem. – Uśmiecha się jak dawniej, tajemniczo, irytująco. Nadal nic nie mówi. Teraz nie mam już wątpliwości. Pomimo zmienionego wyglądu, przerzedzonych włosów i prowizorycznego garnituru w środku jest nadal tym samym człowiekiem.

Kiedy Stephen wyjeżdża, zastanawiam się, czy mu na urodziny nie kupić gwiazdy nazwanej jego imieniem. Widziałam taką reklamę. Wysła się pieniądze i dostaje zaświadczenie z mapą nieba, na której jest zaznaczona gwiazda, ta własna. Możliwe, że sam pomysł by go ubawił. Nie jestem tylko pewna, czy dla mojego brata słowo „urodziny” jeszcze cokolwiek znaczy.

60

Jon porzucił zabójcze dla oka figury geometryczne, teraz jego obrazy wyglądają jak plakaty reklamowe. Maluje ogromne lizaki, gigantyczne solniczki i pieprzniczki, połówki brzoskwiń w syropie, papierowe tacki z górą frytek. Już nie rozprawia o czystości, tylko o konieczności stosowania powszechnego systemu znaków kulturowych, aby odzwierciedlić konwencjonalną banalność naszych czasów. Mogłabym mu udzielić paru wskazówek z własnego doświadczenia zawodowego. Jego brzoskwinie, na przykład, powinny nieco bardziej się błyszczeć. Nic jednak nie mówię.

Coraz częściej maluje u mnie. Stopniowo przenosił tu swoje rzeczy, poczynając od farb i płócien. Twierdzi, że u siebie nie może pracować, bo w mieszkaniu jest za duży tłok. To prawda. W pokoju od frontu kłębią się Amerykanie, którzy uciekli przed poborem, migrująca populacja, sami znajomi znajomych. Jon, chcąc dotrzeć do ściany, musi omijać jednego po drugim, zalegają bowiem w śpiworach na podłodze, smutni, paląc trawkę, zastanawiając się, co dalej. Są przybici, ponieważ Toronto to nie Stany Zjednoczone bez wojny, jak im się zdawało, Toronto to czyściec, zabłądzili tutaj przypadkiem i nie mogą się wydostać. Toronto leży na końcu świata i nic tu się nie dzieje.

Jon zostaje na noc trzy, cztery razy w tygodniu. Nie pytam, co robi w pozostałe noce.

Uważa, że idzie na ogromne ustępstwo, ponieważ – tak zakłada – ja tego chcę. I może rzeczywiście chcę. Kiedy jestem sama, nie zwracam sobie głowy zmywaniem, nie przejmuję się, że słoiki z resztkami zarastają kolorowym futrem, zużywam wszystkie majtki, zanim chociaż jedne upiorę. Jon natomiast przeobraża mnie we wzór schludności i zorganizowania. Wstaję rano, parzę dla niego kawę, nakrywam do stołu na dwie osoby, rozstawiam nowiutkie kamionkowe żaroodporne naczynia w kolorze kremowym, w ciapki. A nawet noszę jego rzeczy do pralni samoobsługowej i piorę razem z własnymi.

Dla Jona taka masa czystych ubrań to nowość.

– Taka dziewczyna jak ty powinna wyjść za mąż – mówi pewnego dnia, gdy się pojawiam ze stertą złożonych koszul i dżinsów. Prawdopodobnie chce mnie obrazić, myślę, ale nie jestem pewna.

– No to sam pierz swoje brudy – odparowuję.

– Hej, nie bądź taka.

W niedzielę śpimy do późna, kochamy się, chodzimy na spacer, trzymając się za ręce.

Któregoś dnia, kiedy nic się nie zmieniło, nikt nic nie zrobił, nie stało się nic nadzwyczajnego, odkrywam, że jestem w ciąży. W pierwszej chwili nie wierzę. Liczę, znów liczę od nowa, czekam jeden dzień, drugi, wsłuchuję się we własne ciało, jakbym oczekiwała odgłosu kroków. W końcu wymykam się do apteki z buteleczką siuszków, czując się jak przestępca. Mężatki chodzą do swojego lekarza. Kobiety niezamężne robią tak jak ja.

Mężczyzna w aptece oznajmia, że wynik jest pozytywny.

– Gratulacje – rzuca z pełną dezaprobaty ironią. Przejrzał mnie na wylot.

Boję się powiedzieć Jonowi. Będzie chciał, żebym zaraz poszła to usunąć jak ząb. Powie „to”. Albo każe mi siedzieć w wannie, a sam będzie wlewał wrzątek. Każe mi pić dżin. Lub też po prostu zniknie. Dostatecznie często powtarzał, że artyści nie mogą żyć jak inni ludzie, przykuci do wymagającej rodziny i kosztownego dobytku.

Rozważam sposoby, o których słyszałam. Picie masy dżinu, druty do robótek, wieszaki. Ale co z tymi drutami i wieszakami? Myślę o Susie, o jej skrzydłach z czerwonej krwi. Cokolwiek zrobiła, ja na pewno tego nie zrobię. Za bardzo się boję. Nie chcę skończyć tak jak ona.

Wracam do mieszkania, kładę się na podłodze. Ciało mam zdrętwiałe, bezwładne, bez uczucia. Ledwo się ruszam, ledwo oddycham. Zupełnie jakbym się znalazła w samym sercu nicości, całkowicie pustej czarnej dziury. Jakbym pomału wybuchała na zewnątrz, w zimną, palącą próżnię przestrzeni.

Budzę się w środku nocy. Nie wiem, gdzie jestem. Wydaje mi się, że znowu w tamtym pokoju z mleczną lampą na suficie, w domu rodziców, że leżę na podłodze, bo wypadłam z łóżka, tak jak wtedy gdy sypialiśmy na polówkach. Wiem jednak, że dom został sprzedany, rodziców już tu nie ma. A mnie w jakiś sposób pominęli, zostawili.

To tylko końcówka snu. Podnoszę się, zapalam światło, podgrzewam sobie trochę mleka, siedzę przy stole w kuchni, dygocząc z zimna.



Dotychczas malowałam wyłącznie to, co widziałam przed sobą. Teraz zacznę malować rzeczy, których nie ma.

Maluję srebrny toster starego typu, z gałkami i drzwiczkami. Jedne drzwiczki są uchylone, wewnątrz widać ruszt rozżarzony do czerwoności. Maluję szklaną maszynkę do kawy. W przejrzystej

wodzie zbierają się banieczki, pierwsza ciemna kropla kawy już opadła, zaczyna się rozlewać.

Maluję pralkę z wyzymaczką. Pralka to pękaty walec emaliowany na biało. Wyzymaczka jest różowa, w nieprzyjemnym odcieniu cielistym.

To niewątpliwie wspomnienia, ale nie do końca. Nie są mgliste, zatarte na brzegach, lecz ostre i wyraźne. Napływają wyrwane z kontekstu, po prostu trwają, wyizolowane, trwają jak przedmiot ujrzany przelotnie na ulicy.

W żaden sposób się ze mną nie łączą. Tchną niepokojem, ale to nie mój własny niepokój. Niepokój tkwi w nich samych.

Maluję trzy kanapy. Jedną perkalową, brudnoróżową, jedną z brunatnego pluszu ozdobioną koronkowymi serwetkami. Ta w środku jest jabłkowiezielona. Na środkowej poduszce środkowej kanapy stoi kieliszek do jajek, pięć razy większy niż w rzeczywistości. W kieliszku stłuczona skorupka.

Maluję szklany słoik z bukietem wilczej jagody, roślina wykwita jak dym, jak ciemność z butelki dzina. Splecione, poskręcane łodygi, gałązki obsypane czerwonymi jagodami, fioletowymi kwiatami. Ledwo widoczne, pogrążone głęboko w splątanej gęstwinie lśniących liści, spozierają stamtąd oczy kotów.



Za dnia chodzę do pracy, wracam, rozmawiam, jem. Jon przychodzi, je, śpi, odchodzi. Przyglądam mu się obojętnie, niczego nie zauważa. Każdy mój ruch wydaje się nierealny. Kiedy nikogo nie ma w pobliżu, gryzę palce. Muszę czuć fizyczny ból, żeby się trzymać rzeczywistości. Moje ciało żyje osobno. Tyka jak zegar, zawiera w sobie czas. Zdradziło mnie i teraz się go brzydę.

Maluję panią Smeath. Wypływa niespodziewanie niby zdechła ryba, materializuje się na kanapie: najpierw białe, lekko owłosione nogi bez kostek, potem gruba talia i kartoflowata twarz, oczy w stalowych oprawkach. Na udach leży szal, za plecami wyrasta fikus w kształcie wachlarza. Na głowie ma filcowy kapelusz, który nosiła w niedzielę, podobny do źle związanej paczki.

Pani Smeath patrzy na mnie z płaskiej powierzchni farby, teraz już trójwymiarowa, uśmiecha się zaciśniętymi ustami, wyniośle i oskarżycielsko. Cokolwiek mi się przytrafiło, to wyłącznie moja wina, wina tego, co jest ze mną nie tak.

Ona wie, co to jest. Nie mówi.



Jeden obraz prowadzi do następnego. Pani Smeath jak bakterie rozmnaża się na ścianach, stoi, siedzi, fruwa, ubrana, rozebrana, wodzi za mną rozlicznymi oczami zupełnie jak Jezus na trójwymiarowych pocztówkach, które sprzedają w bardziej obskurnych narożnych sklepikach. Czasami

odwracam jej twarz do ściany.

61

Wiozę Sarę w wózku spacerowym po ulicy, omijając wzgórki rozmiękłego śniegu. Chociaż mała ma ponad dwa lata, jeszcze chodzi nie dość prędko w tych swoich czerwonych śniegowcach, nie nadąża, kiedy się wybieramy po zakupy. Poza tym mogę zawiesić siatki na rączce wózka albo upchnąć dookoła dziecka. Znam już mnóstwo takich drobnych sztuczek z przedmiotami i różnymi dodatkami, z urządzeniem przestrzeni, które to sztuczki nie były mi kiedyś potrzebne.

Zajmujemy teraz większe mieszkanie, my troje. Dwa górne piętra ceglanego bliźniaka z rozchwianym drewnianym gankiem o kwadratowych kolumnach, w bocznej ulicy na zachód od Bloor. W sąsiedztwie roi się od Włochów. Starsze kobiety, mężatki i wdowy, chodzą ubrane na czarno i nieumalowane, tak jak ja dawniej. Kiedy byłam w ostatnich miesiącach ciąży, uśmiechały się do mnie prawie jak do kogoś ze swojego grona. Teraz uśmiechają się najpierw do Sary.

Ja sama noszę minispódniczki w kolorach podstawowych, rajstopy i kozaki, na wierzch płaszcz do kostek. Nie całkiem zadowolający strój. Trudno w nim usiąść. Ponadto od urodzenia Sary trochę przytyłam. Te kuse spódniczki i obcisłe bluzki projektowano z myślą o kobietach znacznie chudszych niż ja. Takich kobiet są dziś chyba dziesiątki, setki: dziewcząt o pyszczkach łasicy, o długich włosach spływających aż do miejsca, gdzie powinna być pupa, dziewcząt płaskich jak deska. W porównaniu z nimi czuję się gruba.

Przyniosły ze sobą nowe słownictwo. „Bajerancki”, mówią. „Kosmiczny. Mózg się lasuje. Drętwiak. Wisi mi i powiewa”. Uważam, że jestem za stara na takie wyrażenia. To dobre dla młodych, a ja młodość mam już za sobą. Znalazłam siwy włos za lewym uchem. Za parę lat skończę trzydziestkę. Z górki.

Pcham wózek po ścieżce, odpinam małą, stawiam koło schodków na ganek, odczepiam i podnoszę siatki z zakupami, składam wózek. Prowadzę Sarę po schodkach aż do drzwi wejściowych, te schodki bywają śliskie. Wracam po siatki i wózek, targam na ganek, wygrzebuję z torebki klucze, otwieram drzwi, wnoszę Sarę do środka, później wnoszę siatki i wózek, zamykam drzwi, zasuwam zamek. Prowadzę Sarę wewnętrznymi schodami, otwieram wewnętrzne drzwi, pakuję małą do mieszkania, zamykam bramkę, wracam na dół po siatki, dźwigam je na górę, otwieram bramkę, wchodzę, zamykam bramkę, idę do kuchni, kładę siatki na stole i zaczynam rozpakowywać: jajka, papier toaletowy, ser, jabłka, banany, marchewka, parówki, bułki. Martwię się, że zbyt często podaję parówki. Za czasów mojego dzieciństwa uchodziły za jedzenie imprezowe, na dodatek szkodliwe. Mogło się zdarzyć, że od parówek dostawało się polio.

Sara jest głodna, zostawiam więc siatki, daję jej szklankę mleka. Kocham ją nieprzytomnie, a jednocześnie często mnie denerwuje.

Przez pierwszy rok byłam bez przerwy zmęczona i otępiła od hormonów. Ale teraz dochodzę do siebie. Rozglądam się naokoło.

Wchodzi Jon, łapie małą na ręce, całuje, łaskocze brodą po buzi, wynosi piszczącego dzieciaka do bawialni.

– Schowamy się mamusi – mówi. Ma zwyczaj umieszczać siebie i Sarę w jednym obozie, w jednej lidze niby to przeciwko mnie, czym się irytuję bardziej, niż powinnam. Ponadto nie lubię, kiedy o mnie mówi „mamusia”. Nie jestem mamusią jego, tylko Sary. Ale Jon też kocha naszą córkę. To była niespodzianka. Do dziś nie przestałam się rozplýwać z wdzięczności. Jeszcze nie uważam Sary za dar, który mu przyniosłam, raczej za dar, na który Jon mi pozwolił. Właśnie dlatego wzięliśmy ślub, w ratuszu, z najstarszego z powodów. Niemalże anachronicznego. Myśmy jednak o tym nie wiedzieli.

Jon, były luteranin znad Niagary, oświadczył, że właśnie tam musimy pojechać w podróż poślubną. Przy „podróży poślubnej” o mało nie pękł ze śmiechu. To miał być żart, świadomy kicz, coś jak obraz gigantycznej butelki coca-coli. – Niebýwale efekty wizualne – powiedział. Chciał mi pokazać gabinet figur woskowych, zegar kwiatowy, „Pannę Mgieł”. Chciał, żebyśmy sobie sprawili satynowe koszule z naszymi imionami wyhaftowanymi na kieszonce i z napisem WODOSPAD NIAGARA na plecach. Ja jednak w duchu poczułam się dotknięta takim podejściem do małżeństwa. Cokolwiek nas czekało, kiedy mijały tygodnie i ciało z wolna mi puchło jak balon, to na pewno nie był żart. W końcu więc nie pojechalśmy.

Zaraz po ślubie pogrążyłam się w zmysłowym lenistwie. Moje ciało przypominało puchowe łóże, ciepłe, bezkostne, kojące, otulało mnie niczym kokon. Może to z powodu ciąży, która wysysała ze mnie całą adrenalinę. A może z ulgi. Jon wówczas jaśniał niby śliwka w słońcu, nasycona kolorem, doskonała w kształcie. Leżąc koło niego w łóžku, siedząc przy kuchennym stole, wodziłam po nim oczami jak rękoma. Moje uwielbienie było czysto fizyczne, bez słów. Myślałam: „Ach”, nic więcej. Jakbym wypuszczała oddech. Myślałam dziecinnie: „Mój”. Wiedząc, że to nieprawda. „Zostań tak”, myślałam. A przecież nie mógł.

Zacęliśmy się kłócić. Skrycie, nocami, kiedy Sara śpi, ścieramy się szeptem. Ukrywamy kłótnie przed córką, bo skoro nas przerażają – a tak jest – o ile bardziej by przerażyły ją?

Zdawało nam się, że uciekamy przed dorosłymi, a teraz sami jesteśmy dorośli: w tym sęk. Żadne nie chce brać na siebie ciężaru, całego ciężaru. Współzawodniczymy, na przykład, kto się gorzej czuje. Jeżeli mnie boli głowa, Jon ma migrenę. Jeśli Jona bolą plecy, mnie potwornie łupie w karku. Żadne nie chce pamiętać, że trzeba kupić plaster. Walczymy o prawo do pozostania dziećmi.

Z początku nie wychodzę z tych kłótni zwycięsko – miłość mi na to nie pozwala. A przynajmniej

tak to sobie tłumaczę. Gdybym wygrywała, zmieniłby się porządek świata, do tego zaś jeszcze nie dojrzałam. A zatem przegrywam i w zamian doskonale inną sztukę. Wzruszam ramionami, z milczącym wyrzutem zacinam usta, w łóżku odwracam się plecami, nie odpowiadam na pytania. – Rób, jak uważasz – mówię, a wtedy Jon wpada w furję. Nie zależy mu na zwykłej kapitulacji, pragnie podziwu, zachwytów nad sobą i swoimi pomysłami. Kiedy nie dostaje tego, czego chce, czuje się oszukany.



Jon ma teraz pracę, kieruje na pół etatu pracownią graficzną, którą stworzył z kolegami. Ja też pracuję na pół etatu. Do spółki stać nas na czynsz.

Jon już nie maluje na płótnie ani w ogóle na niczym płaskim. Właściwie już wcale nie maluje. Płaskie powierzchnie pokryte farbą nazywa „sztuką na ścianie”. Sztuka nie musi być na ścianie, nie musi mieć ram, nie potrzebuje farby. Zamiast malować, Jon tworzy konstrukcje z rozmaitych odpadków, które wyszukuje na śmietniku albo zbiera gdzie popadnie. Zbija drewniane skrzynki z przegródkami, każda przegródka zawiera coś innego: trzy pary olbrzymich damskich majtek w neonowych kolorach, gipsową dłoń z przyklejonymi sztucznymi paznokciami, gruszkę do lewatywy, tupecik. Sporządza napędzany motorkiem futrzany kapeć, który jeździ w kółko po podłodze, jak również rodzinę kapturków dopochwowych – mają oczy filmowych potworów, usta i sprężynujące nóżki, skaczą po stole niczym ostrzygi zmutowane promieniowaniem radioaktywnym. Naszą łazienkę ozdobił na czerwono i pomarańczowo, na ścianach pływają fioletowe syreny, deska sedesowa wygrywa *Jingle Bells*, kiedy się ją podniesie. To dla Sary. Robi też dla niej zabawki i podczas gdy sam pracuje, pozwala jej się bawić resztkami drewna, kawałkami materiału i najmniej groźnymi narzędziami.

To znaczy, kiedy jest w domu. Czyli nie aż tak często.



W pierwszym roku po urodzeniu Sary wcale nie malowałam. Byłam wolnym strzelcem, pracowałam w domu. Nawet wykonanie tych paru zleceń na okładki kosztowało mnie sporo wysiłku. Ruszałam się jak spętana, jakbym pływała w ubraniu. Teraz, kiedy pół dnia zajmuje mi praca, czuję się lepiej.

Zabrałam się też do tej drugiej pracy, swojej własnej, chociaż jak pies do jeża. Ręce wyszły z wprawy, oko również. Na ogół rysuję, gdyż przygotowanie powierzchni, żmudna podmalówka, drobiazgowość i skupienie, których wymaga tempera żółtkowa, przerastają moje możliwości. Straciłam wiarę w siebie. Może już zawsze będę tylko tym, czym teraz jestem.



Siedzę na drewnianym składanym krześle na scenie. Kurtyna jest rozsunięta, widać całą salę,

małą, odrapaną, pustą. Na scenie stoją jeszcze zmontowane dekoracje do sztuki, która akurat zeszła z afisza. Przedstawiają przyszłość – będzie skąpo umeblowana, za to z dużym wyborem cylindrycznych czarnych kolumn oraz prostych, surowych schodów.

Na drewnianych krzesłach dookoła kolumn, jak również tu i ówdzie na schodach siedzi siedemnaście kobiet. Same artystki albo prawie artystki. Kilka aktorek, dwie tancerki, oprócz mnie trzy malarki. Jedna felietonistka, jedna redaktorka z mojego wydawnictwa. Jedna jest spikerką w radiu (dzienna muzyka poważna), jedna animatorką w teatrzyku kukiełkowym dla dzieci, jedna zawodowym kłownem. Jedna scenografem, właśnie dzięki niej tu się zebrałyśmy, załatwiła nam lokal. Wiem o tym wszystkim, ponieważ musiałyśmy kolejno powiedzieć, jak się nazywamy, co robimy. Nie jak zarabiamy na życie. Zarabianie na życie to osobna sprawa, zwłaszcza dla aktorek. Dla mnie zresztą też.

Mamy spotkanie. Nie po raz pierwszy w nim uczestniczę, lecz wciąż nie mogę się ze wszystkim oswoić. Po pierwsze, są tutaj same kobiety. Już to jest niezwykle, trąci konspiracją, czymś odrobinę nieprzyzwoitym, acz ponętym. Ostatnie takie zgromadzenie widziałam w szkole średniej na lekcji higieny, kiedy dziewczęta oddzielono od chłopców, żeby je uświadamiać o miesiączce. Rzecz jasna, samo to słowo nie padło. Ogólnie przyjęte, oficjalne określenie brzmiało: „te dni”. Wyjaśniono nam, że tampon, jakkolwiek niewskazany dla młodych dziewcząt – czyli dziewic – nie może się zgubić wewnątrz ciała i wylądować w płucu. Wszystkie chichotały, a gdy nauczycielka przeliterowała słowo „krew” – K-R-E-W – jedna zemdląca.

Dzisiaj nikt nie chichocze ani nie mdleje. Na tym spotkaniu mówi się o gniewie.

Mówi się o rzeczach, o których nigdy dotąd świadomie nie myślałam. To najprawdziwszy przewrót. Czemu, na przykład, golimy nogi? Malujemy usta? Stroimy się w seksowne łaszki? Zmieniamy figurę? Co w tym złego, że jesteśmy, jakie jesteśmy?

Pyta Jody, malarka. Jody się nie stroi, a jej figura się nie zmienia. Ma na sobie robocze buciory i kombinezon w paski. Podciągnąwszy nogawkę, pokazuje nam łydkę, wyzywająco, oszłamiająco włochatą. Myślę o własnych tchórzowskich, golusieńkich nogach i czuję, że ktoś mi tu robi pranie mózgu, wiem bowiem, że nigdy nie posunę się w tym do końca. Pachy to ostateczna granica ustępstw.

To, co jest złe w tym, jakie jesteśmy, to mężczyźni.

Wiele tu się mówi o mężczyznach. Dwie spośród tych kobiet, na przykład, zostały zgwałcone. Jedna pobita. Inne dyskryminowano w pracy, pomijano przy awansie, lekceważono. Albo też wyśmiewano ich twórczość, zbywano jako zbyt kobiecą. Jeszcze inne zaczęły porównywać swoją pensję z pensjami mężczyzn i odkryły, że zarabiają mniej.

To wszystko prawda, bez wątplenia. Po świecie chodzą gwałciciele, ludzie, którzy napastują dzieci i duszą dziewczyny. Żyją w cieniu, jak ci zaczajeni w wąwozie, niewidoczni, a przynajmniej ja żadnego nigdy nie widziałam.

Mężczyźni są brutalni, wywołują wojny, popełniają morderstwa. Mniej pracują, a zarabiają więcej. Całą domową robotę spychają na kobiety.

Są niewrażliwi, nie potrafią stawić czoła własnym uczuciom. Łatwo ich nabrać, sami zresztą tego chcą. Wystarczy parę jęków i westchnień, a już się mają za seksualnych supermenów. W tym momencie rozlegają się porozumiewawcze chichoty. Zaczynam się zastanawiać, czy i ja kiedyś udawałam orgazm, całkiem nieświadomie.

Niemniej, świadcząc tak przeciw mężczyznom, stoję na grząskim gruncie, bo sama z jednym mieszkam. Kobiety mojego pokroju, z mężem i dzieckiem, nieco pogardliwie określa się jako „pełniaczki”, od „pełnej rodziny”. „Pronatalny” nagle źle się kojarzy. W naszej grupie jest jeszcze kilka pełniaczek, lecz nie one przeważają i nawet nie próbują się bronić. Wygląda na to, że bardziej wypada być kobietą z dzieckiem, ale bez mężczyzny. Tym sposobem odegrało się swoją rolę. Jeżeli kobieta zostaje z mężczyzną, niech sama siebie wini za wszelkie kłopoty.

Niczego nie mówi się tutaj wprost.

Dzięki tym spotkaniom mam się stać silniejsza i rzeczywiście tak się dzieje, po części. Gniew może przenosić góry. Na dodatek nie posiadam się ze zdumienia. To wstrząsające i zarazem podniecające, kiedy takie słowa padają z ust kobiet. Zaczyna mi świtać, że kobiety, które uważałam za głupie albo rozlazłe, mogły po prostu to i owo ukrywać, podobnie jak ja. Równocześnie jednak się denerwuję, nie rozumiem dlaczego. Rzadko się odzywam, jestem skrępowana i niepewna, gdyż cokolwiek powiem, może zabrzmieć źle. Nie dość cierpiałam, nie odegrałam swojej roli, nie mam prawa otwierać ust. Czuję się tak, jakbym stała za zamkniętymi drzwiami, podczas gdy tam w środku podejmuje się o mnie decyzje, wygłasza niepoehlebne sądy. Jednocześnie chcę się przypodobać. Siostrzeństwo to trudne pojęcie, myślę, bo nie miałam siostry. Co innego braterstwo.



Pracuję w nocy, kiedy Sara śpi, bądź wczesnym rankiem. Teraz maluję Matkę Boską. W niebieskiej sukni, w zwyczajowym białym welonie, lecz z głową lwicy. Na jej kolanach leży Chrystus pod postacią lwiatka. Skoro Chrystus jest lwem, dlaczego Matka Boska nie może być lwicą? A zresztą to właściwsze podejście do macierzyństwa niż u tamtych bladych, mdłych Madonn z historii sztuki. Moja Madonna jest sroga, wyczulona na zagrożenie, dzika. Niewzruszenie spogląda z obrazu żółtymi lwimi ślepiami. U Jej stóp leży ogryziona kość.

Maluję Matkę Boską, jak zstępuje na ziemię, w topniejący, błotnisty śnieg. Na błękitnej szacie ma zimowe palto, torebkę na ramieniu. Niesie dwie papierowe torby z zakupami. Z toreb coś wypadło: jajko, cebula, jabłko. Znać po Niej zmęczenie.

Nazywam Ją *Matka Boska Nieustającej Pomocy*.



Jon nie lubi, kiedy maluję nocami.

– Więc kiedy mam malować? – pytam. – Może mi powiesz.

Jedyną odpowiedzią a zarazem, jedynym sposobem, żeby nie okradać Jona z należnego mu czasu, byłoby: wcale nie maluj. Tego jednak nie mówi.

Nie mówi też, co myśli o moich obrazach, ale i tak wiem. Myśli, że są ni w pięć, ni w dziewięć. Tym samym łąduję w jednym worze z paniusiami, które malują kwiaty. Właśnie w worze, nie inaczej. Czas terażniejszy mknie naprzód, odrzucając jedną koncepcję po drugiej, a ja utknęłam gdzieś na poboczu, bawię się temperą żółtkową i płaskimi powierzchniami, jakby dwudziesty wiek w ogóle się nie zdarzył.

To zresztą daje mi pewną swobodę: skoro nie ma znaczenia, co robię, mogę robić, co chcę.



Zaczęliśmy trzaskać drzwiami, rzucać różnymi przedmiotami. Ja rzucam torebką, popielniczką, paczką chrupków czekoladowych, która pęka przy uderzeniu. Później całymi dniami zbieramy te chrupki. Jon rzuca szklanką mleka, ściślej biorąc samym mlekiem, bez szkła. Zna swoją siłę, w odróżnieniu ode mnie. Rzuca pudełkiem płatków śniadaniowych, nierozpieczętowanym.

Ja rzucam gorszymi rzeczami, ale chybiam. Jon trafia, lecz jego pociski są nieszkodliwe.

Zaczynam pojmować, w jaki sposób przekracza się granicę między komedią a morderstwem.



Jon rozbija rozmaite rzeczy, a potem skleja z powrotem, dopasowując skorupy. Rozumiem, w czym tu tkwi urok.



Jon siedzi w bawialni, popija piwo ze znajomym malarzem. Ja w kuchni grzmocę garnkami.

– Co ją ugryzło? – pyta malarz.

– Wścieka się, bo jest kobietą – odpowiada Jon. Czegoś takiego nie słyszałam od lat, od czasów szkoły średniej. Kiedyś w ustach mężczyzny to była obelga, miażdżący zarzut. Oznaczał tyle co dziwactwo, kalectwo, dysfunkcja płciowa.

Staję w drzwiach do bawialni.

– Nie wściekam się dlatego, że jestem kobietą – mówię. – Wściekam się, bo ty jesteś gnojek.

W parę osób, tych ze spotkań, urządzamy wspólną wystawę, kobiecą wystawę. Ryzykowny pomysł, o czym dobrze wiemy. Jody ostrzega, że cały męski establishment artystyczny może nas zmieszać z błotem. Według nich wielka sztuka przekracza granice płci. Według Jody sztuka jak dotąd sprowadzała się głównie do męskiego i tylko męskiego towarzystwa wzajemnej adoracji. Twórczość kobiet podziwia się jedynie przy okazji, traktuje jak osobliwy wyjątek.

– Bezcykcowe dziwowisko – mówi Jody.

Kobiety również mogą nam dołożyć, ponieważ się wyróżniamy, wysuwamy naprzód. Mogą nam przykleić etykietkę „elitarnę”. Wszędzie czyhają pułapki.

W wystawie biorą udział cztery osoby. Carolyn, dziewczyna o anielskiej okrągłej twarzy i ciemnych włosach ostrzyżonych „na Szweda”, to artystka tekstylna, jak sama się określa. Robi gobeliny-łaciaki pozszywane w niecodzienne wzory. Na jednym przykleiła prezerwatywy nadziewane tamponami (nieużywanymi), które tworzą napis CZYM JEST MIŁOŚĆ? Na innym, we wzór z kwiatów, widnieją słowa w formie aplikacji:

ZA

MAN

IFESTUJ

Rozwiesza też na ścianach papier toaletowy skręcony jak lina, spleciony ze starymi filmami pornograficznymi z gatunku „artystycznych”, jak to kiedyś nazywano.

– Używane porno – mówi wesoło. – Można zregenerować, nie?

Jody wystawia manekiny sklepowe porzniete na kawałki i sklezione z powrotem w makabrycznych pozach. W odpowiednich miejscach uzupełnia je farbą, kolażem, metaloplastyką. Jeden wisi nadziany splotem słonecznym na hak rzeźnicki, inny ma całą twarz pomalowaną w drzewa i kwiaty, co przypomina tatuaż, niebywale subtelny – nigdy bym się nie spodziewała po Jody takiej delikatności. Do brzucha kolejnego manekina przyczepiła głowy kilku lalek. Niektóre poznaję: Sparkle Plenty, Betsy Wetsy, Barbara Ann Scott.

Zilla jest wiotką blondynką w stylu kruchych dzieci kwiatów sprzed paru lat. Swoje prace nazywa puchobrazami. Powstają z przypominającego filc osadu, który się zbiera na filtry suszarki w pralce i który można zdejmować całymi płacami. Sama go podziwiałam, wyrzucając do kosza, zachwycalam się fakturą, łagodnymi barwami. Zilla kupiła kilka ręczników w różnych kolorach, parokrotnie przepuściła ręczniki przez suszarkę, aby uzyskać puch w odcieniu różu, szarozielony, brudnobiały, a także w barwie typowej szarości „kotów” spod łóżka. Pocięła płaty, uformowała i starannie przykleiła do jakiegoś podłoża, tworząc wielowarstwowe kompozycje podobne do pejzaży z chmur. Są

zachwycające. Żałuję, że nie ja pierwsza na to wpadłam.

– Całkiem jakbyś robiła suflet – mówi Zilla. – Jeden zimny powiew i leżysz.

Jody, nasza główna organizatorka, przejrzała moje prace i wybrała na wystawę kilka martwych natur – *Wyżymaczkę*, *Toster*, *Wilczą jagodę* i *Trzy czarownice*. *Trzy czarownice* to obraz z trzema kanapami.

Oprócz tego wystawiam głównie kawałki figuralne, chociaż znalazły się także konstrukcje ze słomek i surowego makaronu, plus jedna pod tytułem *Srebrny papier*. Wolalabym ich nie włączać, ale Jody się podobały.

– Domowe materiały – powiedziała.

Wystawiam obrazy z Matką Boską i wszystkie z panią Smeath. Uważałam, że jest ich za dużo, lecz Jody tak chciała.

– Kobieta jako antylalunia – wyjaśniła. – Dlaczego ciągle się pokazuje te młode i ładne? Czasem dobrze dla odmiany zobaczyć starzejące się kobiece ciało potraktowane ze współczuciem. – To samo, tylko bardziej górnołotnie, napisała w katalogu.



Wystawa odbywa się w małym nieczynnym domu towarowym na Bloor Street, po stronie zachodniej. Niebawem powstanie tutaj raj hamburgerowy, tymczasem hala stoi pusta. Jedna z moich współtowarzystek, która zna kuzynkę żony właściciela, zdołała go przekonać, żeby nam pozwolił przez dwa tygodnie korzystać z lokalu. W epoce odrodzenia, oświadczyła, najslawniejsi książęta słynęli ze swego smaku estetycznego i patronowania sztuce. Właściciel dał się skusić. Nie wie, że to wyłącznie kobieca wystawa. Po prostu grupa artystów, usłyszał. Nie ma nic przeciwko pod warunkiem, że nie nabrudzimy.

– Co tu można pobrudzić? – mówi Carolyn, kiedy się rozglądamy po hali. Racja, już i tak jest brudno. Lady i półki porozwalane, w starym linoleum zieją dziury, odsłaniają szerokie gołe deski, z sufitu zwisają lampy w siatkowych koszulkach, tylko niektóre świecą. Kasy natomiast stoją nietknięte, na ścianach zostało kilka sfatygowanych wywieszek: OFERTA SPECJALNA \$ 3,95. PROSTO Z KALIFORNII. MIĘSO, JAKIE LUBICIE.

– Ta przestrzeń jeszcze może dla nas pracować – oznajmia Jody, przechadzając się z rękami w kieszeniach kombinezonu.

– Jak? – pyta Zilla.

– Nie na darmo trenowałam judo. Niech przeciwnik siłą własnego rozpędu straci równowagę.



W praktyce oznacza to, że Jody przywłaszcza sobie MIĘSO, JAKIE LUBICIE i włącza do swojej konstrukcji, szczególnie brutalnej rąbanki, wskutek której manekin ubrany tylko w sznury i rzemienie trzyma pod pachą własną odwróconą głowę.

– Gdybyś była mężczyzną, za coś takiego wdeptaliby cię w błoto – mówi Carolyn.

Jody uśmiecha się słodko.

– Ale nie jestem.

Pracujemy przez trzy dni, ustawiamy, przestawiamy. Kiedy już wszystko trafiło na swoje miejsce, musimy jeszcze zrobić bufet z wypożyczonych stołów na kozłach, kupić sikacza i paszę. „Sikacz” i „pasza” to określenia Jody. Kupujemy kanadyjskie wino w galonowych butelkach, do wina plastikowe kubeczki, precle i chrupki ziemniaczane, porcjowany cheddar w folii, krakersy z kminkiem. Na tyle nas stać. Poza tym, zgodnie z milczącą umową, jedzenie musi być maksymalnie plebejskie.

Nasz katalog to kilka kartek odbitych na ręcznej kopiarce i spiętych w górnym rogu. W założeniu dzieło wspólne, a w rzeczywistości napisany głównie przez Jody, która ma smykałkę do takich rzeczy. Carolyn sporządza transparent z prześcieradeł ufarbowanych tak, jakby ktoś się na nie wykrwawił, zawiesimy go na zewnątrz nad wejściem:

WSTĘP WAL(MY)

– A to co ma znaczyć? – pyta Jon. Wpadł niby po mnie, a naprawdę, żeby popatrzeć. Moje konszachty z kobietami traktuje podejrzliwie, lecz nic nie mówi, przecież nie będzie się poniżał. Tyle że nie odmawia sobie epitetu „twoje dziewczynki”.

– To taki kalambur od „wstęp wolny” – wyjaśniam, chociaż sam doskonale wie. – Poza tym inkorporuje słowo „my”. – „Inkorporować” też zapożyczyłam od Jody.

Jon nie komentuje.



Właśnie transparent przyciąga dziennikarzy: to coś nowego, to wydarzenie, zapowiedź zamieszania. Jedna gazeta przysyła z wyprzedzeniem fotografa, który pstrykając nam zdjęcia, rzuca żartobliwie:

– No, dziewczyny, zróbcie to dla mnie, spalcie parę staniczków.

– Świnia – warczy Carolyn półgłosem.

– Wyluzuj – mówi Jody. – Uwielbiają, jak się ciskasz.

W dniu otwarcia przychodzę wcześniej. Spaceruję po wystawie, w dawnych przejściach między stoiskami, dookoła kas, gdzie rzeźby Jody pozują jak modelki na wybiegu, wzdłuż ściany, skąd rzucają wrzaskliwe wyzwanie łaciaki Carolyn. Mocne prace, myślę. Mocniejsze od moich. Nawet zwiewne kompozycje Zilli promieniują pewnością, subtelnością, zdecydowaniem, których brakuje moim obrazom, w takim zestawieniu obrazom zbyt wygładzonym, zbyt dekoracyjnym, po prostu zbyt ładnym.

Zboczyłam z kursu, nie udało mi się wypowiedzieć. Jestem wyłącznie dodatkiem.

Wypijam trochę obrzydliwego wina, później jeszcze trochę. Czuję się lepiej – na razie. Potem będzie gorzej. Ten sikacz trąci zalewą octową do mięsa.

Stoję pod ścianą koło drzwi, ściskam plastikowy kubeczek. Stoję tutaj, bo to wyjście. A zarazem wejście. Napływają ludzie, coraz więcej.

Znakomita większość to kobiety, najróżniejsze. Z długimi włosami, w długich spódnicach, w dżinsach i kombinezonach, z kolczykami w uszach, w robociarskich czapkach, w lawendowych szalach. Niektóre to malarki, inne tylko tak wyglądają. Tymczasem zjawily się Carolyn, Jody i Zilla, wykrzykują na powitanie, ściskają się ze znajomymi, całują w policzki, piszczą z radości. Jak widać, mają znacznie więcej przyjaciół niż ja, więcej bliskich przyjaciółek. Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiałam, nie myślałam, że wokół mnie brakuje ludzi. Zakładałam, że wszystkie kobiety są takie jak ja. Kiedyś rzeczywiście były. Teraz już nie.

Oczywiście, jest Cordelia. Cordelii jednak nie widziałam od lat.

Jona jeszcze nie ma, chociaż obiecał, że przyjdzie. Wzięliśmy nawet dziewczynę do dziecka. Może z kimś poflirtuję, myślę, z kimś nieodpowiednim, po prostu żeby zobaczyć, co się stanie. Nie mam wprawdzie wielu możliwości, bo i mężczyzn tyłu nie ma. Przedzieram się przez tłum, dzierżąc następny kubek ohydnej czerwonej marynaty, starając się nie czuć jak piąte koło u wozu.

Tuż za mną odzywa się kobiecy głos: – No cóż, niewątpliwie są inne. – Oto i kwintesencja krytyki w wydaniu matronowatej mieszczki z Toronto, ostateczna dezaprobata. Tak samo mówią o slumsach. Innymi słowy, coś takiego nie wyglądałoby dobrze na ścianie nad kanapą. Odwracam się, patrzę: zgrabny szarosrebrny kostium, perły, stonowany szalik, drogie zamszowe pantofle. Niezlomne przekonanie o własnej słuszności, o prawie do wygłaszania opinii. Mnie i osoby mojego pokroju zaledwie się tutaj toleruje.

– Elaine, pozwól, to moja matka – mówi Jody. Aż mi dech zapiera. Więc ta kobieta jest matką Jody? – Mamo, Elaine namalowała tamte kwiaty. Podobały ci się, pamiętasz?

Chodzi o *Wilczą jagodę*.

– Och, tak. – Matka Jody uśmiecha się ciepło. – Wy, dziewczynki, wszystkie jesteście takie utalentowane. Naprawdę, prześliczny obraz, urocze kolory. Tylko co tam robią te oczy?

Całkiem jakbym słyszała własną matkę; aż serce mi się ściska z tęsknoty. Chciałabym, żeby tu była. Mało co by jej się podobało, a już najmniej te porabane manekiny. Nic by nie rozumiała. Ale i tak zdobyłaby się na uśmiech, na miłą uwagę. Jeszcze niedawno wykpiłabym taki dar. Teraz go potrzebuję.



Dolewam sobie wina, biorę krakersa z plasterkiem sera, wypatruję w tłumie Jona, kogokolwiek. A tymczasem nad głowami widzę panią Smeath.

Pani Smeath mnie obserwuje. Leży na kanapie, w niedzielnym kapeluszu podobnym do turbanu, otulona szalem. Z powodu jej pozy oraz wachlarzowatego fikusa za plecami zatytułowałam obraz *Torontodaliska: w holdzie Ingres'owi*. Siedzi przed lustrem, połowę twarzy ma złuszczoną, zeszpeconą jak u tamtej podłej dziewczyny ze straszego komiksu, który kiedyś czytałam: ten obraz nazywa się *Trąd*. Stoi przy zlewie, w jednej ręce trzyma swój wstrętny nóż do jarzyn, w drugiej na pół obrany kartofel. Obraz nosi tytuł *OKO • ZA • OKO*.

Obok wisi *Biały dar*, cykl czterech obrazów. Na pierwszym pani Smeath owinięta białą bibułą niczym puszka mielonki albo mumia, tylko głowa wystaje, uśmiecha się zaciśniętymi ustami. Na kolejnych trzech stopniowo wynurza się z opakowania: we wzorzystej podomce i fartuchu, w cielistym gorsecie z ostatnich stron katalogu Eatona – chociaż wątpię, czy taki miała – wreszcie w obwisłych bawełnianych majtkach, z jedną wielką piersią rozciętą na pół, tak że widać serce. Serce umierającego żółwia, gadzie, ciemnoczerwone, chore. Na dole obrazu biegnie drukowany napis: *KRÓLESTWO • BOŻE • W • WAS • JEST*.

Wciąż nie mogę pojąć, dlaczego aż tak jej nienawidzę.

Odwracam oczy od pani Smeath i oto spostrzegam drugą panią Smeath, tyle że ta się rusza. Stała w drzwiach, idzie w moją stronę. Jest w tym samym wieku co wtedy. Zupełnie jakby zesza ze ściany, ze ścian. Ta sama okrągła twarz barwy surowego kartofla, kluchowata grubokoścista sylwetka, błyszczące okulary, korona włosów najeżona szpilkami. Ze strachu ściska mnie w żołądku. A później w jednej chwili wybucha tamta zaciekła nienawiść.

Rzecz jasna, to nie może być pani Smeath, dziś byłaby znacznie starsza. I to nie jest ona. Korona okazała się złudzeniem optycznym, to po prostu włosy, siwiejące, krótko obcięte. Mam przed sobą Grace Smeath, cnotliwą i bez odrobiny wdzięku, w bezkształtnej, ponadczasowej sukience koloru ciemnobrązowego. Żadnych pierścionków, żadnych ozdób. Widząc jej krok, jej sztywne, rozdygotane ciało, zacięte wargi, piegi, które odbijają od kredowobiałej skóry podobne do ukąszeń owadów, widząc to wszystko, wiem, że żaden mój drżący uśmiech nie zmieni tej sytuacji w swobodne towarzyskie spotkanie.

Tak czy owak próbuję.

– Grace, to ty?

Ludzie stojący najbliżej zamilkli w pół słowa. Kobiet tego rodzaju raczej się nie widuje w galerii na otwarciu wystawy.

Grace nieubłaganie maszeruje naprzód. Twarz ma pełniejszą niż kiedyś. Myślę o ortopedycznych butach, fildekosowych pończochach, spranej szarej bieliźnie, piwnicach na węgiel. Boję się jej. Nie tego, co mi może zrobić. Boję się jej osądu. I oto on.

– Jesteś wstrętna. Wzywasz imię Pana, Boga twego, nadaremno. Dlaczego chcesz ranić ludzi?

Co tu powiedzieć? Mogłabym twierdzić, że pani Smeath nie jest matką Grace, tylko kompozycją. Mogłabym wspomnieć o zaletach formalnych, o starannym doborze barw. Lecz *Biały dar* to nie żadna kompozycja, to obrazy przedstawiające panią Smeath, na dodatek nieprzyzwoite obrazy. To graffiti z klozetów, tyle że wyższego rzędu.

Grace omija mnie wzrokiem, wpatruje się w ścianę. Ma tam nie jeden, nie dwa oburzające, świńskie obrazy, ma ich całe mnóstwo. Pani Smeath przeobraża się w kolejnych ramach, naga, wystawiona na ludzkie spojrzenia, sprofanowana razem z brunatną pluszową kanapą, ze świętym fikusem i aniołami Pańskimi. Posunęłam się o wiele za daleko.

Dłonie Grace zaciskają się w pięści, tłusta broda drży, oczy są czerwone i wilgotne jak ślepka królików doświadczalnych. Czyżby to była iza? Patrzę osłupiała, a zarazem uszczęśliwiona. Grace nareszcie robi z siebie widowisko, ja zaś panuję nad sytuacją. Przypatruję się uważniej. To wcale nie jest Grace. Nawet nie przypomina Grace. Grace ma tyle lat co ja, aż tak by się nie zestarzała. Ogólne podobieństwo, nic więcej. To jakaś obca kobieta.

– Wstydz się! – mówi kobieta, która nie jest Grace. Mruży oczy za okularami. Podnosi pięść, ja upuszczam kubeczek z winem. Czerwień rozpryskuje się po ścianie i podłodze.

Kobieta ściska w ręce buteleczkę atramentu. Drżącą dłonią zdejmuję zakrętkę, a ja wstrzymuję oddech tyleż ze strachu, ile z ciekawości. Czy we mnie rzuci? Bo najwyraźniej ma taki zamiar. Ludzie dookoła aż się zachłystują, wszystko dzieje się tak prędko. Carolyn i Jody przepychają się do przodu.

Kobieta, która nie jest Grace, rzuca buteleczką prosto w *Biały dar*. Szkło się odbija i pada na dywan, atrament spływa z chmur na obrazie, maskując panią Smeath zmywalnym parkerowskim granatem. Kobieta uśmiecha się do mnie triumfalnie i odwraca, teraz już nie maszeruje, tylko przemyka się do drzwi.

Zasłaniam usta rękoma, jakbym chciała stłumić krzyk. Carolyn mnie obejmuje, przytula. Pachnie jak matka.

– Dzwonię na policję – mówi.

– Nie – mówię ja. – Zmyje się. – Chyba rzeczywiście się zmyje, bo *Biały dar* jest werniksowany i malowany na drewnie. Może nawet nie pękł.

Dookoła zbierają się kobiety: szelest piór, gruchanie. Uspokajają mnie i pocieszają, poklepują, pieszczą, jakbym przeżyła wstrząs. Może naprawdę są szczere, może mimo wszystko mnie lubią. Tak trudno mi zrozumieć kobiety.

– Kto to był? – pytają.

– Jakaś stuknięta dewotka – mówi Jody. – Jakaś reakcjonistka.

Teraz będzie się na mnie patrzeć z szacunkiem. Obrazy, w które się rzuca butelkami atramentu, które wywołują takie gniewne wybuchy przemocy, taki szum i manifestacje, z pewnością mają osobliwą rewolucyjną moc. Będę uchodzić za osobę dzielną i zuchwałą. Zyskałam wymiar heroiczny.



PIÓRA FRUWAJĄ W FEMINISTYCZNEJ AWANTURZE, ogłasza gazeta. Na zdjęciu ja, skulona, z rękami na ustach, w tle golusienka pani Smeath ocieka atramentem. Tym sposobem się dowiaduję, że starcie kobiet to wydarzenie. Wydarzenie podniecające, perwersyjne i komiczne, jak mężczyzna w sukni balowej i pantofelkach na wysokim obcasie. Jednym słowem, rozróżba w kurniku.

Sama wystawa przyciąga złe przymiotniki: „drażniąca”, „agresywna”, „ostra”. Odnoszą się głównie do figur Jody i łaciaków Carolyn. Puchobrazy Zilli są „subiektywne”, „introwersyjne” i „błahe”. W porównaniu z resztą ja wychodzę obronną ręką: „naiwny surrealizm z wypaczonym podtekstem feministycznym”.

Carolyn robi jaskrawożółty transparent ze słowami „drażniąca”, „agresywna” i „ostra” wymalowanymi na czerwono, zawiesza go nad wejściem. Przychodzą tłumy ludzi.

63

Czekam w poczekalni. Stoi tutaj kilka nijakich krzesel z jasnego drewna z oliwkowozielonymi obiciami, do tego trzy stoliki. Niezdarna imitacja mebli skandynawskich sprzed dziesięciu czy piętnastu lat, teraz już okropnie niemodnych. Na jednym stoliku wyświechtane egzemplarze „Reader’s Digest” i „Maclean’s”, na drugim popielniczka, biała w pączki róż. Dywan jest pomarańczowo-zielony, ściany żółtawe. Wisi jeden obraz, litografia: dwójka upiornych aniołkowatych dzieci w pseudoludowych strojach, z grubsza austriackich, osłania się grzybem jak parasolką.

Pokój zalatuje starym papierosowym dymem, starą gumą, znoszoną intymnością materiału, który zbyt długo przylegał do ciała. Ponad tym wszystkim unosi się woń antybakteryjnego płynu do podłóg,

przenika z dalekich korytarzy. Nie ma tu okien. Denerwujące miejsce, całkiem jak zgrzyt paznokci po tablicy, lub też jak poczekalnia u dentysty, jak pokój, gdzie się czeka na wstępną rozmowę o pracy – takiej, której nie chciało się dostać.

To dyskretna prywatna klinika psychiatryczna. Sanatorium, tak brzmi oficjalna nazwa: Sanatorium Dorothy Lyndwick. W takich przybytkach bogaci ludzie ukrywają tych członków rodziny, którzy ich zdaniem nie powinni się kręcić na widoku, bo inaczej mogliby trafić na Queen 999 – ani dyskretnie, ani prywatnie.

Queen 999 to zarazem realne miejsce i skrót-symbol. Tak w szkole średniej określało się wszelkie wariatkowa, psychiatryki, domy dla czubków, jakie tylko mogliśmy sobie wyobrazić. Musieliśmy sobie je wyobrażać, gdyż żadnego nie widzieliśmy na własne oczy. – Queen dziewięć dziewięć dziewięć – mówiło się, wywalając język z kącika ust, zezując, rysując palcem kółko na czole. Obłęd uchodził za coś śmiesznego, podobnie jak wszystko, co w rzeczywistości było przerażające i głęboko wstydlliwe.

Czekam na Cordelię. To znaczy, chyba na nią. Głos w słuchawce brzmiał obco, był wolniejszy, jak gdyby uszkodzony.

– Widziałam cię – powiedziała. Można by pomyśleć, że rozmawialiśmy pięć minut temu. Lecz naprawdę minęło siedem lat, może osiem, dziewięć. Od tamtego lata, kiedy pracowała na Stratfordzkim Festiwalu Szekspirowskim, od lata Josefa. – W gazecie – dorzuciła. Później zamilkła, jakby zadała pytanie.

– Zgadza się – przytaknęłam. Po czym, wiedząc, że tak wypada: – Może byśmy się spotkały?

– Nie mogę wyjść – powiedziała w tym samym zwolnionym tempie. – Musiałabyś tu przyjechać.

I oto jestem.



Cordelia wchodzi drzwiami w drugim końcu pokoju, idzie ostrożnie, jak gdyby chwytając równowagę albo kulała. Ale nie kuleje. Za nią kroczy kobieta z przymilnym, fałszywym, szerokim uśmiechem płatnej opiekunki.

Dopiero po chwili poznaję Cordelię, która nie wygląda tak jak kiedyś. A raczej nie tak jak ostatnim razem, gdy ją widziałam w szerokiej bawełnianej spódnicy i barbarzyńskiej bransoletce, elegancką i pewną siebie. To jej wcześniejsze, a może późniejsze wcielenie. Miękkie zielone tweedy i szyta na miarę bluzka – rodzinny dobry gust – teraz nadają Cordelii wygląd matrony, ponieważ utyła. Utyła? Nabrała ciała, owszem, lecz to ciało osunęło się w dół, w okolice talii, tak jak błoto osuwa się z pagórka. Długie kości twarzy wynurzyły się tuż pod powierzchnię skóry, ściągniętej niczym pod działaniem nieubłaganej siły ciężenia. Już widzę, jak Cordelia będzie wyglądała na starość.

Ktoś jej ułożył włosy. Nie ona sama. Nigdy w życiu nie uczesałaby się w takie drobne ścisłe fale.

Stoi niepewnie, lekko mruży oczy, wysunięta głowa kołysze się niedostrzegalnie z boku na bok – tak kołysze głową słoń czy inne ociężałe, zdeorientowane zwierzę.

– Cordelio – mówię. Podnoszę się.

– Masz tutaj swoją przyjaciółkę – szczebiocze kobieta, uśmiechając się bezlitośnie. Bierze Cordelię pod rękę, pociąga, kieruje we właściwą stronę.

– A, tu jesteśmy. – Mimo woli zwracam się do Cordelii jak do dziecka. Podchodzę, niezdarnie cmokam ją w policzek. Ku swemu zdumieniu cieszę się, że ją widzę.

– Lepiej późno niż wcale. – Mówi z tym samym wahaniem, tak samo chrapliwym głosem jak wtedy przez telefon. Kobieta prowadzi ją do sąsiedniego krzesła, sadza, popchnąwszy lekko, jakby miała do czynienia z kimś starym i upartym.

Nagle wpadam w gniew. Nikt nie ma prawa traktować Cordelii w ten sposób. Piorunuję babę wzrokiem.

– Jak to miło, że pani przyszła! Cordelia bardzo się cieszy z odwiedzin, prawda, Cordelio?

– Możesz mnie stąd zabrać – odzywa się Cordelia. Patrzy na kobietę, czeka na potwierdzenie.

– A tak, bardzo proszę. Na herbatkę czy gdzieś. Oczywiście, jeśli pani obieca, że ją przyprowadzi z powrotem! – Babsko rechocze radośnie, jakby to był żart.



Zabieram Cordelię. Sanatorium Dorothy Lyndwick leży na High Park, przedmieściu, gdzie nigdy dotąd nie byłam, nie orientuję się w tej okolicy. Na szczęście parę ulic dalej jest narożna kafejka. Cordelia ją zna, zna także drogę. Nie wiem, czy powinnam wziąć Cordelię pod rękę, czy nie, więc nie robię tego. Idę obok, uważam na pasach, jak gdybym prowadziła ślepego, dostosowuję krok do powolnego kroku Cordelii.

– Nie mam pieniędzy – mówi Cordelia. – Nie pozwalają. Nawet papierosy mi kupują.

– Nic nie szkodzi.

Siadamy w boksie, zamawiamy kawę i dwa drożdżowe ciastka. Ściślej biorąc, ja zamawiam. Po co kelnerka ma się gapić. Cordelia niezdarnie wyciąga papierosa, przypala. Ręka jej drży.

– O mój słodki jajoniebieskogłowy Jezu – mówi, mozolnie wymawiając sylaby. – Jak dobrze się stamtąd wyrwać. – Śmieje się z wysiłkiem, ja też się śmieję, oskarżona, winna.

Powinnam wypytać Cordelię. Co porabiała przez te lata, które przeskoczyłyśmy? Co z jej aktorstwem? Czy wyszła za męża, ma dzieci? Co się takiego stało, że trafiła aż tutaj? Wszystko to jednak nie jest istotne. To tylko uzupełnienie, dodatki. Naprawdę liczy się sama Cordelia, Cordelia teraz.

– Co za świństwo ci dają? – pytam.

– Jakieś środki na uspokojenie. Nienawidzę ich. Potem się ślinię.

– Ale po co? I w ogóle jakim cudem wylądowałaś u czubków? Nie jesteś bardziej stuknięta niż ja.

Patrzy na mnie, wydmuchuje dym.

– Nie za dobrze mi się wiodło – mówi po chwili.

– No i?

– No i. Nałykałam się prochów.

– Och, Cordelio! – Przechodzi mnie prąd, jakby na moich oczach dziecko upadło buzią na kamień. – Dlaczego?

– Nie wiem. Tak jakoś mnie naszło. Byłam zmęczona.

Nie ma sensu mówić, że nie powinna. Robię to, co bym zrobiła w szkole średniej: pytam o szczegóły.

– I co, straciłaś przytomność?

– Tak. Wprowadziłam się do hotelu, specjalnie po to. Ale się połapali... dyrektor czy ktoś tam. Miałam płukanie żołądka. Ohydne. Womitne, można powiedzieć.

Śmieje się czy raczej to byłby śmiech, gdyby nie miała takiej kamiennej twarzy. Chce mi się płakać. Równocześnie jestem na nią wściekła, nie wiem czemu. Zupełnie jakby Cordelia znalazła się gdzieś nade mną, poza moim zasięgiem, tam gdzie nie mogę jej dopaść. Odcięła się od własnego obrazu. Zginęła.

– Elaine – odzywa się. – Wydostań mnie stąd.

– Co? – Błyskawicznie przytomnieję.

– Pomóż mi się wydostać. Nie masz pojęcia, jak tam jest. Za grosz prywatności. – Pierwszy raz, odkąd się znamy, Cordelia prawie błaga.

Przypomina mi się zdanie, pozostałość dawnego świata chłopców, sobotnich popołudni nad komiksami: „Wybieraj sobie równych przeciwników”.

– Jak ci mogę pomóc?

– Odwiedź mnie jutro, uciekniemy taksówką. – Widzi, że się waham. – Albo po prostu pożycz mi trochę pieniędzy. Nic więcej nie musisz robić. Rano schowam pigułki, nie połknę ich. Wtedy będę się czuła normalnie. Bo wszystko przez te pigułki, dlatego jestem taka. Dwadzieścia pięć dolarów, tylko tyle mi trzeba.

– Nie mam przy sobie za dużo forsy. – To prawda i unik. – A zresztą cię przyłapią. Zorientują się, że odstawiłaś proszki. Poznają.

– Mogę ich nabrać bez trudu – mówi Cordelia z przebłyskiem dawnego sprytu. Jasne, myślę, przecież jest aktorką. Czy też była. Potrafi udawać, co chce. – Ci lekarze to banda głupków. Zadają setki pytań, wierzą we wszystko, co im powiem, wszystko zapisują.

Czyli są i lekarze. Więcej niż jeden.

– Cordelio, jak mogę wziąć na siebie taką odpowiedzialność? Jeszcze nawet nie rozmawiałam... z nikim nie rozmawiałam.

– To wszystko dupki – ciągnie. – Nic mi nie jest. Przecież wiesz. Sama tak powiedziałaś. – Zza tej martwej, obwisłej twarzy wygląda rozgorączkowane dziecko.

Wyobrażam sobie, jak porywam Cordelię, ratuję ją. Właściwie bym mogła, tak czy inaczej. Ale dokąd wtedy pójdzie? Ukryje się w naszym mieszkaniu, będzie spała na prowizorycznym legowisku jak ci chłopcy uciekający przed wojskiem, następny uchodźca, dipis, zadymiała kuchnię papierosami, a tymczasem Jon będzie zachodził w głowę, co to za baba i dlaczego ją tu ściągnęłam. Sprawy między nami i tak nie układają się najlepiej. Nie wiem, czy mogę sobie pozwolić jeszcze na Cordelię. Stanie się kolejnym moim grzechem, który Jon dopisze kredą na tabliczce pamięci. A co więcej, ja sama nie czuję się tak zupełnie pozbierana.

Następna sprawa: Sara. Czy polubi ciocię Cordelię? Jak Cordelia się obchodzi z małymi dziećmi? I właściwie jak bardzo jest trzepnięta? Ile czasu upłynie, zanim wróciwszy pewnego dnia znajdę ją zimną na podłodze w łazience, albo i jeszcze gorzej? W jaskrawoczerwonym zachodzie słońca. Warsztat Jona to istny arsenał, wszędzie malutkie piły, malutkie dłuta. Może zresztą skończy się na melodramacie, paru powierzchownych cięciach, na dawnej teatralności. A może ludzie teatru nie ryzykują mniej, tylko właśnie bardziej. Dla dobra roli poświęcą wszystko.

– Nie mogę, Cordelio – mówię łagodnie. Lecz wcale nie jestem łagodna, nie dla niej. Gotuję się ze złości, której nie potrafię ani wytłumaczyć, ani wyrazić. Jak śmiesz mnie prosić? Chciałabym jej wykręcić rękę, natrzeć twarz śniegiem.

Kelnerka przynosi rachunek.

– Dostatecznie się nawchłaniałaś? – rzucam, siląc się na niefrasobliwość, próbując zmienić temat. Ale Cordelia nigdy nie była głupia.

– Czyli nic z tego. – Potem dodaje ze smutkiem: – Chyba zawsze mnie nienawidziłaś.

– Nie. Dlaczego? Nie! – Jestem wstrząśnięta. Jak może tak mówić? Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek nienawidziła Cordelii.

– I tak się wyrwę. – Jej głos już nie brzmi ochryple ani niepewnie. Na twarzy maluje się upór, wyzwanie, tak jak kiedyś, przed laty. „No więc?”

Odprowadzam Cordelię z powrotem, zostawiam.

– Jeszcze cię odwiedzę – mówię. Naprawdę mam taki zamiar, ale wiem, że to mało prawdopodobne. Nic jej nie będzie, myślę. Przechodziła coś podobnego pod koniec szkoły średniej, a potem się pozbierała. Może teraz też się pozbiera.

Wracając do domu, czytam reklamy w metrze: piwo, batonik czekoladowy, stanik, który się zmienia w ptaka. Odczuwam ulgę. Jestem wolna, lekka jak piórko.

Nie uwolniłam się jednak od Cordelii.

Śni mi się, że spada ze skały lub z mostu, o zmierzchu, ma rozkrzyżowane ramiona, sukienkę wydętą na kształt dzwonu, robi w powietrzu śnieżnego anioła. Nie ląduje, nie uderza o ziemię, spada bez końca, a ja budzę się z walącym sercem, nieważka, oderwana od grawitacji niczym w rozpedzonej windzie, której nie da się zatrzymać.

Śni mi się, że stoi na boisku u Królowej Marii. Szkoła zniknęła, został sam plac, a dalej pagórek z mizernymi iglakami. Cordelia ma na sobie kurtkę od zimowego kombinezonu, ale nie jest dzieckiem, jest w tym wieku co teraz. Wie, że ją opuściłam, złości się.

Po miesiącu, dwóch, trzech piszę list do Cordelii na papierze z papeterii w kwiaty, która nie zostawia zbyt wiele miejsca na słowa. Specjalnie taką kupiłam. Piszę z tak sztuczną wesołością, że z trudem się zmuszam do polizania koperty. Proponuję następne spotkanie.

Jednakże list wraca z adnotacją „adresat nieznany”, nabazgraną w poprzek koperty. Oglądam ją ze wszystkich stron, badam, czy to jednak nie pismo Cordelii, naumyślnie zmienione. Jeżeli nie, jeżeli już jej nie ma w sanatorium, to gdzie się podziała? W każdej chwili może zapukać do drzwi, zadzwonić. Może być wszędzie.

Śni mi się manekin podobny do tamtych manekinów Jody, porąbany i sklejonny z powrotem. Ma na sobie zwiewny kostium naszywany błyskotkami. Nie ma głowy. Pod pachą, owinięta białym materiałem, tkwi głowa Cordelii.

[*] Norman Rockwell (1894–1978) – słynny amerykański ilustrator (przyp. tłum.).

XII

JEDNO SKRZYDŁO

64

W rogu parkingu, pomiędzy olśniewającymi butikami, stoi zrekonstruowany bar z lat czterdziestych. Nazywa się Ryczące Czterdziestki. Nie jest po renowacji, ale całkiem nowy.

Te stare burzyli kiedyś jeden po drugim.

Wnętrze całkiem autentyczne, poza tym, że wygląda zbyt czysto i nie na lata czterdzieste, raczej na wczesne pięćdziesiąte. Mają tutaj kontuar z automatem do wody sodowej, stołki barowe w kolorze wścieklej limony, boksy wykładane lśniącym fioletowym winylem w takim odcieniu jak karoseria pierwszych kabrioletów z „płetwami rekina”; szafę grającą, chromowane wieszaki, na ścianach zamglone czarno-białe fotografie prawdziwych barów z lat czterdziestych. Kelnerki mają białe mundurki z czarną lamówką, ale używają szminki w nieodpowiednim odcieniu czerwieni, niestarannie wypełniając kontur ust. Kelnerzy noszą białe furażerki na bakier, włosy też jak dawniej, wygolone na karku. Interes kwitnie. A prowadzą go dwudziestoparoletnie dzieciaki.

Lokal wygląda wypisz, wymaluj jak Sunnysides przerobiony na muzeum. Mogliby tu umieścić mnie z Cordelią, w swetrach nietoperzach i elastycznych paskach, wypchane i ustawione jako figury woskowe. Piłybyśmy mleczny koktajl, robiły maksymalnie znużone miny.

Kiedy ostatni raz widziałam Cordelię, znikła w drzwiach sanatorium. Wtedy też ostatni raz do niej mówiłam. Ale ona nie ostatni raz mówiła do mnie.



Nie ma kanapek z awokado i kiełkami, nie podają kawy z ekspresu, jest ciastko z kremem kokosowym, nie gorsze niż w tamtych czasach. Właśnie tym się posilam, kawą i ciastkiem, siedząc w fioletowym boksie, patrząc, jak młodzi ludzie podniecają się czymś, co im się wydaje dziwactwami przeszłości. Przeszłość nie jest dziwaczna, dopóki się w niej żyje. Taka się staje dopiero z bezpiecznej odległości, później, kiedy ją postrzegamy jako dekorację, nie jako formę, w którą wtłoczono nasze życie.

Dziś można kupić specjalne formy do cukinii, model „Elvis Presley”. Wkłada się je na młodą cukinię, a cukinia, rosnąc, przybiera kształt głowy Elvisa. Czy po to śpiewał? Żeby się stać cukinią? Wegetarianizm i reinkarnacja wiszą w powietrzu, ale doprawdy, to już chyba przesada. Osobiście wolałabym powrócić jako stonoga, ewentualnie smażona krewetka. Inna rzecz, że cała ta idea jest bardziej przyjazna niż idea piekła.

– Dobrze wam to wyszło – mówię do kelnerki. – Oczywiście, ceny są inne. Wtedy kawa kosztowała dziesięć centów.

– Naprawdę. – To nie pytanie. Kelnerka posłusznie się uśmiecha: „Ty stara nudziaro”. Jest ode mnie o połowę młodsza, żyje już w sposób, którego nie potrafię sobie wyobrazić. Poczucie winy, nienawiść, strach – jakiegokolwiek są, nie są takie same. Jak te dziewczyny radzą sobie z AIDS? Nie mogą po prostu barszkować na sianie tak jak my kiedyś. Czy nowy rytuał zalotów wymaga, aby młodzi, powiedzmy, wymienili się numerami telefonów swoich lekarzy? Dla nas cięża była straszakiem, seksualną pułapką, cięża mogła człowieka wykończyć. Dziś już nie.

Płacę rachunek, zostawiam za duży napiwek, zbieram paczki – włoskie szaliki dla córek, wieczne pióro dla Bena. Wieczne pióra znowu wracają. Gdzieś w czyścicu stoją w kolejce wszystkie stare przyrządy i akcesoria, czekają, żeby ponownie wkroczyć na scenę.

Idę ulicą, skręcam za róg. Następna jest ulica Josefa.

Liczę domy: tak, to ten. Cały przód zdarty i oszklony, zamiast trawnika chodnik. W oknie antyczny koń na biegunach, wytarty łaciak, lalka z drewnianą głową i pokierszowaną twarzą. Dawne śmieci przerobione na pieniądze. Nie ma niedyskretnej metki z ceną, co oznacza bajońskie sumy.

Ciekawe, co w końcu się stało z Josefem? Jeśli jeszcze żyje, ma z sześćdziesiąt pięć lat, może więcej. Skoro wtedy był starym świntuchem, do jakiego stopnia dziś się ześwińił?

Nakręcił film, owszem. Myślę, że to był on, w każdym razie nazwisko reżysera brzmiało tak samo. Widziałam ten film przypadkiem, na przeglądzie. Wiele lat później, już kiedy mieszkałam w Vancouverze.

Opowiadał o dwóch kobietach z zawilými charakterami i burzą włosów. W cienkich sukienkach łaskoczących uda na wietrze wędrowały po polach, patrzyły nieprzeniknionym wzrokiem. Jedna rozebrała radio na części i wrzuciła do strumienia, zjadła motyla i poderżnęła gardło kotu, ponieważ była obłąkana. Wszystko to nie wyglądałoby aż tak interesująco, gdyby trafiło na brzydulę, a nie na tę eteryczną blondynkę. Druga kobieta ponacinała sobie skórę na udzie staroświecką brzytwą dziadka. Pod koniec filmu skoczyła z mostu kolejowego do rzeki, sukienka trzepotała jej przy tym jak firanka. Gdyby nie kolor włosów, kobiety z trudnością dałoby się odróżnić.

Mężczyzna kochał obydwie i nie mógł wybrać. Stąd ich szaleństwo. Właśnie to mnie przekonało, że film nakręcił Josef. Nie przyszłoby mu do głowy, że mogły zbzikować z innych, swoich własnych powodów, niekoniecznie przez mężczyznę.

Krew na filmie nie była prawdziwą krwią. Kobiety nie były prawdziwe dla Josefa bardziej niż dla mnie. Dlatego mogłam traktować jego cierpienia tak pogardliwie i obojętnie: on sam nie był prawdziwy. Nigdy mi się nie śnił, ponieważ należał już do świata snów – nieciąglego, irracjonalnego, obsesyjnego.

Naturalnie, postąpiłam wobec Josefa nieuczciwie, ale gdzie bym teraz była bez nieuczciwości?

W niewoli, pod jarzmem. Młodym kobietom potrzebna jest nieuczciwość, to jedna z nielicznych form obrony. Potrzebna jest gruboskórność, potrzebna jest niewiedza. Spacerują w ciemności na skraju urwiska, nucąc pod nosem, wierząc, że nic ich nie zrani.



Nie mogę potępiać Josefa za ten film. Miał prawo do własnej wersji, do własnych iluzji, tak samo jak ja. Możliwe, że się mną posłużył do swoich celów, lecz ja także posłużyłam się nim.

Chociażby *Rysunek z natury*, który teraz wisi na ścianie galerii, Josef zakonserwowany w galarecie, aż ślinka cieknie. Stoi po lewej stronie obrazu, całkiem nagi, uchwycony w półobrocie, tak że widać pupę i tors z profilu. Po prawej stoi Jon w takiej samej pozie. Ciała obydwu są nieco wyidealizowane: mniej owłosione niż w rzeczywistości, mięśnie wyraźniej zaznaczone, skóra świetlista. Zastanawiałam się, czy przez wzgląd na Toronto nie ubrać ich w gatki, ale uznałam, że lepiej nie. Mają prześliczne pupy.

Każdy maluje obraz, obydwaj obrazy są na sztalugach. Obraz Josefa przedstawia zmysłową, nie za pulchną kobietę, która siedzi na stołku, z kawałkiem materiału udrapowanym między nogami, z obnażonym biustem; twarz prerafaelicka, zadumana, świadomie tajemnicza. Jon maluje jelitopodobne zawijasy, jaskraworóżowe, malinowe i fioletowe w odcieniu wiśni burgundzkiej.

Modelka siedzi na krześle pomiędzy nimi, przodem do widza, stopy spoczywają płasko na podłodze. Ma na sobie białe prześcieradło okręcone poniżej piersi. Ręce zgrabnie złożone na kolanach. Jej głowa to kula niebieskawego szkła.



Siedzę z Jonem przy stoliku w barze na dachu hotelu Park Plaza, popijamy szprycery z białego wina. Moja propozycja, chciałam to znowu zobaczyć. Na zewnątrz zmienił się krajobraz miasta. Park Plaza już nie jest najwyższym budynkiem w okolicy, lecz przysadzistym zabytkiem, skarłałym w otoczeniu wysmukłych szklanych wież. Na południu wyrasta CN Tower podobna do gigantycznego odwróconego sopła. Taką architekturę widywało się tylko w futurystycznych komiksach. Widząc ją teraz na monotonnym tle nieba, mam wrażenie, jakbym przesunęła się w czasie nie o krok naprzód, ale w bok, znalazła się we wszechświecie dwuwymiarowym.

Wnętrze baru jednak niewiele się zmieniło. Wciąż przypomina pierwszorzędny burdel z czasów regencji. Nawet kelnerzy ze swoimi wypielęgnowanymi fryzurami, uosobienie zbolalej powściągliwości, wyglądają tak samo i prawdopodobnie to ci sami. Niegdyś dyrekcja trzymała w szatni krawaty specjalnie dla panów, którzy o nich zapomnieli. Właśnie „zapomnieli”, bo przecież żaden pan naumyślnie by nie chodził bez krawata. Świat zadrżał w posadach, kiedy wdarły się tutaj kobiety w żakietach i spodniach. Pierwszą z nich była szykowna czarna modelka. Nie mogli jej nie wpuścić, bo oskarżyłaby ich o rasizm. Nawet to wspomnienie podkreśla mój wiek, czemu towarzyszy dresczyk triumfu. Która kobieta dzisiaj uważałaby żakiet i spodnie za wyzwolenie?

Nie przychodziłam tu z Jonem. Śmiały się z wyściełanych antycznych krzeseł, drapowanych zasłon, mężczyzn i kobiet niczym wyjętych z kolorowej reklamy whisky. To z Josefem tu przychodziłam, to ręki Josefa dotykałam na blacie stolika. Nie Jona jak teraz.

Dotykam tylko czubkami palców, tylko trochę. Tym razem niewiele mówimy. Żadnych słownych przepychanek jak przy lunchu. Jedyne wspólny język półsłówek i milczenia. Wiemy, czemu tu jesteśmy. Jadąc windą na dół, przeglądam się w przydymionej lustrzanej ścianie, w ciemnym szkłe widzę swoją twarz przesłoniętą czasem: tak mech zarasta kamień. Mogłabym być w dowolnym wieku.

Wracamy taksówką do magazynu, nasze ręce leżą przy sobie na siedzeniu. Idziemy po schodach do pracowni, pomału, żeby nie stracić tchu. Żadne nie chce dać się przyłapać na starczej zadyszce. Ręka Jona obejmuje moją talię. Znajome uczucie, podobnie wie się, gdzie jest kontakt w domu, w którym się kiedyś mieszkało, ale nie było od lat. Kiedy stajemy przed drzwiami, Jon poklepuje mnie po ramieniu na znak zachęty, a zarazem tęsknej rezygnacji.

– Nie zapalaj światła – proszę.

Obejmuje mnie, wtula twarz w zagłębienie szyi. To nie tyle gest pożądania, ile znużenia.

Pracownię zalewa fioletozszara poświata jesiennego zmierzchu. Gipsowe odlewy nóg i rąk połyskują biało niczym strzaskane pomniki. W kącie walają się moje ubrania, tu i tam stoją puste filiżanki, na warsztacie, pod oknem, znacząc moje dzienne szlaki, zdobywając terytorium. Pokój wygląda jak mój własny, jakbym cały czas tu mieszkała, nieważne, gdzie jeszcze byłam, co jeszcze robiłam. To Jon gdzieś przepadł, a teraz nareszcie wrócił.

Rozbieramy się nawzajem jak wtedy, na początku, lecz bardziej nieśmiało. Nie chcę być niezdarna. Cieszę się z półmroku. Z niepokojem myślę o tylnej części ud, o zmarszczkach nad kolanami, miękkim wałeczku na brzuchu – to niezupełnie tusza, na razie ta jedna fałda. Włosy na piersi Jona są siwe, szok. Staram się nie patrzeć na sterczący brzusek, który tymczasem mu wyrósł, chociaż go wyczuwam, wyczuwam zmiany w ciele Jona, tak jak on na pewno wyczuwa zmiany moim.

Całujemy się z powagą, której przedtem nam brakowało. Przedtem byliśmy zachłanni i samolubni.

Kochamy się, żeby zaznać ukojenia. Rozpoznaję Jona, rozpoznałabym go w zupełnym mroku. Każdy mężczyzna ma swój własny rytm i ten rytm się nie zmienia. Niesie ze sobą ulgę powitania.

Nie zdradzam Bena, po prostu jestem wierna czemuś innemu, czemuś, co go poprzedza, co nie ma z nim nic wspólnego. To stare porachunki.

Wiem też, że już nigdy czegoś takiego nie zrobię. To ostatnie spojrzenie, zanim człowiek się odwróci, spojrzenie na miejsce, które kiedyś odwiedził i uważał za niezwykle, do którego nie ma powrotu. Wieczorna panorama Niagary.

Leżymy objęci pod pledem. Trudno sobie przypomnieć, o co się kłóciliśmy. Zniknął dawny gniew, a z nim tamta nerwowa, zawistna żądza. Pozostała sympatia i żal. Wyciszenie.

– Przyjdiesz na otwarcie? – pytam. – Przyjdź, dobrze?

– Nie – mówi Jon. – Nie chcę.

– Dlaczego?

– Źle bym się czuł. Wolę cię nie oglądać takiej.

– Jakiej?

– Z tymi wszystkimi ludźmi, jak się będą do ciebie ślinić.

To znaczy, że nie chce być tylko widzem, że nie ma tam dla niego miejsca – i rzeczywiście. Nie chce być tylko moim eksmężem. Zostałby wyzuty ze mnie i z siebie samego. Właściwie ja też nie chcę, żeby przychodził. Potrzebuję go tam, ale nie chcę.

Odwracam się, wspieram na łokciu, znowu całuję Jona, tym razem w policzek. Tam nisko, za uszami, włosy już mu zaczynają siwieć. Zrobiliśmy to w samą porę, myślę. Jeszcze trochę, a byłoby za późno.

65

Z Jonem to tak, jakbyśmy spadali ze schodów. Dotychczas zdarzały nam się wstępne potknięcia, powroty do równowagi, ręce znajdowały punkt oparcia, chwytaly. Teraz jednak koniec z równowagą. Oboje lecimy głową w dół, hałaśliwie i niezgrabnie, z coraz większym rozpędem, coraz bardziej poobijani.

Zasypiam wściekła i boję się obudzić, a kiedy już się budzę, leżę obok śpiącego ciała Jona, wsłuchuję się w rytm jego oddechu i nienawidzę go za to, że nadal przy nim zapominam o wszystkim.



Od tygodni był bardziej milczący niż zwykle, rzadziej bywał w domu. To znaczy, razem ze mną w domu. Co innego, gdy jestem w pracy, nawet gdy Sara jest w przedszkolu. Wtedy owszem. Zaczęłam napotykać ślady, drobne wskazówki pozostawione na mojej drodze niczym okruchy chleba na tropie: papierosa z różowym śladem ust, dwie brudne szklanki w zlewie, cudzą szpilkę do włosów pod poduszką. Sprzątam i milczę, zachowuję to wszystko na czasy, kiedy bardziej mi się przyda.

– Dzwoniła do ciebie jakaś Monica – mówię. Jest ranek, przed nami cały dzień do przetrwania. Dzień uników, tłumionego gniewu, sztucznego spokoju. Etap ciskania różnymi przedmiotami mamy już za sobą.

Jon czyta gazetę.

– Tak? Czego chciała?

– Żeby ci powtórzyć, że dzwoniła Monica.



Wraca późną nocą. Leżę w łóżku, udając, że śpię, w głowie kłębowisko myśli. Myślę o podstępach: sprawdzić koszule, czy nie pachną perfumami, skradać się za Jonem ulicą, schować się w szafie i nagle wyskoczyć, ziejąc ogniem. Myślę też o innych rzeczach, które mogłabym zrobić. Mogłabym odejść, zabrał Sarę i dokądś wyjechać. Mogłabym zażądać otwartej rozmowy. Lub też udawać, że nic się nie stało, dalej żyć jak gdyby nigdy nic. Takiej rady udzieliłyby czasopisma dla kobiet, te sprzed dziesięciu lat: przeczekać.

To wszystko scenariusze do przegrania i odrzucenia, może nawet jednocześnie. Żaden nie wyklucza pozostałych.

W prawdziwym życiu dni biegną tak jak zwykle, coraz ciemniejsze, im bliżej zimy, ciężkie od niewypowiedzianych słów.



– Kombinowałaś z Wujaszkiem Joem, prawda? – rzuca Jon niedbale. Jest sobota, próbujemy się chytać normalności, zabraliśmy Sarę do parku Grange, żeby się pobawiła na śniegu.

– Z kim?

– Przecież wiesz. Z Josefem, jak mu tam. Z tym starym fajtlapą.

– A, z nim. – Sara buszuje przy huśtawkach razem z innymi dziećmi. My siedzimy na ławce, odgarnąwszy śnieg. Powinam lepić bałwana albo robić coś w tym rodzaju, jak na dobrą matkę przystało. Lecz jestem zbyt zmęczona.

– No więc kombinowałaś, tak? – powtarza Jon. – Z nim i ze mną jednocześnie.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – Wiem, kiedy się mnie oskarża. Przeglądam własną amunicję: szpilki do włosów, szminka, telefony, szklanki w zlewie.

– Nie jestem idiotą. Domyśliłem się.

A zatem on też zna zazdrość, on też musi lizać rany. Rany, które ja mu zadałam. Powinam skłamać, wszystkiemu zaprzeczyć. Ale nie chcę. W tej chwili uważam Josefa za powód do pewnej dumy.

– To było tyle lat temu – mówię. – Tysiąc lat temu. Wcale się nie liczyło.

– Gówna prawda.

Kiedys sądziłam, że jeśli się dowie o Josefie, wyśmieje mnie. A tu proszę, jaka niespodzianka – bierze Josefa na poważnie.



Tej nocy się kochamy, jeżeli to coś jeszcze można tak nazwać. Nie ma kształtu miłości, nie ma jej koloru, jest szorstkie, w barwach wojennych, mechaniczne. Coś sobie chcemy udowodnić. Albo czegoś się wyprzeć.

Rano Jon mówi: – Z kim jeszcze byłaś? – Ot tak, ni stąd, ni zowąd. – Skąd mam wiedzieć, czy się nie zabawiałaś z każdym starym pierdzielem, jaki ci się nawinął?

Wzdycham.

– Jon. Wydoroślej.

– A pan Pro시오-Grosio? – ciągnie.

– O Jezu, przestań. Sam nie byłeś aniołem. W twoim mieszkaniu aż się kłębiło od różnych chudych panienek. Nie chciałeś się wiązać, pamiętasz?

Sara jeszcze śpi w swoim łóżeczku. Jesteśmy bezpieczni, możemy sobie pozwolić na takie wywlekanie brudów, nie do końca prawdziwych. Kiedy już się zacznie, trudno się zatrzymać. Jest w tym nawet pewien urok.

– Ja przynajmniej grałem otwarcie – mówi Jon. – Nie chowałem się po kątach. Nie udawałem takiego cholernego niewiniątka, takiego wzoru wierności jak ty.

– Może cię kochałam. – Zauważam czas przeszły. Jon również.

– Nie poznałabyś miłości, nawet gdybyś się o nią potknęła.

– Nie to co Monica? – rzucam. – Teraz chyba nie grasz zbyt otwarcie. Znalazłam szpilki do włosów we własnym łóżku. Mógłbyś chociaż mieć tyle przyzwoitości, żeby to robić gdzie indziej.

– A ty? Ciągłe gdzieś wychodzisz, ciągle gdzieś się szwendasz.

– Ja? Ja nie mam czasu. Nie mam czasu myśleć, nie mam czasu malować, nawet nie mam czasu się wysrać. Za bardzo jestem zajęta płaceniem czynszu.

Nie mogłam powiedzieć nic gorszego. Posunęłam się za daleko.

– No właśnie – cedzi Jon. – Zawsze ty, co ty dajesz, co ty znosisz. Nigdy ja. – Chwyta kurtkę, maszeruje do drzwi.

– Co, umówiłeś się z Monicą? – pytam tak zjadliwie, jak tylko potrafię. Nienawidzę takich sztubackich pyskówek. Pragnę uścisków, łez, przebaczenia. Pragnę, żeby się zjawiły samoistnie, bez

żadnego wysiłku z mojej strony, niczym tęcza.

– Z Trishą – mówi Jon. – Monica to tylko znajoma.



Jest zima. Ogrzewanie to się psuje, to znowu działa, jak popadnie. Sara się przeziębiła. Nocami kaszle. Wstaję do niej, poję ją syropem. Rano obie jesteśmy nieprzytomne.

Tej zimy ja też często choruję. Zараżam się od Sary. Rankiem w weekendy leżę w łóżku, gapiąc się w sufit, głowę mam jak zatkaną watą. Marzy mi się piwo imbirowe, sok ze świeżych pomarańczy, szmer radia w tle. Wszystko to jednak skończyło się raz na zawsze, niczego już nie dostaję na tacy. Jeżeli mi się zachce piwa imbirowego, muszę iść do sklepu albo do kuchni, sama sobie kupić, sama nalać. W bawialni Sara ogląda kreskówki.

Wcale już nie maluję. Nawet nie mogę myśleć o malowaniu. Dostałam stypendium dla młodych twórców z państwowego programu wspierania sztuki, ale jestem za bardzo rozbita, żeby wziąć pędzel do ręki. Z trudem brnę przez czas, wlokę się do pracy, do banku po pieniądze, do domu towarowego po zakupy. Czasami w ciągu dnia oglądam seriale, tam ludzie przeżywają więcej kryzysów i ubierają się lepiej niż w prawdziwym życiu. Zajmuję się Sarą.

Poza tym nie robię nic. Już się nie spotykam z tamtymi kobietami, bo potem czuję się jeszcze bardziej przygnębiona. Dzwoni Jody, chce się umówić, ale ją splawiam. Próbowalaby mnie rozruszać, dawała rozmaite rady, których teraz w żaden sposób nie wprowadzę w życie. Czułabym się jak ostatni nieudacznik.

Nie chcę nikogo widzieć. Leżę w sypialni przy zaciągniętych zasłonach, nicość omywa mnie jak leniwa fala. Cokolwiek się dzieje, to tylko moja wina. Coś zrobiłam źle, coś tak ogromnego, że nawet nie potrafię tego dostrzec, i to coś mnie pogrąża. Nie dorastam do sytuacji, jestem głupia, nic niewarta. Równie dobrze mogłabym nie żyć.



Którejś nocy Jon nie wraca. To niezwykle, nie należy do cichej umowy. Nawet gdy go nie ma do późna, zawsze przychodzi do domu około północy. Tego dnia nie było kłótni, prawie się nie odzywaliśmy. Nie zadzwonił, nie powiedział, gdzie jest. To jasne: zostawił mnie na pastwę losu.

Kulę się w sypialni, po ciemku, owinięta starym śpiworem Jona, słuchając chrapliwego oddechu Sary i deszczu ze śniegiem bijącego o szyby. Miłość mąci wzrok, lecz kiedy już minie, człowiek widzi wyraźnie jak nigdy. Zupełnie jakby cofał się przypyływ, odsłaniając zatopione śmieci: stłuczone butelki, stare rękawiczki, zardzewiałe puszkę, nadgryzione trupy ryb, kości. Oto co widać, kiedy się siedzi w mroku, z otwartymi oczami, nie znając przyszłości. Kompletny rozpad.

Ciało mam bezwładne, bezwolne. Trzeba się ruszyć, myślę, niech krew zacznie krążyć. Tak się

robi w czasie burzy śnieżnej, żeby nie zamarznąć na śmierć. Podnoszę się z trudem. Pójdę do kuchni, zaparzę herbaty.

Przed domem przejeżdża samochód, sunie w śnieżnej brei, stłumiony, spieszny warkot. W bawialni ciemno, tylko przez okno wpada światło latarni. W półmroku połyskują narzędzia na warsztacie Jona: płaskie ostrze dłuta, główka młotka. Czuję, jak mnie przyciąga ziemia, mroczna krzywizna grawitacji, przestrzeń między atomami, w którą tak łatwo wpaść.

I wówczas słyszę głos, wcale nie w głowie, rozbrzmiewa w pokoju, bardzo wyraźnie: „Zrób to. No, dalej. Zrób to”. Głos nie daje wyboru, ma moc rozkazu. Tym się różni skok od zepchnięcia.

Robię to fińskim nożem. Nawet nie boli, bo już po chwili rozlega się szum, przestrzeń się zacieśnia, leżę na podłodze. Tak mnie znajduje Jon. W ciemności krew jest czarna, nie odbija światła, więc Jon widzi wszystko dopiero po zapaleniu lampy.



Na pogotowiu oświadczam, że to wypadek. Jestem malarką, mówię. Cięłam płótno i ręka mi się ześliznęła. Całkiem prawdopodobne, bo to lewy przegub. Boję się, chcę ukryć prawdę. Nie dam się odstawić na Queen 999, ani teraz, ani nigdy.

– W środku nocy? – dziwią się lekarze.

– Często pracuję po nocach – wyjaśniam.

Jon potwierdza. Boi się tak samo jak ja. Owinął mi rękę ścierką do naczyń, zawiózł mnie do szpitala. Krew przesiąkła przez ścierkę na przednie siedzenie.

– Sara – przypomniałam sobie o małej.

– Jest na dole. – Na dole mieszka właścicielka domu, Włoszka, wdowa w średnim wieku.

– Co jej powiedziałaś?

– Że to wyrostek.

Zaśmiałam się.

– Co ci, do cholery, odbiło? – spytał Jon.

– Nie wiem. Będziesz musiał wyczyścić samochód.

Czułam się biała jak śnieg, bezkrwista, wielbiona, oczyszczona. Spokojna.



– Na pewno pani nie chce z nikim porozmawiać? – pyta lekarz na pogotowiu.

– Teraz już wszystko w porządku – zapewniam. Ostatnie, na co bym miała ochotę, to rozmowa. Wiem, o kogo chodzi lekarzowi: o psychoanalityka. Kogoś, kto mi wytłumaczy, że zbzikowałam. Wiem, jacy ludzie słyszą głosy. Ludzie, którzy za dużą piją, którzy zamulają sobie mózg narkotykami, którzy się rozłażą w szwach. Ja natomiast całkowicie panuję nad sobą, już nawet się nie denerwuję. Już postanowiłam, co zrobię potem, jutro. Będę nosić rękę na temblaku i mówić, że złamałam nadgarstek. Dlatego nie muszę opowiadać lekarzowi ani Jonowi, ani w ogóle nikomu o tamtym głosie.

Wiem, że naprawdę wcale go nie było. Wiem również, że go słyszałam.

Sam głos nie budził lęku. Nie tyle groźny, ile podniecony, proponował raczej wybryk, żart, niecodzienną zabawę. Coś cennego i okrytego tajemnicą. Był głosem dziewięcioletniego dziecka.

66

Śnieg stopniał w brudny filigran, wiatr rozwiewa piach pozostały po zimie, przez błoto pustych, zmiażdżonych trawników przebijają się krokusy. Jeżeli się stąd nie wyrwę, to umrę.

Nie tylko Jona muszę opuścić, myślę, także to miasto. To miasto mnie zabija.

Zabije mnie całkiem nagle. Będę szła ulicą, nie myśląc o niczym szczególnym, i naraz skreję w bok, zanurkuję z krawężnika prosto pod rozpędzony samochód. Niespodzianie runę pod pociąg w metrze, mimowolnie skoczę z mostu. Usłyszę jedynie tamten cichy głos, wabiący i porozumiewawczy, wesoły, ponaglący. To zupełnie możliwe.

(Co gorsza: chociaż się boję i wstydzę, chociaż za dnia cała rzecz wydaje mi się melodramatyczna, absurdałna, niewiarygodna, to jednak skrycie ją wielbię. Przypomina schowaną butelkę alkoholika. Nawet jeśli nie chcę z niej skorzystać już teraz, czuję się pewniej, wiedząc, że jest pod ręką. To oparcie, nałóg, wyjście. To broń).



Nocą siedzę przy łóżeczku Sary, obserwując drzenie powiek, kiedy coś jej się śni, słuchając oddechu. Zostanie sama. Niezupełnie sama, z Jonem. Bez matki. Nie do pomyślenia.

Zapalam światło w bawialni. Muszę się wziąć do pakowania, ale nie wiem, co zabrać. Ubranie, zabawki Sary, jej puszystego królika. To za trudne, kładę się więc do łóżka. Jon już tam jest, odwrócony do ściany. Mamy za sobą pozory pojednania i naprawy, utknęliśmy w martwym punkcie. Nie budzę go.

Rano, kiedy już się wyniósł, wsadzam Sarę do wózka, podejmuję w banku część pieniędzy ze

stypendium. Nie wiem, dokąd jechać. Byle gdzieś daleko. Kupuję dwa bilety do Vancouveru, tam chociaż jest ciepło, a przynajmniej tak zakładam. Pakuję rzeczy do brezentowych worków, które kupiłam w sklepie z artykułami z demobilu.

Chciałabym, żeby Jon wrócił i mnie powstrzymał, bo teraz kiedy wreszcie się ruszyłam, nie mogę uwierzyć, że naprawdę to robię. Ale nie wraca.

Zostawiam kartkę, przygotowuję kanapkę z masłem orzechowym. Przekrawam, daję połówkę Sarze razem ze szklanką mleka. Dzwonię po taksówkę. Siedzimy w paltach przy kuchennym stole, jemy kanapki, pijamy mleko, czekamy.

Właśnie wtedy wchodzi Jon. Dalej jem.

– Co jest, do ciężkiej cholery? Dokąd to? – pyta.

– Do Vancouveru.

Siada przy stole, wytrzeszcza na mnie oczy. Wygląda tak, jakby nie spał od tygodni, chociaż naprawdę sypiał aż za dużo, przesypiał.

– Nie mogę cię zatrzymać. – To stwierdzenie faktu, nie żaden manewr. Pozwoli nam odejść bez walki. Sam też jest wyczerpany.

– Chyba mamy taksówkę – mówię. – Napiszę.

Odejścia to moja specjalność. Przede wszystkim trzeba się zasklepić. Nie słyszeć, nie widzieć. Nie oglądać się za siebie.



Nie mamy kuszетки, ponieważ muszę oszczędzać. Nie śpię całą noc, Sara leży wyciągnięta na moich kolanach, posapuje przez zatkany nos. Trochę płakała, ale jest za mała, żeby zrozumieć, co zrobiłam, co robimy. Pasażerowie zapełniają przejścia, rozrasta się bagaż, w stęchłym powietrzu snuje się dym, klozety zatkane opakowaniami po żywności. Z przodu wagonu toczy się gra w karty zakrapiana piwem.

Pociąg jedzie na północny zachód przez setki mil przerzedzonych lasów, połacie granitu, mija setki niewielkich, bezimiennych błękitnych jezior okolonnych bagnem, sitowiem i zeschniętymi świerkami. W cieniu leży stary śnieg. Patrząc w okno poznaczone smugami deszczu i kurzu, tam za szybą ciągnie się krajobraz mojego wczesnego dzieciństwa, zamazany, bezwonny, niedotykany, ucieka wstecz.

Z rzadka pociąg przecina drogę, zwirową albo wąską brukowaną, z białą linią pośrodku. Wszystko tutaj tchnie pustką i ciszą, dla mnie jednak nie jest ani puste, ani ciche. Rozbrzmiewa echemi.

Dom, myślę. Lecz nie mam tu dokąd wrócić.

Jest gorzej, niż myślałam, a zarazem lepiej.

Czasami mi się zdaje, że musiałam zwariować, kiedy indziej uznaję, że równie rozsądnie nie zachowałam się od lat.

W Vancouverze żyje się taniej. Pomieszkawszy chwilę w hotelu Holiday Inn, znajduję dom do wynajęcia, na wzgórzu za plażą Kitsilano, miniaturowy domek, wewnątrz bardziej przestronny, niż się wydaje. Mam stamtąd widok na zatokę i góry nad nią, w lecie niekończące się światło. Posyłam Sarę do społecznego przedszkola. Przez jakiś czas żyję za pieniądze ze stypendium. Trochę dorabiam jako wolny strzelec, później dostaję pracę na pół etatu przy renowacji mebli u handlarza antykami. Lubię ją, bo nie wymaga myślenia, a meble nie mówią. Jestem spragniona ciszy.

Leżę na podłodze zatopiona w nicości, staram się wytrwać. Płaczę po nocach. Boję się usłyszeć głosy czy raczej głos. Stoję nad przepaścią. Mogę runąć w dół.

Właściwie powinnam się wybrać do psychologa, teraz to ogólnie przyjęte rozwiązanie dla ludzi nie zrównoważonych, czyli takich jak ja. W końcu więc idę. Psycholog jest mężczyzną, miłym mężczyzną. Prosi, żebym opowiedziała o wszystkim, co mi się zdarzyło do szóstego roku życia, nie później. Jego zdaniem człowiek, kiedy kończy sześć lat, jest już jak odlany w brązie. Cała reszta, potem, nie ma żadnego znaczenia.

Mam dobrą pamięć. Opowiadam mu o wojnie.

Opowiadam o fince i nadgarstku, ale nie o głosie. Nie chcę, żeby mnie wziął za czubka. Chcę dobrze wypaść.

Nie mówię mu nic.

Psycholog pyta, czy miewam orgazm. Nie w tym problem, odpowiadam.

Uważa, że coś zatajam.

Niebawem przestaję tam chodzić.

Stopniowo biorę się w garść. Zaczęłam wstawać wczesnym rankiem, kiedy Sara jeszcze śpi, wtedy maluję. Odkrywam, że po wystawie w Toronto zyskałam niewielką, dwuznaczną sławę, toteż

zaprasza się mnie na przyjęcia. Początkowo spotykam się z niechęcią, gdyż pochodzę „stamtąd, ze wschodu”, co rzekomo daje mi niesprawiedliwą przewagę. Po pewnym czasie jednak, gdy jestem już tu dostatecznie długo, przestaję aż tak kluć w oczy i wkrótce sama mogę okazywać niechęć wobec Wschodniego Wybrzeża, i uchodzi mi to na sucho.

Zaprasza się mnie także do udziału w kilku zbiorowych wystawach, głównie kobiecych. Słyszano tu o tamtej historii z atramentem, czytano złośliwe recenzje, jestem więc wiarygodna, jakkolwiek ze wschodu. Wśród wszelkiego rodzaju artystek, wszelkiego rodzaju kobiet panuje ferment, aż kipią stłamszoną energią, zapalem wszelkich ruchów religijnych we wczesnej, purystycznej fazie. Nie wystarczą czcze frazesy i wiara w równą płacę. Przemiana musi sięgać samych podstaw. A przynajmniej takie jest założenie.

Zapanowała moda na wyznania – mówienie nie o własnych brakach, lecz o cierpieniach doznanych od mężczyzn. Ból jest istotny, ale liczy się tylko określony rodzaj bólu: ból kobiety, nie ból mężczyzny. Opowiadanie o swoim bólu nazywa się dzieleniem. Nie chcę się dzielić w ten sposób. Co więcej, nie mam dostatecznie dużo blizn. Miałam łatwe życie, nikt mnie nigdy nie pobił, nie zgwałcił, nie głodowałam. Oczywiście, jest kwestia pieniędzy, ale Jon był przecież tak samo biedny jak ja.

Jest też Jon. Niemniej wcale nie czuję się stłamszona. Cokolwiek mi zrobił, odpłaciłam mu pięknym za nadobne, i to z nawiązką. Teraz aż się skręca, tak tęskni za Sarą. Wydzwania z Toronto, głos w słuchawce to narasta, to zanika, całkiem jak audycje radiowe w czasie wojny, dźwięczy żalnością porażki, pierwotnym smutkiem typowym – jak coraz częściej mi się wydaje – dla wszystkich mężczyzn.

Żadnej litości, powiedziałyby kobiety. Nie lituję się nad Jonem, ale jest mi przykro.



Wiele z tych kobiet to lesbijki – dopiero co zadeklarowane albo w trakcie zmiany orientacji. Wymaga to odwagi, a zarazem jest pożądane. Zdaniem niektórych tylko taki układ daje kobiecie poczucie prawdziwego partnerstwa. Inaczej zatracą się autentyzm.

Wstydzę się własnej niechęci, braku pożądania, lecz prawdę mówiąc, przeraża mnie myśl o pójściu do łóżka z kobietą. Kobiety gromadzą żale, żywią urazę, zmieniają postać. Ferują bezlitosne, uzasadnione wyroki, tak różne od ślepych męskich domysłów zamglonych romantyzmem, niewiedzą, uprzedzeniem, życzeniami. Kobiety za dużo wiedzą, nie dają się ani oszukać, ani darzyć zaufaniem. Rozumiem, dlaczego mężczyźni się ich boją, jak to często mężczyznom się zarzuca.

Na przyjęciach zadają mi naprowadzające pytania, to niemal przesłuchanie, chcą poznać moje stanowisko, moje dogmaty. Aż wstyd, jak niewiele ich mam. Jestem nieortodoksyjna, beznadziejnie heteroseksualna, jestem matką, kolaborantką i ukrytym mazgajem. Moje serce to w najlepszym razie wątpliwy organ, skażony i zdradliwy. Wciąż golę nogi.

Unikam tych kobiet, zwłaszcza w grupie. Żyję w strachu, że albo mnie wyświęcą, albo spalą na stosie. Mam wrażenie, że obgadują mnie za plecami. Przy nich się denerwuję jak nigdy, chcą bowiem, żebym przystawała do pewnego schematu, a ja nie przystaję. Chcą mnie poprawiać. Chwilami się buntuję: jakim prawem mówią mi, co mam myśleć? Nie jestem Kobietą przez duże K i niech mnie diabli, jeśli dam się tak urobić. Wy dziwki, myślę. Dość tego rozstawiania po kątach.

Równocześnie jednak zazdroszczę im przekonania, optymizmu, beztroski, nieustraszonego stosunku do mężczyzn, koleżeństwa. Ja tylko stoję na uboczu, tchórzliwie powiewam chusteczką i patrzę, jak żołnierze z chłopięcym entuzjazmem maszerują na wojnę, wyśpiewując bohaterskie pieśni.



Mam kilka przyjaciółek, niezbyt bliskich. Samotnych matek jak ja. Poznają je w przedszkolu. Podrzucamy sobie nawzajem dzieciaki na nocleg, trochę sobie wspólnie ponarzekaemy. Nie poruszamy bolesnych dla nas tematów. Przypominamy Babs i Marjorie z moich dawnych lekcji rysunku z natury, podobnie jak one gramy smutną komedię. To starszy model kobiet, ale przecież już jesteśmy starsze.

Przyjeżdża Jon – nieśmiały ruch w stronę pojednania, na którym, jak sądzę, zależy także i mnie. Nic z tego nie wychodzi i w końcu bierzemy rozwód, na odległość.

Odwiedzają mnie również rodzice. Chyba bardziej tęsknią za Sarą niż za mną. Nie spędzaliśmy razem Bożego Narodzenia, jakoś się zawsze wykręcałam. W górskiej scenerii rodzice wydają się nie na miejscu, odrobinę skurczeni. Są bardziej sobą w listach. Martwią się mną, moim „rozbitym domem” – pewno tak właśnie myślą – nie wiedzą, co powiedzieć.

– No cóż, kochanie – mówi matka – zawsze uważałam Jona za bardzo żywiołowego chłopca. – „Żywiołowy” to słowo o złym wydźwięku, oznacza kłopoty.

Zabieram rodziców do parku Stanleya, tam gdzie rosną ogromne drzewa. Pokazuję ocean pluskający wśród wodorostów. Pokazuję gigantycznego ślimaka.



Mój brat przysłał widokówki. Przysłał pluszowego dinozaura dla Sary. Przysłał pistolet na wodę. Przysłał książkę do nauki rachunków – historyjkę o mrówce i pszczole. Przysłał ruchomy plastikowy model Układu Słonecznego, a także gwiazdy, które się przyklepia na suficie i które świecą się w nocy.



Po jakimś czasie zdaję sobie sprawę, że w małym światku sztuki (małym, bo w gruncie rzeczy kto o nim wie? Nie trafia do telewizji) spirale, kwadraty i olbrzymie hamburgery wypadły z obiegu, modne się staje zupełnie coś innego, a ja nagle znajduję się na fali zmian. Panuje poruszenie jak to zwykle bywa. Sprzedaje się więcej moich obrazów i za wyższą cenę. Teraz reprezentują mnie dwie szacowne galerie, jedna na wschodzie, druga na zachodzie. Na krótko wyjeżdżam do Nowego Jorku, zostawiwszy Sarę u jednej z zaprzyjaźnionych samotnych matek, biorę udział w zbiorowej wystawie zorganizowanej

przez rząd Kanady, na którą to wystawę schodzi się mnóstwo ludzi z Komisji Handlu. Ubieram się na czarno. Spacerując ulicami, mam wrażenie, że jestem tu jedynym człowiekiem zdrowym psychicznie. Wszyscy wokół zdają się mówić do siebie. Wracam.



Miewam mężczyzn, rzadko i trochę w desperacji. To pospieszne romanse, niezadowolające, nie mam czasu na subtelności. Nawet takie krótkie przerywniki są wyczerpujące. Żaden z tych mężczyzn mnie nie rzuca. Nie daję mu okazji. Znam swoje własne zagrożenia, trzymam się z dala od krawędzi. Od rzeczy nazbyt jasnych, nazbyt ostrych. Od bezsenności. Kiedy zaczynam czuć się słabo, kładę się, niczego nie oczekując, i to coś nadchodzi, omywa mnie falą czarnej pustki. Wiem, że potrafię to przeczekać.



Mija jeszcze trochę czasu i spotykam Bena. Podrywa mnie najzwyczajniej w świecie w domu towarowym. A konkretnie pyta, czy mógłby ponieść mi siatki, bo wyglądają na ciężkie, takie zresztą są. Pozwalam, czując się głupio i staromodnie. Najpierw się rozglądam, czy przypadkiem nie widzi mnie któraś ze znajomych.

Przed laty Ben wydałby mi się zbyt oczywisty, nudny, właściwie prostacki. Później, przez następnych kilka lat, uważałabym go za męskiego szowinistę z gatunku tych bardziej sympatycznych. Bo taki właśnie jest. Ale jest jednocześnie jak jabłko po długim, rozpasanym obżarstwie.

Przychodzi z własną piłą i młotkiem, żeby naprawić mi werandę na tyłach domu, zupełnie jak w starych czasopismach dla kobiet, potem pije piwo na trawniku jak w reklamach. Opowiada dowcipy, których nie słyszałam od czasów szkoły średniej. Zdumiewające, jak wielką wdzięcznością napawają mnie te przyziemne radości. Ben nie jest mi niezbędny, nie jest dopływem świeżej krwi. Daje mi zwykłe zadowolenie. To prawdziwe szczęście, kiedy w tak prosty sposób można się zadowolić.

Zabiera mnie do Meksyku, jak w tanim romansie. Akurat kupił małe biuro podróży, głównie jako hobby, dorobił się już wcześniej, na handlu nieruchomościami. Lubi robić zdjęcia i siedzieć w słońcu, całe życie marzył, żeby połączyć to, co lubi, z zarabianiem pieniędzy.

W łóżku jest nieśmiały, łatwo daje się zaskoczyć, szybko zadowolę.

Łączymy nasze domy w trzecim, większym. Niebawem bierzemy ślub. Bez żadnych dramatów. Dla Bena to najzupełniej właściwe, dla mnie ekscentryczne: bunt przeciwko konwencji, lecz konwencji, o której on nigdy nie słyszał. Nawet się nie domyśla, jakie dziwactwo popełniam we własnym mniemaniu.

Jest o dziesięć lat starszy ode mnie, rozwiedziony, ma dorosłego syna. Sara staje się dla niego córką, której zawsze pragnął, wkrótce przychodzi na świat Anne. Anne, moja druga szansa. Nie tak melancholijna jak Sara, bardziej uparta. Sara już wie, że nie zawsze można mieć wszystko, czego się

chce.

Ben uważa, że jestem dobra, a ja nie burzę jego wiary. Nie musi o mnie wiedzieć tych przykrych rzeczy. Uważa mnie też za istotę nieco kruchą – wiadomo, artystka. Wymagam dbałości niczym roślina doniczkowa. Tu trochę podciąć, tam trochę podlać, opielić, wyprostować, a wydobędzie się wszystko co najlepsze. Zajmuje się stroną biznesową mojego malarstwa. Prowadzi rachunki, notuje, co się sprzedało i za ile. Wyjaśnia, co mogę sobie odpisać od podatku dochodowego. Wypełnia zeznanie. Ustawia przyprawy w porządku alfabetycznym na specjalnej półce w kuchni. Półkę robi sam.

Mogłabym bez tego żyć. Dawniej żyłam. Ale i tak mi się podoba.

Moje obrazy Ben ogląda ze zdumieniem i obawą. Tak małe dziecko patrzy na świecę. Zwraca uwagę na to, jak dobrze maluję ręce. Wie, że to trudne. Sam kiedyś chciał tworzyć, mówi, ale nie mógł, bo musiał zarabiać na życie. Podobne słowa nieraz słyszałam od ludzi na otwarciu wystawy, Benowi jednak wybaczam.

Wyjeżdża w rozsądnych odstępach czasu, w interesach, tak żebym mogła za nim zatęsknić.



Siedzę przed kominkiem, otacza mnie ramię Bena równie stabilne jak oparcie krzesła. Spaceruję wzdłuż falochronu w balsamicznej vancouverkiej mżawce, wśród półtonów plaży, w pieszczocie drobnych fal. Przede mną Pacyfik wypuszcza jeden zachód słońca po drugim, nie wiadomo po co, za plecami wyrastają niewiarygodne góry, a jeszcze dalej przeogromna połać ziemi.

Za nią leży Toronto, tam daleko, płonie w moich myślach niczym Gomora. Nie śmiem patrzeć w tamtą stronę.

XIII

PIKOSEKUNDY

67

Budzę się późno. Jem pomarańczę, grzanekę, jajko na miękko rozgniecione w filizance. Dziury w skorupce wcale się nie przebijają po to, żeby czarownice nie wypłynęły na morze, jak mówiła Cordelia. Tym sposobem po prostu likwiduje się próżnię między skorupką a kieliszkiem, tak że skorupkę łatwiej daje się wyjąć. Dlaczego zrozumiałam to dopiero po czterdziestu latach?

Wkładam drugi dres, w kolorze bordo, przez chwilę wykonuję chaotyczne ćwiczenia na podłodze Jona. To znowu jest jego podłoga, nie moja. Czuję, że zwróciłam ją Jonowi razem z wszelkimi fragmentami jego albo też naszego wspólnego życia, fragmentami, które przechowałam aż do teraz. Przypominają mi się średniowieczne obrazy, wzniesiona ręka, otwarta, by pokazać, że nie trzyma broni: „Odejdź w pokoju”. Odprawa i błogosławieństwo. Mój sposób niezupełnie się zgadzał ze sposobem świętych, lecz chyba okazał się równie skuteczny. Także ofiarodawcy zapewnił pokój.

Zbiegam na dół po poranną gazetę. Przerzucam strony, prawie ich nie czytając. Zabijam czas. Niemal zapomniałam, co tutaj robię, już się wyrwam z powrotem – z powrotem na zachodnie wybrzeże, z powrotem do strefy czasowej, w której teraz żyję. Na razie jednak nie mogę wrócić. Trwam w zawieszaniu, niczym na lotnisku lub w poczekalni u dentysty, oczekując kolejnego antraktu, bezładnego i równie mało kuszącego jak środek przeciwbólowy albo wnętrze samolotu.

Tak właśnie myślę o nadchodzącym wieczorze, otwarciu wystawy: trzeba jakoś przez to przebrnąć i uniknąć katastrofy.



Powinno zajrzeć do galerii, sprawdzić, czy wszystko w porządku. Powinno się zdobyć choćby na tę minimalną grzeczność. Lecz zamiast tego wskakuję do metra, wysiadam nieopodal głównej bramy cmentarza, wędruję na południe i na wschód, brodę w opadłych liściach, przeglądam rynsztoki, patrzę na chodnik w poszukiwaniu sreberek, drobnych monet, manny z nieba. Wciąż wierzę, że istnieją i że mogę je znaleźć.

Wystarczyłoby lekkie pchnięcie, nieuważny krok przez źle oznaczoną granicę, a mogłabym się stać jedną z bezdomnych. Odruch jest ten sam: grzebanie w śmieciach, szperanie w odpadkach. Szukanie czegoś, co inni wyrzucili jako bezużyteczne, co jednak da się odzyskać i wykorzystać. Kolekcja ze strzępów – ze strzępów przestrzeni w przypadku bezdomnego, u mnie – ze strzępów czasu.

To moja dawna trasa ze szkoły do domu. Chodziłam tym samym chodnikiem, parę kroków za innymi lub na przedzie. Pomiędzy tymi latarniami mój cień na śniegu wydłużał się, kurczył i znikał, lampy w aureolach światła przypominały księżyc za mgłą. To trawnik, na który Cordelia upadła tyłem, robiąc śnieżnego anioła. Tędy biegła.

Domy są wciąż te same, choć już bez białej farby na framugach, złuszczonej, zszarzałej po zimie, bez śladów powojennej biedy. Dotarły tu piaszczarki, pojawili się fachowcy od świetlików; wewnątrz draceny i tropikalny bluszcz wyparły rachityczne afrykańskie fiołki, które hodowało się na kuchennych parapetach. Widzę te domy tak, jak wyglądały kiedyś. Widzę kolory ścian – brudnoróżowy, zgniłzielony, w odcieniu grzyba – widzę nieistniejące perkalowe zasłony. Do jakich czasów właściwie należą, swoich czy moich?

Idę ulicą, nieco pod górę, z przeciwka nadciągają grupki dzieciaków wracających do domu na lunch. Dziewczynki noszą dżinsy, symbol swobody, lecz zachowują się mniej hałaśliwie niż kiedyś. Nie śpiewają, nie krzyczą. Wloką się mozolnie, z oślim uporem, a przynajmniej tak mi się zdaje. Może dlatego, że już nie jestem na ich poziomie. Wyrosłam, więc dźwięki docierają wybiórczo. A może właśnie ja tak na nie działam, obecność kogoś, kogo uważają za osobę dorosłą, obdarzoną władzą.

Tylko kilka obrzuca mnie wzrokiem, inne nie. Co tu oglądać? Kobiętę w średnim wieku, z rękoma w kieszeniach palta, z nogawkami dresu sfałdowanymi nad cholewką butów, kobietę nie bardziej dziwną od innych, o której łatwo się zapomina.

Gdzeniegdzie na gankach widać dynie – powycinane twarze, wesołe, smutne bądź groźne, czekają na dzisiejszą noc. Wigilia Wszystkich Świętych, kiedy to duchy zmarłych powrócą do żywych przebrane za baletnice, butelki coca-coli, kosmonautów i Myszki Miki, żywi zaś ofiarują im słodycze, żeby duchy nie stały się złośliwie. Wciąż czuję smak tego święta: rześkie powietrze, karmel w ustach, nadzieja u drzwi, wiara w coś za nic, niezachwiana u wszystkich dzieci. Jednakże dziś nie dostaną kukurydziano-czekoladowych kulek domowej roboty ani jabłek, mnożą się pogłoski o żyłtkach, o truciznie. Jabłkami martwiliśmy się już dawniej, kiedy moje dziewczynki były małe. Wokół krąży zbyt wiele wrogości.

W Meksyku obchodzą to święto jak należy, bez żadnych przebieranek. Jasne cukrowe czaszki, rodzinne pikniki na grobach, dla każdego gościa talerz, świeczka dla duszy. Wszyscy odchodzą zadowoleni, łącznie ze zmarłymi. My odrzuciliśmy ten swobodny przepływ między wymiarami. O umarłych wolimy wcale nie wspominać, nie chcemy ich wywoływać po imieniu, nie chcemy karmić. Dlatego też nasi zmarli są chudsi, blebsi, bardziej wygłodzeni i trudniej ich usłyszeć.

Mój brat, Stephen, umarł pięć lat temu. Właściwie nie umarł: został zabity. Staram się o tym nie myśleć jak o morderstwie, chociaż to było morderstwo, lecz jak o swego rodzaju wypadku, o wybuchu w pociągu, na przykład. Albo też jak o naturalnej katastrofie takiej jak lawina. Jak o czymś, co dla celów ubezpieczeniowych nazywa się działaniem siły wyższej.

Zginął przez zasadę „oko za oko” czy raczej przez czyjeś wyobrażenie o niej. Zabił go nadmiar sprawiedliwości.

Siedział w samolocie. Miał miejsce przy oknie. Tyle wiadomo.

W nylonowej siatkowej kieszeni przed nim tkwiło pokładowe pisemko z artykułem o wielbłądach, który przeczytał, i drugim o udoskonaleniu garderoby biznesmena, który opuścił. Były tam również słuchawki i torebka na wypadek choroby lokomocyjnej.

Pod fotelem z przodu, za nagimi stopami Stephena – zdjął buty i skarpetki – leży teczka z jego artykułem na temat przypuszczalnej budowy wszechświata. Wszechświat, jak kiedyś sądził, równie dobrze mogą tworzyć nieskończenie drobne struny w trzydziestu dwóch kolorach. Struny tak mikroskopijne, że „kolor” to jedynie przenośnia. Teraz zaczął w to wątpić. Są jeszcze inne teoretyczne możliwości, z których dwie naszkicował w swoim artykule. Wszechświat trudno uchwycić, zmienia się, kiedy na niego spojrzeć, jakby się bronił przed poznaniem.

Artykuł miał odczytać przedwczoraj we Frankfurcie. Wysłuchałby innych artykułów. Czegoś by się nauczył.

Pod fotelem razem z teczką leży wepchnięta marynarka, jedna z trzech, które Stephen teraz nosi. Podwinął rękawy koszuli, co niewiele pomaga – wysiadła klimatyzacja, w samolocie jest gorąco. Na dodatek źle pachnie – co najmniej jedna toaleta nie działa, poza tym ludzie częściej pierdzą w samolotach, o czym mój brat przekonał się już wcześniej, bo odbył wiele podróży lotniczych. Do tego dochodzi strach, który fatalnie wpływa na trawienie. Dwa fotele dalej łysy grubas chrapie z otwartymi ustami, wydzielając niewidzialny obłok cuchnącego oddechu.

Zasłony na oknach są zaciągnięte. Stephen wie, że gdyby odsłonił okno, zobaczyłby pas startowy migoczący w upale, a dalej brunatny krajobraz równie obcy jak księżyc, z oślepiającym morzem w tle. Również kilka podłużnych brązowych budynków o płaskich dachach, skąd nadejdzie ułaskawienie albo i nie. Widział to wszystko, zanim opuszczono zasłony. Nie wie, w jakim kraju znajdują się budynki.

Od rana nic nie miał w ustach. Z zewnątrz dostarczono kanapki – dziwny ziarnisty chleb, roztopione masło, beżowa pasta mięsna z posmakiem stęchlizny. Do tego kawałek bladego, zapotniałego

sera w plastikowej folii. Stephen zjadł ser i kanapkę, teraz jego ręce pachną niegdysiejszymi piknikami, przydrożnym obiadem z lat wojny.

Wodę ostatni raz dostali cztery godziny temu. Mój brat ma przy sobie rulonik miętowych dropsów. Zawsze je zabiera w podróż, na wypadek gdyby rzucało. Jednego dał kobiecie w średnim wieku, w ogromnych okularach, żakiecie i spodniach w kratę. Siedziała na sąsiednim fotelu. Nieco mu ulżyło, kiedy się wyniosła. Jej bezgłośnie, bezbarwne pochlipywanie, zduszone i monotonne, zaczynało mu działać na nerwy. Wszystkim kobietom i dzieciom pozwolono wyjść, ale on nie jest kobietą ani dzieckiem. Na pokładzie zostali sami mężczyźni.

Siedzą po dwóch, każdą parę rozdziela pusty fotel. Zebrano paszporty. Ci, którzy je zbierali, stoją tu i tam w przejściu, jest ich sześciu, trzech z małymi karabinami maszynowymi, trzech z dobrze widocznymi granatami. Na głowach mają poszewki od poduszek z wyposażenia samolotu, z dziurami wyciętymi na oczy i usta, które w półmroku połyskują białą, lśnią różowo. Poniżej poszewki, które są czerwone, mają zwyczajne ubrania: komplet safari, szare flanelowe spodnie z białą koszulą, dół tradycyjnego granatowego garnituru.

Weszli na pokład, podszywając się oczywiście pod zwykłych pasażerów. Bóg jeden wie, w jaki sposób przeszmyglowali broń przez kontrolę. Ktoś im musiał pomóc, ktoś na lotnisku, żeby gdzieś nad kanałem La Manche mogli nagle wyskoczyć na pokład, wyrzaskując rozkazy, machając karabinami. Chyba że broń była już w samolocie ukryta. Przecież w dzisiejszych czasach bramki na lotniskach wykrywają każdy kawałek metalu.

W kabinie pilota jest jeszcze dwóch, może trzech mężczyzn, pertraktują przez radio z wieżą kontroli lotów. Dotychczas nie poinformowali pasażerów, kim są ani czego żądają. Powiedzieli jedynie – łamaną angielszczyzną – że wszyscy w samolocie albo razem przeżyją, albo razem zginą. Resztę załatwiły monosylaby, wyciągnięty palec: „Ty, tutaj”. Z racji identycznych poszewek trudno się zorientować, ilu ich w sumie jest. Przywodzą na myśl postaci ze starych komiksów, istoty o podwójnej tożsamości. Zaskoczeni w połowie przeobrażenia, mają zwyczajne ciała, lecz głowy potężne, nieziemskie, zdeformowane, wyrażające bohaterstwo albo nikczemność.

Nie wiem, czy akurat tak myślał mój brat. Ja tak za niego myślę, teraz.

W przeciwieństwie do sąsiada z otwartymi ustami Stephen nie może spać. Układa więc teoretyczne scenariusze: co by zrobił na miejscu mężczyzn z poszewkami na głowach? Ich napięcie, ich ledwo wstrzymywane podniecenie i zablokowana adrenalina wypełniają samolot pomimo obecności sflaczałych ciał pasażerów, zmęczonych, zrezygnowanych.

Na ich miejscu, oczywiście, byłby gotów umrzeć. Bez tego założenia taka operacja nie miałaby sensu, byłaby nie do pomyślenia. Ale za co umrzeć? Prawdopodobnie za sprawy religijne, chociaż na pierwszy plan wysuwa się coś ważniejszego: pieniądze, uwolnienie innych ludzi, którzy gniją w więzieniu mniej więcej za to samo, co robią ci tutaj. Wysłanie czegoś w powietrze lub sama groźba. Zastrzelenie kogoś.

W pewnym sensie wszystko wygląda znajomo. Zupełnie jakby już raz to przeżył, kiedyś, dawno temu. Mimo wszelkich nieprzyjemności, mimo niewygód, nudy zmieszanej ze strachem Stephen ma pewne poczucie wspólnoty interesów. Liczy, że porywacze nie stracą głowy i załatwią swoją sprawę, czegokolwiek by dotyczyła. Liczy, że wśród pasażerów obejdzie się bez lamentów i moczenia spodni, że nikt nie wpadnie w szal i nie zacznie wrzeszczeć, co by pewnie doprowadziło do historycznej masakry. Pewnej ręki i chłodnego oka, tego im życzy.

Z przodu samolotu pojawił się nowy mężczyzna, rozmawia z dwoma innymi. Chyba się kłóca; gestykulują, słysząc podniesione głosy. Pozostali stojący w przejściu sztywnieją, kanciaste czerwone głowy śledzą pasażerów niczym dziwaczne radary. Mój brat wie, że trzeba unikać kontaktu wzrokowego, spuścić głowę. Patrzy na siatkowy schówek przed sobą, ukradkiem rozwija dropsa.

Nowy mężczyzna rusza przejściem, podłużna głowa z trzema otworami obraca się z boku na bok. Za nim idzie drugi. Z głośników zaczyna się sączyć muzyka, niesamowity efekt, muzyka cukierkowa, usypiająca. Mężczyzna przystaje. Olbrzymia głowa z namysłem odwraca się w lewo, podobna do łba krótkowzrocznego, głupawego potwora. Mężczyzna wyciąga rękę, daje znak dłonią: „Wstawaj”. Wskazuje mojego brata.



Odtąd przestaję wymyślać. Rozmawiałam ze świadkami, z ocalonymi, dlatego wiem, że Stephen się podnosi, przeciska obok sąsiada z fotela koło przejścia, mówi: – Przepraszam. – Ma na twarzy wyraz zdumienia i ciekawości. Ci ludzie są nieprzeniknieni, ale przecież nie bardziej niż znakomita większość innych. Może go z kimś pomylili. A może chcą, żeby im pomógł w negocjacjach, ponieważ teraz idą na przód samolotu, gdzie czeka jeszcze jedna głowa w poszewce.

Właśnie ten ktoś otwiera drzwi niby uprzejmy portier hotelowy, wpuszczając do środka jasne światło dnia. Po wcześniejszym półmroku jest przeraźliwie jaskrawe, Stephen stoi, mrugając, a tymczasem obraz się wyostrza, widać piasek i morze, wesołą pocztówkę z wakacji. Później mój brat spada, z prędkością większą niż prędkość światła.

W ten sposób wkracza w przeszłość.



Spędziłam piętnaście godzin w samolotach i na lotniskach, żeby się tam dostać. Potem zobaczyłam budynki, morze, pas startowy. Samolotu już nie było. Jedyne, co uzyskali na koniec, to wolną drogę.

Nie chciałam zidentyfikować ciała, w ogóle nie chciałam go oglądać. Jeżeli nie widzi się ciała, łatwiej wierzyć, że nikt nie umarł. Chciałam natomiast wiedzieć, czy zastrzelili Stephena, zanim go wypchnęli z samolotu, czy już po. Wołałabym to drugie, bo wtedy zyskałby krótką chwilę ucieczki, słońca, pozornego lotu.

Nie czuwałam tamtej nocy, podczas tamtej podróży. Nie miałam ochoty patrzeć na gwiazdy.

Ciało ma swoje własne sposoby obrony, własne blokady. Urzędnicy mówili, że zachowuję się wspaniale, co znaczyło, że nie byłam upierdliwą babą. Nie załamalam się, nie zrobiłam z siebie widowiska. Rozmawiałam z reporterami, podpisałam dokumenty, podjęłam decyzje. Wielu rzeczy wtedy po prostu nie widziałam, o wielu nie myślałam. Dotarły do mnie dopiero znacznie później.

Wtedy myślałam o tamtym kosmicznym bliźniaku, który poleciał w podróż międzyplanetarną i wróciwszy po tygodniu, zastał brata o dziesięć lat starszego.

Teraz ja będę się starzeć, myślałam. A on nie.

69

Rodzice nie potrafili zrozumieć śmierci Stephena, ponieważ zdarzyła się bez powodu. Czy raczej z powodu, który nie miał nic wspólnego z samym Stephenem. Nigdy też się z nią nie pogodzili. Przedtem byli dziarscy, rażni, energiczni, teraz przygaśli.

– Nieważne, ile mają lat – powiedziała matka. – To zawsze twoje dzieci. – Wiedziała, że ja też się o tym przekonam za jakiś czas.

Ojciec zmaliał i schudł, wyraźnie się skurczył. Całymi godzinami siedział beczynnie, nie robił absolutnie nic. Jak nie on. Tak mi mówiła przez telefon matka z drugiego końca kraju.

Syn nie powinien umierać przed ojcem. To nienaturalne, to niewłaściwy porządek rzeczy. Kto bowiem przejmie pałeczkę?



Rodzice umarli zwyczajnie, na to, na co umierają starzy ludzie, na co ja również umrę prędzej, niż mi się wydaje. Ojciec nagle, matka w rok później, uśmierciła ją powolniejsza, bardziej bolesna choroba.

– Dobrze, że twój ojciec odszedł w taki sposób – mówiła. – Okropnie by się męczył. – Nie wspominała ani słowem, jak sama się męczy.

Dziewczynki zjechały na tydzień, wcześniej, pod koniec lata, kiedy matka jeszcze była w swoim domu w Soo i wszystkie mogłyśmy udawać, że to po prostu kolejne odwiedziny. Ja zostałam dłużej. Wrywałam chwasty w ogrodzie, pomagałam przy zmywaniu, matka nigdy nie kupiła sobie zmywarki, prałam na dole w pralce automatycznej, ale rozwieszałam rzeczy na sznurze, bo zdaniem matki suszarka zużywa za dużo prądu. Natłuszczałam formy do bułeczek. Grałam rolę dziecka.



Matka jest zmęczona, lecz niespokojna. Nie chce się przespać po południu, upiera się, żeby iść do sklepu na rogu.

– Dam sobie radę – mówi.

Nie zgadza się, żebym jej gotowała.

– Niczego nie znajdziesz w tej kuchni. – Innymi słowy, boi się, że sama nie znajdzie, jeśli zacznę tu bałaganić. Przemycam do lodówki gotowe mrożone obiady, nakłaniam matkę do jedzenia, twierdząc, że inaczej się zmarnują. Marnotrawstwo wciąż ją przeraża. Zabieram ją do kina, wcześniej sprawdziłam, czy w filmie nie ma przemocy, seksu i śmierci, zapraszam do chińskiej restauracji. Dawniej na północy jedynie chińskim restauracjom można było ufać. W innych podawali kanapki z białego chleba polane sosem z proszku, ciepłąwą pieczoną fasolę, paszteciki z tektury i kleju.

Matka zażywa środki przeciwbólowe, coraz silniejsze. Częściej się kładzie.

– Jak to dobrze, że nie muszę iść do szpitala na operację – mówi. – Byłam w szpitalu tylko z wami, dziećmi. Przy Stephenie dali mi eter. Raz-dwa straciłam przytomność, a kiedy się ocknęłam, już był.

Wiele z tego, o czym mówi, dotyczy Stephena.

– Pamiętasz, jak zasmroził cały dom tym swoim zestawem chemicznym? Akurat kiedy miałam gości na brydżu! Musieliśmy pootwierać drzwi, i to w środku zimy! – Albo: – Pamiętasz te stosy komiksów pod jego łóżkiem? Nie mogłam ich trzymać, za dużo tego było. Jak odszedł z domu, wszystkie wyrzuciłam. A teraz podobno ludzie je zbierają, gdzieś czytałam. Byłyby warte majątek. Zawsze myśleliśmy, że to zwykłe śmiecie. – Innymi słowy, los spletał jej figła.

W tych wspominkach Stephen nigdy nie ma więcej niż dwanaście lat. Później stał się dla matki nieosiągalny. Uświadamiam sobie, że go darzyła nabożnym szacunkiem, wciąż darzy, że troszkę się go bała. Nie zamierzała urodzić kogoś takiego.



– Tamte dziewczynki znalazły ci za skórę – mówi pewnego dnia. Zaparzyłam dla nas herbatę – na tyle mi pozwoliła – siedzimy przy kuchennym stole. Matka nadal się dziwi, ilekroć mnie przyłapie na picciu herbaty, parę razy pytała, czybym nie wolała mleka.

– Jakie dziewczynki? – Palce mam całe poobdzierane. Drapię je po cichu, ukradkiem, pod stołem, jak zwykle w chwilach napięcia. Stary, brzydki nawyk, którego nie umiem zwalczyć.

– No, tamte. Cordelia i Grace, i ta trzecia. Carol Campbell. – Spogląda chytrze, jakby poddawała mnie próbie.

– Carol? – Przypominam sobie korpulentną dziewczynkę ze skakanką.

– Oczywiście, Cordelia była twoją najbliższą przyjaciółką w gimnazjum. Nigdy mi przez myśl nie przeszło, że ona za tym stoi. To Grace, nie Cordelia. Grace ją podjudzała, tak zawsze myślałam. Co u niej słychać?

– Nie mam pojęcia. – Nie chcę rozmawiać o Cordelii. Wciąż czuję się winna, bo tak ją opuściłam, nie pomogłam.

– Nie wiedziałam, co robić – ciągnie matka. – Tamtego dnia przyszły do mnie i powiedziały, że cię zatrzymali w szkole, bo byłaś niegrzeczna wobec nauczycielki. Carol tak mówiła. Nie wierzyłam, że to prawda. – Unika słowa „kłamstwo”, jeśli tylko może.

– Którego dnia? – pytam ostrożnie. Nie wiem, o jaki dzień chodzi. Matce zdarza się coś poplątać, to wina leków.

– Wtedy jak o mało nie zamarzłaś. Gdybym im uwierzyła, tobym nie poszła cię szukać. Szłam drogą koło cmentarza, ale cię nie było. – Patrzy zatroskana, niepewna, co odpowiem.

– Ach, tak. – Udaję, że sobie przypominam. Nie chcę jej mącić w głowie. Lecz sama zaczynam tracić rozeznanie. Moja pamięć przypomina wodę, drżącą, zmarszczoną podmuchem wiatru. Przez moment widzę Cordelię, Grace i Carol, idą ku mnie przez niesamowitą biel śniegu, twarze mają w cieniu.

– Strasznie się martwiłam – mówi matka. Oczekuje ode mnie przebaczenia, ale za co?



Zdarzają się dni, kiedy jest silniejsza, pozornie zdrowsza. Dziś prosi mnie o pomoc przy uporządkowaniu rzeczy w piwnicy.

– Potem nie będziesz musiała przerzucać takiej masy gratów – wyjaśnia delikatnie. Nie wymówi słowa „śmierć”. Chce mi oszczędzić przykrości.

Nie lubię piwnic. Ta jest niewykończona: szary cement, wyżej krokwie. Upewniam się, czy drzwi na górze zostawiłyśmy otwarte.

– Powinno się założyć poręcz przy tych schodach – mówię. Są wąskie, niebezpieczne.

– Dam sobie radę. – Głos z czasów, kiedy to wystarczało.

Przeglądamy stare czasopisma, tekturowe pudła różnej wielkości, półki z czystymi słoikami. Kiedy rodzice się przeprowadzali, matka wyrzucała o wiele mniej, niżby mogła, a może więcej zgromadziła. Wynoszę rzeczy na górę, składam w garażu. Uznaję, że już się ich pozbyłam.

Całą jedną półkę wypełniają buty ojca ustawione parami: miejskie pantofle o dziurkowanych noskach, śniegowce, kalosze, długie buty rybackie, ciężkie bucioro do chodzenia po lesie pokryte patyną tłuszczu z boczku, z rzemiennymi sznurowadłami. Niektóre pewnie mają pięćdziesiąt lat albo i więcej. Matka ich nie wyrzuci, wiem o tym, nie wspomina też o nich ani słowem. Wyczuwam, czego ode mnie oczekuje: trzeba umieć nad sobą panować. Oplakałam ojca na pogrzebie. Wypadałoby jej oszczędzić dziecięcych łez, przynajmniej teraz.

Przypomina mi się Gmach Zoologii, dokąd chodziliśmy w soboty, trzeszczące, przegrzane

korytarze, oczy w butelkach, kojące wonie formaliny i myszy. Przypomina mi się, jak siedzieliśmy przy obiedzie, z Cordelią, nad głowami przepływały nam ponure wizje ojca, skażona woda, zatrute drzewa, kolejne gatunki znikające z powierzchni ziemi niczym rozdeptane mrówki. Wówczas nie traktowaliśmy jego słów poważnie. Uważaliśmy, że to nudy, zwykłe gadanie dorosłych, które nas nie dotyczy. Dziś się sprawdziły, tyle że w znacznie gorszej formie. Żyję w koszmarach ojca, niewidocznych, lecz przez to wcale nie mniej rzeczywistych. Wciąż daje się oddychać, ale jak długo jeszcze?

Na tle jego posępnych prognoz kontrastuje wesołość matki, teraz, we wspomnieniach, tak bardzo wymuszona.



Zaczynamy od wielkiego kufra. Pamiętam go z naszego domu w Toronto. Jeszcze dziś wydaje mi się tajemniczy, pełen skarbów. Również dla matki to jak przygoda, od lat tutaj nie zaglądała, mówi, że nie ma pojęcia, co znajdziemy w środku. Chociaż umiera, nie czuje się przez to mniej żywa.

Otwieram kufer, z wnętrza unosi się woń kulek na mole. Wyciągam dziecięce ubrania zapakowane w bibułkę, ozdobne srebra, żółto-czarne.

– Te weź dla dziewczynek – mówi matka. – A to dla siebie.

Suknia ślubna, ślubne fotografie, zdjęcia krewnych w kolorze sepii. Paczuszka piór. Kilka talii kart z chwościkami, dwie pary białych giemzowych rękawiczek.

– Twój ojciec był wyśmienitym tancerzem. Zanim się pobraliśmy.

Nie wiedziałam.

Przeglądamy kolejne warstwy, odkrywamy nowe rzeczy. Moje zdjęcia ze szkoły średniej – umalowane usta bez uśmiechu – czyjeś włosy w kopercie, pojedyncza dziecięca skarpetka wydziergana na drutach. Stare rękawiczki, stare krawaty. Fartuch. Część rzeczy się zachowa, część wyrzuci albo rozda. Część zabiorę ze sobą. Mamy już kilka stosów.

Matka jest podniecona, po części i mnie udziela się jej podniecenie. Zupełnie jakbym szperała w worku z prezentami gwiazdkowymi. Ale bez tamtej niezmaconej radości.

Paczki kart z pudełek po papierosach, kart z samolotami związanych sparciałą gumką: kolekcja Stephena. Jego albumy z wycinkami, jego rysunki eksplozji, jego stare świadectwa. Te rzeczy matka odkłada na bok.

Moje własne rysunki i albumy. Na rysunkach – teraz je sobie przypominam – dziewczynki w różowych sukienkach z bufiastymi rękawami, z kokardami we włosach. W albumach jakieś nieznane obrazki wycięte z czasopism: kobiece ciała w strojach z lat czterdziestych, z przyklejonymi głowami innych kobiet. „Ptak-Patrzak patrzy NA CIEBIE”.

– Uwielbiałaś te pisma – mówi matka. – Oglądałaś je godzinami, jak byłaś chora.

Pod spodem mój stary album fotograficzny, czarne kartki związane czymś podobnym do sznurowadła. Teraz pamiętam, jak chowałam album do kufra, zanim poszłam do gimnazjum.

– Daliśmy ci go na Gwiazdkę, do kompletu z aparatem. – W środku, na zdjęciach, mój brat zamierza się śnieżką, Grace Smeath siedzi w koronie z kwiatów. Kilka olbrzymich głazów, pod nimi imiona wypisane białym ołówkiem. Ja sama w kurtce z kusymi rękawami na tle drzwi domku motelowego. Numer 9.

– Ciekawe, co się stało z aparatem? – mówi matka. – Pewnie komuś oddałam. Szybko ci się znudził.

Rozdziela nas mur. Jest między nami od dawna. Nienawidzę go. Chciałabym objąć matkę. Lecz coś mnie powstrzymuje.

– A to co? – pyta.

– Moja stara torebka. Chodziłam z nią do kościoła. – Tak było. Widzę tamten kościół, cebulę na wieży, ławki, witraże. KRÓLESTWO • BOŻE • W • WAS • JEST.

– Coś podobnego. Po co ja to trzymałam? – Śmieje się cicho. – Połóż z rzeczami do wyrzucenia.

Torebka jest spłaszczona, czerwony plastik popękał na brzegach, przy szwach. Podnoszę ją, ugniatam, żeby odzyskała kształt. Wewnątrz coś grzechocze. Otwieram torebkę, wydaję niebieskie kocie oko.

– Kulka! – woła matka z dziecinnym zachwytem. – Pamiętasz tamte kulki Stephena? Nazbierał całe góry.

– Tak. – Ta jednak była moja.

Zaglądam w szkło i widzę całe swoje życie.

70

Na tej ulicy był nasz sklepik. Tutaj kupowałyśmy laski czerwonej lukrecji, gumę do żucia, pomarańczowe lizaki, twarde czarne kulki topniejące do ziarenka. Kosztowały parę centów, tych z głową króla. *Georgius VI Dei Gratia*.

Nie mogę się przyzwyczaić do myśli, że królowa jest już dorosła. Ilekroć widzę na monetach jej uciętą głowę, kojarzy mi się z czternastoletnią dziewczynką w skautowskim mundurku, o idealnie prostych plecach, takich jakie miały nam służyć za wzór. Spogląda na mnie z pośliskłych wycinków, które panna Lumley wywieszała na tablicy w czwartej klasie. Stoi przed nieforemnym rombem mikrofonu radiowego, marszcząc brwi z powagą i dobrze skrywanym lękiem, zagrzewając wojsko do boju, gdy tymczasem bomby lecą na Londyn, gdy my śpiewamy *There'll Always Be An England* do taktu morderczej drewnianej wskazówki panny Lumley, przeskok w czasie osiem lat do przodu.

Od tamtej pory królowa doczekała się wnuków, zużyła tysiące kapeluszy, dochowała się biustu i (cóż za herezja!) zaczątków podwójnego podbródka. Nie dam się jednak zwieść. Wciąż gdzieś jest tamta druga.



Mijam kolejne ulice, skręcam za róg. Zaraz ujrzę znajomy odrapany budynek szkoły, prostokąt zwietrzałej czerwonej cegły koloru suszonej wątroby. Zużłowe boisko, wysokie, wąskie okna z papierowymi pomarańczowymi dyniami i czarnymi kotami z okazji Halloween, rzeźbione litery nad dwojgiem drzwi, CHŁOPCY i DZIEWCZĘTA, podobne do napisów na mauzoleach z końca dziewiętnastego wieku.

Lecz szkoła zniknęła. Na jej miejscu nagle, niczym fatamorgana, wyrosła inna, nowa: jasna, pudełkowata, lśniąca, nowoczesna.

Czuję, jak ściska mnie w dołku. Stara szkoła została wytarta, wymazana z przestrzeni. Równie dobrze mogło nigdy jej tu nie być. Opieram się o słup telefoniczny, oszołomiona, jak gdyby mi wycięto kawałek mózgu. Naraz ogarnia mnie potworne zmęczenie. Najchętniej bym zasnęła.

Po chwili zbliżam się do budynku, wchodzę przez bramę, pomału go okrążam. Zniesiono podział na DZIEWCZĘTA i CHŁOPCÓW, to jasne. Tylko ogrodzenie z siatki stoi, jak stało. Na boisku mnóstwo huštawek, drabinek i zjeżdżalni w jaskrawych podstawowych kolorach. Kilkoro dzieci wcześniej wróciło po lunchu, kręci się tu i tam.

Wszystko jest takie wyraziste, takie otwarte. Z całą pewnością za tymi jasnymi szklanymi drzwiami już nie ma długich drewnianych wskazówek, czarnych gum, rzędów ławek z twardego drewna; nie ma króla i królowej w sztywnych szatach ani otworów na kałamarz; nie ma żartów z bielizny; nie ma zgorzkniałych wąsatych kobiet. Nie ma okrutnych tajemnic. Wszystko to zniknęło.

Wychodzę z za węgła na tyłach i oto wyrasta przede mną pobrużdżony pagórek z paroma rachitycznymi drzewkami. Chociaż tyle zostało po starym.

Na pagórku nie widać nikogo.

Wspinam się po drewnianych schodach, staję, tam gdzie kiedyś stałam. Tam gdzie stoję wciąż, ani na chwilę nie ruszywszy się z miejsca. Głosy dzieci dobiegające z dołu, z boiska, brzmią jak każde inne dziecięce głosy, w każdym innych czasach, powietrze pod drzewami gęstnieje, nabrzmiwa niechęcią. Otacza mnie wrogość. Aż trudno oddychać. Czuję się tak, jakbym coś popychała, coś, co napiera na mnie jak przy otwieraniu drzwi, w które bije śnieżyca.

Wydostań mnie stąd, Cordelio. Uwięzłam.

Nie chcę mieć wiecznie dziewięciu lat.

Powietrze jest łagodne, jesienne, świeci słońce. Stoję, ani drgnę. A zarazem maszeruję z pochyloną głową prosto w nieruchomy wiatr.

XIV

JEDNOLITA TEORIA POLA

71

Wkładam nową sukienkę, odcięłam metkę z ceną nożycami do drutu. W końcu zdecydowałam się na czerń. Idę do łazienki, mrużąc oczy, przeglądam się w upačkanym lustrze. Teraz gdy już mam tę sukienkę na sobie, niewiele się różni od innych czarnych sukienek, które nosiłam w życiu. Otrzepuję ją z paprochów, maluję usta różową szminką. O ile mnie wzrok nie myli, wyglądam ładnie. Ładnie i niepozornie.

Mogłabym jakoś bardziej się ożywić. Przydałyby się wiszące kolczyki, bransoletki, srebrna muszka na srebrnym łańcuszku, długachny dusicielski szal à la Isadora Duncan, broszka ze szkiełek w stylu lat trzydziestych, celowo w złym guście. Niczego takiego jednak nie mam, a jest za późno, żeby kupić. Muszę się obyć bez dodatków. „Przyjdź, jak stoisz”, mówiło się kiedyś, zapraszając gości. Pójdę więc, jak stoję.



W galerii zjawiam się o godzinę za wcześnie. Nie ma Charny ani reszty ekipy. Może wyskoczyły coś zjeść albo raczej się przebrać. Wszystko inne jest już gotowe – wypożyczone kieliszki na grubej nóżce, butelki sikacza, woda mineralna dla abstynentów, bo kto by podawał czysty chlor z kranu? Sery obeschnięte na brzegach, winogrona przesycone siarką, soczyste i błyszczące jak wosk, pędzone krwią umierających parobków z Kalifornii. Nie oplaca się aż tyle wiedzieć. Ostatecznie wszystko, co się wkłada do ust, smakuje śmiercią.

Barmanka, dziewczyna o srogim spojrzeniu i włosach usztywnionych żelem, odziana w prostą czerń, poleruje szkło za długim stołem, który służy jako bar. Wyłudzam od niej kieliszek wina. Pracuje tutaj dla pieniędzy, co łatwo wywnioskować z jej nonszalancji. Prawdziwe ambicje ulokowała gdzie indziej. Nalewając wino, zaciska usta, nie przypadłam jej do gustu. Może chce zostać malarką, może uważa, że zdradziłam własne zasady, by odnieść sukces. Jakże się sama niegdyś lubowałam w takich złośliwych małych snobizmach, jakie kiedyś były łatwe.

Z wolna obchodzę galerię, sącząc wino, pozwalając sobie obejrzeć wystawę, właściwie pierwszy raz. Co jest, a czego nie ma. Jest katalog, dzieło Charny oraz komputera i drukarki laserowej, nad wyraz profesjonalne. Przypomina mi się katalog z pierwszej wystawy. Odbity na powielaczu, rozmazany i nieczytelny, autentyczny w swej prostocie. Pamiętam turkot obracającego się wałka, zapach farby drukarskiej, ból w ramieniu.

Mimo wszystko zwyciężyła chronologia: wczesne prace na ścianie wschodniej, okres środkowy – jak to nazywa Charna – na ścianie przed wejściem, na zachodniej pięć najnowszych płócien, których dotąd nie wystawiałam. Tylko tyle zdołałam namalować przez ten rok. Ostatnimi czasy pracuje mi się wolniej.

Oto martwe natury. „Wczesne wypadki Risley w świat kobiecego symbolizmu oraz charyzmatycznej natury przedmiotów gospodarstwa domowego”, pisze Charna. Innymi słowy: toster, maszynka do kawy, wyzmaczka mojej matki. Trzy kanapy. Srebrny papier.

Dalej Jon i Josef. Patrę na nich z pewną czułością, na ich mięśnie i mgliste wyobrażenia o kobietach. Są przeraźliwie młodzi. Jak mogłam się oddać w tak niedoświadczone ręce?

Obok pani Smeath, w wielu wersjach. Pani Smeath siedząca, stojąca, leżąca ze świętym fikusiem w tle, latająca z panem Smeathem uczepionym pleców, kopulująca niczym owad. Pani Smeath w granatowych reformach panny Lumley, która poniekąd łączy się z nią w straszliwej symbiozie. Pani Smeath odwijana z białej bibułki, warstwa po warstwie. Pani Smeath większa niż w rzeczywistości, większa, niż kiedykolwiek była. Przesłaniająca Boga.

Włożyłam sporo pracy w to wyobrażone ciało, białe jak korzeń łośniany, gąbczaste jak słonina. Owłosione jak wnętrze ucha. Mozoliłam się nad nim, co teraz mnie uderza, z niemałą dawką złośliwości. Lecz moje obrazy to nie tylko drwina, nie tylko profanacja. Przenika je także światło. Każda błada noga, każde oko w metalowej oprawce pokazane jak żywe, jasno jak na dłoni. Powiedziałam: „Spójrz”. Powiedziałam: „Widzę”.

Teraz patrę na oczy. W drucianych oprawkach wydawały mi się obłudne, zachłanne, kołtuńskie i takie są. Równocześnie jednak to oczy przegrane, niepewne, melancholijne, chmurne od niemilej sercu powinności. Oczy osoby, dla której Bóg był sadystycznym starcem. Oczy małomiasteczkowej banalnej moralności. Panią Smeath przesadzono do wielkiego miasta z mniejszego. Była dipisem, podobnie jak ja.

Widzę siebie oczami namalowanej pani Smeath: rozczochrany obdartus, Bóg wie skąd, właściwie Cyganiatko, z ojcem poganinem i nieodpowiedzialną matką, która włóczy się w spodniach i zbiera zielsko. Dziecko nieochrzczone, siedlisko demonów. Skąd mogła wiedzieć, jakie się we mnie lęgną zarazki bluźnierstwa i niewiary? A mimo wszystko wzięła mnie pod skrzydła.

Po części to na pewno prawda. Nie zdobyłam się na sprawiedliwość czy raczej na miłosierdzie. W zamian wybrałam zemstę.

„Oko za oko” jedynie pomnaża ślepotę.

Podchodzę do zachodniej ściany, gdzie wiszą nowe obrazy. Są większego formatu, niż zwykle

stosuję, przyjemnie tu się komponują.

Pierwszy nosi tytuł *Pikosekundy*. „*Jeu d'esprit* – pisze Charna – z odniesieniem do Grupy Siedmiu, przekształca ich wizję pejzażu w świetle współczesnego eksperymentu i postmodernistycznego pastiszu”.

To faktycznie pejzaż, olejny, z fioletową podmalówką, z błękitną wodą, urwistymi skałami, gęstwiną drzew chłostanych wiatrem, z ciężkim impastem w stylu lat dwudziestych i trzydziestych. Zapełnia większą część płótna. W prawym dolnym rogu, na uboczu, podobnie jak znikające nogi Ikara na obrazie Bruegla, moi rodzice przygotowują lunch. Pali się ognisko, nad nim wisi menażka. Matka w kraciastej kurtce, pochylona, miesza w menażce, ojciec dorzuca do ognia szczapę drewna. W tle stoi nasz studebaker.

Rodziców namalowałam w innym stylu: gładko, z subtelną modulacją, realistycznie niczym na fotografii. Zupełnie jakby padało na nich inne światło; jakby w samym krajobrazie otwarło się okno, żeby ukazać, co znajduje się z tyłu bądź wewnątrz.

Pod spodem, niby podziemna platforma, która ich podtrzymuje, widnieje rząd konwencjonalnych symboli płaskich jak egipskie freski nagrobne, każdy symbol w białym kole: czerwona róża, pomarańczowy liść klonu, muszla. To znaki firmowe z pomp na stacjach benzynowych w latach czterdziestych. Swoją oczywistą sztucznością kwestionują realność zarówno pejzażu, jak i postaci.



Drugi obraz to *Trzy muzy*. Charnie sprawił niejaki kłopot. „Risley kontynuuje swoją niepokojącą przebudowę postrzegania płci w stosunku do postrzegania władzy, zwłaszcza pod względem obrazowania duchowości”. Jeśli wstrzymam oddech i zmrużę oczy, zaczynam rozumieć, skąd to wytrzasnęła: muzy z reguły są płci żeńskiej, a tutaj mamy wyjątek od tej reguły. Może obraz powinien się nazywać „Tancerze”, oszczędziłabym Charnie niedoli. Ale to nie są tancerze.

Po prawej stoi niska kobieta w podomce w kwiaty i rannych pantoflach oblamowanych prawdziwym futerkiem. Na głowie ma czerwony toczek przybrany wiśniami. Ma czarne włosy, olbrzymie złote kolczyki, trzyma okrągły przedmiot wielkości piłki plażowej – to pomarańcza.

Po lewej starsza kobieta o siwoniebieskich włosach ubrana w lawendową jedwabną suknię nad kostkę. W rękawie koronkowa chusteczka, nos i usta osłania maska z gazy. Wyżej widać błękitne oczy ze zmarszczkami w kącikach, ostre jak pinezki. Kobieta trzyma kulę ziemską.

W środku chudy mężczyzna o śniadej skórze i białych zębach, z niepewnym uśmiechem na twarzy. Ma na sobie bogaty złoto-czerwony strój podobny do szat Baltazara z *Pokłonu Trzech Króli* Jana Gossaerta, tyle że bez korony i szarfy. On także trzyma coś okrągłego, to coś jest płaskie jak tarcza, zrobione z fioletowego szkła. Na powierzchni, rozmieszczone na pozór bezładnie, widnieją jaskraworóżowe mazaje w duchu malarstwa abstrakcyjnego. Faktycznie to jaja strzygoni choinówki w przekroju, choć pewno nie potrafiły ich rozpoznać nikt oprócz biologa.

Ustawienie postaci przywodzi na myśl klasyczne Gracje albo też kolorowe dzieci zgromadzone wokół Jezusa na pierwszej stronie gazetki ze szkółki niedzielnej. Tyle że tamte zwracały się do środka,

a moje muzy są zwrócone na zewnątrz. Wyciągają swoje dary, ofiarowują komuś, kto siedzi bądź stoi poza obrazem.

Pani Finestein, panna Stuart ze szkoły, pan Banerdzi. Nie tacy jacy się sobie wydawali. Bóg jeden wie, co naprawdę widzieli w życiu, o czym myśleli. Kto zgadnie, jakie popioły z obozów zagłady co dzień przelatywały przez głowę pani Finestein w tamtych pierwszych latach po wojnie? Pana Banerdzi, kiedy chodził tu ulicami, pewnie ani na chwilę nie opuszczał lęk przed nagłym szturchańcem, przed komentarzem, który ktoś szepnie lub wykrzyczy. Panna Stuart żyła na wygnaniu, opuściwszy splądrowaną Szkocję marniejącą z dnia na dzień o trzy tysiące mil stąd. Dla nich byłam kimś przypadkowym, ich dobroć dla mnie czymś zwyczajnym, drobnostką. Z pewnością nie przypuszczali, ile to dla mnie znaczy. Czemu jednak nie miałabym ich nagrodzić, skoro tak chcę? Zabawić się w Boga, ofiarować całej trójce wiekiustą chwałę w malowanym życiu po życiu. Nigdy zresztą się o tym nie dowiedzą. Do tej pory na pewno umarli albo są bardzo starzy. Są gdzie indziej.

Trzeci obraz nazywa się *Jedno skrzydło*. Namalowałam go dla brata po jego śmierci.

To tryptyk. Ma dwa mniejsze boczne panele. Pierwszy przedstawia samolot z lat drugiej wojny światowej, taki jak na kartach z pudełek po papierosach. Drugi wielką bladzieloną ćmę księżycówkę.

Na większym, środkowym panelu mężczyzna spada z nieba. Spada, nie sfruwa, na co jasno wskazuje jego pozycja: jest niemal do góry nogami, skośnie do paru chmur. Mimo to wygląda spokojnie. Jest ubrany w mundur kanadyjskiego lotnika z czasów drugiej wojny. Nie ma spadochronu. Trzyma dziecinny drewniany miecz.

Takimi sposobami próbujemy uśmierzyć ból.

Charna sądzi, że to wypowiedź na temat mężczyzn i niedojrzałej natury wojny.

Czwarty obraz nosi tytuł *Kocie oko*. To swego rodzaju autoportret. Na pierwszym planie z prawej strony moja głowa, choć tylko od połowy nosa w górę, oczy wpatrzone przed siebie, czoło, włosy. Zaczątki zmarszczek, drobne kurcze łapki. Parę siwych włosów. Tutaj oszukuję, bo naprawdę je wrywam.

Za tą połówką głowy, pośrodku obrazu, na pustym niebie wisi wypukłe lustro w ozdobnej ramie. Odbija fragment mojej potylicy; włosy jednak są inne, młodsze.

Z oddali, ścieśnione krzywizną lustra, nadchodzą trzy małe figurki w zimowych ubraniach dziewczynek sprzed czterdziestu lat. Idą po śniegu, twarze okrywa cień.

Ostatni obraz to *Jednolita teoria pola*. Pionowy prostokąt, większy niż reszta obrazów. Nieco wyżej niż w jednej trzeciej, licząc od dołu, przecina go drewniany mostek. Po obu stronach wyrastają wierzchołki drzew, bezlistne, w czapach śniegu jak po dużej śnieżycy. Śnieg leży także na poręczach i podporach mostu.

Nad górną poręczą, nie dotykając jej stopami, stoi kobieta w czerni, włosy osłania czarny kaptur czy też welon. Tu i tam na czarnej sukni albo płaszczu lśnią punkciki światła. W tle niebo po zachodzie słońca, na samej górze dolna połówka księżyca. Twarz kobiety częściowo w cieniu.

To Madonna Rzeczy Utraconych. W dłoniach, na wysokości serca, trzyma szklany przedmiot: ogromne kocie oko z niebieskim środkiem.

Pod mostem nocne niebo, takie jakie widać przez teleskop. Niezliczone gwiazdy, czerwone, błękitne, żółte, białe, wirujące mgławice, dziesiątki galaktyk: wszechświat rozjarzony i mroczny. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Lecz są tutaj również kamienie, żuki i korzonki, ponieważ to wnętrze ziemi.

Przy dolnym brzegu obrazu mrok blednie, nabiera jaśniejszych tonów, czystego błękitu wody, bo płynie tędy strumień, pod ziemią, pod mostem, wypływa z cmentarza. Z krainy umrzyków.

Wracam do baru, proszę o następny kieliszek wina. Smakuje wcale nieźle – kiedyś na takie okazje kupowało się okropną siarę.

Spaceruję po galerii otoczona czasem, który stworzyłam. Nie jest miejscem, jest zaledwie rozmazaną plamą, ruchomą krawędzią, na której żyjemy. Jest płynny, cofa się jak fala. Mogło mi się zdawać, że coś chronię przed czasem, coś ocalam. Podobnie wszyscy malarze sprzed wieków sądzili, że sprowadzają niebo na ziemię, ukazują objawienia Boże, wieczne gwiazdy, a na koniec te ich płyty drewna i tynku ktoś kradł, gubił, palił, rąbał na kawałki, niszczyła je zgnilizna i pleśń.

Wystarczyłby przeciekający sufit albo zapalka i trochę nafty. Dlaczego ta myśl mnie nie przeraża, lecz raczej kusi?

Dlatego że już nie panuję nad swoimi obrazami, nie mogę im nakazać, co mają znaczyć. Cała ich energia wypłynęła ze mnie. Jestem tym, co pozostało.

Podbiega Charna w fiołkowych skórach, podzwaniając imitacją złota. Zaciąga mnie do biura na tyłach. Nie chce, żebym się objęła beczynnym po pustej galerii, kiedy zacznie napływać strumyczek gości, nie chce, żebym wyglądała na osobę przegraną i zanadto gorliwą. Wkroczyliśmy razem, gdy hałas osiągnie odpowiednie natężenie.

– Tu możesz się odprężyć – mówi. Mało prawdopodobne. Popijam wino, krążąc w pustych ścianach. Czuję się jak na przyjęciu urodzinowym: serpentyny i baloniki gotowe, parówki czekają w kuchni, ale co jeśli nikt nie przyjdzie? Co będzie gorsze – jeśli nie przyjdą czy jeśli przyjdą? Wkrótce otworzą się drzwi, wpadnie horda fałszywych, podstępnych dziewczynek, zaczną szeptać i pokazywać palcami, a ja będę się płaszycić, pełna wdzięczności.

Pocą mi się ręce. Trzeci kieliszek pewnie by mnie uspokoił, myślę. Zły znak. Wyjdę tam, poflirtuję, ot tak, sztuka dla sztuki, przekonam się, czy kogoś jeszcze potrafię skusić. Tyle że mogę nie znaleźć nikogo odpowiedniego. W takim razie się upiję. Może zwymiotuję w toalecie, niekoniecznie z nadmiaru alkoholu.

Gdzie indziej tak nie reaguję, aż tak się nie sypię. Nie trzeba było wracać do tego miasta, które ma ze mną na pieńku. Sądziłam, że zdołam je pokonać samą siłą spojrzenia. Lecz wciąż jest silniejsze, przypomina lustro ukazujące tylko zeszpeconą połowę twarzy.

Mogłabym uciec tylnym wyjściem. Później bym przysłała telegram, że zachorowałam, co dałoby początek nadzwyczaj korzystnym plotkom. Przewlekła, niewidoczna choroba raz na zawsze wybawiłaby mnie od podobnych imprez.

Oto jednak znów się pojawia Charna, w samą porę, zarumieniona z podniecenia.

– Są już tłumy ludzi – oznajmia. – Nie mogą się doczekać, żeby cię poznać. Wszyscy jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

Coś takiego słyszy się w rodzinie, od matki albo ciotki. Zmyliła moją czujność. Co to za rodzina, czyja rodzina? Wpadłam w pułapkę: krnąbrne dziecko przed recitale fortepianowym albo raczej stary wiarus cały w bliznach od kul, weteran dawnych, prawie zapomnianych bitew, którego za chwilę ktoś obdaruje złotym zegarkiem, uściskiem dłoni i podziękowaniami z głębi serca. Otacza mnie wyblakła aureola granatowego atramentu.

Nagle Charna wyciąga rękę, przytula mnie, pospieszny, mechaniczny gest. Może to autentyczna serdeczność, może powinnam się wstydzić swoich surowych, cynicznych myśli. Może naprawdę mnie lubi, dobrze mi życzy. Niemal w to wierzę.



Stoję w głównej sali, spowita w czerń od szyi po pięty, z trzecim kieliszkiem czerwonego wina. Charna zniknęła, poluje w ścisłości na ludzi, którzy nie mogą się doczekać, żeby mnie poznać. Jestem do jej dyspozycji. Wyciągam szyję, świdruję wzrokiem tłum, który przesłania obrazy: widać tylko czubki głów, tu jakieś niebo, tam jakieś tło i chmury. Wciąż się spodziewam, a może obawiam, że pojawią się znajomi, dawni znajomi, a ja ledwo ich rozpoznam. Podejdą z wyciągniętymi rękoma koleżanki ze szkoły średniej, opasłe albo wysuszone, całe w zmarszczkach, z gniewnym grymasem utrwalonym na

twarży, podejda gładkoscórzy chłopcy sprzed trzydziestu lat, teraz łysi, wąsaci lub skurczeni. „Elaine! A niech to! Jak miło cię zobaczyć!”. Będą mieli nade mną przewagę – moją twarz na plakatach. Uśmiechnę się na powitanie, gorączkowo grzebiąc w przeszłości, próbując wyłowić imiona.

Tak naprawdę to oczekuję Cordelii, Cordelię chciałabym zobaczyć. Muszę ją o coś spytać. Nie o to, co się wydarzyło w tamtym zaginionym czasie, bo teraz już wiem. Muszę zapytać dlaczego.

Jeżeli pamięta. Może zapomniała całe zło, to, co mówiła i co zrobiła. A może pamięta, lecz jak coś nieistotnego, jak zabawę, jeden wybryk, jedną błahą tajemnicę z gatunku tych, które zdradzają sobie dziewczynki, a potem zapominają.

Będzie miała swoją własną wersję. Nie jestem sednem jej historii, ponieważ jest nim ona sama. Niemniej mogę jej ofiarować coś osiągalnego tylko za sprawą drugiego człowieka: spojrzenie z zewnątrz. Odbicie. Tę częśćkę Cordelii mogę jej zwrócić.

Przypominamy siostry bliźniaczki ze starych bajek. Każda z nas dostała połowę klucza.



Cordelia ruszy ku mnie przez rozstępujący się tłum, kobieta w nieokreślonym wieku, w irlandzkich tweedach barwy zgaszonej zieleni, w kolczykach z macicy perłowej obramowanej złotem, w pięknych butach. Wypielęgowana – wychuchana, jak kiedyś się mówiło. Dbą o siebie, podobnie jak ja. Włosy będzie miała lekko przyprószone siwizną, uśmiech kpiący. Nie poznam jej.



W galerii jest wiele kobiet, są malarki, są bogate panie. Głównie te ostatnie Charna do mnie przyprowadza. Ściskam dłonie, śledzę ruch warg. Gdzie indziej lepiej znoszę takie wystawanie na widoku, nadrabiam bezczelnością. Tutaj jednak czuję się kompletnie naga.

Pomiędzy bogaczkami przeciska się młoda dziewczyna. Malarka, widać od razu, niemniej i tak się przedstawia. Ubrana w minispódniczkę, obcisłe legginsy i toporne czarne trzewiki na płaskim obcasie, włosy ma podgolone na karku, tak jak kiedyś czesał się mój brat: fryzura porządnego chłopca z końca lat czterdziestych. Jest „post” absolutnym, jest tym, co nadejdzie po samym „post”. Tym, co nadejdzie po mnie.

– Ogromnie mi się podobały pani wczesne prace – mówi. – *Upadające kobiety*, coś fantastycznego. Jakby podsumowały całą epokę, prawda? – Wcale nie chce być okrutna, nie wie, że oto wyrzuciła mnie na śmietnik razem z telefonami na korbkę i gorsetami na fiszbinach. Dawniej bym ją zniszczyła, rzuciła jakąś wredną, uszczypliwą uwagę, lecz teraz nic mi na poczekaniu nie przychodzi do głowy. Wyszłam z wprawy, tracę zimną krew. A zresztą po co płuć jadłem? Podziw dziewczyny dla prehistorii jest szczery. Powinna się zdobyć na wyrozumiałość. Stoję tam ze skamieniałym uśmiechem, już przeobrażona w instytucję. Dostojeństwo jak gangrena atakuje mnie od nóg.

– Miło mi – bąkam. W razie wątpliwości zaciśnij zęby i kłam w żywe oczy. Szczęście, że wciąż mam co zaciskać.



Stoję plecami do ściany z kolejnym, pełnym kieliszkiem. Wyciągam szyję, świdruję wzrokiem tłum, patrzę ponad uporządkowanymi głowami. Już czas, żeby się pojawiła Cordelia, a tu wciąż jej nie ma. Narasta we mnie rozczarowanie, zniecierpliwienie, wreszcie niepokój. Na pewno wyruszyła w tym kierunku. Coś musiało się stać po drodze.

Tymczasem znów ściskam dłonie, znów coś mówię. W galerii stopniowo się przejaśnia.

– Doskonale wypadło – wzdycha Charna, pewnie z ulgą. – Byłaś wspaniała. – Cieszy się, bo nikogo nie pogryzłam, nie oblałam winem, w ogóle nie zachowałam się jak artystka. – Idziemy wszystkie na kolację, może się przyłączysz?

– Nie – mówię. – Nie, dziękuję. Jestem zmęczona do szpiku kości. Chyba po prostu wrócę do domu. – Jeszcze raz się rozglądam. Ani śladu Cordelii.

„Zmęczona do szpiku kości” to stare powiedzenie matki. Jakkolwiek same kości się nie męczą. Są silne, żywotne. Trwają całymimi latami, kiedy reszta ciała już dała za wygraną.

Zmierzam ku przyszłości, w której tkwię przykuta do wózka inwalidzkiego, gubiąc włosy, śliniąc się, jakaś młoda nieznajoma karmi mnie kleikiem czy inną papką, a ja stoję w śniegu pod mostkiem, stoję tak i stoję bez końca. Cordelia zaś znika, ciągle znika.

Wychodzę w zmierzch, przystaję na chodniku przed galerią. Chcę zatrzymać taksówkę, ale ledwo mogę unieść rękę.

Przygotowałam się niemal na wszystko, z wyjątkiem nieobecności, z wyjątkiem milczenia.

73

Wracam taksówką do pracowni, pokonuję cztery kondygnacje schodów, słabo oświetlonych jak to w nocy, odpoczywam na każdym piętrze. Wsluchuję się w swoje serce. Łomocze prędko i głucho pod warstwami materiału. niesprawne serce, zamierające. Niepotrzebnie piłam tyle wina. Jest zimno, oszczędzają tu na ogrzewaniu. Słyszę odgłos własnego oddechu, bezcielesne dyszenie, jakby oddychał ktoś inny.

„Cordelia skłania się do istnienia”.

Wpycham klucz w dziurkę, wymacuję kontakt. Mogłabym doskonale się obyć bez tych wszystkich sztucznych części ciała zalegających w pracowni. Idę do kuchni, odrobinę chwiejnie, nie

zdejmując płaszcz, bo wszędzie panuje ziąb.

Kawa, oto czego mi trzeba. Parzę więc kawę, oplatom palcami gorący kubek, zanoszę na warsztat, robię miejsce dla łokci, uprzątnąwszy jakiś drut i ostre narzędzia. Jutro stąd wyjeżdżam. Najwyższa pora. W tym mieście jest zbyt wiele przeszłości.

„No więc, Cordelio. Trafiona, zatopiona”. Nie módlcie się o sprawiedliwość, bo możecie ją sobie wymodlić.

Piję kawę, ściskając drżący kubek, wychlapując gorący płyn na brodę. Dobrze, że to nie restauracja. Kobiocie nie wypada się upijać. Pijanego mężczyznę łatwiej się usprawiedliwia, łatwiej rozgrzesza, ale właściwie dlaczego? Widać panuje przekonanie, że ma lepszy powód.

Ocieram twarz rękawem płaszcz, mokrą twarz, ponieważ płaczę. Trzeba uważać: płaczę bez przyczyny, robię z siebie widowisko. Widowisko, czuję, chociaż nikt nie patrzy.

„Nie żyjesz, Cordelio”.

Właśnie że nie.

„Właśnie że tak. Nie żyjesz”.

„Kładź się”.

XV

MOST

74

Jestem rozkojarzona, jakbym dochodziła do siebie po chorobie. Spałam owinięta pledem, w czarnej sukience, nie miałam siły jej zdjąć. Obudziłam się w południe, z głową jak balon, pod czaszką wata, pulsujący kac, po czym stwierdziłam, że uciekł mi samolot. Od dawna tyle nie wypięłam. Powinnam mieć więcej rozumu, podobnie zresztą jak w wielu innych sprawach.

Teraz jest późne popołudnie. Niebo wisi nisko, szare i miękkie, wilgotne i rozmazane niby mokra bibuła. Dzień zionie pustką, jak gdyby wszyscy się wynieśli gdzie indziej, jak gdyby nic już nie miało się zdarzyć.



Maszeruję chodnikiem, oddalam się od zburzonej szkoły. Moja dawna trasa, mogłabym tędy iść z zawiązanymi oczami. Jak zwykle na tych ulicach czuję się nielubiana.

Poniżej widać mostek. Stąd wygląda neutralnie. Przystaję na szczycie wzgórza, biorę oddech. Później ruszam w dół.

Zadziwiające, jak niewiele tu się zmieniło. Domy po obu stronach są te same, choć po błotnistej ścieżce nie zostało śladu, na jej miejscu zgrabna poręcz, porządny cementowy chodnik. Dokoła wciąż wisi zapach opadłych liści, paląca woń powolnego rozkładu. Lecz pędy wilczej jagody, fioletowe kwiaty, owoce niczym krople krwi zniknęły, nie ma też chwastów ani śmieci, wszystko wygląda schludnie, po miejsku.

Niemniej pod warstwą złudnego porządku nadal słyhać szelesty, pogłos kocich polowań, ukradkowego skrobania, nadal czuć tamten odór. Spod powierzchni widzialnego krajobrazu wynurza się inny, dzikszy i bardziej pogmatwany.

Tropimy ślady przeszłości po zapachach, tak jak psy.

Ścieżkę oceniają te same wierzby. Chociaż urosły, ja także urosłam, toteż patrzę na nie z takiej samej odległości. Naturalnie, mostek jest inny: betonowy, oświetlony w nocy, nie drewniany, zniszczony, zalatujący pleśnią. To jednak wciąż ten sam mostek.

Gdzieś tam, na dole, leży zakopany słoik Stephena, słoik pełen światła.

O tej porze roku wcześniej się ściemnia. Wokoło panuje cisza, nie słychać dzieci, jedynie monotonne krakanie wrony, a dalej szum ulicy. Opieram się o betonowy murek, spoglądam w dół przez nagie gałęzie podobne do wysuszonego koralu. Kiedyś myślałam, że gdybym stąd skoczyła, to nie byłby upadek, raczej nurkowanie. Łagodna śmierć, jakbym utonęła. Chociaż tam daleko, na ziemi, leży roztrzaskana dynia, niemile przypomina głowę.

Wąwóz zarasta więcej krzaków i drzew niż kiedyś. Pomiędzy nimi płynie strumień, czysta woda, której lepiej nie pić. Uprzątnięto całe żelastwo, zardzewiałe części samochodowe, wyrzucone opony. Koniec z nieoficjalnym śmietniskiem, teraz ludzie przychodzą tu na jogging. Schłodna żwirowa ścieżka dla biegaczy prowadzi na wierzchołek wzgórza i dalej na drogę, do cmentarza, gdzie czekają umrzyki, zapominając się atom po atomie, topniejąc jak sople, spływając do rzeki.

Tutaj wpadłam do wody, na ten brzeg się wygramoliłam. Tu stałam w sypiącym śniegu, bezwolnie, nie mogąc się ruszyć. Tutaj usłyszałam głos.

Nie było żadnego głosu. Nikt nie zszedł z mostku, krocząc w powietrzu, nie pochylała się nade mną żadna kobieta w ciemnym płaszczu. Jakkolwiek teraz powróciła z całą jasnością, wyraźna w każdym szczególe – zakapturzona postać w aureoli światła na mostku, czerwone serce wyzierające spod płaszcza – wiem, że to się nie zdarzyło. Była tylko ciemność i cisza. Nikogo, nic.

Coś słychać: but uderza o luźny kamień.

Czas wracać. Odpycham się od betonu, niebo ucieka w bok.

Jeżeli teraz się odwrócę i spojrzę przed siebie na ścieżkę, ktoś tam będzie stał. Z początku pomyślę, że to ja sama, w starej kurtce, w niebieskiej włóczkowej czapce. Później jednak rozpoznam Cordelię. Stoi w połowie stoku, ogląda się przez ramię. Ma na sobie szarą kurtkę od kombinezonu, ma gołą głowę, bo zdjęła kaptur. Te same zielone wełniane podkolanówki niechlujnie zwinięte wokół kostek, brązowe szkolne trzewiki ze zdartymi noskami, jedna sznurówka zerwana i związana na supeł, ciemnoblond grzywka opada na oczy, szarozielone oczy.

Jest zimno, coraz zimniej. Słyszę szelest marznącej mżawki, szum wody pod lodem.

Cordelia na mnie patrzy, wiem, krzywe usta uśmiechają się lekko, twarz zamknięta, wyzywająca. Ogarnia mnie ten sam wstyd, ta sama mdląca niemoc, ta sama świadomość, że jestem nie w porządku, niezdarna, słaba. To samo pragnienie miłości, to samo osamotnienie, ten sam lęk. Lecz to już nie moje odczucia. To odczucia Cordelii i tak było zawsze.

Teraz ja jestem starsza, ja jestem silniejsza. Jeżeli Cordelia postoi tu chwilę dłużej, zamarznie na śmierć. Zostanie w niewłaściwym czasie. Jeszcze moment, a będzie za późno.

Wyciągam do niej rękę, pochylam się, otwieram dłonie, by pokazać, że nie mam broni. „Już dobrze – mówię. – Możesz wracać do domu”.

Śnieg w moich oczach rozwiewa się jak dym.

Kiedy wreszcie się odwracam, już nie widać Cordelii. Jedyne kobietę w średnim wieku, zarumienioną, z gołą głową. Schodzi po stoku, w džinsach i grubym białym swetrze, z psem na zielonej smyczy, terierem. Mijając mnie, uśmiecha się uprzejmie, obojętnie.

Nic już nie zobaczę. Mostek to tylko mostek, strumień to strumień, niebo to niebo. Pusty krajobraz, miejsce dla niedzielnych biegaczy. Choć może nie jest pusty: wypełniony samym sobą, czymkolwiek jest, kiedy nie patrzę.

75

Siedzę w samolocie, lecę bądź też poddaję się lotowi na zachód, ku wilgotnemu wybrzeżu, pocztówkowym górcom. Przede mną, za oknem, zachodzi słońce w morderczej, wulgarnej, niemożliwej do namalowania, wspaniałej paradzie czerwieni, fioleto i oranżu, za mną trwa zwyczajna noc. W dole, na ziemi, rozpościera się preria, beżowa, doczesna, pozornie prawdziwa jak halucynacje, już przyprószona śniegiem, poznaczona krętymi rzekami.

Mam miejsce przy oknie. Na dwóch sąsiednich fotelach dwie starsze panie, każda w rozpinanym swetrze zrobionym na drutach, każda z żółtawosiwymi włosami, w grubych okularach z łańcuszkiem na szyję, z wysuszonymi ustami zuchowato pociągniętymi jaskrawoczerwoną szminką. Opuściły stoliki, piją herbatę, grają w wojnę, gmerając w śliskich kartach, śmiejąc się, jakby opony szorowały po żwirze, ilekroć któraś oszuka albo wygra. Od czasu do czasu się podnoszą, mozolnie rozpiąwszy pasy, kuśtykają na tył samolotu, żeby wypalić papierosa i ustawić się w kolejce do toalety. Wróciwszy, wymieniają rubaszne żarciki o moczeniu majtek i kłopotach z papierem toaletowym, popatrując na mnie chytrze. Ciekawe, ile we własnym pojęciu mają lat ukrytych pod powłoką ciała, ile lat dają mnie. Może myślą, że wyglądam jak ich matka.

Wydają mi się zadziwiająco beztroskie. Oszczędzały na tę wycieczkę i zamierzają dobrze się bawić, choćby się waliło i paliło, chociaż jednej dokucza artretyzm, drugiej spuchnięte nogi. Są głośne, tryskają energią jak trzynastoletki, niewinne i nieprzyzwoite, gwizdzą sobie na wszystko. Otrząsnęły się z obowiązków, z powinności, z dawnych nienawiści i żalów. Teraz przez chwilę mogą znowu bawić się jak dzieci, ale już bez bólu.

Właśnie tego mi brak, Cordelio. Nie tego, co minęło, lecz tego, co nigdy się nie zdarzy. Dwóch staruszek chichoczących nad filiżanką herbaty.

Teraz jest głęboka noc, pogodna, bezksiężycowa, pełna gwiazd. Nie są wieczne, jak niegdyś myślano, są nie tam, gdzie nam się wydaje. Gdyby to były dźwięki, byłyby echemi zdarzeń sprzed milionów lat, słowem złożonym z liczb. Echemi światła, które jarzy się w sercu nicości.

To stare światło i nie ma go wiele. Wystarczy jednak, żeby przy nim widzieć.